

Syn Jazdona





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Syn Jazdona

Syn Jazdona

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW BOLESŁAWA WSTYDLIWEGO I LESZKA CZAR-
NEGO

TOM PIERWSZY

*Dr. WEJGLOWI
WICE-PREZYDENTOWI MIASTA KRAKOWA
na pamiątkę z Nim odbytej podróży
ofiaruje
Autor*

Drezno.

Listopad 1879 r.

PROLOG

I

Szaro było na ziemi i niebo oponą się szarą oblokło. Nad źródłiskami ciepłemi ledwie gdzie wątła, błada majaczyła zieloność niby wiosenna, ponad którą sterczały zeschłe, trupie badyle i wymokłe trawy przeszłego lata.

U strumieni stojące wierzby już się okrywały puchem, jakby nim przyszłe liście od chłodu otulić chciały, — lecz liści jeszcze nie było i pączki stały szczelnie otulone i zamknięte. Wcześniej przybyłe bociany smętne włóczyły się po dolinach, stały u moczarów strzepując skrzydłami zmęczonemi długą podróżą.

Ponad rolami ulatywał skowronek, patrzył w niebo a piosnkę mu chłód w dzióbku tłumił, i oczy próżno niebios lazurowych w górze szukały.

Smutno było po świecie, tylko stada kruków unosiły się w powietrzu gwarliwe, krzykliwe, wesołe jakimś strasznym naigraniem się tej żalobie. — Co przysiadły na suchych drzew gałęziach, to się zrywały kołować w powietrzu. I wirowały niby pijane, to podnosząc się do góry, to spadając, szukając jakiejś pastwy obiecanej.

Abym dojrzeć kędy ona była, zrywały się tak czasem w obłoki, a nie dojrawszy jej spadały na drzewa i ziemię. — Ze wszech stron nadciągały one chmurami jak na zawołanie wiecowe, jak po wiciach do wojny. Gdy się spuściły na łąkę czerniała od nich, ruszała się jakby potwora legła na niej, a gdy się zerwały w obłoki, wily się w nich jak smok czarny — a gdy krakały, nie słychać było ani szumu drzew, ani pochwistu wiatru, ani szczebiotania innego pactwa, ani mrużenia strumieni, które od deszczów i śnieżysk wezbrały...

Na pustej dolinie, u skraju lasu chata stała, zamiast płotu obrzucona gałęźmi na kupę nagromadzonemi wysoko, tak wysoko, że ledwie z po za nich dach słomiany, okopcony, z odartym dymnikiem widać było. Sama sobie na ustroniu, wśród puszczy stała chiżyna niby straż wysunięta — niby zabity kół na znak, że się tu życie poczynać miało ludzkie, gdzie niedawno zwierz i pustynia panowali sami.

Po nad dachem dymiło, jak opar szły wszystkimi szczelinami kłęby sine i wisiały nad nim leniwe, a snuły się senne dokoła i kładły aż na dolinie. — W górę się im chciało, aby wiatr nie poszarpał na sztuki.

Wrota stały otworem, jakby już trzoda wyszła na paszę w las, na młode gałęzie i pączki. Kiedy niekiedy mimo wrót przemknęła biała spódnica niewiasty i znikła. Naprzeciw nich pies kudłaty duży siedział i patrzył w dał, to ziewając, to burcząc.

Na stada krucze co spojrzal to drgnął, zrywał się jakby na nie chciał rzucić, ale rozum jego psi powiadał mu, że przeciw nim niemocen był.

Ciągnął powietrze nosem. Wiatr mu różne wieści przynosił, psisko się od nich zżymało, rozumiejąc tę mowę woni, która doń przylatywała zdaleka. — Dla niego były w niej i od zwierza w lesie wiadomości i od ludzi wieści i od obcych włóczęgów swędy i z góry od niebios przestrogi i z dołu ziemskie języki.

Dlatego pies nosa nastawiał, a głową rzucał. Dużo mu przychodziło, nie wszystko rozumiał, zżymał się coraz więcej, coraz mocniej, aż wstał, zerwał się jak do chodu i siadł znowu i rzucił się ze szczekaniem naprzód — i cofnął, głowę opuszczając zadumany.

Dziewczę się wysliznęło z chaty, przyszło go pogłaskać. Odwrócił łeb, polizal rękę, ale na straży pozostał, miał poczucie obowiązku... Uszy mu się jeżyły i sierść na grzbiecie pręgiem długim rosła do góry.

Wiatr znużony przypadł gdzieś w lesie, zrobiło się cicho. Kruków stado pociągnęło nad lasy, puszcza szumiała teraz sama głucho i pośepnie.

Wśród milczenia tentent i krzyki rozeznac było można, tentent jakby pędzonej trzody, krzyk jakby ludzki, urywany, to szyderski, to przeleńki — poza nim śmiech i hukanie.

Pies stał i trząsał się cały, zerwał się, odbiegł naprzód kroków kilkanaście, a czując się bezsilnym przysiadł, pysk do góry podniósł — zawył.

Wył urywano, bo słuchał razem, oczy mu się iskrzyły — sierść już jeżyła cała.

Z drugiej strony doliny, przesmykiem z lasu biegła ku chacie pędem, rozbita, rozproszona trzoda owiec burych, czarnych i białych. Przodem bydło z ogonami poddartemi do góry. — Po dolinie rozsypało się to na wszystkie strony w popłochu, jak szalone dróg szukając ku chacie.

Tuż za trzodą, za bydłem, za krzyczącymi pastuszkami, przemknął się konny człek, z nim dwu jeszcze i psów zgraja. Psy się niosły za owcami dusząc je, chwytając, kalecząc, a co który zgniółł i do ziemi przybił barana — z koni się odzywały wesole okrzyki.

Tętnienie i wrzawa obudziły ludzi w chacie, wszystko wybiegło ku wrotom. Stary z włosy siwemi, niewiasta w zawiciu białem, dziewczeczka w wianku z kosami długimi, chłopie małe na pół nagie.

Pies jak wściekły ujadął, ale bezsilny cofał się też ku wrotom i wył. Tuż bydło spłoszone co przodem biegło, poczęło nie bacząc na ludzi jak szalone cisnąć się we wrota. Owce, które uszły psich zębów, jak pijane na podwórko wpadły. Tuż za nimi ogromne molossy z pokrwawionymi paszczkami gnały, za nimi na koniach trzech jeźdźców.

Gonili weseląc się, śmiejąc, hukając.

Pierwszy, co przodem jechał, panem był albo pańskim synem... bo i koń pod nim ubrany a piękny z nozdrzami rozdartemi, z oczyma palającymi czuł, że dźwigał na sobie takiego, co wszystko rozbijać ma prawo.

Paniątko co na nim siedziało, ledwie z lat dziecięcych do młodzieńczych dochodziło. Wyrostek był smukły, giętki, silny, twarz cała ze zmęczenia aż krwawa, oczy czarne a ogniste, włos na ramionach długi, nad czołem kołpaczek z piórami, na nim suknia cała bramowana, cała szyta, obwieszana w sznury, róg przez ramiona pozłocisty, łuk kowany, pas nabijany, nóż u boku świecący. Cała ta ozdoba nie stała za nic przy obliczu chłopaka tak zuchwałem, tak rozpalonem radością dziką, szaleł jakimś, iż zdawało się świat do boju wyzywać. W ręku żyłastem podnosił do góry oszczepek i machał nim psy swe zagrzewając.

— A! huż!!

Z otwartych ust jego zęby białe choć się śmiały, zdały się kąsać, wargi krwawe trzęsły się, na młodych policzkach drgała krew rozszalała — pijany był sobą i młodością.

Dwaj towarzysze jego lecieli za nim też bez głów, krzykiem jego jak psy zagrzewani, ale wśród tego szatu gdy spojrzeli po sobie, przebiegał ich jakiś strach, nagle im coś usta zamykało, obawa czy litość.

Psy, jeźdźcy, trzoda, wszystko razem niemal ścisnęło się we wrotach, które starzec napróżno chciał zamknąć...

Rzucił je w końcu. I on i niewiasty zbiegać poczęli przerażeni do chaty. Dziewczę tylko wyrostek, któremu owiec żal było, a strach nogi podciął, zawięzło w proggu.

Z konia piorunem skoczył panicz i pochwycił ją już w pół mdlejącą i krzyczącą. Spojrzawszy w oczy załzawione niebieskie, porwał na konia, który zbywszy pana otrząsał się właśnie... Dwaj towarzysze stali osłupieni, gdy już chłopak ze swą zdobyczą mdlejącą a wyzywającą ratunku, począł znów dosiadać siwego.

— Hej! to łup! to łup, na którym ja czyhał dawno! — krzyknął zanosząc się dziko — do lasa z nią!

Dziewczyna ręce podnosząc wołała ratunku.... lecz drzwi chaty stały zaparte, nikt nie śmiał wybiec na obronę, tylko pies jeden za nogę pochwycił panicza, ale wnet dwa ogary z krwawymi paszczkami padły nań i zdusiły.

W podwórku już one dużo nagospodarowały. Młody byczek leżał rozciągnięty na ziemi z oczyma zeszkłoniemi, a z gardła mu ciekącą krew chciwie chleptały psy... Kilka owiec dyszało i broczyło.

Chłopak śmiał się wielkim głosem.

— Do lasu! — wołając. — Uszłaś ty mi nieraz, gdym cię gnał na jagodach... przyszedł na ciebie czas...

Drzwi chaty otwarły się nagle, wypadł z rękami załamanemi siwowłoso.

— Zlitujcie się! zlitujcie! — jęczał.

Na krzyk jego psy pańskie przybiegły i poczęły na nim szarpać odzienie, poczęły kąsać ciało...

Nie czuł tego i wołał.

— Zlituj się!

Młody szaleniec nie słuchał. Dwaj pacholkiwie pobledli, z ich twarzy zeszedł szal, strach i groza je ściągnęły. Patrzali na pana — to na siebie. Wahali się. — On nie zważał na nic, w silne ręce ująwszy dziewczę sadzał je już na konia i sam za niem się sadowił.

Stary, którego psy szarpały, wlokąc je za sobą przybiegł i jęcząc pochwycił go za nogi. Z chaty zawodząca płaczliwie ukazała się niewiasta, ręce łamiąc nad głową i wyjąc nieludzkim jękiem.

Wszystkiego tego chłopak nie słyszał, koniowi ściągając wodze i już do wrót się mając z dziewczyną.

Wtem we wrotach nagle jeździec się ukazał.

Człek był stary na silnym koniu, w prostej opończy z głową nieokrytą. Przez plecy miał sznur z trąbą myśliwską z prostego rogu.

Siwe włosy wiatr mu porozrzucił i na ramiona i czoło rozsypał. Twarz bladą miał jak trup, oczy zagasłe a straszne, czoło pomarszczone w grube wały — pierś szeroką, dyszącą. Siłę w nim czuć było wielką i moc jakąś, taką, że gdy się jego oczy z wejrzeniem chłopca spotkały — czerwony, oszalały panicz zbladł, zęby mu się ścięły jakby zgrzytał.

— Szatan cię tu przyniósł, Wojusz! — zakrzyczał nagle wściekając się ze złości i próżno usiłując się wrotami wymknąć z dziewczyną.

Wojusz w poprzek ich stał jak mur, mówić jeszcze nie mogąc dyszał, a choć nie mówił, oddechem tym był groźny — wrzało w nim.

— Pawlik! — puść mi wnet dziewczynę! — zakrzyczał wręście głosem ogromnym...

Coś było w tym głosie rozkazującym takiego, że ręce co trzymały pochwycony łup, siłę stracili i dziewczę skorzystawszy z chwili tej, wysliznęło się jak wąż, zsunęło na ziemię, padło ku starcowi, który je pochwycił, a z nim do chaty... Drzwi jej zawarły się z łoskotem ogromnym.

Psy, które za uchodzącemi gonily, mordami biły o drzewo — wewnątrz zapadała zapora.

Pawlik, gdy mu się zdobycz wymknęła, już nie za nią, ale na Wojusza wściekły jął się miotać i oczyma błyskać groźnie. Ten się nie uląkł. Patrzali tak na siebie wojując wejrzeniami piorunującymi — aż chłopię głowę spuściło.

Stary Wojusz dyszał zgrozą, rozpaczliwą boleść jakąś widać w nim było.

— O ty niegodny synu Jazdona! — począł głosem grubym i warczącym. — Ktoby w tobie poznał ojca? Na to my cię wypiaستowali, na tom ja na rękę nosił, abyś na zbója wyszedł i zbytnika? Jeszcze ci się wąs nie wysypał...

Podniósł pięść do góry...

— Za mną! na zamek! — dodał — za mną! Tym razem ja nie utaję przed starym, nie! Dostyc tych psot... My cię nie utrzymamy, ja stary, na ciebie żelaznej ręki potrzeba.

Popatrzał na krwawe psów ofiary.

— To twoja zabawa! to twoje łowy! Mało ci zwierza w lesie, byś biednemu zagrodnikowi trzodę dusił psy twojemi, wściekłemi jak ty! i dziecko mu chciał porywać.

Pawlik jak skamieniały słuchał, ale gniew w nim drgał.

Wojusz skinął.

— Na zamek! Psy na sznury! służbo ty pana warta!

Odwrócił się do dwu pacholków, którzy wnet skoczyli z koni.

Pawlik jeszcze stał niemy, gdy Wojusz powtórzył głośnie.

— Na zamek!

Młody odwrócił głowę i zamruczał.

— Długo ty mi myślisz rozkazywać? ty?

— Póki mnie ojciec twój od tego ciężaru nie zwolni — odparł Wojusz, — dopóki ja za ciebie odpowiadać muszę Bogu, Jazdonowi i pamięci twój matki.

— Na zamek! — powtórzył raz jeszcze.

Ale chłopię zuchwałe, uparte, nie ruszało się.

— Związać każę i powiozę jak barana! — krzyknął stary. — Potem ojcu do nóg padnę, niech z wami robi co chce. — Mnie już was dosyć! Wolę śmierć niż dozór nad tobą.

Na zamek!!

Psy już były na sznurach i zmęczone posiadały dysząc, a krwawe liżąc pyski. Pachol-kowie posłuszni dosiedli koni, tylko Pawlik się nie ruszał. — Wojusz przybliżył się doń, konia mu za uzdę targnął. Młodemu ręka drgnęła, w której oszczep trzymał, jakby się bronić chciał — i opadła. Zamruczał coś, spuścił głowę i koniowi dał ostrogę.

Milczeli wyjeżdżając z podwórka, tylko Wojusz gniewem dyszał jeszcze. Pawlik ze złością spoglądając na starego dał się koniowi za nim ciągnąć, pachol-kowie wlekli psy za sobą.

Wyjechali tak z podwórza a drzwi chaty jeszcze się odemknąć nie śmiały i byli już o stai kilkoro, gdy naprzód okno się otwarło i głowa siwa wysunęła, potem chwiejąc się na pokrzwawionych nogach wybiegł siwowłosy ręce łamiąc — stanął, posoką oblane pobjowisko oglądać. U progu leżał stary druh domowy, pies z wywieszonym językiem i wysadzonemi z pod czaszki oczyma.

Przodem Pawlika puściwszy, w ślad za nim jechał Wojusz, opodał ciągnęli szepcząc z sobą pachol-kowie, których odeszła ochota i wesele. Chmurno spoglądali to na siebie to na panicza, to na starego, który w pole wyjechawszy, gdy powietrza w piersi szerokie wciągnął, splunął raz i drugi, i groźnie spozierając na milczące chłopię, począł wywoływać w pół do niego, pół do siebie.

— A! piękny to mi syn mężnego Jazdona, Comesa na Przemankowie, co go księżęta we czci mieli i do rady przyzywali, którego Leszek, błogosławionej pamięci, choć chorego, na każdy sąd wyzywał, a gdy on słowo rzekł, ważyło ono za dziesięć innych!

A! piękny mi syn rodzica sławnego, dobry wychowanek starego Wojusza, co go od kolebki rozumu uczył i cnoty! Na co się to wszystko zdało? Na co? Groch o ścianę! Jakiem źdźbło było, gdy kielkowało, takim i wyrosło — badyłem. W kolebce niańkom włosy obrywał i twarze drapał, psy i koty męczył — teraz bydłu i ludziom pokoju nie daje!

A piękny to syn Jazdona! dobra rodzicowi pociecha! Puść go z oczów na godzinę, nie wycierpi żeby krwi nie pokosztował, psoty komu nie wyrządził, biednym ludziom nie zalał za skórę!

Syn Jazdona! — powtarzał stary, to śmiejąc się szydersko, to buchając niemogącym utamować gniewem.

Burczał tak a młody jak pod chłostą jechał z głową zwieszoną, nie odwracając się, jakby nie słuchał. Czasem konia spał aby od tych słów uciec, ale stary go doganiał.

Choć Pawlik się nie odwracał i nie chciał dać poznać po sobie, że czuł gorące słowa, któremi go smagano, wydawał się z tem mimowoli iż cierpiał. Drgały mu ramiona, ręce ściągał, — pięści ścisnął, głowę rzucał nie zwracając jej, nogami konia dusił. Trzymał tak w sobie młody gniew, aż wreszcie buchnął...

— E! ty — stary wywłoko! milczałbyś! Grzybie zgniły! W tobie już krwi nie ma i kropli — to siedź u ognia... grzej się, a młodym tobie nie rozkazywać. Myślisz że mnie ty czy kto słowem czy pięścią strzyma, kiedy we mnie krew zagra i zakipi? albo że ją klecha zażegna? albo ją strach zastudzi?

Rozśmiał się dziko i szydersko.

— A pocoby mnie życie, gdybym je miał związany w kacie pędzić! Mnichem nie jestem, mnie trzeba swobody... ja muszę wszystkiego pokosztować i nacieszyć się życiem... Na pokutę i na gnicie dość będzie czasu.

— A któż cię będzie trzymał w jamie i kuł w dyby — zakrzyczał stary sierdzisto. — Puszczą cię przecie! puszczą w świat! Masz ledwie dziewiętnasty rok. Pójdziesz! pójdziesz! abyś tylko powrócił... A no, dziś ty jeszcze chłystkiem!

— Nie! — zaprzeczył Pawlik. — Nie! Krzywoust młodszy był gdy wojował, drugim żony dawali w tym wieku! a ja co? W podwórku mi każą biegać, jak koniowi na postronku, za wrota ni rusz! Książd pół dnia więzi nad księgą, trzyma i w łeb kładzie co mi na nie! Pisarzem ja nie będę... ani kanclerstwa chcę! Ty, ciemnego, włóczysz się za mną jak cień, abym sam sobie nawet nosa nie utarł. Co za dziw, że gdy się wyrwę to szaleję? E! ty, stary! niby ty nie wiesz, że jak hacją wodę zaprziesz, to ci ona i hac i młyn i dom wyniesie!

Stary zzymnął się, zły był jeszcze, ale widać było, że wymowa chłopca nań działała, niemal się nią cieszył. — Rozbrajała go. Uśmiech po ustach mu się prześliznął. Wszelako chciał być nieprześlizniętym i gniewnym.

Jechali dalej tak, sporząc ciągle.

— O! kaznodzieja z ciebie dobry! — mówił stary. — Więcej u ciebie języka niż statku! Żeby cię, jako teraz, na gorącym uczynku złapać, potrafisz się wyłgać! Chłystek, mleko pod nosem, a już mu cudzej dziewczyny się zachciało! Coś ty powinien wiedzieć o dziewczkach, ty, coś niedawno na pasku chodził!

Pawlik parsknął i nic nie odpowiedział, — a gdy stary zmilkł, mruknął.

— Toćbym jej był nie zjadł! A co wielkiego zagrodnika dziewczka, żeby jej panu tknąć broniono? Jak grzyb wyrosła na mojej ziemi...

— Milczałbyś gołową się jakiś! — przerwał stary. — Dość mi tego! Myślisz, że Jędrak nie przyjdzie do miłościwego naszego na skargę? A toć mu pół trzody twe psy niepoczciwie wydusiły! jego pokąsały, a dziewczka odchoruje ze strachu.

Pawlik się znów rozśmiał.

— Dziewka ma chorować ze strachu! — krzyknął. — Porzućże stary. Widziała żem ni wilk ni wilkołak i krwi jej pić nie będę. Jutroby się była śmiała...

Lekceważył coraz bardziej gniew starego, przychodząc do siebie i już poświstywał pocał. W tej wesołości udanej było jednak nieco trwogi.

— Staremu Jędrkowi, — dodał — za trzodę i za strach co się da.

— Kto da? co da? — wrzasnął Wojusz. — Ty chłystku nic nie masz, na łasce ojcowskiej jesteś! Z panem ojcem, ty wiesz! nie żarty!

Pawlik za całą odpowiedź ramionami poruszył.

— Na pół on martwy — ciągnął Wojusz dalej, — ale tej połowy, co żywa została dosyć będzie, aby ci dobrą dał pamiątkę.

— Gdy ty mnie zaskarżysz! ty — wtrącił Pawlik.

— A ja mam zataić? duszę gubić? tobie dać szaleć, abys się do reszty rozwydrzył — zawołał stary. — A! niedoczekanie twe! Miałem ja litość nad tobą, dosyć, nadto... Czas cię w żelazne kleszcze wziąć!

— Czas mi wolę dać! — przerwał młody.

— Ufasz w to, żem ja cię wyniańczył, twoje psoty pokrywał — ale już tego dość! dość!

Wyjeżdżali z doliny i zarośli, na polu, na wzgórzu widać było zagrodę dużą, wały i wodę dokoła, z pośrodku drzew sterczące dachy, półwieżyce i strażnice.

Był to gródek Przemankowski. — Do niego jadąc tak jak oni jechali, już i pół godziny drogi nie było...

Młody musiał wszakci na ten czasu przeciąg rachować, iż on starczy aby mu się stary Wojusz wyburzył. Zwalniał kroku dla większej pewności, tak, że jadący równo z nim stary, stanął obok z koniem — i pierwszy raz sobie znowu w oczy spojrzeli.

Młody, w którym już ostygło, uśmiechał się, stary burczał ochłonawszy też znacznie. Pot tylko z czoła ocierał.

Jechali dobry czas nic nie mówiąc do siebie.

Chłopak teraz, gdy się w nim namiętności ukołysały, krew wzburzona uspokoiła, wyglądał ślicznie, rozkwitły bujną młodością.

Samo szaleństwo jego miało pewien wdzięk, któremu mógł się dać ująć stary dozorca. Łatwo to pojąć było.

— Żebym był do stajen nie poszedł, chorego konia pańskiego opatrywać — odezwał się Wojusz — konia, na którym on już nigdy siedzieć nie będzie, a codzień go sobie przyprowadzać każe... żeby nie ten koń! nie byłbym ci ja dał się wyrwać ze psy i z temi psubraty, co za tobą poszli na rozpustę!... Co tobie ojciec sprawi, łaźnię czy kaźnię — to jego rzecz — ale że ja (dodał zwracając się z pięścią do jadących z tyłu), że ja tym łozami

do krwi skórę wygarbuję, to tak pewna jak żem dziś żyw, i że się zowie Wojusz Sowa, i żem zawołania Półkoza, i żem ciebie na trutnia wychował...

— A wiesz, czemuś mnie na trutnia i nicponia wychował? — dosyć chłodno odparł Pawlik.

— Wiem — bom za dobry był — huknął stary. — Trzeba cię było siec a siec, a tłuc i ducha słuchać, nic nie darować... Jam głupi był i często śmiać się, gdy płakać było trzeba.

— A! nie! nie! — przerwał Pawlik. — Gdybyś ty mnie tak nie niańczył, na pasku nie wodził, dał mi się zawczasu wybrykać, jak chłopskim dzieciom, a zakosztować swobody i guzów sobie nabić, tobym ja teraz na swobodę i guzy tak łakomy nie był...

Stary Wojusz usłyszawszy te słowa, z pewnem podziwieniem głową potrząsł. Może w duszy prawdę im przyznawał, a potwierdzić jej nie mógł i nie chciał.

Zbliżał się już ku dworowi Przemankowickiemu. Wojusz, który niedawno z niego wyskoczył, za zatraconym goniąc wychowawcem, bo wiedział, że gdy się wyrwie, szalonego coś pocznie — patrząc zdala na gródek, głową trząsł, bo się około niego coś działo niezwykajnego.

Pusty to był kąt, zaszyty w lasy, gościńce wielkie tędy nie wiodły, rzadko kto obcy zawitał. Około dworu cudzych ludzi ledwie parę razy do roku spotkać było można i to albo do zawołania Półkozów należących, albo zabłąkanych na puszczy.

Teraz zaś pod wałami się roilo ludem. Z kilku stron widać było ciągnące kupki zbrojne, podążające ku dworowi. Niektóre się już były na podgrodziu porozkładały obozami, jakby dla nich w środku miejsca zabrakło.

Widok to był tak niezwykły, że i Pawlik mu się zdumiał.

— Patrzno? co to jest? — zawołał. — Co to tam za ludzie naszli?

— Widząc, ale, Bóg skarż, nie wiem jacy — odparł cały już tem zjawiskiem zajęty i niespokojny Wojusz. — Przecieżem niedawno z gródka wyjechał, niespodziewano się tam nikogo; o nikim słuchu nie było. To są jakieś zbrojne kupy!

W Pawliku krew zagrała, oczy mu się zaiskrzyły, nie mówił nic. Stary odgadł, że mu się do tych orężnych chciało...

Na rękę też było chłopcu, iż na gródku coś zaszło, co porządek pomieszało i mogło dać o nim zapomnieć. Wojusz tak był zdziwiony i zmieszany tem, że chłopcu przestał czynić wymówki i zapomniał go karcieć.

Ze zmarszczonemi jechał brwiami, myśląc a zgadując, co się stać mogło, iż na starego Jazdona tak najechno.

Jazdon ów, Półkoza, możny sobie pan, za Kaźmierza i Leszka w radzie książęcej i na wojnach sławny, do Baronów i Comesów się liczył, póki stało siły około dworu i wojska się zaprzatając.

Po onej Gąsawie nieszczęsnej i po zawieruchach a wojnach książęcych, które potem niemało się lat ciągnęły, ręce mu do wszystkiego opadły... Nie było widoku, aby z nich co dobrego wyjść mogło.

Jazdon miał jedno na sercu i myśli, znowu ową monarchię sławną Mieszków i Bolków przywrócić i władzę w jedną dłoń skupić, a tu się one ziemie i powiaty coraz bardziej rozpadały. Dzielili się książęta, mnożyli, ziemi i grodów ledwie dla nich stało. Każdy sobie brał jakiś splacheć i krwawił się on bodaj z rodzonym bratem, bodaj z ojcem, aby co najwięcej ziemi urwać, a potem mieć co między dzieci dzielić.

Już było tedy owych dzielnic nie policzyć a wojen nie powstrzymać. Nad karkiem wisiała Ruś i Połowcy, Prusacy poganie i Litwa, co się w siłę wzbijała. Królestwa rosły dokoła silne, wrogów zewsząd wstawały zastępy a w krainie Mieszkowej kotłowało i wrzało, a jadło się co żyło.

Jazdon choć z Leszkiem trzymał wprzód, gdy go nie stało, a książęta Ślązcy, co niemczeli strasznie i także się ziemią dzielili, nie wiele obiecywali; — przystał był duszą i ciałem do Konrada Mazowieckiego.

Krwawy to był pan, straszny człek, ale mąż taki, co mógł wszystkich zwojować i pod jeden płaszcz całą ziemię zagarnąć. Nie było mu co wierzyć, bo słowa łamał, nie można go było kochać, bo on nie miłował nikogo, ale dłoń miał żelazistą, potężną i głowę, w której jedna myśl tkwiła — panować szeroko...

Więc Jazdon mu służył i wspomagał, a cały był z nim, nie zsiadając z konia prawie, bo jeżeli się nie bił, to mu szpiegował, posłował, chwycił jeńców, gotów będąc posługi pełnić najlichsze, aby się raz to ciało na sztuki rozpadnięte znowu zrastać poczęło.

Lecz żaden znój nie pomagał, bo nie nadeszła była jeszcze godzina, którą Pan naznaczył miał, aby się ten cud stał, o jakim u grobu męczennika Stanisława powiadano, że ciało jego poćwiertowane orłowie znieśli znowu kawałami i zrosło się, jako za żywota było. Jazdon na duchu padł, patrząc już nie chcąc na kalectwo ziemi swej i jak raz powrócił, mało co cięty w ramię z wojny, obległ już doma i więcej ruszać się nie chciał...

— Oczy moje już nie zobaczą, czego dusza pragnie! — mawiał.

Puścił potem brodę stary, aby rosła, i w Przemankowie swym siadł, a zaraz mu, czy od owego cięcia, czy od tego smutku pół ciała odjęło, tak, że jedną połową żył, a drugą był, jak umarły.

Jedno oko zamknęło mu się na wieki, połowica ust nie ruszała, ręka jedna i noga nie miały władzy.

Przecież leżeć tak, jak kłoda, nie chciał. Całe życie spędziwszy na koniu i na nogach, i teraz nie mógł w izbie usiedzieć. Miał więc dwu ludzi barczystych, niewolników rusinów czy połowców, z postrzyżonymi głowy, silnych jak niedźwiedzie, coby wołu na barkach unieśli. Tym się nosić kazał czasem po całych dniach. Brali go oni na ręce, a lewicę jego, która martwą była, jeden sobie wiązał do szyi, i tak się ze starym po grodzie, po szopach, po wałach włóczył, dźwigając go, musieli. Mieniali się tylko to na prawo, to na lewo, z kolei przechodząc, boby żaden dnia całego nie wytrzymał po jednej stronie. Stary bowiem zły był, porywczy okrutnie, a gdy się rozsierdził, ręką, która władzę miała, tłukł i bił, lub za włosy niosących go targał, sińce nabijał, ba i do krwi raził nieraz.

Niucha i Mucha, dwaj niewolni, znosili to w milczeniu, ledwie że który się śmiał otrzeć, gdy mu krew popłynęła. Nawykli byli do tego. Karmił ich też i poił, jak bydło na rzeź — co w nich wlało. Mało co przy nim mieli spoczynku, bo i w nocy u proga legiwać musieli na zawołanie, a stary, gdy mu co przyszło do głowy, budził ich po nocach czasem, kazał pochodnie zapalać i po ogrodzie się naszać.

Człek był srogi, popędliwy, ale też sprawiedliwy. W życiu domowem, mówiono o nim cicho, że za dawnych czasów więcej sobie pozwalał, niż przystało — szalał okrutnie i żył obyczajem pogańskim. Gdy żonę stracił, która syna mu dawszy, zmarła, dwór był, jak u dzikich, niewiast różnych pełen, które kupowano dlań w dalekich stronach... Pijano też nad miarę i dokazywano okrutnie... Niejednego ubitego Jazdon miał na sumieniu, ale za krew płacił sowicie i kajał się, choć — byle go kto zadrasnął, nazajutrz znów łby gotów był ścinać.

Syna jedynego dał chować Wojuszowi, który mu był powinowatym jakimś. — Sowa ojcowiznę pozostawiał i posprzedawał, potem do Jazdona przyszedł raz odarty i u ognia mu siadł, mówiąc. — Już ztąd nie pójdę. Ostatni chłapiec ziemi dałem za dwa sokoły, dwa psy i opończę... Sokoly mi przepadły, psy się powściekały, opończa podarła... teraz wy mnie żywicie, bom swoja krew, zwałać się jej nie możecie dać. Półkozać jestem!

Na to mu Jazdon rzekł. — Siedźże, ale mi syna weź w ręce dobrze i trzymaj ostro, bo w nim tak, jak ongi we mnie, kipi krew szalona. Odsłużysz za chleb, bo ci ta bestya oczy wydrze... Nie strzyma go nikt, chyba drugi Półkoza, jako my.

A był dzieciak Jazdonów istny borsuk młody, którego się nie tkniesz, żeby cię nie pokąsał. Miał z nim Wojusz nieustanną wojnę, czasem zmuszony i siec i karcic strasznie, chociaż to nie pomagało, bo chłopak zbity gorszym jeszcze się stawał. Dodali mu potem z Krakowa od św. Jędrzeja klechę, pół-księdza, co go miał w religii ćwiczyć i do nauki jakiej sposobić. Zwano go mistrzem Zulą, ten gorzkiemi łzy oplakiwał swą dolę, tak ów Pawlik nieunoszony był.

Poskarżyli się czasem ojcu, kazał siec, więzić, głodzić. Pawlik dawał się chłostać, ściągający zęby, ani pisnął, albo tych, co go trzymali, za ręce kąsał. Dawał się zamykać, jadł chleb, wodę pił, z jamy się nie wypraszał. Gdy go puszczono, wnet znów broił tak samo.

Było z nim trudu straszne niemało... do tych dziewiętnastu lat, których teraz doszedł. Stary Jazdon przecież, dziwna rzecz, choć go sam, bywało, zdrową ręką za włosy wytargał i obił, nie brał do serca tej krnąbrnej natury. Czasemby był przysiągł Wojusz, że się z chłopca śmiał i cieszył, tak mu wasy i broda z jednej strony drgała. Niekiedy mruknął. — Będzie z niego człek, z gnoju nie ma nic!

Na to Wojusz głową trząśł — nie dowierzając, choć i ten go kochał... Klecha zaś Zula, którego chłystek żywcem zamęczał, miał doń przywiązanie, jak do własnego dziecka.

Takie to było stworzenie dziwne, że ani go zniechęcał, ani z nim w zgodzie pół dnia przeżyć nie było podobna.

II

Gdy się ku gródkowi zbliżać zaczęli — a jechali teraz wolno, Wojusz pierwszy poznał, iż owemi gromadami zbrojnymi na Podzamczu kto inny nie mógł być, tylko wojskowe dwory rycerstwa krakowskiej ziemi i okolic ode Ślązka. Ale poco się one tu ścigały i co robiły, nie pojmował, ni się domyślał...

Do Jazdona na radę nie jeździł teraz nikt, bo stary się już tu tak zamknął, że o Bożym świecie nie wiedział nic.

Więc jakaś bieda, czy potrzeba, tych ludzi zapędzić musiała w lasy. Albo od nieprzyjaciela uchodzili, lub tu czyhać nań chcieli, w puszczy się gromadząc.

Wojna tych lat nie była rzeczą osobliwą, ale powszednią. Od Wisły i Wieprza począwszy, po Wartę i Łabę niemal, książątek siedziało Piastowiczów różnych, poniemczałych, podziczałych, klótlivych tyle, że ich i policzyć było trudno...

Jeden drugiemu ziemi zazdrościł, grody najeżdżał, powiaty obrywał... Chwyтали się po kościołach na modlitwie, jeden drugiego — sadzali do więzień, nietylko sami, ale żony i dzieci, zabijali się i mordowali o dziedzictwa, do których prawa rościli. Nie ten, to ów wojował i wicherzył.

Nie stało tych waśni domowych, najeżdżała Ruś, napadali Prusacy, Jaćwieże, Litwa, Połowcy. — Nie było ani dnia spokoju, chyba w takich kątach, do których przez błota, moczary i puszcze dostać się nie było podobna. A Przemanków taki był, mówili ludzie, że siedział, jak u Boga za pazuchą.

Podjechawszy pod gród, gdy Wojusz się począł rozpatrywać w tych kupach, pozdraiwali go przybylcy, — widząc, iż domowym być tu musiał...

Ludzie stali wszystko zbrojni mocno, jak na wyprawę gotowi, ale strwożeni jacyś i niebutni.

Kładli się opieszale, niby obozem, jakby nie wierzyli, że tu długo potrwają.

Już do wrót otwartych podjeżdżając, stary Wojusz, oczyma rzuciwszy po tych, co go, Boga chwając, witali, poznał podeszłego, jak on, rycerskiego czleka, z którym niegdy razem w polu bywał — Rokitę.

Huknęli do siebie zdala. Sowa stanął.

— A was co tu przyniosło? — zapytał.

— Nie pytaj! Cóżby mogło, jeżeli nie bieda — począł podchodząc ku niemu Rokita, który, że jeszcze czasu nie miał nic zdjąć z siebie, jak jeź, był cały nasrożony łukami, kołczany, oszczepami i nożami. — Zdało się, że co miał doma żelaza i broni, wszystko na się wziął.

— Co za bieda? — pytał Wojusz.

— Jakbyście to nie wiedzieli? — mówił Rokita. — Choć wy w lesie siedzicie, ale już kąta nie ma na tej ziemi, gdzieby nie jęknęło i nie zadręgało trwogą. Alboście to nie słyszeli o tej tłuszczy, o tej szarańczy, o tej chmurze, co na nas, jak potop, się leje, Ruś już zawojowawszy całą?

Wojusz zżymnął ramiony.

— Juścim o tych słyszał, co ich nasz klecha zowie Gogami i Magogami — rzekł powoli — jakoby się oni odgrażali całą ziemię podbić sobie, jak o nich w piśmie ma stać, i że chcą całe chrześcijaństwo wygubić. — He! — ale Pan Bóg nie dopuści!

— Dopuścił! — wtrącił Rokita gorąco. — Wyście tu, widzę, pogłuchli i poślepli, a tam już ziemia się trzęsie i krew rzekami płynie. Oniż już u nas, na karkach — już w popiołach całe powiaty... bo ta dzicz nie żywi nikogo!

— Drugie Połowcy! odparł spokojnie Wojusz... ja ich znam!

— Co? Połowcy? To byli ludzie jeszcze, choć ludzi zabijali, a to dziki zwierz co trupami żyje! A idzie tego taka moc straszna, z wozami, z końmi, z babami, że na piętnaście mil szlaki zalegają ławą.

Westchnął mówiący i pot otarł.

— Więc cóż? — spytał Wojusz dosyć obojętnie.

— Mamy ginąć, — dodał Rokita — pan wojewoda krakowski powiada, ginimy po rycersku: po chrześcijańsku. Uciekać już i nie ma dokąd, płądrują oni wszędzie a płyną falą ogromną jak woda. Trzeba stanąć i dać życie z cześcią, nie w jamie się dać brać — nie bezbronnym.

Westchnęli oba spoglądając ku sobie; w tem słuchający dotąd Pawlik, któremu twarz znowu gorzeć zaczynała, wyrwał się:

— Pójdę i ja z Wojewodą!

Wojusz nań spojrział, ramionami ruszając.

— A co po takim chrząszczu! — odezwał się pogardliwie.

Pawlik aż za nóż się pochwycił, bo mu obcego wstyd było.

— Pójdę! — powtórzył — pójdę!

Rzekłszy to, nagle zęby zciał i zamilkł.

Wojusz z Rokitą, poszeptali coś jeszcze i stary z chłopcem, który mu się już naprzód wyrwał, jechał na zamek. O owem szaleństwie, za które go karcic miano, mowy już nie było.

W podwórza bardzo przestronne za wałami, ledwie się mogli wcisnąć i to wołając ciągle aby ich przepuszczono, bo domowi są i to się im należy.

Ludu wszędzie było pełnusięńko, a przed dworcem pańskim, starszyzna co się już w izbie pomieścić nie mogła, kołem stała we zbrojach niemieckich, w hełmach, w szatach jasnych i pstrych, otaczając starego Jazdona, który się swoim niewolnym, Niusie i Musie na dwór do panów braci wynieść kazał.

Widok był osobliwy, bo stary pan, którego słudzy na barkach trzymali, górował nad tłumem, jakby podniesiona chorągiew. Ogromny tułów jego wisiał na pół bezwładny na ramionach tych obrów silnych, z bladą twarzą długą o jednym zamkniętem oku, z brodą siwą co mu, nie kręcąc się, rosła gdyby trawa prostemi grubemi włosy, z usty krzywemi, zapadłemi, z tą jedną ręką białą jakby trupią, chustą przywiązaną do szyi Musze, z drugą w pięść gulowatą zbitą, kościstą, żyłami grubemi oplecioną...

Suknia na nim prosta, wełniana, na piersiach była rozwarta i z pod brody przegładało wyschłe ciało, ze sterczącemi żebry, z pofałdowaną skórą żółtą.

Słuchał opowiadania Jazdon, to usta bezzębne otwierając na pół, to je zaciskając. Oko zamknięte drgało mu, a z otwartego, zakrwawionego płynęła łza długa, po bladym zmarszczonym policzku.

Obok tej twarzy pół umarłej a jeszcze życiem jakimś tętniącej, dwa łby ostrzyżone krótko z obliczami śniademi, bezwłosemi, krągłemi, ze łśniącemi bydlęcą tłustością policzki, obumarłe, zmęczone — stały jak dwa kamienne posągi.

W koło rozprawiali przybyli gwarno, przerywając sobie, wtrącając słowa z bólem wielkim, z ogniem rozpaczliwym. Wśród rycerstwa zbrojnego widać było i kilku duchownych. Stał tu wcisnąwszy się i Mistrz Zula domownik Jazdona, nauczyciel Pawlika i kilku księży przyjezdnych z posępneimi twarzami, jak gdyby po nich śmierć przeszła.

Gdy Wojusz i chłopak z koni posiadali a poczęli się zbliżać ku dworowi, co z niemałą przychodziło trudnością, bo i koni i ludzi było jak nabito — urywana tylko, kawałkami dochodziła ich rozmowa. Chwilami przerywało ją milczenie, to znów głosy się podnosiły razem gwarne i jedne drugie głuszyły.

Ludzie się wynosili z tego koła i cisnęli doń. Zamęt wielki widać było między niemi, jakby głowy potracili i nie wiedzieli co czynili.

Wojusz przybliżając się postrzegł, tuż obok Jazdona, którego niewolni dźwigali, poprawiając mu to rękę, to nogę bezwładną, znanego dawniej Sulisława, brata krakowskiego Wojewody.

Ten jeden miał oblicze wygładzone i spokojne choć posępne, jako ten, co z Bogiem się pojednawszy wie iż na śmierć idzie, i nie dba o to. Odbijał on sam od wszystkich tych rozplamionych, po których rysach biegało i męztwo i twoga, i ból, i co tylko ze zburzonego serca ludzkiego na wierzch krew wynieść może. Jedni rękami chwyтали się za włosy i po czołach uznojonych tarli, drudzy podnosili je ku niebu drżące, inni załamywali bezsilnie. U wielu słowo się kłóciło z dłońmi a mowa z postawą.

Stary Jazdon słuchał, a już Wojusz i Pawlik, docisnąwszy się tu, mogli lepiej chwytać te rozbujałe słowa, latające jak wichur czasu burzy.

— Koniec nam! w więzy wszyscy pójdziemy, lub pod rzeźak ich! Koniec nam! — mówił ogromny mąż z wąsy szpakowatemi, które zagryzał. — Nie oparło się nic tej dzicy, zaleje ona i nas... a po trupach naszych powali się dalej, het, póki świata stanie, póki ziemi, póki pastwy.

— Nie zjedliż nas połowcy, ani drugich prusacy, a i Jaćwa, choć nieraz tysiącami u nas bywali! — przerwał drugi. — Wszystkich nie pożrą i ci.

— Ale bo ich takiej mnogości plugawej niebyło jak świat światem — wtrącił inny. — Posłuchajcie no tych co od Lublina, od Zawichostu, od Sandomierza zbiegli... Wojsko to nic, tłum nic, ćma nic, aleć ich tyle, że ode Dniepru het zawalili ziemię jako mrówię, jako gad. Sta stu tysięcy wylało się tego ze stepów — kto to zmoże??

Wśród milczenia, począł jeden z duchownych.

— Na zgubę poszło imieniowi chrześcijańskiemu, jako stoi w piśmie! A co wolą Bożą i dopustem jest, przeciw temu człowiek mizerny nie może nic! Ruś w ręku ich cała; kneziowie służyć im muszą, a który głowy nie dał, w łykach strzemiona im podają. Mało kto z nich ocalał.. nie dają życia nikomu, prócz młodzieży, którą w niewolę na pastwę chuci bydłęcych pędzą.. Starych rzeżą wszystkich, niewiasty, mężów, dzieci.. a krew ich piją... trupy jedzą...

Sulisław słuchał milczący, i trochę oczów spuszczać rzekł zwolna.

— Toć nie mając już przed sobą nic tylko śmierć — trzeba ważyć resztę życia, aby poczciwości nie postradać. Co nas rycerstwa jest, musimy się zebrać do kupy i czoło stawić.. a ginąć to ginąć!

— Będzie nas może jeden na ich stu! — zamruczał ktoś z boku.

— Choćby jeden na tysiąc — odparł chłodno Sulisław — śmierć zawsze równa.. Albo musimy sami przeciwko nim iść, lub się z księciem Henrykiem łączyć, który pod Lignicą zbiera siły.. Oni tam pono Wrocławskiego grodu nie dostawszy, ciągną.

— A któż z księciem Henrykiem? Juści nie sam? — zamruczał siwy wąsaty.

— Garną się ku niemu wszyscy, — mówił Sulisław. — I nam iść tam potrzeba, a ginąć po rycersku. Niemieckiego żołnierza będzie tam dosyć, bo i na Niemce i na cesarza strach padł. Przez nasze ziemie oni na nich idą. Trwoga u nas, ale ogarnęła też świat cały, bo ich nie strzyma nic. Pójdą, wywrócą Cesarstwo i Rzym zawojują, przepowiedziane im panowanie nad światem.!

— Tak mówią! tak oni głoszą — z westchnieniem rzekł duchowny — ale w mocy Bożej wszystko. Kto może wiedzieć ażali się nie nawrócą, bo do nich Ojciec Święty posłał kapłanów i apostołują u nich bracia nasi, a powiadają inni, że są między nimi, co w Chrystusa uwierzyli i chrztu pragną.

— Wiatry niosą baśnie i kłamliwe języki — odezwał się jeden z koła. — Tyle teraz fałszu, iż w nim odrobiny prawdy nie rozeznac.

— Tylko to prawda, że za nimi pustynia i trupy, że się im nie oparł nikt — zamruczał inny, ruch czyniąc rozpaczliwy.

Zaczęto się sprzeczać. Jedni drugim zadawali strach i trwogę, aż wyrwał się Wierzbęta i począł na głos wołać.

— Żeleziec, chodź ino tu! Żeleziec! Ten ci był w Lubelskiem, gdy przyszli i wie najłepiej, co są.. Patrzal się na nich, niech opowie.

Zaczęli się oglądać i rozstępować wszyscy, owego Żelezca szukając pilno między sobą. Ten się podczas w drugiej kupie znajdował, już pono po raz setny prawiać, jak się z pod miecza i łyk tatarskich wyzwolił cudem łaski pańskiej. Ledwie Żelezca z pośrodku ciekawych wydobyto i ściągnięto.

Wojak to był niegdyś, stary już człek, chudy strasznie, wysoki, łysy, skóra a kości, blade, kaszlący tak, że mu co chwila tchu nie dostawało, a piersiami robił jak miechy i ręką się za nie ustawicznie chwycił.

Odzież miał na sobie poszarpaną i oplamioną, na którą mu ktoś opończę dał z miłosierdzia, a ta mu ledwie do kolan sięgała. Szedł kaszląc i spluwając, choć tak mizernie wyglądał, przecie jako tu jedyny świadek czując się drugim równy na teraz i od wielu lepszy. Dawał się prowadzić starszyźnie jakby na stolicę, a gdy wszyscy zamilkli, głowy ku niemu pozawracawszy, chrząknął, pogładził się po czole i rozpoczął.

— Już myśmy o nich, tych bestjach krwiożerczych, słuch mieli wprzódym nim nadciągnęli. Co nocy niebo gorzało. Nie chciało się temu wierzyć, co ludzie przynosili... W powietrzu smród był zgorzelizny i trupów na trzy dni przed nimi. Krucy niebo zasłaniał; nocą gdy cicho było, coś czasem przeleciało z poświstem, jakby tysiąc płaczów i jęczenie konających...

Żegnali my i księża krzyżem świętym tamtą stronę — nic nie pomogło. Z lasów popłoszony zwierz zaczął stadami biedz jak oszalały, bo puszcze gorzały... Pomyśleliśmy — przyszła ostatnia godzina. Trzeba było z chaty precz. Wzięliśmy się ładować na wozy... do lasów... na błota... Było rano. Smród i dym coraz straszniejszy, wiatr przynosił. Tętniała ziemia, ręce się nam już trzęsły...

Jedno zbawienie w las — jeżeli go nie zapalą, w głąb, za moczary.. My ładujemy tu jeszcze, kiedy za nami trzęsie się, huczy, świszczce, wyją głosy dzikie, niby wilcy głodni.. Pochwyciliśmy na ręce dzieci.. wozy rzucając, aby prędzej do lasu z życiem.

Spojrzałem ja na lewo, gdzie dolina była jak okiem zająrzeć. Ruszało się coś jakby jedno wielkie ciało szare a plugawe.. zmij.. Po nad niem opary i dym jakiś, a głos, jakiegom ja w życiu nie słyszał. Gdyby dzikich bestyj tysiąc wyło — nic! włosy wstawały na głowie. Jakby chmura padła na dolinę — nic na niej rozeznac nie było można, tylko niby ścierw ogromny, co się sunął naprzód. Przed nim, jakby nogi powyciągał z pod siebie, sznurkami wysuwały się stworzenia jakieś i ruszały szybko naprzód.

Wybiegliśmy szybko do lasu, bo się i to bestyjstwo chyżo dźwigało i peźło jako gad coraz bliżej. Co żyło z nas pędziło, drudzy padali na drodze, z sąsiedniego przysiółka ludzie tylko co się dobywać zaczęli — po niewczasie! My z żoną i dziećmi zapomniawszy o wszystkim, jakeśmy stali, w koszulach jednych.. puściliśmy się do lasu, aż na drodze z tego popłochu białogłowie tchu i sił zabrakło, z dzieckiem na ręku obaliła się na ziemię krzycząc. Obejrzałem się ku niej, bo już była o staję za mną, chcąc biedz na ratunek — o! Boże miłosierny! już było zapóźno!

Dzicz ta, co przodem przed zgrają gnała, przypadła, jeden strzał w pierś jęj ugodził, drugi dziecko moje schwyciwszy za nogi, rozdarł je w sztuki... Inni na czeladź wpadli rzeząc i nikomu nie przepuszczając.

Stałem skamieniały — bom ruszyć się nie miał siły i nie wiem, jakim cudem łaski Bożej niepostrzegli mnie.. Ocalały.. dobiełem się do lasu sam o sobie nie wiedząc, tylko krew moją niewinną, przelaną mając przed oczyma...

Jakem się ratowałem — Bóg świadek, nie wiem, nierychło oprzytomniałem.. Tak jak zwierz jaki bez myśli zbawienia życia szukałem, choć śmierć by mi milszą była! Co mnie do lasu poniosło? jaka siła? Bogu tylko wszechmogącemu wiadomo. Za sobą słyszałem wycie i ziemi trzęsienie, świst i turkot, jakby sądny dzień nadszedł, jęki i płacz, bo tam całą wieś rzeźali już i palili. Gdym za siebie spojrzał, już to czarne mrówię, wszystko na małych włochatych koniach, osmolone, z psiami pyski szerokiemi zataczało tuż pod skraj lasu. Ledwie miał czas — nie pomnąc co czynię — zwierem się prawie stawszy — kroków kilkanaście uskoknąć w głąb. Jakem się na gęstą choinę dostał po gładkim pniu, prawie do wierzchołka — Boże mnie skarz, jeżeli dziś przypomnieć mogę. — Od młodości nigdym na drzewa nie laził, nawet dla własnych barci, a ze strachu i bolu, nogi i całe ciało drżały i dygotały... opatrzyłem się zaś dopiero, gdym na rosochatych dwu gałęziach się oparł. Już dalej leżć nie było gdzie.

Tum dopiero mój popłoch i głupotę kłąc począł, bom się wrzekomo zgubił tem drzewem... Lepiej było dalej biedz w puszcze... a tu już dobijała się ta dzicz, zajeżdżała pode drzewa, poczęła stawać i mościć się.

Złazić nie było już czasu, bo by mnie łacno postrzegli. Poleciwszy więc duszę Bogu, gdym u pasa wiszący nóż zobaczył — rzekłem sobie, że gdyby mnie go brać chcieli, to go sobie w pierś wrażę, abym męczeństwa uniknął...

Psiarstwo to jednak zwijszało się na skraju, mnie dotychczas nie widząc, tylko psy duże kosmate, na nogach wysokich, które zaraz za mną nadbiegły, poczęły tropem gonić aż pod sosnę. Tu lby popodnosiły, pociągnęły nosami, łapami się pospinały i nuż ujadać.. Bóg łaskaw, że nikt na to nie zważał. One też trochę tak naujadawszy za mną, nazad pędem zawróciły, żer gdzieś czując.

Jakom tu dzień cały przetrwał, zem patrzył i serce mi nie pękło, zem nie krzyknął, a nie padł z bolu, cud jest, jak to wszystko, co się ze mną stało, jednym cudem było.

Poczęli się u lasu z wozami ustawiać, a były one, jakichem w życiu nie widział, na dwu kołach ogromnych, wysokich, ponakrywane wołokami, jakby namioty, ciągnione bawoły i końmi... W tych pół nagie baby gospodarzyły, wyglądały z nich śmiejąc się, wywijając rękami gdy rzeź zobaczyły...

A tu zaczęli gnać a napędzać naszych. O! Jezu miłosierny! arkanami za szyję połączonych, niewiasty i dziewczęta ciągnąc, bijąc pletniami. Niektórzy żywym uszy i nosy nożami rzeźli, drudzy głowy ucięte i krwawiące jeszcze na dzidy zatykali.

Tak mi Boże dopomóż, jakom widział, gdy Salmonowej dziewce piersi poobrzynali i jedli je, a drugi do krwi płynącej przycisnąwszy usta, ssał, póki nieszczęśliwa żywą była. Spędzili z Dubinek naszych całe stado pod las, na koniach za niemi gnając. Dopieroż za włosy co młodszych wyrwać poczęli na stronę i pędzić, a który się opierał, bić i kaleczyć, potem, który kaleką był, dorzynać.. W ostatku, gdy jeno starzy zostali, niewiasty i mężowie, padli na nich mieczami lby ścinając ze śmiechem na wyprzódki. Uszy zaś wprzód im poobrzynawszy, które jeden jadący w koło do wielkiego wora skórzanego zbierał.

Com cierpiał — Boże jedyny! naprzemiany płacz mi się rwał z wnętrzości, jakbym krwią płakać miał, to szaleństwo napadało, że się chciało rzucić i mścić, jednemu przeciw tysiącom — bodaj paść! Oczy mi chwilami ślepy. Śłochałem głośno, a że mnie nie posłyszeli, nie wiem jak się stało.

Prawda, że w owym tłumie gwar był okrutny i z doliny, hen — huczało, jakby ciągłym, głuchym grzmotem. Czego się moje oczy napatrzyły tego dnia.. żem nie oszalał!!

Żeleziec umilkł trochę, lzy począł ocierać, drudzy stali posępni wstrzymując łkanie. Księża płakali wszyscy. Jazdon pięść zdrową ścisnął, tak, że mu długie paznogie w mięso się wpiły i krew kapała na ramię Niusie — Pawlik zęby ściał, oczy mu się paliły jako dwa węgle żarzyste.

— Com z sobą począć miał? — ciągnął dalej Żeleziec. — Powaliłem się między gałęzmi oczy zasłoniwszy, ale co wrzask się dał słyszeć, tom musiał jakby gwałtem powieki otwierać i patrzeć. Rozwierały mi się same. W końcu i one jakby skostniały, patrzałem jak trup — niewidząc.

Zdawało mi się, nie mierzając, jakbym już nie był żyw, tylko śnił krwawo — i nie na świecie był, ale kędyś w otchłani za grzechy rzucony, szatanów mając przed sobą.

Ani bym przysiągł czy to ludzie byli, czy tylko podobne do ludzkiego lice pobrali — zwierzęty będąc, bo tam żadnej ludzkiej litości nie pokazał ni jeden... Na trupach się wylegali śmiejąc, a który nie dobity drgnął, biegli go chichocząc dorzynać i znęcać się nad konającym.

Na tem miejscu pod lasem, gdzie wszystek lud spędzili z wiosek okolicznych, aby z niego przebrać wyrostki, gdy poczęli starszych zabijać krew popłynęła strumieniami.

Jakbym widział ją jeszcze.. krew tę naszą, gdy pieniać się biegła i bąblami a szumowinami się okrywała, do której psi się zbiegali i chleptali ją chciwie. Leżały do koła poobcinane ręce i nogi. Poznawalem ludzi, com ich wczoraj żywych widział, dziś półciwrtowanych. — Siadło potem to bestyjstwo jeść i pić, jakieś mięsa surowego sztuki dobywające z pod wołoków, na których na koniach siedzieli, i jakiś napój ze skórzanych worów nalewali sobie. Baby im podawały drewniane miski z tych wozów, na których jechały, a drugie stare, na pół nagie widziałem między niemi na koniach się upędzające zarówno z mężami, strzelające jak oni, tak rzeżące jak tamci... Te uszy też obcinały trupom i żywym, innym głowy, a cieszyły się niemi nosząc i podrzucając jak zabawką.

Spędzili pod las do kupy co pobrali ludu z okolicy, rycerstwo, duchownych i chłopów, poodzieranych na pół, pokrwawionych i powiązanych, wszystką młodzież krzepką, bo innym żyć nie dawali. Ci posinieli z zimna, strachu i głodu, tylko, że się obracać mogli. Niektórzy padali i już się nie podnosili.

Najbliżej mnie wozy te ich stanęły, za którymi bym nic nie widział, gdyby nie owa sosna wysoka, na której wierzchołek się wdrapałem. Po owej rzezi i pędzaniu poczęli się na ziemi kłaść, ogień palili gdzieniegdzie, kotły stawiali i zbierali się kupkami, każdy pod dozorcą czy sotnikiem, który pletnię mając w ręku rozkazywał i ćwiczył. Zaraz za wozy temi, co jak chaty okrągłe i namioty wyglądały, leżeli jeńcy obok trupów i na nich... Dalej nieco zatoczył się ogromny wóz, o którym domyślałem się, że wodza ich musiał być, bo

poobszywany był świecidełkami różnemi i chwosty... Ale same w nim baby jechały, bo wodza onego zobaczyłem zaraz na koniu, jak drudzy przed nim padali na kolana i na twarz, a on ich siec kazał i dwu łby ściąć, na com patrzył. Sami szyje nastawili przyszedł kat i zamachem jednym postrzął im z kadłubów głowy, a ścierwa wnet sprzątnięto.

Tchnął znowu Żeleziec, a jeden z duchownych wtrącił pytanie:

— Cóżście mówili, iż do ludzi mało podobni są?

— Bom takich mord jakom żyw nie widział — rzekł Żeleziec. — Wszyscy do siebie podobni jako rodzeni, śniade, blade, na twarzy włosy mało albo i nic, policzki szerokie i wypukłe, oczy małe głęboko wciśnięte, nosy płaskie a szerokie, twarze bydlęce i straszne, zęby gdyby u zwierza kły, ostre i białe... Nie olbrzymy to, choć na koniach się zdadzą duży, bo nogi krótkie mają, przecie siła ich straszna. Widziałem jako naszemi ciskali tak, że się o ziemię rozbijali.

W głębokiem milczeniu słuchali wszyscy — szmer ustał. Żeleziec zakaszawszy się już mówić nie mógł, gdy jeszcze go słuchano.

— A jakżeż się ztamtąd ocalił? — zapytał zwracając się ku niemu Sulisław.

— Jak, i po co? albo ja wiem? — jęknął Żeleziec. — Wszystko, co się ze mną tego dnia i nocy działo, stało się nieświadomo. Ani wiem czym sobą władał, czy siła jaka obca. Oschły mi oczy patrząc, w gębie i w gardle ogniem piekło, głowa pękała. Tyłem przytomny był, żem pacierz jeden zaczynał ciągle, dokończyć go niemogąc.

Gdy mrok nadchodzić począł, nie wiedziałem czy się noc we mnie poczyna czy na świecie, czy rok siedziałem czy dzień jeden, czym żywy czy umarły. Wiatr jeszcze od ogniów ich dym precz mi pędził na las i oczy wygryzał. A kurzyło i od kotłów ich i z tych wozów, które u góry miały dymniki, przewijało się przedemną różnych, do siebie podobnych starszyny i szui mnóstwo... Niektóre ich wyrostki, okrutniejsze jeszcze od starych, pod wieczór szli jak na igraszkę do jeńców, aby ich kłuć, strzelać, dziewczęta za włosy wywlekać i pastwić się nad nimi.

Otroki te dusiły dla igraszki za szyję ujawszy młodszych... na com wszystko patrzeć musiał, aż póki ciemności nie padły. Postawili niby strażę jakieś, uczynili porządek i tuż kładli się na spoczynek... A jak surowe mięso gdyby wilcy żarli, tak i posłania im nie było trzeba. Mało który wojłok wziął pod się. Baby też ledwie płachtami pookrywane chodziły i jeździły.

Konia który za grzywę lub łeb ułapił, to już na nim siedział. Widziałem też, gdy do kruków strzelali pod wieczór co na trupy naciągnęły ze psy razem, że ich strzałami w powietrzu ubijali, nie chybiając nigdy... a potem mięso ich jedli.

Żadnej tam modlitwy ani Bożego nic nie było, tylko u wozów, gdzie wojłoki wisiały u wnijścia, poczepiane były bałwanki jakieś, którym się baby kłaniały i palce do nich przykładaly.

Jednego, co krztę napoju jakiegoś na ziemię wylał, z wielkim krzykiem zaraz za to ścięto... Drugiego wrzeszcząc baby wyгнаły z namiotu, który się napitym zdał, a znać czemś splugawił swą chatę, bo go też zaraz za karę uśmiercili.

Gdy noc padła a zimno się stało większe jeszcze, jużem czuł, że na drzewie nie wytrzymam dłużej, chyba padnę. Bestjalstwo to poczęło spać, opodał tylko niektórzy stróżowali. Wziąłem się spuszczać na dół po drzewie — więc o sęki i wystające suche gałęzie poraniwszy się i ciało do krwi podarłszy, więcejjem spadł niż zsunął się na ziemię lecąc. Myślałem, że od szelestu tego pobudzą się i wezmą mnie. Psy tylko zdala zaszczekały, a niektórzy śpiący głowy popodnosili, z wozu jednego baba też się wytknęła, a jam leżał rozbity, ruszyć się nie mając siły.

Ucichło. Las przedemną był gęsty, noc ciemna, począłem się nierychło na nogi zbierać i na czworaku pełznąć, nim się zdołałem rozkurczyć, podnieść, a na ostatek, iść — albo wlec się. A że ciemności były wielkie, o drzewam się tłukł, na korzeniach padał. Nic mnie nie bolało, ani rany com je sobie poczynił z drzewa upadając, ani guzy od stłuczenia. Szedłem, pełzałem, włokłem się niewiedząc dokąd, pókim tylko słyszał za sobą gwar ich obozowiska. Wręście niewiem kiedy i jak padłem pod kłodą pół martwy — i co się już ze mną działo, — nie pamiętam.

Gdym do przytomności przyszedł, poczułem boleści wielkie i klócia.. Całego mnie już mrówki czarne obsiadły. Chciałem wstać, alem siły nie miał, dopiero nierychło ostatek jej dobywszy ruszyłem się zgartując z siebie to plugastwo całemi dłońmi, z twarzy, z szyi,

z rąk, z ciała, bo wszędzie się już rozlaży. Nimem się otarł i wyrwał, namęczyłem się nie mało.

Szczęściem że obok woda była, choć jak lód zimna, w której obmywszy się, odzienie zrzuciwszy, potem wdziawszy je znowu, orzeźwiałem jakoś. Począłem się rozpatrywać po lesie i nierychłom poznał gdzie był... Na uroczysku Wąsoczem, z którego już drogę wiedział.

A no — gdzie iść? kędy była ta szarańcza? gdzie jej nie było? kędy uciekać??

Głód począł mnie trapić straszny, którego nie było czem ukoić. Bóg łaskaw, zębami na grzyby jakieś natrafił, którym życie podtrzymał, potem pączki młode gryząc. Same mnie nogi niosły ku Rządzinom.

Gdy z lasu wyszedłszy spojrzął na znaną okolicę, ręką załamał.

Wsi, gdzie stała, nie było śladu, kościoła jedna ściana okopcona sterczała, na polach wkoło żywego ducha. Nie zostawili po sobie nic, ino zgłiszcza. Stado krucze pokazywało kędy trupy leżały.

Dopierom nad wieczór w lesie innych zbiegów natrafił, co się nademną ulitowali. Z niemim w puszczy siedział, ażem od jednych do drugich w borach obozów włokąc się, tu dostał...

Gdy Żeleziec mówić przestał, na twarzach słuchających widać było politowanie — ale i niewiary trochę. Patrzali nań niektórzy koso, chrząkali i milczeli, drudzy po sobie spoglądali. W tem Sulisław, brat wojewody, odezwał się do bliższych.

— To co ja o nich wiem, godzi się z tem, co powiada. Co się z nim działo, Bogu jednemu wiadomo, bo mu się i w głowie pomięsząć mogło.

Ruszyli ramionami starsi. Żeleziec domyślał się może niewiary, bo się tłuc w piersi począł mocno i przysięgać, że nie inaczej mówił, tylko tak, jak się rzecz działa, z dopustu Bożego, a że mu ludzie z pełną wiary dawać nie chcieli, nie dziwował się, gdy on sam nie pewien był tego, co oczy widziały...

Ścisnęło się koło starszyny, obradować ciszej zaczęto. Rady innej nie było nad tą jedną, aby do księcia Henryka Śląskiego kupić się, bo przy nim większa siła się zbierała. Po chrześcijańsku na śmierć iść, po rycersku ginąć.

Jazdon, który słuchał narady, głowę na piersi zwiesił, pięść, którą trzymał zawartą, otworzył. Nogą, którą władał, kopnął Muchę i skinął aby go niesiono do izby, bo Pawlika zobaczywszy i Wojusza, brew mu się namarszczyła i usta skrzywiły groźnie.

III

Razem z Jazdonem, którego niewolni wnieśli do izby, we drzwiach niskich opuściwszy starca na rękach — wszedł też powołany Pawlik, a w ślad za nim Wojusz.

Stary mruknął coś niewyraźnie, lecz ludzie do tej mowy nawykli, wiedzieli, że drzwi kazał za sobą zamykać. Pawlik pozostał trochę u proga.

Wojusz śmiało, chociaż posępny szedł za Jazdonem, groźnie się oglądając ku chłopcowi.

Gdy stary legł na posłaniu, a Niucha i Mucha, ocierając pot z czoła, pod próg wrócili wodę pić, odezwał się głos dziwny, a raczej bełkotanie, które z ust na pół bezwładnych starca wychodziło.

Ci tylko, co przyzwyczajeni byli go słuchać, mogli tę mowę niewyraźną, jakby z grobu wychodzącą, ponurą, niby łkaniem poprzecinaną zrozumieć. Przypominała ona wycie jakiegoś zwierzęcia, gdy dogorywa, choć ludzką była. Połowa słów połknięta nie mogła się dobyć z tej piersi zeschniętej i skostniałej. — Gdy starzec mówić chciał, a niemoc go ta okowywała, wpadał zwykle w złość wielką, rzucał połową ciała, okiem jedynym miotał groźnie.

Wojusz stał przed nim.

— Gdzie ten niecnota był? gdzie? Jakiś śmiał na jedną chwilę z oczów go spuścić? ty! ty!

— Winienem — rzekł krótko Wojusz, — ale słuchaj, stary, — nie złość się. Ja tego twego źróbaka dłużej ujeżdżać nie myślę i chleba twego nie chcę, łaski nie żądam, pójdę ztąd precz! Dosyć!

— O! o! — zagrzmiało z piersi Jazdona — o! ty!!

Mów, gdzie był?

I pięść podniósł ku synowi. — Ten stał ledwie nie wyzywająco patrząc ojcu w oczy. — Milczał.

— Pytasz gdzie? — przerwał gniewem starego podrażniony Wojusz — a gdzież ta twoja krew szaleć miała, jeśli nie tam, gdzie mogła ludzi i bydło dusić a znęcać się albo dziewczki dostać! Bo i to mu już pachnie! Spytaj go się, spytaj gdzie był, jak konia porwał, dwóch pacholców zmusił z sobą, psy wykradł i pojechał zagrodnikowi barany mordować, trzodę rozpędzać, a w końcu sobie na koń dziewczynę wyrostka wsadził, z którą już w las chciał biedz, gdym ja naskoczył...

Jazdon drgnął, ale złość, która miała zeń wybuchnąć, gdzieś w piersi w kłęb się związała i tylko chrapanie głuche a straszne słyszeć się dało.

— Do jamy z nim, na chleb i wodę, trzymać dopóki nie powiem! do jamy. A żeby mi nad suchy chleb nie miał nic! Wiur niech stanie na straży. — Jak stoi rzucić go do jamy! wnet! — wyjąkał stary.

Pawlik żywo podbiegł do ojca.

— Nie pójdę do jamy! — krzyknął — nie! tego dość! nie pójdę!

Milczenie nastąpiło straszne jakieś, a obry dwa stojące u progu, dech w piersi wstrzymały ze trwogi.

— Nie pójdę! — powtórzył Pawlik, nabierając coraz śmiałości. Jam już nie chłystek! wąż mi się sypie! W niewoli się trzymać nie dam, na Tatary pójdę z innemi.

Jazdon ze spuszczoną głową słuchając, nie rzekł nic, Niusie tylko i Musie znak dał jakiś, wskazując syna. Zrozumieli, iż go wziąć mieli i wlec, ale ich trwoga ogarnęła, gdy Pawlik na nich rzucił młodemi, pańskimi swemi oczyma, parząc wejrzeniem jak ukropem.

Zawahali się. Stary powtórzył rozkaz nie słowem już żadnem, ale rykiem. Zadrżeli Niucha i Mucha, postąpili krok, w tem drzwi nie zaparte otwarły się i w progu ukazał się Sulisław Jaksa, brat Wojewody.

Ujrzawszy go Jazdon namarszczył brew, czoło mu się ściągnęło, nie chciał mieć świadka sprawy domowej.

Za późno się opatrzył wszakże, bo Sulisław nim drzwi otworzył, rozmowę całą podsłuchał i zrozumiał. Pawlik ku niemu się zwrócił oczyma błagającemi, jakby go sobie chciał pozyskać.

— Ojczy miły — odezwał się podchodząc Sulisław, którego rycerska, szlachetna postać mimowolnie wrażała uszanowanie — nie czas teraz krnąbrne karcieć dzieci, gdy Bóg nas tak wszystkich smaga...

Nim Jazdon miał czas wyjąknąć odpowiedź, Pawlik go uprzedził.

— Chcę z wami iść! chcę iść! Dość mi doma gnić było! Weźmijcie mnie z sobą — na miłość Bożą! weźmijcie mnie z sobą.

I ten dziki przed chwilą chłopak do ręki Sulisława przyskoczywszy, — stał się niemal pokornym.

— Dajcie mu iść ze mną, kiedy serce ma! — zawołał Sulisław.

Wojusz na bok ustąpił, nie mięszał się — czekał. Co się w starcu działo, Bóg jeden mógł wiedzieć, nie poruszał się, nie mówił, nawet jedyne oko przywarła powieka. Długo zdawał się nie dychać nawet, jakaś walka wewnętrzna nim miotana, i pół ciała mimowolnymi ruchy drgało tylko.

Sulisław smutnie a poważnie na stojącego przy sobie, proszącego o opiekę Pawlika — spoglądał...

Nagle ręka spuszczonego Jazdona podniosła się gwałtownie i opadła, wybuchnęła z gniewem.

— Bierz go! bierz...

Pawlik piorunem do nóg mu się rzucił, ale Jazdon jedyne nogą z łoża zwieszoną kopnął go tylko i nie patrząc nań, zwrócił się do Sulisława.

— Bierz go.. tego łotra.. ale na powrót!

Pawlik wstał z ziemi i cofnął się. Raz jeszcze spróbował się do ojca przybliżyć — odepchnął go Jazdon z jakąś rozpaczą.

— Ma być takim jakim był, niech lichu ginie poczestnie! — krzyknął.. — Precz mi z oczów ty gadzie! precz!

Pawlik ku' drzwiom się puścił i zniknął.

— E! e! — rzekł z wolna Sulisław — młode piwo! Kiedyż chcesz, aby w nas żywiej grała krew? Synowi przebaczyć... nie o tem myśleć teraz...

Wojusz ciągle czekał na uboczu. Jazdon spojrział nań.

— Kiedy on idzie, toć i ja z nim! — zamruczał Półkoza. — Ja tobie tu na nic, dosyć masz bab i sług, a szalonego urwisza trzeba strzedz. Kto go za łeb weźmie tam, kiedy nie ja? Na mnie się on ręki podnieść nie waży.

Gdy to posłyszał starzec, twarz mu się dziwnie zmieniła, spadł z niej wyraz surowy, rękę wyciągnął drżącą ku Wojuszowi, który podszedłszy prędko, do piersi ją przycisnął.

Sulisław przysiadł na ławie.

— Jedź z nim! — odezwał się przerywanym, niewyraźnym głosem Jazdon, — jedź z nim. Konie najlepsze bierz, zbroje najlepsze... Co jest, bierzcie. Dziesięć, piętnaście ludzi z wami, dobrze zbrojnych.. ile znajdziesz!

Mówił coraz prędeż, Sulisław mu przerwał.

— A żwawo z wyborem się zawijajcie, my tu leżeć i czekać nie mamy czasu! Dziś jeszcze ztąd ciągnąć potrzeba. Pod Lignicą na nas czekać nie będą. Przyjdzie paść to przynajmniej w kupie, ze swemi, nie gdzieś w kącie, schwytanym. Ks. Henryk i inni z nim ludzie wojenni, jeżeli się nie oprą — to już chyba nikt! ani Cesarstwo nawet...

Wojusz do drzwi się zawróciwszy spieszył, lecz te się zaledwie otwarły, gdy inni ze starszyny w podwórzku stojący poczęli do izby się wdzierać z różnemi pytaniami i potrzeby. Od tatarskich zagonów, co chwila nowe przybywały wieści, od Wrocławia i Lignicy nadchodziły gońce.

Wszyscy oni o tej strasznej ćmie najeźdźców, którą na sta tysięcy liczono, bo całemi powiatami zalewała ziemię — opowiadali toż samo, że się jej nic oprzeć nie mogło, że szła jak ogień, rwała jak wody wiosenne, jak chmura pędziła, jak burza, która wszystko niszczy co spotyka.

Ci co szli przeciwko niej, pewni śmierci kroczyli z zimną krwią rycerską, jaka przychodzi w ostatniej godzinie, gdy już żadnego nie ma ratunku, a mężowi okazać trzeba, iż go postrach śmierci nie złamie.

Czasem wspomniawszy na swą cichą zagrodę, westchnął który i stłumił wnet niechęć żal, a przeżegnał się opędzając słabości pokusę.

— Dopust Boży! — powtarzali.

Pawlik z izby wybiegłszy z zaiskrzonymi oczyma, wprost do swej komory spieszył. Drzwi zaledwie nie wybił, tak w nie się cisnął gwałtownie, na czeladź swą krzycząc. Jeszcze w progu stał, gdy Mistrz Zula nadbiegł za nim przestraszony.

— E! Klecho! — wykrzyknął ujrzawszy go Pawlik — bywaj mi zdrowy! Dosyć ty mnie nad księgami namordowałeś. Skończyło się panowanie twoje.

Ksiądz oniemiały stał i zębał się.

— Co ci to? Pawlik?

— Co mi? Klecho! otom swobodny! Na konia siadam! Rozumiesz, na konia! i wylecę raz przecie z tej obrzydłej dziury na świat! Tak!

Czeladź nadbiegła. Wnet Klechę porzucił, który stał osłupiały w progu, jeszcze się ruszyć niemogąc, tak był zdumiony tą mową.

— Konia siodłać! Zbroję dawaj! słyszysz! Szmyga pójdzie podemnie.. Was dwóch łajdaków ze mną! a zbrojcie się po uszy!

Chwycił za miecz ze ściany, który zerwał niecierpliwie razem z kółkiem na którym wisi, tuż i za zbroję porywając, rozrzucając wszystko do koła siebie jak szalony.

Pijany był — pamięć postradał nie wiedział co czynił.

Na tę chwilę nadbiegł Wojusz, do którego Zula się zwrócił, oczyma pytając go, co to wszystko znaczyć miało. Pawlik spojrział nań z ukosa, podejrzliwie, bo Sowa zaczynał czeladź rozporządzać i dawać rozkazy.

— Dziesięciu najmniej na koń, z nami. Jontek, Brzyż, Duma, Kołek...

Pawlik zwrócił się dumnie.

— Co to, z nami? — spytał — nie z nami, tylko — ze mną!

— Nie z tobą tylko z nami! — zakrzyczał Wojusz. — Tak! Jeszcze ty mi się z garści nie wyrwał! nie! Pojedziesz ale ja cię poprowadzę.

Pawlikowi z rąk wypadł mieczyk, który trzymał.

— O tak! tak! — burczał stary — nie zbędziesz się mnie łatwo. Trzeba będzie ginąć, poginiemy razem, a można będzie szaluna za uszy wyciągnąć z topieli, jeszcze się zda stary...

Pawlik się uśmiechnął, odeszła go nieco buta. Po chwili namysłu zaczął znów napędzać do pospiechu.

W podwórcach już były wydane rozkazy do drogi, odzywało się z różnych stron trąbienie, ludzie zgromadzeni tu, skupiali się, nawoływali i zwolna na podzamcze wyjeżdżali.

Niektórych dokarmiano jeszcze z neculek, pojono z wiader, opóźniali się przy nich, inni nalewali w podróże beczułki, chwyтали mięsiwo do torb, większa część z odrętwiałością jakąś szła bezmyślna, czując niechybną zgubę, nie dbając o nic.

Starszyzna jedna szła żegnać się ze starym Jazdonem, druga zmawiała się jak i kiedy ku Lignicy do księcia Henryka ciągnąć mieli.

Nie wszyscy przecie byli tak zły myśli, jak ci, co się o Tatarów już otarli. Wiedziano o wielkich siłach na Szlaku się gromadzących, i że im też czeskie posiłki w pomoc ciągnęły, krzyżacy (jak mówiono) całym zastępem z pod Prus, z Morawy książę i inni polscy Piastowicze.

Choćby mrówia pogańskiego najwięcej było, tym, co się jeszcze ludzić chcieli, nie zdawało się podobnem, aby niemiecka broń i ład tłumom dzikim nie podołały; zwłaszcza, że owe Tatary, jak Żeleziec i inni opowiadali, zbroi żadnych osobliwych nie mieli, ale liche tylko skórzane, bawole pancerze z przodu a miecze małe i kuszy żadnych, tylko łuki. Zdało się mężom okutym w żelazo, wojowac umiejącym, iż tę hałastrę, choć mnogą, znieść będą mogli i rozpędzić łatwo.

Tak sobie gwarząc serca dodawano. Inni słuchając milczeli i ramionami poruszali.

Pawlik rwał się, aby co najprędzej gotowym być, a tu mu z rąk w pospiechu padało wszystko.. Czelaź na pożegnanie rozbiegła się do dziewcząt, konie ledwie odziewać zaczęto. Wojusz nawet stary głowę straciwszy latał i kłął, nie mogąc pozbierać, co mu było potrzeba.

Pawlikowi tym czasem chłopcy zbroję rzemykami przymocowywali, ksiądz stał z załamanymi rękami. Poczciwy Klecha przywiązał się był do ucznia swojego. Szalony chłopak choć do ksiąg ochoty wielkiej nie miał, gdy go do nich i do nauki przyparto, zdolności zdradzał wielkie, tak, iż nieraz powolnego umysłu ks. Zulę w zdumienie wprowadził.

Klecha powiadał czasem, że gdyby jeno Pawlik chciał, a łaska Boża nań zstąpiła, łatwo by mógł zostać wielkim kościoła świecznikiem.

Ile razy to mówił Mistrz, Pawlik się za boki brał ze śmiechu i poświstywał, zaklinając się, że wołałby głowę stracić, niż się dać postrzydz i wdziać suknię kleszą.

— Jam się do tego nie zdał, — wołał — a gdybym pastorał do rąk dostał, byłby w rękach moich kijem i dałby się we znaki grzbietom waszym.

Pamięć chłopak miał szaloną, tak, że raz przeczytawszy lub przestłuchawszy pieśń czy modlitwę, zaraz ją powtarzał bez omyłki, i już raz na zawsze umiał. Nauczył go był ks. Zula czytać dobrze, a i pisać podczas, gdy mu ochota przyszła, potrafił tak jak najlepszy kaligraf lub skryba, wywijać około liter zygzaki i floresy, bo go to, gdy ze psami iść w las nie mógł — zabawiało. — Miał zaś naturę tak rzeźką, że do góry brzuchem nigdy leżeć nie mógł i musiał zawsze coś robić, gzić się, prześmiewać, judzić drugich, biegać, psoty wyrządzać — byle spokojnym nie siedzieć.

Wyrывał się z rąk nauczycielowi, Wojusz go też utrzymać nie mógł, ludzie co mu służyli, choć który z nich miał łaskę, wszyscy od niego cierpieć musieli, bo najmniejszego przeciwieństwa swej samowoli nie znosił.

Gdy mu który odbąknął, gotów był ubić, a w uniesieniu namiętności nie zważał na nic, w ogień, w wodę, byle postawić na swoim...

Ojciec cicho czasem mruczał skarżącemu się Wojuszowi.

— Takim ci ja był!

Trzeba go było kochać albo nienawidzić, bo umiał zarówno łaskę sobie pozyskać gdy chciał, i wrogiem zrobić czleka, a — co dziwna, większą mu pono radość sprawiało zalać komu sadła za skórę, do wściekłości doprowadzić, do szaleństwa rozlaskotać, niż się kochać kazać.

Natura była taka zjadliwa, co się cudzym bolem napawała z jakąś rozkoszą okrutną...

Ludzie jeszcze byli dzicy w tych czasach, przynajmniej ci, których religja nie czyniła namiętnie pobożnymi, wszystko przebierało miarę; wiara przechodziła w fanatyzm, męztwo w okrucieństwo, pokora we Franciszkowe splaszanie się i nędzę. — Dzieci rodziców takich jak Jazdon, dziedziczyły po nich krew wrzącą.

Znał to najlepiej piastun Pawlika Wojusz, który od dzieciństwa przy nim będąc, nieraz słowy nie mogąc mu dać rady, pięści nań zażywać musiał. Przychodziło do walki z wyrostkiem, który jak zwierzę kąsał swego dozorcę. Naówczas Sowa silniejszy jeszcze, brał na ręce rozwścieklonego i spętanego kładł na pokutę, dopóki się nie wyburzył.

Rosło to niepoprawne, tak, że z oka go spuścić nie było można na chwilę. Wojusz wiedział to i wiedział, że żadne wyrwanie się na swobodę bezkrawe i bezkarne być nie może.

Wszystkie namiętności rozwinęły się w nim bujno i przedwcześnie. Zapamiętałe gwał na łowy, na dzikie, nieujężdżone skakał konie, chłopców danych mu do posługi mordował, czeladź niewieścią ścigał po kątach bezwstydnie. Chłosta, głód, łajanie nie pomagały nic. Czasem już Wojusz z rozpaczy próbował łagodności, słów dobrych, ksiądz Zula czytał przykłady, kazania prawil. Lecz że Klecha powolny był i trwożliwy, a dziecko zuchwałe, najczęściej się na tem kończyło, że mistrzowi gębę zamknął szyderstwem bezbożnem, które posłyszawszy truchlał.

Kając mu się kazać próżno było; nie lękał się niczego, siłę w sobie czuł niezwyciężoną.

Wojusz myślał czasami że gdy się to piwo wyrobi, rycerz z niego będzie dzielny, bo był łowiec namiętny, a we wszystkich igrzyskach wojacznych bardzo zręczny. Mimo to ducha prawdziwie rycerskiego nie miał. Przykrzyło mu się myśliwstwo, gdy długo trwało, gonitwy gdy się przeciągnęły nawet koń i psy, potrzebował ciągłych zmian, aby mu smakowało życie.

Jedno tylko tkwić mu się zdało jak gwóźdź w głowie i sercu — to chęć przewodzenia wszystkim i rozkazywania. On sam słuchać nie umiał, lecz wolę swą gotów był przemocą narzucać drugim. Na gródku, gdy się jeno ukazał, ludzie uciekali, starych i młodych natychmiast brał w garść, a rozkazywał im takie szaleństwa, jakie sam popełniał.

Naumyślnie wydumywał niemożliwe rzeczy, aby czeladź dręczyć niemi. Toż samo robił z innemi stworzeniami. Oparł mu się koń, to się z nim borykał, tłukł, bił, aż najczęściej i sam się pokaleczył i jego zamordował.

Pokąsał go pies podrażniony, to go za gardło chwycił i zdusił.

Bali się go we dworze jak ognia, a mało było takich, coby śladów igraszek nie nosili na sobie.

— Rycerzem ci nie być chyba zbójem! — mrucał Wojusz.

Pawlik ramionami trząsał.

— Albo ja wiem czem będę? — odpowiadał śmiejąc się, — będę takim co rozkazuje. Mnie jedno czy z konia, czy ze stołka, czy z pod ołtarza... byłem nikogo nie słuchał, a za lby wodził drugim...

Wojusz kręcił głową.

— Biskupi też rozkazują, jak i księżęta, — mówił szydząc zeń, — łatwiej zostać biskupem niż księciem... Chce ci się widać plechy na głowie i pierścienia, a co naówczas będzie z dziewczętami, na któreś tak łasy?

Pawlik pogardliwie się uśmiechał.

— Czem ja będę? — wołał dumnie, — ani ja wiem, ani twoja głupia głowa odgadnie... To pewno, że zginąć zginę a słuchać nie myślę, bo mi karku nikt nie ugnie.

Takiego to wychowanka miał na krwawą wojnę prowadzić Wojusz, który się doń przywiązał i żał mu go było puszczać samego. Wiedział, iż ocalić go może i że zginie pewnie. Staremu już ochłap życia pozostały, nie wiele był wart, ceny doń nie przywiązywał. Śmierć lekceważył i wybierał się obojętnie na tę wojnę, pewien, że z niej nie powróci.

Jazdon przemyślał dumając, ażali już syna zobaczy, ale trzymać go nie miał siły, ani on, ni Wojusz, nikt.

Między ludźmi mógł się otrzeć i guza napytawszy złagodnieć. — Wola Boża.

Gdy Pawlik przywdzawszy zbroję, przypasawszy miecz, dumny swą rycerską postawą, która go jak dziecko bawiła, przyszedł do ojca żegnać się i do nóg mu padł, stary się rozrzewnił, milcząco go do piersi wyschłej przycisnął, zapłakał i pobłogosławił.

— Statkuj, nie szalej! — zajęczał, — Wojusza słuchaj, ja zdaję nań władzę ojca! Bóg z tobą, Bóg z wami.

Wskazał im ręką, aby odeszli prędzej, bo mu tak we łzach rozmięknąć wstyd było.

Gdy za sobą zamknęli drzwi izby i wyszli siadać na konie, już było owo rycerstwo, z którym jechać mieli, wytoczyło się z gródka na pole i szło nie czekając dalej. Pawlik wiedział, że je łatwo dogoni, a tu jeszcze czeladź chciał żegnać, która mu się, choć pobita i potłuczona — kłaniała do ziemi, mało nie szlochając...

Żał im go było.

Dalej stały u drugiego dworu białym pasem, ściśnięte w gromadę, stare i młode niewiasty, które wszystkie powybiegały patrzeć na wyjeżdżającego pana. Niektóre fartuszkami lzy ocierały. Nie mógł wstrzymać się Pawlik i choć zgroza była wielka, a Wojusz mu drogę zapierał, wyrwał się z koniem wprost na ten zastęp babi.

Jadąc śmiał się i mrugał na nie bezwstydnie.

— Słuchaj ty! mała Dońka, żebyś mi wianka nie straciła, dopóki ja nie wrócę! — krzyczał na głos — Kto ci go weźmie, łeb mu ukręcę, tak mi Boże dopomóż. Stara Rędzicha pilnuj mi jej jak oka w głowie, bo i tobie bicz plecy poskrobie...

Ty, Marusza! nie szalej też, a do parobków zębów nie szczerz... Jeszcze ja powrócę!

Niektóre się pochowały przed nim, inne śmiejąc się głowy podnosiły, on do konia się przytuliwszy, ryhotał też i znaki im dawał.

— A to srom i hańba! — krzyknął Wojusz — co by miał, psia wiara, jechać do kaplicy, żeby mu Zula choć pobłogosławił na drogę, idzie do dziewcząt, niezdarą, po błogosławieństwo! A dam ja ci, ty...

Zamachnąwszy się z koniem za nim popędził Wojusz, aby go od bab odegnać, ale Pawlik już umknął, i w drugi koniec dziedzińca poleciał. Tam w istocie stał kleryk Zula z kropidłem i książeczką, z modlitwą i łzą w oku.

Strzymał przed nim konia chłopak.

— Słuchaj, Zula! co ty tu będziesz siedział sam jeden w tej dziurze? Albo ty to dwóch rąk nie masz? Nibyś ty klecha ale nie święcony pono ze wszystkim. Na koń ci lepiej z nami sięść, niż ze starymi babami zostać, bo do młodych masz obrzydliwość! Jedź i ty ze mną! Coś ty, nie mężczyzna? a no? — jedź! Będziesz nam błogosławił po drodze i modlitwy czytał, abyśmy o panu Bogu nie zapomnieli. Zula! na koń! z nami!

Blady klecha drgnął... Głos był nakazujący jakiś, nie pozwalający, by mu się opierano.

— Zula, na koń! — powtórzył Pawlik.

Wojusz obok stojący milczał z podziwienia. Widział, że powolny klecha już się wahał i nie ledwie go był gotów usłuchać.

A Pawlik — śmiał się. Właśnie mu to robiło rozkosz wielką, iż klechę gził i stawiał go w trudnym położeniu.

— Zula, na koń! Czykor, podaj klesze wołochatego, tego co lekko nosi. To dla niego sam koń! Baba by na nim z garnkiem mleka jechać mogła, a nogi żelazne...

Z Zulą stało się coś takiego, iż gotów był już usłuchać rozkazania i zamiast w podróż błogosławić, sam się w nią wybrać. Sowa ciągle ramiony ruszał i spluwał. — Na przekorę jemu chłopak nalegał.

— Zula, jedź! Przynajmniej z tobą dusz nie pogubimy, o Bogu nie zapomnim, a padniemy, będzie komu *Requiem* zaśpiewać.

Dwie swory psów i klechę — dodał zuchwale — muszę z sobą wziąć.. to darmo.. Nie pojedę bez nich...

Wojusz buchnął łajaniem.

W tem stała się rzecz niepojęta, klecha jakby rażony nagle myślą jakąś, zawołał, aby mu dano opończę i poszedł do konia.

Rzekł stanowczo:

— Jadę!

Widząc to pacholkiwie śmiechem parsknęli. — Wojusz się gniewał. — Zaczął burczeć.

— Jedną tylko gębą więcej! Ciemność będzie! klecha się podbije i zostanie gdzie...

Lecz w mgnieniu oka Zula już był odziany, agendkę do kieszeni kładł.

— Tak — rzekł — słuszna rzecz, Boga wam przypominać będę, zdam się. Chleba nie odjem wiele.

Postawiwszy na swoim Pawlik, zdawał się już o to nie wiele dbać. Odwrócił się od księdza, który z tyłu pozostał.

Konia ściągnął chłopak, po podwórcach butnem rzucił okiem, jakby je żegnał i nim się Wojusz opatrzył w czwał puścił się za bramę... Za nim konie czeladzi, nawykłe go ścigać, wyrwały się jak szalone, nie było ich strzymać.

Wojusz i Zula musieli doganiać. Stary Półkoza kłął:

— Bodajeś karku nakręcił!

Z tym szaleńcem nie można było inaczej.

Rycerstwo z Jaksą Sulisławem już, dobrze się od gródka odbiwszy, wjeżdżało w las i ogon tylko pochodu widać było w dolinie, gdy Pawlik z wrót wyskoczywszy, gonić począł jak szalony.

Po koniu i po nim znać było, że się z długiej niewoli na swobodę wyrwali. Zamiast jechać wprost na ludzi, Pawlik począł kęgami wywijać po dolinie na złość Wojuszowi, sadząc przez rowy i opłotki. Psy za nim, czeladź za niemi. Harce się niepotrzebne zawzięły, a Sowa piersi zrywał wołając opamiętania.

Zula, którego koń nosił, trzymał go z sił całych nie mogąc powściągnąć, aż zdawszy się na wolę Bożą, dał szkapie szaleć jak chciała.

Nagle Pawlik zerwał swojego i stanął jak wmurowany, wyprostował się i jechał stępią...

Poplątawszy się chwilę, wszyscy zdyszani zaczęli się przy nim i za nim ustawiać. Wojusz dopadłszy lajał i kłął w niebogłosy... Chłopak śmiał się.

Jechali tedy już po ludzku, naprzód krok za krokiem, aby się szkapy wysapały, potem klusem, by dogonić Sulisławowych, którzy się mieli czas oddalić.

W lesie przed niemi słychać było nuconą przez wojsko pobożną, starą pieśń do Bogarodzicy.

Jeden bowiem Pawlik może jechał tak rozszalały, reszta wszystka smętna była i poważna. Wiedzieli, że niosą życie na ofiarę za wiarę, kościoły, rodziny i domy...

Każdy jechał na śmierć się sposobiać.. Obawiano się, aby z niewielkim oddziałem zdążając ku Lignicy, nimby się z księciem Henrykiem połączyli — nie wpadli gdzie na zagon tatarski, któremuby ze słabą garścią opierać się nawet nie mogli.

Trzeba więc było lasami się przedzierać, śłać na zwiady przodem, aby bezpiecznie się prześliznąć. Rzadko gdzie dzicz tatarska, i to tylko popłoszona, zapuszczała się w gąszcze i lasy.

Nawykli do stepów najezdniczy, czuli się w polu bezpieczniejszemi.

Sulisław mądrze swoich prowadził. O Tatarach też wieści łatwo było dostać. Szli, prawda, i spadali na nieopatrne ziemie, kędy się ich nie spodziewano, lecz poprzedzali ich łuny i dymy, a małemi oddziałami nie wyrwali się naprzód.

W lasach też wszędzie spotkać było można tych, co pospieszyli uchronić się przed nawałą. Zbieg był najpewniejszym znakiem zbliżania się dziczy. Spustoszenie, które ona niosła z sobą, rozciągało się na mil kilkanaście w koło, lecz pasem szło, szerokim szlakiem, jedną wielką ławą — a co zbieżało w czas, ocalało z żywotem...

Dla tego po owych najezdach tatarskich, morderczych i strasznych — klęski były niezmiernie, straty niepowetowane, ale się kraj prędko odżywił, bo więcej zawsze uratowało się zbiegając, niż padło.

Gdy z małą swą drużyną Pawlik nareszcie się z oddziałem Sulisława połączył, trafił w nim zaraz, na niemal tak młodego jak sam był rycerza, do którego — śmiałym będąc zawsze — natychmiast się zbliżył, podjechał i zagadnął go poufale jako brata po mieczu.

Był to mężny, sławny już z niejednego rozgłośnego czynu Janisław, młodzian urodziwy, pięknej postawy, w którym widać było rycerskie męztwo, ale razem statek i powagę, nad wiek może. Nadrabiał miną, aby się starszym wydał.

Pawlik mu dość w oko wpadł, domyślił się w nim kto był, bo już po wojsku rozpowiadano, że syn Jazdona miał się do nich przyłączyć. I, jak zawsze, dwie natury sprzeczne ku sobie ciągną, Janisław ten, co z karności sływał, upodobał sobie warchoła.

Pawlikowi też nikt miłszym być nie mógł nad takiego jednolatka, z którym mógł być jakby z bratem.

Poczęli rozmowę, naprzód o koniach, bo Tatarów w głowie nie miał syn Jazdona, a był im bardzo wdzięczny że mu do wyzwolenia z domu w pomoc poszli.

Miał i ten przymiot Pawlik szalony, że gdy o myślistwie albo o koniach rozpowiadał, niestworzone rzeczy lubił wymyślać. Śmiał się z tego sam, bawiło go, gdy ludzie się zdumiewali i sarkali. Poważny Janisław dał mu się tem rozrywać.

A że reszta oddziału srodze była posępna, Pawlik zaś pustował i śmiał się, wszyscy się za niemi oglądali, radzi temu, że im jeszcze ktoś trochę wesela przyniósł do ich czarnego smutku.

Radzi mu byli jakoś, że on jeden serca nie stracił, co drugim go dodawało.

Niemal do nocy, jadąc przy nim, gdy mu się gęba nie zamykała, Janisław więcej słuchał niż mówił. Aż gdy już ku spoczynkowi noclegowemu się zbliżali i zaczęto obozowisko wytykać, z którego przed świtem ruszać mieli dalej, nowy towarzysz rzekł do swobodnie poczynającego sobie Pawlika.

— Patrzajcie no, abyście gdy na spoczynek zatrąbią, nie szaleli, bo z naszym panem Sulisławem igrać nie zdrowo... Słuchać potrzeba i patrzeć skinienia.

Pogroził mu nieco.

— Słuchać? — powtórzył oniemiały na chwilę Pawlik, patrząc mu w oczy ciekawie.
— Słuchać! No! ciury juściż powinni tchu słuchać, ale my??

Janisław uśmiechnął się doń łagodnie.

— My tu wszyscy ciurami — rzekł, — gdy władza przy jednym. Ktoby się ważył na co przeciw woli wodza, łeb mu zetną jako nic.

Pawlik brało za żarty, poruszył ramiony... i, stanęli na nocleg w lesie obozem...

IV

Klasztor w Krośnie ledwie mógł pomieścić gości, którzy doń szukając schronienia zbiegli z Trzebnicy.

Księżna Jadwiga, po Henryku Brodatym wdowa, pobożna pani, której życie upływało w najsroźszej katowni własnego ciała a posługach najpokorniejszych siostrom zakonnym i ubogim, pani, która już na pół duchem była w niebiesiech, a po ziemi szła zdając się jej nie czuć i nie tykać, przybyła do warowniejszego Krośna, ciągnąc za sobą kilkadziesiąt sióstr Cystersek, swój dwór cały i tych trzynastu ubogich, na których nędzy i chorobach uczyła się bezmiernego miłosierdzia.

Uchodziła ze swej Trzebnicy, z pięknego klasztoru, od swego drogiego kościoła i szpitalu, z tych miejsc, które na jej skinienie wśród trzęsawisk i moczarów jakby cudem murami się okryły — nie dla własnego bezpieczeństwa, bo męczeństwo dla niej upragnionem było, ale dla tych sióstr swych, co z trwogi marły w Trzebnicy, modlić się nawet nie mogąc i Boga chwalić.

Napróżno tę ich lekliwość karcąc surowo, księżna Jadwiga przypominała im, że bez woli Bożej włos nie spada z głowy człowieka, a przed wyrokiem Bożym żadna warownia nie obroni, lekliwego ducha siostry błagały ją tak, że w końcu, litując się im księżna wszystkim, co Trzebnicę zaludniali, ruszyć kazała do Krośna.

Tu świeżo wzniesiony klasztor dla klarysek, przyjąć ich musiał i dać schronienie męskiej pani z jej trwożliwymi towarzyszkami.

Jej jednej w najstraszniejszych życia próbach nigdy spokój nie opuścił, na który patrząc truchleli ludzie, tak do nieczułości i odrętwienia był podobnym.

Nigdy łza niepostała na jej licu, chyba, gdy rozgorzała na samotnej modlitwie; nigdy jęk się z jej piersi nie dobył.

Tego czasu księżna Jadwiga była już chodzącym posągiem świętej.

Wychudła, wybladła, woskowo-żółta niewiasta, w jednej zawsze sukni wełnianej na włosienicę narzuconej, bosonoga zimą i w lecie, z poranionymi stopy — jak cień jakiś dzień i noc snująca się po korytarzach, po kościele, po barłogach najwstrętniejszego ubóstwa, którego plugawe rany całowała z rozkoszą — żyła już tylko jakimś cudownym nadziemskim żywotem.

Nie miała nigdy spoczynku, nie znała łoża, nie siadała do stołu, żyć się zdawała niczem, krwią własną, siłą woli. Nocą znajdowano ją w kościele na extatycznej modlitwie, dniem albo wymiatającą śmiecie klasztorne, lub całującą ślady sióstr i pijącą wodę, w której się myły.

Pokora jakaś okrutna nad sobą, nadawała jej majestat dziwny.

W twarzy tej zastygłej, martwej, nieporuszającej się niczem, oczy zaiskrzone, śmiałe patrzyły tak, jakby człowieka aż do wnętrza duszy jego na wskroś przejrzeć mogły.

I miała tę moc, że go widziała w istocie. Nie jeden raz przychodzącą zakonnice, gdy oczyma zmierzyła, dobyła z niej, o czym Bóg jeden mógł wiedzieć.

— Idź ztąd — mówiła do strwożonej — idź i spowiadaj się z tego ciężkiego grzechu, którym obrzemieniona tu przychodzisz.

Zawstydzona grzesznica uciekała zasłaniając oczy, rażona tem jasnowidzeniem cudownem.

Gdy Henryk Brodaty, mąż jej, z którym już oddawna nie żyła, nawiedzał ją w Trzebnicy, a zapytywał o śmierć swoją, westchnąwszy radziła mu, ażeby nie wyjeżdżał z Lignicy.

Pomimo przestrogi, udał się książę Henryk do Krośna i tam nań śmierć przypadła.

Nim jej o zgonie jego wiedzieć dano, wiedziała już o nim, ale gdy klasztor rozległ się płaczem i żalem po dobroczyńcy swym, poczęła karcieć siostry surowo.

Sama nie wylała łzy jednej.

— Należy się zgodzić z wolą Bożą, a nie szemrać przeciw niej i wyrzekać — mówiła spokojnie.

Widok zwłok męża nie zmienił tej żelaznej bezlitości pobożnej a strasznej, bo ona w niej ludzkie wysuszyła serce.

Patrzano z trwogą na tę istotę błogosławioną, której śmierć sama zatrwożyć, ani poruszyć nie mogła.

Z tego wyrzeczenia się wszelkiego uczucia ludzkiego nic ją wyrwać nie zdołało; nie była już żywą niewiastą, ale cieniem z drugiego świata wygnanym na ziemię.

Miała litość w sercu ale tylko nad temi maluczkiemi a nędznemi, którzy swą nędzą spadli już na ostatni szczebel dzielący zwierzę od człowieka.

Trzynastu takich nędzarzy, pokrytych rany obrzydliwemi, krostawych, brudnych, ropiejących, połamanych, miała przy sobie zawsze na wyprobowanie chrześcijańskiego miłosierdzia. Tych ona sama wybierała sobie najpoczwarniejszych, najwstrętliwszych, najdzikszych, wespół oszalałych, aby od nich i przez nich jak najwięcej cierpieć mogła.

Tych trzynastu kaleków obchodziło się z nią bezlitośnie, wiedząc, że im wszystko wolno było.

Ludzie ci, albo raczej potwory, znęcali się nad świętą niewiastą, która od nich z rozkoszą znosiła wszystko. Im więcej ją dręczyli, tem szczęśliwszą była.

Wszystka ta gawiedz potworna, na wozach, jak najdroższy skarb księżnej, do Krośna za nią przewiezioną została.

Tuż u drzwi klasztornych musiała mieć tę wrzawliwą gromadę dobrocią jej rozzuchwalonych bab i dziadów. Dla nich szło najlepsze jadlo, okrycie najdroższe, napój najczystszy, gdy ona sama żywiła się tem tylko, co wstręt obudzać mogło.

Oprócz tego osobliwszego dworu, wiodła z sobą księżna Jadwiga synowę, nieszczęśliwą a zbolalą niewiastę, żonę Henryka Pobożnego, matkę kilkorga dzieci, której mąż właśnie się przygotowywał w Lignicy na odparcie dziczy tatarskiej.

A gdy Anna zalewała się łzami o mężu myśląc, kamienna święta matka, zawczasu już widziała, że syn jej polegnie śmiercią męczeńską i synowej nie czyniąc żadnej nadziei — powiadała jej.

— Zabiją go! zabiją! Ty stracisz męża, ja syna, ale umrze święcie za wiarę chrześcijańską, w walce z pogany i odkupi krwią grzechy swoje.

Bezlitośnie, okrutnie, nie szczędząc synowej ni siebie, powtarzała te słowa mieczowe, wprost je miotając do jej serca.

— Tak jest, Anno! padnie mąż twój, padnie syn mój, a nam się go oplakiwać nie będzie godziło. Łza grzechemby była.

Taką była Jadwiga wyschła od postów, z poranionemi od mrozów i chodzenia po kamieniach nogami, z ciałem od chłost codziennych popadanem — ubłogosławiona za życia, lecz nic już ludzkiego nie mająca w sobie.

Czczono ją też jak świętą, lecz na widok jej nie miłością a trwogą napełniały się dusze.

Dorównać jej nie mógł nikt, wstydić się musiał każdy — spojrzenie napełniało strachem.

Był dzień wczesnej wiosny, zimny i wietrzny. Księżna, która i tej nocy do snu się nie kładła, spędziwszy ją na modlitwie w kościele, gdy rano wyszła ku dworowi swemu, rzekła obracając się do kapelana swego Lutolda i komorników.

— Patrzajcie, aby na stół była strawa gotową, bo tylko nie widać Henryka, który tu nadbieży z Lignicy.

Przytomna synowa księżna Anna stojąca za nią, zbliżyła się w rękę ją całując.

— Matko kochana — zawołała żywo i rumieniec na twarz jej zbladła i zmęczoną wystąpił — matko! mieliście więc posłanie od Henryka?

Księżna Jadwiga potrząsała głową.

— Posłaniec niebieski powiedział mi na modlitwie, iż go tu dziś widzieć będziemy! Tak, przybędzie tu raz jeszcze po błogosławieństwo moje, na pożegnanie z tobą.. raz ostatni — —

Spojrawszy na synową zachodzącą się od płaczu, zamilkła ks. Jadwiga, ale twarz jej smutna zawsze, przybrała wyraz surowy.

— Nie płacz że — dodała sucho — nie godzi się przeciwci woli Boga, ani żalować tych, co idą ku niemu do wiekuistej światłości.

Księżna Anna nieśmiejąc odpowiedzieć, stłumiła łzy swoje.

Przepowiednia przybycia radośna walczyła w niej ze straszną wieszczbą śmierci, w której niechybność wierzyć się nauczyła.

Nieporuszona temi łzami, które łkanie zdradzało, księżna Jadwiga poszła wedle zwyczaju do ubogich... Izby u furty dla nich wyznaczone, niskie, ogrzane i okadzone — pełne były dzikiego, niesfornego gwaru. Wybrańców tych księżnej żadna siła poskromić nie mogła, czuli że tu panami byli.

Izba przedstawiała obraz wstrętliwy i ohydny.

Na posłaniu ze słomy do koła leżeli ludzie z nieludzkiemi twarzami, ranami okryci szpetnemi, z narościami, które ich twarzom i głowom nadawały potworne, niebywałe kształty.

Zaraz u drzwi leżący, kijem wywijając kłócił się wszetecznemi słowy człek z okiem wysadzonym z powiek, ogromnem, sinem, sterczącem jak szyszka.

Był to najzuchwalszy z nich — krzyk jego, a raczej wycie namiętne, rozlegało się po izbie. Dalej na przemiany w lachmanach brudnych i kosztownych płachtach przez księżną darowanych, które się wśród śmiecia z niemi tarzały, — leżeli garbaci, chromi, okryci trądem śliznącym, ranami ciekącemi, ulubieńcy księżnej.

Wszystko to rwało chciwie z mis stojących między niemi, piło z kufłów drewnianych i rozzuchwalone waśniło się, wyrazy plugawemi i sprośnemi w oczy sobie rzucając.

W chwili, gdy się otwarły drzwi, a księżna stanęła w nich z dwiema towarzyszkami, ulubioną Rasławą i Pianozą — syknął jeden z ubogich, i nagle nastąpiło milczenie. Nie trwało ono długo, wrzawa nastąpiła straszniejsza jeszcze.

Bliżsi drzwi wyciągając ręce poczęli za szaty chwytać wchodzącą, która się ku nim z kolei dobrotliwie pochyliła — drudzy przywoływali ją ku sobie. Nie unikając zetknięcia z niemi, szukając go księżna szła zwolna lubując się widokiem tego cielesnego plugastwa, które dla niej wszystką świata marność i brzydotę uosobiło.

Tu na tej męczarni oczów i oddechu, wśród tych wyziewów choroby i zgnilizny było jej najlepiej, tu uczyła się pogardzać skorupą życia, tu nie spotykała ani zwodniczego wdzięku, ani uroczej młodości, ani tego, co świata kusi ponętą. Tu się jej usta nieco uśmiechnąć umiały, nawet niezdatnym wyrazom tych istot potwornych, które uszanować jej nie nauczyły się.

Dwie towarzyszki księżnej szły za nią strwożone ale posłuszne, na licach ich widać było obrzydzenie, wstręt do tej rozpasanej zgrai.

Drgały i bladły, a gdy spowiednik księżnej opat Gunther otworzył drzwi wołając, iż książę Henryk przybywa — odetchnęły lżej, bo księżna iść musiała na powitanie syna, które dla niej ostatniem było żegnaniem. Żywym oglądać go miała, a widzieć martwym w duszy.

Orszak książęcy nadciągał właśnie. — Był on nie wielki ale świetny. Nie ustępował blaskiem ani okazałością żadnemu z najwspanialszych niemieckich książąt, a cudzoziemski miał pozór i był w istocie prawie z samych obcych złożony.

Rycerstwo już na śmierć przeznaczone, jakby po raz ostatni wystąpić chciało pańsko, świeciło całe zbrojami polerownemi, hełmy pozłocistemi, przepaskami jedwabnemi, pasami sadzonymi i łańcuchy.. Sam książę Henryk miał na sobie płaszcz fioletowy sobolami podbity, zbroję misternie rysowaną, a na głowie szyszak zamknięty, którego wierzchołek zdobił czarny orzeł rozpięty.

Mężka to była postać i ojca przypominająca, z twarzą ogorzałą wyrazu dumnego, z wgardą jakąś na ustach, z wielką siłą we wzroku.

Za nim jechali dobrani doń, dorodni, butni towarzysze broni, przednich rodów niemieckich i ślązkich mężowie, wszyscy niemal tego co i książę wieku, lat dojrzałych, ale jeszcze trzymający się dzielnie i młodzieńczo.

Na widok matki jak najuboższa zakonnica odzianej, bo Jadwiga tylko w razach, gdy obcych przyjmowała, lepszy płaszcz ciemny na ramiona sobie narzucać kazała; — Henryk wzruszony z głową spuszczoną pośpieszył ku niej.. Za nią stała z zapłakanemi krwawo oczyma ks. Anna, żona jego, której się uśmiechnął smutnie.

Skłonił się do kolan matce, która rękę położyła na głowie jego i razem z nią weszli wewnątrz klasztoru.

Rycerstwo księcia Pobożnego, choć samo też pobożnem było, a o płochości teraz myśleć nie miało czasu — przecież do młodszych zakonnic, które z za furty ciekawie wyglądały, uśmiechać się zaczęło.

Takie to były — czasy. Z jednej strony surowość bezlitośna, z drugiej namiętności ludzkie niczem się poskromić nie dające, wrywające z żelaznych oków, jakie na nie wkładano. Nie za jedną też nowicyuszkę tej najsroźszej reguły ręczyć by trudno, by się zapłoniona rycerzowi nie uśmiechnęła nawzajem. Tem gorętszą była potem modlitwa.

Księżna za sobą wiodąc w milczeniu syna, który żonę trzymał za rękę i po cichu szeptał coś do niej, weszła do małej komnaty, w której obcych zwykła była przyjmować. Nie była to ta cela, w której się biczowała i noce trawiła czasem na twardem z desek posłaniu, gdy znużenie już jej się na nogach utrzymać nie dawało.

Tu jeszcze księżnę poznać w niej było można po bogatym sprzęcie, gdy w celi swej jako zakonnica uboga mieszkała. Tam wisiały tylko krzyże, obrazki patronek, Maryi Magdaleny, Katarzyny, Tekli, Urszuli — i lampki gorejące przed niemi.

Jak zwykle, księżna Jadwiga nigdy nie wypuszczająca z ręki małego z kości słoniowej wyobrażenia Matki Boskiej, które z sobą ciągle nosiła — zbliżyła je naprzód do ust białych i pocałowała, nim do syna mówić zaczęła.

W tej praktyce pobożnej czerpała jakąś siłą. Wychudłe jej palce, kości skórą powleczone — z namiętnością obejmowały, ścisnęły ten wizerunek Matki boleści. Ona sama była nią też w tej chwili, ale ból okrywała chłodem, tak, że oko ludzkie dostrzec go nie mogło.

Rozmowa toczyła się, jak zawsze, po niemiecku.

— Przybyłem po błogosławieństwo wasze — westchnął książę Henryk. — Dzicz z pod Wrocławia, którego dobyć nie mogła, ciągnie na nas na Lignicę — czekamy na nią. Na Dobrem Polu rozstrzygną się losy nasze, a może — dodał książę — i całego chrześcijańskiego świata, a pewnie tej całej ziemi naszej stojącej otworem.

Księżna słuchała całując wizerunek Matki Bożej i nie przerywając synowi, oczy jej patrzyły gdzieś daleko, zdawała się go nie widzieć.

— Pięć silnych oddziałów — ciągnął dalej syn — postawimy przeciwko nim, mąż w męża dobrani ludzie.. każdy z nas przeciw temu gadowi, jeden na dziesięciu ustoi.

— A ich jest stu na jednego z was — zawołała księżna Jadwiga. — Widzą ich oczy moje, widzą! Jest ich mnogość wielka, nieprzeliczona, tak, że gdybyście zgnetli jej połowę, starczy drugiej, by was pochłonęła.. Plaga to niebieska.. karanie Boże za grzechy... Umrzecie musicie za wiarę waszą, aby krew zmyła winy...

Księżna Anna słuchając matki, zanosić się z płaczu zaczęła — surowe wejrzenie jej zmusiło łyż połknąć.

— Nie zwyciężycie ich! nie! — mówiła powolnie. — A jakżebyście mogli, Henryku mój, tam pobić nieprzyjaciela, na tem Polu Niedobrem, gdzie — w piersi się uderz — ty, z własnym niegdyś walczyłeś bratem?

Tak było w istocie, na polu pod Lignicą w krwawej walce potykali się zwaśnieni Henryk z Bolesławem, rodzonym swym. Usłyszawszy to wspomnienie, drgnął książę.

— Nie mogłem uczynić inaczej, — zawołał — wyzywam był!

— Lecz walczyłeś z bratem i nie o sprawiedliwość, ale o panowanie marne, o ziemię tę lichą, której na grób tak mało potrzeba, a dumie waszej zawsze jej nie staje do syta. Więc dziś, gdy o życia swe i za sprawę świętą, bić się będziecie — poginiecie! bo taki jest — sąd Boży!

— O, matko moja! — jęknął Henryk, którego głos powtórzył się w piersi żony.

— Wyrok to nie mój a Boży! — chłodno odparła Jadwiga całując pobożnie wizerunek — ja go tylko wam zwiastuję, abys ty i rycerstwo twe wiedziało, że na śmierć idziecie, żebyście się pojednali z Bogiem, wzięli błogosławieństwo kapłana, tak jak ja wam moje daję...

To mówiąc ręką, w której trzymała posążek, krzyż zakreśliła nad schyloną głową syna i usta jej cichą jakąś poczęły szeptać modlitwę, którą łkanie tylko księżnej Anny, spartej na ramieniu męża i płaczącej — przerywało...

Henryk stał z twarzą smutną, ale mężką. Przepowiednia ta może godziła się z przecuciem jego, chociaż po cichu starał się uspakajać żonę.

Przypomnienie tej krwawej rozprawy z bratem pod Lignicą, serce mu boleśnie ścisnęło.

— Mamy — odezwał się, chcąc rozmowę odwrócić — mamy rycerzy niemieckiego zakonu z sobą i polski oddział nadciągnął niepośledni.. Morawianie też przyjdą i Czesi. Wszystek lud dorodny i mężny.

Księżna Jadwiga potrząsnęła głową.

— Stu na jednego i więcej ich będzie — rzekła — nie zmożecie! Stoi w piśmie, iż przyjdzie lud ze wschodu, który chrześcijaństwo wytrzebi, aby ono może zakwitło bujnie na pognoju ludzkich ciał i grzechów.

Wartli ten świat i ten wiek, aby nad niemi miał Bóg miłosierdzie? — dodała wzdychając ciężko. W grzechach brodziemy, brniemy w nich. Usty wyznajemy Chrystusa a sercami ciało miłujem, pruchno i zgniliznę! kto z nas godzien miłosierdzia?

— Ty, matko kochana! — zawołał książę Henryk przejęty — ty! I gdyby Bóg, jak stoi w piśmie, dla jednego sprawiedliwego gród był gotów ocalić, czyż dla cnót twych nie powinienby nas uratować?

Z groźnym krzykiem oburzenia przerwała mu matka.

— Nie bluźnij! Azali wiesz, ile ja grzechu na duszy mej noszę? ile słabości — ile plam, których pokuta zmyć nie może??

I pocałowała obrazek gorąco.

— Inne są sądy Boże a sądy ludzkie, bo On na serca patrzy, nie na twarze.

Książę Henryk spuścił głowę smutnie. Milczała modląc się księżna stara.

— Ciało posilić trzeba, — odezwała się po przestanku, słysząc dzwonek, który się odzywał zdaleka. — Tam dla was już stoi przygotowane jadło... Idźcie więc, a ja do kościoła muszę...

Zawróciła się prędko ku celce swój, księżna Anna ujęła męża pod rękę i wywiodła go z sobą do izby jadalnej, która po za klasztorem żeńskim dla gości była przeznaczoną. Tu towarzystwo księcia Henryka znajdowało się czekając nań.

Osobny stół zastawiony był dla książąt na podwyższeniu. Siadła przy nim księżna Anna posługując mężowi, który mimo smutku i złych wróżb, znużony drogą, chciwie poczał głód zaspokajać.

Inni też przy stołach zasiadłszy chwyтали już z mis i z drewnianych naczyń mięsiwa.

Uczta była więcej klasztorna niż książęca, a życie wówczas nawet po dworach pańskich dostatnie bardziej niż wykwinne. W dzień powszedni mięsiwo, polewka, kasza, składały całą zastawę, w post ryby i mączne potrawy. Piwo stało przed panami, wino przed księciem, woda obficie.

Całe prawie towarzystwo, gdy głośniejszy odzywać się zaczęło, okazało, iż wcale nie straciło ducha. Była chwila zwątpienia, gdy Ślązacy sądzili się osamotnieni, teraz przy nadciągających posiłkach nabrali otuchy.

— Hej! — odezwał się Henno z Rohrsteinu, — nie dziw, że to chłopstwo pogańskie Ruś pokonało, bo tam nigdy dobrego oręża i sprawy wojennej nie było. U nas w Niem-

czech inaczej jest. Pogańska wojna wszędzie jedna, dość popatrzeć, jak krzyżacy prusów motłochy rozpędzają i Litwę gonią a mordują kupami... Ta hołota zbroi nawet nie ma.

— Kilku ich zabitych nasi ludzie pod Wrocławiem widzieli, — rzekł drugi. — To bydło i nie rosło nawet, chuderlawe, mizerne, tylko zuchwale na śmierć idzie. Z przodu ledwie cokolwiek okryci są, a pospolity lud ledwie w lachmanach, na pół goły.

— Zbroje nasze pewnie coś warte, — odparł zdala zasłyszawszy zasepiony książę Henryk, — ale liczba też znaczy! Liczba nie jest bez wagi. Nie zmogą nas, jeden przeciw drugiemu stojąc, ale zasypią i zduszą...

— O! o! Bóg przecie z nami! — ozwał się jakiś głos z cicha.

— A grzechy nasze przeciwko nam, — wtrącił duchowny, który siedział w końcu stoła. — Gdyby nie one, bylibyśmy zwycięzcami w Palestynie i odzyskalibyśmy grób Pański a ziemię Świętą, przecież i tam Pan Bóg nie chciał błogosławić orężowi naszemu dla grzechów i przestępstw naszych... Saraceni precz wyganiają Franków, z tych miejsc, które już zajęli...

— Cesarz by nam przyszedł pewnie w pomoc, rzekł książę Henryk, bo niebezpieczeństwo i jemu grozi, gdy nas zmogą, ale ten jest we Włoszech zajęty.

— I Krzyżacy niepewni — szepnął jeden z rycerzy. — Obiecują się oni przybyć do nas, ale wątpię czy staną w słowie, bo im ze Świętopelkiem na Pomorzu wojna grozi, a poganie, których tylko siłą ponawracali, bardzo się burzą.

— Nie odbierajcież sobie serca! — odezwał się książę. — Wola Boża! Stanie się co on postanowi, my nasz obowiązek spełniemy.

Rozmowa ciągnęła się tak niebardzo ochoczo przy stole, bo choć ją kto na weselszy ton nastroił, wnet drugi posępniejszą nutą chmurzył czoła.

Już poczynała czeladź misy uprzątać, gdy pacholę księcia Henryka wpadło wołając od progu:

— Do Miłości waszej, goniec przybył z Lignicy!

Drgnął Książę, wszyscy przytomni ku drzwiom się zwrócili, niektórzy z ław wstawali, ciekawi i niespokojni, bo się dobrego poselstwa spodziewać nie mogli.

W całej sali poruszyło się wszystko... Księżna Anna ręce w górę podniosła i zakryła niemi oczy. Książę Henryk posunął się ku drzwiom, pomyślał trochę i gońca przywołać kazał.

Ten stał niedaleko za progiem cały zbłocony, ślaniając się od zmęczenia, oparty o ścianę. Nie potrzebował mówić, bo z twarzy jego czytać mógł każdy, że był posłańcem Hiobowym.

— Książę Mieszko wysłał mnie tu.. — rzekł osłabłym głosem. — Tatarzy już ciągną, ledwie czas W. Miłości powrócić do Lignicy!

Zagony już codziennie bliżej ukazują. Wstrzymało ich to tylko, że gwałtem grodu we Wrocławiu chcą dostać. Wszyscy błagają, abys W. Miłość powracał, bo bez Was w pole nie wyjdą.

Książę usłyszawszy to, z krwią zimną i energią wielką zawołał natychmiast:

— Na koń! na koń wszyscy!

Zła wieść zdawała mu się dodawać męztwa.

Mówiąc to spostrzegł, iż żona o stół się oparła, ażeby nie paść, podtrzymał ją słowem i ręką.

— Na koń! — powtórzył raz jeszcze — i wypadł z jadalni.

Rycerstwo syknęło się z wrzawą i szczęką precz z izby, nie czekając już na księcia, który szedł zwolna, ledwie wlokącą się za sobą, prowadząc żonę.

W mieszkaniu księżnej matki nie znaleźli jej, poufne jej służebne Katarzyna i Demunda milcząc na kościółek wskazały.

Stał on pusty, gdy z żoną wszedł do niego książę Henryk, posępny dzień jeszcze ciemniejszym niż zwykle czynił wnętrze. Jedna lampka paliła się przed wielkim krucyfikssem na ołtarzu. Księżna Jadwiga, bosa jak zawsze, klęczała na kamieniach zimnych z podniesionymi do góry rękami wyschłymi, modląc się duchem nie ustami. Oczy jej pływały we łzach, ale twarz wybladła promieniała uniesieniem, jakby z tego krzyża czarnego, na którym wisiał Chrystus, spłynęło na nią świeżo słowo pociechy. Zatopiona w sobie nie-

usłyszała kroków syna i synowej. Musieli stanąć za nią i czekać, nie śmiejąc jej przerywać modlitwy. Księżna Anna uklękła i płacząc modlić się też zaczęła.

Książę Henryk stał zadumany, tylko ręce złożyły mu się jak do modłów. We wnętrzu kościołka cisza panowała uroczysta, a przez drzwi otwarte od podwórza niekiedy wpadał odgłos wrzawy, gdyż towarzysze księcia gwarząc i wykrzykując, co prędzej koni dosiadali.

Księżna matka padła nareszcie u stopni ołtarza, całując ziemię z taką gorącością, jakby na niej świętych jakich stóp chciała uczcić ślady, podniosła się, zwróciła i przeżegnawszy a ucałowawszy trzymany w ręku wizerunek, zaczęła syna powoli prowadzić od ołtarza ku drzwiom. Lice jej promieniało natchnieniem, ona sama wydawała się ubłogosławioną.

— Idź, synu mój — mówiła — idź. Wybiła godzina ofiary! Bóg cię woła! Idź i nieś życie twe za świat chrześcijański, albowiem u trupa twojego stanie wał i fala, która miała świat zalać i pochłonąć — cofnie się potop krwawy, i chrześcijaństwo ocaleje! Idź, męczenniku mój, którym ja dumna jestem, po wieniec i koronę twą! Idź! Nie będą po tobie płakać oczy moje! ani serce moje, albowiem wybrany jesteś i błogosławiony. Idź w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Księżna Anna płakała ciągle, tuląc się do mężowskiego ramienia. Stali w progu kościoła. Dotąd nieporuszony książę Henryk schylił się drząc do nóg matki, łza mu błysnęła w oku. Nie mówiąc nic, żonę ucałował w czoło, ta z uścisku ostatniego puszczać go nie chcąc, uwiesiła mu się na szyi i księżna Jadwiga ujęła ją słabemi na pozór rękami, aby oderwać od męża.

— Niewiasto małego serca! — rzekła, — nie stawaj mu grzeszną miłością swą na drodze, nie odwódź go od przeznaczenia, nie kuś go łzami.. Niech idzie! niech spieszy!

Henryk stał jeszcze, gdy w podwórzu wpadł posłaniec drugi od Opolskiego księcia.

— Tatarzy ciągną! — wołać począł z konia. — Wszyscy wodza wołają. Przybywajcie!

Na głos ten, któremu rycerstwo wtórowało okrzykiem zapалу razem i trwogi, książę spojrział już tylko na żonę, na matkę i skoczył na konia, stojącego przed nim. Chłopię podało mu strzemię, drugie małą tarczę, którą u siodła przywiesił.

Zdjął hełm żegnając kościół, matkę, żonę i cały oddział z łoskotem ogromnym rzucił się z podwórza cisnąc we wrota. Czeladź klasztorna i niewiasty, zanosły się od płaczu.

Księżna Anna zmożona żalnością wielką, jak stała padła na stopniach kościoła i rękami oczy zakrywszy płakała. Księżna matka jak posąg stała wryta, nie uroniwszy łzy, z oczyma w dal wlepionymi, jakby tam, gdzieś, widziała więcej niż ludzie wszyscy, — przyszłość całą, krew co się przelać miała i chwałę, co z niej miała wykwitnąć.

Po niebie gnały się szare obłoki jakimiś krwawymi blaski z dołu zarumienione, — niby krew też przelaną, przelać się mającą, zwiastując. Wiater pędził je z tamtej właśnie strony zkąd lała się owa czerń mongolska na nieszczęśliwą tę ziemię. W powietrzu, mimo wichru, brak było, czemby pierś ludzka swobodnie odetchnąć mogła. Wszystkim zatruty wyziew jakiś tamował tchnienie, gryzł i szarpał spalone gardła.

Klasztorna służba długo niemogła odejść od progu, patrzyła osłupiała na tę garść ludzi, która pędziła drogą wprost na śmierć wiodącą!

V

Na wieży kościoła Panny Maryi w Lignicy stali oknem wążkiem rozpatrując się po okolicach, książę Henryk Pobożny, Mieczysław Opolski, Bolesław Morawski od poplątanej mowy Szepiółką zwany i Sulisław Jaksa brat krakowskiego wojewody, stali i patrzali niemi.

Widok, jaki na skraju doliny nad Nissą mieli przed oczyma, na chwilę myśli im odjął i mowę.

Tam, czerniały pola szeroko zasypane jak mrowiem czarnem tłumem, którego ruchy ledwie się ztąd dostrzedz dawały.

Wśród tego całuna olbrzymiego, co się po ziemi rozścielał, wznosiły się słupy dymu, wiatr ztamtąd przynosił wycia jakieś i huczenie głuche.

Wiało trwogą i groźbami ku Legnicy.

— Siedzmy tu zamknięci w wałach i murach — odezwał się ponuro książę Mieczysław — to jeszcze ze wszystkiego najrozumniejsza.

Przecie ani połowy ich niebyło w Krakowie, tych co się u Ś. Jędrzeja obronili tej nawale i wziąć nie dali.

W polu — —

Nikt mu nie odpowiadał, wszystkich oczy wlepione były w tę potworę leżącą na widnokregu, która dziś, jutro do stóp grodu przypęcznać miała.

Książę Henryk po namyśle obrócił się ku niemu.

— Nic, — rzekł — lepsza wyjść i z tą czernią się rozprawić, niż opasany tu się męczyć i dusić, wystawionym na szyderstwo. Mężom po mężku stanąć przystało, a choćby i ginąć. —

— Mamy wiadomość pewną, że król Wacław za dwa dni nadciągnie, — począł bełkocząc niewyraźnie Szepiółka — czekajmyż na niego.. Silniejsi będziemy...

— A któż ręczy, że brat Wacław zastraszonej tą powodzią nie cofnie się? My próżno się wyczekawszy nań, głodni i słabsi na duchu, będziemy musieli iść sami. Krzyżacy obiecani nas zawiedli, Wacława nie jestem pewny.

— Mistrz zakonu miał przyjść tam z całą siłą, — rzekł Mieczysław, — a przysłał nam, jak na urągowisko kilku braci i knechtów garść lichą, bez której byśmy się obeszl!

Milczeli znowu zadumani.

Książę Henryk sparł się o mur, wychylił głowę, popatrzył i dał znak schodzenia z wieży pierwszy wstąpiwszy na drabinę, która wiodła do górnego piętra.

Za nim ze spuszczonej głowy, milcząc, zwolna zchodzić zaczęli drudzy.

Od kościoła do zamku było niedaleko. Tu na dziedzińcach, w ulicach, na placach, wszędzie wśród wałów tłumy ściśniętego w szczupłym ich obrębie rycerstwa stały wyczekując niespokojnie rozkazów.

Henryk Pobożny nabrawszy mocnego postanowienia, by na nikogo nie czekając, stanowczą stoczyć walkę, wpadł do wielkiej izby na dole, do której za nim wtoczyli się wszyscy.

Twarz jego, nigdy nie tracąca rycerskiego wyrazu siły i energii, teraz zdawała się podwójną potęgą przekonania napiętnowana. Brew miał ściągniętą i usta zaciśnięte dumnie.

Inni patrzali nań jak na tego, któremu wyrokować przystało; — mniej pewny siebie Szepiółka był zmieszany i podrażniony. Opolski dumiał zasępio, Sulisław nieco na uboczu stanąwszy czekał, rozglądał się do koła.

Książę okrążył wielkimi idąc krokami do koła, stół stojący w pośrodku sali. Kroki jego śmiałe i pewne rozlegały się, mówić zdając równie wyraziście jak jego słowa, iż niezmiennie już powziął postanowienie.. Zgadywano iż chciał Bogu się poleciwszy, stanąć do walki. Zwrócił się do Mieczysława dłoń mu podając.

— Bracie — rzekł — wystąpię przeciw nim jutro. Każdy dzień zwłoki nas wycieńcza. Zamek nie starczy żywności dla tylu ludzi — w piersiach męztwa przebrać się może, gdy mu wystygać damy... Idźmy!

Słowo to wyrzekł głosem podniesionym, z tak silnym i głębokim wyrazem przekonania, tak nakazująco i stanowczo, z męstwem tak wielkiem a ufnością w siebie, że wszyscy niem porwani, odezwali się jednogłośnie z zapalem.

— Idźmy!!

Było to stanowcze słowo, nie wahał się już nikt, nie rozprawiał, nie przeczył. Pierwszy ruszył się z miejsca Sulisław do swoich iść i wydać na jutro rozkazy.

Książę Henryk klasnął w dłonie i przywołał Roścysława, komornika swego, który go prawie nigdy nie odstępował. On i Jan Iwanicz, drugi przyboczny księcia sługa, oba w sile wieku, mężowie dorodni, straż przyboczna — natychmiast się w progu ukazali.

— Na jutro się gotować — wszystkim! Wydajcie rozkazy! — rzekł książę. — O świcie u Panny Maryi nabożeństwo i spowiedź — potem — ciągniemy!

Przeżegnał się i ręką w powietrzu zakreślił, jakby mieczem zamachnął.

— Dać hasło na jutro! Noc została do spoczynku i przygotowania.

Posłuszny wyszedł natychmiast książę Mieczysław do swoich ludzi w podwórce, spiesząc z podobnymi rozkazami.

Szepiółka zawahawszy się w ślad za nim pociągnął.

Rościsław spełniwszy zlecenie księcia, powrócił spieszenie ku niemu, gdyż książę Henryk znowu wydawał rozkazy.

— Patrz, Rostek — odezwał się do niego z przymuszoną wesołością — co jutro przyniesie jeden Bóg wie, w którego rękach losy nasze, dziś powinniśmy być dobrej myśli. Nie potrzeba jadła i napoju oszczędzać. Daj rozkaz piwnicznym i tym co warzą, aby nam

wieczerzę ostatnią zgotowali jak należy dla tych, co jutro... już może jeść nie będą. Nie żałować nic, ani dla rycerstwa co tu ze mną siedzie, ani dla tych co indziej wieczerzać będą.

Rękę położył na ramieniu Rościsławowi.

— Każ, by mi było po książęcemu, po królewsku, bośmy tego wszyscy godni. Ostatnie sobie sprawmy gody, niech nam nic nie żalują! A stołów przymnóżcie, abym sam nie był i w dobrem otoczeniu zjadł pożegnalną wieczerzę...

Rościsław skłonił się, uśmiechnął do pana rękę jego ucałował i wybiegł spiesźnie.

Zamek i okolica wieczora tego wyglądały, jakby walka za chwilę rozpocząć się miała. — W ruchu niezmiernym było wszystko, ludzie wśród wrzawy i ścisku ledwie się porozumieć mogli. Jeden ostrzył pospiesznie miecz na lada toczydło, drugi strzały liczył i próbował ich ostrza, inny obuch nasadzał krzepko, — inni konie opatrywali.

Czynność wszędzie widać było pospieszną, gorączkową.

— Jutro! jutro! — powtarzano spotykając się...

Kościół stał ciągle otworem. W tym wieku wielkiej swawoli i pobożności nie mniejszej — cisnęli się wszyscy do ołtarzów, bo każdy miał kamień na sumieniu. Szukano księży, aby od nich błogosławieństwo uzyskać, duszę oczyścić, wręście dostać coś może, relikwię jaką, pobłogosławiony krzyżyk, medalik, talizman któryby od śmierci ochronił, albo od cięższego nad nią kalectwa i niewoli.

Po domkach rozsypani żołnierze od bab brali różne węzły i ziela, które również obraniać miały.

Wierzono również w cuda jak w gusła i czary. Byli nareście i tacy, co niewiele dbając o życie, używali tym czasem dostatku napoju i mięsiwa, którego im dodawano obficie — tyle jak skazanym w przededniu stracenia.

W orszaku pana Sulisława Jaksy złożonym z przedniego krakowskiego rycerstwa i ziemian innych okręgów, nie mniejszy ruch panował. Oddział ten cały miał swe osobne obozowisko, ku któremu ciągle z innych taborów goście napływali. Tu też najhuczniej było, najochotniej, najwesелей.

Pawlik ze swemi, klechą Zulą, Wojuszem i czeladzią wojenną, wprosił się był do mieszczanina, który mu izby świetlnej dość przestronnej ustąpił, ale ta nie starczyła nawiedzającym, bo syn Jazdona częstował z taką szaloną, rozpasaną szczodrobliwością, tak wesoło, iż się tu wszyscy cisnęli.

Wabił ku sobie ludzi, dodawał serca, ochotę wielką budził, tak że wszyscy lgnęli do niego.

Pierwszy raz w życiu panem będąc, mogąc trochę po swej woli wygadać się, wyśmiać, z ludźmi swobodnie drażnić — zażywał tego chłopak tak, że Wojusz ciągle go musiał hamować. On go ani już chciał słuchać.

Popierali młokosa nowi przyjaciele, nie było rady.

Do pustego śmiechu wszystko mu powód dawało, ludzie, miejsce, słowa i ruchy. Niemiłosiernie szydził z tych zwłaszcza, którzy o jutrze mówili z obawą lub powątpiewaniem. On najpewniejszym był, że Tatarów pobiją i pola zaścielą trupami. Ta buta gniewała Wojusza, a gniew jego ją pomnażał. — Zula z agendą chodząc modlił się, zżymał na swawolnika, a że mu przeszkadzano do modlitwy, często się aż na podwórze wysuwał. Tu mu też nie lepiej było, wrzawa młokosa i niepokój o niego ciągnęły go na powrót. Po chwili zjawiał się we drzwiach i niemogąc w ścisku wytrzymać, uciekał znowu.

Wojusz siedział na ławie o stół się podparłszy a głowę położywszy na ręku. Co raz to na młokosa zerknął, i ramiona mu się trzęsły.

A Pawlik dokazywał.

Zmierchało już. Sulisław, który na wieczerzę do księcia Henryka miał prawo z sobą wziąć kilku przedniejszych, przez pamięć na ojca, przysłał po Jazdonowego syna, aby mu towarzyszył. Wojusz go samego puścić nie chciał, lecz młokos szybko na się wdziawszy suknię co najlepszą, miecz co najpiękniejszy przypasawszy, wyrwał się nie pytając. Byłby mu uszedł, gdyby stary silną dłonią nie ujął go za poły i nie przymusił iść z sobą.

Choć Wojusz tam miejsca mieć nie mógł, gotów był bodaj z tyłu stanąć za chłopcem, aby go w danym razie od szaleństwa jakiego powstrzymał.

Wielka izba na dole w zamku wypełniała się jakby na uroczystość jaką zbierającemi się gośćmi. Na twarzach ich widać było pogodę, jaką daje męzkim duszom nieunikniona

konieczność. Chmurzą się i marszczą czoła, póki na dwoje głosować, na obie strony chylić się można, dopóki trwa losu niepewność; — gdy raz wyrzeczono słowo, naówczas umysł mężki z niem się godzi, śmiało patrząc w oczy temu co nieuchronne.

Tak teraz było z ludźmi wahającymi się przed godzinami niewielu. Książę Henryk pogodny był i spokojny, — on co posiłków króla Wacława czekać nie chciał, i drudzy z niego jak z wodza czerpali nadzieję zwycięstwa, odwagę do walki nierównej.

Szepiółka patrzył nań jak w tęczę, potakiwał mu jakby sam siebie chciał przekonać. Mieczysław poprawiał długich włosów, usta zacinał, głową potwierdzał co mówiono. Sulisław pomny mężnej śmierci swego brata, poległego w walce z Tatarami, nie chciał onieśmiać innych. I jemu dodawała otuchy mężna rezygnacja księcia Henryka.

Inni zapomnieli może o jutrze dla tego wieczora, który się wesoło zwiastował.

Izba trochę niska, ale przestronna, oświecona pochodniami, które czeladź u ścian stojąca trzymała, przedstawiała obraz ruchomych światel i cieni, pełen wyrazistych sprzeczności. Jedne postacie oblewał mrok gęsty, gdy drugie świeciły w pełnym blasku, iskrząc się swymi kruszcowymi ozdoby, płonąc barwami jaskrawymi, połyskując złotemi bramowaniami.

Gdziegdzie wychylała się z mrocznych cieniów głowa napiętnowana rycerskim wyrazem mężstwa, zbladła twarz zawiądnętego starca, jakby z szarego kuta kamienia, lub kwitnące lice młodzieniaszka, jeszcze coś w sobie niewieściego mające.

Światło pochodni drgające poruszało i suwało cienie, które po ścianach i ludziach przechodziły, osłaniały ich, spadały, nikły i powracały. Czasem świeżo otarta, gorętszym światłem zapłonęła pochodnia i jedną część obrazu pomarańczową barwą oblała, — inne przygasając i dymiąc, miękkimi oblekały półcieniami postacie.

Mienili się w tych światłach zmiennych ludzie i twarze do niepoznania; nikli jedni i występowali drudzy.

Duchownych kilku zbliżka otaczało księcia. Jeden z nich, gdy Henryk miejsce miał zajmować, stanąwszy począł modlitwę i stołu błogosławieństwo. Nigdy jej może rycerstwo nie słuchało tak cicho, nie powtarzało tak pobożnie. Każdemu przychodziła myśl, wróci on się jeszcze do spokojnego stołu, do rodziny, — pod strzechę! Ten pokój domowy zdawał się teraz stokroć droższym, nieopłaconym skarbem. Śmierć niczem była, ale zwycięstwo takiego wroga, ale niewola w pętach tej dziczy, o której srogości i barbarzyństwie opowiadano tyle — ścinały krew w żyłach.

Stół był, jak książę przykazał, zastawiony obficie, pańsko... Całe pieczenie olbrzymie domowych i dzikich zwierząt, stały na deskach wyziewami mięsiwa izby napelniając. Ogromne misy cynowe i srebrne, mieściły potrawy z mąki, sera, kasze z przyprawami różnemi. Dzbany i kubki nie dawały dojrzeć gości, tak gęsto między niemi stały, a do góry się podnosiły.

Książę, który pragnął umysły rozweselić i wlać w serca otuchę, kazał i grajków zawołać, którzy u drzwi poczęli na gęślach i skrzypicach ochocze zawodzić pieśni. Nie była to zbyt głośna muzyka, biesiada gęszyla ją, rozmowy — lecz i taka trochę wesela budziła. Nazajutrz zamiast niej, mieli wrzaski tatarskie posłyszeć.

Brzmiała dziwnie, jakby wesołą jej być kazano, a smętną być musiała. I co zabrzękła raźnie, rozkwiliła się tęskno i płacziwie.

Choć gospodarz pilno chciał uniknąć wszelkiej o Tatarach mowy i o tem co się w nieszczęśliwym kraju działo, — niepodobieństwem było spętać tak myśli i słowa, aby nie potrafiły czemś o tę stojącą za wrotami rzeczywistość, która już do nich pukała. Gdy nadeszła noc, wszyscy widzieli z wałów na ogromnej przestrzeni porozpalane ognie tatarskie, nad niemi unoszące się, kołyszące krwawe dymy, poszarpane w kłęby ogniste.

Wiedziano, a przynajmniej tak naówczas opowiadano sobie, że Mongołowie w szczególnej czci ogień mieli, że przezeń oczyszczali wszystko, posłom do nich wyprawianym przez ogień przechodzić kazali, różne u ognisk odprawiając obrzędy i czary.

U stołu książęcego siedział podżyły już rycerz, wielce bywały, co się do jego dworu przybłąkał, a niegdyś w Syrii wojował i widział tam Saracenów, a był gościem u Templarjuszów, w ich Castrum Peregrinorum. Ten o wojnach z niewiernymi prawić umiał, ale to co o nich powiadał, nie godziło się wcale z obyczajami Tatarów, i z obliczem ich nawet.

Rycerz ów, Bertrand imieniem, zachował pamięć o niewiernych niemal dla nich przyjaźną — tak, że nań z podziwem, gdy rozповідаł swe przygody, patrzano. Lubił sławić ich szlachetność w boju, bogactwo i piękność ich zbroi, obyczaje rycerskie. Za złe mu to miano, ale z zajęciem słuchano.

I tego dnia rozpoczął on dłuższą powieść o oblężeniu Damietty. Nie znalazł jednak tak ochoczych słuchaczy, jak dni innych, przerywano mu, a książę Henryk nie dając ucha obcemu, Sulisława, który nieopodal siedział, spytał co słyszał od swoich o sposobie wojowania Tatarów.

— Miłoścywio panie — rzekł Jaksza — wiemy to od Rusinów i od naszych niedobitków, że u nich w liczbie cała siła. Pędzą też nawet przodem niewolników kupami, aby na nich pierwsze strzały nieprzyjacielskie padały. Jeżeli w natarciu gwałtownym nie zwyciężą, uchodzą, ale gonić za nimi zdradna rzecz, bo na zasadzki wiedzą i do koła opasują.

— Stara to sztuka! — odparł książę Henryk.

— Ale się ona zawsze powodzi, — rzekł rycerz Bertrand. Widząc uchodzącego wroga, zapomina się o niebezpieczeństwie, puszcza się na oślep.

— Najrzadsza to rzecz w zaciętym boju, krew zimna, — ozwał się książę — a najpotrzebniejsza. Mieć męstwo i nie szaleć, to prawdziwa sztuka.

Mówili niektórzy o tatarskiej broni.

— Strzały puszczają gęsto — dodał Sulisław, — chmurą one lecą, ale rzadko która utkwi w zbroi. Mają też obuszki i o jednym ostrzu miecze, krzywe i proste, a gorsze niż niemieckie. Zamiast tarczy, skórzane napierśniki z przodu. Na głowie też żelaza mało. Ale bawolich skór ich w kilkoro zbitych, ani łuk, ni kusza nawet bełtem nie przebije.

— Mają słuszność — wtrącił Bertrand, — ci co ich do plagi Bożej tajemniczej porównywają, szarańczą zwanej, na której skrzydłach napisano, iż zesłana jest za karę na ziemię. Tak oni też chmurą lecą, tak pola okrywają, tak wyglądają plugawo i jak one, co napadną gryzą aż do ścierwa.

Gwar coraz stawał się większy. Pawlik, który w końcu stołu siedział między Niemcami, rozmówić się z nimi nie mogąc, płatał im psoty minę strojąc na swój wiek do zbytku poważną. Wojusz nieopodal stojąc go pilnował.

Skarcić nie było jeszcze za co. Jeden z Niemców zagadał doń swym językiem. Pawlik, który go nie rozumiał, rażno mu odpowiedział, ale belkotem przez się stworzonym, a do żadnej mowy niepodobnym.

Niemiec zdziwił się mocno temu językowi obcemu sobie, zagadał powtóre i odpowiedź dostał jeszcze dziwniej brzmiącą.

W przekonaniu, iż to język przecie ludzki jakiś być musi, Niemcy między sobą sprzeczać się zaczęli o to, jaki by był. Czuli, że nie polski, bo z tego dźwiękami i wyrazami byli oswojeni.

Pawlik trwając przy swem, niekiedy im, twarz układając poważną, po kilka słów najosobliwiej wykręcanych dorzucał — tak, że wszyscy się ponachylali ku niemu.

Stanęło na tem między Niemcami, że mowa ta być musiała jakaś przyniesiona z południa, lecz do zrozumienia trudna. Tyle było Franków różnego rodzaju i Italów ze swemi dialektami, iż się to prawdopodobnem zdało.

W pół wieczery rozmowa ogólna ożywiła się bardzo, a goście na gromadki podzielili. Pawlik nie mając z kim mówić w bliskości, wyrwał się z ławy, na której siedział i poszedł krążyć do koła stołu, przysłuchując się rozprawom, szukając nowej zręczności do splecia psoty jakiej. Wojusz nie spuszczał go z oka i krok w krok chodził za nim.

Tak się naprzód zbliżyli ku Sulisławowi, potem do księcia. Henrykowi twarz zuchwała młodzieniaszka wpadła w oko, skinął nań, aby poszedł.

Śmiało przystąpił doń Pawlik. Z twarzy poznał księcia, iż Polakiem być musiał, i złą polszczyzną zapytał go kto by był.

— Jestem syn Comesy Jazdona z Przemankowa, — odparł chłopak rażno, — przybyłem tu z panem Sulisławem, pragnę się dorobić rycerskiego pasa.

Nie pokryta jeszcze puchem młodzieńczym świeża twarzyczka młodo bardzo wyglądającego chłopaka, uczucie jakiegoś politowania obudzić musiała w księciu. Żal mu się zrobiło tego dziecka, które tak zawcześnie na śmierć szło z takim w obliczu weselem i rzekł przyglądając mu się z uśmiechem.

— I ty się więc z nami na wojnę wybrałeś?

— Wyprosiłem się u ojca, bo gdy drudzy idą, niegodziło mi się doma pozostać — zawołał Pawlik nie spuszczać oczów.

— A siłyż ty masz? — niedowierzająco odparł książę.

Uśmiechnął się syn Jazdona. Mieczyk miał u pasa, który mu się właśnie pod rękę nawinął. Niewyjmując go z pochew podniósł nieco, ujął w obie dłonie, pocisnął i złamał.

To była jego odpowiedź na książęce pytanie. Potem z pańską butą, złamany nóż odczepił i choć bogato był okowany, rzucił go od siebie precz, stojącej z pochodniami czeladzi pod nogi.

Książę Henryk rozśmiał się wesoło, pokazując go siedzącym obok siebie. Ci głowami potrząsali wpatrując się w niego ciekawie.

— Kiedyś tak silny a ochotny do probowania się i zapasów, — rzekł książę — stań że jutro z Rościsławem i Janem Janiczem przy mnie. Rad patrzeć będę na spotkanie się wasze w pierwszym polu.. Niech Bóg szczęści.

Skłonił się Pawlik radośnie zarumieniony — choć Wojusz zdala stojący syknął. Nie było już na to rady. Wiedział stary Sowa, że przy księciu stać, było to na największe narażać się niebezpieczeństwo, bo Henryk tam musiał być zawsze, kędy bój wrzał najsroźszy.

Nic nie dorównywało radości Pawlika, który zdawał się w oczach urastać i nadymał się okrutnie. Buty mu przybyło jeszcze.

W tem opodal u drugiego stołu zanucił ktoś pieśń niemiecką i wszyscy zwróciwszy się doń przysłuchiwać zaczęli. Henryk tylko namarszczył się, bo to był śpiew miłosny a dość płochy i chwila na nucenie źle dobrana. Dano jednak dokończyć ów Minnelied, a książę po ostatniej strofie odezwał się głośno, iż jeżeli śpiewać chciano, przystało tylko pobożną lub rycerską, jaką pieśń zanucić.

Do tego jednak nie przyszło, a gwar coraz większy powstawał. Książę przepijał do sąsiadów, zachęcając ich.

— Dobrej myśli bądźmy — mówił — jako prawi rycerze.. Serca sobie zagrzewajmy, aby i w rękach silniej krew płynęła.

Zmagano się na wesołość — ale myśli odbiegały ku domom. W pośród żartów i śmiechu, ten i ów, szepnął nowinę o zniszczonych klasztorach, o miastach leżących w gruzach, o Sandomierzu i Krakowie, o liczbie jeńców pędzonych w niewolę.

— Nasz książę — wtrącił Sulisław — dzięki Bogu, ocalony. Niechcieliśmy tego, co nam najdroższe ważyć na niepewne losy, musiał do Niemiec uchodzić, bośmy dlań sił dostatnich nie mieli.

— Lepiejby był zrobił — zabełkotał niewyraźnie Szepiołka, spozierając ostro na Sulisława, — żeby był żonę do Węgier wyprawił, a sam przybył do nas. Pobożny pan — dodał — to prawda, a ona, dosyć rzec, że Jadwigi siostrzenica, ale do rycerskiej sprawy za mało pochopny.

Sulisław ujął się gorąco za pana swego.

— On radby był iść, wrywał się nam — rzekł, ale myśmy go nie puścili. Żył jeszcze brat mój podówczas, gdyśmy go na Węgry zmusili. Zamkowi krakowskiemu niebyło co dowierzać, a w polu stanąć samym nie mieliśmy z czem...

Nikt już nie odpowiedział na to. Książę Henryk poruszył się z miejsca swego.

— Czas — odezwał się — bodaj północ blisko! Rozejdźmy się wypocząć trochę, by wstać rzeźwieszemi o świcie.

Ręką skinął ku swym gościom.

— Dzisiejszej nocy mało kto snu zakosztuje, — odparł Szepiołka powstając.

Poczęli się ruszać inni, lecz powoli. Niemców dużo przy kulkach zostało. Pawlik też z wielkiej niecierpliwości wcale się kłaść nie chciał do snu. Z sali wyszedłszy pospieszył do Rościsława i Jana Janicza, oznajmując im o rozkazaniu książęcem, a prosząc aby go do orszaku przyjęli. Biegł potem do chaty, a za nim Wojusz niespokojny.

Tu, choć dobrze na noc już było, po drodze uzbierawszy towarzyszków, Pawlik nie słuchając starego, naganiającego do spoczynku, swawolę na nowo rozpoczął. Niebyło sposobu dzbany mu poodbierać, ani gości rozpędzić. Rozległy się piosenki wcale nie pobożne, których słuchając nieszczęśliwy klecha, zmuszony już w izbie na posłaniu zostać — uszy sobie zatykał.

Tak noc przeszła prawie cała.

W miarę jak się ku ranu zbliżało poważniały lica, ruch w całym obozie zaczął się dawać czuć coraz żywszy. Niektóre oddziały już za wały wyciągały.

Tym czasem co przedniejsze rycerstwo do kościoła Panny Maryi spieszyło, do którego się już docisnąć było trudno. Światła płonęły w wielkim ołtarzu, a ksiądz jeden nieustannie klęczących obchodził z komunią świętą. Drudzy duchowni tu i owdzie poprzysiadawszy na stopniach, w ławach, stojąc nawet spowiadali przychodzących żołnierzy, prawie wyznań ich nie słuchając, rozgrzeszając co żywiej, bo drudzy tuż z płaczem i błaganiami naciskali się i wprasali.

Thum wlewał się i wylewał nieustannie z kościoła, msze jedna wychodziły po drugich, zaczynało świtać. — Kwietniowe noce krótkie już były.

Rycerstwo ks. Henryka szykowało się do boju, wedle jego rozkazów, on trwał na modlitwie jeszcze.

Języka miano pewnego, że Tatarowie na pięć kup byli podzieleni, więc i książę Henryk na tyleż chciał swoich ludzi rozłożyć.

Szykowali się żołnierze zwolna, bo wielu z nich jeszcze przy kościele na wiatyk oczekowało, a tego nikomu odmawiać się nie godziło.

Z wieży kościoła panny Maryi, postawiona na niej straż, dawała znać co widziała. Tatarzy już się z legowiska ruszali. Można było ztąd nawet rozeznąć ich niby pięćcioro kup oddzielnych, a po nad nimi powiewające płachty jakiegoś, niby chorągwie.

Zdala wiatr czasem przynosił jakby głuche wrzaski... Dzień się zdawał na pogodę wybierać, lecz rannych chmur jeszcze nie mogło rozpędzić słońce. Starszyzna się na koniach tu i owdzie zwijając napędzała i stawiała do szyków...

Ks. Henryka na placu nie było jeszcze, tylko u wrót kościelnych czekał nań przyboczny oddział jego z Rościsławem i Janiczem, a Pawlik z niemi.. Niemców stało już siła na koniach pookuwanych w żelazo, poodziewanych w koszule druciane, w hełmach ciężkich, na których rogi, trąby, skrzydła i ptaki różne sterczały.

Każdy z tych mężów zbrojnych tak pięknie, zdawał się niezwykłym. Cóż mogły przeciw nim strzały? co mogły choćby i tatarskie miecze? konie nawet zbrojami od nich obwarowane były.

Na polu coraz się ludu roilo więcej, a ks. Henryka nie było jeszcze.

Modlił się długo u stopni ołtarza, nie trwożąc ale czerpiąc coraz mężniejszego ducha. Duch matki zdał się wstępować w niego i wlewać mu męztwo wielkie.

Od ołtarza ksiądz staruszek siwy, skończywszy obdzielanie hostją, błogosławił do góry podniesionym kielichem — chyliły się głowy, robiła cisza, książę Henryk w piersi uderzył, wstał...

Za nim wszyscy ruszyli się z kościoła — godzina była już późna, słońce wstawało.

Cisnęli się za nim ci co jeszcze modlili, gdy w samym już progu stojący książę usłyszał trzask jakiś nad głową swą i kamień z górnego muru nagle spadając legł u nóg jego, tak że kęs szyszaka, który książę wkładał, potracił¹. Książę Henryk cofnął się na krok, zbladł trochę.

Pawlik, który tu też stał i patrzył na to, pół głosem odezwał się wesoło.

— Dobra wróżba! kamień padł a nie obraził pana naszego. Czartowska moc go cisnęła, a o Bożą opiekę się rozbiła! I ta, co nas tam czeka w polu, bezsilną będzie...

Książę usłyszawszy to smutnie się uśmiechnął i wdzięcznie spojrzął na śmiałka. Kamień zgruchotany upadkiem, wielki jak spory bochen chleba czarnego leżał u nóg jego — potracił go ze wzgardą, zszedł z proga i konia kazał podawać.

Kto żyw, pośpieszył za nim.

Na tak zwanem Dobrem Polu nad Nissą szykowały się zastępy.

Pierwszy, który się już był naprzód wydał i był gotowym, gdy książę go oglądać przyjechał, składała różna drużyna, zbierany lud, rycerstwo ze stron wielu nadbiegłe, niemców na przodzie dosyć, którzy tu rej wodzili, Bertrand stary co był pod Damiettą i tak o jej oblężeniu rozprawiać lubił, stał tu także.

Nierówno zbrojny tu był żołnierz i nie jednaki, a że niewiele się go zebrało, przybyli też górnicy ze Złotogóry, lud silny, krzepki, zahartowany, ale zbrojny więcej we młoty

¹Historyczne. [przypis autorski]

i obuchy niż w oręż, łuki mający ladajakie. Niektórzy z nich tylko nieśli tarcze proste, skórą jako tako obleczone.

Co niestało prawego żołnierza, dopełniano górnikiem, wiele okazującymi serca. Na wodza się tu wybrał Szepiółka, którego, że trudno było czasem zrozumieć, Morawianin Stemppek półkowodzca jego, rozkazy zań wydawał.

Górnicy, z których sobie lepiej uzbrojone rycerstwo niemieckie żarty stroić chcieli, wzięli to tak do serca, iż wołać i domagać się zaczęli, aby pierwsi do walki wystąpili.

Książę Bolesław wcale sobie tego nie życzył pono, lecz górnicy nalegali coraz mocniej i gdy książę Henryk się zbliżył, krzyczeć poczęli z szeregów.

— Pójdziemy przodem!

Obuszki podnosząc w górę — powtarzali zgodnie.

— My przodem! my pierwsi!

Niemcy też im w męztwie ustąpić nie chcieli, i spierać się nie śmieli.

Książę Henryk zgodził się na ich żądanie.

— Bóg jeden wie w czym siła — rzekł — prawda, że pierwsze starcie często o losie bitwy stanowi, lecz gdy ochotę mają wielką i serce...

Szepiółka zgodzić się na to musiał...

Tak za przekąsy krwawo się pomściwszy, górnicy wyciągnęli przodem na Dobre pole, rażno zanuciwszy pieśń do N. Panny.

Rozległa się nią wnet okolica, bo inne wszystkie oddziały za nimi śpiewać zaczęły.

Z wieży Panny Maryi coraz lepiej sunących już ku polu Tatarów widać było. Z góry patrzący mierzyli oczyma jaką przestrzeń swoje i ich oddziały zajmowały.

Niestety! każda z tych kup pięciu Tatarskich, dziesięćkroć liczbą przechodziła gromadki wojska, skupiającego się na równinie nad Nissą.

Drugi szyk, którym Sulisław dowodził, cały był z Krakowian i Wielkopolan złożony, dobrze zbrojny, w jasnych pancerzach, chorągiew nad nim czerwona, co się już nieraz we krwi skąpała. Tu było miejsce Pawlika, lecz chłopię rade że się wyrwało, jechało przy księciu. Wojusz tuż za nim w ślad. Krakowian i poznańczyków nie było więcej niż pierwszych, a choć się rozstawili szerzej, nie celowali liczbą, pokaźnością i postawą znaczyli.

Sulisław obyczajem rycerskim wybrał się do boju jak na gody, bo naówczas brał każdy co miał najlepszego, gdy się miał z nieprzyjacielem potykać i dzień starcia uroczystością był wielką. Więc i on wdział pancerz lśniący, a na hełmie rozpiął się mu Gryf złoty, godło wszystkich jego rodu. — Na tarczy też Gryfa miał z paszczą otwartą i językiem wywalonym, malowanego i złoczonego...

Opolanie składali nie dostatniejszy też liczbą oddział trzeci. Lud rzeźki, postawny, zbrojny dobrze, bo tu niemiecki oręż wprowadzony był dawno i obyczaj też niemiecki panował. Mieczysław Opolski prowadził swoich, a przy nim sporo różnych przybłędów, szwabów, sasów, franków, turyngów, bo się w nich kochał, jak wszyscy Ślązcy Piastowicze, co z Niemiec matki mieli.

Gdy książę Henryk nadjechał i zbliżył się, pozdrowili się i objęli po bratersku, ale słowa rzec nie mógł żaden. Godzina to była, w której usta niemiały, godzina wielka, w której mówiły oczy.

Słońce powoli, ciężko z po za chmur się dobywało. Wiatr od Tatarów smród przynosił końskiego potu i spalenizny.

W czwartym oddziale stało kilku braci i trocha knechtów, których niechętnie przysłali Krzyżacy, ale na tych wiele rachować nie było można, tyle tylko, że z sobą na obludę chorągiew zakonu przynieśli, jak gdyby ich tam więcej było... W rzeczy garść przyszła licha, a resztę niewielkiej kupki, różny lud niezbyt rycersko wyglądający zapełniał. Tych książę Henryk pominął, ledwie pozdrowiwszy. — Nie wiele z nich spodziewał się korzyści.

W ostatnim oddziale widać było przedni wybór rycerstwa księcia samego, na którym waga była największa. Tu się kwiat i śmietanka zebrała. Więc naprzód Niemcy zaciągowi i dworscy, Franki, Szwabcy, Sasi od Brandeburczyków, wszystko ludzie, co już nie w jednej ziemi i nie z jednym wojowali napastnikiem. Dużo też było od Wrocławia i z całego Ślązka osiadłych ziemian, co na wszystkie wojny chadzali, a wówczas na nich nie zbywało. Dobry lud, wojacy ogromni, broje doskonałe, szyk zręczny. Każdy z nich gotów na dziesięciu, z kopją, mieczem, z obuszkiem, z łukiem, niektórzy z cepami żelaznymi. Wielu też kusze

miało silne, których belty czleka na wylot przebijały. Ci jak mur twardzi byli, ale jak kamień też ciężcy w ruchu.

Już się tak wszystko ustawiło, chorągwie podniesiono mężnie, i pieśń brzmiała znowu pobożna.

Każdy miejsce swe zajął i trzymał je... Tatarska moc owa z przeciwka już się okazywała.

Szary tłum, niepokąźny był a ruchliwy. Plugastwa tego oddziały sunęły tak wielkie, że każdy z nich połknąłby był wszystkie razem Henrykowe, gdyby się one nie rozstawiły szeroko...

Ziemia poczęła tętnić i drgać pod stopami koni i ludzi. Szmer zrazu dolatywał dziwny, jakby wody płynęły wiosenne, potem gęste stad końskich stąpanie.

I zdało się patrzącym, jakby tam same niemal konie były, a ludzi mało gdzie wytykała się głowa; mało gdzie sterczał łuk górą lub włócznia.

Z szumu tego coraz wyraźniej wyrywały się hałasy, pisk jakiś, wycie, nawoływanie...

— Surun! Surun!

Z tysiąca piersi brzmiało coraz dobitniej:

— Surun!

W szykach księcia Henryka spokojnie kończono pieśń pobożną.

Stały murem, konie tylko niektóre niby spłoszone, wylękle pod jeźdźcami drżały, przysiadaly, i ledwie je w miejscu utrzymać było można.

Chrapanie ich głużyło śpiew ludzi. Pieśń w końcu wyciem Tatarów przemożona, ucichła. Usta przestały dźwięk wydawać, dech zaparto, oczy wszystkich zwrócone były na ten tłum, który rósł w nich, posuwał się, olbrzymiał — rozpościerał coraz szerzej.

Dostrzedz już było można przodem jadących luźno ludzi i u każdego z jeźdźców konia na sznurze bez czleka, tak, że gromada niemi zwiększona, straszniejszą się jeszcze wydawała.

Trochę otuchy dodało to Ślązakom; nieprzyjaciela więcej się widziało niż było.

Liczba jednak i tak straszna była... z wieży jak zająrzeć końca temu wylewowi nie widziano.. Sunęli się, sunęli, rośli, nieprzeliczeni...

Zdawali się wyrastać z pod ziemi, mnożyć jakimś czarem.

W prawo i w lewo zabiegali kołem zataczając się szeroko, obejmowali jako gad, który ofiarę swą obwija pierścieniami, nim zdusi ją i pożre. Rzeka tylko od nich zdawała się osłaniać z jednej strony, lecz dla tych stworzeń dzikich woda nie była przeszkodą żadną. Rzucili się w nią gęstą kupą, gromadą, tak, że rzekę zdawali tamować, która się pokryła całą mnóstwem łbów końskich i ludzkich.

Ksiązę Henryk z za wzgórza stał za swemi — patrzył.

Po za sobą tylko już miał plac wolny, przed nim Tatarzy zajmowali go ze stron wszystkich.

W tem od dziczy, razem z krzykiem — Surun! zaszeleściło, niebo się zaćmiło chmurą gęstą strzał tatarskich, które nagle bić poczęły i dźwięczyć na żelaznych zbrojach...

VI

W oknie na wieży kościoła Panny Maryi stał siwy jak gołąb ksiądz z rękami załamane, w których krzyż trzymał ściśnięty. Nie czuł tego, iż ręce znak zbawienia skruszyły w konwulsyjnym uścisku. Usta jego usiłowały szeptać modlitwę, lecz co chwila kostniały od trwogi.

Widok był straszny, potop ludzi jakichś ledwie do stworzenia Bożego podobnych, wściekły, rozhlukany, szalony — upojony... jak fala morska poruszał się i płynął rozbijając co spotkał przed sobą. Nigdy wiatr jesienny co jęczy po górach i skał czeluściach nocami nie wyje takim głosem zniszczenia i śmierci bezlitośnym.

Staruszek zatykał uszy, krzyż schowawszy za pierś i słyszał wrzask zawsze.... zamykał oczy i widział tę czerń jak dokoła opasywała, ścisła rycerzy bożych. Zaćmiła mu niebiosą chmura pocisków, zakryła tych, co stali przeciw nim. — Opadła wnet, ksiądz odetchnął — rycerze stali jak mur nietknięci. W tem drugi taki obłok świszczący zakrył mu ich znowu.

Na czele posuwali się ze zbieraną drużyną śmieli górnicy. Rzucili się na dzicz z siłą wielką i jak klin wbili w tę potworę. Widać było Tatarów, którzy gnali przeciw jak się od pierwszego uderzenia zgięli, ulegli, zachwiali. Zwracać się zaczęły małe ich konie i padać...

Niektóre pozrywały się z sznurów lecąc samopas na swoich i mnożąc zamieszanie. Książd starszek dziękczynne dłonie podniósł do góry.

Dzicz płynąca potęgą wielką, z równą gwałtownością, odparta cofać się i dusić zaczęła. Górą płynęła chorągiew górników Złotej-Góry, pędzili nie dając się powstrzymać. — Naprzód! Naprzód!

Książd począł modlitwę na chwałę Bogu zwycięstw, gdy oczy otworzywszy znowu, chcąc dojrzeć swoich, zobaczył już tylko wrzątek jakiś kipiący, tłum, w którym nikogo nie mógł rozeznąć.

W pośrodku ciżby niewiadać już było tych co w nią jak w otchłań wpadli. Chwilami coś się poruszało w tym motłochu samym, coś błysło niby ci zwycięzcy. Pożarła ich w końcu ta nawała. Nie zostało nic, tylko znowu tłum ten sam szary, warczący, pełznący i wyjący dziko:

— Surun!

Książę Henryk stał, patrzył i modlił się... żelazny, nieporuszony... Widać go było z orszakiem.

Pułki co na przedzie stały za górnikami którzy znikli, znowu ten grad strzał zasypał.

Nie było wątpliwości, że Bolesław i cały oddział jego, co tak mężnie padł na nieprzyjaciela, już przezeń został pożarty. Z wieży widać było wśród czarnego mrówia jakby plamę krwawą, w której się promienie słońca gdzieniegdzie świeciły odbite — i trupem usłaną polankę. Dzicz okrążała ją, naciskała się i rozpierzchnęła znowu.

Sulisław z Krakowiany i Opolanie ruszyli się naprzód śmiało. Nie stracili oni mężstwa straciwszy przodowników. Zamęt wielki widać było na polu i okrzyki doleciały na wieżę. Dwa polskie oddziały stały przeciwko trzem tatarskim i walczyły zajadle — nie mogły naprzód się posuwać, ale nie ustępowały ni kroku.

Jak dwaj zapastnicy, co się za barki pochwycają, tak sparły się dwa owe pułki i dzicz w gęste zbita ciało. Padali z koni i z końmi Tatarzy, lecz na ich miejsce cisnęli się nowi, nie przebierało się ich, zdawali mnożyć z trupów poległych. Sulisław dotrzymywał im kroku, Opolanie mu posiłkowali, dwa oddziały w jeden się złąły. Jak opoka stali w miejscu, aż z oddziału ks. Henryka ozwały się okrzyki radośne. Chcieli na obronę swoich lecieć pozostali w odwodzie, książę wstrzymywał.

Nie czas było!

Ostatnią siłą nie mógł szafować. — Z wieży widać było jak dzicz się znowu zachwiała, jak zawirowała w miejscu, sparła się hardo, złała w jedną bryłę ani chcąc ustępować — ani mogąc zwyciężyć. W tem drgnęło coś w tych kupach, zachwiały się. Krzyknęli Polacy, Tatarzy złamani zostali. Sulisław powoli postępował za nimi, Opolanie równym z nim szli krokiem.

Pułki z tyłu stojące poruszyły się. Książę Henryk dał znak. Jechali z razu wolno — lecz kipiało w nich, a jakąż siłą wstrzymać można żołnierza. Wódz i ciury stracili głowę — nieprzyjaciel uchodził, wymykała się z rąk zemsta... Naprzód! naprzód!

Książd zakrył oczy. Znikły mu pułki wszystkie wśród ruchomej powodzi ludzi. Kto zwycięzcą? kto pobity? zgadnąć nie można. Pasami gdzieniegdzie świecą żelazne zbroje, szaremi płachty ruszają się tatarskie zgraje.

Wężem zwijają się pułki wśród otaczającej je dziczy, która ucieka i okrąża, uchodzi i zasypuje strzałami.

Z wieży nie widać nic. Książd pokląkł, czoło położył na krawędzi zimnego kamienia i patrzeć już nie śmie.

Jak zasłona, którą wiatr miota, cała ta gąszcz to się sunie naprzód, to ugina, to przechyla, jak strzępki przy rąbku zasłony, po brzegach widać rozpierzchnięte mrowie. Wrzawa ludzkich głosów, końskiego rżenia, jęków konających, okrzyków zwyciężkich — wszystko się zmieszało w jedno wycie i huk potężny, niby szum wałów morskich, co biją o brzegi.

Książę Henryk pędził z oczyma pałającymi Tatarzy mu uchodzili, pierzchali, lecz stało się że w tej ucieczce razem zjawili mu się ze stron wszystkich; strzały ich sypały się ciągle. Wśród własnych ludzi wytykały się ich głowy, które gnietli i ścierali, a pełzły i wyrastały nieprzebrane.

Książę Henryk znalazł się już obok Opolan. Sulisław gdzieś był na przedzie, Polacy kupkami, rozbici lecieli walcząc i mordując.

Nikt już nie wiedział gdzie jest i w którą sunie stronę — ciemność i zamęt był wszędzie. Opolski prąc konia naprzód coraz nowe i coraz twardsze spotykał zapory. Uchodzący drogę mu zapierali sobą.

Wśród wrzasku usłyszał nagle głos z góry:

— Biegnijcie! biegnijcie!

Kto wymówił te słowa? Zdały się z tatarskiego wychodzić tłumy, echem jakimś słychać je było powtarzane ze stron wszystkich:

— Biegnijcie! Zbiegajcie!

Książę Mieczysław zbladł, obejrzał się w koło. Lignickie mury widać za nim było jeszcze.

Sam koń czy on się zawrócił?

Ci, co go otaczali chwieją się, kręcą — uchodzić zaczynają, popłoch się mnoży — pojedyńczy zbiegają, pochyliwszy się na kark koniom.

Henryk odrętwiał — nie umiał słowa znaleźć na okrzyk bóleści i począł wołać.

— Gore! gore!

Spostrzegł Opolan, którzy zwrócili się do ucieczki, pędzi aby zabiedz im drogę; Tatarzy mu ją zastępują...

Opolanie uchodzą!

Dzicz naciska za niemi. Jak fala odepchnięta od brzegu, idą, wracają nazad, są wszędzie...

Wśród tej czerni zbitej, pułk Sulisława z chorągwią swą czerwoną jeszcze kupą się przeryzyna, brodzi w niej, trzyma się spójny. Padają przed nim wałami łupy, ale na nich żywy ów zwierz pustyni podnosi się, mrówi, naciska.

Dziw nad dziwy! Po nad głowami czarnego tłumy coś nagle zaszeleściło, wiatr powoli rozwiewa chorągiew jakąś ubarwioną krwawo.

Lśni się ona jak posoka gdy zastyga, purpurą, żółcią i zielenią, które się na przemiany mieniają; a pod nią tkwi głowa ludzka olbrzymia, rozczochrana, straszna, z otwartymi ustami, z językiem wywisłym, z oczyma trupio zeszkłoniemi, blada i niby żywa. Z nozdrzów jej bucha kłębamii para smrodliwa, jakby wyziew zgniłych trupów; oczy jej łzawią i dymią, włos zdaje się szeroko rozpluwając obracać w dymy, które się nad pobojuwiskiem wloką — kto spojrzy na tę głowę poczwarną, mdleje na siłach; komu do piersi dym od niej zaleci, ten słabnie i pada. Trwoga bezimienna, bezprzyczynna ogarnia serca, biją niespokojne, zmuszają do szalonej ucieczki.

Chorągiew szatańska zda się rosnąć w powietrzu, głowa olbrzymieć, rzekłbyś płaszczem krwi okryła pobojuwisko. Dym czy ona ciąży nad wojskiem i gniece je. Pod fałdami tego złowrogięgo proporca zastęp pana Sulisława się chwieje ale walczy... Jeszcze gna i naciera, lecz słabiej coraz. Piersi rycerzy nie mają czym tchnąć, oczy ich nic nie widzą, w uszach tętni tatarski — Surun! i śmiech jakiś jak świst szatana szyderski. — Szyk polski, który się rozpościerał szeroko i odbijał od siebie napływające fale zmniejsza się, zwęża, skupia, maleje, rozbija, niknie. Jeszcze chorągiew jego czerwona podnosi się w powietrzu, ale po nad nią tkwi jakby ją pożreć miała owa głowa olbrzymia dymiąca trującym smrodem, z której śmiech się trupi rozlega... I nic nie widać tylko pluskające czarne fale Tatarów.

Książę Henryk ze swemi mężnie się trzyma, został im na pastwę ostatnią. Dano mu było dla zwiększenia męczarni patrzeć jak ginęli drudzy, jak nadzieja oparcia się nikła, jak śmierć męczeńska przystępowała wolnym krokiem...

Musiał cierpieć za nich i za siebie, ale nie zwilżyło mu się oko. Spojrzył na swą wierną gromadkę, podniósł do góry miecz i z nią padł na niewiernych tłumy.

— Miłościwy książę — zawołał Rościsław — życie wasze więcej warte niż wszystkiego żołnierza, bo wy ludom wodzem jesteście! Ocalić was musimy, przebić się trzeba przez nich — do lasu... tam bezpieczni będziemy!

Książę nie słuchał, — rąbał i siekł zajadle... Poznali w nim wodza Tatarzy i opasali go kołem, które się jak pierścień ścisła. Co zaskoczy śmielszy to ginie...

Rościsław, Janicz, Ślązaków i Niemców co najsilniejszych garść dostają kroku przy księżciu, zasłaniają go piersiami. Pawlik dzieciak zwija się jak szalony z nieopatrznością tego, co nigdy w boju nie bywał... Wojusz zabiega i zasłania...

Naprzód! — krzyczy Rościsław. —

I naprzód prą się rycerze — ale napróżno. Konie się potykają i padają na trupach, na konających, co im rzeżą wnętrzości, ludzie zsuwają się na ziemię i już z niej nie wstają. Rycerze jeżą się strzałami, które w nich utkwily.

Na Klemensa z Pełcznicy bies jakiś zarzucił sznur, zdusił go za szyję i z konia obalił.

Rościsław nie przestaje naglić. —

— Naprzód!

Ale ścianą jedną stoją naprzeciw w jedno ciało zbici konie i jeźdźcy tatarscy.. Łyskają im oczy z pod czoła, bieleją zęby w ustach rozwartych, śmieją się policzki kościste.

Wśród tego zastępu, nawet trupy stoją jak żywi, zabite konie, jak kamienie w murze się trzymają. Ani go złamać ni obalić.

— Naprzód! — woła Rościsław i Janicz. — Tną po łbach końskich i ludzkich.. krew tryska... ale ściana stoi... wyłomu przebić nie można.

Pawlik, który stał z tyłu, przebija się z koniem przed księcia, ogromny miecz trzymając w rękę. Spuszcza go na obnażony łeb Tataru. Raz uderzył i drugi, koń wyrwał się naprzód sam, uchodząc między ślązaków. Pawlik się rzuca w tą szczyrbę, Janicz za nim, Henryk z niemi.

— Naprzód!

Cisną się i sieką.

Cudem jakimś rozstało się tatarstwo a raczej przypadło na ziemię — konie spłoszone wyrwały się, próżnią wśród tłumu cisnie się Szlązkie książe, a mieczem rąbie co dosięże.

Wśród dymu las, zbawczy las zamajaczał już przed niemi. Suche jego gałęzie zarysowują się w dali.

— Naprzód! — nie przestaje wołać ochryply Rościsław.

Pawlikowi krew leje się z rąk i z piersi. Wojusz ma twarz przeszytą, hełm mu strącono. Strzała utkwila w policzku, którą na próżno wyrwać się sili.

Od zbroi księcia Henryka odbijają się pociski, ale koń pod nim broczący pada, wycieńczony ranami...

Zastęp otaczający księcia maleje, Wojusz stary zachwiał się, zsunął na ziemię, zniknął. Pawlik utonął w gąszczu.

W tem Sulisław znalazł się u boku wodza, z nim Klemens Wojewoda głogowski, Konrad, Janicz, Rościsław.

Garstka ich już tylko — lecz dotąd jeszcze zwycięzka. Las widać. Tatarzy pierzchnęli w bok nieco, ostatkiem sił książe bieży naprzód.

W tem zadudniało, tłum wraca, oblega ich z wraskiem, zaparł drogę od lasu! otoczył.

Bój o życie lub śmierć się poczyna.

Janicz z Pawlikiem, który już pogrzebiony pod trupami, zmartwychwstał znowu, konia chwycił i otłuczonym mieczem się broni — przodem idą torując księciu drogę. Tatarzy ustępują im — poznali po hełmie wodza, na niego czyhają...

Jednego już tylko widać mężnego księcia, jak coraz miecz podnosi do góry. Obnażył pachwinę, na której zbroi nie było, Tatarzyn pchnął z całych sił w nią i przebił. Hełm książećy zadrgał i padł z głową, włosy rozsypały się na ramiona, padł syn Jadwigi...

Wnet kupą dzicz się rzuciła na tą zdobycz z wraskiem, który jak grom poszedł po pobjowisku...

Na wysokiej żerdzi sterczy szlachetna głowa męczennika odcięta, drgająca jeszcze.. wargi jej zdają się kończyć modlitwę. —

Głowa to Henryka Pobożnego — zginął ostatni!

Janicz z Pawlikiem gnali tymczasem, niewiedząc co się działo za niemi — przerznęli się cudem przez tłumy — gonią!

Dziewięciu Tatarów na małych koniach ich ściga. Janicza hełm ich kusi, a Pawlika młodość.

Lecz konie obu rycerzy prześcignęły tatarskie. Co się obejrzą za siebie, widzą pogoń tylko. Gdzież książe??

Janicz i Pawlik myśleli że ocalał.. Pędzili więc naprzód, mając za sobą tylko tych dziewięciu pogoni. Z boku przyskoczył do nich oszalały z trwogi Luzman niemiec, na pół ze zbroi odarty.

Zostało ich trzech na pogan dziewięciu.

Oglądają się ciągle ich mając za sobą. Tatarzy pokładli się na koniach, wyją i gonią. Czasem poślą im strzałę, która świsnie w powietrzu, czasem puszcza powróż długi, który opada na ziemię.

Uchodzą, — uszli!

Obejrzeni się, z dziewięciu zostało sześciu — obejrzeni, tylko trzech widać jeszcze, — otóż i znikli wszyscy.

Lecz i koniom ich tchu już brakuje. Potrzeba stanąć. Właśnie wygorzała wieś znaleźli na drodze.

Żywego w niej nie było ducha, a jeszcze niby żywa stała. Z chat opalonych widać było prosty statek wieśniaczy, który ocalał po kątach. Studnie z żurawiami, które wiatr poruszał, całe w podwórkach, gdzieniegdzie plot i wrota gwałtownie rozwarte. Na drodze chusta krwawa leżała jak zabita, trup dziecka rozcięty w progu nagi i poczerniał...

Pawlik, Janicz i Luzman strzymali konie.

Niemiec skoczył do studni po wodę, zajął się głębi i krzyknął, pełną trupów była. Tuż płynął strumień, poszli z niego zaczerpnąć, brzegiem widać było zastygłą krew.

Pawlik tym czasem z sukni sobie i z ciała powbijane strzały wyrwał. —

Janicz dyszał sparty o słup. Luzman jęczał, patrząc na poranione ciało. Z dala z wiatrem dochodziły ich krzyki zwyciężki tatarów.

Ledwie odetchnęli trochę, gdy niemiec wskazał na drodze migających trzech Tatarów. Biegli za nimi, a raczej toczyli się po gościńcu, jakby trzy kule czarne.

Janicz drgnął, Pawlik na koń już siadał. Z tych trzech pogońców wnet urosło sześciu. Chwila, a oto dziewięciu znowu napędza drogą i krzyczą..

— Janicz, konie już nie pójdą dalej! — zawołał Pawlik, — ale my bić się z tem plugawstwem możemy jeszcze. Trzech na jednego? nie dużo!

Dzikie chłopię, pomimo grozy od której tylko co uszło, rozśmiało się sercem więcej zuchwałem, niż rycerskiem.

— Bijmy się!

Janicz siadł też na konia, Luzman milcząc, poszedł za jego przykładem.

Stali ścisnawszy się, zwracając ku nadbiegającym tatarom, którzy jak wichry, konie okładając pletniami, parli na nich. Janicz i Pawlik mieli jeszcze ostatek włóczni w garści, Luzman obuch, który mu cudem u siodła pozostał.

Gdy pierwszy z pogoni przyskoczył do Pawlika, ten jednym cięciem w łeb, trupem go położył. Zwał się z konia.. Nim drugi pośpieszył go pomścić, Luzman skrwawił go i okaleczył, a że konia wściekłego miał, gdy tatarzyn padł, stratował go gniotąc pod sobą.

Janicz się też mężnie potykał, a wśród boju powtarzał tylko ciągle.

— Jeśli żywot ocale — Bogu go na ofiarę złożę!

Pawlik żadnych ślubów nie czyniąc, rąbał i siekł.. Ośmiu tatarów leżało pobitych, dziewiąty ranny bronił się rozpaczliwie, gdy Luzman padłszy nań, sznurem go oplątał i skrepował.

Tak bój się ten skończył. Na gościńcu nie było widać więcej pogoni.

Znużeni wojownicy siedli na ziemi trupom się przypatrując. Pawlik jak dziecko ciekawie poruszał ich końcem strzaskanej włóczni, aby się stworzeniom tym przyjrzeć lepiej. Podobnych ludzi niewidzieli jak żyli. W krzyku ostatnim usta im podrętwiały obnażając wilcze zęby białe, a oczy wywrócone do ślepi dzikiego zwierza były podobne...

Pawlik westchnął — na myśl mu przyszedł jego Wojusz stary.. Widział, jak goniąc za nim i osłaniając go upadł.

— Wieczny mu spoczynek! — szepnął — a nom ja teraz wolny!

Niedługo spoczywać tu mogli, szczęściem Janicz w okolicy znał dobrze drogi.

Zdało mu się obowiązkiem przedzierać do Krośna, aby być posłem nieszczęścia biednej matce, bo choć niewidzieli padającego księcia Henryka, nie mogli wątpić, że pozostał na Dobrem polu.

Żałośnie milczący puścili się powoli ku lasom.

Z wieży kościoła Panny Maryi nikt już nie patrzył na pobojowisko, na którym mężczyźni ludzie śmierć przeczuwając, zginąć poszli. Kilku nędznych zbiegów do bram dotarło, brocząc po drodze. Przyniesli zamkniętym w murach żalobne słowo:

— Książę Henryk padł w boju... Bolko Morawski padł w boju... Zginął Opolski, zabity Sulisław mężny i Klemens głogowski wojewoda i Konrad i wszyscy, którzy szli na to aby za wiarę ginęli.

Na zamku Lignickim niewielka garść załogi została, trochę księży i mieszczańskiego ludu.

Zamknęli bramy — czekali.

Nazajutrz o świcie, gdy do kościoła dzwon na mszę wołał, horda mu krzykiem odpowiedziała z za wałów. Zamek był ze wszech stron opasany.

Na przeciw wrot stał na koniu tatarzyn, na żerdzi wetkniętą trzymając głowę ludzką. Stary ksiądz, który z wierzchu murów patrzył, poznał zsiniałą, trupa twarz pana swojego, i padł z płaczem na ziemię.

Z tą głową poganie zaczęli do koła zamku obiegać, a gdzie na wałach ukazał się lud, podnosili ją i nachylali.

— Patrzcie, oto pan wasz!

Rusinów, których z sobą wiedli, posłali naglić aby się im zamek poddawał. Odpowiedziano milczeniem. Mieszczanie zawarli się postanowiwszy bronić do ostatka.

Dzień, dwa, leżeli pod wałami Tatarzy, trzeciego ranka ich nie stało.

Wrota zawarte trzymano jeszcze przez dzień cały. Obawiano się podstępów i zdrady.

Czwartego dnia wysłano nocą na zwiady... Zagon odsunął się ku Odmuchowu i tam legł obozem.

Dopiero gdy z Bolesiska nawrócili ku Morawie, ostrożnie otwarto wrota, aby iść na pobożowisko i ciałom chrześcijańskich rycerzy pogrzeb sprawić pocziwy.

Leżały jeszcze kupami jak popadały trupy poległych, bez głów, bez uszu, porąbane i zeszpecone strasznie, odarte z odzieży, obłupione ze zbroi, z ciała przez kruki i wilków poszarpanemi.

Poznać ich już nie mógł nikt, więc do mogił składano je razem, a zwłoki ks. Henryka po szóstym palcu u nogi cudownie poznane, przewieziono do Wrocławia.

Pawlik z Janiczem dobili się do Krośna; oni tu pierwsi przynieśli straszną nowinę.

Janiczowi, gdy u wrót stanął, zabrakło serca by zwiastować matce i żonie, że syna i męża nie miały.

Gdy im furtę otwarto, zwał się przez nią Janicz, na wszelkie pytania odpowiadając tylko, że ranni uszli, bitwa była przegrana, a o losie księcia niewiedzieli.

Obstąpiono ich kołem, posiadali na ziemi ranni wszyscy, zboleli, niemi, na pytania potrząsając głowami.

W tem z boku rozwarły się drzwi kościelne. Stała w nich blada niewiasta w sukni szarej, zbrukanej, wychudła, z zapadłemi policzki, w ręku trzymając biały posążek Matki Bożkiej.

Oczyrna szukała przybyszów. Za nią jak cień sunęła się z oczyma zamkniętymi, wyplakanymi księżna Anna.

— Nie pytajcie ich — odezwała się księżna starsza — nie pytajcie z nadaremna nadzieją, albowiem co przeznaczonem było, stać się musiało. Poląła się krew chrześcijańska na odkupienie ziemi tej. Syn mój padł. Widziałam go z głową odciętą, leżącego na pobożowisku krwawem, widziałam we śnie i na modlitwie.

Cześć Ci i chwała, Panie, i dzięki Ci, żem wydała na świat takiego syna, który był dla mnie dziecięciem miłującym, a nie wycisnął mi lzy żadnej. Radowałam się życiu jego i szczęściu, ale raduję się śmierci pobożnej.

I nie wylawszy lzy jednej, księżna się modlić zaczęła.

— Matko, — odezwała się księżna Anna — O śmierci jego niema jeszcze wieści! Ocalał może gdy ci co z nim byli najbliżej, uratować się zdołali. Janicza poznaję! Ten nie odstępował go nigdy.

W tem przeze drzwi wcisnął się człowiek odarty i strwożony, do ziemi skłaniając się pozdrowił księżnę.

— Z Lignicy mnie posłano! — wyjąknął.

— Mów, — przerwała mu mężnie księżna Jadwiga — mów!

Posłaniec ręce tylko podniósł ku niebu i opuścił je ku ziemi milczący — słów mu zabrakło.

— Zginęli wszyscy? — spytała księżna.

— Zginęli!

Placz rozległ się za księżną, która z surowym obliczem zwróciła się ku niewiastom za nią stojącym.

— Nie grzeszcie, oplakując śmierć rycerską i chrześcijańską!

— Książę, pan mój! — krzyknęła Anna wychylając się ku posłańcowi.

— Poległ, — rzekł krótko poseł.

Księżna zachwiała się i osłoniwszy twarz, siadła na ziemi, rękami obejmując głowę, księżna matka głosem męznym odezwała się po chwili:

— Znaleźliście ciała poległych? syna mojego!

Poseł łkając i płacząc odpowiadać nie miał siły, księżna Jadwiga patrzyła nań z politowaniem...

Nieugięta boleścią zwróciła się ku kościołowi i szła z marmurową twarzą do ołtarza — dziękować Bogu.

Pawlika, Janicza i Niemca zabrano do klasztoru, aby się z ran leczyli. Wszystko tu było w żalobie, po tej klęsce, która ani jednej nie oszczędziła rodziny. Jęk i płacz słychać było od rana do wieczora, tylko Pawlik trzeciego dnia już, poobwiązywawszy rany, począł z izby się wykradać, aby narzekań Janicza i opowiadań innych ocalonych nadciągających tu nie słuchać.

Wracała mu ta szalona natura, niecierpliwa, gorąca, potrzebująca kipieć ciągle, śmiać się, dokazywać i bujać.

Gdy Janicz oplakiwał poległych, Pawlik ramionami ścisnął.

— Zdrowaś Maryja za duszę zmówić, juści się należy — mówił doń — a wyplakawszy się myśleć o życiu. Ci co pomarli, oprócz mszy nie potrzebują już nic. Tatarzy przecie nie wysiekli wszystkich, zostanie choć trochę ludu.

Niewiasty i służba przy klasztorze, której powierzone było doglądanie rannych, najmiłszem się stały towarzystwem Pawlika. Nie zważając na ich zakonne i półzakonne suknie, widział w nich tylko białogłowy, a do tych pociąg miał wielki.

Szczególniej nowicjuszka Lucja, dziewczę ze spuszczonej oczyma, z jasnymi włosy, z których ledwie się pukielek z pod osłony wykradał, wyrostek bojaźliwy, rumieniący się — wpadła w oko synowi Jazdona. Zwano ją po klasztornej Siostrą, chociaż wiek jej nie dozwalał złożyć ślubów zakonnych, i była tu tylko na próbie.

Gdy ze Starszą Gaudencją wsuwała się niosąc koszyk z jadem lub bielizną, Pawlik już był zawczasu na czatach, aby go od niej odebrać, pozdrowić cicho i coś szepnąć. Dziewczę w surowej karności klasztornej utrzymywane nie odpowiadało, ale mimowoli podnosiły się jej długie rzęsy i powieki, i wzrok padał na urodziwego młodzieniaszka dziecinny, niewinny a tak mówiący wiele, iż Pawlikowi mrówię przechodziło po kościach.

Gdy sam na sam z Janiczem siedział, choć ten, już ślub uczyniwszy, gotował się wstąpić do Dominikanów, a wszelkiej płochy mowy unikał, Pawlik niemiłosiernie go drażnił, rozprowadając jak mu się ta Lucja podobała się okrutnie. Janicz surowo go gromił i lajał.

— Panu Bogu byś dziękował, — mówił, — żeś cudem uszedł śmierci, i to życie, które ocalała opatrność, powinienbyś jak ja na usługę kościoła poświęcić — a tobie chłystku! ledwie z ran wylizawszy się trochę, już ladajakie myśli po głowie się zwijają. Już ci ta służebnica Boża w oko wpadła.. a toć świętokradztwo...

— Cóżem ja temu winien, — odpowiadał Pawlik — takim grzesznym mnie Pan Bóg stworzył, że niewieściego, młodego wzroku strzymać nie mogę, żeby we mnie nie poczcziwa krew nie zakapiała. Matka Gaudencja choćby na mnie patrzyła dzień cały — nic nie szkodzi, ale ta! ale ta!

— Milcz-że paskudny trutniu! — gromił Janicz.

Łajanie wcale nie pomagało. Pawlik coraz częściej wymykając się z izby, stał w progu i czatował, dziewczę łapał, drogę zachodził i zmuszał niemal do rozmowy. Napastliwy był nad wyraz wszelki.

Rany od strzał prędko mu się jakoś goić zaczęły, bo krew miał zdrową, i siły młode, byłby się już mógł śmiało czy do Przemankowa do ojca, czy gdzie w świat wybrać, ale ta nieszczęsna pokusa przy klasztorze go trzymała.

Było mu tu zresztą niezgorzej, bo księżna matka jak ubogich tak rannych i chorych z miłością pańską we wszystko opatrywała, a roboty nie mieli żadnej. Janicz z ka-

pelanem Lutoldem godzinami całemi o swem przyszłym powołaniu rozprawiał. Spierali się o to tylko, czy miał zostać synem Dominika czy Franciszka.

Pawlik, pusta głowa, za Franciszkiem był dla tego, że i książę Bolesław krakowski i księżna Jadwiga synów jego po kraju rozmnażać chcieli, łaskami ich obsypywali — a może też, iż więcej swobody mieli Franciszkanie, chodząc po świecie niż Dominikanie w celach klasztornych pozamykani.

Janicz zaś Dominika synem być wolał, bo pisma cokolwiek znał, nauki łaknął, a tej tu więcej potrzebowano.

Trzeci ich towarzysz, niemiec Luzman, który się też tam wylegał z ranami, a jako niemiec miał u księżnej łaski szczególne, nie mieszał się do niczego, jadł, pił, spał, do kościoła chodził, gdzie też drzemał w kątku, ale się mógł księżnie zalecić. Piwo klasztorne bardzo mu było do smaku. —

Pawlik w krótkim czasie wielu tu sobie przyjaciół i znajomych zjednał. Nie mówiąc już o siostrze Łucyi, którą powoli sobie zyskiwał, ukradkiem zawsze nastroczając się jej po kilka razy na dzień, laził do izby chromych i kaleków, wszędzie go było pełno. Po między żebrakami po swojemu sobie poczynał, największą dlań rozkoszą było jątrzyć ich przeciw sobie, swary ich oliwą podlewać, i doprowadzać do tego, aby się kłócili, zajadali i tłukli. Gdy tak wrzawę okrutną wywołał dopiero sam śmiejąc się wymykał i cicho w izbie wspólnej przysadał, jakby niewiedział o niczem.

Trwało życie takie do Maja, więc niedziel cztery. Pawlik był już zdrów zupełnie, ale mu się jeszcze z Krosna w świat nie chciało.

Janicz uważał, że z izby się coraz częściej wysuwał, w podwórzach dłużej bawił — zaczynał być zadumany i mniej mownym.

Jednego dnia stękać począł, że by mu już do domu potrzeba, a tylko tęgiego konia do podróży braknie. Koń, na którym przyjechał, na nogę nakuliwał.

Janicz mu swojego dać był gotów aby się go pozbyć, bo mu już płochością i prześmiewaniem się ze wszystkiego dokuczył.

Poczęły się targi o dodatek, stanęło wreszcie na umówionej liczbie groszy pragskich, które Pawlik dopłacić obiecywał. Lecz dostawszy konia, wyjeżdżać znowu mu nie było rażno. Zwlekał.

— Ojcie mój — mówił Janicz do kapelana Lutolda — wy tego młokosa przekłętego miejcie na oku. On świętego miejsca uszanować nie umie i za dziewczętami pono się włóczy. Żeby zgorszenia nie było.

Ksiądz się oburzył mocno.

— Co za myśl — zawołał — a toż tu są niewiasty pobożne, Bogu poświęcone, klasztor jest przecie, w którym duch księżnej naszej ożywia wszystkich...

Zmilczał Janicz i już więcej mówić się o tem nie ważył.

Jednego wieczora Pawlika długo w izbie nie było, a się ku nocy zabierało. W klasztorze szmer jakiś i bieganinę posłyszał Janicz. Wpadł ktoś z czeladzi, obejrzał się po kątach i wybiegł.

Po chwili kapelan Lutold z rękami załamanemi, dysząc, przypadł do Janicza.

— Gdzie ten Pawlik wasz?

— Alboż ja wiem?

Uderzył się ksiądz po głowie i z izby nazad wypadł co żywej.

Janicz domyśleć się nie mógł, co się stało. Luzman, który już po piwie spał, rozbudzony poszedł na zwiady.

Wrócił nie rychło, chmurny ramionami poruszając, kręcąc głową. Janicz dowiedział się od niego, że Pawlik konia pochwycił, ale i siostry Łucyi w klasztorze nie stało. Domyślano się, że dziewczę porwał i uwiózł z sobą.

Pogoń już na wszystkie strony rozesłano za niemi.

Słuchał osłupiały Janicz, bo mu się takie zuchwałstwo w głowie niemogło pomieścić. O godzinie w której tu zwykle wszystko spało, ruch jeszcze był wielki, niepokój straszny.

Wracali ludzie z pogoni nadaremnej, o zbiegłych ni śladu, ni słuchu. Dopiero po północy zawrzało coś u furty. Klimek, dworzanin ks. Jadwigi z dwojgiem czeladzi wysłany, prowadził związanego Pawlika, ale poraniony był, pocięty, bo mu się bronił wściekle.

Wzięto i siostrę Łucję, zaklinającą się, iż bez jej woli, usta jej zawiązawszy swawolny chłopiec na konia porwał i z łupem swym poczwałował w lasy.

Skępowanego tak jak stał posadzono winowajcę do kuny. Kara mogła go czekać sroga, bo księżna podobnych napaści, przebaczać nie była zwykła... Ludzie zuchwałstwu i zręczności z jaką było dokonane, wydziwić się nie mogli. Mówili wszyscy zgodnie, iż za to szyję powinien być dać.

Nazajutrz, gdy się właśnie coś o sędzie i wyroku spodziewano usłyszeć, przyszedł Luzman do Janicza, splunął i rzekł.

— Otóż go już nie ma!

— Co? dano go ściąć? — krzyknął Janicz — a spowiadał że się?

Niemiec ręką zamachnął.

— Z kuny się po nocy wyłamał, łotr, o, już go nie kazano gnać.

Gdzieś przepadnie w lesie, bo się bodaj wyrwał bez broni.

W Przemankowie u łoża starego Jazdona, cudem się z Legnicy wydobywszy, siedział ksiądz Zula, opowiadając mu oplakane dzieje najazdu tatarskiego, gdy drzwi się otworzyły i — ktoś stanął w progu.

Nie mógł z razu poznać Zula kto był, bo strasznie odarto wyglądał przybylec.

Zbliżywszy się doń dopiero radośnie wykrzyknął, poznając, iż ten, którego za zginionego mieli, żyw przed nim stoi.

Stał się zarazem cud, bo stary Jazdon, który od lat tyłu w połowie ciała władzy nie miał, na jedno oko nic nie widział, gdy o synu posłyszał i ruszył się aby go uściskać, rękę obumarłą podniósł, oko zagasłe otworzył, na nogi obie powstał...

Niucha i Mucha, którzy przygotowani byli go podnosić, przerażeni widokiem tym, rozbiegli się krzycząc...

I była w domu radość wielka, ale krótka. Stary ojciec, któremu Bóg dał oburącz dziecko uściskać, teźże nocy usnąwszy, na wieki zamknął oczy...

Radość wielka uleczyła go i zabiła...

Został tedy sam nieletni chłopiec panem włości wielkich i woli własnej. Zula, który pozostał przy nim, modlił się, aby teraz cugli sobie puściwszy, rychło nie przepadł.

Chociaż wychowańca swojego kochał bardzo, choć mu tu dobrze było i zaciszno, klecha po pogrzebie starego ledwie mógł kilka miesięcy przetrwać w Przemankowie. Istne się tu piekło poczęło, z którego ani wyrwać się z razu nie miał siły, ani mógł patrzeć obojętnie na to, co się działo. Walczył z sobą długo pocziwy klecha, aż dnia jednego agendę pod pachę wzięwszy, parę swych ksiąg w rękę, pieszo z gródka wypadł o kiju, i już go więcej tam nie widziano, bo do Ś. Jędrzeja do Krakowa powrócił.

Koniec Prologu.

I

Ćwierć wieku upłynęło od opisanych wypadków, i ci co wyrostkami pamiętali Dobre pole pod Lignicą, mężami się stali, ci co starcami byli za pierwszej tatarskiej powodzi, do grobów dawno poszli spoczywać.

W wigilję Mateusza świętego, roku tego (1266), zmarł świątobliwy pasterz krakowski Prandota. Jako błogosławionego już za życia, czczono go uroczystym pogrzebem. Cuda się działy u grobu.

Po osieroceniu stolicy krakowskiej, nowego potrzeba było obierać pasterza i kapituła cała zebrała się dla narady.

W izbie nie zbyt obszernej, dosyć ciemnej, nim się jeszcze rozpoczęły rozprawy, z obecnych twarzy i postawy poznać było można, iż wiedzieli zawczasu, że zgodnego wyboru nie będzie.

Byli to po większej części duchowni lat średnich i podeszłych, twarze jednych wywidłe i blade, drugich kragłe, i mocno zaognione, wychudli i otyli — przedstawiali dwa obozy, tych, co żywot wiedli duchowy zapominając na ciało i tych, którzy pielęgowali je, staranie o duszy zostawiając ostatniej godzinie.

Jednym z tych, około których najwięcej się skupiano, z wielkimi znakami uszanowania, był ksiądz Jakób ze Skarzeszowa, starzec już bardzo w lata podeszły, nie wielkiego wzrostu, niepozorny, szczupły, niziutki, z czarnymi ale mocno przerzedzonymi włosami, skromny i bojaźliwy.

Był on i dziekanem krakowskim i scholastykiem bamberskim, i kanonikiem wrocławskim i papieżkim, a króla czeskiego kapelanem. Uczony prawnik, człek pobożny, miał u ludzi sławę, a zachowanie i w kapitule głos przeważny. Ten milczący stał, nachmurzony, z głową spuszczoną, zafrasowany, a zarzucającym go pytaniami, odpowiadał tylko ruchami dosyć obojętnymi jakby zwątpił, iż tu się na co przydać może.

Ksiądz Gerard, proboszcz wiślicki należący do rumianych, mistrz Szczepan otyły i słusznego wzrostu a silny mąż, kanonik Wyszon, na którego okrągłym licu zdrowie bujno wykwiatało — na boku z sobą po cichu rozmawiali.

Inni księża zbierali się też w gromadki i szeptali. Niepokój już się dawał czuć w kapitule, choć jeszcze nie zasiadła.

Na ostatek odmówiono modlitwę do Ducha świętego i wszyscy miejsca zajmawszy czekali, aż się kto odezwie pierwszy.

Z oczów widać było, iż na księdza Jakóba ze Skarzeszowa, jako najstarszego wiekiem, przodującego dostojnością, oglądano się.

Więc gdy ten i ów potraçał z lekka, staruszek jakby zmuszony, odezwał się słabym głosem.

— Mili bracia! Wzywaliście Ducha Świętego, ten niech was natchnie.. Kościołowi potrzeba takich ludzi, jakim był świętej pamięci, za życia ubłogosławiony Prandota, i poprzednicy jego, wielcy kościoła obrońcy, wielcy kraju opiekunowie. Silnego męża obierzcie, takiego nam na nasze czasy potrzeba...

— Was by okrzyknąć! — przerwał mu jeden z błych, uczeńszego nie mamy, pouboźniejszym nikt być nie może, ani gorliwszym o wiarę. —

Staruszek rękę podniósł i kończyć mu nie dał.

— Brzemie to nie na moje ramiona, — o grobie myślę nie o infule...

Ruch żywy ręki drżącej i głowy dokończył, czego ks. Jakób powiedzieć nie chciał. Stanowczo wyboru odmawiał.

Rumiano wyglądający kanonicy spojrzeli po sobie wesoło, dając sobie znak porozumienia. Uśmiechali się.

Mistrz Szczepan, ów mąż poważny, otyły, wesół, pogodnej twarzy, dodał.

— Nam potrzeba pasterza w sile wieku, do tęgiej walki zahartowanego. Kościołowi zewsząd grożą księżęta nawet wrzekomo najpoboźniejsi, jak ten pan nasz Bolesław. Potrzeba nam na stolicę żołnierza! żołnierza!

— Byle szermierzem Bożym był — odparł jeden z błych z przekąsem. I znacząco odchrząknął.

— Jeśli głosować mamy, a zdania podzielone — wtrącił kanonik Wyszon, — mówmy wprzód otwarcie...

— Tak! tak! otwarcie! — potakiwali mu drudzy.

— Zatem — przerwał Stefan głośno — ja mojego wnoszę i z innemi braćmi wielą. Mąż jest ducha wielkiego. Wprawdzie święceń niema, ale te otrzyma, gdy nań wybór wypadnie. Na Pawła z Przemankowa głosujemy. Pan jest możny, głowa otwarta, mąż żelazny.

Szmer się dał słyszeć, który różnie tłumaczyć było można. Wszyscy bledzi i wyschli kanonicy wstali jako jeden mąż. Kanonik Janko z oczyma ognistemi, ascetyczną twarzą, uderzył ręką niecierpliwie o ławę.

— Nigdy w świecie się na niego nie zgodzimy. Wilka chcecie wprowadzić do owczarni! Oslawiony człek, na żołnierza zdatniejszy niż na biskupa, cielesnym chuciom brzydsko ulegający, praw naszych kościelnych mało świadomy... Człowiek, rzeknę śmiało, zepsuty i niegodny...

Hałas powstał, zakrzyczano mówiącego.

— Potwarze to są, głosy nieprzyjaciół tego dostojnego męża! Mocnego ducha i dłoni człowiek... My za nim! za nim!

— A my przeciwko niemu! — odparli niemniej gwałtownie drudzy.

— Nie wiecie chyba, — wołał usiłując się dać słyszeć kanonik Janko — nie wiecie, jakie życie wiódł, ile popełnił gwałtów, ile rozsiał zgorszenia. Człek to, któremu sukna nasza nie przystała. Niech Bóg nas uchwata od pasterza takiego.

Rumiani i opaśli zahuczeli tak, iż dalszą mowę kanonika stłumili. Na ławach i siedzeniach ruch powstał gorączkowy, mistrz Szczepan wołał:

— Ten lub żaden! ten, lub żaden! Gdy ksiądz Jakób nie chce, Pawła wybierzemy!

— Zlitujcie się, ludzie zaślepieni! — krzyknął z wysileniem Janko — kościołowi płamę na białą szatę jego rzucicie!

Rozwarł ręce jak do modlitwy.

— Panie! odwróć od nas ten srom i klęskę!

— Paweł z Przemankowa biskupem! — krzyczeli tłusci, — kapituły znaczniejsza część za nim.

— Chyba dla tego, że was karmił i poił zjechawszy tu umyślnie, żeście u niego dobrej myśli zażywali nad miarę, — wołał bladej ksiądz Janko. — Na dusze wasze baccie, nie sprzedawajcie kościoła za półmiskę soczewicy!

Rumiani i tłusci śmiechem go szyderskim głuszili.

— Nam tu nie świętoszków potrzeba, ale dzielnych jak ten człek! — krzyczeli głosy podnosząc.

— Nieuk jest! — przerywano.

— Co? nieuk? — podchwycił ksiądz Szczepan. — On nic nie umiając więcej wymyśli i zgadnie, niż wszyscy co nad pergaminami i papierem zęby zjedli. Bystry umysł, serce gorące! Pójdzie on górą a z nim i biskupstwo nasze i prawa i dochody.

— Nigdy w świecie sprosnemi obyczajami skażonego gwałtownika, nie dopuścim na stolicę, — zawrzał ksiądz Janko. — Pół kapituły protest zaniesie! Pójdziemy do Rzymu! Nie dopuścim go! Syzma będzie...

Zagotowało się mocno, kanonicy rozstąpili na dwa obozy przeciwne, krzyki za i przeciw wyrzywały się równie namiętne, powstało zamieszanie i wrzawa... Ruszano z miejsc na środek, a koryfeusze obu stronnictw gorąco się z sobą ucierać zaczęli.

Ksiądz Jakób ze Skarzeszowa siedział w swem miejscu z głową ku ziemi spuszczoną, w twarzy jego ból się malował i smutek przejmujący. Do sporu jednak czynnie mięsząc się nie chciał.

Zapomniano prawie o starcu, a on zatopiony w myślach, może też równie odbiegł od kapitularza.

Nie było najmniejszej nadziei, aby do porozumienia przyjść mogło.

W końcu nadaremny sporem wszyscy byli znużeni; otyli ocierali pot z czoła, blade usta zasychały. Narada skończyła się stanowczem rozłamaniem na dwa stronnictwa nieprzejednane, które sobie wojnę wypowiedziały.

Tymczasem noc nadeszła, kapituła rozpierchła się rozgorączkowana. Domowa wojna gotowała się w jej łonie.

Gdy jedni spiesznie ztąd wychodzili, rozprawiając jeszcze z sobą głośno w sieniach i podwórzu, coraz śmielej i zuchwalej, ksiądz Jakób pozostał w swej ławce, czapczkę tylko wdziawszy na głowę.

Wiek jego, rozum, doświadczenie, czyniły go na wszelkie ludzkie słabości wyrozumiałym. Co drugich rozjątrzało, dla niego zwykle wytłomaczonym było. Litował się tylko.

Patrzył na wychodzących, sam już zwolna przygotowując się do wyjścia, gdy ujrzał przed sobą stojącego kanonika Janko, z głową na piersi spuszczoną, rękami na piersiach skrzyżowanymi. Brwi miał ściągnięte i usta zagryzione. Był to mąż surowy, nieustraszonego ducha.

— Źle czynicie, — odezwał się otwarcie do starszka. — Przebaczone mi, że do was odzywam się tak zuchwale! Źle czynicie odrzucając infułę! Należała wam ona! a wy jeszcze jej potrzebniejsi niż ona wam. Choćby dla tego należało po nią rękę wyciągnąć, aby jej nie pochwycił kto inny — niegodny!

I pięść jedną groźnie podniósł do góry.

— Połowę kapituły spoił, nakarmił, drugą obietnicami ludzi... Wszystkich obalamu- cił człowiek ten, który będzie nam zakałą. Paweł z Przemankowa! Biskupem! — dodał

ironicznie — toćby równie na Lucypera i Belzebuba głosować mogli! Ojczy Jakóbie! ratujcie! póki czas!!

— Janko miły — rzekł łagodnie ksiądz Jakób — nie unosić się. Nic to nie pomoże. Niedoścignione są wyroki Boże! My we dwu czy w kilku nie przemożemy kapituły! Oni go obiorą!

— Tośmy zginęli! — namiętnie wykrzyknął Janko.

— Ale nie! — rzekł zimno ksiądz Jakób. — Przez jednego człowieka ani kościół ani diecezja zginąć nie może.

Wybiorą — różgę Bożą na samych siebie...

Spuścił głowę.

— Choćbym sam jeden przy swem pozostać miał, — dołożył Janko, — nie ustąpię! protestować będę. Sumienie mi nakazuje.

— Ja z wami, protestować będę, — dodał starszek, — ale bez gniewu, tak jak mnie widzicie... spokojnie! Namiętność nawet w dobrem złą jest, bo zaślepia. Strzedz się jej potrzeba zawsze.

To mówiąc maleńki człowieczek wysunął się z ławy, rękami objął księdza Janko — i potupał ku drzwiom wyjrzeć, czy chłopak nań z latarką czekał.

Kanonik chodził jeszcze po izbie kapitulnej, uspokoić się nie mogąc. Mierzył ją krokami wielkimi, sam do siebie mówił, zżymał się, śmiał szydersko — gdy kroki dały się słyszeć z sieni, pytania jakiegoś powtarzane żywo i do kapitulnarza wpadł pośpiesznie ksiądz kanonik Szczepan.

— Ja was szukam, bracie, — odezwał się od progu.

Zagadnięty podniósł głowę i zmierzył go oczyma z wyrazem nieukrywanej pogardy.

— Jeszczeście się nie wyburzyli! — dodał pierwszy.

Ksiądz Janko nie odpowiadał.

— Wróciłem umyślnie aby pomówić z wami — ciągnął dalej. — Wasz opór przeciw wyborowi Pawła, nie zda się na nic, a narazicie sobie człowieka, który nigdy nie przebaca. Radzę wam, bo was szacuję, nie chcecie głosować? macie sumienia wątpliwość, usuńcie się.

— Właśnie to sumienie stać mi każe! — odparł dumnie ksiądz Janko.

— Nie sprawicie nic...

— Ale spełnię powinność — począł rozgrzewając się ksiądz Janko. — Księżo Szczepanie! Boga miejcie w sercu, pamięć miejcie na świętych poprzedników, co siedzieli na tej stolicy; nie prowadźcie na nią człowieka, któremu byście ochmistrzostwa w domu nie powierzyli. Znaćcie go jakim jest! Psy mu są droższe niż ludzie! Życie wiódł bezżenne z nałożnicami, które do dziś trzyma. Mężobójca! gwałtownik, pieniacz, mściwy! A wy go chcecie postawić na świeczniku tym, obok najstarszego księcia, którego on jest wrogiem!

— Właśnie dla tego, że mu jest wrogiem! zgadliście, — przerwał Szczepan. — Księżo Bolesław pobożny, czystych obyczajów jest, ale słaby, ale niedołączny. Nam tu innego potrzeba!

Tu się wstrzymał.

— *Ranae regem petentes!* — rozśmiał się szydersko a boleśnie ksiądz Janko. Chwycił czapkę z ławy i chciał uchodzić, gdy ksiądz Szczepan go zatrzymał.

— Ojczy! to wasze ostatnie słowo?

— Dwu ich nigdy nie miałem! Pierwsze moje jest zawsze ostatniem! — odparł sucho ksiądz Janko.

I stuknąwszy drzwiami, wyszedł.

Ksiądz Szczepan wziął się za boki, popatrzył za nim, podumał trochę, ale po krótkiej chwili, gdy sługa się wsunął do kapitulnarza, aby w nim lampki pogasić — i on wyszedł w ulicę.

Dziesiątek może drewnianych domów z ogrodami dzieliło budynek kapitulny od dworu, do którego dążył. Można było zdala poznać, że tu ktoś zamożny przemieszkiwał. W podwórzu paliła się beczka smolna, jaką zwyczajnie stawiano tam, gdzie wieczorną dobą goście byli proszeni, a koniom i ludziom w podwórzu przyświecać było potrzeba. Około niej gromadziła się czeladź służebna, konie i wozy. Beczka piwa, do której szli czerpać, służyła do rozrywki i wesolo wykrzykiwały pacholęta z niej obficie czerpiące.

Okna domu jaśniały wszystkie oświecone, a za każdym drzwi otwarciem słychać było rozhowor i śmiechy wybuchające ze wnętrza.

Od kuchen w podwórzu szli ludzie z misami do dworu nieustannie, służba związała się rażno. Sieni pełne były psów, które z trudnością ludzie drzwi pilnujący precz mogli odegnąć, bo się jak nawykłe dobijały do komnat pańskich i skomlały.

Gdy ks. Szczepan wszedł tu, znalazł wielką izbę już gości pełną. Przeważnie byli to duchowni, lecz niezbyt ściśle przestrzegający przepisy, które strój włos i powierzchowność ludzi tego stanu określały. Ledwie ich od świeckich i rycerskich panów można było rozróżnić z tego, że trochę mieli głowy wygolone w pośrodku, oręza nie nosili a suknie ich ciemniejszej barwy były.

Ale pasy, bramowania, kołnierze ich ubrań zdradzały niemal u wszystkich chętkę emancypowania się z surowych ustaw synodalnych.

Wszyscy ci panowie zażywni byli, twarze okrągłych, barczyści, rumiani i pokory, a świątobliwości wcale po nich domyślać się nie było można.

W pośrodku między nimi, pół głową ich wszystkich przerastający stał mężczyzna jak żubr zbudowany, w sile wieku, z twarzą dosyć przystojną w stroju pół świeckim, rozpiętym wygodnie, obiema rękami żyłastemi trzymając się za boki.

Postawę miał pańską, dumną, nakazującą. Oblicze to było godnem wpatżenia się w nie pilnego, bo jedno wejrzenie nie starczyło do zbadania go. Miało ono i dar przypodobania się i razem coś odpychającego. Oczy naprzemian były to wabiące to groźne. Twarz, która jeszcze zachowała pewną świeżość młodzieńczą prawie, dziwnie ruchliwa, potargana, konwulsyjnie się faldowała i drgała, niestając bynajmniej ukryć uczuć wewnętrznych, których była wiernym obrazem. Człowiek był co kłamać nie umiał i nie chciał, zbyt będąc na to dumnym.

Wśród otoczenia swojego, gdy po niem okiem wiódł, widać było, że tu nikogo równym sobie nie uznawał, że czuł się wyższym nad tych ludzi a pewnym, iż z nimi uczyni co zechce.

Był to ten sam Pawlik, co kilkunastoletni walczył pod Lignicą, co potem szalał lata długie, co młodość przeszałał, przepolował i przeuczłował, a któremu przyszła myśl w ostatku, gdy mu się wszystko przykrzeć zaczęło, zostać — księciem kościoła!

Była w tém fantazja pańska, ale i duma człowieka pragnącego panowania, do którego czuł się stworzonym. Możny pan nie mógł się jednak dobić stanowiska jakiego pożądał.

Najłatwiejszą ku temu drogą zdało się obrać stan duchowny, a w niem energią się dorabiać tego, co na innej drodze zdobyć było niepodobieństwem.

Biskupi stali wówczas na równi, jeżeli nie wyżej, niezależnie od książąt świeckich. Rzym był daleko, a władza potężna.

Raz postanowiwszy to Paweł, z tą siłą woli jaką miał gdy czego pożądał, zgrzybiałego dawnego nauczyciela swego, dziś księdza Zulę, będącego gdzieś wikarjuszem około Bochni, wydobyl z ukrycia, wziął się z nim do nauki nanowo, i chwycił co było stanowi duchownemu niezbędnem.

Obdarzony pamięcią nadzwyczajną, zdolnościami wielkimi, łatwo sobie przypomniał to, czego początki wziął był niegdyś od klechy. Resztę chciwie polykając, jeśli nie zupełnie przyswoił sobie, to dotyla zrozumiał, iż obejść się bez niej zręcznie potrafił.

Na myśli już mając przyszłe opanowanie stolicy biskupiej w Krakowie, zawczasu Paweł zaczął ugaszczać i jednać sobie kapitułę; z razu przybierając postawę skromną, a gdy lepiej ludzi poznał, oswobadzając się od przymusu tego. Siedział w Krakowie umyślnie, stół trzymając zawsze dla kapituły nakryty, obdarzając kanoników, śląc im beczułki z winem i zwierzynę, na którą polować nie przestawał po swoich i cudzych lasach, choć nieco już się z tą namiętnością ukrywał.

Pierścienie i łańcuchy ze skarbcu pana Pawła szły na palce i piersi kanoników. Staryszkowie wielbili szczodroblivość jego, podobała się im wesołość, a ci, których wielka surowość i świątobliwość Prandoty znużyła, znajdowali go daleko wygodniejszym, bo i sam dla siebie ostrym nie był i na drugich obiecywał patrzeć przez szpary.

Wśliznął się tak do kapituły łatwo pan Paweł, choć święceń nie miał. Działo się to tak jakoś zręcznie i stopniowo, że, nim się ludzie opatrzyli czem to grozi, on już zdobył sobie pożądane stanowisko.

Życie swe nakłonił wprawdzie do planów przyszłych, ale go nie zmienił wcale. Myśliwstwo, które namiętnie miłował i teraz dlań było najulubieńszą rozrywką, popisu z niej tylko nie czynił. Na dworze niewieścia usługa do zbytku liczna, dobrana wdziękami i młodością nie zbyt się nawet ukrywała z sobą. Nie jedną noc przy kubkach prześpiewano za stołem u niego, niekoniecznie pobożne nucąc pieśni.

Ale za to na nabożeństwa Paweł szumnie i dworno uczęszczał, pokazywał się na nich i do wspaniałości ich wiele przyczyniał.

Baldachimy, chorągwie, świeczniki, kręgi wosku olbrzymie, kielichy i naczynia wspinałe rozsyłał kościołom.

Tem potrafił sobie zjednać miłość znaczniejszej części kapituły i w porę rzucił tę myśl jej, iż on jako nikt na pasterza pod te czasy był stworzony.

Miała czas ona urosnąć, nim zmarł ks. Prandota, a po jego zgonie zausznicy Pawła, głośno i śmiało się z nią odzywać zaczęli. Nie całe jednak duchowieństwo uległo zastawionym sidłom — surowsi, baczniejsi ani się dali ująć, ni zaślepić. Tych opór wybuchnął teraz silny, nieprzeblągany i na dwa obozy rozdzielił kapitułę.

Przyjaciele Pawłowi co z razu ufali w to, iż zakrzyczą i przemogą, zaczęli się obawiać zbyt jawnego oporu i rozbicia.

Po tem pierwszym zebraniu kapituły rozjaśniło się bardziej jeszcze, iż wybór nie łatwo przyjdzie do skutku.

Lecz do walk przywykły Paweł z Przemankowa, wcale się tem nie zrażał, ustępować nie myślał — owszem, trudność ta zagrzała go jeszcze.

Otaczali go teraz sami ci, co mu ciałem i duszą byli oddani. Wszystkie owe ramiona i błogo uśmiechnięte postacie, co w kapitule za Pawłem głosowały, znalazły się wieczorem na jego dworze. Kilku ziemian i starsza służba pańska, dopełniali wesołego towarzystwa.

Gdy wszedł ks. Szczepan, jak zawsze butno i zamasyżycie, wszystkich oczy padły nań. Był to główny pracownik w pańskiej winnicy.

— No! ojczy! Co nam tam przynosisz? — zawołał Paweł wesoło. — Czy w sak nasz choć jedną a dobrą ulowileś rybę?

Ks. Szczepan ręce rozstawił...

— Próżny więcierz wyciągnąłem! — odparł. — Woda wielka, ryby się nie łowią.

— No! no! — odrzekł gospodarz, — znajdziemy może środki by je napędzić. —

To mówiąc, choć twarz zmarszczył, uderzył się rażno po bokach.

Wszyscy ku niemu patrzali, a gdy on powiódł po nich wzrokiem, znalazł na twarzach druhów pewne niedowierzenie.

— Obliczywszy głosy najściślej, odezwał się ks. Szczepan — nie będziemy mieli żądanej większości. — Umysły poburzone, nikt się nie cofnie. Trudna sprawa.

Paweł w boki się ująwszy, przeszedł po izbie parę razy. Nie widać było po nim najmniejszego zwątpienia. Czoło się nieco marszczyło więcej od myśli niż od troski. Ducha nie tracił.

Skinął potem na ks. Szczepana, jego i kilku wybranych duchownych wywodząc do bocznej komory...

Na przyszłego biskupa izba ta dosyć dziwnie urządzoną była.

Wprawdzie na stole leżała wielka księga jedna i pomniejszych parę, stał krucyfiks — ale na ścianach sterczały jelenie rogi, a na nich wisały trąbki, kołczany, oszczepy myśliwskie i miecze. Obok biblij z malowanymi obrazkami niedopity kubek się zapomniał i chusta szyta wzorzysto, jakby niewieścia.

— Nie można prostą drogą dojść — odezwał się Paweł gromadząc koło siebie duchownych — to trzeba szukać obejdzki. I na łowach często zwierza z boku osaczać trzeba!

Co począć!

Niech się kapituła rozerwie! niech się rozejdzie! Niech jawnie wystąpią ci, co są przeciwko mnie.

— A cóż z tego? — zapytał ks. Szczepan.

— Posłuchajcie no, — zimno począł Paweł. — Wy ks. Szczepanie, i ks. Wyszon musicie mnie zdradzić i dać się nawrócić! Tak! Gardłujcie przeciwko mnie! proszę! a gorąco! a bez miary! Mówcie, żem taki i owaki, bez czci i wiary! Nie szczędźcie! Znajdziecie czem mi rzucić w oczy!

Uśmiechnął się to mówiąc lekceważąco i ciągnął dalej.

— Gdy wybór stanie się niepodobnym, przyjdzie do naznaczenia arbitrów, bo innego sposobu nie ma. Wy w kapitule macie wagę i powagę, musicie tak czynić, ażeby was w nagrodę za waszą ku mnie zdradę — wybrano. Reszta! mówić jej wam niepotrzeba!!

Plan ten tak śmiało nakreślony zdumiał wszystkich mocno. Ks. Szczepan nawet milczał długo.

— Czy zechcą nam uwierzyć, gdy się przeciw Wam zwrócimy? — przebąknął.

— To wasza rzecz! — zawołał Paweł. — Od jutra musicie przeciw mnie wykrzykiwać okrutnie, a macie tak, aby do wyboru żadnego nie przyszło! Zmęczą się w końcu przewielebni. Stolica długo opróżniona stać nie może.. Zdadzą się na arbitrów! zdadzą!

I śmiał się spozierając po słuchaczach.

— Zwlekać potrzeba nie napędzać — dodał — rozrywać, mięsząc szyki. Niech się zawieruszy, zakotłuje w kapitule, tak, aby już innego zbawienia nie było, jeno w arbitrach.

Rzucona myśl utkwiała widocznie w głowach działaczy, poczęli rozprawiać żywo — Paweł słuchał patrząc na nich z góry.

Jakim wzrokiem! Gdyby z nich który był zrozumiał to wejrzenie zwiastujące pana i najstraszniejszego despotę!

— Mnie nie pilno — dorzucił dawszy się im wygadać. — Spodziewamy się Legata papieżkiego, tymczasem wyjadę naprzeciw, aby go sobie pozyskać. Reszta robi się sama. Oporu tych ludzi nie złamiemy inaczej, jak zwłoką. Niech się wybór odkłada.

Niektórzy probowali zarzuty czynić, lecz ks. Szczepan, który już plan ten sobie przyswoił i korzyści jego zrozumiał — całkiem się z nim godził.

Ks. Wyszon małowówniejszy, dawał tylko znaki, iż nań przystawał także i rolę, jaka nań przypadła, przyjmował.

Rozmawiali jeszcze, gdy starszy komornik Pawłów dał znać, że do wieczery czas zająć było.

Szli więc na przeciwek wszyscy, gdzie ona zgotowaną już stała, a że Paweł ucztować umiał i lubił, zawczasu wierna jego drużyna wiedziała, czego się spodziewać miała.

Po książęcemu przyjmował elekt przyszły. Sama woń potraw łechtła podniebienie. Najdroższe przyprawy korzenne, które ze Wschodu sprowadzano, drażniły powonienie z mis na wpół polewkami, wpół mięsiwem przepelnionych parując. W pośród nich inne nałożone były owocami i przysmakami, a gęsto wszędzie porozstawiane dzbany obiecywały wesołą biesiadę.

U drzwi też grajków nie brakło. Służba, z chłopców wyrostków złożona, niewieście prawie wyglądających, nie można było ręczyć, czy się choć w części z dziewcząt po mężku przeodziających, nie składała. Na stołach kwiatów nawet i liści wonnych ponarzacano, aby zapach ich więcej gości odurzał.

Samym powietrzem tej jadalni upić się już było można.

Jeden z duchownych, więcej ze zwyczaju niż z pobożności, z roztargnieniem, po cichu odmówił modlitwę, stół przeżegnał, a drudzy ledwie ręce popłukawszy i otarłszy, co żywiej miejsca zajmowali.

Nie było bowiem obojętnem, kto gdzie usiądzie, bo mis naówczas nie roznoszono, stawiano je pośród stołu i kto co miał przed sobą, po to sięgał. Należało się więc pilnować, aby zbyt daleko od pachnącej nie usiąść misy, a niepotrzebować rąk wyciągać i do cudzej się dobierać. —

U Pawła z Przemankowa obawa była mniejsza bo misy prawie się z sobą stykając stały gęsto, co szczodrośliwość gospodarza oznaczało. Zaledwie zaś która opróżniona była, chłopaki owe uśmiechnięte figlarnie, których po gładkich licach głaskali panowie, żartując z niemi, — natychmiast nowe zastawiali. Podczaszy bardzo pilny nalewał wciąż, do spełniania zachęcał. Wino też było gotowane, zaprawne i słodzone, mile się pić dające, choć do głowy szło prędko.

Zasiadłszy do tej uczyty duchowni, zdawali się o powołaniu swem zapominać. Paweł, który jadł nie wiele, uśmiechał się patrząc jak ręce w misach czerpały żwawo, a pootwierane usta pokarmy chciwie pochłaniały. Rozmowy stroiły się na ton wesoły — dowcipowano...

Gospodarz z niejaką litością, jeśli nie z rodzajem pogardy patrzył na swych gości. — Trudno było myśli jego odgadnąć. Dumał.

Z razu szmer słyhać było tylko, przerywany śmieszkami, dalej, gwar rosnać stał się taki, iż cichej gędzby u drzwi nikt już nie słyżał. Ta też piwem się racząc odpoczywała. Gęsto kręciły się żwawe chłopaki, z gośćmi sobie śmieszki strojąć poufałe.

Gdy po północy ostatni z gości powstawali, ociężałym krokiem szukać płaszczów i opończy, aby się zawlec do domów, gospodarza już u stołu nie było dawno. — Znikł im niepostrzeżony, a ksiądz Szczepan i kanonik Wyszon także się wcześniej wymknęli.

Nazajutrz znowu gromadziła się kapituła, tylko księdza Jakóba ze Skarzeszowa nie było. — Ten wiedział, że się już tam na nic przydać nie może.

Pierwszy wystąpił kanonik Janko z długą, ułożoną zawczasu mową przeciw elekcyi człowieka, na którego życie przeszłe gwałtownie powstał, w żywych je malując barwach. Oczy miał zwrócone na księdza Szczepana, który dnia tego stał niemy, posępny i nie odzywał się wcale.

Inni przyjaciele Pawła występowali gwałtownie — on — milczał.

Gdy się tak burzyło srodze, jeden z przyjaciół pana z Przemankowa wezwał księdza Szczepana, aby przecie stanął w obronie tego, którego stronę popierał.

Uparte milczenie zdumiało wszystkich.

— Mili ojcowie — odezwał się jakby z wysiłkiem wielkim i skrucą. — Dzisiaj nie mówić nie będę, bom w sumieniu mojem powziął wątpliwość... Wolę się wstrzymać.

Zdziwiło to najmocniej kanonika Janka. Spojrzał nań ostro.

— Tak, — dodał Szczepan, — wy przyczyną tego jesteście, że się zachwiałem. Nie powiem ażebyście mnie nawrócili, ale zachwianym się czuję.

Janko zbliżył się doń, objął i uściśnął. W tem kanonik Wyszon zamruczał.

— Ja także.

Ledwie słów tych dokończył, wrzawa powstała ogromna od drużyny Pawłowej, zaczęto wołać iż zdrajcy są niegodni, zmiennicy, z których ust ciepło i zimno na przemiany płynie.

Srodze się ujadano wzajem, tak, iż to posiedzenie burzliwiej się jeszcze skończyło niż poprzedzające, a ksiądz Szczepan i Wyszon opuścili je ścigani wyrzutami najgwałtowniejszemi.

Zgody nie było — noc przyszła jako rozjemca, sporom kładnąc koniec.

Ksiądz Janko nadzwyczaj szczęśliwy Bogu dziękował za cudowne nawrócenie obłąkanych, a nazajutrz po tem co spotkało księdza Szczepana i Wyszona, już ich liczył do swoich. Tych dwu pozyskanych nie dawało jeszcze większości. Zwołano kapitułę na nowo. Rozesza się gorzej jeszcze podrażnioną i rozdwojoną.

Syzma zupełna groziła. Ksiądz Jakób ze Skarzeszowa radził dać czas do rozwagi, namysłu i modlitwy... Lec z dniem każdym umysły się mocniej rozgrzewały, niechęci wzajemne rosły.

Naostatek rzucił ktoś cicho myśl, aby, unikając gorszących waśni w łonie kapituły, wybrać arbitrów trzech i im stanowczy wybór powierzyć.

Nim jednak do zgody na to przyszło i do wyznaczenia rozjemców, niemało upłynęło czasu.

Ksiądz Janko stojący na czele tych, którzy przeciw wyborowi Pawła opór stawili, zachorował mocno. Inni wodza pozbawieni, gdy i ksiądz Jakób ze Skarzeszowa na kapitułę nie przychodził — osłabił znacznie na duchu. Ciągnęło się bez końca bezkrólewie, nużące już wszystkich, nawet najcierpliwszych.

Jednego wieczora niespodzianie zaczęto się dopominać o wybór arbitrów... Jak przewidywano, padł on na księdza Szczepana i kanonika Wyszona, potajemnie sprzyjających Pawłowi z Przemankowa.

Dnia tego był on już pewien, że obranym zostanie i sposobił się do tego.

Pomiędzy duchowieństwem świeckim i zakonem Krakowa i okolicy, o przyszłym biskupie najsprzeczniejsze chodziły wieści. Tęskno oczekiwano pasterza i wodza, a Dominikanie i Franciszkanie codziennie się o to do Ducha świętego modlili.

Aż dnia jednego uderzono we dzwony o niezwykłej godzinie. Ruch wielki widać było około kapitulnarza, i wołanie w ulicy.

— *Habemus Episcopum!*

Ludzie, którzy tęsknie oczekiwali na to, niepytając już o imię, poczęli biedz do kościołów, księża do ołtarzów aby zanućcić zwyczajnie — *Te Deum...*

W świetnym orszaku tych, co po niego pospieszyli, Paweł tryumfujący jechał do kapituły, w którym z posępnymi twarzami pół duchowieństwa oczekiwało nań w głębokim smutku, ze łzami w oczach.

Blady, ledwie z choroby powstawszy ksiądz Janko, łamał dłonie powtarzając:

— Zbaw Ty nas Panie, bo upadliśmy głęboko i ręka Twa chyba podźwignąć nas może.

Lud widząc Elekta wołał:

— Niech żyje!

Za nim szli arbitrowie uśmiechający się do siebie...

II

Pod Krakowem, u Prądnika na Skale, gdzie niedawno stanął klasztor Klarysek, przez królową wdowę, Bolesława krakowskiego siostrę rodzoną Salomeę założony — smutnego dnia jesieni widać było jakiś ruch niezwykły w tym miejscu ciszy i spokoju.

Ustronie to, wzniesione wysoko, odosobnione od świata, oddzielone od niego nie tylko murem, ale całym życiem swem, kryło w swem wnętrzu drugą Jadwigę pobożną, naśladownicę jej, Salomeę.

W święte niewiasty wiek to był obfity, bo i Kinga poślubiona Bolesławowi, bratu Salomei, szła w tamtych ślady a w tropy swej świętej patronki, Cesarzowej Kunegundy.

Ten poryw ducha ku niebiosom z pogardą wszech ziemskich rzeczy, zarazliwym był! Imał się on najpiękniejszych kwiatów, szerzył po książęcych dworach.

Zawierano małżeństwa aby żyć bezdzietnie i z osobna, nie zbliżając się do siebie, zdejmowano szaty kosztowne dla przyozdabiania kościołów niemi — nie widziano nic oprócz niebios nad sobą.

Niewiasty pobożne nawracały mężów; mężowie szli za niemi posłuszni. Rycerstwo świeckie przeistaczało się w duchowne, włosiennice zastępowały zbroje. Śmierć była celem nie życie.

Na Skale ze swemi Klaryskami dokonywała tak świątobliwego żywota Salomea królowa, równie pobożna jak Jadwiga Ślązka, cichszego ducha, zatopiona w sobie, osamotniona, bezdzietna, wyszła od dobrowolnego męczeństwa. Przyszła tu pod sam Kraków położyć się ze swym obozem zakonnim, może dla tego, aby żonę brata zyskać niebu a wyrwać małżonkowi.

Z Salomeą częściej obcowiała księżna Kinga, niż z mężem, którego unikała. Tu jej najlepiej było; wdychała do tego świętego ustronia.

Posły codziennie biegały z Krakowa do Skały i ze Skały do Wawelu.

Na drodze co kilka dni widać było kryty wóz pani Kingi, spieszącej do królowej, którą czciła jak matkę. Raz tu przybywszy pobożna pani, wyrwać się ztąd nie mogła.

Dnia tego niespokojne poruszenie jakieś panowało od rana w klasztorze. Królowa Salomea przepowiadała śmierć swoją. Prerażone siostry wysłały po księżnę Kingę, po kapłanów i lekarzy.

Lecz nic się nie zdawało jawnie końca tego zwiastować świętej pani, która mówiła o nim z uśmiechem i spokojem. Jak codzien, kazała się wieść na modlitwę, klęczała na niej długo, na licu jej białem, ślicznym, anielsko wypogodzonym, choć wiek je już okrywał zmarszczkami, młodość ducha nieśmiertelnego jaśniała. Coś niebiańskiego promieniało z oblicza, którego ani starość, ni cierpienia nie potrafiły zasępić.

W tych rysach lekko poszczerbionych, zdała się z wnętrza na wskrós przebijać młodość niespożyta czystej duszy. Nie była to owa Jadwiga Ślązka z twarzą surową i groźną, która o walce jakiejś z sobą i światem świadczyła.

Na jej obliczu jaśniało już zwycięstwo i niezmacona niczem cisza błogosławiona.

Tamta karciała często, widziała w ludziach grzech ukryty, sięgała wzrokiem do ciemnych głębin — ta patrzyła w niebo i już, oblubienica niebieska, z oczyma zwróconemi ku światłości, która ją zaślepiała, nie znała może świata.

Anielska ta postać tem się wydawała jaśniejszą, iż orszak towarzyszących jej siostr Klarysek, wcale różną miał barwę.

Były to niewiasty i dziewczęta pozbierane z różnych stron, z różnych stanów, przez miłosierdzie, w większej części nieobyte jeszcze z życiem zakonnym, które, choć je starsza Matka, Czeszka Klara, starała się nałamywać do surowej reguły — dziko się z niej

wyrywały. Przykład pani nie starczył, a Salomea surową być nie umiała... Serce miłością wielką osłaniało wszelką winę...

Dziwnie wydawały się te młode siostry Klaryski, gdy się tylko cokolwiek z pod surowego oka Klary wyrwać mogły.

Naówczas w tych jeszcze nieokielznanych dziewczętach, odzywały się pragnienia świata, tęskniące za swobodą, pokaśne pieśni przychodziły im na pamięć, wspomnienia dziecięcych lat i życia wśród ludzi...

Wybiegały do ogródka, ku murom, ku wrotom, aby choć tchnąć wolniej, choć okiem rzucić dalej, choć popłakać i pośmiać się cicho. Matka Klara miała z tą swą trzódką niebardzo sworną, troskę wielką, a gdy się na to skarżyła, królowa Salomea odpowiadała jej łagodnie.

— Łaska nie przychodzi od razu, z pokusami walczyć potrzeba, czas i modlitwa oczyszczą i wybielą te duszyczki.

Najpiękniejszą z tych siostrzyczek młodszych, ale najmniej dającą się powodować matce Starszej, była Bietka z Krakowa. Ojciec jej, zubożały ziemianin, był jakimś urzędnikiem przy książęcym dworze; on i matka odumarli ją sierotą bardzo młodo. Kinga pani dała ją na wychowanie Salomei, ulitowawszy się opuszczonej. Cud był urody to dziecko; czarne oczy ogromne, usta maluskie, noszek prosty jak wyrzeźbiony, niskie gładkie czoło, policzki rumiane i cała postać zręczna, gibka, zwinna, silna. Coś wschodniego, niby południowego miała w licu, płeć odrobinę śniadą, w wejrzeniu ogień wielki i śmiałość.

Taką, jaką się dzieckiem obiecywała, wyrosła szesnastoletnią. — Mimo klasztornej, surowości, dziką, nieunoszoną, buntującą się duchem. A że wszyscy ją dla nadzwyczajnej piękności lubili i dużo pobbłażali, królowa Salomea się nią opiekowała wraz z Kingą, matka też Klara nie karciała jej zbyt surowo. Przyszła zakonnica rosła sobie dość swobodną.

Przychodziły na nią dni i godziny, gdy się w pobożność wielką rzucała gwałtownie, wszystkie inne siostry prześcigając w postach, modlitwie, biczowaniu i mękach, jakie sobie zadawała.

Wśród tych uniesień namiętnych, często upadała na siłach, — zniechęcała się, i jakby nie otrzymała tego co się spodziewała, zrażona buntowała się potem straszliwie.

Pod pozorem choroby kryła się po kątach, biegała po ogrodzie, widywano ją płaczącą, leżącą na ziemi, wołającą śmierci i wyzwolenia.

Królowa, uwiadomiona o tem, przypisywała to szatanowi, matka Klara radziła leczyć modlitwą, lecz nie pomagało nic, aż siły się wyczerpały, wróciło odrętwienie, spokój, rozpacz niema, a po niej nowe porowy i modlitwy.

Mimo tych dziwacznych przemian, wiele sobie po niej obiecywano. W klasztorze, wśród dziewcząt innych, ona była niby panią, ona widziała najjaśniej, rozumiała wszystko najlepiej, uczyła się najłatwiej — gdy chciała. Głos jej w kościele gdy śpiewała poruszał do łez czasami, słuchając jej zapomniano o modlitwie. Miała łzy i łkanie w głosie...

We wszystkich niewieścich robótkach, dozwolonych zakonnicom, ona celowała... Zdało się, jakby się ich uczyć nie potrzebowała, jakby z sobą na świat wiadomość ich i wprawę nawet przyniosła.

Dość jej było spojrzeć na coś, aby wynasładować, odgadnąć, coś swojego dodać jeszcze.

Jedną z cnót jakich reguła wymagała — pokory i łagodności, najtrudniej wpoić jej było. Choć się czasem do nich zmuszała, natychmiast krnąbrna natura brała górę, twarz płonęła dumnym wyrazem, oko się czarne zapalało ogniem, podnosiły ramiona i nieokielznana, dzika dziewczyna wychodziła z pod brunatnej sukni zakonnicy.

W tym habicie grubym, z tą zasłoną prostą nad czołem, Bietka bez żadnego stroju, z obciętymi włosy, które jej ciągle z niezmierną siłą odrastały bujne — była tak piękną, że kto ją ujrział po raz pierwszy, musiał stanąć zdumiony.

Inną jakąś zdawała się, wyższą istotą nad te co ją otaczały, wszystkie się przy niej wydawały chłopkami, ona królową.

Czuła ona to dobrze i rozkazywała milcząc nawet.

Dnia tego z kolei przypadła na nią służba przy królowej Salomei, która słabość miała do niej. Nie była ona ciężka, bo pani ta nie potrzebowała prawie żadnej posługi, nie żądała nic, żyła nieustannie zachwytem nad ziemią.

Ziemskie życie należało jej przypominać, inaczej nie jadłaby była, nie piła, nie poszła na spoczynek. Spowiednik zmuszał ją do pamiętania o sobie, tak jak księżną Jadwigę.

Teraz, gdy sobie zgon rychły przepowiedziała, to oderwanie się od ziemi większe jeszcze było i zupełniejsze. Zapatrywała się w niewidoczne dla drugich niebios, odpowiadała na głosy dla innych nie pochwytne, które po nad nią ulatywały, uśmiechała się do niewidzialnych otaczających ją postaci.

Leżała tak z rękami założonemi, rozmarzona szczęśliwa, jakby ją już mieli pochwycić skrzydlaci posłowie w obłoki.

Z lekka zaledwie pierś jej podnosiła się westchnieniem. Matka Klara i siostra Bieta patrząc na nią, widziały jak się im w oczach mieniła, rozjaśniała, rozpromieniała, odmładniała. Coś cudownego było w tem obliczu w przededniu zgon odkwitającego młodością.

Pierwszy raz teraz matka Klara uwierzyła, że zgon się jej zbliżał, bo oblicze to do życia nie było stworzone.

Nadchodził wieczór, gdy w podwórzu szmer się zrobił — przybywała Kinga pani. Była dopiero we wrotach klasztornych, gdy Salomea zbudziła się jak ze snu niebiańskiego, zwracając ku wnijszciu oczy, płonące radością nową i inną.

Było to ziemskie uczucie, choć z niebieską miłością pokrewne.

Kinga biegła niespokojna, nie pytając nikogo po drodze, choć zakonnice przyklękając przed nią, spotykały ją i wiodły, szepcząc coś.. Nie słuchała ich, lękała się może złą usłyszeć nowinę.. Spieszyła.

I to była święta pani, duchem rodzona siostra Salomei i Jadwigi, lecz młodość z całą swą krasą, czyniła ją jakby białą lilją, co się zaraniem wiosennym rozwinie.

Piękna była, jaśniała wdziękiem dziewiczym, choć wszystka ta krasa nie zdała się stworzoną dla ziemi, nie było w niej nic ludzkiego, oprócz tęsknicy dusz wygnanych. —

Błada i bez rumieńca, płci nie świetnej, przygasłej, twarz miała narysowaną przedziwnie, oczy czarne i rzęsy, co jak zasłony spadały u tych okien ducha, bojaźliwie otwierających się ku światu.

Małeńkie usteczka ledwie widocznym prążkiem przecinały owal twarzy nieco zwężony i schudły.. Wyraz ich był łagodny i przelękły, a mimo to na czole w wejrzeniu coś zwiastowało silną wolę, czujną i nieuspioną baczność.. Piękne jej włosy czarne starannie były pokryte czepcem, prawie do zakonnej podobnym zasłony. Suknię miała szarą i nieozdobną, żadnych błyskotek na niej, tylko do podróży, jako oznakę dostojeństwa musiała wdziać płaszcz, który się z ramion jej zsuwał. Suknia wielkimi fałdy spadała na postać szczupłą i wiotką — którą posty, bezsenność i modlitwy wysuszyły.

Coś cichego, skromnego było w tej pani królewskiego majestatu, a anielskiej skromności. Głos, którym się odezwała w progu stanąwszy i ujrawszy Salomeę, brzmiał, jak dziecinny, słodko i łagodnie.

Wyciągnęły ręce ku sobie.

— Siostró moja!

— Królowo!

Poklękła Kinga przy łożu i uściskawszy się, pozostały tak długo połączone z sobą, nie mogąc przemówić słowa. Obie czuły, że to był może uścisk na ziemi — ostatni.

Matka Klara i inne zakonnice, które do progu księżnie towarzyszyły, cofnęły się od niego.

Dwie święte niewiasty zostały same.

Wśród tego milczenia dzwonek klasztorny dał się słyszeć, wołając do chóru na modlitwę. Dla obu ich był to znak, iż trzeba było o sobie dla Boga zapomnieć.

Salomea siadła składając ręce wychudzone, a Kinga pozostała przy niej na klęczkach — pochyliwszy głowę. W korytarzu słyhać było spieszenie przesuujących się zakonnice i nowicjuszeki, które do chóru spieszyły.

Duchem zjednoczone z niemi dwie pobożne niewiasty, poczęły odmawiać modlitwy wieczorne. Wkrótce też wśród ciszy dały się z dala słyszeć śpiewy, a po nad niemi górujący siłą namiętną — która się dziwnie odbijała w uszach słuchaczek — śpiew Biety.. Ta nawet do Boga się odzywając, nie mogła zmusić do pokory, a w dźwięku jej brzmiała boleść, wyrzut, coś zbuntowanego i przerażającego zuchwałstwem...

Na twarz królowej Salomei wystąpił wyraz boleści i niepokoju. Lecz śpiewy wnet ucichły, zagłuszone szmerem modlitwy...

Noc już nadchodziła, sługa wniosła lampkę oliwną. Skończyły się pobożne ćwiczenia, królowa zwrócona ku Kindze, odezwała się głosem drżącym.

— Raduj się siostrzo moja, szczęściem mem, albowiem maluczko oczy te ujrzą oblubienca i zrzucą z siebie szatę cielesnej niewoli.

— Królowo ma! królowo! a ja zostanę tu sierotą! — odparła Kinga. — Tyś mi była siostrą, matką, nauczycielką, przykładem, pociechą i tarczą! Cóż pocznę bez ciebie?

— Walczyć będziesz jakom ja walczyła.. cichym głosem mówiła Salomea — o siostrzo moja droga! Skarb ten, dla którego tu cierpiemy nie jest że wart tej ofiary?

— A! — ciągnęła dalej Kinga wciąż na kolanach u łoża królowej — chciałabym jak ty czystą pójść do niebios w białej chrzcie szacie, niezmazanej żadną ziemską namiętnością, lecz życie długie! Stan mój ciężki! ten, którego mi za męża dano pobożny, lecz po ziemsku jeszcze miłujący mnie...

Zakryła twarz śliczną rękami.

— Siostrzo moja — poczęła Salomea. — Ty mi własne moje powtarzasz dzieje. I jam przetrwała toż samo, i mój Koloman kochał mnie ziemską miłością, pókim w nim niebieskiej rozzarzyć niepotrafiła.

Tu jakby jej głosu zabrakło, sparła twarz na rękę — milczała chwilę.

— Posłuchaj — odezwała się po namyśle nie patrząc na Kingę — posłuchaj! Byłam jeszcze młodą naówczas, bardzo młodą... pokusy cielesne miały jeszcze władzę nademną. Staczałam bój z niemi. Musiałam nietylko miłości Kolomana, ale własnej dla niego się zapierać. Raz! pomnę ten dzień próby! Ja, com zawsze chodziła ubogo i skromnie odziana, starając się pozbyć znikomej piękności, mającej pójść robactwu na pastwę, raz, gdy męża mego nie było na zamku, uległam myśli grzesznej. Do koła mnie wisiały mnogie szaty wytworne, klejnoty piękne, których nigdy nie tknęła ręka moja. Byłam sama, dziecinny umysł mój, nie widział niebezpieczeństwa.. Dokuczala mi myśl uparta, abym choć raz, raz w życiu zobaczyła się taką, jakąbym mogła być, gdybym się nie wyrzekła świata.

Prędko zwlekłam z siebie szaty potargane, znoszone, ubogie, które mnie pokory uczyły. Gorączkowo poczęłam się przystrajać, ubierać, wkładać na siebie te stroje bogate i najdroższe klejnoty...

Piekły mnie one jak uścisk grzechu... ale żądza jakaś nie dopuszczała tych kajdan pokruszyć. Stałam tak strojna, drżąca, przelekła i uradowana sobą, gdy się drzwi otwarły.

Mąż mój stał w progu, zdumiony ujrzał mnie w całym piękności blasku, której nigdy nie oglądał. Zapłonęło mu lice, rzucił się ku mnie, namiętnie chwytając i cisnąc ku sobie.

Księżna Kinga słuchając, krzyknęła.

— A! straszna to była chwila, jam postradala pamięć z trwogi wielkiej, czułam serca jego bicie, oddech jego żarzący na twarzy — westchnęłam o ocalenie do Boga! W tem Koloman, któremu usiłowałam odtrącić, puścił mnie, załamał ręce i krzyknął — Boże! jakąż ja dla ciebie czynię ofiarę!

Zapłoniona padłam na ziemię, modląc się i szlochając. Wyszedł. Odtąd nie wdziiałam już nigdy tych sukni grzechu...

Siostrzo moja — i ty tak czynić musisz, abyś nie znikomą pięknoscią, ale cnotą twą stała się mężowi drogą.

— Królowo moja — odparła Kinga. — Ty wiesz! Już on raz odepchnął mnie gniewny i porzucić chciał — już byłam raz w klasztorze... i u tego portu byłabym została — ale nie o moją jedną szło mi duszę.. Na to nas Bóg związał ślubem małżeńskim, abym go prowadziła do światła! abyśmy razem zyskali wieczną szczęśliwość!

Długie życie, długą walkę mam przed sobą.

— A dla mnie ona z jutrem się kończy! Jutro, — zawołała radosnym, ale już słabym głosem królowa Salomea — Jutro! Bóg mnie do siebie powoła.

Całą noc spędziła Kinga przy łożu królowej, która, jakby w oczekiwaniu przyjścia oblubienca, gotując się na gody — to drżała radością nadziemską, to modliła się, całowała i błogosławiła bratową.

Dla obu tych niewiast pobożnych noc to była uroczysta, dziwna. Mroki jej rozjaśniały widzenia, sen przeplatała modlitwa. Była pół snem, pół marzeniem, potęgującym się gorączką, coraz większą i podniesieniem ducha.

Wśród ciszy klasztornej, którą tylko szum wiatru objijającego się o mury przerywał, odzywał się czasem czujny dzwonek i pieśni zakonnic brzmiały zdaleka...

Zakonnice też nie spały, przepowiednia królowej, która była duszą klasztoru, napełniała siostry trwogą. Co miały począć bez tego opiekuńczego anioła, bez tego wodza, bez

tej siły, co niewidoma nigdzie na każdym podierała je kroku? Niewysłowionej dobroci królowa zdawała się cichym gościem tylko, lecz świątobliwością swą była panią i mistrzynią.

Od jutra miało jej zabraknąć!

Wieść o tej przepowiedni, o której nikt nie wątpił, bo każde słowo Salomei się iściło — ze Skały już doszła była do Krakowa.

Wiedziano o tem na Wawelu, a tegoż dnia i na Wiślniej ulicy w biskupim dworze u ks. Pawła z Przemankowa.

Pasterz ten nowy, jak powiadali wszyscy, postrachem stał się dla kapłanów, co czasy pobożnego Prandoty pamiętali. Wdziawszy suknię we Wrocławiu, wyświęcony razem na kapłana i pasterza, za łaską papieżkiego Legata, któremu zabiegłszy drogę, zyskać go sobie potrafił — zaledwie dni kilka powściągnął się od starego swojego obyczaju.

Wkrótce na dwór powrócili myśliwcy, zauszniccy, drużyna wesola, czeladź pańska płci obojej, rozpasanie ziemianina żyjącego w pogańskiej swawoli. Ze zgrozą patrzali na to starzy duchowni, jak ks. Jakób ze Skarzeszowa i kanonik Janko.

Jeśli nie ze słów, to z twarzy mógł rozpoznać Biskup, jakie w nich budził uczucia, ale, zuchwały pan, szydził z nich i najgwałt się z nieprzyjaciół, a odgrażał!

Książę Bolesław i żona jego Kinga, szanując w nim ojca duchownego, przerażeni byli tem, co im co dzień o nim donoszono, co jawnem było i świadomem wszystkim.

Zywał się książę Bolesław, lecz poczynić nic nie śmiał przeciwko Biskupowi, nad którym władzy nie miał. Księżna Kinga wierzyć nie chciała temu, co rozpowiadano.

Codziem z nowemi przychodzono na dwór wieściami. Szczególniej Toporczyki dwaj, księciu ulubieni, łowów jego towarzysze, Biskupa potępiali przed panem, i z oburzeniem się o nim odzywali.

Przychodziły skargi z miasta, ze wsi — od księży. Jak pamięć ludzka sięgała, nikt takiego pasterza nie pomniał.

Część surowsza kapituły zwała go Antychrystem.

Szemrano na dworze, a ze dworu szmer ten dochodził na Wiślną ulicę. Biskup nań wzgardliwem ruszeniem ramion odpowiadał...

— Niech siebie pilnują, ja za me sprawy odpowiadam. Nic im do nich!

Dawniejsza niechęć ku Bolesławowi rosła coraz w Biskupie, o pobożnym księciu odzywał się lekceważąco. — Jemu nie księciem a mnichem zostać było, a żonie zakonnice. Nie powinien był na stolicę wchodzić, której obronić nie umie.

! Konrada nam tu trzeba i Mazurów, aby za lby wzięli tych świętych i rozpędzili ich, a panowali nam po rycersku.. Wszystko to niemce są, a przez nich i my poniemczujem!

Nie tał się z tem ks. Paweł, że nie w smak mu były rządy ówczesne. Nie zrywał przeto ani z panem, ani z dworem, tylko gdy się z niemi spotkał, dumniejszym się stawał i szorstkim umyślnie.

Gdy wieść o umierającej królowej Salomei nadeszła na dwór biskupi, noc już była, wesoly stół obsiadali zwykli ks. Pawła towarzysze.

Biskup zadumał się nieco.

— Tamby mi przystało być, — rzekł, — jeżeli królowa zemrzeć ma. Rozporządza jeszcze znacznymi skarby, które z sobą z Węgier przywiozła. Dla kościoła i dla nas cośby się z nich dało pozyskać.

— Wszystko pono wezmą ulubione Klaryski — odezwał się butny ksiądz Szczepan. — Niema się tam już czem pożywić.

— Ale probować potrzeba, — odrzekł Biskup. — Bez tego, jutro piątek, polować nie mogę. Ci długojęzyczni zaraz paplać będą, trzeba im gęby zamknąć. Niech mi jutro woźniki gotowe będą do Skały.

— A komu, miłość Wasza każecie z sobą? — zapytał młody księżyna kapelan, ulubiony biskupowi.

— O! chce ci się zajrzeć do młodych zakonnicek, — rozśmiał się rubaszenie Biskup. — A no! nic z tego! Wezmę starego księdza Piotra, aby świętych niewiast nie bałamucił.

Niektórzy uśmiechali się ukradkiem, inni szepotali wesoło między sobą.

Nazajutrz rano do dnia, kolebka stała u drzwi, a Biskup Paweł z sędziwym księdzem Piotrem, z kilku dworzany, wyruszał do Skały.

Przybył tu właśnie o tej godzinie, gdy zakonnice z chóru wychodzące przechadzki po ciasnym podwórku używały.

Trochę słońca świeciło na szarem niebie.

Traf chciał, aby Biskup, dla którego klauzura stała otworem — wchodząc na próg spotkał Bietę, której nigdy jeszcze nie widział.

Zakonnica, wedle zwyczaju, przyklękła przed nim z pokorą, sięgnęła po błogosławiącą rękę do ucałowania, podniosła oczy, ukazała twarz prześliczną.

Ksiądz Paweł osłupiał zdumiony.

Przybrana powaga opuściła go, oczy mu się zaiskrzyły, zapomniał o szatach i dostojności, z namiętnością zepsutego człowieka począł się uśmiechać do klęczącej i głaskać po twarzy. Wzrok Biety spotkał się z temi oczyma pożądliwymi, jad lejącymi z siebie. Dziewczę zbladło ze wzruszenia, zasromało się, o mało nie mdlejąc.

Scena ta niema, straszna w tym proggu klasztornym jak świętokradztwo, straszniejsza jeszcze myślą o konającej tuż, o trzy kroki błogosławionej pani — byłaby się przeciągnęła może, gdyby matka Klara nie zbliżyła się na powitanie pasterza. Bieta zaledwie mogła podnieść się z ziemi, sparła o ścianę i oczy swe czarne, które łzami zaszyły, zwróciła jeszcze ku odchodzącemu Biskupowi.

Ksiądz Paweł zadrzał, chciał zawrócić się, ale mu już zasłoniono Bietę — oprzytomniał. Prowadzono go do izby królowej.

Gdy oznajmiono o przybyciu Biskupa, na twarze dwóch niewiast wystąpiła bledość trwożna. Potrzeba było przełamać wstręt do człowieka a uczcić pasterza.

Ksiądz Paweł tam, gdzie jako Biskup występował, godność swą wysoko nosił, i tu wszedł jako dostojnik kościoła, jako poseł niosący pociechę. Z pokorą niemą przyjęły go dwie pobożne panie, Salomea spuściwszy oczy, unikała wejrzenia nań, księżna Kinga w cieniu usiadła na boku.

Ofiarował się ksiądz Paweł do modlitwy.

Tu zniknąć musiał człowiek, grzeszne naczynie, przez które łaska zstąpić mogła.

Cicho — z przejściem szeptano za nim modlitwy.

Po skończeniu ich, Biskup wystąpił ze słowami pociechy, napomykając o tem, iż kościół za duszę królowej modlić się będzie, i pamięć jej uczci. Umiejętnie wspominał o ubóstwie kościoła i swoim, kościół właśnie ołowianego potrzebował dachu, bo wieże zaledwie nim pokryte były...

Królowa jakby zatopiona w sobie nic na to nie odpowiedziała. Musiał więc, zawsze niecierpliwy, nie mogący długo na jednym wytrwać miejscu, duszący się tą atmosferą klasztorną Paweł pożegnać błogosławiąc królowę, która już ostatnie pomazanie rano z rąk spowiednika swego Wojciecha przyjęła. Testament był też spisany, do którego na świadka tylko został wezwany wraz z dwoma gwardjanami, lektorami i innemi duchownymi.

Niemając już tu co czynić, byłby odjechał Biskup nazad, gdyby go grzeszna myśl nie wstrzymała.

Wyszedłszy od królowej począł badać matkę Klarę. Salomea na ten dzień przepowiedziała zgon swój, chciał dotrwać, aby być świadkiem.

Otwarto refektarz dla niego...

Po korytarzach przechodząc śmiało wodził oczyma. Zakonnica widziana nie wychodziła mu z pamięci.

Zażądał zwiedzić cele klasztorne.. a choć zakony reguły Ś. Franciszka nie należały właściwie do biskupiej władzy — któż mógł Pasterzowi wzbronić ich widzenia?

I znowu to, co się zowie trafem, a co jest zagadką nierozwikłaną przeznaczeń ludzkich — sprawiło, iż pierwsza celka, do której wszedł, była tą właśnie w której Bieta, zmieszana w oknie, sparta na łokciach stała zamyślona — o tym wzroku, co ją przeszył, od którego drżała jeszcze...

Gdy Biskup wszedł, odwróciła się szybko ku niemu zarumieniona, stokroć piękniejsza, niż gdy ją oglądał raz pierwszy — bo oko namiętne rozeznac w niej mogło niepokój zmysłów i ducha.

Ujrzawszy ją, ks. Paweł zwrócił się do matki Klary, prosząc, aby mu wody szklanek przynieść kazała. Spodziewał się na chwilę sam pozostać z zakonnica.

Tak się stało. Matka zamiast wysłać Bietę, pobięła sama.

— Kto ty jesteś? — zapytał żywo z zuchwalstwem świeckiego człowieka, zbliżając się do niej Biskup i chwytając ją za rękę drżącą.

Dziewcze znowu na pół omdlałe ze wzruszenia jakiegoś, ledwie się na niewyraźną zebrało odpowiedź.

— Co cię do klasztoru wpędziło? — zapytał natrętnie Biskup. — Nie zdajesz się do niego stworzona? piękną jesteś...

Spojrzał jej w oczy natrętnie i nieczekając odpowiedzi dorzucił:

— Chcesz z niego wyjść? ja ci pomogę do tego!

Słyszając szelest sukni i chód matki Klary, odstąpił Paweł od zakonnicy. — Bieta cofnęła się ku oknu.

Przyniesioną wodę podano Biskupowi na kłęczkach... Pił ją patrząc z ukosa na zakonnicę, która też ostrożnie mierzyła go oczyma, wcale nie bojaźliwymi. Była w nich jasna odpowiedź na pytanie — Chcesz-li wyjść?

Słowo to szatańskiej pokusy w piersi jej tkwiło — tętniało w uszach, biło krwią w sercu falując...

Biskup wyszedł z matką Klarą, Bieta została sama — niewiedziała co się z nią działo. Słyszała tylko powtarzające się ciągle:

— Chcesz-li wyniść ztąd?

Wyjść! wyjść na świat otwarty, wesoły, na którym była swoboda, spoczynek, sen, radość — wszystko o czym marzyła nieszczęśliwa — wyjść! Za wrotami we snach raj widziała!

Śluby, przysięga, niebo, znikły z jej oczu... To, za czem tęskniła, mogło się ziścić. On obiecywał jej wolność, On co był tu panem i władcą! Wyjść! brzmiało jej na modlitwie, wyjść! piekło ją jak żagiew do serca przyłożona.

Zdawało się koniecznością uciec ztąd — wrota stawały otworem!

W świat — którego nie znała!...

III

Uroczysty był pogrzeb królowej Salomei, którą świętą głoszono za życia. W bocznej kaplicy przy kościele na ten cel zbudowanej, miano złożyć jej zwłoki.

Z Krakowa książę Bolesław, Kinga, dwór, duchowieństwo, płynęło dnia tego do Skały, tysiące ludu spieszyło do zwłok tych świętością wonnych, których dotknięcie sprawiało cuda.

Biskup Paweł musiał tu być z obowiązku, ale nie spieszyłby może tak z jego spełnieniem, gdyby grzeszna namiętność nie ciągnęła go do Skały. — Zepsuty a bezwstydnny człek dawny obudził się pod tą suknią, która powinna go była oczyścić i odrodzić. Walczył z sobą, przemódz się niechcąc i niemogąc.

Cóż zresztą znaczyła jedna zakonnica biedna, i czy to był pierwszy przykład ucieczki z klasztoru? Książęta porywali za żony oblubienice Boże i uchodziło im to bezkarnie.

Życie Biskupa było wprawdzie na oczach ludzkich, każdy krok jego liczony i sądzony — lecz czyż ukryć się z tem nie było sposobu?

Myśli te dręczyły księdza Pawła, nawet gdy sprawiał smutny a uroczysty ów obrzęd, który we wszystkich budził najgorętszą pobożność.

Dnia tego wiodąc zwłoki, przewodnicząc duchowieństwu duszą był gdzieindziej, a oczyma szukał za kratami chóru onej Biety...

I znalazł ją tam. Nie ją samą ale z pomiędzy szczebli patrzących na się dwoje oczu rozżarzonych, w których całe piekło gorzało.

Oczy te gonić się za nim zdawały, i rozplómiły go na nowo...

Gdy po odbytem nabożeństwie poszedł spocząć do refektarza nie pozdrowiwszy nawet księcia i jego małżonki — rozmyślał tylko jakimby sposobem mógł matkę Klarę rozpytać o tę zakonnicę, nie budząc podejrzania.

I byłby zapewne znalazł pozór do tego, gdyby również potrzebującego wypoczynku nie wprowadzono tu księcia Bolesława. Towarzyszyła mu żona, lecz niechcąc zeprzeć się na jego rękę, szła opodal za nim nieco.

Wiemy już, jaki był stosunek dworu książęcego i pasterza. Dwaj Toporczycy, główni nieprzyjaciele księdza Pawła, właśnie towarzyszyli Bolesławowi.

Książę był naówczas w sile wieku, postać miał wdzięczną, człowieka jednak zawczasu już dosyć znużonego życiem. Z twarzy z oczyma obojętnie patrzącemi, wiało znękanie i zastygnięcie. Zgasł w oczach płomień rycerski, męzka buta, pańska siła; panowanie i dostojność ciążyły mu się zdawały. Dźwigał je jak człowiek co się od brzemienia uwolnić nie może, nawykł doń, lecz złamany już zwątpił o sobie i zubożył na wszystko...

Książę, jak cały dwór jego, jak większa naówczas część Piastów, strojny był i zbrojny z niemiecka.

Język też ten wśród jego dworu, najczęściej się słyszeć dawał.

Szaty pańskie dosyć niewykwintne, leżały na nim ułożone bez starania, noszone bez dbałości o nie. Pas się zsuwał na jedną stronę, suknia pod płaszczem była porozpinana i nie baczenie na guzy pozaciągana tak, że się kurczyła i wyginała na nim. Włos niedbale rozrzucił się na głowie.

Zobaczywszy Biskupa, Bolesław go chłodno pozdrowił, Biskup skłonił się chmurny i zasępiiony, nie spiesząc panu dworować. Kinga na boku stanęła w żalobnych szatach, owinięta płaszczem, jakby księdza Pawła widzieć nie chciała. Książę i Biskup, od dawna wstręt czujący ku sobie, jedno mieli wspólne upodobanie, — oba równie byli zapalonemi myśliwcami.

Dla księcia Bolesława łowy i psy stanowiły jedną żywszą w życiu przyjemności pozabawionem zabawką. Mówiono o nim, że za sforę psów łaskę sobie u niego kupić było najłatwiej.

Biegał po lasach polując namiętnie, bo to była jedyna dozwolona rozrywka. Z żoną żyć nie wolno mu było, a Kinga jeżeli go nawracać nie mogła, uciekała od niego. Gdy się do niej zbliżyć pragnął, kryła się przed nim lub przyjmowała go w otoczeniu dworu swego; sam na sam nigdy się już nie spotkali, w czem naśladowała pilnie przykład Jadwigi Śląskiej. Rozmowom ich lub starsze niewiasty albo ktoś z duchownych zawsze być musiał przytomnym. Na łowach tylko książę się mógł rozweselić, zażyć swobody, posłyszec śmiechy i zobaczyć twarze rozjaśnione... W domu pobożność wielka dawała życiu barwę posępną.

Łowy też miłował Bolesław nadewszystko, w psiarni najchętniej przesiadując gdy powrócił z kościoła i dzieląc czas między nabożeństwem a myślistwem.

Dwaj Toporczycy, dzielni młodzianie, towarzyszyli mu wszędzie, wyszukując ostępów, kniei, dostarczając ogary.

W tym myśliwskim zawodzie książę szedł na wyprzódki z Biskupem, który nie zważał wcale, że ta zabawa stanowi jego wcale nieprzystawą a nawet prawem była wzbronioną. Szły o lepszą psy księdza Pawła z psiarnią książęcą, a Biskup głośno się chlubił, iż gończe jego sprawniejsze były. I to może po trosze zniechęcało doń księcia, który o swoje był zazdrosny.

Dzień ten tak smutny a poważny, wcale nie usposabiał do płóchej rozmowy, Biskup wszakże naumyślnie może dla okazania jak mało dba o ludzkie języki, od niechcenia ozwał się półgłosem, iż jesień tegoroczna sprzyjała łowom, że wiele po niej obiecywał sobie.

Książę spojrział nań zimno, prawie wzgardliwie.

Stali dosyć blisko siebie.

— Sądzę, — rzekł cichym głosem Bolesław — iż obowiązki powołania nie dadzą wam często zaglądać do lasu.

Ksiądz Paweł uśmiechnął się na to.

— Nie większa moja diecezja — rzekł — od waszego księstwa... Umiem pogodzić to co Bogu należne z tem, co mnie potrzebne...

Zbyt długo nawykłem do swobody, abym jej miał sobie nagle ukrócić... Książę też ludźmi są, a inni Biskupi nie tylko na łowy, i na wojnę chodzą... Znajdzie się czas na wszystko...

Na wyzwanie to nie odpowiadając książę, rzekł do jednego ze swoich Toporczyków:

— Gdy książę na łowy jeździć zacznie, my chyba mszę będziemy musieli odprawiać!

Usłyszał ten przekąs pański, ksiądz Paweł, przymrużył oczy mierząc niemi Bolesława, dając czuć, iż on go nie dorósł, aby się nań porywał. Chwilę żuł wyraz jakiś w ustach skrzywionych i odparł pół-cicho.

— Przysłało nam tak mieniać się na zawody, kiedy żonaci księżęta czynią śluby czystości.

Bolesław zarumienił się mocno, trochę poruszył z miejsca — cofnął, ale w tem sportkawszy wejrzenie Kingi, która tę rozmowę więcej odgadywała niż słyszała — wzrok, któremu był nawykł ulegać — uspokoił się i odzyskał obojętną cierpliwość. Udał, że niedosłyszał szyderstwa, które mu dolegało.

Jeden z Toporczyków tylko, wyręczając księcia, zwrócił się nieco od Biskupa ku panu swemu i rzekł półgłosem:

— Gdy duchowni czystymi nie są, księżęta muszą ich uczyć przykładem swoim.

Ksiądz Paweł nogą z gniewu uderzył w podłogę, ręka sięgnęła mimowolnie tam kędy niegdyś rękojeść miecza się znajdowała.

Chciał śmiałka skarcić, lecz powstrzymał natychmiast i zamruczał:

— Wara z językiem! *Quod licet Jovi, non licet Bovi!*

Tymczasem Toporczyk nie czekając na tę odpowiedź i słysząc jej nie chcąc, uszedł zaraz z miejsca swego, dosyć lekceważąco okazując Biskupowi, iż nie troszczy się o to wiele, co mu powie.

Ksiądz Paweł zburzony wielce, byłby zapewne potem wyszedł zaraz z refektarza, gdyby nie przyniesiono właśnie wina i ciasta, którem zakonnice i dwór królowej nieboszczki jako chlebem żalobnym częstowały. Podano je księżnie naprzód, potem księciu razem i Biskupowi, który nalawszy sobie kubek wielki, wychylił go jak — Templarjusz. Słyszeły już naówczas owi rycerze, co takie mieli dać kościołowi zgorszenie, z niepomiernego picia i ucztowania.

Ci, co bywali w Syryi i Palestynie, opowiadali cuda o bogactwie i rozpasaniu, w jakim żył zakon, który królów wyzywał, a był naówczas jedną z największych potęg grozdem swym i przewrotną polityką.

Książe Bolesław zaledwie do ust przytknął napój i przełamał chleba kawałek. Jedząc, parę razy spojrzeli ku sobie, a wejrzenia te zgodą nie tchnęły.

Po długim przestanku, Biskup obrócił się do księcia i rzekł:

— Świętą pogrzebaliśmy! Świętą, jakich już ja dwie u nas pomnę, bom swojego czasu, Jadwigę Ślązką oglądał żywą, wyrostkiem będąc, gdym z pod Lignicy powracał... Sposobi się też trzecia święta, w małżonce Waszej Miłości, która obu swym poprzednikom sprosta.

Był odcień jakiegoś szyderstwa w tej pochwalie, a blada twarz księżnej Kingi, która ją dosłyszała, zarumieniła się lekko. Bolesław też odparł obrażony:

— Dla nas mężów dziś niewiasty wzorem... a choć słabemi je mienią, w nich siła jest większa niż w nas, za co Bogu dziękować.

Biskup dwuznacznie się uśmiechnął.

— Mnieby czas, — rzekł po przestanku, — do Krakowa powracać. Jutro, niechybnie, dobre pole będzie, niechęć go stracić.

I postąpiwszy krok, a księciu chcąc jeszcze dopiec, dodał z pozornym namaszczaniem:

— Wasza miłość pewnie z małżonką u grobu błogosławionej na modlitwie spędzicie?

Bolesław nie odpowiedział nic.

Skłonili się sobie z dala, Kinga pobożna, jak zawsze anielskiej dając dowód cierpliwości, wstała i z pokorą a unizonością pożegnała Biskupa. Była to ofiara, którą czyniła przemagając wstręt jaki doń miała. W praktyce cnót pilno się ćwicząc, nie chciała pobożna pani opuścić tej zręczności umartwienia siebie i upokorzenia.

Ruszył się naostatku Biskup przez niektórych przeprowadzany do drzwi — zamaszysto, głośno, dumnie; umyślnie poruszając wszystkich za sobą, odzywając się na głos wielki, aby swą niezależność od księcia okazał. Bolesław z żoną pozostali w refektarzu.

Zwolna szedł ksiądz Paweł korytarzami, śledząc, czy nie zobaczy jeszcze gdzie tych dwojga oczów czarnych, które ciągle miał przed sobą. Czatowała też i Bieta we drzwiach na pół otwartych swej celi, jakby mu się przypomnieć chciała. Spojrzała nań wyraziście i znikła.

Ksiądz Paweł wstrzymawszy się krótko, przyspieszył potem kroku i żywo począł iść w podwórze, gdzie nań już czeladź z pochodniami czekała.

— Być musi moja! — rzekł w sobie.

Do wozu kazał się z sobą przysiąść zaufanemu Werchańcowi.

Był to pono niegdyś parobczak z Przemankowa, który mu dawniej do psot i szaleństw posługiwał. Z kolei, od pacholka się podnosząc doszedł do urzędnika, ochmistrza i był wielkim ulubieńcem pana. Dopomagał mu też do wszystkiego złego. Znali się oba dobrze, a miłowali tak jak ludzie podobni kochać mogą.

Gwałtowny Paweł okrwawiał czasem swojego zausznika, niekiedy go obsypywał łaskami. Nadał mu ziemię, lasy, młyny, ale od siebie nie odpuszczał. Obyczaje mieli jedne, charaktery podobne, żyli w ciągłej waśni i w najlepszej zgodzie. Biskup go psem nazywał, za oczyma Werchaniec mianował go nie synem Jazdona, ale szatana synem.

Werchaniec żonaty był z jedną z dawnych Pawła miłośnic. Ta mu pomagała do gospodarstwa na dworze i gdy sprawa z niewiastami była. Nie zbyt już młoda, wyszczekana, wstydu niemająca Werchańcowa Zonia, mogła mężowi dostać placu i do kubka i do klótni i do wszelkiej swawoli. Zręczniejszą często była od niego.

Zonia nie wiele więcej szanowała Pawła od męża, rozgniewawszy się nań często w oczy go lajała, co on przebaczał śmiejąc się, lub ujadając zęb za zęb. Mawiał czasami, że się tej baby obawiał.

— Słuchaj ty, psie — ozwał do wozu siadłszy Biskup, jak ty mi z Zonią usłużył w tem czego chcę, dam ci to na coś dawno zęby ostrzył — las od Bukowej.

— Oh! oh! — odparł trochę przyjęciem pogrzebowym oszołomiony Werchaniec. To się już W. Miłości czegoś bardzo złego zachciało! Drogo płacisz, pewnie grzbietu, policzka, albo i życia przyjdzie nastawić.

— No, nie tak to bardzo trudna będzie sprawa, — odparł Paweł, i pochyliwszy się do ucha Werchańcowi z dawną poufalskością, coś szeptać mu zaczął.

Werchaniec chudy człek z pobitą twarzą, ze złemi oczyma, z nosem trochę krzywym na lewo, a ustami na prawo wypaczonemi, zmarszczył się słuchając. Śmiejąc się z przymusem jakimś, Biskup patrzył nań, usiłując dojrzeć, o ile światło pochodni dozwalało, co się na twarzy zausznika malowało.

Werchaniec trawił, co mu włożono do ucha, pokręcając głową.

— Za to i lasu od Bukowej za mało! — bąknął. — Ale ja tej sprawy na sumienie nie wezmę! Pan każe, sługa musi! Gorzej będzie Biskupowi, na którego i tak ludzie plują.

— Za oczyma! niech plują! — odparł Paweł — o kim wiem, temu za płwociny oddam krwią!

— To się nie ukryje, — ciągnął dalej obrzydły Werchaniec, twarz całą gdy mówił, wywracając i szpecąc jeszcze wykrzywieniem.

— Nie ukryje się! To co? Nie pierwsza to będzie.

— E! — pokręcił głową ochmistrz — tu w Krakowie — jeszcze tego pono nie widziano!

Zamilkłszy jechali dalej, Biskup nie spuszczał zeń oka, odgadując co myśli. Werchaniec tarł głowę i dumał głęboko.

Ku Krakowu się już zbliżali, gdy ks. Paweł silnie go ręką po ramieniu uderzył, aż syknął z bólu.

— No, mówże! co ty na to? psie jakiś!

— Ja? Ot nic — rzekł Werchaniec — myślę o lesie od Bukowej, bo do niego też chłapiec pola i łąki należeć musi, bez tego granica zła...

— Niech cię szatan z twą chciwością — krzyknął Biskup, pole i łąka do Cystersów należą.

— A Cystersi są w naszej mocy.. — rzekł spokojnie ochmistrz. — Nakażecie im milczeć. Oni łąki i pola nie spaszają, ni uprawiają, co im po nich. Dam dziesięć z wiatru co po polu chodzi!

Targ ten o cudze pole już był dla Biskupa oznaką, że Werchaniec wziął jego sprawę do serca. Dojechali do dworu, nie mówiąc więcej, a ledwie z wozu skoczywszy ochmistrz, natychmiast pobiegł do żony.

Mieszkała ona jako ochmistrzyni nad czeladzią przy dworcu samym, służbę niewieścią mając pod sobą. Działo się jej dobrze, widziano, co mogła i duchowni nawet kłaniali się jej nisko. Ona najlepiej wszystkich tu znała, odgadywała słabość każdego, i rozkazywała jako chciała.

Izby, które Zonia Werchańcowa zajmowała, nieznanego jej mogły w błąd wprowadzić, gdyż całe były zawieszane, upstrzone, przyozdobione świętościami.

Krzyżów, obrazków, kropielnic, relikwiarzyków stało w nich co niemiara, a niewiasta, mimo rozpasania swego, była też gorliwą w nabożeństwie.

Żegnała się, klękała, biła w piersi, padała na ziemię, głośno odmawiała litanje, a im srożej grzeszyła, tem gorliwiej służyła Bogu w przekonaniu, że tem nabożeństwem za swe przewinienia zapłaci.

Nie tylko ona jedna w owym wieku fanatyzmu i wyuzdanych namiętności miała t[ę] wiarę, była ona prawie powszechną. Grzech mógł być pokutą odkupiony, a więc grzeszono śmiało, zwiększając tylko pokutę. Zonia była kobietą lat czterdziestu, dobrej tuszy, rumianą, wykarmioną na Biskupim chlebie, zawsze strojną bardzo i dbającą o resztę swych wdzięków, które w istocie niegdyś urok mieć mogły.. Teraz jeszcze miała oczy przesłizne, usta bardzo małe, twarz tylko nieco się rozlała i podbródków jej przybyło...

Do szkaradnego Werchańca — było to tajemnicą jakąś — miała Zonia przywiązanie namiętne, choć jej to nie przeszkadzało drugim się uśmiechać i zalecać.

Jejmość siedziała u ognia, mając przy sobie klechę od szkoły. Na stole piwo stało z kminem i grzankami. Rozmowa toczyła się bardzo wesoła, gdy się ukazał w progu Werchaniec. Przybycie jego nie obeszło wcale Zoni, klecha się tylko nieco odsunął, a stary wchodząc, zobaczywszy go, uśmiechnął. Mąż i żona spojrzeli po sobie.

— A co! — zawołała nie wstając z ławy jejmość — pochowaliście królowę? Ludzie o cudach prawią. Mnie żal, że tam nie była.

Ochmistrz rzucił kołpak z głowy, i o piwo zawołał. Klecha dopiwszy swoje, począł się pospiesznie wynosić. Gospodarz go nie myślał wstrzymywać. Gdy pozostali sami sługa biskupi mruknął do żony.

— Toś sobie gacha dobrała!

Rozśmiała się pogardliwie.

— Ale, gacha! — odparła żywo otyła kumoszka. — Toćbym sobie urodziwszego znalazła.. Jaki z niego gach! Prawi mi brednie, aby go na wikaryę gdzie swatać. Do wikaryi, to gach nie do mnie!

Werchaniec ręką zamachnął obojętnie, potem stanąwszy przed nią, na dłoni palcami pokazał, jakby liczył pieniądze.

— Kiedy goły! — rozśmiała się Zonia. Na tem o gościu się skończyło.

Werchaniec pilno obejrząwszy się do koła, zbliżył do żony i począł jej coś szeptać do ucha. Niewiasta słuchała pilno, a z twarzy jej poznać było można oburzenie, gniew, strach i wstręt na przemiany. Wybuchła wreszcie ze złością.

— Bodaj świata nie oglądał. Patrzaj czego to mu już potrzeba! Nie opamięta się, aż go Bóg ciężko pokarze. Jeszcze czego! jeszcze czego!

Werchaniec stał przed nią i powtarzał tylko.

— Las od Bukowej! las od Bukowej! a z nim kawał pola i łąki! He! he!

— A bodaj go! — krzyknęła chodząc poczynając po izbie baba — i przystąpiwszy do krzyża na ścianie wiszącego, pocałowała Chrystusa w nogi.

Z razu mocno oburzona, bo i zazdrości trochę się do tego mieszało, zwolna poczęła ostygąć. Stanęła w boki się biorąc na przeciw męża.

— Ty sam na siebie postronek kręcisz i na mnie! — rzekła mu. — Tyś głupi! i głowy nie miałeś nigdy! Żebyś ty tego nie znał, że gdy młode stworzenie weźmie, ono go opanuje, a my pójdziemy w ką! I ty i ja!

— No — ty! może być! — odparł Werchaniec, — ale ja? nie.

Żona uderzyła go po twarzy, otarł ją spokojnie.

— Miej rozum ty, co mnie głupim czynisz — począł zwolna. — Nie zechcesz ty? użyje kogo innego. Niby ty go nie znasz, tego szatańskiego syna? Gdy mu co do głowy przyjdzie, na swoim postawić musi. Weźmie sobie inną babę do pomocy, a nam las od Bukowej przepadnie.

Ręce na piersiach założywszy, dumiała brwi marszcząc Zonia. Przystąpiła do męża.

— Tyś ją widział?

— Ja? Albo to ja Biskup? — rozśmiała się Werchaniec. — Mnie tam nie puszczają.

— Pewnie wyrostek być musi — odparła zadumana. — Tacy ludzie jak on, starzejąc, coraz na młodsze polują. Ja ich znam...

Splunęła.. Poszeptali z sobą poufale. Zonia odeszła nachmurzona.

— Co mnie do jego duszy! — wyrwało się jej po małym przestanku. — Niechaj przepada kiedy chce! Będzie grzech straszny, na niego spadnie. Będą go pozywać i od czi sądzić, gotowi skarżyć do Rzymu.

— To jego rzecz, — zakończył mąż — a nasza las dostać! Ma on plecy wszędzie! wyklamię się i wykręci...

Nazajutrz rano Zonia poszła do dworu Biskupiego, wróciła zła i zasępią, lecz mężowi już nie mówiła nic. Przeklinała, pluła, narzekała na swą dolę i całowała obrazki.

Trzeciego dnia rano poczęła się przystrajać jak na drogę.

W alkierzu stała dawnym obyczajem malowana w kwiaty jaskrawo skrzynia wielka, okuta misternie, na dwie ciężkie kłódki zamykana. Zawierała ona w sobie wszystkie kosztowne szaty, futra, klejnoty, które składały bogactwo ochmistrzyni. A miała tego nie mało, i gdy się na święto przystroiła do kościoła, śmiejąc się palcami ją pokazywano. Była z tego dumna, bo wyglądała jakby zamożnego ziemianina żona, a nie dbała czem ją zwano.

Z tej skrzyni poczęła Zonia dobywać co miała najlepszego, bo wóz do podróży był już zamówiony, a w świat, między ludzi na ówczas każdy brał co miał najpokaźniejszego, aby wiedziano jak go cenić. Z pomocą dziewczyny wdziała na się i suknię jedwabną ciężką i gorset złocisty, szyty, a na głowę czapkę z futrem i zwieszonym aż pod brodę rąbkami jak śnieg białym, który nieco za szeroki, teraz twarz jej zmniejszał i pozór dawał młodszy. Na szyję włożyła łańcuch ciężki złocisty, na ramiona płaszczyk podbity, i gdy tak strojna wyszła z komory, mąż, który pił w izbie u stoła, aż się do niej chwycił z zalotnym uśmiechem.

— Toś mi piękna! zawołał, chcąc ją objąć i uściskać.

— A no! wara odemnie z ręczyskami! krzyknęła. Także mi gbur! dopiero się opatrzył! jakbym ja mu taką nie codzień była!

Werchaniec odstąpił posłuszny.

— Spisz mi się tylko dobrze — szepnął — las od Bukowej wart tego.

Poruszyła głową tylko, co stało za odpowiedź, iż lepiej nad niego wiedziała jak począć miała i poszła poważnym do wozu krokiem. Wóz z nią potoczył się do Skały.

Nie było żadną osobliwością gdy tam kto przybył o którejkolwiek dnia godzinie. Tłumy się cisnęły do świeżo zbudowanej kaplicy, w której ciało za błogosławioną uważanej królowej Salomei spoczywało. Przybycie niewiasty z Krakowa nie zwróciło niczyjego oka.

Poszła naprzód Zonia pomodlić się u grobu, chcąc skorzystać z tej sposobności, aby i grzechy swe polecić tak potężnej orędowniczce. Z kościoła potem wcisnęła się do furty, prosząc o rozmowę z matką Klarą. Choć to jej przychodziło z trudnością, bo w domu zwykła była bardzo zuchwale występować, tu przybrała poważną i skromną postać. Popatrzała okiem znawczyni na starą i surową matkę, pocałowała ją w rękę pomarszczoną i poczęła od tego, że daleką krewną miała tu w klasztorze, sierotę, której nigdy nie widziała, a zobaczyćby ją pragnęła i pomówić z nią. Pytana, kto była Werchańcowa, nie przyznała się wcale do biskupiego dworu. Splotła co się jej zdało. Matka nic się nie domyślając, sama ją poprowadziła do celi Biety, która siedząc zadumana, właśnie siatkę do kościoła wiązała.

Gdy na próg wszedłszy ujrzała ją, usta jej aż pobieły ze złości, tak piękności zazdrosną była. Cóż to dopiero będzie, gdy się ona przystroi? rzekła w duchu.

Długo jakoś przemówić nie mogła, ale szatan przemógł. Zgubić młodą a niewinną dziewczynę, to też dla zepsutej niewiasty dobry kęs.

Zaczęła więc od tego, że jej po matce krewną była, czemu Bieta zdumiała się, bo nigdy o żadnych powinowatych nie słyszała.

Uradowało ją to.

— Cóż mi po tem! — dodała smutnie po namyśle — my zakonnice ani rodziny, ani pokrewnych nie mamy. Nie godzi się to nam...

Tak się rozpoczęła rozmowa.

Zonia chcąc lepiej poznać dziewczę, rozgadała się szeroko, długo, wiodąc ją powoli na pokusę. Żalowała tak pięknego kwiatka, że musiał wędznąć w murach klasztornych.

— Szkoda ciebie na to, moje dziecko, — mówiła patrząc jej w oczy — tobie młodość i życie dopiero się poczyna, aniś go skosztowała. I sama byś użyła świata i drugim wesela przyczyniła.

Dziewczę westchnęło. Raz i drugi tak puściwszy się na zwiady, a widząc, że Bieta wcale klasztoru nie broni, Zonia wprost, obcesowo pochyliła się jej do ucha i przyznała, że była przysłaną przez Biskupa. A nie dając jej rzecz słowa, dodała prędko, że człek był możny i mocny, szczodry i łaskaw, że mógł dokazać co chciał, byle ona mu była powolną.

Usłyszawszy to Bieta, rzuciła robotę nagle i spojrziała takim wzrokiem na Zonię, że się przestraszona cofnęła. Ona co się знаła na niewiastach, poczuła w niej jedną z tych, które opanować się nie dają, a same drugim panować muszą.

Jakiś czas milczała Bieta, siatkę płacząc bezmyślnie, namarszczyła brwi i rzekła.

— Niech mnie ztąd wyzwoli, bo ja tu umrę, zginę, zamęcę się, zaduszę. Dobrze, niech mnie wyzwoli, niech bierze, jużbym i tak nie mogła tu wytrzymać dłużej. Myślałam nieraz z muru na łeb się rzucić i rozbić o skały, tak mi to życie obrzydło w tej klatce... Ale cóż on ze mną zrobi? zapytała naiwnie.

Werchańcowa rozśmiała się z tej prostoty dziewczęcia i pogładziła ją po rękę.

— Nie bój się — szepnęła cicho — pan jest możny, nie zginiesz byleś rozum miała.

Bieta głową potrząsała.

— Tak mu się na wiarę zdać — odparła śmiało z rodzajem cynizmu, jakie ma niedoświadczenie — ja nie chcę. Wezmie mnie, potrzyma, potem rzuci. — Nie!

— A cóż ty od niego chcesz? — zaśmiała się Zonia — przecież to osoba duchowna jest, przysiągł już innej oblubienicy.

— To niech ją trzyma — gorąco odparła Bieta. — Mnie jak raz weźmie, musi też przysiądz, że nie porzuci.. Tak! — dodała z mocą — inaczej ja nie pójdę, choćbym się wyzwolić chciała. Musi przysiądz.

Zdumiona nieco, trochę szydersko się krzywiąc, słuchała Werchańcowa. Niekiedy ją strach jakiś przejmował z taką siłą i namiętnością wyrażało się dziewczę, które osamotnienie i gorączkowe marzenia uczyniły do zwykłych istot pospolitych niepodobną.

Rozogniona, z oczyma pałającymi, z podniesioną dumnie głową, Bieta była tak cudnie piękną, iż Zonia podwójnie się ułękła, energii razem i uroku, któremi mogła zapanować.

Wreszcie dawszy się jej wypowiedzieć — ozwała się.

— Dziecko jesteś! Co ci pomogą przysięgi, co słowa? Albo to oni ich nie dają i nie łamią? Twoja to rzecz tak go wziąć, aby cię porzucić nie mógł.

Biecie to słowo rzucone nierozmyślnie zdało się oczy otwierać. Złożyła siatkę, poszła do okna, sparła się na rękę i zadumała.

Okiem powiodła po pustyni do koła, którą z okna celi widać było. Szumiały lasy z liści odarte i białe a płowe skały pośród nich trupio sterczały, górą niosły się kruki — milczenie straszne śmierci panowało do koła, chłód grobowy wiał z tej okolicy wymarłej. Całe życie, długie życie schnąć tu tak, zawsze słuchać tego jednostajnego drzew szumu, patrzeć na te same nagie skały, na te suche gałęzie ku niebu powyciągane jak ręce zrozpaczone; budzić się z rana do modlitwy, w dzień się modlić i pracować, nocą niedospać na twardym łożu, chodzić boso w sukni starej, potem jednego dnia umrzeć cicho — i pójść do sióstr na cmentarz — bez mogiły, bez znaku życia — nie żywszy — wydało się jej okropnem. Zerwała się od okna i biegła ku Werchańcowej, która szła na jej spotkanie z uśmiechniętą twarzą.

— A cóż? — zapytała po cichu.

— Niech się dzieje co chce.. — wyjąknęła Bieta — niech mnie bierze — pójdę — ale porzucić ja się nie dam! niech pamięta!!

Stara uradowana tak łatwym zwycięstwem, pogłaskała ją po twarzy. Poczuvszy rękę jej na swem licu, Bieta cofnęła się dumnie — czuła już wyższość swoją.

Szeptaly potem z sobą. Wyjście, ucieczka, porwanie z klasztoru łatwym nie było.. Jawnie, gwałtownie stać się to nie mogło.

Bieta żadnego sposobu na to nie wiedziała, chciała, aby drudzy o tem myśleli. — Jeśli mnie mieć chce, — rzekła, — niech szuka sam jak! ja nie wiem!

Przemysłna Werchańcowa dopytywała tymczasem o obyczaje klasztorne. Ogród był na wysokiej górze, mury nieprzystępne, furta strzeżona.

Naradzały się długo jeszcze. W ostatku Zonia poddała myśl przywiezienia z sobą świeckiej odzieży, w którejby wieczorem Bieta niepostrzeżona z nią wyjść mogła.

U furty siedziała zawsze zamyślona i niedowidząca siostra odźwierna. Wóz z dobrmi ludźmi i końmi szparkiem czekać miał przed wrotami.

Gdy po tym targu niepoczciwym drzwi celi się zamknęły, Bieta inną, zmienioną całym się znalazła. Gorzały jej policzki, rękami niespokojnymi targała szatę zakonną, usta podnosiły się dumnie i zwycięsko. Radość jej z wyzwolenia nie miała w sobie nic płochego i dziecinnego, była buntem duszy, co się nie poddała, a teraz z całą siłą rwała swe więzy.

Dzwonek zawołał na pacierze do kościoła.

Dźwięk ten uderzył ją żalobnie, przeraził jak groźba — stanęła wylekła. Przypomniały się lata tu spędzone, a w nich chwile jasne, ów spokój błogi świętej ustroni, cisza niezmaczona niczem, godziny prześpiewane w kościele, porywy ducha młodego ku niebiosom i Bogu... Łzy zwilżyły jej powieki, ale wnet ogień, którym oczy gorzały, je wysuszył. Stała jeszcze zapomniawszy, że iść była powinna do kościoła, gdy siostra Domna otwierała drzwi celi i dała jej znak, że się opóźniła.

Ten przymus zatarł pierwsze wrażenie, dusza jej zbuntowała się znowu. — W świat! w świat! zawołała w sobie... — Grzech? grzech na niego spadnie! on ma prawo rozgrzeszać! on mnie wyzywa! Pójdę! Czego się mam lękać? — pójdę!

Nie porzuci mnie! ja się nie dam odpędzić...

IV

Książę Bolesław powracał właśnie z kilkodniowego polowania, które mu się powiodło szczęśliwie.

Na zamku zastał ciszę i pokój jak zawsze. Księżna Kinga była na modlitwie, pozostała służba dworska snuła się w podwórcach, kilku mnichów w sukniach różnych przechadzało się około dworca i kościoła.

Świetność dworu dawnych książąt krakowskich wiele za Bolesława ucierpiała. Przepychu nie znosiła pani, a ona tu w istocie rządy sprawiała. Książę, który w początkach próbował się jej opierać, po powrocie z klasztoru, szedł teraz za nią posłuszny, kędy wskazała.

Wiele się na to różnych pobudek składało. Księżna wniosła wiano na owe czasy ogromne, bogactwo znaczne. Miała za sobą silną swą węgierską rodzinę, miała słabość i zobojętnienie męża, a własną moc charakteru dziwną, bo się ona wyrażała łagodnością cichą, która w tej białej lilji ani się dozwalała domyślać ukrytej potęgi ducha niezwalczonej.

Mówiła głosem łagodnym, patrzyła błagająco, była pokorną, słowa oszczędnie z ust się jej dobywały, przecież nic oprzeć się jej nie mogło. Była w tem tajemnica niepojęta.

Za oczy czasami niecierpliwi urzędnicy i dworzanie narzekać na nią probowali — a niechętnie widziano, iż z mężem żyć nie chciała, że Bolesław musiał zemrzeć bezpotomnym, Kraków znowu stać się celem zabiegów książąt poznańskich i mazowieckich.. Czyhano już nań teraz, ile razy Bolesław na czas dłuższy do Węgier lub Morawii się oddalił. Ale ziemianie byli za tym panem dobrym, który ich do wielkiej dopuszczał poufałości, żył z nimi, polował, łaską swą szafował chętnie. Nie było surowej ręki nad nimi.

Ze wszystkiego się u księcia wyprosić było można, lub lada czem, małym podarkiem wykupić.

Kłulo to wprawdzie w oczy, iż Niemcy u dworu rej wodzili, że się oboje księżtwo otaczali cudzoziemcami, ale nie inaczej było na dworze piastów szlązkich, w Poznaniu i gdzie tylko piastowicze żeniący się ciągle z Niemkami panowali.

W zamian za potomka, którego się mieć nie spodziewał, Bolesław obiecywał, aby zabezpieczyć Krakowian od napadów i wciskania się do władzy mazowieckich książąt, wybrać sobie następcę zawczasu. Mówiono już o ulubionym mu synowcu Leszku, którego dla włosów ciemnych Czarnym zwano. Ten już z męztwa słynął, a sierzdzistego ojca syn obiecywał, że się łatwo nie da pożyć.

Wśród pustkowi tego na zamku, dwaj Toporczycy, którzy Bolesławowi towarzyszyli, Otto i Żegota, chłopcy dorodne, silne, wesołe, oba jak bracia do siebie podobni — boć

i rodzeni; panu swemu najmilsi — odprowadziwszy go do komnat, poszli ku skrzydłu zamkowemu, w którym izbę mieli. Odzież trzeba było zrzucić przemokłą.

Bolesława też rozdzielano, ognia napaliwszy. Znużony łowy długimi przeciągał się, ze zwykłą sobie senną obojętnością, patrząc to na strop, to w ognisko. Komornicy pana otaczający śmieszki stroili pocichu, szeptali, i tym co z księciem przybyli opowiadali coś ciekawego, wesołość obudzającego.

Inny by może temi wybuchy śmiechu i szeptania, dał się wywieść z odrętwienia! książę Bolesław wcale na to nie zważał. Oprócz czasu łowów, zawsze był tak w siebie wdumany, a na zewnętrzne sprawy obojętny. Zająć go czemś i rozgrzać było trudno. Jedna modlitwa rozbudzała tę duszę śpiącą, szczególnie gdy ją razem z Kingą odprowadzał...

Ściągnąwszy zmkłą odzież z niego, służba posadziła na ławie, aby mu zmienić obuwie. Książę dawał z sobą czynić co chcieli — przyglądał się płonącemu ogniewi. Parę razy o żonę zapytał, odpowiedziano mu, że jest na modlitwie.

W tem już przebrani wpadli do izby Toporczykowie, śmiejąc się i wielce czemś przejęci. Spojrzał na nich książę, zdziwił się wesołości, lecz o przyczynę nie spytał.

Otto i Żegota żywo szeptali coś między sobą, lecz że się służba kręciła, pacholeta posługiwały, nie poczynali rozmowy.

Nadciągnął i kapelan książęcy Iwo, mający twarz i postać wielce posępną, skłonił się panu i jakby pytań unikał, ku ogniewi się schronił.

Coraz to gdzieś śmiech wybuchnął prędko tłumiony — książę Bolesław spoglądał i dumał.

— Byłby nam ten niedźwiedz nie uszedł — odezwał się przerywając milczenie i rozmyślanie — gdyby ogarów część za kozłem nie pognała... A wołałbym był rogacza stracić!

Otto Toporczyk potwierdził to i znowu nastąpiło milczenie, a że myśliwi głodni wrócili, misy na stół niesiono. W tem starszy, Żegota, pochylił się księciu do ucha i coś mu szeptać zaczął.

Dotąd odrętwiały, Bolesław na nogi się nagle porwał, ręce mu się splotły, załamały — i zawołał:

— To być nie może!!

Stały otworem drzwi do bocznej komnaty, Bolesław wyszedł przez nie, skinął na księdza Iwona, pociągnęli za nimi Toporczycy.

Zapewne domyślając się po co go powołano, kapelan, mąż przygarbiony, smutny, blady, powlókł się jakby przeciw woli ociągając, gładząc ręką po czole i licu.

— Ojczy mój — zawołał z niezwykłą sobie gorącością Bolesław — powiedzcie mi prawdę! Co to za pogłoski chodzą! Na Boga! nie może to być! nie może!

Ksiądz Iwo zdał się zgadywać o co chodziło, ramionami poruszył.

— Nic nie wiem! rzekł.

Po krótkim namyśle książę wołać kazał Pełkę Śreniawitę, który był starszym podkomorzym u dworu. Znaleziono go w przedsieni. Szedł na kiju się opierając, bo dawno chromał, głowę miał łysą, wąs długi, twarz chudą. Na nim też widać było to przygniecenie życiem, które się malowało na księciu.

Prawie cały dwór miał to oblicze smętne i milczące.

— Pełka! — zawołał żywo książę. — Powiedz mi ty, co znaczy ta potwarz, którą zmyślono. Wiem, że Biskup Paweł nie jest zbyt w życiu przykładnym — ale na Chrystusa Pana!

Bolesław ręce załamał. Pełka ramionami ruszywszy, zmilczał.

A bywało z nim, co z wielu staremi się dzieje, ciężko go było wywieść na słowo, lecz gdy raz usta otworzył, mówić począł i rozgadał się, równie trudno go było do milczenia skłonić.

Więc zrazu usta poruszał nie mówiąc nic, żuł, splotwał, poprawiał odzieży, patrzył na księcia i na otaczających.

— Hm — rzekł wreszcie — nie potwarz to pono, a prawda święta.

Tu głos mu się zaczął coraz wznosić a podnosić.

— Nie wiem się ja dobrego po tym Pawle spodziewał gdy go święcili. Co święcenie djabłu pomoże? a to był zawsze istny szatan! Takim on i teraz jest... Sprawki to złego ducha.

Ksiądz Iwo przerwał, bo mu przykro było, iż na duchownego narzekano.

— Nikt nie wie jak to jest! — rzekł. — Niewiasta kusicielka winna więcej... powiem, sama jedna ona winowajczyni! Do wszystkiego złego ona prowadzi, a gdy aniołem nie jest, szatańskim narzędziem musi być.

Bolesław oczy sobie zakrywał.

— Więc to prawda? zapytał.

— Prawda, i opowiem jak się stało — odezwał się już rozgadujący Pełka. — Ludzie opowiadają o tem różnie, ale ja wiem najdowodniej.

Najrzał tę mniszkę Biskup pono czasu pogrzebu królowej Salomei i obudziła w nim chuci niecne. Podesłał babę, przez tę wszeteczną jego starą wszystko się dokonało. Namówili ją, ugadali, oszukali, może i gwałtu użyto, albowi czarów! dosyć że ją w suknie świeckie odzianą z klasztoru wyprowadzili.

Było to wieczorem, przed samem furty zamknięciem. Nieopatrzone się, aż jej do chóru zabrakło.

Posłała panna starsza, przełożona do celi, czy nie chora, nie znaleziono jej tam, tylko habit rozdarty, pasek na ziemi i treпки rzucone w ką. Nieszczęśliwe zakonnice ze sromu, który się klasztorowi ich stał, o mało nie poumieraly. Stał się lament, niepokój wielki, pogonie... Nikt się ani domyślał, żeby to Biskup sprawił — posłano do niego ze skargą, prosząc ratunku! Wpadł zaraz w furję i tem się zdradził, Gunterowi gwardjanowi ze Skały i Justynowi krakowskiemu przykazując milczeć pod grozą wielką...

Ale wątpili jeszcze ludzie... Uplęnęło dni kilka, zaczęto bąkać, że biskupia gospodyni do Skały jeździła, a tuż podłe biskupiego dworu, w domu, do którego boczne wnijsie wyrąbano, dowiedziano się o niewieście, u której Paweł niezbożny wieczorami przesiadywał. A nie kto tam inny jest tylko ta zakonnica Bieta, ze Skały porwana...

Kapelan księcia słuchał w milczeniu twarz odwracając, książę oburzony wykrzykiwał, Toporczycy zawsze Biskupowi nieprzyjaźni, tryumfowali.

— Albo się to czego innego było można po tym człeku spodziewać? — zawołał Żegota. — Znano jego dawne życie, święcenie go nie zmieniło. Takim jest, jakim był zawsze. Na jego dworze i wprzódy więcej bywało niewiast młodych niż klechów, a u niego doma kubków więcej niż książek...

— Najsromotniejsza to — dodał Pełka — iż całe miasto już wie o tem. Owa nieszczęśliwa nie bardzo się z sobą ukrywa, wstydu niema. Dalej będzie do kościoła chodziła, a chlubiła się tem, że ją sobie wybrał bezbożnik...

— Cóż Biskup? — zapytał książę. —

Kapelan stęknął, a stary Pełka dodał:

— Biskup i tak zuchwałym jest i bezwstydnym jak był, albo gorszym jeszcze — czoła niema.

Bolesław jęknął boleśnie.

Toporczycy śmieli się złośliwie.

— Do Rzymu go podać! — wtrącił Żegota. — I tak na niego skarg jest wiele nieustannych. Kanoników, którzy go wybrać nie chcieli prześladowe niecnie, mści się, dobrami frymarczy, grunta kościelne rozdaje. Zausznicy jego i słudzy biorą co chcą, dobrze że z kielichów mszalnych nie piją jeszcze u stołu.

— Zgroza! — rzekł książę.

— Kapituła, co pocziwsi znieść tego nie powinni — odezwał się Pełka.

— I nieznieście! — zamruczał kapelan Iwo. — Wiem o tem. Oprą mu się, pojedą skarżyć do Gniezna, choć on Arcybiskupa nie posłucha — zada im fałsz! naówczas — do Rzymu...

— Do Rzymu daleko! — przerwał Żegota Toporczyk — zgorzenie tym czasem trwa; z takim jawnogrzesznikiem i świętokradczą niema się co pieścić. Wziąwszy go i posadzić do lochu na pokutę...

Bolesław zaprotestował.

— My nad nim władzy nie mamy — rzekł — w głowie ci się mąci, Żegota! oni swój trybunał najwyższy mają w Rzymie, nikt duchownego tknąć nie śmie.

— No — a księdza Czaplę Konrad powiesi! — odezwał się Otto.

— I zmarł w kłatwie kościelnej! — dodał książę.

Kapelan mrucał coś niewyraźnie, — trząsł głowę i w końcu zamknął.

— Świeckiemu ramieniowi w te sprawy się nie wtrącać. Są duchowni co godności swej strzedz będą. Da się o tem znać do Rzymu.

A tym czasem — przerwał mu Żegota — on się będzie niecnotą swą urągał nam i tę stolicę kalał, na której święci siedzieli.

Książę dał znak ręką.

— Dość — rzekł.

Spostrzegł był przez drzwi otwarte zbliżającą się księżną Kingę, której dwie podeszły niewiasty, prawie po zakonnemu ubrane towarzyszyły. Pospieszył naprzeciw niej, rozstąpili się wszyscy z poszanowaniem. Szła pobożna pani z oczyma spuszczone, bojaźliwa, trwożna, smętna. Na powitanie mężowi nie podała czoła, choć się żywo i chciwie ku niej przybliżył. Cofnęła się przelękną, aby jej nie tknął.

— Z łowów szczęśliwych powracam — rzekł książę, — ale doma złe jakieś zastałem wieści.

Spojrzenie księżnej milczenie mu nakazało. Zrozumiał ją, usta mu się zamknęły posuszne.

Wieczera stała już pogotowiu, ale Kinga postem ślubowanym dnia tego wymówiła się i razem z towarzyszkami do komnat swoich wróciła.

Przy wieczery książę mówić już nie dał o niczem, tylko o myśliwstwie — ale co po cichu między sobą szeptano, odgadnąć było łatwo.

Wnet potem Bolesław z lektorem i kapelanem udał się na modlitwy, które długo codzień trwały.

Żegota i Otto szli do izb swoich na zamku.

Na tym cichym i pobożnym dworze dwaj Toporczykowie, godząc się z nim obyczajami pozornie, jedni pono, ufając łasce pana, mogli sobie więcej nieco pozwolić. U nich zabawić się i pośmiać było można, tam się przedniejsi urzędnicy zbierali, aby rozerwać trochę...

Wielki dwór mieli z sobą możni ziemianie, a dostatkami szafowali chętnie. Jeśli na krakowskim zamku ich nie było, przyjmowali u siebie księcia i liczne z okolicy rycerstwo. Ludzie byli pobożni jak wszyscy owego czasu, ale nie tak względem siebie surowi i na wszystko baczni jak sam książę.

Bolesław upominał ich oto często. Księżna Kinga obawiając się aby jej męża nie psowali, nie bardzo im sprzyjała. Dwór cały zresztą mieli za sobą.

Wkupił się był naprzód Żegota w łaski księciu psami, które mu podarował, potem, że do myślistwa nie było zdolniejszego ni pochopniejszego nad niego.

Jak tylko sami się znaleźli Toporczykowie z drużyną, dworzan i komorników pańskich, do których węgrom kilku i Niemców siła należała — wnet o biskupie znowu poczęto.

— Kiedy się biskup na to ważył, — ozwał się Otto z przekąsem — zapomniawszy na sławę swą i bezpieczeństwo — zakonniczka musi być grzechu warta!

— Nieprawda! — podchwycił Pełka — któremu gdy miód pił usta się łatwiej rozwiązywały — nieprawda! Nie nowina to, że gdy djabeł opęta, człek dla łada starego wiechcia rozum straci, w tem djabelska sztuka! Czy to piękność kusi? Albośmy to nie widzieli Wojewody co szalał za starą a sprośną?

— Sam też nie młody był i szpetny! — rzekł Otto.

Wtem się wniósł Niemiec Bruno, co go zwano Alte.

— Miłośnicę tę biskupią już ludzie widzieli, ona tak szczelnie okien nie zamyka. Mówią, że piękna bardzo i młoda. Drudzy prawią, iż tu drugiej takiej nie znaleźć.

Wyśmiewano się.

— Zuchwała, słyszę jest i śmiała, jakby nigdy mniszką nie była — dodał Alte.

— Lat ma ledwie szesnaście, słyszę, — dodał inny.

— Ziemianina córka... wtrącił Niemiec.

— Nie, mieszcza, sierota — rzekł drugi.

— Ojciec był przy dworze, rycerskiego stanu człek, zaprzeczył dworzanin młody. Z dumnej twarzy jej widać, że krwi jest dobrej.

Rozmawiano popijając, na biskupa się odgrażając, szydząc z niego. Otto i Żegota szczególnie nań podbudzali.

— Nie będę żyw, — zawołał ostatni — kiedy się do mniszki nie dostanę i nie zobaczę jej!

— Widzieć ją można, ale się do niej dostać, nie — odparł Alte. Stróżów tam koło niej dość, bab i starych siepaczy.

— E! — zawołał Toporczyk. — Biskup ci ją skradł z klasztoru, godziło by się odebrać mu ją gwałtem nazad i mniszkom dać!

— O! o! — wykrzyknął Pełka. — Ma on siłę! Nie da jej! a gotów się i drugi raz do klasztoru włamać... To nie nasza sprawa!

Nazajutrz po długim biesiadowaniu u Toporczyków, ponieważ dzień był spoczynku po łowach, obaj bracia na zwiady poszli.

Wykradzenie zakonnicy, choć niektórzy dla sromu tać je chcieli i zaprzeczali mu, znanem już było w mieście całym. Mówiono o niem wszędzie, ale nigdzie takiego nie wywołało oburzenia, jak w części duchowieństwa kapitułę składającego.

Kanonik Janko zachorował z bólu, stary ks. Jakób ze Skarzeszowa gorzkiemi płakał łzami, inni się rwali do Rzymu bodaj pieszo na skargę, inni naprzód do Gniezna.

Tym czasem, jakby na urągowisko z tej wrzawy, widywano codziennie Biskupa z licznym pocztem, ukazującego się po ulicach, śmiało narzucającego oczom ludzkim, wyzywającego swym bezwstydem i dumą.

W tem zuchwalstwie może baczniejsze oko byłoby dostrzegło jakąś trwogę, niepokój sumienia, obawę ludzi, ale zdala mogło się to innym zdawać odwagą i zaczepką.

Ks. Paweł dla tych co go otaczali drażliwszym się stał niż dawniej był, bardziej despotycznym. Badał wzrokiem niespokojnym każdego przychodzącego, oburzał się łatwo, chwycił lada słówko dwuznaczne, szukając w niem przymówiska do siebie. Zawsze gwałtowny, teraz się stał niepohamowanym. Ci szczególnie z duchownych, których znał dawniej jako nieprzyjaznych sobie, narażeni byli na postępowanie okrutne, szyderstwo i odgróźki bez przyczyny.

Wszystko to razem najcierpliwszych przyprowadzało do rozpacz. Schodzili się z żałami, utyskiwaniem, naradzając co czynić mają i niemogąc nic postanowić.

Obyczaje Biskupa wręcz się sprzeciwiały przepisom kościoła dla duchownych, którym wzbronione było noszenie oręża, oprócz w podróży dla koniecznej obrony, — zakazane były łowy, najulubieńsza jego zabawa. Biskup prawa te gwałcił jawnie, w biały dzień po rycersku odziany, w butach spiczastych z ostrogami, przy mieczu przejeżdżał się po ulicach i rynkach z wielkim ludu zgorszeniem. A że i sumienie go gryzło [i] niepokój nękał, codziennie w tych rozrywkach szukał zapomnienia troski.

Werchaniec zwykle mu w tych wyprawach towarzyszył, a Zonia naówczas miała powierzone strzeżenie Biety, z którą rady sobie nie łatwo dać mogła.

Dziewczę zdziwiałe w samotności klasztornej, zmuszone długo tłumić w sobie wszystko, pragnęło teraz swobody nad miarę.

Werchańcowa, która się z początku piękności Biety lękała, poznawszy ją lepiej zaczęła się trwożyć gwałtownem jej usposobieniem.

Wymaganiom nie było końca.

W pierwszych dniach zaraz zażądała od swego pana, którego upoiła do szaleństwa, sama się przywiązując do niego — najdziwniejszych ozdób i sprzętu dla swego mieszkania.

Chciała mieć ściany zawieszane obiciami szystemi, o których od zakonnic słyszała, że niemi po książących dworach izby przyozdabiano, podłogę wyslaną kobiercami i skórami; napraszała się o łańcuchy, klejnoty, pierścienie, naczynia srebrne. Miedzianemi dzbanami rzucała precz, jako rąk jej i oczów niegodnemi, cynowe misy oddała czeladzi.

Całemi dniami stroiła się z nudów i przestrajala oczekując na odwiedzinę pana, który zwykle zjawiał się dopiero wieczorem.

Ze sługami obchodziła się tak, jak może z nią niegdyś postępowano w klasztorze, dla przełamania jej oporu — wymagała rzeczy niemożliwych, posłuszeństwa bez granic.

Werchańcówę, która chciała z nią być na stopniu poufałości, zepchnęła zaraz na równi z inną czeladzią ją trzymając.. Zonia burzyła się od gniewu i odgrażała.

Lecz z zemstą i odwetem czekać było potrzeba, bo ks. Paweł słowa przeciwko swej Biecie mówić nie dawał.

Dworek, w którym zakonnice umieszczono, stał tuż obok zabudowań biskupich, w ulicy, po której kręcili się prawie przez dzień cały ziemianie, rycerstwo, duchowni, mieszczanie mający tu sprawy różne. Wesole towarzystwo ks. Pawła, jego druhowie

i wierni snuli się gęsto, a że już o Biecie wiedziano, o nadzwyczajnej piękności jej głoszo-
no, ciekawi widzieć się ją starali. Werchańcowa miała rozkaz strzeżenia tego skarbu, aby
go oko obce nie dostrzegło — ale Bieta żadna nowych widoków po klasztornej ciszy, ani
myślała się dać zamykać. Otwierała okiennice szeroko, wyglądała w ulicę, śmiało patrząc
wszystkim w oczy i chlubiąc się pięknnością swoją. Nie był to bezwstyd kobiety zepsutej,
ale zuchwałstwo dziecinne, nieznanomość świata i ludzi. Zdawało się jej, że Biskup miał
prawo wziąć ją, i tać się z tem nie potrzebował...

Uważała się jakby za żonę Pawła, za towarzyszkę — stojącą z nim dostojeństwem na
równi. Wychowana w nieświadomości praw świata, wyobrażała sobie, że pan jej mógł je
zmienić i wyzyskać uznanie tego związku. W dzieciństwie swem pamiętała przecie księży,
którzy albo z dawnych czasów żony mieli, lub rodziny z nich, z którymi się nie ukrywali.

Z dumą, którą we krwi miała, Bieta miała się za równą księżnom, jak Biskup równał
się z ksiądzęty. Nic też jej nie starczyło w tym ciasnym dworku i dziwiła się, dlaczego
nie miała zamieszkać jawnie w wielkim dworcu biskupim... Chciała mieć okazałe otocze-
nie, urzędników, towarzyszek, wozy, woźniki, wierzchowce. Ks. Paweł, który się takich
wymagań nie spodziewał, z razu śmiał się z nich, potem niechcąc jej jątrzyć, ulegając
dziwactwom, z namiętnością podżyłego człowieka.. zbywał ją obietnicami i wymówkami
różnemi. Obicia na ściany izb Biety wzięto tym czasem wprost z kościelnego skarbcza,
kobierce zdjęto może ze stopni ołtarzy, ażeby uspokoić psotnicę... Jedwabne postawy
ofiarowane na ornaty, szły do skrzyń na suknie Biety, klejnoty coraz dostarczano nowe...

Postępowanie dziewczyny, którą Biskup sobie całę inną wyobrażał, jej charakter gwał-
towny i niepohamowany, wymagania nieustanne i codzienne wymówki — zwiększały
rozdrażnienie i zniecierpliwienie ks. Pawła. Teraz dopiero widział, jak drogo mu rozpustę
opłacić przyjdzie. Sądził, że dopuściwszy się świętokradztwa, ślady jego wkrótce zatrzeć
potrafi; albo zwracając zakonnicę klasztorowi innemu, lub gdzieś ją za mąż wydając jak
Zonę. W pierwszych dniach zaraz otwarły mu się oczy, Bieta powtarzała co chwila, iż
póki żywa go nie opuści, że żadna siła jej od niego oderwać nie potrafi!

Ks. Paweł śmiechem niepokój pokrywał. —

— A gdybym ja — pytał — był zmuszonym cię rzucić?

— Ty? — odparła śmiało Bieta. — Myślisz, że mnie się zbyć będzie tak łatwo, jak
wziąć? Chyba otruc trzeba lub zabić. Pókim ja żywa, nie dam się odepchnąć! Z drugiego
końca świata przyjdę w ślad chodzić za tobą. Wziąłeś mnie — musisz trzymać! Pan Bóg
nazad mnie nie przyjmie, bom świętego Oblubieńca zdradziła dla ciebie. Nie zechcesz
mnie mieć miłośnicą, będę ci kamieniem u szyi.

Groźby te Paweł starał się próżno w śmiech obracać, chociaż oczy, postawa, głos mó-
wiły mu, że niewiasta ta dotrzymać potrafi, co powiedziała. Wprędce owe rozkosze, które
sobie niecny człek obiecywał, obróciły się w męczeństwo.

Wymagania dziwaczne były nieskończone i niepohamowane, a gwałtowne wybuchy
gniewu Biskupa, nie tylko nie pomagały, ale ją do wściekłości przyprowadzały. Uciekać
musiał w końcu Biskup, a potem prześlągiwać i łagodzić.

Skarżył się na te utrapienie swe przed zaufaną Werchańcową, która mu się w oczy
śmiała.

— Nie mówiłam że ja, — odpowiadała na żale — że sobie kupisz srom, nędzę i biedę.
Oto masz czego chciałeś. Mało ci było tego coś miał! To szatan nie dziewczka, to bies
wcielony!

Zonia też, której mąż dostał las od Bukowej i cysterskie pola, choć sownie wynagro-
dzona, miała troskę nieustanną, ciągle zmuszona stać na straży, niemogąc odetchnąć na
chwilę.

Raz, gdy Bieta, mimo zakazu stała w oknie otwartem od ulicy, Toporczyca, którzy na
widzenie jej czatowali, znaleźli się w porę. Stanęli przypatrując się jej, i przedrzwiewając
— ale Bieta wcale się niezasromała i uciekać nie myślała. Strojna była w łańcuchy i klej-
noty, piękna jak szatan przed upadkiem, zła jak on po wyroku potępienia. Otto i Żegota
głośno się z niej poczęli wyśmiewać, na co im łajaniem i dwoma wyciągniętymi pięściami
odpowiedziała. Już ludzie się przed dworkiem gromadzić zaczęli i byłoby zbiegowisko
powstało, gdyby nadbiegająca Werchańcowa gwałtem nie zaparła okiennicy i precz nie
odciągnęła Biety.

Nieprzyjaciele Biskupa płatali psoty bolesne jego kochance. Na okiennicach dworku mało nie codziennie namazywał ktoś infułę i pastorał, z czego się przechodzący naśmiewali. Pisano wielkimi głoskami — Abizail... na drzwiach, i wschodach...

Musiano stawić stróżów, ale i ci nie wiele pomagali.

We dnie zakazanem jej było wyjeżdżać i wychodzić, o mroku tylko czasami wyprowadzała ją Werchańcowa tylną furtą na przechadzkę, ale i tam czatowano na nie, poznawano łatwo, ludzie w ślad szli i bezecne pieśni do uszu im rzucali.

Dwór Biskupi coraz bardziej pustoszał, gdyż najprzyjaźniejsi nawet ks. Pawłowi, powszechnie widząc oburzenie, obronić niemogąc, usuwali się powoli i najlichsza tylko gawiedź dotrzymywała z nim jeszcze.

Starsi duchowni z kapituły, nawet na zawołanie Biskupa się nie stawili, przestali całkiem go widywać.

Gdy po raz pierwszy po ogłoszeniu zgorzenia ks. Paweł musiał iść na Wawel do księcia — Bolesław przyjął go z tak widocznym wstrętem i obawą jakąś, niechcąc prawie zawiązać rozmowy, iż Biskup, niepokłoniwszy się nawet księżnie, która się wcale nie ukazała — precz odjechać musiał..

Wyszedszy z zamku wściekły odgrażał się na sykofantów — łajał głośno, lecz oprócz Toporczyków, którzy z drwinami przeprowadzali, nikt nie słyszał go nawet.

Po całych dniach sam teraz siedzieć musiał z jednym ks. Szczepanem, który go nie opuszczał, lub Werchańcem i domownikami. Jawnem się stało, że wszyscy go unikali. To potępienie zamiast nawrócić, rozjątrzyło go tylko.

Wpadł w rodzaj szału, na przekór wszystkim cynicznym się stając i zuchwałym. Odgrażał się jawnie przeciwko kapitule, przeciw wszystkim — nic to jednak nie pomagało... Niezłamany karą, jaka go dotknęła, Paweł zdawał się wyzywać świat cały... i chcieć obalić, co mu stawało na drodze.

Syn Jazdona

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW BOLESŁAWA WSTYDLIWEGO I LESZKA CZARNEGO

TOM DRUGI

I

Stały lasy w sronu klejnotach jak w brylanty ubrane, jak oblubienica do ołtarza iść mająca w śnieżnej powłoczystej szacie, z koroną diamentów u czoła.

Słońce zimne wyjrzało z za obłoków, tylko aby poigrać z temi tysiącami błyskotek, w których się odbijało iskrząco. I ziemia — choć niby całunem odziana, śliczną była. Z pod tego snu śmierci, czuć się dawał powrót do życia, wesoly ten trup miał do wesela zmartwych powstać. Można rzec było o niej — nieumarła, tylko śpi.

Spała! i śniła cudnie królowa... Błękit wybladły jak baldakin spłowiwały nad głową jej się rozpościerał, obłoki się złościły, wiatr nawet ucichł szanując tę uroczą chwilę zimy — do rozkwitnięcia pozornej śmierci...

Na polach jak zawsze, tyle wdzięku nie rozeszło się co po lasach. W nich śmiało się wszystko łagodnym uśmiechem skostniałego żywota. Gałęzie uginały się pod ciężarem swych klejnotów, a było ich tyle, że najmniejszej trawce na brylancie nie zbywało. Szczodłą dłonią sypała matka natura swe dary...

Na tem tle bieli i świecideł, wszelka barwa co w lecie i wiosną wydawałaby się zgasłą i spłowiłą — występowała jaskrawą prawie a świetną. Mchy pyszniły się jak axamity, zielono, majowo, oliwkowo, szkarłatem i pomarańczą. Gdzie pozostały z jesieni liście żółte i te, które zima jeszcze w szacie ich letniej pochwyciła — wychodziły jak malowane. Jagódki na ziemi stały jak perły krwi nanizane na szary sznurek gałązek, wychylając się ze śniegu...

Na szacie tej zimowej jak na białej karcie pergaminowej widać było popisane hieroglify i dzieje stworzeń, które jej dotknęły stopami. Pismo to było czytelne, wyraziste, jasne. Mówiło kto je namalował, zkąd szedł, kto był i dokąd a nawet po co się udał.

Cały świat tych istot, których łowcy szukają tak chciwie, ślady tu po sobie zostawił... Lekkie dotknięcie pierzchliwego zwierzęcia, ciężkie stopy dzikich, olbrzymich mieszkańców lasu, przeskoki chyżych biegunów, zdradliwe płataniny chytrych złodziei — wszystko to na śnieżystej powłoce rysowało się — niby historia dnia wczorajszego, dzieje puszczy i tych co w niej żyli... Biegle łowca oko odczytywało to pismo łącno, a psi mu się radowali naszczekując wesoło.

Był ranek zimowy jakich mało, przecudny, cichy, spokojny, do marzenia dla starców stworzony.

Co żyło ptactwa w lesie ruszało się zwiedzone słońcem i pogodą, a powietrzem łagodnym, jak gdyby już skowronek na wiosnę zadzwonił.

Wiewiórki ze spiżarni swych w dziuplach powyłaziły umywać się i nakryte ogonami stały z nastawionymi uszkami, dowiadując się czy kto nie czatuje na nie. Dość było ledwie dosłyszanego szelestu, grudki gdzieś spadającego śniegu, aby się wnet jednym skokiem. Ryś na rosochatem drzewie kociemi rozglądał się oczyma, pod siebie i do koła; ranek był tak piękny, iż mógł mu pastwę wyprowadzić na przechadzkę. Z kotlin pod lasem wyglądały długie słuchy zajęcze, których właściciele podniósłszy się na tylnych skokach rozglądali się i rozsluchiwali także, ażali bezpiecznie było na śniadanie wyruszyć.

Nawet zbudzony zabłąkanym słońca promieniem, dobrze pod kłodą w liście zgniłe zaszyty niedźwiedź zaspany jeszcze, oczy ociężałe otwierał dziwując się, że mu już wstawać kazano. Wiedział on, że nie dospał, i gniewał się na słońce bałamutne mrucząc, odwrócił łeb kosmaty, łapy skrzyżował pod siebie i dalej ciągnął marzenie o jagodach dojrzałych w lesie, może o barciach na sośnie.

Zubry i łosie wychodziły na przechadzkę stadami, w pewnym porządku i szyku, nie bez przedniej straży. Kozły wietrzyły także, czy się z ostępu wyruszyć godziło, i dać znać jejmościom, że się wyskakać mogą swobodnie.

Wilcy śmielsi wychodzili na polowanie i na miłosne, mięsopustne schadzki, zuchwali jak nigdy, bo dla nich była już wiosna, czas łowów, a zwłaszcza pora zalotów krwawych. Wychudzone, zmęczone, najeżonem futrem okryte zbóje leśne, mniej teraz dbające o bezpieczeństwo, zuchwalsi roztawiali głodne paszczeki, oczy buro-żółte wysyłając na zwiady.

Czasami górą przeciągnął ptak szerokoskrzydły, pan w obłokach zadumany, patrząc od niechcenia na ziemię, czy na niej co nie czernieje, nie ruszy się.

Rozbudziło tak słońce, co tylko żyć mogło, ludzi, co nawet najmniej na nie patrzają i o nie dbają. Po lasach, w puszczech, słychać było szelepiące kroki pieszych, samotnych łowców i trąbki myśliwych, ujadanie psów, wesołe szczeki i koni tentent śniegiem stłumiony, to znowu na odmiecionej, skostniałej ziemi głośniejszy — a nawoływania dalekie.

Z ukosa przedzierające się przez obnażone gałęzie promienie padały teraz tam, gdzie czasu lata nigdy nie zaglądały, wciskały się w tajemnicze głębie, szpiegowały po zakątach, odżywały co było w mrokach zamarłe. Na śniegu złociste pasy plotły się z siwymi półcieniami, a gdzie śnieg nastrzępił się i powyszczerbiał, tam kryształowały jak na tkaninie wełnianej perły pobłyskiwały... W zacisznych miejscach, od wiatru osłoniętych, blade promienie zmieniały brylanty w lzy ciche... które padając na ziemię, głęboko w miękkie zakopywały się puchy.

Nad oparzeliskami trochę zieleni śmiało się temu słońcu, bez którego nawykło się obchodzić. Zielen to była prawdziwie zimowa, wymokła jakaś, zszarzana, zmęczona, a przecież świadcząca o życiu.

W puszczy za Wisłą, rozlegał się głos trąbek i hasła jakiegoś polowania pańskiego, które szło szumno nie dbając, że je wrzawa zdradzi.

Na polanie stał na koniu mężczyzna w sile wieku, dosyć jeszcze pięknej twarzy, ale zmęczonej, gniewnej, namarszczonej, groźnej. Pańsko a zuchwałe się rozglądał.

Jedną ręką się w bok trzymał, drugą na szyi konia sparszy — siedział na wierzchowcu silnym, krępy, jak wmurowany, jak jeździec co nawykł więcej się koniem niż nogami posługiwać. Odziany był w futro kosztowne, okryte fioletowym aksamitem, pospinane na węzły złociste.

Na nogach skórnie też były futrem okładane i nabijane złotem. Trąbka z kości słoniowej w kosztownej oprawie, obuszek misternej roboty, miecz w pochwach kamieniami sadzonych, składały uzbrojenie.

Oszczepek myśliwski do ciskania miał pod ręką.

Obok niego na koniach stało kilkunastu łowczych, a kilku pieszo psy wiodło na sforach. Z boku mężczyzna brzydkiej twarzy przekrzywionej, z nosem na bok, śniady, odziany w kozuszek lisi, stał tak namarszczony jak pan, na rozkazy jego czekając.

Lecz pan w bogatej szubie milczał zadumany a był tak zły, że mu jego gniewy i myśli niebezpiecznie przerywać było. Wszyscy więc czekali aż się wyburzy.

Psy miały powywieszane języki, jakby już biegały, a tylko co je na sznur pościągano, na odzieży łowców znać było, że już się przez lasy przedzierali, bo i śnieg na niej leżał i liście i gałęzi okruchy.

Nagle, jakby zbudzony mężczyzna co stał na przodzie, odwrócił się do oczekującego.

— Ty, psie, na cóż czekasz? Każ w ten ostęp zapuszczać, a patrz, by mi się drugi kozioł nie wysliznął, jak ten coś mu dał z przed nosa nam pójść w las.

I pięścią mu pogroził.

Werchaniec, gdyż on to był, popatrzył ze wzgardą jakąś na mówiącego, i byłby może odpowiedział tak szorstko, jak patrzył, gdyby ludzi nie było i uszu do koła. Spojrzał na tę czeladź, wargi zagryzł krzywiąc je obrzydliwiej jeszcze i — dał znak.

Natychmiast cała gromada się ruszyła, psy niecierpliwe ze sfor się rwać i sznury napinać zaczęły tak, że je ledwie psiarze utrzymać mogli.

W prawo i w lewo szybko ruszyli ludzie, Biskup pozostał w swem miejscu jak wkuty. — Werchańcowi dał znak, aby mu dał drugi oszczepek... który miał przy siodle.

Było to narzędzie łowieckie, którego mało kto tak umiał zręcznie używać jak wprawny do obchodzenia się z niem oddawna biskup Paweł. Ciskał on niem czasem na odległość znaczną, a miał i taką siłę i taką wprawę, że rzadko celu chybił, mało kiedy pociskiem tym zwierza na wylot nie przeszył. Oszczep był w końcu zaostrzony żelazcem jak belt od kuszy; lekki i zręczny. Gdy mu go Werchaniec podał, wziął Paweł okiem znawcy mierząc, parę razy zamachnął w powietrzu i odrzuciwszy pierwszy oszczep, za haczyk przy siedzeniu na prawo go uwiesił.

Czekali aż się łowcy, którzy po cichu wyszli w głąb — oddalą. Nie słychać było nic, tylko krótkie, urywane psów trzymany na uwięzi jęki i chód w śniegu i spadanie kropel wody, które gdzieniegdzie słońce z gałęzi zrzucało.

Werchaniec trochę podjechał na polankę, rękę do prawego ucha przyłożył i namarszczył się gniewnie.

Coś mu tam w ucho niedobrego powiedziało powietrze.

W chwili gdy się tak sunął na polankę dalej, z prawej strony zając spłoszony z pod pniaka, stanął na tylnych skokach, spójrzal i w powolnych kilku susach szmergnął przed samym koniem Werchańca, jakby się z niego prześmiewał. Z razu pochwycił on oszczep i chciał nań cisnąć, ale mu się sznurek zaplątał pod ręką od rogu, i nim się od niego uwolnił, już długouchy, mało co żywiej uskokczywszy, w zaroślach mu zniknął.

Łowiec zaklął okrutnie, Biskup z politowaniem uśmiechnął się kwaśno.

W tem lekkie szmery na przedzie się słyszeć dały, Werchaniec stanął, Biskup podjechał żywiej, wyprzedzając go na skraj lasu.

Wedle wszelkiego podobieństwa, tędy musiał zwierz wypaść na łowców.

Zachmurzona twarz Biskupia, którą nie łowieckie troski pooraly, w chwili gdy podjeżdżał ku lasowi zmieniała się. Stał się już tylko namiętym myśliwcem, wszystko inne precz poszło z głowy. Z oczyma wgląd lasu wlepionemi, z szyją wyciągniętą, z ręką na oszczepku, pochylony na koniu czatował dech wstrzymując. Tuż stał Werchaniec obojętniejszy trochę, ale także głosem psów zagrzany, który go zdala dochodził. Można było dosłyszeć, że gonią wprost na stojących, a z głosów ich Biskup poznawał zwierza i oblicze zapalało mu się krwiożerczo, chciwą namiętnością dzikiego człowieka, który życie swe zdobywać musi łukiem i pociskiem.

Odezwał się w nim prastary instynkt tych ludzi co mordercami byli dla głodu, a myśliwemi dla życia.

Któżby był w nim poznał kościelnego dostojnika i zgadł, że te usta półotwarte namiętnie, modlić się i błogosławić były powinny.

Zupełnie przeistoczony był on łowcem dawnych wieków, dla którego walka ze zwierzem była rozkoszą i dumą.

Zaczynało szeleścić w gęstwinie. Werchaniec stał w prawo przy Biskupie, jakby mu się gotował pomagać, ale w nim namiętności łowieckiej nie było, zimna krew i tem już znużonego sługi.

Ksiądz Paweł począł drzeć cały, oszczep ujął w dłoń, która mu się trzęsła ze wzruszenia. W gąszczy coraz wyraźniej, bliżej coraz bieg słyhać było i rozszarpywane nim gałęzie.

Wśród drzew mignął już kozioł ogromny, tuż za nim psy coraz bliżej zawodziły. Biegł oszalały ze strachu, tak, że się zdawał czatujących nań nie widzieć.

Werchaniec coś zmiarkowawszy po zwrocie oczów czy głowy, wysunął się dalej na prawo i stanął.

Biskup w miejscu stał wryty. Kozioł przeskoczywszy kłodę z podniesioną w górę głową, pyszny, silny, straszny swemi rogami rozłożystemi, wprost rzucił się na Werchańca. Podsunął się pod stojącego u drzewa tak blisko, że niemal otarł się o niego. Stary rzucił nań oszczepem — i chybił.

Pocisk świsnął w powietrzu i daleko zarył się w ziemię.

W mgnieniu oka, czwałem, jak oszalały Biskup najechał na stojącego Werchańca i w dzikiem roznamiętnieniu oszczep, który w rękę trzymał, do piersi mu cisnął.

Rozgniewaną dłonią rzucony pocisk — przeszył na wylot nieszczęśliwego, który ręką ku niemu zrobił ruch gwałtowny, jakby wyrwać go chciał, pochylił się w tył, zsunął z konia przelęknionego, i upadł na ziemię. Pocisk tkwił w nim, krew buchała z piersi i lała się ustami...

Krzyk jeden tylko, krótki, urwany dał się słyszeć, potem coraz cichsze chrapanie, kilka razy drgnął Werchaniec i wyciągnął się konając.

Biskup, który natarł nań blisko z koniem, stał osłupiały.

Namiętność, która go zbójcą uczyniła, dopiero teraz na widok krwi ostygła — powracała mu przytomność. Twarz bladła i mieniała się.

Nie wiedział co miał począć jeszcze, gdy już ludzie i psy gromadnie nadbiegli na polanę.

Na widok leżącego Werchańca krzyzcze zaczęli, psy stanęły i ostrożnie do krwi płynącej zaczęły wyciągać języki...

Nęciła ich, odpędzać nikt nie myślał.

Myśliwi stali przerażeni jak gromem. Biskup też drżący jeszcze, z głową spuszczoną, długo nad trupem pozostał milczący.

Zwrócił się nareszcie do starszego łowczego swego Dudara.

— Przypadek się stał — zawarczał posępnie. — Oszczep puściłem na kozła, a ten niezdara się nawinął. Trupa wziąć na konia, uwinąwszy w płachtę jaką.

Rozkazu tego ludzie jeszcze wykonać nie pośpieszyli, gdy Biskup się rozmyślił.

— Po co się wozić z tem ścierwem, — zawołał, — tu mu jamę wykopać i pogrześć.

Spojrzał groźnie na Dudara.

— Słyszysz, ty!

Potem na czeladź się obejrzał i głos podnosząc, dodał:

— Zginął w lesie! Język za zębami! Kto mi piśnie, dostanie mu się to co jemu!

Ręką wskazał.

— Czego stoicie? dół mu kopać żywo. Ani rogu ani nic mu nie zdejmować, nie tknąć! pogrześć go jak padł!

Łowcy, dziki lud już byli ochłonęli z przerażenia. Dudar pierwszy do trupa przystąpił, za nim inni. — Straszny był ze krwią już się ścinającą na ustach, z oczyma na wierzech wysadzonemi, z gębą poczwarniej jeszcze bólem wykrzywioną. Dudar tyłem stojący do Biskupa pożałował pięknego oszczepu tkwiącego w piersi, nogą na trupa nastąpił i oburącz go wyciągać zaczął. Ks. Paweł nie rzekł nic.

Oszczep zboczony był, więc Dudar począł go śniegiem ocierać ze krwi, a psy cisnąc się krew ze śniegiem lizaly.

Biskup stał na koniu, z większą grozą na twarzy niż żalem. Zbrodnia popełniona nie budziła w nim skruchy, ale dzikszą jeszcze namiętność. Patrzył obojętnie na ludzi spełniających jego rozkazy.

Jamę wykopać nie było łatwo w zamarzej ziemi. Szczęściem, ludzie toporki mieli, którym niegłęboko pod śniegiem umarzły piasek porąbali. Dalej już zamrozu nie było, dobywano rękami, wynoszono w polach ziemię, a ludzie zwijali się żywo, bo pan sam stał nad niemi. Co który spojrzał nań, ciarki po nim przechodziły.

Zaledwie dół za krótki, na łokci parę w głąb dobyto, gdy Dudar dał znak, aby weń trupa kłaść, a że się nie mieścił wyciągnięty, posadzono go w jamie i na znak dany przez łowca posypała się ziemia na głowę, która zwisała na ramię, jeszcze szklannemi patrzyła oczyma. Psy stały nad grobem z wywieszonymi ozorami...

Szybko już potem poszło zasypywanie mogiły i ubijanie ziemi, którą nogami deptano, dopóki się z powierzchnią nie zrównała.

Nasypano na wierzech i śniegu, aby miejsce poruszone nie bardzo znacznem było. Dudar kazał jeszcze zginiłą kłodę przytoczyć, którą czeladź oparłszy się o nią, na grób zepchnęła.

Spoczął tak Werchaniec, w grobie, którego nazajutrz trudno by się domyślić było tym, co o nim nie wiedzieli. Tylko stratowana polana i kraj lasu, zdeptany śnieg, porozrzucane liście, świadczyły o bytności ludzi...

Wszystko się już dokonało, a Biskup jeszcze się z miejsca nie ruszył. Coś go tu przykuwało, upojenie jakieś krwią, szal zbrodni. Pies ulubiony jego podsunął mu się łaszcząc pod konia, Paweł w gniewie cisnął nań obuszkim i ubił.

Była to dla czeladzi przestroga. — Wszyscy z głowami pospuszczanemi stali jak niewolnicy, którym myśleć ani czuć się nie godzi.

Nagle ksiądz Paweł konia targnął gniewnie, szarpnął uzdą, ubodł ostrogą i nazad z lasu ku miastu się skierował. Dudar siadł na konia z obojętnością człowieka, co nieraz śmierci w oczy zaglądał, skinął na czeladź i jechał za panem.

Łowcy i psiarze nie śmieli ani szepnąć w drodze, mierzyli się oczyma.

Jeden z nich, choć pod okiem pana, gdy Werchańca do mogiły ciasnej wkładali, odczepił mu róg zęcnie i ukrył spiesznie za pazuchą, drugi nóż wysunął i w but go schował. Ci idąc mieli niewiniątek twarze i wydawali się najpokorniejszemi.

Było dobrze południe, gdy z lasów się na pole wybrali, a choć po drodze ze zwierzem się spotykali, Biskup ani nań spojrzał, ani ścigać kazał. Jechał tak pogrążony w siebie, iż na konia nawet bacności nie dawał. Parę razy mu się potknął mocno, skarcony został do krwi ostrogą.

Za lasem czekała przy chacie leśniczego część biskupiego orszaku.

Chata była nędzna, choć leśnik bogaty, bo naówczas z zamożnością się przed wszystkimi kryć musiano, aby nie obdzierali.

Ludzie Biskupa stojący tu postrzegli zaraz, że Werchańca brakło, ale ten się często w las zagnawszy obląkał, nie było w tem nic tak dziwnego.

Poznali tylko po obliczu pana, że łowy źle pójść musiały, bo i zwierza nie wieziono i on jechał zasępiony, a służba szła w strasznym milczeniu.

Biskup zsiadł tu z konia, i do izby wszedłszy w której go do nóg mu padając powitał Leśnik stary — popchnął go precz od siebie i kazał grzać wino.

Dudar natychmiast się wziął do tego, bo nigdy bez beczułki nie wyjeżdżano. Jadło odepchnawszy Paweł siedział i pił długo.

Na dworze pozostała służba przyparła się do płotów i woza, a na pytania zadawane przez resztę dworu nie odpowiadała.

— Gdzież Werchaniec?

— Licho go wie...

— Zły pan?

Głowami okazywali, że się doń zbliżać nie było bezpiecznie.

Pijąc, sparty na rękę Biskup, wyrzał razy kilka ku oknu, jakby się słońca i dnia pytał ile ich było do wieczora.

Piękny dzień zmienił się pod wieczór w pochmurny, szara opona śniegiem grożąca wisiała nad ziemią. Wiatr czasami przeciągał z wyciem. Rachował pewnie ksiądz Paweł, ażeby zbyt zawczasu nie powrócić do Krakowa. Już zmierzchało, gdy znak dał by mu konia podawano. Służba ruszyła się zwawo, milcząca, strwożona — Dudar nią dowodził.

— No, to się gdzieś zbłąkał Werchaniec — mruzczeni niektórzy.

Drudzy patrząc po sobie, uśmiechali się skrycie.

Jak pogrzebowy orszak, ponuro, milczący, smutnie pociągnął ów biskupi poczet ku miastu.

Ci, co byli na polanie, bali się ust otworzyć — reszta przestała pytać. Oglądano się tylko czy Werchaniec nie napędzi. Wiatr coraz wiał silniejszy i gniły.

W tem milczeniu grobowem wjechali już nocą prawie w ulicę Wiślną, w podwórze i Biskup wprost poszedł do swej izby sypialnej. Służba rozpierzchła się po stajniach i psiarni. Dudar wdumany w siebie, myśląc pewnie czy mu Werchańca zastępować nie każą i czy go kiedy ten sam los nie spotka, stał jeszcze na podworcu, gdy ze drzwi wybiegła w boki się ująwszy Zonia.

— Słuchaj, ty! — zakrzyzczała do Dudara, — a mój gdzie?

— Albo ja wiem! Zabląkał się!

— Coście to, nie trąbili nań?

Dudar ramionami dźwignął.

— No, słyszysz? Gdzież go to lichu poniosło? nie wiesz?

— Pewno w puszczy nocuje, — z trochą szyderstwa odparł Dudar, spiesznie precz odchodząc.

Zonia połajawszy go, wróciła do izby, w której ten sam młody klecha siedział u stoła. Poczęła łąać, że jej męża zagubili.

— A co mu się w lesie ma stać, który on zna jak własną komorę? — odezwał się klecha. — Wilcyć go nie zjedzą.

— Nie ukąsiliby, tak stary i twardy, — odparła Zonia śmiejąc się i siadając na ławie.

Siedzieli tak na rozmowie z klechą dobry czas, aż się pożegnał i wyszedł. Werchańcowa kręciła się po izbie, ogarniał ją niepokój jakiś.

— Ten zbój to mi zawsze takiego strachu napędza, — rzekła do siebie. — Niebardo mi się na co zdał, a wszelako oczy do niego nawykły...

Przeżegnała się pobożnie, pocałowała krzyż, narzuciła chustę na siebie, i pobiegła do dworca. Tu popytawszy czeladzi, do komory wpadła, w której Biskup siedział nogę na nogę założywszy, sam jeden z czołem nafałdowanym.

Zobaczywszy ją w progu, odwrócił twarz.

— A gdzieście to mego podzieli? — ostro zapytała Zonia. — Biskup ręką zamachnął.

— Idź, jędzo idź! — zawołał — w lesie został...

Popatrzyła mu w oczy.

— Cóż to jest? — zakrzyzczała. — Wszak to już nocka? a jego tak na wilki zostawi-
liście?

— Milczcie i idź zkażeś przyszła — odparł sierzząc się Paweł i pięść podnosząc. —
Precz, babo!

— Czegoś zły! — zamruczała Zonia, wcale się nie uląkszy i stojąc a przypatrując mu
się i niby czytając w twarzy. Biskup milczał długo.

— Jego nie ma, — poczęła znowu baba po chwili — a ja tu za wszystkich starczyć
muszę. Życia nie stanie. Ta wasza Kraska, łomocze się tam po swych izbach, że ją choć
wiązać... Wszystkiego jej mało, królową by się chciało być... Idźcie no popatrzeć jak
szaleje... A tu ja jedna i na nią i na czeladź, i na dwór...

Gdy język tak rozpuściła, Biskup wstał, nogami poczał bić o podłogę a rękami pod-
niesionymi grożąc wygnął ją precz z izby, z której uciekła przeklinając.

Tego wieczora garstka wiernych Pawłowi, wesołych towarzyszków, zebrala się na wie-
czerzę, ale Biskup, który z niemi nie pieścił się bardzo, kazał precz odprawić, powiedziaw-
szy że jest chory. Do dziwactw jego nawykli, poszli pasozyci, szydząc i rozpowiadając po
cichu, że pewnie być musiał u swej zakonnicy.

Nie było go tam do późna. Zawahał się nawet czy miał iść dnia tego, czy u siebie
pozostać — namyślił i wyszedł tylko na chwilę.

Dziewczynę znalazł stojącą, nadąsaną, zwróconą plecami doń gdy wchodził. Biskup nie
w lepszym był usposobieniu. Burza groziła. Bieta udała, że go nie postrzegła i nie słyszała,
zwróciła się potem nagle i temi oczyma, które u niej za całą twarz stały, zmierzyla groźnie
Biskupa.

Gniew z nich buchał...

— Cożeś to tak zła? — zapytał.

— Albo mi tu dobrze, żebym dobrą była? — odparła gwałtownie, suknię szarpiąc na
sobie. — Niewola taka jak w klasztorze, twarzy ludzkiej nie widzę, głosu nie słyszę, wy
ledwie przyjść raczycie wstydzając się mnie...

Biskup nie odpowiadał, o czym innym rozmyślając, roztargniony.

— Wstydzicie się i kryjecie, — dodała — a to próżno, wszyscy przecie wiedzą, że
wasza...

Chodzić poczęła zataczając się i chwytając za głowę.

— Złościca jesteś, — odezwał się Biskup, oczyma goniąc za nią. — Drugaby się za
szczęśliwą miała we wszystko opływając — tobie trzeba jeszcze więcej!

— A! mnie to wszystko wasze za nic, — zaczęła Bieta dąsając się, — za nic bez
powietrza, słońca i ludzi. Jeszcze mi za stróża posadziłeś na karku babę złą i krnąbrną,
która myśli, że ona tu panią i mnie chce rozkazywać! Ja żadnych przykazań nie znoszę!

Biskup słuchał obojętnie, odrętwiały.

W tem drzwi otwarły się z trzaskiem wielkim, tak, że Bieta i Biskup zwrócili się ku
nim przestraszeni.

Z włosami potarganemi, z zaognioną twarzą, w sukniach pomiętych, jak wściekła
wpadła Zonia wprost na Biskupa, w rękę trzymając ów róg mężowski, który jeden z cze-
ladzi odkradł, gdy go do grobu wciągano.

Podniósłszy go do góry stanęła przed Pawłem, słowa nie mogąc przemówić. Dobyła
nareszcie głosu z piersi.

— Co się stało z moim? mów! na rogu krew! Werchańca nie ma! Ludzie milczą!
Mów! to twoja sprawa.

Biskup cofnął się trochę poblądłszy, lecz natychmiast w nim górę wzięła duma i zu-
chwalstwo przyrodzone. — Spojrzał z góry na kobietę i zmarszczywszy brwi, pokazał jej
drzwi.

— Precz!

— Precz! nie! nie pójdę precz! krzyknęła Zonia. — Ty wiesz! to sprawa twoja!! Tobie
się go może pozbyć było potrzeba, bo wiedział wiele... Takbyś się i mnie chciał zbyć!

— Kto ci dał ten róg? — poczał biskup napaścią tą strwożony znowu — skąd go
masz?

— W izbie czeladnej na stole, u wieczerzy go położyli — żywo wołała kobieta. Na
nim krew! krew!

Ręce jej dygotały róg obracając. — Biskup zwolna oprzytomniał. Bieta oka z niego nie spuszczała.

— Co za krew! jelenia może albo dzika! — rzekł Paweł. — Róg musiał zgubić upiwszy się! Niecnota! Co ja wiem o nim. Idź go szukać sobie.

— O! ty wiesz! kłamiesz! krzyczała Zonia — Wiesz! Ludzie milczą, dosyć popatrzeć na nich, czuć, że coś połknęli i tają, bo muszą... Jemu się stało coś — on nie żyje! Zwierz go zadarł czy ty!

Gniew niewieści rozlał się we łzy namiętne, w jęk i szlochanie. Biskup zmierzwiwszy ją i Bietę długim, chmurnym wzrokiem, podszedł ku drzwiom i zatrzasnął je gwałtownie za sobą.

Werchańcowa na ziemię padła rozplakana, zrozpaczona.

Z mężem na pozór nie byli nigdy bardzo serdecznie, ale Zonia po swojemu była doń przywiązana, zazdrosną o niego, żyła z nim długo, nawykła doń, byli sobie wzajem potrzebni. Żal po nim objawiał się niemal rozpaczą.

Można było przepowiedzieć, że nie potrwa długo, lecz pierwszy wybuch jego był straszliwy.

Bieta, dla której wszystko to po klasztorzym spokoju nowem było, — stała patrząc, słuchając, rażona i więcej zaciekawiona niż rozrzewniona. Pierwszy raz w życiu widziała tak dziką namiętność, choć sama nie mniej gwałtowną była.

Po różnych wywoływaniach, zaklęciach, wykrzykach do Boga i świętych o zemstę, o karę, o ratunek, — Zonia zwróciła się do Biety.

— Znajże ty tego człowieka, jaki on jest — zawołała, — poznaj ty go zawczasu, bo i ciebie to, co nas czeka!

— Precz! za drzwi, gdy się mu skomlenie naprzykrzy! albo ubić każe. — Czy to mu pierwsza, czy ostatnia! Takim on zawsze był i takim szatani duszę jego porwą do piekła! Gotuj że się i ty pieszczoszko! Jak mu się przejesz, wyżenie bez litości...

Groząc jej pięścią, cała jeszcze z gniewu i wzruszenia miotając się ruchy bezmyślnymi, Werchańcowa róg mężowski cisnąc w rękę pobięła ku drzwiom, jakby Biskupa goniła. Bieta ściagała ją oczyma. W duszy jej budziło się pytanie — czy to miało być szczęściem dla którego spokojny klasztor opuściła??

II

Izba była sklepiona, niska, mała, prawie jak cela klasztorna. Jedno okno zakratowane, błonami ciemnymi sadzone, wpuszczało do niej tyle światła, że we dnie siedząc przy niem, czytać można było.

We wgłębieniu grubego muru, w którym się ono mieściło, stało siedzenie drewniane, dębowe z prosta rzeźbione nie zgrabnie, z wysokim poręczem i bokami, wysłane starą poduszką. Podnózek dobrze wytarty stał przed niem, i stół z pulpitem wyniesionym, bez którego ksiąg ówczesnych grubych, ciężkich, czytać nie było można.

Wszystkie one, z małymi wyjątkami agend i ksiąg pobożnych, miały formę grubych foljałów, oprawne były w deski dębowe, okute mosiądzem, a jeden człek ledwie je czasem mógł podźwignąć. Czytający musiał je na takim rozkładać pulpicie, aby się w nich wygodnie rozpatrzyć.

Właśnie taki olbrzymi foljant spoczywał otwarty przed siedzeniem, a zrzynek pergaminu służył za zakładkę.

W prawo niżej pulpitu, na podstawie spoczywał czarny kałamarz rogowy, nożyk niezamykany i przyrząd cały do pisania. W lewo stała w dębowe drzewo oprawna prosta klepsydra szklanna z piaskiem jak śnieg białym, mierząca godziny.

Zgaszona lampka włoska ze swemi przetyczkami i łańcuszkami, z po za klepsydry wyglądała.

Naprzeciw siedzenia tego, całkiem we wklęsłość muru wciśniętego, na małej pułeczce w górze, tak, aby czytający zawsze ją mógł mieć na oku, postawiona trupia głowa, przypominająca pobożnemu mieszkańcowi tej ubogiej izdebki, znikomość rzeczy doczesnych.

Za oknem tem, w kąci ciemnym, stało łóżko anachorety, ciasne, twarde, jedną wełnianą, wyszarzaną kołdrzyną okryte. Przy niem u wezłowia widać było klęcznik z krucyfiksem i dzbanek na ziemi.

Podłoga bez mat i wysłania, składała się z połupanych już i porozgniataanych cegieł, z pośrodku których tu i owdzie ziemia nawet przeglądała.

Po kątach swobodnie pająki zasnuwały sieci swoje. Reszta ścian wolnych, okryta była przytwierdzonymi do nich pulkami, na których się skromne mieszkańca tej izdebki gospodarstwo mieściło.

Można było z nich odgadnąć co mu drogiem a co obojętnem było.

Najwięcej miejsca zajmowały takie księgi ogromne, z których jedna właśnie spoczywała na pulpicie, ciężkie, rozmiarów wielkich, w okładzinach z desek skórą poobciąganych, z kutymi ciężko narożnikami, grzbietami i boki z mosiądzu, na grube klamry pozamykanymi.

Z ich układu wnosić było można, iż często je ztamtąd poruszano, nie stały bowiem rzędami wyprostowane jak próżniacze księgi na spoczynek skazane, ale się różnie wychylały, jedne leżąc, drugie stojąc pochyło, inne się przygniatając, aż pulka pod nimi w kabłąk się ugiwała.

Tuż obok nich para garnuszków, kilka misek glinianych, flaszek pyłem okrytych, we mroku ledwie dojrzone się chowały.

Dla przybywających tu w gościnę, których zapewne nigdy się wielu razem zbierać nie mogło, stały przygotowane dwie ławki dębowe z poręczami, a na jednej z nich wyszarzana, spłaszczona leżała poduszka. U drzwi wisiała kropielnica gliniana, na której domyśleć się było można anioła ze skrzydły rozpostartymi, który naczynko utrzymywał. Para obrazków świętych kryła się w ciemności, która już z południa większą część izby zalegała.

Właśnie o tej godzinie zimowego dnia, siedział w tej swojej katederze przy oknie w kożuszek okutany, w butach futrzanych, mężczyzna maleńkiego wzrostu z bystremi, mimo lat podeszłych, oczyma... Głowę miał też okrytą czapczką z uszami, bo w izbie było dość chłodno.

Ręce pozasuwał w rękawy biedny starowina, postawę miał zbiedzoną i smutną, a że się skurczył, i siedzenie dlań za obszernem było, ledwie się w niem skulony u boku dojrzeć dawał.

Był to ksiądz Jakób ze Skarzeszowa, ówczesny luminarz kapituły, któregośmy już raz przy wyborach widzieli. Od tego czasu twarz jego zwiędła, żółta, jeszcze się bardziej do pergaminu starego stała podobną, jak gdyby na niej odbiła się barwa tych ksiąg, nad którymi nieustannie siedział.

Mała izdebka dnia tego była prawie pełną, tak, że przybyli stać musieli i obracać się im było trudno a że wszyscy pragnęli przybliżyć się do uczonego i pobożnego męża, otaczano go ciasnym kołem.

Ks. Jakób czy miał spuszczone i jakby nie śmiał patrzeć na przytomnych... Twarz wyrażała strapienie i frasunek.

Na przodzie stał kanonik Janko, znany nam przeciwnik Biskupa z czasów wyboru; chudy, suchy, ascetycznego oblicza, na którym gorzały zapal, energia i wielka woli siła. Za nim inni nieprzyjaciele biskupa, smutni, upokorzeni, bezsilni, milczący, pogrążeni w sobie, na odpowiedź księdza Jakóba oczekiwać się zdawali. —

Milczenie było długim, smutkiem brzemiennie — ks. Jakób z odpowiedzią się ociągał.

— Dopuszczenie to Boże — rzekł nareszcie głosem złamanym — ale, bracia mili w Chrystusie Zbawicielu — drogi Opatrzności są niezbadane. Dozwala on czasem złym przyczynić zgorzenia, z pychą się prawdzie urągać, aby ona potem wyszła zwyciężką i jaśniejszą. Bóg wielki! Kara to straszliwa, ale zżymać się i szemrać nie godzi! Na próbę wydana cierpliwość i wiara wasza i cnota — abyście się nauczyli szanować władzę kościoła, choć w niegodnych rękach spoczywa — a Bogu pozostali wierni.

Biada temu przez kogo przychodzi zgorzenie, lecz kościół wiekuisty uszczerbku nie poniesie przez jednego człeka — my, słudzy jego ucierpim tylko! Na tośmy przecie żołnierzami Chrystusowemi, abyśmy mu ran naszych nie liczyl. Płaci on za nie sownie!

Skończył ks. Jakób — westchnienie do jęku podobne słyszeć się dało wśród stojących do koła.

Ks. Janko odezwał się pierwszy.

— Ojcie miły — rzekł. — Wszystko to święta prawda, ale na tośmy żołnierzami Chrystusa, abyśmy kościół Jego ratowali. My kapituły tej przeświecanej członkowie, my

współpracownicy domniemani tego człowieka, którego czyny w części na nas spadają — musimy, powinniśmy nie zostać bezczynnymi świadkami.

Nie da się inaczej zaprotestować — wykrzyknął głos podnosząc — więc choćby pieszo pójdziemy do Rzymu. Nie zechce nikt, ulękną się inni tego Antychrysta, wezmę kij w rękę i pójdę ja sam. Padnę do stóp Namiestnika Chrystusowego, powiem mu ból mój i zwolnię sumieniowi memu. *Salvabo animam meam.*

Parę głosów odezwało się za nim.

— Pójdziemy z wami. —

Ks. Jakób milczał, patrząc na księgę, czy na ziemię.

— Postanowiona to rzecz — dodał ks. Janko. — Chybabym nie żył, uczynię, jakom rzekł. Sam, czy z kim, bodaj o żebrany chlebie od furty do furty klasztornej — idę!

Zapał z jakim to mówił ogarnął innych, poczęli za nim powtarzać.

— Pójdziemy! idziemy!

Jednakże się nie wszyscy w tę podróż ofiarowali.

— Myśmy wszakże w Rzymie nie znani — mówił po chwili ks. Janko — posadzą nas może, iż dla osobistej waśni spór toczemy. Potrzeba nam powagi twej, poparcia twego ojciec... Znacie tam mężów wielu. Ojciec Święty szanuje was, słowo jedno wasze więcej tam znaczyć będzie, niż wszystkie skargi i użalenia nasze.

Ksiądz Jakób powoli zaczął głowę podnosić.

— Dam wam świadectwo, — odezwał się — jako was za mężów zacnych i wiary godnych trzymam, ale oskarżać mnie, staremu, o to czego oczy moje nie oglądały, o czym z posłuchów wiem tylko... nie przystało.

Kanonik Janko nie nalegał; ks. Jakób mówił dalej powoli, karty swej księgi palcami poruszając.

— Świadectwo moje! daj Boże, aby się ono wam na co przydało.. Nim wy z niem przybędziecie do Rzymu, mnie na tym świecie nie będzie. Lata moje podeszły już bardzo, Bóg mi dał tę wiedzę, łaską swą, że się zbliżam do końca. Na sąd idę, spokojny.

Zaczęli mruzczyć niektórzy, a jeden z młodszych księży pochylił się i z poszanowaniem, rękaw sukni starca ucałował.

Ksiądz Janko ciągnął dalej. —

— Kto nie może iść z nami, powinien nam też świadectwo swe dać, aby powagę większą skarga miała.

Kilku duchownych zgodę oświadczyło.

Kanonik mówił z oburzeniem rosnącym:

— Wszeteczeństwo, jawnogrzesznictwo, zabójstwa, simonja, rozgrabienie duchownej własności, gwałty wszelakie, samowola niesłychana!...

Nigdy tak kościół pokarany i pokalany nie był dłonią, co go bronić i przyświecać mu była powinna! Prześladowali świeccy, lecz by pasterz własną swą trzodę wiodł na zatrącenie, tego jak pamięć ludzka i dzieje sięgają, nie było!

— Nie było! — powtórzyli wszyscy.

— Na nas wszystkich odgrazanie się srogie, — mówił Janko. — Ludzie biskupi głoszą, że więzienia i kupy oczyszczać kazał, stróżów do nich nowych poprzyjmował! Żelazne więzy kowają dla nas. Tym czasem obicia ze skarbców idą na łożo wszeteczniczy, mniszki, grosz nasz na zapłatę grzywn przelaną krew! zgroza!!

Ksiądz Jakób zamknięty w sobie milczał. Robiło się w izbie coraz ciemniej. Stojący za innemi czelczek nie wielki, biedota, który słuchał z uwagą natężoną oddawna, skorzystał z chwili, gdy nań niepatrzano, do blizkich drzwi się przysunął, ostrożnie je, z lekka odeknął i — uszedł. Dopiero, gdy się one za nim zawarły, a klamka zatrzaśła, dostrzeżono, że ktoś ubył.

Spojrzano po sobie, policzyli się obecni, księdza Jeremiego nie było.

Kanonik Jeremi Jankowi i niektórym innym zdawna był jakoś podejrzanym, chociaż stale trzymał z temi, co przeciw Biskupowi byli, a czasem nawet odzywał się dosyć gorąco na Pawła.

Nie miano dowodów żadnych, by sprawę ogólną zdradzał, a jednak przeczucie jakieś mówiło, że go się strzedz należało.

Ksiądz Janko mianował go wprost przecherà, inni bronili. Był to człowiek pokorny, godzący się na wszystko, nie sprzeciwiający nikomu; pomimo małowówności, wciskający się ciekawie gdziekolwiek była jaka narada, gdzie się coś dowiedzieć, posłyszec było można. I działa się potem rzecz dziwna, bo choć narady odbywano w poufnym kółku, Biskup o ich skutku, nawet o słowach wyrzeczonych i sposobie przemawiania każdego, był doskonale uwiadomiony.

Nie podpatrzono dotąd by ks. Jeremi chadzał do Biskupa, przecież nie bardzo mu ufano.

Ksiądz Janko, który tu zawołał innych członków kapituły, jednako myślących, osiągnąwszy cel swój, a widząc nadchodzący wieczór, gdy już duchownym bez światła i chłopca na ulicach samym się ukazywać nie godziło — zabierał się do wyjścia. Inni też księdza Jakóba żegnali.

Janko jednak po namyśle został dłużej trochę, bo i gospodarz coś mu szepnął do ucha.

W izbie zupełnie się zrobiło ciemno, tylko od śniegu w ulicy leżącego, trochę odbitego blasku przez okienko wpadało.

Zgarbiony starowina, prawie tego wieku co ksiądz Jakób, wszedł mu lampkę zapalić.

Ręce, które trzymał w rękawach kożuszka zasunięte, wyjął ks. Jakób i podniósł je do ks. Janka.

— Braciszku mój! — zawołał niespokojnie. — Braciszku mój! Ty *per pedes Apostolorum* do Rzymu, ty! do Rzymu, braciszku, a moja cała nadzieja była w tobie! Ja lada godzina zemrę, któż się zaopiekuje skarbami mojemu, aby się to nie rozproszyło marnie, na co ja wiek cały pracowałem! Żli ludzie rozerwać to gotowi, gdy ja zamknę oczy. Ze zgrozą myślę! Powydzierają karty pergaminowe, pozmywają je, podrapiają, aby na nich lada przywileje pomazali! A moje Decretalja! Codexy moje! Biblja...

Starzec mówiąc rozgrzał się mocno, głos słaby urósł mu nawet, ręce wyciągnięte drżały.

— Ty do Rzymu, braciszku, a moje rękopisma na cztery wiatry! na myszy!

— A! tak źle nie będzie, ojciec mój, — odparł ksiądz Janko — znajdzie się przecie ktoś, co mnie zastąpi!

Staruszek, któremu się na płacz zbierało, powtórzył z boleścią:

— Codexy moje! *Miserere Domine!* Miserere!

Kanonik Janko w ramię go pocałował; nie mówił nic, ale mu się dziecinnem zdało o kodexach myśleć i dekretaljach, gdy kościół gorzał.

Nazajutrz po tej naradzie, zwykły poseł w takich razach, strojny, rumiany, wesół, rubaszny ks. Szczepan się zjawił u księdza Jakóba, Biskupa prawa ręka, zausznik i gorliwy obrońca.

Twarz miał nad podziw wesołą, jak gdyby na świecie żadnego powodu do strapienia nie było.

— A co? księżę prałacie, — zawołał głośno całując go w ramię. — Jak tam zdrowie? Ksiądz Biskup się o nie troskliwie dowiadyje.

Stary spojrzął z ukosa, jakby powiedzieć miał — Zkądże ta łaska? i rzekł krótko:

— Dogorywam! O zdrowie tam nie pytać, gdzie życia ledwie drobinka.

— Ho! ho! — przerwał ks. Szczepan. — Tak to wy już od lat mówicie dziesiątka... ale, zawiędliście, i przeżyjecie nas młodszych!

Ksiądz Jakób dał znak ręką.

— Ksiądz Biskup was na jutrzejszy dzień do stołu zaprasza — dokończył przybyły. — Wie on, że mu nie wszyscy są chętni, ale, bez różnicy, wzywa całą kapitułę. Kazał mi was prosić.

— Ale ja i o kiju nie mogę! — odparł Jakub. — Nie mogę, na żaden sposób.

— A powinniście być! — pośpiesznie począł Szczepan. — Potrzeba raz w kapitule ład uczynić... Ksiądz Biskup ma niechętnych wielu, potwarzami okrutnymi go okładają... Czynią go wszetecznikiem, gwałtownikiem, mordercą!

Starzec spojrzął znowu z ukosa.

— Potwarze to są! potwarze kalumnjatorów — ciągnął przybyły. — Nikt z nas świętym nie jest, ale znowu nie takeśmy przekłeci, jak głoszą. Mniszka uciekła z klasztoru? albo to pierwsza? Wnet na Biskupa włożyli, że on ją wykradł!

Niech że dowodzą!

Na łowach mu ulubionego sługę ubito — wnet głoszą, iż Biskup go zamordował! Gdy zle języki puszcza się — ho! ho! końca nie ma. Dalej już niewiem, co nań wymyślą...

Ksiądz Jakób milczał.

Przybywający z zaproszeniem byłby może mówił dłużej, lecz zobaczywszy, iż starzec machinalnie karty księgi przed sobą leżącą przewraca, a mało się go słuchać zdaje.. zabrał się do pożegnania.

— Będzicie u Biskupa? — zapytał.

— Wiecie, że ja tą porą zimową, na krok z izby nie wychodzę, — odpowiedział ks. Jakób sucho.

Po odejściu posła stary zaraz modlić się zaczął z tą obojętnością na wszystko ziemskie, które w późniejszym wieku, gdy człowiek światu obcym się staje, świadczy zarówno o starganych siłach, jak o spokoju ducha.

Ta myśleniem przerywana modlitwa trwała z godzinę, gdy ktoś do drzwi zapukał i wszedł kanonik Janko, jak zawsze, poruszony mocno.

— Coś nowego, — odezwał się w progu — ksiądz Biskup nas wszystkich, wrogów swych na obiad wołać raczy! Posły biegają na wsze strony, nagłąc, abyśmy szli.

— A wy? — zapytał starszek.

— No? a wy? — powtórzył ks. Janko.

Gospodarz za całą odpowiedź, wysunął swe obrzękłe, futrem obwinięte nogi.

— Ja! pójdę! — zawołał stanowczo Janko. — Tak! pójdę! Mężtwo potrzeba mieć, aby wbrew i zawsze prawdzie dawać świadectwo! Łatwo narzekać i łajać za oczy — pora przysła stanać oko w oko! Pójdę!

Stęknął ks. Jakób.

— Miejcież się na bacności, — szepnął bardzo cicho. Jedno z dwojga, chcecie skarżyć do Rzymu, po cóż mu w ręce się dajecie? Cóż będzie, gdy was tam ująć każe i do więzienia da wrzucić?

— Nie może być! nie targnie się! nie będzie śmiać! — krzyknął Janko. — Kapitułę do więzienia!

Starowina głową pokręcił, czapeczkę nacisnął na uszy, poprawił kożuszkę — nie rzekł nic.

— Pójdę ja, ale nie tylko ja sam — mówił Janko, — gardluję zatem, aby szli wszyscy nasi, i pójdą. Staniemy mu jako mur, jako opoka, jako wyrzut, jako głos sumienia mężnie. — Niechaj się dzieje co chce...

— A jeśli tak zuchwałym jest jak głoszą? — zapytał gospodarz.

Zmilczał nieco Janko.

— Gdyby się to stać miało, co wy prorokujecie — dodał po namyśle, gdyby się na nas targnąć ważył i do więzienia dał — toć świat o tem wiedzieć będzie, to mu wrogów przyczyni, i przyspieszy upadek pysznego...

— Mnie o me nędzne życie nie idzie — mówił z coraz większym zapałem. — Męczeństwo ponieść gotów jestem dla sprawy kościoła, głowę dać, krew przelać — a nie dopuszczę stolicy tej, świętych matki, bezcześcić i plugawić!

Ludzie powiadają — tak indziej bywa. Są źli biskupi, są pasterze niegodni! Nie było ich u nas na krześle tem, które zasiadał męczennik Stanisław ze Szczepanowa, błogosławiony Wincenty i Prandota i Iwo!

Nie było na tej stolicy cienia, ni plamy, a dziś!! ohyda!

Zakrył sobie oczy Janko.

— Ach! — ciągnął dalej — gdybym odwagę moją wlać w drugich potrafił, gdyby mu kapituła poszła pontificaliter, cała, jednogłośnie powiedzieć: — Nie chcemy cię, boś zakała, idź z tą synu szatana! idź przekłety Antychryście! Musiałby precz, ze sromem zbójca ten ustąpić!

Pięść wyciągnął ks. Janko, jakby nią miał wroga niewidzialnego uderzyć.

Nie spostrzegł się uniesiony tak, wołając, że na ostatnie jego słowa wsunął się ks. Jeremi i bardzo spieszenie czapkę zdjawszy, począł szeptać z uśmiechem.

— A co? a co? Biskup na jutro, na chleb, na polewkę prosi do siebie! Co to będzie! Wy, idziecie ojczulku?

Ks. Jakób głową potrząsnął...

— Jać nigdzie już nie chodzę, do kościoła nawet nie mogę.

— A wy? — zwrócił się do Janka.
— Jak sądzicie! — zapytał z pewną ironją Janko.
Zmieształ się przybyły.
— Ja! ja! — zająknął się — ale ja, głosuję za tem, aby iść! iść!
— Ja także! — odparł dumnie kanonik.
Ks. Jeremi przyskoczył doń żywo, oczki mu małe pały.
— Tak jest, ja pójdę — dołożył chłodno Janko.
— A drudzy?
— Sądzę, że pójda wszyscy.
Ks. Jeremi uspokoił się wprędce i tchnął swobodniej, zdawał się jednak nie dowierzać słyszanemu...
Dodał po cichu:
— Kiedy wy, ojczec, kiedy wszyscy... Kiedy postanowiono... ja się nie odłączę. Idę i ja.

Gdy się to działo w mieszkaniu ks. Jakóba ze Skarzeszowa, na dworcu biskupim wrzało i gorzało jakimś ogniem piekielnym. Biskup Paweł nigdy mniej przystępnym, gniewliwszym, popędliwszym nie był. Czeladź domowa, wołana i odpędzana nieustannie, najczęściej odchodziła okrwawiona i potłuczona. Nikt dogodzić mu nie umiał.

Nie wyjeżdżał wcale na łowy, bez których dawniej trzech dni się nie obywał, włóczył się po izbach pustych, do kościoła ani zaglądał, odwiedzających gości przyjmował twarzą ponurą i nadąsaną. Zaufanych swych lajał i okazywał im wzgardę.

Z kilku tylko zausznikami swemi z kapituły, a najczęściej z księdzem Szczepanem potajemnie miewał narady. Na Wawelu w kościele kazał się innym zastępować.

Czeladź biskupia rozповідаła, iż z żoną zabitego Werchańca, nieutuloną w żalu i gniewie, przez dni kilka takie jakieś odbywały się sceny krzykliwe... iż ją nareście nocą, gwałtem porwano i wywieziono. Dokąd, nikt nie wiedział.

Ze zniknięciem jej, Bieta, oswobodzona od nadzoru, stała się jeszcze bardziej samowolną i rozkielnaną. — Mówiono, iż na ludzi nie bacząc, wieczorami śmiało do dworu chodziła, a Biskup odpędzać jej odwagi nie miał.

Śmiała niewiasta brała nad nim nawet górę.

Z pokornej zakonnicy stała się tu panią wszechwładną, a moc jej rosła z każdym dniem i rozzuchwalała ją bardziej.

Czeladź musiała słuchać skinienia.

Co się stało z Werchańcową? domyślano się różnie, utrzymywali niektórzy, że jej już, jak jej męża, ludzkie oczy nie zobaczą.

W dniu tym, na który goście byli do stołu biskupiego zaproszeni, cała służba nadzwyczaj była czynną. Ksiądz Szczepan do bocznej komory zwołać kazał wszystkich wyrostków, którzy około stołu posługiwać byli zwykli. — Z temi bardzo długo szeptał coś, nauki im dawał i nieodpuścił, aż ich służby jakiejś nauczył.

Gdy się potem ta swawolna gromadka rozpierzchła po podwórzu, widać było na ładnych twarzyczkach chłopiąt osobliwą jakąś radość — jak gdy się jaka niepoczciwa nastrecza psota do wyrządzenia. Stawali po kątach gwarząc, śmiejąc się, za boki biorąc i niemogąc poskromić wesołości, która z nich wybuchała. Zuchwalej niż kiedy stawili się swej starszyźnie.

Ciekawi komornicy biskupa, domyślając się czegoś, napróżno z nich starali się dobyć tajemnicę. Co rzadko się trafia młokosom, milczeli uparcie, a śmiechy po kątach nie ustawały. Głowy sobie łamali drudzy, zkąd ich napadło to wesele i ta buta, domyślano się tylko, iż ksiądz Szczepan od biskupa tajemne jakieś wydał rozkazy.

Do obiadu i przyjęcia duchowieństwa wielkie czyniono przygotowania, choć gość dawniej na biskupstwie nie był rzadki, i w ostatnich dopiero czasach mniej się tłumnie do stołu i kubków ściągano.

Oprócz chłopców, prawa ręka Biskupa kanonik Szczepan, wezwał i inną czeladź do siebie, mianowicie tych, co około biskupich więzień straż mieli.

Tych w nocy pościągano, — a gdy po wydaniu im rozkazów odprawił kanonik, nie tak wesoło jak chłopcy patrzyli. Rozeszli się po kątach posępni, wzdychając...

Wszystkie te przygotowania do uczty jawne i potajemne, Biskupa zdały się uspokajać nieco. Stał się mówniejszym, powolniejszym, i zmuszał się do okazywania pogodnego umysłu.

W wigilię dnia naznaczonego, Biskup jawnie podwórcem poszedł wieczór do Biety. Widzieli to wszyscy, zdał się nie dbać wcale. Od czasu wywiezienia Werchańcowej, u mniszki zmieniło się jeszcze; przybyło sprzętu i okazałości. Dostarczano jej co chciała, a codziennie potrzebowała czegoś nowego, i wszystkiego jej było mało.

Niewielkie izby dworku tem się wydawały wspanialsze, że w nich nagromadzono co tylko ówczesny mógł dostarczyć zbytek. Bieta kochała się w przepychach, jak ci co ich nigdy nie miewali. Powietrze wonne było od olejków ze Wschodu, od kadzideł drogich, którymi szafowano. Najjaskrawsze kobierce perskie leżały pod nogami, ściany całe okrywały obicia szyte i bisiory.

Dwór też swój po zniknięciu Zoni pomnożyła, postroiła, chociaż obchodziła się z nim nielitościwie.

Nie było dnia, by jednej lub dwu kąpieli nie kazała nastawiać, a włosów sobie kilka razy trefić coraz inaczej. Suknie też mieniała w dzień często, strojąc się coraz inaczej, coraz dziwniej.

Leżąc potem na miękkim posłaniu z rękami podłożonemi pod głowę, dziewczętom sobie kazała śpiewać pieśni miłosne.

Obok stawiano łakocie, które gryzła ciągle; coraz inne wymyślając napoje i jadła, bo się jej wszystko prędko przykrzyło.

Niespokojny duch jakiś niczem się jej długo cieszyć nie dawał, potrzebowała zmiany; zachciewała rzeczy nie możliwych, rzucała je potem ze wzdardą, a lada co niecierpliwiło ją, gniewało, wyciskało łzy z oczów... Dziewczęta widywały ją nagle zrywającą się z pościeli, biegającą po izbach... płaczącą i śmiejącą się jakby w przystępach szaleństwa.

Taką ją z oczyma zaiskrzonymi zastał Biskup tego wieczora. — Spójrzała nań niespokojnie badając niemi.

— Wiesz, — zawołała z wymówką gorzką — wiesz! klasztor mi się śni zaledwie zamrużę powieki! Słyszę nasz dzwonek do chóru, i pieśni tych mniszek przeklętych.. moje własne. Widzę tam siebie... Widzę i czuję jak mnie odartą do naga smagają i rzucają do celi ciemnej i zamurują na wieki.

Biskup ramionami ruszył.

— Oszałeję! — mówiła cisnąc się do niego — nie wyżyję! Te sny, te okropne sny! Widziałam królową Salomeę. Wstała z grobu biała, blada, około głowy koło miała złote, promieniste, patrzyła na mnie tak — a! tak! że mnie jej wzrok jak włóczniami przeszywał... Tu! tu! Jeszcze mnie boli!

I na piersi wskazywała.

— Nie śpię już w nocy bojąc się tej strasznej zmory... Każę śpiewać, siedzę, oczy się kleją, sny wracają. We dnie gdy usnę ze znużenia, toż samo... Nigdzie spokoju!

Biskup chciał się rozśmiać, usta mu się tylko skrzywiły, padł na blizkie siedzenie. Stała przed nim.

— Ja wiem, — ciągnęła gorączkowo dalej. — Mniszki chcą mnie tam nazad porwać... zamurować, zabić może... głodem umorzyć. Królowa nieboszczka, pani moja, ona mi nigdy nie przebaczy. To był jej klasztor, a my jej dziećmi. Czemu nie każesz się modlić księżom, aby mnie od tych snów uwolnić!

Ja nie poszłam dobrowolnie, jam niewinna. Tyś mnie wciągnął w to piekło...

Nie wiem sama gdzie gorzej mi było — tam czy tu!

Zakryła oczy, wstrząsała się i wnet odrzuciwszy ręce, poczęła płasnąć po izbie śpiewając, śmiejąc się, wdzięcząc, zmuszając być wesołą.

Wesele to było od smutku przykrzejsze... Buchnęła płaczem po niem.

— Na te sny utrapione przecież rada jakaś być musi? — zapytała.

Biskup się rzucił niecierpliwie:

— Dosyć już tych snów głupich! — krzyknął. — Ja tu do ciebie na spoczynek, nie na utrapienie przychodzę. Potrzebuję wesołej twarzy nie lamentów.

Bieta słuchając oczy wlepiła w ścianę.

Z za drzwi ciekawie podglądały służebne, klasnęła w dłonie.

— Hanna — zawołała — tu! słodkiego wina!

Paweł na wzmiankę o winie, zadumany rękę wyciągnął.

— Wina! podać tu wina! — powtórzył.

Hanna, starsza nad dziewczętami, milcząca niewolnica z twarzą nabrzmiałą i siną, pokorna, chytra, bojaźliwa, zjawiała się ze dzbankiem wyłaczanym i kubkami.

Podala żywo naprzód Biskupowi napój, ale Bieta z gniewem porwała pierwsza kubek. Dopiero po niej nalał sobie Paweł i wychylił pędkiem i chciwie.

Wstał odżywiony, próbując się uśmiechać, chciał po twarzy pogłodzić Bietę — ale ta mu się wymknęła obrażona.

Hanna wysunęła się dzban zostawując na stole przy ścianie.

— To wino — odezwała się Bieta — ono na sny nie pomaga, po niem straszniejsze jeszcze się roją.

Po Pawle widać było, że choć tu przyszedł z nałogu, myślą być musiał gdzieindziej. Zalotne ruchy i uśmiechy dziewczęcia, którego humor zmieniał się co chwila, rozchmurzyć go nie mogły. Wkrótce potem ponowił kubek, przeszedł się po izbie, otarł czoło spotniałe, parę słów szepnął z przymusem, i zawrócił ku drzwiom.

Bieta zastąpiła mu drogę.

— Boję się zostać sama! — odezwała się.

— A ja dłużej tu dziś nie mogę być — odparł Paweł — inny mam ciężar na głowie.

Spojrzeni na się — Bieta dumnie od drzwi odstąpiła.

— No, to idź! — rzekła wskazując na nie — idź!

Zagryzła usta, niedokończyła...

III

Obszerna była izba stołowa w dworcu biskupim. Obyczajem onego czasu w większych domach zachowywanym, ławy i stoły wązkie otaczały ją do koła, a środkiem miejsce dla służby wolne było. Goście zasiadali z jednej tylko strony od ściany.

Dnia tego ze szczególną troskliwością, na przyjęcie gości spodziewanych ją przysposabiano. Czeladź pilno doglądała, aby białe obrusy, które zaściełano, aż do samej ziemi sięgały. Kilka razy ks. Szczepan wychodził nagląć, jak też stół był przybrany i nakryty.

U końca, gdzie się z obu stron schodziły biegnące w koło siedzenia, dla Biskupa ustawiono wysokie krzesło wysłane poduszkami szkarłatnymi.

Przepych był wielki.

Choć rozrzutny i nie szanujący grosza ks. Paweł z Przemankowa, miał z czego występować po pańsku, sam z siebie majątnym będąc i szafując dochody kościelnymi, a na prawo do nich nie zważając ściśle.

Świeciły wszędzie ciężkie srebrne dzbany, niektóre wyłaczane, konwie i kubki w części srebrne lub cynowe, misy długie i krągłe. U Biskupa jadła było zawsze poddostatkiem, a przyprawiano je dobrze, bo on sam i ulubienicy jego żarłocznością się odznaczeni. Myśliwstwo, majątności kapituły obficie na stół dostarczały, czego tylko zażądano.

Z za granicy przywożono wino, przyprawy i łakocie.

Przy ludziach nowych, cudzoziemcach, Legatach z Rzymu, którzy często Polskę nawiedzali, Synody zwołując i z ramienia Papieża czyniąc porządek w kościele — Biskup choć występował po książęcemu, miarkował się jednak w pewnych granicach trzymając, nie dając sobie zbyt swobody. Ze swem własnym duchowieństwem i przyjaciółmi nie zważał na nic, nie lękał się nikogo — czynił, co zażądał, a gdy podchmielił sobie, więcej pamiętał na bujną swą młodość, niż na stan, do którego teraz się liczył.

Duchowieństwo nieprzyjatywne Biskupowi dawno już nie bywało u niego ani na dworze, ani u stołu.

Nie miało ochoty przychodzić doń z dobrej woli, a gdy kilka razy zapraszano, nawet się nie stawiało, nie wołano ich więcej.

Dnia tego działa się rzecz niezwykła — wiedziano już przez posłów, że przeciwnicy Pawła wszyscy się stawiać przyrzekli.

Stoły więc nakryto tak, aby dla nich miejsca było dosyć, po prawej ręce Pasterza wyznaczywszy siedzenia dla tych, o których wiedziano, że wrogami mu byli.

Obiady jadano wówczas rano, dobrze przed południem, więc tu już się od brzasku krzątano.

Biskup sam uchyliwszy drzwi, po kilkakroć wyglądał, czy po jego myśli biesiadna izba była przybrana... wyglądał ks. Szczepan, naradzał się z nim, chodził niespokojny i posepny jak człowiek, który się na coś wielkiego waży, radby co rychlej zbyć się wziętego na się ciężaru. —

Zastęp przeciwników biskupich szedł cały razem pod wodzą śmiałego kanonika Janka, który u siebie zgromadziwszy ich, i zagrawszy aby się mężnie stawili, poprowadził z sobą na biskupstwo.

We zwyczaju bywało, iż wprzód nim do stołu zasiąść miano, Biskup wychodził do izby, gości swoich witał, rozmawiał z nimi...

Na tę przedobiednią chwilę rozmowy rachował kanonik Janko, iż w niej zaraz całą gorzką prawdę mu w oczy rzuci.

O godzinie naznaczonej, gdy przyjaciele biskupi nie wszyscy jeszcze pospieszyli się zebrać, ksiądz Janko z kilkoma towarzyszami swemi wszedł i nie znajdując nikogo, oprócz gości, trzymających się od niego z dala, mierzących go oczyma ponuremi — sam też ze swą gromadką przystanął na uboczu, czekając na wyjście ks. Pawła, który jak sądził — lada chwila zjawić się był powinien.

Milczenie przerywane tylko brzękiem dzbanów i mis, które służba ustawiała jeszcze i poprawiała, panowało w izbie. Powietrze w niej jakieś duszne było.

Powoli ściągała się reszta przyjaciół Biskupa. Stawili się już wszyscy, garnąc w izby kąt przeciwny z dala od kanonika Janka, oglądali się ku drzwiom; oczekiwany Pasterz nie wychodził jeszcze.

Czeladź już wszystkie potrawy poprzynosiła na stół, zapach ich rozchodził się łechtając powonienie — a ks. Pawła nie było.

Ks. Szczepan, oczekujący nań u drzwi, które wniósł miał, zajął stanowisko.

Przeciwność się to nad miarę i kanonik Janko zrozumiał, że obrachowano na to, aby przed jedzeniem rozmowy żadnej nie było.

Stali tak dosyć długo, gdy na ostatek drzwi na oścież otworzył komornik z łoskotem i Biskup wszedł odziany pańsko, z łańcuchem na szyi, z rękami pierścieniami okrytymi, z twarzą dumną, głową podniesioną do góry, brwiami zsuniętymi. —

Spojrzał z wysokiego progu, na którym stanął na zgromadzenie, pozdrowił je lekko z dala, a zwróciwszy się w stronę, gdzie stał kanonik Janko — mruknął.

— Witam, wasze miłości, dawno nie widzianych u mnie — Witam!

Uśmiech szyderski towarzyszył tym słowom.

— Ks. kapelan Bertold — dodał — niech odmówi modlitwę.

I niepatrząc już na zgromadzonych, wprost poszedł Biskup zając siedzenie swoje. Niesiono za nim pozłocistą miednicę i nalewkę i ręczniki szyte bogato.

Ks. Szczepan dopilnował tego ze szczególną troskliwością, aby ci co z Jankiem przybyli, razem wszyscy po prawej stronie Biskupa zasiedli...

Ci nawet, co Pawła najbliżej znali, i widywali go najczęściej, uderzeni byli wyrazem twarzy jego niezwykłym. — Zdał się ciągle hamować od wybuchu. Żył mu się wyprężyły na skroniach, dłonie, gdy je mył i zdejmował pierścienie, drgały. Podparł się usiadłszy, na rękach i wlepił oczy w kanonika Janka, który wytrzymując mężnie wejrzenie groźne, siedział spokojny.

Pomimo szastania nogami i szumu jaki powstał przy sadowieniu się gości, baczniejsze ucho mogło pochwycić niezwykle jakieś tuptanie i chodzenie po sieni, jakby ją gromada ludzi zajmowała.

Nie zwróciło to niczyjej uwagi.

Najłapczywi do jedzenia, mimo, że stół woniał potrawami wymyślnymi, mierzyli się oczyma i jakby w oczekiwaniu czegoś — powolnie, obojętnie brali się do misek...

Biskup nie tknął nic, nalał sobie wina, umoczył w nie usta, spozierał wyzywająco na Janka.

— Powiadają ludzie — począł, — że się w jakąś daleką podróż wybierać zamysłacie?? Zagadnięty tak, podumał trochę, podniósł głowę.

— Gdyby podróż okazała się potrzebą i obowiązkiem sumienia, — rzekł — dla czego bym nie miał jej przedsiębrać? Kapłański nasz stan na wszystko być przygotowanym nakazuje.

— A tak — odparł Biskup szydersko — kapłańskie powołanie wymaga wiele — szczególnie zaś pokory i posłuszeństwa.

Gdy się tak poczyniała rozmowa, w izbie stało się cicho, i, jak kto siedział, nie jeden z ręką do misy wyciągniętą — pozostał nieruchomy.

— Tak, — dorzucił Janko śmiało — do posłuszeństwa obowiązani jesteśmy dopóki sumienie dopuszcza. —

— Sumienie! — zaśmiał się Biskup. — Szerokie to pole, po którym chodząc i obłąkać się można. Lada bunt się sumieniem składa.

Paweł już dłużej utrzymać się nie mogąc, zacerwienił cały na twarzy, i zawołał głośniej, ręką podnosząc:

— Wy! wy mi się buntujecie!

Kanonik Janko, jakby przygotowany do tego był, nie zmieształ się wcale.

— Nad Miłością Waszą prawo też jest, — odrzekł. — Gdy wódz go nie słucha, żołnierz od posłuszeństwa jest wolny.

Biskup cały zapłonawszy gniewem, ręką o stół uderzył, aż misy i dzbany szczęknęły, — ale Janko ciągnął dalej.

— Kapituła jest do rady i współrzędu ustanowiona, ma ona prawa i przywileje swe. Przy tych jeśli nie cała chce obstawać, nie moja rzecz; są jednak tacy, co przy prawach stać będą.

Gdy to mówił ks. Janko uczył nagle, iż pod stołem w nogę został rażony czymś kolącem i do krwi zaraniony. Nie spodziewając się tego, rzucił gwałtownie i krzyknął. Ci, co przyczyny poruszenia i krzyku wiedzieć nie mogli, zdumieni być musieli wielce, zdawało się zdala, jakby na razie choroba cisnęła nim lub szaleństwo.

Biskup się rozśmiał.

— Szalony jest! — zawołał. — Patrzajcie sami! Świadców mam, ten człowiek opętany!

— Ja?? — wykrzyknął Janko, sądząc, że się ranił o podnózek i zapominając o bólu — ja? Opętanym nazwać się może ten chyba, co na wysokim dostojęństwie o Bogu zapomina i praw jego nie szanuje.

— Opętan! opętan! — powtarzać zaczęli jakby namówieni ks. Szczepan i za nim inni zausznicy Biskupi, palce wyciągając ku mówiącemu.

Jeden z księży przybyłych z Jankiem, kanonik Andrzej, podniósł się.

— Jeżeli ten ma być opętanym, to i my wszyscy tacy — zawołał, — bo my toż trzymamy co i on, tak samo myślemy, z nim razem sakwy podróżne wziąć jesteśmy gotowi i — dodał uniósłszy się — do Rzymu pójdziemy!

Nie dokończył tych słów, gdy pod stołem żgnięty w nogę, skoczył i krzyknął. Padł na ławę z jękiem boleści.

Śmiech i wołanie ozwały się od drugiego stołu.

— Oto patrzajcie na jawną karę Bożą — odezwał się Biskup szydersko. — Patrzajcie! razi ich choroba wielka wszystkich. Szaleją opętani przez djabła, ci co przeciwko Pasterzowi swemu i Panu powstali... Jawny znak iż winni są...

— Opętani! opętani! — wołali zausznicy od lewego stołu.

W tem trzeci z towarzyszków Janka zwrócił się do Biskupa, z uniesieniem wołając:

— Nie my! Wy obawiajcie się boskiej kary. Bóg cierpliwy, *quia aeternus*, dopuszcza zbrodnie, ale się za nie mści nie tylko w wiecznym bo i w doczesnym życiu.

Mówca nie pospieszył to wyrzec, gdy także krzyżać począł, obie nogi miał pod stołem rażone gwoździemi. — Zwinął się na ławie podnosząc je.

Ksiądz Janko tymczasem do siebie przyszedł i z kolei miał głos zabrać, widząc, że ich niepoczciwą zdradą, w oczach całej kapituły szalonymi uczynić chciano.

Lecz zaledwie słowo wyjąknął, gdy ukluty znowu, boleśniej jeszcze niż poraz pierwszy, musiał jęknąć podnosząc ręce...

Wszyscy inni co z ks. Jankiem poprzychodzili, niezmiernie strwożeni tem, ruszali się od stołu chcąc powstawać, gdy ich spotkał los pierwszych.

Kłuto i darto im nogi nieznośnie, tak, że patrzącym na te męczarnie, poruszenia, podskoki, rzucania się, musieli się wydać szalonymi.

Byli niemi z boleści.

Od przeciwnego stołu śmiechy, wołania szyderskie, wytykania ich, coraz się powtarzały gwałtowniej.

W sali zgiełk panował. Biskup siedział tryumfujący.

— Na szalonych, opętanych, nim ich szatan wyzwoli, nie ma innej rady, — rzekł głośno — tylko dać ich pod straż pilną, aby ludziom szkodliwymi nie byli.

Skinął ku drzwiom głównym, które się zaraz otwały, a przez nie ujrzeni biesiadnicy zbrojnych stróżów więziennych i biskupich siepaczy, czeladź najpodlejszą, psiarzy, parobków, którzy śmiejąc się, ze sznurami w rękach stali czekając na rozkazy.

— Wiązać ich! do ciemnicy! — wybuchnął Biskup — zamknąć na chleb i wodę, aż zmysły odzyszczą.

Janko z towarzyszami widząc już jaki los im był zgotowany, nie mówił nic. On i z nim będący wszyscy, nie tracąc ducha, nie okazując trwogi — stali gotowi na wszystko.

Ten spokój naznaczonych na męczeństwo ludzi, Biskupa do wściekłości przywiódł.

— Wiązać szalonych! wiązać! do lochu! — powtarzał trzęsąc się cały.

Wtargnęli hurmem do izby biesiadnej stróże i z dzikiem barbarzyństwem ludzi, którzy się radzi pastwią nad wyżej od siebie stojącymi, poczęli księży chwytac, targać, ciągnąć i bić, choć się im ani opierali, ani bronili.

Janko najbliżej Biskupa siedzący, że nierychło kolej nań przyszła z za stoła być dobytym, miał czas podnieść ku niemu rękę i zawołać:

— Bóg wielki skarże cię, pójdiesz na wzgardę i ohydę wiekom potomnym! Amen!

Pokaleczono mu nogi znowu gdy to mówił, a siepacz za kołnierz porwawszy go, z za stołu jęczącego wyciągnął.

Nim jednak wszystkich pobrano i pokrępowano, nim gwałt dokonany został, pół stołu obalili stróże, izbę zarzucono naczyniem, potrawami, winem zalano, szczyrby okryły podłogę. Przez otwarte drzwi wpadła zgraja psów, resztki jadła chwytając chciwie.

Czasu, wśród tego zamieszania upłynęło dosyć, Biskup Paweł siedział, śmiał się, podzegał, parobkom ukazywał aby więźniów nie żalując smagali. Ci też idących sznurami, które im w rękach pozostały, bili po plecach i głowach... Padali niektórzy, wleczono ich po ziemi. Tak nareście wszystkich zagarnięto, a z pod obalonego stołu pacholęta śmiejąc się powyskakiwały, które z polecenia i rozkazu biskupa nogi kanonikom razily, aby ich wrzekomo szalonymi uczynić.

Wnet zabrano się zbierać skorupy, naczynia, wycierać podłogę, na nowo ją posypywać i do porządku a ładu izbę przywracać, bo na tem się biskupia biesiada skończyć nie miała.

Był to tylko wstęp do niej.

Ze złośliwym uśmiechem obracając się do swoich, Paweł krzyknął.

— No, teraz już spokojnie pożywać możemy, gdyśmy się opętańców pozbyli!

Niektórzy z zauszniaków śmieli się na całe gardło, ale w duszy nie jeden zadrzał myśląc, że ten sam los spotkać go może. Udawano wesołość, której nikt nie miał w sobie. Biskup mógł to odgadnąć, gdyż podczaszemu nalewać kazał, a sam jeden po drugim wychylając kubki, dobry przykład dawał.

Wrzawa w sieni w czasie, gdy więźniów wyciągano i wiązano panująca, powoli ustawać poczęła. Chłopieta rumiane z długimi włosami, z uśmiechami figlarnymi na ustach zwijały się posługując, nowe misy wnoszono, ale rozmowa przzerwana tak tragicznie, na nowo się zawiązać nie mogła, choć wszyscy byli w gronie poufałym i nic im swobodnie języki puścić nie bronilo.

Po śmierci Werchańca, Paweł który takiej prawej ręki, a raczej takiej *anima damnata*, jaką nieboszczyk był, potrzebował — dobrał sobie dalekiego powinowatego, który lotrowstwem i rozpustą straciwszy wszystko, dwa razy na gardło sądzony, tułał się, prawie mrąc z głodu. Zwał się on Wit Półkoza, nie młody już był, dawnego życia nosił pamiątkę na jednej ręce, u której już żadnego palca nie było. Kłykciami pozostałymi radę sobie dawał. Nos też miał na wpół przecięty nie w boju, ale w karczmie, gdy go raz chłopci pijanego zbili w pół śmierci.

Wit ten, dla którego niczem było spełnić rozkaz wszelki, byle się miał z tem dobrze, pewien bezkarności, a w razie przewinienia zagrożony więzieniem, posługiwał Biskupo-

wi zastępując Werchańca. Służył mu jako pies, który nie patrzy na co i na kogo jest poszczwany.

Jemu było zlecone więźniów wywlec, pozamykać i straż około nich postawić.

Spełniwszy to, zjawił się, dobrze już napiły i tem zuchwalszy, w progu stanął, dał znak, a potem zaraz na swem miejscu u drzwi siadł. Wszyscy do rozmowy byli nie ochotni, nań przypadło rozweselać.

Więc, dobrze wiedząc, co najlepiej w smak panu — począł.

— Na Wawelu, — rzekł — wszyscy miejscy murarze na gwałt pracują. Księżna pani kazała murem na pół przegrodzić pałace, aby dwie płcie od siebie odłączyć i na pokusy je nie narażać.. Będą tedy dwa klasztory na zamku, co się chwali Jej Miłości!

— I bardzo, — odezwał się Biskup złośliwie. — Książę Bolesław widząc drugich z niewiastami dobrej przyjaźni zażywających, samby może innego żywota zapragnął.

— Na to poszło — rozśmiał się ks. Szczepan, iż Piastowie chcą wyrzeć bezpotomni. Poczęła to ks. Jadwiga, Brodatego od siebie odsadziwszy, królowa Salomea poszła za nią, a nasza pani dąży w ich tropy.

— Zaprawdę, nawet słusznie się od pomnażania rodu swego wstrzymują — dodał Biskup szydersko. — Mamy ich przecie dosyć, albo i nadto... Jeden dobry stał by za tę gromadę.

Z za węgła stołu wystąpiła twarz śmiejąca się z oczkami przymrużonemi księdza Kwoki. Nosił on to przezwisko, pod którym go wszyscy znali, choć miał inne rodowe. Że dużo mówił i na dworze biskupim drugich zabawiał, dostało mu się w nagrodę.

— A cóż! — rzekł — gdyby Miłość Wasza dozwoliła, to byśmy przy tej biesiadzie, dla uczynienia jej pobożną, jak się należy osobom duchownego stanu, mogli sobie zaśpiewać Litanję Piastowską.

Drudzy na samą o niej wzmiankę śmiać się już zaczęli — Biskup nie sprzeciwiał się wcale.

Kubki przez Podczaszego w okół nalewane pośpiesznie i wychyłane nie mieszkając, umysły do tego szyderskiego śpiewu, którego ks. Kwoka był autorem, dobrze przygotowały.

— Litanję naszą! Litanję! — wołano z zastola... zaśpiewajmy.

Ks. Kwoka wydobyl się nieco z kąta, ułożył minę pobożną, a śmieszna, ręce ścisnął i na głos, sposobem kościelnym, zaintonował...

— Bolesławie Czysty!

— Oczyszc nas! — odpowiedziano mu chórem...

— Bolesławie Pobożny Odoniczowiczu!

— Módl się za nami!

— Bolesławie Tęgi, Ziemowita synu!

— Zawojuj nas, jeśli możesz!

— Toby się zdało — wtrącił Biskup. Śpiewano tym czasem dalej śmiejąc się i wykrzywiając.

— Bolesławie Rogaty!

— Nie bodź nas niemi! — odpowiadano.

— Gdyby nam tu dał swego skrzypka! — mruknął Wit — tenby się zdał...

— Bolesławie maluśki Łysego synu! — śpiewał Kwoka...

— Rośnij powoli...

— Konradzie Czerny...

— Nie mąć nam wody...

— Konradzie Głogowski klecho!

— Ożeń się gdyś się wywłókl...

— Konradku Ślązki...

— Siedź doma spokojnie...

Prawie każdej odpowiedzi coraz bujniejsze towarzyszyły śmiechy.

— Bracia Przemysławie i Henryku!

— Pijcie piwo Świdnickie!

— Na nasze kwaśne nie przychodźcie! — dodali drudzy.

— Choćby do nas zajrzeli, — zamruczał Biskup — nie byłoby nam z nimi gorzej niż jest. —

— Leszku Czarny, Synu ojca zwadliwego...

— Siedź doma! Siedź doma!

— A tu nam go właśnie chce na kark dać Bolko, nie spodziewając się potomka — rzekł Biskup, — lecz nie dokaże tego!

— Kazimierzu Opolski...

— Rośnij zdrów...

— Przemku Poznański.

— Siedź w swej dziurce...

— Włodku Kujawski, — śpiewał ks. Kwoka.

— A kiedyż im koniec będzie? — zapytał ks. Paweł — jeszcze nie wszystkich wysypałeś Piastowiczów...

— O! nie! — odparł trefniś. — Ziemowity jeszcze mam na ostatnie danie.. a tych w Kujawach i na Mazowszu jest kilkoro...

Śmiechy i rozmowy dokończenie litanii zagłuszyły.

— Jest ich dosyć! jest, — mówił autor litanii — nie potrzebujemy obawiać się, aby nam ich zabrakło.

— A to nieszczęście nasze, — podchwycił głośno Biskup. — Wszystko to prawie poniemczało. Karły są i niedołągi.. Jednych żony trzymają na paskach, drugich ulubienicy. Bronić od Tatarów nie ma nas komu, a między sobą się jeść, bić, więzić, zarzynać — poddostatkiem!

— Prawda święta — dorzucił ks. Szczepan, że gdybyśmy nie mieli jednej głowy naszej w Pasterzu Gnieźnieńskim, a mocy w Biskupach, kraje by te marnie na kawały się rozdrobiły, i Niemcy by je wyłkali po troszę...

Na wspomnienie arcybiskupa Gnieźnieńskiego, przeszedł cień po twarzy Pawłowi.

— Gniezno! Gniezno! — zawołał — ono nam w kościele przewodzi więcej przestarzałym obyczajem niż prawem. Biskupstwo moje miało paljusz, który opieszalnością straciło... Tam sobie metropolją przywłaszczono. Kraków był i winien zostać głową tych ziem, a biskup jego stanąć najpierwszym...

Potakiwano mu głośno.

— O! tak! takci po Bożemu być powinno.

— I tak kiedyś jeszcze będzie, — dodał Biskup — gdy się o to postaramy.

Rozmowy weselsze coraz rozpoczęły się po kątach. Wit skorzystał z tego i po cichu, dobrze napity, więc tem śmielszy do pana swojego przystąpił. Korzystał on ze swobody dnia tego i nalał w siebie więcej niż kiedy, ale mógł też wiele znieść, i póki stał nigdy przytomności nie tracił, dopiero gdy na łożę legł, kłoda był bez czucia.

Dworując biskupowi, przyszedł do ucha jego z opowieścią o księżach uwięzionych, jak ich rozmieścił, pozamykał i kogo na straży postawił. Potem jeszcze ciszej rozwodził jął skargi na Toporczyków, przeciw dworowi książęcemu, Wawelowi i rozmaitym wrogom najmiłociwszego pana. Dostał w końcu kwaśną odprawę, bo Biskup nie rad był, ażeby go posądzano, iż go ktokolwiek obchodził, albo mu się mógł wydawać groźnym. A gdy się ze swemi doniesieniami upierał, nadając im wagę wielką, do gniewu w końcu pobudził Biskupa, który go łajaniem odprawił, i poszedł Wit jak zmyty.

Gdy się to działo w jednym końcu stoła, uczta dalej coraz weselszą i gwarliwszą się stawała. Po owej szyderskiej litanji piastowskiej, ks. Kwoka zaczął zadawać zagadki i nucić piosenki. Śmiechy się rozlegały, wrzawa robiła straszliwa.

Kwoka śpiewał:

*Inter Prandium — Silentium,
Stridor dentium,
Rumor bibentium,
Vox clamantium...
Vociferatio amentium...*

Ktoś inny półgłosem zaintonował:

*Quid iuvat aeternitas...
Nominis — amare
Nisi terrae filias
Licet et potare!*

Ale dalszy ciąg w zatkniętych dłonią zamarł ustach...

Po kątach i śmielsze jeszcze śpiewki podawano sobie do ucha...

Swoboda była wielka. Biskup rad na nią zezwalał, bo tem właśnie przywiązywał do siebie...

Ulubięcom jego wszystko było dopuszczonem lecz słuchać za to musieli nie szemrząc i wszelkie spełniać rozkazy.

Wino dozwalało prawie o tragicznym biesiady początku zapominać. Uwolniono się od ludzi, którzy żywym dla innych byli wyrzutem. Biskup, chociaż wesołego udawał, był niespokojnym i podrażnionym, wołał i odpędzał Wita, naradzał się po cichu z ks. Szczepanem, mruzczał sam do siebie.

Ledwie jednego odpuścił od siebie, drugiego powoływał.

— Patrzyć, — powtarzał Witowi — aby mi się który z opętanych nie wyrwał. Mają tu znajomych a może i przyjaciół, głupi stróże gotowi się dać nastraszyć lub ująć... Pilnować mi ich jak oka w głowie!

Jeśliby który ukorzył się prosił, żądał swobody — mnie dać wiedzieć. A głodem niech mrą, kiedy się im męczeństwa tak chciało. Ogadywali mnie, że posty łamię, niech za mnie o suchym chlebie odpokutują!

Uczta przeciągnęła się do późna, ale Biskup nie dotrzymał do końca. Z kanoników niektórzy głowy na rękach położywszy na stołach spali, drudzy o ścianę się sparszy z oczyma zamkniętymi a usta otwartymi, drzemali i chrapali; na ostatek inni zapomniawszy na stan swój, plugawe i grubijańskie żarty stroili.

Obcych nie było, mogli więc pozwolić sobie, a ks. Szczepan czuł, ażeby ich o zmierzchu z latarkami porozprowadzano do domów.

Gdy Biskup nazajutrz wstał, a Wit się stawiał doń z językiem, pierwsze słowo jego było:

— Cóż tam! gołąbki moje jak noc w gnieździe nowem spędzili?

Trzeźwiejszy teraz Półkoza głową trząśł, chmurny był.

— Twardzi ludzie, — rzekł, — żeby który pisnął. Modlą się.

— Zmiękną oni! — odparł Biskup. — Pamiętaj mi! chleb i woda.

— Wiem, i chleb dałem spleśniały i wodę śmierdzącą — dodał Wit. — Zrobi się co każecie, byle mi tam do nich nie chodzić.

— Czemu? — spytał Paweł.

— Nie wiem czemu, straszno mi się robi gdy ich widzę — rzekł Wit. — Nie zwykłem się ja bać niczego, ani krwi, ani jęku, ale z ludźmi co się nie skarżą a modlą...

Biskup ostremi go zmierzył oczyma.

— Zbabiałeś i ty! — zamruczał.

W tem nadszedł ks. Szczepan, który także o więźniach wiedzieć był powinien. Spytał o nich zaraz Biskup niespokojny — i nie otrzymał odpowiedzi. Powtórzył pytanie.

— Dłuższego czasu potrzeba, — odparł przybyły — nim się opór ich złamię. Poddadzą się, choć zapewne nie wszyscy i nie rychło.

— Niech więc gniją i zdychają! — przerwał mu Paweł z gniewem.

Zwyczajem jego było, że gdy zuchwały czyn jaki popełnił, który miał zgrozę wywołać, na przekorę ludziom pokazywał się publicznie, dowodząc, iż się niczego i nikogo nie lęka.

Tego dnia też z wielkim dworem łowców wyciągnął przez najludniejsze przejeżdżając ulice i przez rynek.

Gmin i wszyscy spotykający Pasterza, zwykli byli witać go, stawać i przyklękać do błogosławieństwa.

Ludzie teraz, zamiast ku niemu się zbiegać, chowali się w podwórza i za płoty, i nikt głowy przed nim nie schylił, co go rozgniewało. Nawet mnichów kilku, których zdała poznał po sukniach, Duchak z krzyżem czerwonym, dominikan i franciszkan, zawczasu przed nim do domów się skryli.

Myśliwstwa tego dnia, choć je lubił zawsze, nie zażądał dla zabawy, lecz dla urągania się ludziom. Pocięchy jednak tej nie miał by, mógł się spotkać z niemi i okazać twarzą dumną a zuchwałą.

Z łowów też wrócił prędko, bo i te mu się nie wiodły; a na dworcu kogo spotkał, łajał, pędzał i każdemu miał coś do wyrzucenia.

Ks. Szczepan nawet zawinił i kwaśno był odprawiony.

Późno w noc Wit wszedł do izby ks. Pawła, z bardzo frasobliwą twarzą, głowę trąc.

— Ot, — rzekł, — już jeden co miał nogi pokłute, a słabym był, przyrzuciło się lichu — będzie temu godzina, zmarł...

Po krótkim milczeniu Biskup zawołał ze złością.

— To niech go w nocy wywloką i pochowają!!

IV

Na dworze biskupim, chociaż niby szczerlnie był zamknięty i strzeżony, choć obcych doń nie wpuszczano łatwo, choć żyjącym na nim przykazane było milczenie, a zdrajców nikt poszlakować nie mógł — jednak gdy się co stało, tajemnicy w sobie nie strzymał. Rozchodziły się ztąd prędko wiadomości po mieście i po świecie.

Najwierniejsi słudzy biskupi, czasem jakimś strachem zdjęci, niepokojem, zgryzotą, szemrali między sobą — niekiedy plotkę za dom półgębkiem wynieśli. Z początku tym poczwarnym wieściom o życiu Pawła nie wierzono, gdyż nigdy nikt podobnego pasterza na stolicy nie pamiętał, ani o takim słyszał — nareszcie zbytki te jawnemi się stały, niemożna im było zaprzeczyć. — Uwięzienie kanoników wybierających się ze skargą do Rzymu było jawnym gwałtem, a choć zauszniczy biskupi tłumaczyli je tem, że ludzie byli szaleni, czy opętani, znano ich zbyt dobrze, by temu uwierzyć. Dowiedziano się wkrótce w jak srogiem trzymano ich zamknięciu, i że jeden z ran zmarł, a choć go nocą pochowano bez żadnego obrzędu i dzwonów, doszło to do rodziny, a nawet na zamek da księcia.

Zmarły, kapłan pobożny, znanym był dobrze księżnie Kindze, która go opłakiwała. Książę Bolesław żałował go także.

Reszta więźniów nie poddając się, modliła, cierpiała, głodem marła, a gdy Wit ich namawiał, aby się poddali i o przebaczenie prosili, odpowiadać nie chciała. Biskup, któremu o tem donoszono, coraz bardziej był rozjątrzony.

Powtarzał ciągle:

— Niech zdychają! niech zdychają!

Kanonik Janko, męczennik prawy, nie poskarżył się nawet nigdy, nie przemówił o nic do stróżów. Ku temu, jako przewodzący, Paweł miał największą złość i gniew. Lecz więzień miał siłę nie wszystkim daną, ducha wielmożnego w sobie, tak, że mógł nieokazywać nawet iż cierpiał... Siepacze dobrze wybrani, bezlitośni jak zwierzęta, patrząc nań czuli trwogę jakąś, nie pojmowali tej nieludzkiej nieugiętości... tego spokoju i pogody na twarzy.

Inni więźniowie choć mniej hartu mieli, słabsi ciałem, nie wypraszały się też — uledez nie chcieli. Wit nawiedzał ich z udaną litością namawiając by przeprosili pasterza — nie odpowiadano mu.

Janko, gdy mu natręctwem dokuczył, spokojnie i łagodnie wyrzucał jak się mógł podjąć obowiązków kata i siepacza.

Gdy ci biedni siedzieli zamknięci, luminarz kapituły, stary ks. Jakób ze Skarzeszowa, jak sam sobie przepowiadał zawczasu, zgasł pobożnie śmiercią sprawiedliwych. Biskup czuł w nim nieprzyjaciela, nauka jego i świętobliwość wyrzutem dłań były — odetchnął swobodniej, gdy się o zgonie jego dowiedział.

Starzec jednego wieczora uczuł się słabym, przywołał swego spowiednika, prosił go o wijatyki i ostatnie pomazanie, rozmawiał z nim spokojny i do snu poszedł o zwykłej godzinie. Zdawało się, iż lekarstwo duszy, i ciała wracało siłę.

Z rana gdy sługa stary do izdebki wszedł, znalazł go już klęczącym przy łóżeczku, jakby pacierze ranne odmawiał. Spuszczoną miał tylko na ręce głowę, jak gdyby usnął znużony. Lecz gdy się ku południowi miało, a on nie poruszał się, niespokojny sługa, księżom dał znać; ci przybywszy zastali go już zastygłym, bez życia...

Zgon musiał jeszcze w nocy nastąpić. Dla kapituły strata to była niepowetowana, dla biskupa radość potajemna. W jego miejsce zaraz posadził jednego ze swoich...

O śmierci tej stróże donieśli ks. Jankowi, zapłakał, pomodlił się, a choć w nim stracił opiekuna i ojca — nie był złamanym...

Ciągnęło się tak do wiosny, ciągnęło do lata. Biskup bezsilną żarł się złością, a straciwszy już nadzieję, aby opór ich pokonał, rozkazał Witowi potajemnie, niby mimo wiedzy jego co słabszych wypuszczać, dać się im wykradać...

Otwierano drzwi jakoby nieopatrznie, stróże odchodzili, nie bronił nikt odzyskać swobody, powracali więc do cel swoich.

Został tylko ks. Janko i z nim dwu najtwardszych, do których Paweł miał żal największy, nienawiść nieubłaganą. Okna ich więzienia wychodziły w podwórze, nie jeden raz ks. Paweł idąc i przejeżdżając, słyszał ich nucących pieśni pobożne. Głosy te gniew w nim rozbudzały na nowo, były jakby urąganiem się przemocy... Wołał naówczas do ks. Szczepana:

— Niech zdychają pobożni Kantorowie! Wkrótce im tego pięknego głosu nie stanie!

Tymczasem nad głową zuchwałego burza się zbierała. Różnemi drogami dochodziły o nim i o jego zbytkach wieści do Rzymu; napominał Arcybiskup Gnieźnieński, aby się oczyszczał i tłumaczył. On na to odpowiadał dumnie, że się do żadnej nie czuł winy, Arcybiskupowi zaprzeczał prawa mieszania się do spraw swoich...

Na księcia Bolesława nalegano ciągle, ażeby on tej rozpuście i wyuzdaniu koniec położył. Szczególniej zawzięcie instygowali przeciw Biskupowi Toporczycy oba.

Zgorszenie w istocie wielkie było, szemrało niższe duchowieństwo, a co gorzej, niektórzy pasterza naśladowali. On zaś im dłużej trwał bezkarnym, tem się stawał zuchwałszym nie kryjąc się z niczem.

Bieta panowała nad nim, czyniła co chciała, ważyła się na wszystko.

Widywano ją bez zasłony w oknach dworku, jeżdżącą na wozach, których konie i ludzie biskupi byli jak ona. Znało ją już miasto całe i wytykało palcami.

Jeździła i chodziła urągając się niewiastom uczciwym, w końcu nawet na Wawel do kościoła poczęła strojna przybywać, cisnąc się przed same kratki i oczy zwracając na siebie.

Starszy z Toporczyków Żegota, nieustannie księcia Bolesława kusił, ażeby wprost jawnogrzesznika porwać kazał, zamknąć gdzie na zamku jakim i do Rzymu posłać sprawę, dla czego to uczynił.

Z założonego przez księcia Bolesława klasztoru Św. Franciszka lub Dominika, jednego z mnichów łatwo wysłać było, jako mniej zależnych od władzy biskupiej, bo zakony te pod bezpośrednią papieżką opieką zostawały.

Gdy mu to wmawiano, pobożny Bolesław, we wszystkim wahający się i w sumieniu trwożny, wzdychał, narzekał, lecz targnąć się na pasterza, do którego prawa nie miał nikt oprócz stolicy rzymskiej — nie ważył się.

Skargę posłać gotów był, samowolnie więzić nie chciał. W takim razie czy winien był Biskup lub nie, klątwa i interdykt groziły. Względem kościoła uległy, syn jego posłuszny, książę słuchać nawet nie chciał, gdy go Toporczycy na śmielsze wystąpienie, wraz z innymi namawiali.

Oburzenie ziemian i duchowieństwa w końcu tak się jawnym stało, iż Bolesław wahać się poczynał. Żądano od niego, ażeby jeśli sam nie chce wystąpić, dopuścił ziemianom kościół ratować.

Zgorszenie z każdym dniem rosło, szkody też ponosiło duchowieństwo, bo dobrami kapituły i biskupiami Paweł obracał jak własnością swą, dochody trwoniąc, grunta mieniając, ziemie nadając samowolnie.

Bolesław płakał nad tem — lecz występować sam nie czuł się mocnym. Księżna Kinga sromała się i modliła.

Toporczycy, ludzie mężni, nawykli do przeprowadzania siłą woli swej, ufni w to, że za sobą duchowieństwo mieli, a to co zamierzali uczynić, dla dobra kościoła podejmowali — nieustawali w naleganiach na księcia, jawnie głosząc, że gotowi to na swą rękę wziąć i dokonać.

Upłynął rok cały, począł się drugi, a Biskup nie tylko trybu życia nie zmienił, ale się coraz z nim mniej tail.

Wiedział dobrze, iż na Wawelu w pobożnym dworcu pańskim złem go okiem widziano, że Kinga, święta pani, unikała spotkania z nim, że Bolesław mu uchodził i zamykał się przed nim; na złość więc do zamku się napierał, wtargał, rozsiadał, rozmowy długie poczynął, bezbronnego w nich pana kąsał, powagi swej nadużywając bez litości.

Ludzie przykładem pana rozzuchwaleni, naśladowali go i pozwalali sobie po mieście, po wsiach, bezkarnie ugniatając kmieci i ziemian.

Z Toporczykami, których nienawiść dla Pawła jawną była, wojskowy dwór Biskupa kilka razy się zadarł tak, iż do krwi rozlewu przychodziło. — Ci zawsze siłę mając przemagającą, ludziom Pawła dawali się we znaki.

Z księciem choć do jawnej wojny nie przyszło — gorzej niż bój trwał, bo niechęć rosnąca, na każdym kroku widoczna, czekająca tylko chwili i zręczności do wybuchu.

Co się tylko na Wawelu działo, mówiło, zamierzało, Biskupowi było solą w oku. — Głośno mówił, że tych zniemczających Piastów wygnać precz należało, a zdrowszych na ich miejsce szukać. Nie w smak i to mu poszło, gdy Bolesław sobie za następcę wcześniej wyznaczył Kujawskiego Leszka, od włosów Czarnym zwanego, bratanka od stryjecznych.

Gniewał się, iż w tem rady jego nie zasięgano. Leszek ze krwi po ojcu Kazimierzu, obiecywał być rycerzem dzielnym, lecz prawdą było, iż chował się po niemiecku, ubierał na ich sposób i Niemcami chętnie otaczał.

Biskup roił o następcy ze swej ręki, zapewne którymś z Mazurów, więc się zawczasu kłął, że Czarnego do rządów niedopuszczać.

Odgróźki te nikomu nie były tajne, ale niewiele na nie zważano.

Sprowadzony z Kujaw Leszek, uroczyście ogłoszony za przybranego syna i następcę — żenił się na Wawelu z Gryfiną Rościślawówną księżniczką ruską. Na zamku się odbyło wesele z obrzędami świętymi, ze wspianością wielką.

Biskup odgrażał się głośno, a czasu pobytu Stefana króla Węgierskiego ledwie się na zamku ukazał, lekceważąc sobie Bolesława, szydersko odzywając się o Leszku.

Jeździł do Wrocławia, na Ślązko, na Mazowsze, a Toporczycy utrzymywali, iż zdrady jakiejś zamierzał i spiski knuł.

Czasami wycieczki te jego trwały długo. Naówczas wozem krytym jechała za nim Bieta, siedziała gdzie był, lub nieopodal od niego.

Toporczycy, o wszystkim uwiadomieni, odgrażali się, iż nie długo trwać to już będzie, a na biskupstwie przeciwie zapowiadano, że niedoleżnych książąt Paweł wyżenie wkrótce i znajdzie takich, co mu do tego pomogą.

Z ostatniej swej tajemniczej wycieczki wracając do Krakowa Biskup, gdy jak zwykle o Wita pytać zaczął, któremu straż nad więźniami polecił, — nierychło się go doczekał.

Przywłókl się doń Półkoza obwiązany płachtami, nakuliwając, o kiju, i gdy go łajaniem Paweł powitał, przyznał się, iż mimo czujności jego, w czasie niebytności Biskupa na dwór napadnięto i więźniów z kuny wylamano.

Wit zaprzysięgał, iż bronił się do ostatka, że go posieczono, stratowano nogami, ledwie żywego porzucono w podwórzu. Opowiadał, iż to była sprawa Toporczyków, i że oswobodzeni wprost do Balic uszli, i dotąd tam pozostawali.

Biskup niepohamowany w gniewach swych, usłyszawszy o tem, rwać się począł, jakby zaraz na koń chciał sięść, na Balice ciągnąć i więźniów odbijać. Po namyśle jednak Wita odegnał precz, i — nie przedsiębrał nic.

Nazajutrz tylko, pojechał na zamek z takim usposobieniem, iż słudzy obawiali się, ażeby wystąpieniem jakim zuchwałem przeciw księciu nie naraził się na niebezpieczeństwo.

W przedsieniach dworca, spotkawszy się z nienawistnymi Toporczykami, którzy namyślnie może mu się nastęrczyli, wtargnął do komnat księcia tak gniewny, iż Bolesław zląkł się groźnego oblicza...

Nigdy Paweł nie szczędził księcia, ani mu okazywał powolności. Jako Pasterz i duchowny czuł mu się równym, nie lękał się go wcale, wiedział, że świecka władza nie może nad nim nic, a znał nadto Bolesława, by go o myśl tę nawet posądzal. Bywały naówczas przykłady targnięcia się panujących na duchownych, lecz zawsze oni pokutować za

to musieli, Rzym bowiem bronił sługi swoje. Cesarze nawet niemieccy ulegać musieli piorunów kłątwy się lękając.

Bezkarność ta tem zuchwalszym czyniła Biskupa. Zajechał na zamek nie jako duchowny ojciec, lecz jak nieprzyjaciel. Był też z postawy i teraz jeszcze więcej do wojownika, niż do kapłana podobny. Twarz, ruch, mowa były dumne, opryskliwe, szyderskie.

Ujrawszy go Bolesław, strwożył się i niemógł ukryć z tem uczuciem. Nie lękał się on człowieka, lecz Boży sługa mocą z niebios daną wyposażony — onieśmiał go.

Paweł zaledwie głowę skłonił stając przed nim.

— Waszej Miłości ludzie — rzekł szorstko — pewnie nie bez wiedzy i rozkazu jego, dopuścili się rozboju i napaści na dworze moim, czasu niebytności mej.

— Mój ojcie — odparł Bolesław łagodnie — o niczem niewiem. Rozkazu nie dałem żadnego.

— Nie może to być! — zaprzeczając wprost odezwał się Biskup. — Jawnem jest, iż to twoi słudzy uczynili, Toporczycy, przyjaciele, towarzysze, ulubieńcy.

Wybuch gniewu tak był gwałtowny, iż mowę mu zatamował.

— Wiecie — począł odetchnąwszy, — co to jest targnąć się na władzę, na dom, na czeladź Pasterza! Jestto na niego samego godzić! Wiecie jaki los spotkał Szczodrego, choć tamten królem był, nie jak wy, książęciem. Ani pobożność, ani świątobliwość wasza nie ocali was od kłątwy!

Książę, który dotąd słuchał cierpliwie, uczył wreszcie poruszającą się krew w sobie. Miara była przebrana. Cofnął się zarumieniony, skłopotany, lecz dumny.. i rzekł spokojnie.

— Słowo moje książęce daję wam, iż o niczem niewiedziałem.

— Dowiedźcie się więc teraz, — gwałtownie wykrzyknął Biskup, — gdy ja to mówię wam, skargę zanoszę i winnych ukarania się domagam.

— Odbili mi więźniów! Kto tu ma prawo stawać pomiędzy mną a duchowieństwem mi podwładnem? Ani wy, książę Krakowski, ni król nawet żaden, gdyby tu jaki był, ani nikt krom Boga i rzymskiego biskupa!

Groźno to wywoływał, głos podnosząc, Bolesław z głową schyloną, milczał. Paweł unosił się coraz bardziej. — Słychać go było mówiącego gniewnie po komnatach sąsiednich, w podwórku. Dwór znajdujący się tuż, drżał z oburzenia chwytając wymówki czynione panu swojemu, tak zuchwale.

Milczenie księcia, cierpliwość z jaką znosił tę napaść, zimna krew i wyraz dumny na czole pańskim, niecierpliwiły Biskupa.

— Wasza Miłość zapomnieliście pono o tem, — ciągnął dalej, — że tu z tej stolicy, nie jeden z poprzedników waszych, gdy go Pasterz niechciał, precz iść musiał; że Biskupi siłę mają, z którą mierzyć się niebezpiecznie. Znajdą oni poparcie nietylko w Rzymie, nietylko u braci swej, ale u ziemian i u sąsiadów.

Wolał tak Biskup, jakby chciał Bolesława do gniewu doprowadzić; jakoż najzimniejsza krew nawet, od takiego smagania słowy wzburzyć się musiała. Bolesław stał długo niemy, oczyma wodząc po komnacie.

— Ojcie mój, — odparł w końcu z dumą pańską — przemawiacie do mnie nie jak kapłan i Pasterz... ale jako nieprzyjaciel, który wyzywa.. Słuchać was nie chcę i nie mogę; tłumaczyć się nie będę.

— Będzicie! powinniście! — zawołał Biskup, nie hamując się jeszcze. —

Tych słów już prawie nie słuchając, Bolesław drżący od gniewu tłumionego, podszedł ku drzwiom bocznym, otworzył je i wyszedł do komnat dalszych, a podwoje natychmiast się za nim zamknęły.

Biskup pozostawszy sam, rzucał się jeszcze gniewny po izbie pustej, chodził spodziewając może powrotu, wręście zważywszy, iż zadaleko się posunął, bo najłagodniejszy z ludzi cierpliwość w końcu postradał — usiadł na ławie i klasnął w ręce.

Wszedł powoli stary ochmistrz księcia.

— Oznajmijcie Jego Miłości, — odezwał się Paweł, — iż nie ruszę się ztąd nie dokończywszy rozmowy. Pasterz ma prawo upominać się i napominać, niech wynijdzie!

Nic nie odpowiadając stary wysunął się, czas jakiś upłynął nim powrócił on, i w drzwiach Bolesław się ukazał.

Biskup znacznie był ostygł. Powstał zobaczywszy księcia.

— Nie dziwujcie się Miłość Wasza, — rzekł — iż się uniosłem, bom krzywdy doznał. Nie zwykłem do tego i domagam się na winowajcach kary.

— Wskażcie ich — odparł Bolesław.

— Głos powszechny ich wytyka, Toporczycy wasi są!

— Kaźcie przeciw nim dowieść tego — rzekł książę.

Biskup się wstrząsnął.

— Odmawiacie mi sprawiedliwości? — spytał. — Dobrze! domierzę ją sobie sam, albo kto inny!

Powiedziawszy to, zwrócił się i niepozdrowiwszy księcia, pospieszył do dworu, który nań czekał. Pomiął Toporczyków nie spojrzawszy na nich. Żywo dosiadł konia, dał mu ostrogę i do wrót puścił się cwałem...

Za nim z przedsięwzięcia ozwały się śmiechy.

Powróciwszy do dworca swego, Biskup natychmiast radę ściągnął, ludziom swym kazał się zbierać, chciał na Balice iść, lecz przekonał się wprędce, że sprawa trudniejszą będzie, niż się spodziewał. Zaniechał więc ją na pozór, lub raczej odłożył.

Między Wawelem a Biskupem stosunki zostały zerwane.

Wpadł Biskup na tę myśl, aby sobie ziemian krakowskich starać pozyskać — zapóźno. Chciał ich mieć przeciwko Toporczykom i księciu. Pamiętał o tem, ile razy rycerstwo krakowskie wyganiało panów swych, poparte przez Pasterzy, a nowych na stolicę wprowadzało.. Działo się tak za Kazimierza i Leszka.

Lecz do Pawła ludzie przystać nie mogli, nie miał po sobie ani cnoty, ni powagi poprzedników.

Poznawano go coraz lepiej, ci co mu się karmić i poić dawali, nie wiele mogli, inni nawoływać się nie dawali. Dwór jego tak mało miał znaczenia między ludźmi, jak on sam.

Życie szło po staremu, jawnie bezwstydnie i rozpasane. Biesiadom i ucztowaniom dniami i nocami nie było końca. Bieta z dworku przeniosła się w podwórze samo i zajęła w niem mieszkanie od przodu.

Niektórzy z zauszników Pawła dopuszczeni bywali do oglądania jej oblicza. Biskup prowadził ich z sobą, śpiewać i płąsać kazano przy nich dworowi dla zabawienia gości. Okna często stały otworem czasu odwiedzin.

Bieta, która w początkach walczyła jeszcze z sumieniem i wspomnieniami klasztorne- mi, czuła się trapiącą zgrzyzotami i nieszczęśliwą, powoli oswoiła się ze swem położeniem — szukała teraz w życiu wszelkiej rozkoszy, jaką ono dać jej mogło, upajała się niemi.

Paweł, którego znano dawniej jako niestałego i łatwo zmieniającego upodobania, zrażającego się do ludzi; trwał w przywiązaniu do mniszki, a co dziwniejsza, dawał jej przewodzić nad sobą, często najobelżywsze znosząc wyrzuty i łajania, a niewybuchając gniewem. Z nią umiał być łagodnym. Ludzie wprawdzie prorokowali, że się to rychło zmienić musi, lecz dotąd niewola zawojowanego była coraz ostrzejszą.

Gdy zmuszonym był od niej się oddalić, spieszył z powrotem niespokojny, a zaledwie przybywszy na nic nie zważając, szedł do niej. Wstyd wszelki stracił.

Bieta też, choć się z nim obchodziła jak z jeńcem wziętym na wojnie, była mu wierną i przywiązanie jej dzikie, namiętne, zwierzęce zdawało się wzrastać z czasem...

Grzeszne to stadło żyło w wiecznym sporze, w kłótniach, lecz potrzebowało się wzajemnie.

Rozlegały się często krzyki z izb Biety, jęki, łajania, lecz zawsze kończyły się zgodą i gorętszem jeszcze przywiązaniem.

Nazajutrz ona brała górę, i czyniła co chciała, opierał się, obruszał, ulegał w końcu. Dość jej było wlepić weń czarne swe ogromne, groźne a płomienne żrenice, aby go pokonać i zmusić do przebłagania.

Biskup nieraz odszedłszy upokorzony, gniewał się na siebie, wyrzucał sobie nieprzebaczoną słabość, a gdy powrócił do niej, ulegał znowu.

Najmniejsze podejrzenie o zdradę, o słabość jakąś dla niewiasty, do wściekłości unosiło Bietę.

— Jeśli myślisz zbyć się tak mnie, jakieś się drugich pozbywał — wołała grożąc mu — biada tobie i mnie! biada!.. Ja cię nie puszczę, bom ja jastrzębiem, z którego szponów trupem chyba wypadnie co one schwyciły! Nie pozbędziesz się mnie, chyba zamordować każesz...

Na te pogroźki Biskup niby się uśmiechał — lecz po troszę się ich lękał. Pomimo namiętności ku niej, możeby był tę zbyt jawną kochankę usunął dawno, oddalił gdzieś i ukryć się starał — lecz się obawiał rozpacz i zemsty. Znał ją i wiedział, że co mówi, dotrzyma.

Przez długi czas Zonia, którą wywieziono precz i strzeżono gdzieś na wsi we dworze, który wraz z ziemią biskup dawniej im nadał — nie pokazywała się wcale.

Lecz czas zdawał się wielki jej żal ukajać. Przez różne posły zaczęła się zgłaszać do Biskupa, aby jej na swój dwór wrócić pozwolił, obiecując mu służyć wiernie. Biskup opierał się dość długo, wręście znajdując ją potrzebną dla dozoru i posługi przy Biecie, i sam do jej usług nawykły, dozwolił na powrót do Krakowa.

Zjawiała się wdowa zmieniona, zestarzała, schudła, kaszląca, z pokorą wielką i bez wyrzutu na ustach.

Zajęła zaraz swe dawne miejsce nad czeladzią i poszła do Biety.

Ulubienica przyjęła ją dumnie i niechętnie, pamiętając na dawne spory i niesnaski. — Lecz, Zonia była zupełnie inną. Stała się sługą, starała być potrzebną, zabiegała o łaski. Tem zyskała sobie Bietę, a po dniach kilku, już się bez niej obejść nie mogła.

Zonia przynosiła jej z sobą jakąś wesołość usłużną, gotową na wszystko dla przypodobania się. Umiała mówić, zabawiać, przypodchlebić się — wpadła w łaski.

Gdy nikogo w dworku nie było, przychodziła do pani z plotkami miejskimi, z powieściami różnemi. Patrzyła w oczy, zgadywała usposobienie, rzucała słówka jak wędkę na próbę.

Dla zabawiania zdudzonej wydobywała często wspomnienia z własnego życia, przygody z żywota Pawła, którego przez się i przez męża od dawna znała. Zręcznie opowiadała, bez złej myśli niby, ale zawsze tak, aby Biskupa w jej oczach obwinić. Chwaliła go z tego właśnie co wiedziała, że ją oburzać musiało, z jego łotrostw, niewieścich sprawek, okrucieństwa przy pozbywaniu się ofiar... gwałtowności i t. p.

Często w milczeniu długo słuchała jej Bieta, czasem wyrwał się jej wyraz oburzenia lub groźba...

Tak się z sobą spoufalaly.

Ks. Paweł zrazu bacznie, z pewną nieufnością spoglądający na Werchańcową, uspokoił się w prędcie, tak umiała się przed nim okazać obojętną. Przebąkiwała, że za mąż by znowu pójść gotowa... byle się jej człek trafił stateczny.

Swatał jej żartem Biskup Wita, ale tego jako kaleki i opoja nie chciała, żartobliwie się odgrażając, że sobie znajdzie młodego chłopaka. Łatwo by jej w istocie było o niego, bo wiedzieli wszyscy, że ziemi miała dosyć i skrzynię dobrze nabitą. Zalecało się wielu — nie zrażała nikogo.

W końcu przyjaźń dla Biety stała się tak wielką, iż Zonia ciągle prawie u niej przesiadywała, a tamta bez wdowy obejść się nie umiała. Biskup też postrzegłszy, że mniszka spokojniejszą teraz była, rad był przybyciu Werchańcowej.

Zonia w prędkim czasie dawną swą władzę i zachowanie na dworze odzyskała.

Za życia męża nikt jej o wielką miłość dla niego nie posądzał; płochość jej nawet zadawano, choć więcej słowy i zuchwałem obejściem się z mężczyznami grzeszyła, niż w istocie była winną. Teraz, po śmierci Werchańca, miała go ciągle na ustach — wzdychała za nim i popłakiwała.

Nikt nie wiedział o tem, że jednego z czeladzi co był świadkiem śmierci jej męża, przepokupiwszy, gdy na wsi jeszcze siedziała — nakłoniła go do wskazania grobu Werchańca w lesie. Nocą przybyła tam z trumną, z ludźmi najętymi, kazała rozkopać mogiłę, i dobyć z niej zwłoki męża.

Miała się spojrzeć na poczerniałego trupa i pierś jego szeroko rozbitą...

Przy sobie złożyc kazała to ciało do trumny, powiozła na cmentarz do wsi, gdzie ksiądz ujęty przez nią, z modlitwą je pogrzebał.

Stało się to tak tajemnie, iż Biskup nie wiedział o niczem.

Powróciła potem na dwór łaszac się wszystkim.

Wkrótce po jej wkupieniu się w łaski Biety, Biskup dostrzegł w niej pewnej zmiany. Dawne przywiązanie stygło, stawała się nieufną, obchodziła się z nim mniej otwarcie, była smutną.

Została namiętność dawna, lecz połączona z niedowierzaniem jakimś i wzgardą. Czasiem Bieta pozwalała sobie szydzić z niego i wypominać mu dawne sprawy. A gdy Paweł zdziwiony wypytywał z kąd o nich wiedziała, odpowiadała, że o tem wszyscy prawili głośno i sroczki na płotach skrzeczały.

Przychodziło to tak zwolna, stopniowo, nieznacznie, iż ks. Paweł nieopatrzyl się, iż powrót Zoni sprowadził tę zmianę.

Zonia zaś, gdy ją poufale wypytywał o Bietę, przebąkiwała półsłówkami coś dającego do myślenia, iż się jej obawiać należało, że mniszka była namiętna i niestała.

Zabiegi te nie pozostały bez skutku.

Paweł ostygł — rozmyślał. Przyczyniało się do tego, iż coraz groźniej sarkało nań duchowieństwo całe, że skarżono różnemi drogami do Rzymu. Należało z oczów przynajmniej usunąć jawne świadectwo grzechu.

Lecz jak ją było skłonić do tego? jak dokonać rozdziału, o którym mówić, wspomnieć nawet nie dozwalała?

Paweł zagadnął o tem Werehańcową półgębkiem, która mu odpowiedziała z uśmiechem:

— Czyż wam o to mnie pytać? Albo to nie macie oddalonych klasztorów? Wyślijcie gdzie za świat, mniszki ją zamkną i zamurują, że więcej słońca nie zobaczy... Cóż to trudnego?

Tegoż wieczora wdowa siedząc z Bietą ostrzegła ją, iż Paweł dla niej coś ostygł, iż powinna była mieć się na ostrożności, aby jej gdzie do oddalonego klasztoru na pokutę nie zesłał, bo tam.. pewno by ją zamurowano.

Z oburzeniem wielkim, jak wściekła porwała się Bieta posłyszawszy to — odgrzając straszliwie.

Musiła ją potem uspokajać Zonia pocieszając, iż z nią nie postąpi tak, bo jeszcze ją kocha — ale zawsze z człowiekiem jak on, radziła ostrożność.

Zdradliwa niewiasta skończyła na tem, iż należało wziąć sobie człowieka, któryby mógł w potrzebie ująć się i obronić... Kochanek mógł, w niebezpieczeństwie ratować. Na wzmiankę o tem, oburzyła się Bieta.

— O! dosyć jednego w życiu! — zawołała — dwu ja mieć nie chcę i nie będę... Gdy mu z oczów zdradę wyczytam... obronię ją się sama...

V

Leszek Czarny, którego niespodziewający się potomstwa Bolesław następcą po sobie mianował, syn znanego a burzliwego charakteru Kazimierza Kujawskiego był mężem rycerskim, zawczasu wywiczonym w wojennem rzemiośle. Niemców miał nauczycieli, którzy podówczas w wojnach nieustannych, w stosunkach z zachodem wszystkie sposoby wojowania, oręż najlepszy i wprawę wielką mieli do spraw rycerskich. Dobre wychowanie książąt nie obchodziło się bez ich pomocy... po dworach lechickich pełno ich było.

Nie wymagano wiele od książąt, którzy panować mieli; kołysano ich pieśniami pobożnemi, duchowni mieli zwierzchnią opiekę nad młodzieżą, lecz kształcenia umysłu i nauki nie potrzebowano dla niej. Naukę za panujących powinni byli mieć Kanclerze i Lektorowie, pisarze i kapelani.

Cała rzesza skrybentów towarzyszyła książętom, ta nad prawem ślęczyła, rękopisma wertowała, sporne kwestje sądowe i sumienia rozstrzygać pomagała.

Nauka onego czasu, tradycje, historia, przykłady czerpały się nie z ksiąg, ale z żywym przychodziły słowem, w rozmowach z uczonemi, które tak lubił Kazimierz Sprawiedliwy, w obcowaniu z cudzoziemcami, co świata przejrzeni wiele, choć także czytać i pisać nieumieli.

Książę się nawet podpisywać nie potrzebował, gdyż pieczęć jego i świadkowie za podpis starczyli, a ważne przywileje nadawano w obec poważnych świadków.

Nie przeto gorszem było wychowanie ówczesne, a potrzebom czasu starczyło. Rozmowy zastępowały czytanie. Głównym zaś warunkiem przysposobienia do życia pańskiego, książęcego, było wyuczenie się wszystkiego, co wymagało rycerskie rzemiosło.

Bolesław Krzywousty dzieckiem prawie konia dosiadał, jeździł na łowy, potykał się już na placu boju, by zdobyć pas rycerski. Dziećmi też uczyli się tacy panowie strzelać z łuku

dzielnie, oszczepem ciskać, szablą i włócznią robić, ciężką zbroję dźwigać dzień cały, na koniu siedzieć bez spoczynku godzin kilkanaście, niedojeść, niedospać, zahartować się. —

Miłość własna, chęć prześcignięcia drugich zręcznością i siłą, pomagały też wychowaniu. Rośli dzielni wojownicy, a gdy wojny zabrakło, co się rzadko trafiało — niezmordowani łowcy.

Łowy były bojem nieraz.

Takimi rycerzami byli z rzędu wszyscy prawie książęta od Mieszka i Chrobrego począwszy. Trudno im było wysiedzieć spokojnie między czterema ścianami, a na łowy ogromne puszcze były za małe.. Jeśli w las iść nie mogli, w podwórcach sobie sprawiali gonitwy, wyścigi, zapasy, harce konne.

Nawet spokojnego ducha, miłośnik mądrości, słuchający tak chętnie wymownych opowieści Kadłubka Kaźmierz Sprawiedliwy, był wielkim łowcem przed panem, był nim Leszek Biały, a o Wstydlwym mężu Kingi zapisali historycy, iż sfora psów była dlań najmiłszym darem.

Tak samo jak oni wszyscy, wychował się Czarny, który już naówczas słynął z mężstwa. Był, piszą o nim kronikarze, odwagi wielkiej, niedopuszczający się pokrzywdzić, gdy z bratem Ziomomysłem razem porwał się na własnego ojca Kaźmierza, na odgłos, że ich macocha zgładzić chciała, aby swemu potomstwu dziedzictwo po nim zapewnić. Odebrali oni ojcu Łęczyckie i Sieradzkie i przy Sieradziu Czarny się potem utrzymał, mając na nim czekać na spadek po stryju przyobiecany.

Leszek ów, mężny, boju chciwy, łowiec namiętny jak oni wszyscy, gotów na koniu spędzać dnie i noce, a w szałasach i pod namiotami spoczywać, za komnatami nie tęsknić — miał to dziwne na swój czas usposobienie, może jeszcze przykładem Bolesława stryja poparte — że niewiast nie lubił wcale...

Obojętne mu one były, tak, że na żadną nigdy ani spojrzął, unikał ich raczej...

Wybierając go następcą po sobie Bolesław, razem zeswatał go zaraz z Gryfiną Rościśławówną, której ojciec był teściem króla Węgierskiego i teraz na danym mu udziale w Siedmiogrodzie przesiadywał. Książ był możny i znaczenia wielkiego.

Nie pytano pewnie Czarnego, czy mu się narzeczona podoba, boć młoda niewiasta mężczyźnie w sile wieku, wedle pojęć ówczesnych — podobać się musiała.

Zbyt wyidealizowanej miłości u nas nieznano.

Rycerz wychowywany bez mała jak mnich, znający tylko swe rzemiosło, słyszący ciągle od duchownych, iż niewiasta na pokuszenie i zgubę rodzaju ludzkiego została stworzoną — uległ woli stryja, nie wiele wagi przywiązując do małżeństwa.

Gdy mu ową małżonkę przywieziono do Krakowa, młodą, piękną czarnookę i złotowłosą zarazem krasawicę, która długo zamknięta w teremie, karmiła się bajkami o królewiczach, piosnkami nianiek miłosnemi i obietnicami rozkoszy, jakich w przyszłym stanie zażywać miała — zdziwiła się niepomalu Gryfina, znajdując w tym kochanku z urzędu zupełnie dla siebie obojętnego człowieka. Czarny ani się spieszył zbliżyć do niej, ani ochoty do miłowania jej nie okazywał.

Rozmarzona, śmiała, gorącej krwi księżniczka do żywego się tem czuła obrażoną, ale wstyd jej było poskarżyć się przed ludźmi, srom przyznać, że pogardzoną została.

Wszystkie niewieście środki przybliżenia się do męża, skuszenia go, spełzły na niczem. Leszek Czarny nie miał czasu miłować się w żonie, przeszkadzały łowy i wyprawy. Dawał jej co chciała, oprócz miłości...

Obojętność ta latami się już całami ciągnęła, w Gryfinie budząc gniew coraz większy, prawie nienawiść do męża. Nie śmiała się z nią wydawać, boby większy srom sobie uczyniła tem, niż jemu. Zalewała się łzami, miotała z gniewu; niewiasty družki oplakiwały los swej pani, która mściła się gniewami na nich za męża pogardę.

Jakim sposobem wieść o tem poźyciu rozeszła się po świecie, trudno dobać było.. Pewnie niewiasty ze dworu księżnej śmiały się i bolały razem nad jej losem, ulubieńcom swym rozpowiadając o tem.

Życie Bolesława Wstydlwego, rozłączonego z żoną dla zakonnego ślubu czystości, naprowadzało na myśl, że i Czarny stryja chciał naśladować, lecz Gryfina do wstąpienia w ślady pobożnej Kingi nie miała powołania.

Jej pragnieniem jedynem było, rodzinę mieć, dzieci wychowywać, stać się matką książęcego domu, mającego wieki panować nad Krakowem.

Biskup Paweł, który o wszystkim wiedział, szczególnie co mogło śmiesznością okryć nienawistnych mu, Wstydliwego i Czarnego — znał dobrze stosunek ten i pożycie Leszka z żoną.

Raz gdy księżna Sieradzka powracała z odwiedzin w Krakowie, dokąd się pono jeździła żalić stryjowi na obojętność mężowską, w podróży na południowym obozowisku orszak księżnej spotkał się z niemniej wspaniałym, licznym a wrzawliwszym daleko orszakiem Biskupa, jadącego do Kunowa. W Kunowie lubił Paweł przebywać za oczyma, za lasami, wożąc często i Bietę za sobą.

Nie śledziły go tam tak pilno oczy niechętnych jak w Krakowie...

Po świeceku ubrany, w butach z ostrogami, przy mieczu, z hardą postawą śmiałego pana — zjechałszy się z wozem i końmi księżnej Gryfiny, Paweł kazał ludziom swym stanąć.

Południe było, czas gorący, las cienisty, strumień środkiem łąki płynący koniom i ludziom był pożądany.

Rozkazawszy i swoim obóz rozbić, śmiały jak zawsze Paweł, któremu nigdy nie zbywało na ochocie do najgrawania się i drażnienia ludzi, poszedł umyślnie pokłonić się księżnie Gryfinie. Ta pod namiotkiem siedząc — gniewała się na sługi, dziwaczyła, bo wracała z Krakowa — wielce sierdzista.

Na młodej jej, urodziwej, choć trochę męzkiego wyrazu twarzy, z oczyma czarnymi, włosom jasnym otoczonej, nieco łzami i gniewy znużonej, widać było podrażnienie, niesmak życia — zniechęcenie do ludzi.

Kazał Biskup jej oznajmić, iż się jej chce pokłonić.

Słudze nawet polecił użyć z ruska wyrażenia szyderskiego, iż — chce jej czołem bić...

Gryfina nie mogła odmówić posłuchania.

Jak stał w ubiorze podróżnym przyszedł do niej ks. Paweł, a że młode niewiasty lubił i rozmowa z nimi zawsze mu miłą była, pozdrowiwszy księżnę, dał się posadzić w jej namiocie i przyjął kubek podróżnego wina.

Śmiałość nigdy go nie opuszczała. Gdy niewiasty ustąpiły nieco, zostawując ich samych, wpatrzywszy się w księżnę, która sromając się poglądała ku niemu, zagadnął ją jako ojciec duchowny:

— Księżno miłościwa! Nie chce mi się wierzyć. Chodzą wieści o was jakobyście naśladować mieli świętobliwą panią Kingę, a mąż wasz Wstydliwego Bolesława? Zmiłujcież się — dodał żartobliwie — książąt nam zabraknie! Dosyć już świętych mamy, a po klasztorach mnichów i zakonnic.

Zapłonila się mocno Gryfina, oglądając do koła, czy ją niewiasty jej nie podsłuchiwały.

Ciężko jej było zebrać się na odpowiedź, zawstydzila się, głową poruszyła, łzy jej z oczów wytrysnęły mimowoli, łzy boleści i sromu...

Biskup to dostrzegł.

— Nie obrażajcie się mową moją, — dodał — jam przecie duchowną osobą, mnie wszędzie i zawsze a każdemu wolno prawdę rzec.

Cóż się to dzieje z wami?

Gryfina rada może była, że się będzie miała przed kim poskarżyć. — Paweł zdawał się brać jej stronę. Wahala się jeszcze, rozplakała mocniej, otarła łzy i poczęła:

— Szanuję ja księżnę Kingę, ale naśladować jej nie myślałam nigdy! Ja chcę mieć dzieci, na to mnie Bóg stworzył bym matką była... Szłam za mąż aby mieć tę pociechę.

Łzy mowę jej przerwały...

— A! — odparł Biskup wesoło. — Kamienny to człek ten Czarny być musi, gdyście go rozmiłować nie potrafili! Jakże! ma on inne miłośnice?

— On! — wykrzyknęła księżna. — On! — I ruszyła ramionami. — Na co mu one? Byłe konia miał i żelazo u boku, to mu za wszystko stanie!

Choć mu się na śmiech zbierało, Paweł nastroił minę poważną.

— Żle to jest! — rzekł. — W stryja się wdał! Z pobożności to czyni.

Gryfina poruszyła się dziwnie, jakby i temu zaprzeczyć miała.

— Szkoda was — dodał Paweł żałośliwie. — lecz jak radzić na to? Innaby sobie szukała pociechy, nie wiele dbając...

Zatrzęsła głową dumnie księżna.

— Życie wam tak marnie zejdzie — mówił Biskup dalej. — Co gorzej, świat nie wie kto przyczyną jest, iż rodziny niemacie, spadnie na was srom niepłodności. Za cóż wy niewinnie cierpieć byście mieli?

— Radźcież mi co uczynić mam? — odezwała się księżna ręce załamując.

Paweł zamyślił się wrzekomo, spojrzął ku niebu, westchnął. Złość przeciwko Leszka poddała mu co miał podszeptać Gryfinie.

— Trzeba aby ludzie wiedzieli, iż Miłość Wasza, winni nie jesteście małżeńskiej oziębłości. Prawo macie, przy ludziach, wobec gości, publicznie, powiedzieć głośno, jak mąż dla was jest niesprawiedliwym. Rzućcie mu czepiec z głowy, zagroźcie iż pójdziecie do klasztoru...

Księżna oczyma bojaźliwymi rzuciła ku niemu, gdyż zamknąć się w murach klasztor-nych nie miała wcale ochoty.

— Do klasztoru przez to nie pójdziecie — dodał Biskup, myśl jej odgadując. — Ludzie się wdadzą, żyć będziecie z sobą jak Bóg przykazał. Ale srom mu uczynić potrzeba, niech wszyscy wiedzą jakim jest.

Słuchając Gryfina, zdawała się to przyjmować myśl poddaną przez Biskupa, to się jej lękać. Szepnęła coś niewyraźnego, co nie było ani zgodą, ni przeczeniem. Paweł nie nalegał. Wiedział, że w niewieście zostawionej tak samej sobie, przygnębionej i smutnej, rzucone ziarno wyrośnie prędzej później. Cieszył się, że tem Czarnemu spokój jego domowy zamąci, wstyd mu uczyni, a Bolesławowi, którego niecierpiał, dokuczy sprawą gorszącą.

Jął potem księżnę pocieszać, iż wszystko to na dobrze się zmienić może, iż Leszek się poprawi, a Bóg ją licznem ubłogosławi potomstwem. Stał się tak dla Gryfiny miłosiernym, litościwym, iż niewiastę strapioną za serce chwycił.

Biskup, osoba duchowna, poważna, rozumna, mógłże jej źle radzić?

Gdy obóz księżnej miał potem ruszyć z południowego spoczynku, Biskup na koń pomógł jej wsiąść, pobłogosławił, przeprowadził, a pozostawszy sam, śmiał się złośliwie... Niewiastka uczyni jakom jej radził, mówił w duchu. Czarny się wstydzic będzie musiał... Rycerstwu się śmiesznym stanie...

Dokuczyć Bolkowi i Czarnemu najmilej mu było.

Niezapomniał przestrzedz Księżnę, aby nie wydawała go, iż on jej tą radą w pomoc przyszedł.

Wróciła Gryfina do Sieradzia na wysoki zamek nad Wartę i Dzwigoczowę, do pustych komnat, z których okien po całych dniach patrzyła na błota i łęgi, na Wartę przez nie płynącą, dalekie lasy i dość pustynne okolice. — Męża i teraz nie znalazła w domu, uwijał się kędyś na łowach.

Plakała więc samotna, a więcej jeszcze gdy powrócił, a do niej nie przyszedłszy, przez komornika ją tylko pozdrowił. Kazała się do stołu prowadzić, usiadła przy nim, ledwie przemówił do niej. Gniew ją coraz większy ogarniał.

Czas jakiś upłynął, a nic się w pożyciu nie zmieniło, rada ks. Pawła z gniewu przychodziła jej do głowy i upajała ją.

Około następnej Wielkiej Nocy, z pozdrowieniem i podarkami zebrali się Sieradzanie do pana swego.. Niektórzy z nich żony poprzywozili, aby się pokłoniły księżnie.

Jak co roku na wysokim zamku przyjęcie było gościnne i pańskie.

Trzy izby zastawiono stołami.

Dnia tego właśnie Gryfina więcej zażalona na Leszka, iż z nią przez cały tydzień prawie mówić nie chciał, rozgorzała gniewem takim, iż postanowiła go porzucić. —

Chciała to uczynić głośnem, jawnem, aby ludzie wiedzieli czyja w tem była wina.

Leszek, im bardziej mu się biedna żona narzucała, przez dziwną ludzkiej natury przekorę, coraz do niej wstręt czuł większy.

Natarczywość ta odbierała jej cały urok wstydlivosti niewieściej.

Wychowany po niemiecku, zniemczały dużo — do tej śmiałej niewiasty, rusinki dumnej upominającej się o prawa swoje, czuł odrazę, lękał się jej.

Zanadto owładnąć nim chciała w ostatnich czasach, zbyt się na zamku rozposażała. — Słuchał jej, ale tem więcej od niej stronił. Łzami by go może była zjednała, łagodnością przywiązała, obejściem się tem mężkiem, szorstkiem zrażała.

Między małżeństwem choć waśni jawnej niebyło — rozbrat się stał i oziębłość, która zbliżenie się coraz trudniejszym czyniła...

Dwór ks. Gryfina z rusinów i węgrodów złożony, z Niemcami Leszka i Polakami, był w nieustannych zatargach.

Dniem przed W. Nocnym zjazdem ziemian do Sieradzia, księżna ze swym dworem była przygotowana do odjazdu. Wozy opatrzone, konie pościągano, ludzie sposobili się do podróży. Gotowi byli z Gryfiną jechać gdzieby kazała, choćby przebojem przyszło się z zamku wydobyć, w którym Niemcom ustępować musieli. Niewiasty pokryjomu spakowały szaty, klejnoty i całą księżnej wyprawę.

Działo się to po cichu, nikt się z Leszkowych nie domyślał co nastąpi.

Nazajutrz, z rana już ziemianie zajmowali całe miasteczko, na którego końcu wysunięty ku moczarom otaczającym je, stał mocny zameczek, pamiętny już więzieniem w nim Ziemowita i Gertrudy. —

Był też jakby na więzienie budowany, warowny, okryty, okopany, smutny i nagi na swym pagórku.

Czarny czasu świąt pozostawał w domu, ażeby ziemian swych przyjmować. Przysposabiano ucztę dla nich, gdyż całe dnię poić i karmić musiano gości. —

Ponieważ niewiast, które z mężami przybyły, aby się księżnie pokłonić, dosyć było, Leszek musiał razem z Gryfiną zasiąść w wielkiej izbie na szkarłatem obitych stołkach jak na tronach, i hołdy poddanych przyjmować.

Gryfina dnia tego starała się piękną i młodą pokazać. Rusinki ją wystroiły, obwieszały klejnotami, zabarwiły jej twarz trochę bladą, a że hożą była i być nią chciała, w istocie piękna i poważna wystąpiła zasiąść przy swym panu na krześle i z dumą spojrzeć mogła na otaczających. Leszek widząc ją tak żywą i śmiałą — odwracał oczy i spuszczał je ku ziemi.

Po pokłonach, przemowach, złożonych darach, szli wszyscy zaraz do stołów i niewiasty sadzano osobno po jednej stronie przy księżnie; mężów z drugiej za Leszkiem. Było to zwyczajem.

Służbę po stronie męskiej sprawiali pacholeta książęce, z drugiej dziewczyny służebne.

Nalewano obficie i umysły się wkrótce ożywiły, a usta otwierać zaczęły. Ziemianie śmiało do pana swego garnąc się, przemawiali. Mowa była nie swawolna, ale swobodna bardzo, tak jak ona dziś już być nie umie, chyba w chłopskich chatkach przy weselu, gdy sobie ludzie podochocą.

Nie jeden żarcik tłusty ze strony męskiej polatywał i rumieńcem okrywał niewiast twarze. Starsze na nie dosyć wyraziście słowy odstrzeliwały. Służba, której ani śmiać się, ni do pańskich zabaw mięszać było wolno, usta sobie czasem rącznikami zatulać musiała.

Wszczęła się rzecz o łowach, potem o niewiastach, że one dla wojny i łowów często same siedzieć doma muszą. Mężowie podżartowywali, że sobie na tę samotność radzić czasem umiej. Baby odbijały to, czyniąc im zarzuty, że oni też nie zawsze na zwierza czworonogiego polują.

W czasie tych ucinków, Gryfina siedziała ciągle nachmurzona, jak gdyby wybuchnąć miała. Leszek milczał, niebardzo rad rozhoworowi temu, z ukosa spoglądając na żonę.

Mężowie poczynali docierać niewiastom coraz ostrzej, a starsze i śmielsze, po miodzie usta coraz szerzej rozpuszczały. Wrzawa biesiadna wzięła się na dobre, pozwalano sobie, jakby nie na książęcym dworze...

W tem, kiedy tak gwarzą a śmieją się serdecznie, bo tam wszystko w żartach było, co kto spojrzy na księżnę Gryfinę, nie może zrozumieć, czemu coraz bardziej wydaje się nachmurzoną a niecierpliwszą, aż gdy jakoś na chwilkę przycichło, księżna, która dotąd prawie się nie odzywała — nieco się podniosła.

— No! i mnie też coś o tem rzec przystoi! — rzekła z ruska, — i ja bym znalazła co powiedzieć!

Wszak ci to szósty rok z panem małżonkiem moim żyjemy! Popytajcie no mnie kiedy on doma ze mną siedzi, kiedy nie w lesie i na łowach? Rzadko go widzę, a gdy powróci — nie lepiej mi z tem. Zmęczony odpoczywa — a spoczawszy wyjeżdża znowu.

Przecieżem nie tak ohydna i stara — dodała panosząc się, aby się mną mężczyzna mógł brzydzić! A ja doprawdy niewiem, na co czepiec noszę, bo by mi się jeszcze wianek ruciany należał!

Jaką mnie od ojca przywieźli, taką jestem!

— Ale — zawołała głos podnosząc, — gdy Leszek zawstydzony na piersi spuszczał głowę — dłużej ja tego sromu nie zniosę.

To mówiąc, rozgniona paradny czepiec zerwawszy z głowy, rzuciła go na stół przed siebie i — wśród oniemiałych ze zdumienia słuchaczy, kończyła.

— Dosyć już życia tego — dosyć! Mam żyć jak zakonnica, to wolę do klasztoru iść. A żem prawdę rzekła, przysięgam ją stwierdzić gotowa — niech on powie, czy kłamię...

Odwróciła się do Leszka, który jak siedział nachmurzony i niemy, tak wryty pozostał. — Słowa nie rzekł.

Komu najciężej było z tem, to ziemianom, świadkom mimowolnym małżeńskiego sporu, którego nikt się nie spodziewał, nikt go przewidzieć nie mógł.

Niewiasty strwożone, litością zdjęte, oczy sobie zasłaniając wzdychały i jęczały, męzowie głowami poruszali patrząc na Leszka, czy też co na swą obronę nie rzecze.

Czarny milczał dumnie, jak gdyby na wszystko się zgadzał, byle od żony wolnym był.

Gryfinę pobudziło to do jeszcze większego gniewu, wstała od stołu natychmiast, podniosła głowę, skinęła na swe niewiasty, które za drzwiami już ze dworem jej czekały — i wyszła.

W izbie jadalnej zrobiło się cicho, smutno i ziemianie poczęli nierychło przebąkiwać, aby państwo jednać z sobą. Lecz Leszek wcale ku temu nie okazywał ochoty, owszem obojętność największą, — zakąsywał usta, spoglądając na swych komorników.

Kurt niemiec, ulubiony mu przyszedł do ucha jego się pochyliwszy, oznajmić, że księżna wozy swe zaprzęgać kazała, skrzynie ładować na nie, że ludzie jej rusini i węgrowie precz się już z zamku wybierali.

Myśleli że książę, do czego prawo miał, żonę gwałtem wstrzymać każe, wrota pozamykać, z zamku nie puścić.

Zdziwił się niemiec, gdy Leszek mu najobojętniej w świecie odparł.

— Z Panem Bogiem!

— Baba z wozu, kołom lżej! — szepnął któryś z dworzan po cichu.

Stało się o czem przed chwilą niktby był pomyśleć nie śmiał. W dziedzińcu, co najszybciej wozy już wytoczone zaprzęgano, ładowano na nie skrzynie malowane i węzły. Konie wyciągano ze stajen, a gdy Niemcy niektórzy Leszkowi na swą rękę opór stawili, myśleli, węgry z rusinami do mieczów się zaraz poczęli brać.

Jak nic do krwawej bójki przyjść mogło.

Na zamku w jadalni zamieszanie się stało nie małe.

Zemianie zawieruchy się lękając, jęli się wymykać, żegnać, żony zabierać i wnosić do miasteczka. Ci co sami byli bez bab, przyzostali do końca, aby widzieć co z tego urośnie.

Spierali się jedni utrzymując, że księżna wyjedzie, drudzy, że się rozplacze i zostanie. Ciekawych dosyć wysypało się w dziedzińcu, boć widowisko było nie powszednie. Pod ścianami dworca kupami stali polscy i niemieccy komornicy, służba, dwór, żołnierze, myśliwcy Leszkowi; złoścąc się za pana, drwiąc i odgrajając na Węgrów.

Dalej ziemianie patrzali co to będzie, a w pośrodku Ruś i Węgry zbrojne, złe, nadąsane, klęli, łajali, pięści pokazywali, i co spiesniej mieścili sprzęt na wozach, juki wiązali na koniach...

Na prawdę nikomu się to nie mieściło w głowie, aby żona od męża, z takim hukiem, przy tylu świadkach, czepiec mu rzuciwszy w oczy, miała precz odjechać.

Zdało się im, że to tylko odgródka próżna aby Czarnego zmusić do lepszego pożycia.

Tymczasem w niespełną godzinę wszystko już stało gotowe, dwór na konie powsiadał, a że Gryfina zawsze też konno jeździła i jej siwego podprowadzono aż pod sień, do pieńka, który wsiadać pomagał...

Ludzie się nacisnęli ku wnijsciu przyglądać jak dziwowisku, gdy Gryfina z twarzą odsłoniłą, w wianku zielonym, który dla niej służebne zawczasu uplotły, w płaszczu szkarłatnym, wybiegła z zamku, podeszła do pieńka, i z pomocą komornika konia rażno dosiadła.

Okiem nawet na pożegnanie po zamku nie rzuciła, ściągnęła cugle, cmoknęła na siwego, stary Węgier Morosz dał znak i cały orszak jej, wozy pośrodku, konni na straży, przodem Kumany z dobytymi mieczami, posunęli się ku wrotom.

Niewiasty, dziewczęta co siedziały na wozach i konno jechały, popłakiwały trochę zostawując tu swoich, ozierając ku nim, żegnając nieśmiało głowy skinieniem.

Wrota stały otworem, bo pan tak przykazał.

Dopiero gdy księżna wyjechała za nie, Niemcy i Polacy wybuchli śmiechem i szyderstwami, nawołując niektórzy po imieniu dziewczęta, inni węgrów drażniąc.

Zgraja się wdrapała na wał, na mury, oddalający się już obóz księżnej ścigając obelżewami drwinami. — Lecz ten uchodził tak szybko, jakby rad był swobodzie i nigdy tu już wracać nie myślał.

Leszek z izby nawet nie wyszedł... Niemcy go mrucząc otoczyli...

Z początku donosili mu co chwila o wyborze w drogę księżnej, potem gdy wrzawa i krzyki dały znać, że wyruszyła, skupili się niespokojni przy nim. Czarny się tem nie poruszył wcale.

Przeciwnie zdawać się mogło, iż lżej mu się zrobiło, dowiedziawszy się o wyjeździe i czoło trochę rozchmurzył.

Tym, którzy zagadywali go o księżnę, odpowiadał mówiąc o łowach, podróży, lub innych sprawach...

Zasiedli znowu biesiadnicy mniejszym kołem do stołu, zaczęto rozmowę obojętną.

Nazajutrz Leszek rano na łowy ruszył w lasy.

We dwa dni potem, przejazdem, po drodze Biskup Paweł do Sieradzia zajechał. Na zamek się nie udał, u proboszcza stanąwszy, który wedle zwyczaju musiał dostarczyć *prokurację*, to jest żywność dla pana, sług, koni i psów. Biskupom i wyższych stopni duchownym, prokurowały tak probostwa i klasztory, a nieraz gdy dostojny pan jechał z dworem wielkim, spoczywał dłużej, objadał strasznie plebanów i mnichów...

Biskup Paweł zatrzymał się tu tylko na popas krótki.

Szydersko zapytał o księcia.

Proboszcz po cichu opowiedział co się stało — Paweł udał zdumionego wielce, lecz wkrótce naśmiewać się począł z Leszka, żonie jego słuszność przyznając.

— W Krakowie się rozradują! — zawołał — księżnie Kindze jedna zakonnica przybędzie, a nuż Rusinka sobie osobny klasztor zechce założyć??

Natychmiast Biskup wysłał ztąd do Krakowa donosząc o Sieradzkiej historii, aby i tam w wielki dzwon na nią uderzono...

A bito tak głośno, że się ta scena aż w kronikach później przez duchownych spisanych — odezwała...

Książę Bolesław gdy mu o tem doniesiono, wzruszył się mocno, ręce załamał, zatrwożył o Leszka i o Gryfinę — pobiegł do księżnej z żalem i skargą. Nikt się w tem nie domyślał roboty ks. Pawła.

Kinga przyjęła tę wiadomość spokojnie, przypisując postępowanie Gryfyny, nie sporom małżeńskim, ale świątobliwości niewieściej i powołaniu do zakonnego życia, które dla niej było jedynem szczęściem na ziemi. Sama ona do niego wdychała.

Podniosła oczy na męża i rzekła:

— Szczęśliwa Gryfina! O! gdyby mnie też wolno było zrzucić te suknie, opuścić twoje pałace, pójść jak ona zamknąć się w murach klasztorach!!

Bolesław, który w żonie czcił błogosławioną za żywota niewiastę, skłonił głowę w milczeniu i dodał smutnie, pół głosem.

— Maluczko i ty czekać będziesz na to, miła moja a święta pani. Ja, co ci tę drogę do szczęścia zapieram, znajdę z niej rychło, i uczynisz według woli swej.

Księżna spuściła oczy — zamilkła.

Bolesław w sercu i na synowca gniewnym był, że żony utrzymać nie umiał i na Gryfinę, że ulubieńcowi jego srom uczyniła.

Tegoż dnia Żegota Toporczyk przybył z wiadomością pewną, jakoby z ust samej księżnej Gryfyny powziętą, iż wszystko to stało się z naprawy i za radą Biskupa Pawła...

Bolesław zadrgał cały — czuł, że ten raz wymierzony był przeciwko niemu.

Cierpliwi i przebaczący winy, za krótką chwilę dał się gniewowi unieść — i z ust mu się wyrwało.

— Dość już Biskup ten nabroił! dość! Czas by karać go było!

Żegota podchwycił rączo. —

— Miłościwy panie, dajcie go tylko nam... na wolę naszą. — Skinicie! bezprawiom jego koniec położym! Jest na nim grzechów już dosyć, a ludzie za pewne opowiadają, iż z nieprzyjacioły twojemi, z Litwą i pogany się wiąże i spiskuje. Nie zamkniemy go, — naprowadzi tych druhów swych na ziemię nasze...

Żegota wyglądał skinienia, Bolesław jednak gniew swój hamując, znaku mu żadnego nie dał, ręce rozwarł, w niebo popatrzał.

— Miłościwy panie! rozkaż! — nalegał Toporczyk.

Na odpowiedź czekał długo.

— Nie rozkazuję i nie bronię! — rzekł wreszcie książę oddalając się szybko.

Żegota zatarł ręce, biegł zaraz do brata z dobrą nowiną.

VI

Siedział na ówczas Biskup Paweł w Kunowie, który mu był ulubiony, w Sandomirskiej ziemi.

Majątność to była do biskupstwa krakowskiego należąca, znaczna, lasy dla łowców dogodne, kąt cichy, gdzie żyć mógł Biskup jak mu się podobało. Oprócz gromady własnych ludzi, nie podpatrywał go tu nikt, obce oko śledzić nie mogło.

Życie też tu wiodł jakie mu najmiłszem było. Otaczał się wybranemi, przywoził czasem Bietę z sobą, do ucztowania i łowów miał towarzyszków podostatkiem. Do kościoła i na nabożeństwo chodził tylko, gdy mu przyszła fantazja, nic go nie zmuszało. Proboszcz służył i kłaniał się nisko, dostarczając co na dwór było potrzeba.

Domostwo, w którym się naówczas mieścił ks. Paweł, na nowo pobudowanem było, bo tu już raz Tatarzy zawitali, raz byli Mazury i spalili wszystko. Spłonął i stary dworzec, ale to na lepsze wyszło, bo Biskup kazał wznieść nowy i nie z prosta, ale jak na pana wielkiego łowiecki dwór przystało.

Wzniesiono w pośrodku duży dom z podsieniami, dawnym zwyczajem słowiańskim; po bokach dla służby, koni i psów chaty, szopy i stajania... Kaplicy tylko brakło, a choć kościół stał opodał, ks. Paweł mówił, że go starczy.

Szczególniej myślistwu biskupiemu dogodnie tu było, psiarnie miał ogromne, aby gończym było jak w raj — wodę, cień i legowiska miały rozkoszne.

Dla koni stajnie zbudowano zaciszne, ciepłe, z wodopojami tuż, aby czeladź daleko nie chodziła z niemi. Osobna kuchnia, na której woła całego bodaj upiec było można, rozlegała się szeroko. Codzień też na niej barany, cielęta i kozy się piekły dla gości i czeladzi. Liczna służba zawsze się tu kręciła dniem i nocą, bo musiało na niej jak w łaźni gorzeć nieustannie, aby rzesze głodne nakarmić.

Zdala już poznać było można dwór wesoły, boć są po świecie różne, takie z których smutek wieje, i z których radość bucha. A tu było ochoczo bardzo, nieopatrznie, bez jutra, lecz pańsko i raźnie.

Trąbki kiedy zagrały, to serce skakało, konie rżały jakby ludzkim śmiechem, psy się gziły szczęśliwe, świadcząc, że im tu dobrze było.

Dostatek wielki, nierachujący się wcale, rozrzutny ściągał tu ubóstwo, włóczęgów, ludzi co radzi byli żywić się lenistwem drugich. Dwór też zawsze otaczały przybłądy, które służyły sługom, gotowe nawet psom posługiwać, byle dostać z kuchni ochłapy a z beczek choć drożdże.

Jak sam Biskup, który tu wczasu używał, dwór też jego wyręczał się chętnie lada kim, byle nie pracować.

Mało gdzie tak żyć umiano jak tutaj. Zrana wstawszy ks. Paweł, zaraz kazał jeść podawać, zajadał i pił ze swemi póki się nie uczuł syt. Przy stole z ludźmi poufałemi, rozmowy wcale nie pobożne się wiodły. Potem psy opatrywano i konie; często zaraz na łowy jechał, a z nich wróciwszy u Biety jadał sam, jeżeli ona tu była, lub z towarzyszymi.

Nabożeństwo i modlitwy zbywano prędko — bo długo na nich trwać Biskup nie lubił.

U stołu kapelan szybko czytał modlitwy, niekiedy Paweł do kościoła zajeżdżał, rzadko proboszcza do stołu zaprosił. Suknia duchowna tak mu ciążyła, iż w nim, powszedniego dnia, chyba po pierścieniu wielkim na palcu Pasterza poznać było można.

Mogło się zdawać ludziom, iż to życie swobodne w Kunowie szczęśliwym go czyniło. Miał w czem sobie upodobał, czego pragnął — a mimo to chodził częściej chmurny i zły niż wesół, a gdy się czasem rozśmiał i rozochocił, wesołość była jakaś niezdrowa, przymuszona, straszna, na której dnie żółci się domyślać było łatwo. Wino i miód najczęściej do niej pobudzały.

Za lada co Paweł sierdził się i gniewał, lajał i bił nawet. Co wczoraj chciał mieć, jutro mu już nie smakowało. Klócił się z Bietą nieustępującą mu — pędzał Wita, znęcał się nad dworakami.

Widać po nim było, że sam już niewiedział, w czem szukać tego szczęścia ziemskiego, które od niego uciekało... Robił co zamarzył, używał świata, spijał słodczyce a w nim się wszystko w piołuny i żółć obracało...

Nie wahał się kosztować żadnego zakazanego owocu, objadał się niemi i — był prze-sycony a nie syty...

Pragnienie paliło tem silniej im pił więcej.

Liczny dość orszak pasożytów, co, jak muchy do miodu lgną wszędzie do dostatku — gromadził się około ks. Pawła. Kilku duchownych, co jak on suknią tylko niemi byli, nie dbając o obowiązki, kilkunastu ziemian zapalonych myśliwych, do kufła i wesołej pogadanki ochocznych, Wit do posług tajemnych, czeladź butna i rozpuszczona, otaczali go tutaj. Bieta miała dwór swój, dziewczęta, Zonię i czeladź osobną...

Kapelan i Kanclerz siedzieli dla oka.

Oprócz tego z okolic Kunowa, niemal co dzień ściągali się sąsiedzi bliżsi, których sobie kuchnią i piwnicą umiał pozyskać.

Nigdy więc pusto tu nie było. —

Żołnierzy nadwornych dwudziestu we wsi stało, którzy Biskupowi w wycieczkach uroczystych towarzyszyli bardziej dla okazałości, niż z potrzeby...

Trafiało się, iż ztąd Paweł na dni kilka, a nawet kilkanaście wymykał się potajemnie z niewielkim poczem ludzi. — Dokąd? nikt prawie niewiedział.

Bieta szczególnie podejrzewając go, zazdrośna śledziła, badała, ale i ona dowiedzieć się o celu tych wycieczek niemogła, i jej Paweł nic o nich nie mówił.

Ci, których z sobą bierał, po pijanemu nawet ust nie otwierali, a im większą z tych podróży czyniono tajemnicę, tem ona mocniej drażniła tych, którym ks. Paweł zwierzyć się nie chciał.

Z Bietą, choć nałogowe do niej przywiązanie trwało jeszcze, Biskup zaczynał się tak obchodzić, jakby mu ona już była ciężarem. Napastliwej, gwałtownej niewiasty lękał się, nie wiedząc może, jak się od niej uwolnić.

W czasie pobytu Biskupa w Kunowie, napływ różnych włóczęgów bywał taki około dworu, iż ściśle się z niemi obliczyć, ani się w nich rozpatrzyć nie było można.

Zkąd i po co kto przychodził, niebadano, karmiono tę czerni posługując się nią, za-legała podwórza, cisnęła się do kuchni, wyręczała się nią czeladź leniwa.

Przez znaczniejszą część dnia pijana, służba biskupia nie zaglądała w oczy żebractwu temu, nie wiedziała kto tam, zkąd i po co się przybłąkał. Nie lękano się podsłuchów i nie posądzano ludzi, z którymi było wygodnie.

Z niczem się też nie ukrywano, bo jak pan, tak i czeladź czuła się tu bezpieczną.

Ks. Paweł, gdy na łowy nie jechał, długo w noc zwykł był się zasiadywać z towarzyszami nad miodem i winem. Rozpowiadano sobie przygody różne, Paweł lubił przypominać, jak szalał za młodu, począwszy od Lignickiej bitwy i owej pierwszej mniszki porwanej, którą mu rychło odebrano.. Śmiał się chwając, że mu ją wszakże za późno wzięto.

Spraw podobnych dużo miał na sumieniu...

Drugim ulubionym rozmów przedmiotem były domowe Piastowiczów dzieje. Z tych Mazurów on nad innych przekładał, drugim zgubę wieszcząc. Szczególniej Bolesławowi i Leszkowi, bo tych obu nienawidził.

Po takich nocnych biesiadach na dzień długo zasypiano, a że we dworze wszyscy się czuli bezpieczni, straży ani czujności żadnej nie było. Żołnierze daleko spali po chatach, pijana czeladź wałała się po kątach, warty nawet w domu nie stawiano.

Jednego dnia letniego, gdy ks. Paweł długo się zasiedziawszy, na ostatek do sypialni odszedł i legł na posłanie, a drudzy się porozchodzili na siano i wszystko we dworze snem

było tęgim ujęte; w pierwospy właśnie zbliżył się lasem ku dworowi oddział konnych a zbrojnych ludzi.

Cichuteńko obstawiono budowlę do koła, rozrządzono czaty, i kilkunastu rycerzy podkradło się pod tę część dworca, w której ks. Paweł spoczywał.

Byli to Żegota i Otto Toporczycy, ważący się już na wszystko byle Biskupa wziąć i raz jego bezprawiom koniec położyć.

Zawczasu się wywiedziawszy, z której strony przystęp był łatwiejszy, kędy Paweł legał — włamali się oknem, nim mocno uspiiony Biskup obudził się i oprzytomniał.

Ludzi w pobliżu nie było, czeladź spokojna kamiennym snem na przedsieniach odpoczywała, bo w izbach jej duszno było.

Gdy Biskup zerwawszy się chciał wołać, wnet mu usta zawiązano, i dwóch silnych ludzi, choć się zajadle bronili, ręce i nogi postronkami mu skrępowali.

Rwał się Paweł silnym będąc, lecz napastnicy zawczasu wiedzieli z kim mieć będą do czynienia; przygotowali się więc. Ręce i sznury mocne były, użyci do tego siepacze wprawni i silni. Nim się opatrzył Biskup, już go oknem wysadzonym wyrzucono, chwycono na ręce i niesiono do woza.

Nieopodal czekał oddział mocny, wóz zaprzężony końmi młodem, z woźnicą jakiego było potrzeba.

Rzucono nadaremnie miotającego się Biskupa w siano, nakryto słomą i w czwał puścili się z nim Toporczykowie lasami, drogami błędnymi, manowcami ku Sieradziowi. Obawiali się pogoni, kręcili więc tak po dróżynach leśnych, aby nie łączno na trop ich mógł kto trafić.

We dworze tym czasem spali wszyscy, nikt nic nie słyszał, choć Toporczyków ludzie biskupią izbę i skarbczyk wypróżnić czas mieli i co lepszego było pochwytać. Rano dopiero Wit obchodząc dwór do koła, okno wyłamane zobaczył, a w niem kawał oddartej nocnej odzieży ks. Pawła, który o gwóźdź zaczepiony wisiał na uszaku.

Wbiegł natychmiast do izby, a tu ujrzawszy wyraźniejsze jeszcze ślady napadu — na gwałt krzyknął.

Zerwało się co żyło, wpadli ludzie, czeladź, przybiegli goście — strach, podziwienie — trwoga i gniew wybuchły.

W izbie, w której biskup spiał złożone były szaty kosztowne, skrzynie z pieniędzmi i klejnotami, wszystko to Toporczyków ludzie rozchwyтали i wynieśli. Na podłodze wałaly się porozsypywane perły i kawałki łańcuchów porwanych.

Krzykami przestraszona przybiegła i Bieta, która się przed ludźmi temi nie potrzebowała taić, czém dla niej był ks. Paweł, rwąc włosy z głowy i zawodząc. Mało kto zważał na nią. Posłano po żołnierzy, zerwali się do koni przyjaciele Biskupa z pacholkami swemi lecieć w pogoń za porwanym. Kunów cały wyglądał jakby nieprzyjaciel najechał.

Czeladź tym czasem myśląc, że Paweł mógł być zabity, lub że niepowróci, wzięła się do rozchwytywania między siebie co pozostało. Rabował kto mógł i z łupem w lasy uciekał. Konie ze stajni, szaty, co było kosztowniejszego sprzętu darli i unosili. Bieta została sama prawie z dziewczkami swemi, niemogąc nikogo znaleźć, co by się nią zaopiekował, bo i Wit naprzód myślał o sobie. Ona więc z Zonią ledwie prosty wóz jakiś sobie i konie wyprosiwszy, powiązawszy co miały, puścili się do Krakowa. Werchańcowa milczała w drodze, Bieta klęła nieprzyjaciół Biskupa, jego, świat cały — traciła głowę, szalała.

Wesoły ów i ludny dworzec w Kunowie do wieczora stał pustkami, tak że ledwie przy nim kilku starych stróżów zostało. Wszyscy byli tego przekonania, że Pawła już nie zobaczą, bo nieprzyjaciele jego gdzieś go w lesie na gałęzi obwieszą.

Na to się jednak nie wazyli Toporczykowie, choć człek bez sądu wart był tego losu. Broniło go święcenie i dostojność Biskupia. Żegota po naradzie z bratem, postanowił odwieść go na zamek do Sieradzia i zdać pod straż Leszkowi.

Na prawdę niewiedzieli dobrze, co z nim począć mieli — sami go więzić nie czując się na siłach, musieli w imię Bolesława zdać go Czarnemu.

Łatwo przewidzieć było, iż choć człowiek nie zasługiwał na to, za Biskupem ujmie się Metropolita Gnieźnieński i kara ta będzie krótką a za małą.

Lecz Toporczykowie, a z nimi inni nieprzyjaciele, mieli się starać o to, aby złego klechę z lat parę potrzymać pod kluczem i wymódcz na nim skruczę, a na przyszłość uczynić mniej zuchwałym.

Paweł zaledwie oprzytomniawszy po pierwszej trwodze i gniewie, burzył się w więzach, targał sznury, pieniąc się zemstą i śmiercią odgrażał.

Wiozący wcale nie zważając na to, rzuciwszy go w głąb lichego wozu jak kłodę drzewa — ciągnęli z sobą w głąb lasów.

A że droga manowcami i zaroślami była szkaradna, wóz tłukł i trząsł, sznury się w ciało wpijały, Biskup męki straszliwe wycierpieć musiał. Nie dano mu kropli wody, nie miano litości...

Nawet gdy dobrze oddaliwszy się od Kunowa, zapewniwszy, że już ich żadna pogoń napędzić nie może, stanęli koniom wytchnąć i głębę mu rozwiązali — nie wiele mu to ulgi przyniosło. Mógł tylko głośno krzyżeć i łajać, na co mu obelgami i szyderstwami odpowiadano.

Żegota do wozu przystąpiwszy, podparł się w boki i jął mu wszystko co broił na oczy wyrzucać.

— Wart jesteś aby cię jak psa obwieszono — wołał stojąc nad nim.

Zbrodni masz więcej niż włosów na głowie, wszeteczniku, morderco, zdrajco! ale przyszła na cię godzina... pójdziesz do ciemnicy na chleb i wodę, tak jakieś pocziwych księży więził i głodził. Skosztujesz i ty zbytniku, niewoli!

Pójdzie na ciebie do Rzymu registr długi, zepchną cię z tej stolicy... zamurują gdzieś w celi klasztornej na pokutę, lub z kijem żebrac wyżeną...

Ks. Paweł zmuszony słuchać pieniał się ze złości, lecz z ust mu się wyrwały tylko słowa niewyraźne:

— Pies — łotr — zbój...

Wpół drogi do Sieradzia pieszczony człek co w puchu leżał, potłukłszy się okrutnie z bolu jęczeć i krzyżeć zaczął. Siano i słoma roztrzęsły się pod nim, leżał bijąc się kośćmi o drągi i pleciony spód wozu.. Sińce stawały się ranami... Im głośniejsz narzekał, tem się Toporczykowie śmieli głośniejsz i radowali.

Droga do Sieradzia daleko dłuższą była dla Toporczyków, niż zwykłym gościńcem podróżujących ludzi. Jechali unikając utartych szlaków, lasami i błotami, nasłuchując, wysyłając na zwiady. Nie chciało im się postradać Biskupa raz go ujawnszy.

Po długim krążeniu dniem i nocą, gdy się im w końcu miasteczko i grodzisko na cyplu ukazało — odetchnęli swobodniejsz.

Nie mieli oni żadnego wyraźnego rozkazu od Bolesława, ani polecenia do Leszka, aby więźnia przyjął i strzegł — ale raz się na to ważywszy, trzymając słów księcia, który rzekł, że ani rozkazuje ani zabrania — na swą szyję wzięli odpowiedzialność i do końca chcieli doprowadzić co poczęli.

Wyprzedzając wóz i ludzi swych Żegota, puścił się sam na zamek. On był duszą całej sprawy, Otto jego pomocnikiem tylko. Szczęściem, Leszka zastał doma, spoczywającego po długiej wycieczce i łowach, które go aż do Poznania zawiodły. Tylko co powróciwszy, rozglądał się u siebie — niecierpliw już dokąd znów ma sięść na koń — gdy mu oznajmiono, że Żegota Toporczyk przybył doń od księcia Bolesława z Krakowa.

Ulubieńca stryja, kazał Leszek zaraz wpuścić do siebie.

— Przywożę Miłości Waszej — rzekł wchodząc Żegota — gościa niebardzo pożądanego, ale trzeba go przyjąć jak wart. Wszak ci na zamku pewnie na zamczystych komnatach nie zbywa.

Czarny poruszył się niespokojny.

— Cóż to za gość? — zapytał.

— Wzięliśmy tego łotra Pawła z Przemankowa, co się zwał Biskupem krakowskim, wszetecznika i mężobójcę, i z polecenia księcia Bolesława zdajemy go pod straż Waszą.

Leszek choć męskiego serca i odważny w innych sprawach, posłyszawszy o Biskupie, drgnął cały.

— Biskupa wzięliście! — zawołał — ważyliście się na osobę duchowną! Wy!! książę Bolesław!!

— Ale tego Antychrysta dłużej na stolicy biskupiej ścierpieć nie było można — odparł Żegota. — Do Rzymu trzeba słać, aby go zrzuciono, a innego nam dano.

W tem zahuczalo w podwozcu, wóz z więźniem wjeżdżał właśnie.

Leszek nie słuchając już Toporczyka, zszedł zaraz w dziedzińce, ujrawszy ks. Pawła skrzepowanego, w sukni poszarpanej nocnej, nagiego na wpół, zbladłego i posiniałego z gniewu, zafrasował się wielce.

— Uwięzić go, to jeszcze nic — krzyknął — aleście mi go ledwie żywym dowieźli.

Zawołał zaraz na czeladź i kazał Pawła zanieść do izb osobnych, które po wyjeździe Gryfiny puste stały.

Tu na Toporczyków nie patrząc, nie pytając ich, trwogą zdjęty Czarny, natychmiast łoże, łaźnię, pościel gotować polecił i sznury rozwiązać.

Biskupa ta szalona podróż na dnie wozu zmieniła wielce. Krzyczał z początku i wściekając się odgrażał, teraz osłabły, milczał — dając z sobą robić co chciano. Patrzył z góry, pogardliwie, nie odpowiadając, nawet gdy Leszek doń przemówił.

Obracano nim, kładziono go, zacinał usta, marszczył się, odwracał, a na ludzi co go tak sponiewierali, nie patrzył nawet.

Łagodniejsze obejście się z nim Leszka nie obudziło wdzięczności, przyjął je zimno, jako należne sobie. Żegota na pożegnanie rzuciwszy mu jeszcze w oczy szyderstwem boleśnym, pożegnał się i wyszedł.

Dopiero gdy się drzwi zatrzasły za nim, Paweł mruknął:

— Nałożysz ty i twój pan głowę!

Postawiono strażę u drzwi i okien, lecz książę nakazał, aby się z więźniem obchodzono łagodnie.

Obawiał się go. Dał mu sługi, obmyślił wszelką wygodę i zdawszy dozorcóm, niemogąc słowa zeń wydobyć, porzucił.

Toporczyki sprawiwszy się tak dzielnie, zaledwie więźnia zdali, trochę sobie i koniom wypoczęli i nocy nie patrząc, nazad pospieszyli do Krakowa.

Trzeba było księcia Bolesława uprzedzić, pozyskać od niego zatwierdzenie tego co się stało, a nie łatwa to rzecz była... Łotrostwa Biskupa nie odejmowały mu jego charakteru, porwanie się na duchownego, na pasterza, groźnem było zawsze dla tych, co się ważyli na nie.

Lecz nim z Sieradzia dobili się do Krakowa, już z Kunowa ludzie niektórzy do dworu Pawła należący, Bieta, czeladź, przynieśli tu wiadomość o porwaniu. Dostała się ona wnet na Wawel do księcia.

Gdy kapelan doniósł mu o tem, Bolesław zbladł i zmięszał się — zaniemiał.

— Nie może to być! — zawołał głosem wzruszonym.

Połowicznego owego zezwolenia swojego żałował już, uląkł się następstw. Niespokojny pobiegł z wieścią tą do księżnej Kingi.

Z zamku na miasto posyłano ciągle dowiadywać się, ażali prawdą było, co rozpowiadano.

Gdy Żegota potem nadjechał i przyszedł do księcia, zastał go strwożonym, a prawie gniewnym.

Nim miał czas usta otworzyć, zagadnął go Bolesław.

— Prawda to? Coście wy uczynili! Na Boga! Na coście się ważyli! Na mnie spadnie kara za zuchwalstwo wasze! Jam tego nie chciał, nie przyzwalałem, nie kazałem!

— W. Miłość rzekliście, iż nie rozkazujecie, ale nie bronicie. Czas było tego łotra, który bezkarnie broił, nauczyć, że nie wszystko mu płazem uchodzić może.

— Pasterz! Biskup! — wołał Bolesław. — Pójdą na mnie skargi do Rzymu — interdikt rzuca. My pozbawieni będziemy kościoła, mszy, modlitwy!

Załamął ręce.

Żegota uspokoić się go starał.

— Ten, ktoby się za tego jawno grzesznika ujął, — rzekł — uznał by się współnikiem jego. Są przecie sprawy jego oczywiste, na które wszyscy patrzyli!

— Ale on za nie przed Bogiem i Najwyższym Pasterzem jest odpowiedzialny, nie przed wami — zawołał książę przerażony ciągle. — Gdzież on jest? coście z nim zrobili?

— Oddaliśmy go do Sieradzia, pod straż ks. Leszkowi — rzekł Toporczyk.

Bolesław za głowę się pochwycił.

— Rzekną więc, iż się to stało z naszej naprawy i rozkazania!

Żegota milczał chwilę.

— Wszyscy poczciwi duchowni staną w obronie miłości Waszej — był owcą parszywą między niemi.

Nie pomogło to; Bolesław padł na ławę zboląły wielce, jęcząc i mówić nie chcąc. Toporczyka odprawił ręki skinieniem.

Księżna Kinga równie jak książę trwożyli się najbardziej o to, aby sprawa biskupa nie pozbawiła ich kościoła, nabożeństwa, modlitwy. Klątwa i interdykt, te dla dusz pobożnych dwie najstraszniejsze groźby, równające się potępieniu, wisiały nad niemi.

Zamek przybrał żalobną postać.

Pomiędzy duchowieństwem zdania były podzielone, pochwalali i cieszyli się jedni, drudzy, co stronę ks. Pawła trzymali, poruszyli się natychmiast biedz ze skargą do Gniezna, do Biskupów innych, aby ratowali dostojęństwo...

Kapituła jak była rozerwaną na dwa obozy, pozostała rozbitą. Zwiększyła się tylko o niewiele liczba przeciwników ks. Pawła. Bojaźliwi milczeli, przewidując, iż potępionym być może, a sprawy jego niecne na jaw powychodzą.

Z Wawelu też wyprawiono kapelana do Arcybiskupa z tłumaczeniem, z prośbami, z podarkami dla kościoła.

Po wszystkich ziemiach rozbiegła się ta wieść budząc najsprzeczniesze sądy i zdania.

Obwiniano księcia Bolesława, ale więcej Toporczyków zuchwałych, przepowiadając im los owego Borzywoja, co ks. Pawła Poznańskiego więził w Sremie, a później to śmiercią przypłacić musiał (1236).

Zegota z bratem nietylko, że się czynu swego nie zapierali, ale głosili go, chlubili się nim, odgrążali więcej jeszcze. Po kilku dniach, gdy Bolesław unikać ich zaczął i oziębłość okazywać, dumne panki, ufni w siebie, bo między ziemianami krakowskimi pierwsi stali — ze dworu się usunęli do Tęczyna i Balic.

Przewidywali już, iż na nich wina spadnie i kara, ale to sobie lekceważyli. Do księcia zaś serce stracili i drugim je odejmowali, rozpowiadając o nim, iż słabym był, a panować nie umiał...

Na dworcu biskupim Bieta sama zostawszy z Zonią, to płakała, przyjaciół Pawła zbierać chciała i bodaj wojsko, aby go z więzienia uwolnić, to wymyślała najdziwaczniejsze środki ułatwienia ucieczki...

Głośnie były naówczas i w świeżej pamięci takie z więzów uwolnienia, bo i sam książę Bolesław ratował się uchodząc...

Bieta sama wybierała się przekradać do Biskupa, ludzi przekupywać.. ślać szpiegów na zwiady.

Lecz ani Wit, który do Krakowa powrócił, ani nikt z najlepszych ks. Pawła przyjaciół, nie ofiarował się jej z pomocą. Znano zamek Sieradzki, jako jedną z najmocniejszych warowni i najlepiej strzeżonych, nikt się na nią ważyć nie śmiał.

Werchańcowa była zupełnie obojętną.

— Nie ma się co tak za nim podrywać! — mówiła do Biety — da on sobie rady, zwolnią go! Ty tyle zyskasz, że gdy powróci, albo cię odpędzi, aby ludziom zamknąć gęby, lub sobie innej poszuka...

Tyś mu się już przejadła!

Jedno spojrzenie mniszki starczyło by Zoni zamknąć usta — tak groźnym wzrokiem jej odpowiadała. Piękna jeszcze Bieta miała to zuchwalstwo oczów i mowy, które dają rozpasane życie bez sromu. Wzrok jej mówił, że z nią zerwać nie łatwo będzie. —

Werchańcowa milczeć musiała.

Jakąś skrytą myśl z ręcznie starała się wykonać.. Wpuszczała nieznacznie różnych ludzi do Biety, którzy się jej zalecać chcieli, lecz tych odprawiała mniszka ze wzdrgą i gniewem. Na ostatek domyślając się w tem knowania jakiegoś chytrej baby, poczęła się od niej odwracać. —

Zonia niespokojna usiłowała odzyskać zaufanie napróżno.

Nie wdawała się już z nią w rozmowy, zbywała milczeniem, odprawiała ją jak służę.. Werchańcowa tem więcej się trwożyła, iż przeczuwała, że coś knuła Bieta, kryjąc się przed nią.

Jednego dnia wyjechała ze dworu niby na przejażdżkę, niechcąc jej brać z sobą. Wieczorem nie było jej do późna. Zonia niespokojna pobiegła po komorach jej i strwożyła się bardziej jeszcze, postrzegłszy, że skrzynki od klejnotów stały otworem i próżne.

Nie wróciła na noc, nazajutrz próżno się jej spodziewano. Nie zbiegła z nikim, bo nikogo nie dopuszczała do siebie. Sznurkując i szukając śladów, Zonia dowiedziała się, iż klejnoty były zastawione u żyda w mieście, a z czeladzi kilku znikło razem z mniszką.

Innych tropów nie znalazła wdowa... Zmartwienie miała ztąd wielkie, nie, że się Bieta pozbyła, ale że bez niej radę sobie dać mogła, a domyśleć się było łatwo, iż się o uwolnienie Pawła pokusi. Tem więcej go tem zjednać mogła, co Werchańcowej nie na rękę było.

W istocie myśl oswobodzenia powzięła śmiała i namiętna niewiasta, dobrawszy sobie za pieniądze ludzi, którzy jej w tem dopomagać mieli. Aż do Sieradzia dostała się bez przeszkody. Tu gdy się rozpatrzyła około zamku, po strażach, spróbowawszy przekupstwa daremnie, namęczywszy się przez dni kilka próżnymi zabiegami, musiała w końcu poprzestać na tem, że po mężku przebrana na zamek się dostała.

Nie strzeżono tam Biskupa tak, aby wstęp ludziom do niego był wzbroniony. Wkupiła się Bieta u stróżów, wpuszczono ją...

Jakiego tam doznała przyjęcia, nie mówiła nikomu. Z za drzwi słyszano podniesione głosy, spór i gniewy. Po półgodzinie spędzonej w izbie wyszła Bieta z twarzą zarumienioną, z oczyma złemi, i nazajutrz rano precz z Sieradzia odjechała.

Gdy się na powrót zjawiła w Krakowie, zastała już izby swe zajęte, a wszystko co tam rzuciła w rękach Zoni, która sama się w jej mieszkaniu rozgospodarowała.

Musiała natychmiast iść precz, a waśń powstała krzykliwa i zjadła... Zoni zakazała pokazywać się sobie.

Mniszka ledwie wróciwszy, natychmiast biegać i krzątać się czynnie zaczęła, przyjaciół biskupa zbierając, naradzając się z niemi. Wita słała i rozkazywała mu, jakby moc nad nim miała.

Werchańcowa postrzegłszy to musiała się ukorzyć przed straszną zapaśnicą swą, przebłagać ją i służyć pokornie.

Co miała w sercu, któż wiedział?

VII

Miesiąc upływał już od czasu, gdy Toporczyki Biskupa Pawła porwali.

Mury Sieradzkiego zamku strzegły jeszcze więźnia, ale ten z dniem każdym większej zuchwałości nabierał...

Sprawa jego przeciwników źle stała.

Ks. Paweł w Krakowie i dyecezyi swej, wśród tych, co na życie jego patrzali, miał nieprzyjaciół, ci niewinniali i chwalili Toporczyków i księcia; lecz w innych ziemiach, opodal od stolicy nie bardzo wierzone w to, co o Biskupie rozpowiadano, miano to za potwarze; a porwanie się na duchownego wywoływało oburzenie i zgrozę!

Wszyscy Biskupi stanęli po stronie uwiecznionego, a Janasz Arcybiskup Gnieźnieński z urzędu rzucić musiał interdykt na wszystkie kraj sobie i ks. Bolesławowi podległy.

Nie pomogły niewinnienia i prośby, gdy Bolesław wszystko na Toporczyków zrzucił.

Dnia jednego przed samymi świętami Wielkanocnymi, nagle zamknęły się wszystkie kościoły, ucichły dzwony, duchowieństwo po domach się zamknęło, a kapelanowie księcia i księżnej oznajmili z przestachem i łzami, że nawet cichej mszy w kaplicy czytać im nie będzie wolno. —

Kinga, rażona tą straszną groźbą jak piorunem, padła płacząc na ziemię.

Interdykt taki na kraj cały rzucony, był w istocie rzeczą straszną. Kościół się cofał od ludu, ani w godzinie śmierci, ani przy narodzinach, ani u ślubu, nie chcąc pośredniczyć pomiędzy człowiekiem a Bogiem.

Umierający konali bez rozgrzeszenia, grzebano ich bez modlitw, na pustkowiach, bo kościół zamykał poświęconą ziemię cmentarną.

Nie chrzczono dzieci, nie wiązano ślubów, nie dopuszczano do świątyń. Stały zaparte.

W czasach tak gorącej wiary i pobożności, interdykt był karą niewysłowienie surową, najsrozsza, którą jakąkolwiek bądź ofiarą trzeba się było starać zdjąć z ramion.

Wprawdzie trafiało się niekiedy, iż powolniejsi kapłani, przy drzwiach zamkniętych, dla małego gronka, potajemnie msze odprawiali, ale takich ściagały ostre kary kościelne. Bolesław na pierwszą wieść o interdykcie, zawołał błagając o zgodę.

Chociaż o tem w Sieradziu nie mówiono Biskupowi Pawłowi, gdy dnia jednego nie usłyszał dzwonów kościelnych, zrozumiał łatwo, że się za nim ujęto.

Był pewnym, iż się tak stać musi. —

Więzię przybrał postawę zwycięzcy. Tęgoż dnia ochmistrzowi Leszka, który się z nim dobrze obchodził — rzekł dumnie.

— Hej! hej! niedługo wy tu pono zamkniętego mnie strzedz będziecie. Widzi mi się, sen miałem taki, iż wy prosić będziecie mnie, abym was puścił — i zapłacicie mi za to, abym ztąd szedł...

Ale pomnij to sobie, Wiruto, że choćbym zgodę zrobił, zemsty się dla niej nie wyrzeknę. Popamiętacie wy Biskupa Pawła, — nie ty coś sługą, ale pan twój i krakowskie książątko. Tym ja nie przebaczę!

Miesiąc więzienia, gdyż tyle ono już trwało, odosobnienie od ludzi, zmiana życia, zostawienie samemu sobie, wpłynęły nieco na zuchwałego człowieka. Spoważniał, stał się surowszym, mniej dbającym o rozkosze i wygody.

Dawano mu jadła i napoju podostatkiem, wiedząc że je lubił, często jednego i drugiego nie tykał prawie. Postarzał więcej przez te cztery niedziele, niż w ciągu lat kilku poprzednich.

Często dniami całymi dumal w oknie swem siedząc i patrząc na łęgi nad Wartą, sparty na rękach. —

Z dawnej buty nic nie stracił, przybyło mu jej może jeszcze, lecz gniewy i wybuchy poskramiał i tłumił.

Ów gwałt popełniony na nim, upokorzenie jakiego doświadczył, duszę mu ścisnęły, nauczyły obmyślać lepiej środki do dopięcia swych celów.

Był już pewien rychłego oswobodzenia swego, gdy dnia jednego oznajmiono mu o przybyciu dwóch księży z Krakowa. Uśmiechnął się zwycięzko.

Byli to proboszcz Dzierżykraj, którego Biskup nie lubił, bo ten do zamkowych ulubieńców należał i Walter kanonik krakowski, druh Pawła i ks. Szczepana.

Ks. Dzierżykraj, jak Biskup, pochodził ze starej rodziny ziemian krakowskich. Moźniejsze domy naówczas już synów swych przeznaczały chętnie do stanu duchownego, który prowadził do władzy, i dawał znaczenie u dworu, rycerskiemu równe lub większe jeszcze. Biskupi nieustępowali książętom kroku, kościół stanowił prawdziwy *status in statu*, (państwo w państwie), a nawet był to *status supra statum*, (państwo nad państwem) — górujące nad wszelkie świeckie władze, stojące na straży praw Bożych, wyższych nad państwa prawa.

Szli więc ziemianie majątni na kapłanów, w nadziei pozyskania tych stanowisk, które w początkach cudzoziemcy otrzymywali...

Teraz dobijali się o nie krajowcy.

Tam, gdzie jak u rodziców Dzierżykraj, dzieci było wiele, a majątność podzielona między nie, musiały się uszczuplać — oblekano zawczasu chłopca w sukienkę duchowną, dawano mu chleb kościelny.

Ów młody Dzierżykraj, którego posyłano na naukę do Bononji i Paryża, wrócił cudzoziemczy, śmiały, pewien siebie i doma przodował duchowieństwu znajomością praw i obyczajów powszechnego katolickiego kościoła.

Stosunki w Rzymie zawiązane, utrzymywane po powrocie do kraju, czyniły go silnym, niezależnym, wielu potrzebnym.

Książę Bolesław trzymał go przy sobie, a choć jeszcze nie mianował Kanclerzem, przepowiadano mu pieczęć w przyszłości. Był to człowiek zręczny, umięjący się z ludźmi obchodzić, wychowaniem cudzoziemskim i doświadczeniem czujący się wyższym nad to duchowieństwo, które dalej po za granice domowe nie wyjrzało.

Postać była piękna, strój staranny, wejrzenie bystre, człowiek przebiegły, umięjący się zastosować do ludzi i chwili, słowem, stworzony do układów w zawilej sprawie.

Kanonik Walter, niemiec, pobytem długim w Polsce, już z językiem jej obyty, ale mówiący polszczyzną łamaną z konieczności, bo przed laty kilkudziesięciu wydane przez Arcybiskupa Gnieźnieńskiego przepisy, wymagały znajomości języka krajowego od duchownych — niepoczesny, chytry, pokorny, sługa powolny Biskupa, obok Dzierżykraj, wydawał się bardzo małym i lichym, ale w przebiegłości mu nie ustępował, a przewrotno-

ścią go przechodził... Zyskano go datkiem, na który był chciwy do układów z ks. Pawłem; — przyrzekał starać się o załagodzenie go i wyjednanie warunków przystępnych.

Jak w Dzierżykraju z pod sukni duchownej wychodził ziemianin, który nie zatarł w sobie charakteru niezależności, jaką mu dawał ród i zamożność, tak w ks. Walterze łatwo było poznać niemieckie dziecko mieszczańskie, ubrane w sutannę dla dorobku, chciwe małego zysku, do uległości gotowe, trwożliwe, a jak wszyscy co się małemi czują — złe i zawistne w duszy.

Gdy o nich Biskupowi oznajmiono, niepotrzebował zgadywać z czem przybyli, uśmiechnął się, czoło wypogodził, chciał na wstępie okazać, że więzienie go nie przybiło, że nie był niem ani upokorzony ni przelękły.

Wchodzących do sklepionej izdebki narożnej, w której siadywał, przyjął niemal wesoło.

Dzierżykraja, dawniej wstrętliwego mu, niepowitał grzeczniej niż zwykle, do Waltera się zwracając.

— A! stary! przecieżs sobie wyrobił pozwolenie mnie odwiedzić? Patrzajże co to Panowie z biskupami robią! Miesiąc już siedzę w tych murach na rekolekcjach, trąbki myśliwskiej ani dzwona kościelnego nie słysząc.

— Skończy się rychło ta niewola, — zabrał głos Dzierżykraj, uprzedzając Waltera. — Co się stało, zaszło bez wiedzy i woli księcia, który tego żałuje.

— Ho! ho! bez wiedzy! — podchwycił Biskup. — Mówcie to komu chcecie... a nie mnie. Trzymałżeby mnie bez rozkazu stryja Leszek?

Dzierżykraj zamilkł nieco, a Walter zacierając ręce, niepewien co ma mówić, zająknął się.

— Co się stało! jak się stało! — rzekł — niema o czem rozprawiać, lepiej, żeby się to skończyło, a co rychlej. Trzeba pojednania i zgody.

— Zapewne! — rozśmiał się Biskup. — Chcielibyście abym ja niepamiętny krzywdy jaka mi się stała, guzów, które mi nabili, wioząc mnie jak bydle związanego ci zbójce... puszczając w zapomnienie krzywdę kościoła i dostojeństwa, wyszedł sobie ztąd, pokłonił się i powrócił na dwór milcząc.

— Mylicie się, na Boga, nie znacie mnie — krzyknął głos podnosząc i porywając się z siedzenia — nie znacie mnie. Ziemianin jestem, rodzic tuteczny, ksiądz, Biskup, sługa Boży, nie żaden ksiązący... nie przebaczę sponiewierania! Nie... pomstę za nie mieć muszę.

— Na kimże jej szukać chcecie? — odparł spokojnie Dzierżykraj.

— Na wszystkich winnych! — zawołał Biskup. — Na Toporczykach, na Bolesławie, na Leszku! nie przebaczę nikomu...

Walter pokornie zbliżył się doń z uniżonością i począł go w rękę i suknię całować.

— Ojczy kochany! ojczy kochany! bez gniewu... zmiłujcie się...

— Jako, bez gniewu? — przerwał Paweł. — Toć gniew święty. Ujmuję się nie za siebie, ale za wszystkich sług Bożych.

Tak namiętnie rozpoczęta rozmowa, do niczego doprowadzić nie mogła. Dzierżykraj ustąpił nieco nie tracąc powagi ani spokoju, zwrócił się ku oknu, zaczął niem wyglądać, jakby rozmowy prowadzić nie chciał, czekając aż się Biskup wyburzy.

Z tej chwili skorzystał Walter i tajemnie po cichu, coś zaczął szeptać Pawłowi, który słuchał z uwagą, ale na Dzierżykraja patrzył nie spuszczać go z oka.

Szeptanie to krótko trwało — a Biskup nie dał poznać po sobie by na nim najmniejsze uczyniło wrażenie.

Walter, ażeby się nie podać w podejrzenie, iż z Biskupem chciał się na swą rękę porozumieć — szybko ustąpił kroków parę.

Milczenie trwało dobrą chwilę...

Dzierżykraj spoglądał obojętnie to po izbie, to za okno, na ostatek, gdy cisza ta, kłopotliwa dla wszystkich nie ustawała, a ks. Paweł ostygł nieco — przybliżył się doń i rzekł łagodnie.

— Przynosimy Miłości Waszej słowa pokoju i zgody. Nie odpychajcie ich. Należy wam zadość uczynienie, nikt nie przeczy.

Mówmy o niem. Książę Bolesław chociaż się winnym nie czuje, bo jego usposobienie źle wytłumaczono, nadużyto słowa niezrozumianego. — Książę pomimo to, gotów jest ponieść karę.

— Karę? jaką ja mu naznaczę? — zapytał Paweł dumnie.

— Nie, ale na jaką wy się zgodzicie, gdy umowa stanie — rzekł Dzierżykraj.

— Naprzykład? — krzyknął Paweł unosząc się. — Musi mnie przebłagać publicznie! Dzierżykraj głową potrząsnął.

— To być nie może, — odparł, — on nie przewinił, a dostojęństwo jego nie pozwala na to.

— Jakto? Alboż możniejsi stokroć od niego Cesarze głowy nie uginali przed Biskupami? a takie małe książątko nie mogłoby klęknąć przedemną, Pasterzem swoim?

Dzierżykraj zawrócił się znowu ku oknu — zmilczał. Walter spuścił głowę, nie życząc sobie się mięszać w rozprawę.

Biskup ciągnął dalej.

— Powtóre, żądać będę przykładowego ukarania dwu zbójców, ukarania więzieniem ciężkiem, zabranieniem dóbr, oddaleniem ich ode dworu. — Nie mogę z nimi spotykać się więcej, nie powinno ich oglądać oko moje. Nigdy! Śmierci mam prawo wymagać na gwałtowników; niech Bogu dziękują, gdy im życie daruję.

Nie było odpowiedzi, Biskup mówił dalej coraz głos podnosząc.

— Rozgrabili mienie moje, chwycili klejnoty i szaty, strat mam na kilkaset grzywien srebra lub więcej.. kościołowi należy za pokutę ofiara...

— Za tem, gdy się już pokuta okupi, — rzekł Dzierżykraj — drugiej wymagać się nie godzi. Prawo niezna, jak jedną karę za winę. Dwa razy nie kaźnią nikogo.

— Wiem żeście w prawie biegli i niedarmo lat parę strawiliście w Bononji — przerwał Biskup, — ale ja moje prawo mam zapisane, tu, w piersi, nie znam innego nad nie. Obrażony, skrzywdzony, nie wyjdę ztąd inaczej, jak pomszczonym.

Walter, którego krzyk Biskupa onieśmielał, począł bełkotać.

— Co się tknie Toporczyków, głównych sprawców, nad niemi sprawiedliwość być musi — to nie podlega wątpliwości.

— Niech gardła dadzą! — zawołał Biskup zapominając, że żądał tylko więzienia.

— Lecz wy sami byliście dla nich miłsierniejszemi przed chwilą — odezwał się Dzierżykraj. — Życia im nie weźmiecie.

Biskup nieco dotknięty, spojrział na mówiącego ostro i rzucił się na swe siedzenie. Tuż stał dzban i kubek, wypił cały i rzekł do Dzierżykraj.

— Myśliwi jesteście!

— Nie — odparł zimno spytany.

— Polujecie na prawne wykręty po księgach i dekretaljach — dodał Biskup.

— Do tegom się sposobił — odpowiedział kanonik spokojnie.

Spojrzeli sobie w oczy. Chłodna krew tego wychowańca Włoch, trochę nad Pawłem wzięła przewagę.

Czuł, że miał przeciwko sobie nie lada zapaśnika, który go spokojem i panowaniem nad sobą przechodził.

— Cóż tedy będzie? — przerwał Biskup milczenie dosyć niezręcznie, bo był zniecierpliwiony. Przybyliście się ze mną targować o uwolnienie moje. Kraj pod interdyktem jest i pozostanie, póki nie nastąpi zgoda. Nie przyjmiecie warunków moich, to książę i księżna spowiedzi wielkanocnej, ani rozgrzeszenia mieć nie będą. Musicie zgodzić się na to, co ja chcę — inaczej — nic!

Książę mnie przebłaga publicznie, z powrozem na szyi..

— To wcale nie może być — rzekł zimno Dzierżykraj — nie może.

— A cóż będzie? — zawołał Biskup.

— Ha! — odparł wdychając kanonik — jeśli się zgoda niemożliwą okaże, a interdykt trwać będzie, książę i księżna na czas do Węgier wyjadą. Sprawa pójdzie do stolicy apostolskiej na rozstrzygnięcie.

— I wy na nią adwokatować pojedziecie? — wtrącił Paweł.

— Ja, albo kto inny — rzekł chłodno Dzierżykraj. — W. Miłość pozostaniecie tu aż do jej rozwiązania.

Paweł zerwał się z siedzenia.

— Dobrze! — rzekł — ja nie ustępuję nic — Nic! książe musi mnie na klęczkach publicznie przebłagać, zwolnię go tylko może z powroza na szyi. Toporczyki pod topór! Tysiąc grzywien kary i dla kościoła ziemi nadanie.

Rozśmiał się dumnie, gniewnie. —

— To moje słowo ostatnie!

Spojrzał nań kanonik i czekał trochę.

— Od tego nie ustąpię — powtórzył Biskup.

Dzierżykraj skłonił się w milczeniu, jakby się do wyjścia zabierał. Wieczór był późny.

Ksiądz Walter widząc go już ku drzwiom zmierzającego zawahał się, co miał począć, wyniść z nim, czy pozostać. Biskup dawał mu znaki, żeby się wstrzymał, Walter z widoczną obawą stał, patrząc na Dzierżykraj, który nie broniąc mu poufnej rozmowy, wyszedł natychmiast.

Gniewnie powiódł za nim oczyma Biskup, i ręką na drzwi wskazując, zawołał.

— Dobrze wybrali posła! Ptak to, co wie jak komu śpiewać! — Lecz, ja się znam na ludziach i głosach.. Chce mu się kanclerstwa! zasługuje się panu!

Padł na siedzenie.

Ks. Walter teraz dopiero oswobodzony od gwałtu, jaki sobie zadawał, pospieszył do ks. Pawła z czułością wielką, łasząc mu się, całując go po rękach, załamując dłonie — wykrzykując.

— Bezbożnicy! lotry! co oni z moim uczynili Pasterzem! Na krwawe mi się łzy zbiera...

Boże miłosierny! Że w nich pioruny nie biły, gdy się targnęli na pomazańca Twojego! Dzięki niebu, że życie ocalone.. a i zdrowie. — —

Paweł przerwał gwałtownie.

— Nie lamentuj! Dostyc, żem się wylizał — alem ja twardy, nie łatwo mnie zgryźć. Z innego byliby duszę wygnali! Gdybyś widział jakim oni mnie tu przywieźli! Sznury mi się w ciało powjadały.. krew ciekła...

Walter zakrył sobie oczy jęcząc.

— Boże miłosierny!

— A jabym im to miał przebaczyć? Nigdy! — Nigdy! Nawet jeśli będę zmuszonym stłumić w sobie gniew, zrobić wrzekomą zgodę, dać się niby ubłagać!...

Nigdy! Dopókim żyw ścigać będę tego niedoleźnego Bolesława i służkę jego Leszka! Wyżenę tych niemców precz! wyżenę!

Bił się w piersi, a Walter go po rękach całował uśmierając rozjątrzenie.

— Rzekliście! — przerwał cicho — święte słowo. Zrobicie zgodę pozorną, potem postąpiacie jak zechcecie... Dajcie się przebłagać, aby się ztąd wydobyć, odzyskać swobodę.. Będziecie silniejsi! Tak! tak!

Błagał go chwytając za ręce, które mu Paweł wyrывał.

— Zgodę — zawołał — mówiłem pod jakimi zawarę warunkami. —

Macie wóz i przewóz...

— Na to oni nie przystaną — szepnął Walter trzęsąc głową.

— Cóż oni dać myślą? — odezwał się nagle ostygając Paweł.

Kanonik ruszył ramionami.

— Mnie oni się nie zwierzyli całkiem — począł mrużyć — ja tego tak dobrze nie-wiem. Dobyłem tylko z rozmowy z nim (pokazał na drzwi) książe nie przebłaga, bo się do winy nie zna, Toporczyków ukarze, ale nie na gardle... Kilkaset grzywien, kawał ziemi dadzą!

Paweł odwrócił się ze wzgardą.

Widać było, że walczył z sobą. W istocie swobody mu się chciało dusznie. Dla człowieka, co nigdy w miejscu długo wytrwać nie mógł, siedzieć z apartemu wśród ścian czterech niedziel kilka, łowów nie zakosztować, wesołych uczt, śmiechu, swobody — równało się prawie śmierci. Na samą myśl otwarcia tych drzwi okutych, zdjęcia straży, serce mu biło... Niecierpliwła go zwłoka, gdy czuł możliwość oswobodzenia się.

Lękał się aby w tem Dzierżykraj go nie odgadł i nie korzystał z usposobienia... Burzyło go to i jątrzyło.

Z pół godziny jeszcze na rozmowie Walter z nim pozostał, ale nie pozyskał wiele. Opowiadać musiał o tem co się działo w Krakowie, kto i jak przyjął wiadomość o uwięzieniu jego, okazał się przyjaznym lub wrogiem, obrońcą lub przeciwnikiem... Biskup rozpytywał o najdrobniejsze szczegóły.

Przeciągnęło się to tak, iż Walter w ostatku, bojąc się podejrzeń towarzysza, wybiegł pospiesznie. Bawił i tak za długo.

Obu posłów przyjmował książę Leszek, lecz niezbyt wielką, do całej sprawy wiążącą wagę. Nie tań, że rad był pozbyć się więźnia, — choć spełnił Bolesława rozkazy.

Dzierżykraj zachował się wstrzemięźliwie, małowólnie nie dając się wybadać ani księciu ni Walterowi. Kanonik napróżno usiłował czytać w jego twarzy — nie mógł odgadnąć co myślał.

Dawał do zrozumienia, iż z Biskupem już nie spodziewał się przyjść do zgody.

Nazajutrz rano wchodzący sługa dał znać ks. Pawłowi, iż krakowscy książę z powrotem się już wybierają. Zzymnął się mocno. Siedział właśnie u rannego stołu, i nieopatrznie cisnął ze złości nożem o podłogę.

Wkrótce potem zjawił się Dzierżykraj spokojny, chłodny, obojętnością swą człowieka takiego jak Biskup, mogący przyprowadzić do rozpacz.

— Przychodzę W. Miłość pożegnać — odezwał się. — Bardzo mi boleśnie, że dobre moje chęci spelzły na niczem.

Ks. Paweł wrzący, mówić mu nie dał.

— Słuchaj ty! Mistrzu i doktorze praw, — zawołał. — Nie graj ze mną w żadną grę, bom ja nie kosteram, nie gram, rąbię! Cierpliwości Bóg mi nie dał. Jestem tu więźniem, duszę się, chcę ztąd precz! Mów co mi Bolesław daje!

— Ojczy mój — odpowiedział ze spokojnym smutkiem Dzierżykraj. Warunki wczoraj przez was nam dane są takie, że ja obok nich, tego co z sobą przywiozłem, na stół położyć nie śmiem.

— Mów! mów! Posłem jesteś! przecie nie uczynię ci nic — zawołał rzucając się ks. Paweł. — Mów!

Kanonik podniósł głowę.

— Książę Bolko ofiaruje Wam ukaranie ostrem więzieniem Toporczyków, z którymi wspólności się zapiera. Dwieście grzywien srebra i nadanie Dzierżąnej.

Biskup, który czerwieniąc się słuchał, wybuchnął w końcu.

— Nigdy w świecie się na to nie zgodzę! Jedźcie precz! jedźcie precz! Wolę więzienie!

Usłyszawszy to Dzierżykraj, skłonił się nisko. Walter stojący za nim ręce ścisnął, łamał, tak, że palce trzaskały, pot mu się lał z czoła, cierpiał srodze...

— Ojczy! — szepnął błagająco spoglądając nań — ojczy!

— Idźcie! jedźcie! Oba Judasze! kusiecie przekłęci! Nic z tego!

Dzierżykraj wyszedł nie czekając, Walter pozostał. Biskup w gniewie i na niego już patrzeć ani mówić z nim nie chciał. Oddalił się do progu zwolna Walter, czekając przywołania. Paweł dał mu znak, żeby szedł.

Lecz zaledwie drzwi się za niemi zamknęły, gdy Biskup sam pozostał, ogarnęła go złość taka, że włosy na głowie i szaty począł targać na sobie.

Swoboda! zemsta! więzienie! przesuwają mu się przed oczyma. Żrenice krwią nabiegłe wlepił w podłogę, stał osłupiały.

— Dla zemsty! dla zemsty na wszystko przystać muszę! — rzekł w duchu. — Poznają mnie! Nieznają mnie!

Zbliżył się ku drzwiom, za którymi stały straż.

— Posłów krakowskich przywołajcie! — rzekł stłumionym głosem.

W podwórzu widać było ich konie, oni sami poszli się z Leszkiem żegnać, który nudził się odwiedzinami, a gniewny był, że mu więźnia zostawiano.

Z posłuchania od księcia odwołano ich. Dzierżykraj nie dał poznać po sobie, iż rad był, że mu się zwiastowało zwycięstwo. — Wyszedł powoli. Walter biegł z oczyma wesołemi, nadzieją mu się uśmiechała.

Pawła zastali w pośrodku izby, rękami ujętego w boki z miną dumną i rozsierdzoną.

— Chcę być swobodnym, — zawołał — nie taję tego! Mówcie raz jeszcze, jakie mi zadość uczynienie dać możecie... Mówcie!

— Mam powtórzyć słowa moje? — zapytał Dzierżykraj.
— Nie dasz mi więcej nic?
— Daję to co niosę, ofiaruję co mi powierzono — rzekł kanonik. — Z siebie, choćbym rad, nie mogę nic. Nie przystaloby mi też z pasterzem się targować.
— A Pasterz za gardło zduszony, musi zdać się na waszą łaskę lub niełaskę, i przyjmując co mu dacie! i dziękować!
Rzucił się gniewny.
— Znacie mnie, — zaczął zbliżając się do Dzierżykraj — przynajmniej tyle, iż wieciec powinniście: gdy na dnie serca mego kwas zostanie, wyrośnie w tej dzieży dla was niezdrowe ciasto!
Zmuszony do zgody, przyjmę ją ale — —
— To rzecz sumienia Waszego — przerwał kanonik.
Paweł złośliwie się uśmiechnął.
— Powtórzcież warunki — rzekł.
Poseł patrząc na niego, zaczął je wyliczać powoli.
— Nóż mam na gardle — krzyknął Biskup. — Słyszycie! Spisujcie tę zgodę niecną.. przyjmując!
Walter poskoczył i z serdecznością wielką po rękach go zaczął całować — chociaż Biskup go odpychał
Dzierżykraj dobył pergamin przygotowany wcześniej i położył go przed Biskupem.
Milcząc godził się teraz na wszystko, chociaż widać było, że się burzył, że dla niego nie zgodą ale wyjściem z więzienia miała być ta umowa.
— Natychmiast rozkażcie, aby konie i ludzie byli dla mnie gotowi, — zawołał niecierpliwie — niechcę tu pozostać ani godziny z dobrej woli.
Głosem ogromnym krzyknął na strażę, które się we drzwiach zjawily, aby znać dano Leszkowi, iż zgoda została zawarta. Pożądana to była dlań nowina i książę sam zjawił się natychmiast.
Chociaż obchodzenie się jego z Biskupem było bardzo łagodne i pełne względów, ks. Paweł nie mniej go nienawidził. Nie przebaczył mu, iż zgodził się być stróżem jego niewoli.
Przyjął go z dumą i lekceważeniem.
— Będziemy nareście oba wolni od siebie — rzekł, — bo wy mną, miły panie, równieście byli utrapieni, jak ja wami. Rozkażcie mi nazad do Kunowa mego wozy i ludzi dać... Spocznię tam nim do Krakowa powrócę.
Leszek rzekł coś o odpoczynku w Sieradziu.
— Odpoczywałem tu już dosyć! — rzekł szydersko Paweł. — Będzie mi on pamiętnym.
Rozstali się kwaśno. Biskup nie przestał naglić o konie do Kunowa, chciał jechać bodaj samotrzeć, byle mu je dano.
Skończywszy o warunki z Dzierżykrajem, nie wiele nań zważał, Walter nie mógł go zabawić i ująć sobie. Zajęty był cały sobą, planami przyszłości, zemstą, swobodą, której użyć pilno mu było...
Posłowie krakowscy jeszcze się w podróż wybierali, gdy Biskup do stołu na nowo zastawionego nie chcąc siąść, nie żegnając Leszka, gdy mu znać dano, iż są ludzie i konie, wypadł z baszty narożnej, przy której nie było już straży, nie jak duchowny, ale jak wojak znękany niewolą, spiesząc do osiodlanego wierzchowca.
Okiem znawcy opatrzył go, bo oszczędzać nie myślał szło mu tylko, aby doniósł do Kunowa, choćby tam padł we wrotach. Dosiadł go z siłą młodzieńczą, ściągnął i ruszył z zamku wyciągniętym klusem nie spojrzawszy za siebie. Ci, których mu dano za towarzyszków, ledwie za nim mogli podążyć.
Patrzący nań, gdy wyjeżdżał za wrota, odgadnąć mogli, z jakim uczuciem się ztąd wyrывał.
Odzyskana swoboda była groźbą, którą Leszek zrozumiał, ale wołał go mieć nieprzyjacielem zdala, niż więźniem pod swym dachem.
Oddychał wolniej.

Dzierżykraj z Walterem tegoż dnia pospieszyli do Krakowa, gdzie na nich oczekiwano tęsknie, spodziewając się zdjęcia interdyktu przed świętami. Z drogi ks. Walter wysłany był z tem do Gniezna.

VIII

Wrócił ks. Paweł do Krakowa, otwarły się znów kościoły, na zamku odprawiało nabożeństwo błagalne i dziękczynne. W kapliczce swej pobożna Kinga krzyżem leżała radując dzwonom i modlitwie. Wracało jej życie... Łzy płynęły z oczów...

Książę przypłacał wykup swój stratą najwierniejszych przyjaciół...

Sprawa Toporczyków oburzyła nie tylko ich, nie samą mnogą i potężną rodzinę — ale wszystkich ziemian krakowskich.

Z rozkazu księcia pochwycono ich obu, bo byli skazani na ciężkie w zamku więzienie. Działo się to w obec powinowatych i przyjaciół. Żegota krwi gorącej, niepomiarowanej mowy, krzyknął głośno:

— Dobrze nam tak, żeśmy ufali w księżęcą miłość i wiarę! Dobrze nam tak! lecz podlibyśmy musieli być, gdybyśmy po tym sromie i pokrzywdzeniu zostali tu dłużej.

Ziemie nasze sprzedamy, obrząśniemy pył ze stóp naszych — pójdziemy ztąd precz... Jest innych ziem dosyć. Stoi nam Ślązko otworem, pójdziemy na Mazury, bodaj na Pomorze, byle tu nie żyć! Lepiej do Czech w gościnę, do Węgier na wygnanie — a tu nam nie być, nie żyć!

Przyniesiono o tem wiadomość Bolesławowi, który się strwożył i zabołał. Słał do uwięzionych Dzierżykraj z dobrym słowem — ale go słuchać nie chcieli.

— Łaski księcia nie żądamy więcej — rzekł Żegota — za służbę mu dziękujemy... Tu dla nas już gniazda niema, słać je trzeba gdzieindziej. Miły księciu Biskup, niech z nim żyje!

Ks. Paweł zaś połowiczną zemstą nad Toporczykami zaspokojony nie był. Pojechał na zamek nie dziękować, tylko się odgrażać i szydzić. Przez czas bytności swej, warczał ciągle, miotał się a Bolesław słuchać go musiał w pokornem milczeniu. Ani grzywny, ani nadanie nie nasyciły go, pluł wzgardliwie na to co mu dano — i za oczyma głośnemi miotał groźbami.

Dworzec biskupi pełen się znalazł na powitanie go, spieszyli druhowie z językiem, z żalami, z oskarżeniami. Kanonicy przyjaciele, śpiewali tryumfu pieśni. U drzwi znalazł się i Wit z porąbaną twarzą.

Pierwszy wieczór, jakby na okazanie, iż życia zmieniać nie myśli, spędził Biskup u Biety.

Spotkanie z nią inne było niż się spodziewała. Serdeczne niby a zimne. Ks. Paweł ją poczytywał za główną prześladowania przyczynę — w myśli już miał pozbycie się jej.

Bieta spotkała go z namiętnością wielką i odepchnięta chłodem — cofnęła się obrażona, dumna.

Część wieczora spłynęła na przekąsach wzajemnych. Zemstą palające serce Pawła, nie miało miejsca na inne uczucie. Niewiasta ta stawiała mu się ciężarem...

Lice też jej, piękne jeszcze straciło już w tem życiu burzliwem pierwszą swą świeżość dziewczęcą. Namiętność napiętnowała je szponami swemi. Oczy gorzały zapadłe, uśmiechała się na ustach resztką młodości, ale czoło marszczkami zorało. Schudła, wyschła, piękną była lecz straszną i groźną jak zrozpaczona jakaś Medea; jak mytologiczne bóstwo tchnące ogniem i płomieniami, zdolne śmierć przynieść w uścisku.

Gdy późno już Biskup do siebie powracał, zastąpiła mu drogę Werchańcowa. Czatowała nań — stawiała się z ubolewaniem, z jękiem stara a serdeczna sługa.

Z twarzy, jaką wyniósł od Biety, przeczuwała, iż się tam coś stało, lub stanie — i radowała się temu... Zagadnięty o nią, Paweł rzekł nie tając:

— Dosyć już mam tej mniszki! Prędeż, później, pozbyć się jej potrzeba. Nie teraz, aby nie myśleli ludzie, że się boję ich języków.

Nie boję się nikogo, ale mnie męczy ta złośnica. Co z nią uczynić?

— A! a! — poczęła Zonia przybliżając i zalecając mu się. — Dawnom to ja mówiła, że się jej czas zbyć. Zła, zazdrosna, dumna! Mieliście już jej dosyć.

— Co z nią począć? — powtórzył Biskup.

Zonia potrząsała głową.

— Nie moja to rzecz radzić! nie moja! — szeptała. — Odesłać by do klasztoru, ale czy ją tam przyjmą?

— Wydać ją za kogo? — poddał Paweł.

— Ona! ale! nie pójdzie i za pana! — zawołała Werchańcowa — nie.. nie...

Rozmowa przerywana, skończyła się tem, iż Paweł powtórzył:

— Mieć jej tu nie chcę! Zła jest i zestarzała. Nie pociechę mam z niej a zgryzotę i utrapienie. Dość mnie namęczyła!

Przez dni kilka potem Biskup nie chodził do dworku i Biety puszczać do siebie nie kazał.

Zajęty był też dniem i nocą, bo się doń znowu cisnęli ludzie.

Na wsze strony rozsyłał posłów jawnie i tajemnie, wielkie się jakieś przygotowania czyniły.

Narady kończyły się często nadedniem, poczynały na zaraniu... Łatwo przewidzieć było, że mściwy człek, gotował odwet jakiś groźny.

Bieta chodziła rozgorączkowana, zrozpaczona, splakana, gdy wieczorem jednego z tych dni wsunęła się Zonia.

— A co! gołąbko moja! — szepnęła cicho. — Powrócił pan nasz, ale co się z nim dzieje? Jaki zmieniony! Nie poznać człowieka! Innym się stał.. Mówić już z nim nie można. Gdy się rozsierzdi jak teraz, niewieście mu żadnej, ani na oczy!

Próżno zagadując różnie, Werchańcowa próbowała wyciągnąć ją na odpowiedź — patrzyła na nią nierozumiejąc, wdumana w siebie.

— Czym to ja nie przepowiadała — ciągnęła wdowa. — On do was już serce stracił... Zbierało się na to dawno. Broń Boże — by was jeszcze w złą godzinę w klasztorze zamurować nie kazał.

Biskup! — zakonnice słuchać go muszą! Tyleś świata widziała. Serca nie ma ten człowiek!

Rozplakała się Bieta, odpychając złowrogą prorokinię, aż nakoniec złamana, zawołała do niej o radę.

— Na co masz czekać złego końca! — odparła Zonia. — W świat idź, uciekaj póki czas! Znajdzie się nie jeden, co cię weźmie. — Potem mścić się będziesz mogła i nie dać mu spokoju! Niech pokutuje!

Z twarzy Werchańcowej tryskało takie zemsty pragnienie, taka złość niekłamana, iż Bieta się nią przejęła.

— Nie mam nikogo! Gdzież się podzieję — wołała.

Na to tylko zdawała się czekać Zonia, zbliżyła się okazując czułość i troskliwość wielką, cicho rozpoczęto narady.

Werchańcowa miała pono plan oddawna osnuty. Bieta była sierotą, ona znalazła jej przyrodniego brata, prawdziwego, czy kłamanego — o tem ona tylko wiedziała, ale w łaskach na zamku i jednego z pułkowników u Bolesława. — O tym mniemanym bracie wspominała już jej nieraz, jego też przygotowując, aby siostrę, jeśli by opieki potrzebowała, wziął do siebie. Tłumaczyła mu i wmawiała na różny sposób, że ratować nieszczęśliwą był obowiązany.

Człek ten wybrany przez Zonię, zwał się Krzyżan, ni młody był, ni stary, w zbroi cały dzień siedzieć nawykły i ciurów pilnować, z niewiastami mało obeznany, tyle tylko, że mu się one w weselszych życia chwilach przed oczyma przesuwały...

Chwaliła mu Zonia bardzo tę siostrę przyrodnią, a starała się w nim litość obudzić, nim mu ją ukazała.

Krzyżan siwiejący już, ale krzepki jeszcze, choć przyjmował ją za siostrę, bo mu to wmówiła wdowa, wolałby był mieć ją zupełnie obcą, lub dalszą powinowatą. Nie był od tego, aby ją na zamek wziąć. Zdala widziana podobała mu się bardzo.

Bieta zrazu go znać nie chciała.

Brat czy nie, wydał się jej gburem i zbyt prostym człkiem. Pierwsze zawiązki przyjaźni się nie powiodły. Krzyżan nadto poufale się do niej zbliżał, ona zbyt go chciała trzymać zdala.

Jednakże — był to jedyny człowiek na świecie, co się do niej przyznawał, który jakimś węzłem był z nią połączony i wiązał Bietę ze światem.

Werchańcowa na stronie starała się chłód Biety wytłumaczyć, ręcząc, że ona kochać go będzie jak brata — i — dodawała z uśmiechem chytrym — może więcej niż brata... Krzyżan zapalił się i rozmiłował. Stosunek ten dla Biety wstrętliwy, zносиła ona z przy-
musu, żołnierz się przywiązywał coraz goręcej.

Biskupowi też wyrwać ją, żołnierz Bolesławowski, rad był bardzo, bo na Wawelu co żyło go nienawidziło.

Teraz, gdy pilno przytułku szukać było potrzeba, Werchańcowa swatała Krzyżana — opierała się dziewczyna.

— Lepszego nie znajdziesz, — namawiała stara, — on jeden cię ratować może. Na zamku będziesz bezpieczna. Biskup tam nie sięgnie.

Dzień jeden i drugi upłynął. Paweł się już we dworku nie ukazał. Bieta wiedziała, co to znaczyło.

Tym czasem Zonia przynosiła ze dworu wieści, że tam coś knuto przeciwko Biecie, że Biskup do klasztorów zakonnice posyłał na zwiady i umawiał się z panną starszą na Skale.

Niewola — cele zamurowane.. przerażała nieszczęśliwą, wołała już opiekę starego Krzyżana nad nią.

Nie sprzeciwiała się. Natychmiast dano mu znać do zamku. Płacząc zaczęła mu się skarżyć na swój los Bieta. Żołnierz nie bardzo wymówny, zżymał się, pięścią tłukł i gotów był na wszystko. Miał parę izb swoich na Wawelu przy dworze, gdzie Bieta schronić się mogła bezpiecznie. Werchańcowa nagliła o pospiech. Straszyla, groziła porwaniem, przynosiła różne plotki — nie było czasu do stracenia.

Gdy wreszcie przyszło się rozstać z tym dworkiem, z tem życiem namiętności i mę-
czarni, w którym Bieta nawykła była trwać jak w płomieniach — gdy trzeba było rzucić wszystko, uciekać na niepewne losy — padła na ziemię jęcząc i łkając...

Aby ją zmusić do uchodzenia z Krzyżanem, Zonia celę zamurowaną przypomniała.

Krzyżan chciwie ją zabierał na zamek, radując się szczęściu swojemu, poprowadził do uboższego mieszkania, które się jej strasznie i nędżnym wydało. Tu rzuciwszy się na łożo, bezprzytomna dwa dni spędziła w gorączce i jękach...

Wieczorem Zonia biegła przestraszona do Biskupa.

— Nie ma mniszki! — krzyknęła od progu załamując ręce — nie ma! Uciekła! Nastraszył ją ktoś, czy ostrzegł, czy sama poczuła, że tu już nie ma co robić. Ostatnie dwa wieczory chodziła, jakby ją zimnica trzęsła.

Paweł prawie radośnie wieść tę przyjął.

— Zbiegła! — powtórzył. — No — chwała Bogu!

Werchańcowa nie zdawała się cieszyć z tego.

— Nie znacie wy jej jeszcze! Poszła ona ztąd, ale wam spokoju nie da!!

Biskup uśmiechał się, zdziwiony nieco tą groźbą.

— Cóż ona mi zrobić może? — spytał.

— Albo ja wiem — zamruczała wdowa — kto zgadnie taką szalenicę! Ona swego nie daruje.

Paweł nie zważał wcale na przepowiednie, rad był, że się zbył ciężaru.

Natychmiast dworek kazał opróżnić i klechów w nim osadził, tak, by w razie namysłu i powrotu, nie miała się już gdzie podziać.

Tydzień upłynął, a o Biecie wcale słyhać nie było. Zonia nie wiedziała nic o niej. Upłynął drugi.

Biskup na uroczyste święto pojechał na Wawel, zasiąść w kościele na tronie swym w czasie nabożeństwa. Dobrej był myśli i zwyciężkiego oblicza. Nieprzyjaciele wejrzenia oczu jego wytrzymać nie mogli. Tem też śmieiej i zuchwalej poglądał, wyzywając ich. Przyszłość wróżyła mu się zwyciężką, krwawą, mściwą, taką, jaką ją mieć chciał.

W czasie nabożeństwa, gdy rzucał oczyma po kościele gęsto nabitym ludźmi, wzrok jego padł na tłum stojący u kraty presbiterium.

Struchlał — krew mu oblała twarz, która wnet zbladła jak chusta.

Naprzeciw niego stała w czerni cała, w sukni zakonnego kroju, w zasłonie podobnej do tych, które mniszki nosiły — ale bez krzyża u czoła — owa pochwycona przez niego Bieta. Stała trupem czy widmem, blada, piękna, groźna, z oczyma wlepionymi w niego, oczyma tego bajecznego bazyliżka, który wzrokiem zabija.

Biskup chciał oczy odwrócić od niej i nie mógł, grzesznica przykuwała go do siebie spojrzaniem mściwym, bez litości, w którym było całe piekło.

Śmiały ów, niczem nie dający się złamać Biskup, który się rzucał na książąt i panów, co nie szanował nic, dla którego nie było świętości — poczuł w tym wzroku jakby całą piekła potęgę... moc szatana, siłę większą niż on miał — panowanie grzechu, w którym żył.

Ręką drżącą powiódł po twarzy, opędzając tę marę natrętną, chcąc gwałtem wzrok zwrócić ku ołtarzowi. Zrenic poruszyć nie mógł — zdrętwiały. Niewiasta jak kamienna stała patrząc w niego — a oczy jej mówiły:

— Umiłowałeś mnie i grzech... grzech nie wypuści cię ze szpon swoich. Stoję i pójdę wszędzie za tobą. Tyś mój! Tyś pastwa moja! Piekło czeka nas oboje! bo ono nam ślub dawało!

W strasznej tej chwili hallucynacji jakiejś, mniszka zmieniła mu się w poczwarę, wilka stojącego na dwóch łapach, z krwawą paszczą otwartą, ze ślepiami ogniem połyskującymi...

Potwora śmiała się urągając z niego, pazury ostre wyciągnąwszy...

Widmo zniknęło i niewiasta wracała znowu.

Piękność jej mieniła się, rozjaśniała, rozwiewała i nagle przeistaczała w oblicze potworne a straszne. Zdało mu się, że słyszał śpiew i wycie, jęk i śmiechy...

Pot zimny kroplami spływał po czole Biskupa, i gdy mu mszał do pocałowania przynieśli diakonowie, ustami go dotknąć nie śmiał.

Zamiast mszału zdało mu się, że ma przed sobą rozwartą krwawą paszczę wilczą i różowe usta mniszki, w których białe zęby zgrzytały.

Męczarnia ta wiek trwała.

Gdy powinien był przejść do ołtarza, silnego tego męża, musieli dźwigać prawie na rękach diakonowie, tak ślaniał im się osłabły i o swej sile iść nie mógł. Odwrócił się do ludu z błogosławieństwem... naprzeciw stał ciągle wilk ten i niewiasta... Ręka drżąca zamiast krzyża, zrobiła ruch groźny. Przytomność go opuszczała.

Zdziwiono się temu osłabieniu Biskupa, który wróciwszy do zakrystyi, dał się rozebrać nie mówiąc nic, tylko oczyma przerażonemi rzucał do koła, wstrząsając się konwulsyjnie, a na troskliwe pytania księży, nie mogąc nawet odpowiedzieć.

Mówiono po cichu i wieść się rozeszła, że był chory. Z kościoła wprost wieść się kazał do dworu swego. Podwórzec kościelny jeszcze był pełen ludzi, którzy wychodząc z nabożeństwa stali do koła gwarząc i rozglądając się.

Gdy Biskupa pod ręce trzymając wywiedziono, ciągle się jeszcze z trwogą oglądającego — ci co go znali a nigdy chorym ani nawet zmęczonym nie widywali — zdziwili się mocno.

Tłumaczono to sobie różnie.

Duchowni niektórzy, ludzie pobożni, powiadali, że Bóg go od ołtarza znakiem jakimś napomniął.

Wóz biskupi, który krucyfer poprzedzał, ruszył od wrót kościelnych — a ks. Paweł niespokojnie rozpatrywał się w tłumie.

Tuż przy drodze obok w zbroję odzianego podziłego mężczyzny, z siwiejącym wąsem — stała niewiasta w czerni i ubraniu do zakonnego podobnem; stała jakby czekała aby wóz się zbliżył.

Zdała już zobaczyć ją i poznał Biskup, trwoga ogarnęła go znowu, chciał krzyknąć na czeladź aby zbiegowisko rozpędzono, ale już było za późno. Znalazł się tuż oko w oko z Bietą, która wlepiła w niego wejrzenie palące, gniewne. Podniosła białą, ściśniętą rękę do góry, i w obec wszystkich pogroziła nią Biskupowi. — Białe jej zęby ścisnęły się jakby kąsać chciała. Stojący przy niej mąż zbrojny, gwałtownie pochwycił ją pod ramię i całej siły użyć musiał, aby roznamietnioną nieco na bok odciągnąć...

Paweł nie mógł się wstrzymać od obejrzenia za siebie i zobaczył ją jeszcze, miotającą się, jakby gonić za nią chciała.

Niewielu może ludzi to spostrzegło, a nikt sobie dobrze wytłumaczyć nie umiał. Niewiastę brano za obłąkaną, ruch jej groźny za prośbę rozpaczliwą; lecz Biskup powrócił

spotkaniem tem w kościele tak wstrząśnięty, że usiadłszy już w komorze swej, długo jeszcze drżał, słowa nie mogąc przemówić.

Zuchwalstwo dziewczyny jątrzyło go i upokarzało.

Mało dbał o ludzkie języki, nie taił się z tem co czynił, często naumyślnie nieprzyjaciół wyzywał, ale być tak publicznie wystawionym na znęcanie się mściwej niewiasty, wiecznie się lękać z nią spotkania, — jego nawet siły przechodziło.

Zabobonny jakiś strach, a raczej pierwsza myśl pomsty Bożej umysłem jego owładła. Widzenie tej niewiasty mieniającej się w wilka, — uśmiech jej zły, szyderski, mściwy — dreszczem go przejmowały.

Posłano po Zonię, która tylnymi drzwiami nadbiegła; nie przewidując po co ją mógł zawołać kazać o niezwykłej godzinie.

Znalazła go za stołem, ocierającego pot z czoła, z twarzą siną, z oczyma krwią nabiegłymi.

Piękne niegdyś rysy jego, od lat kilku znacznie się były zmieniły. — Linje ich charakterystyczne rozlały się w jakimś obrzęknięciu chorobliwym, policzki były jak napuchłe i zwiśłe, pod oczyma ciężły rozdęte guzy; wzrok miał dziki, białka zawsze prawie krwią zasze.

Werchańcowa czekać musiała, aż się do niej zebrał odezwać.

— Szatan! przekłeta! — począł głosem przerywanym. — Biesowa córka ta... Bieta! Patrzajże... Ona tu jest! Na zamku była dziś w kościele... Stanęła umyślnie przedemną... jak wmurowana, przez mszę całą. Zabiegła mi drogę.. groziła pięściami...

Zabić każe tę...

Zonia przypadła aż do ziemi, udając przerażenie. W istocie nie posiadała się z radości, że się jej zemsta za męża zabitego tak powiodła...

Wołała niezrozumiale:

— A! a! Jezu najśłodszy...

Ledwie mogła skryć swe zwycięstwo.

— Ona! na zamku? Zkądże się wzięła?

— Porwać ją każe! Szukać, wywieźć — wołał Biskup. — Wit niech idzie, śledzi i z kamieniem u szyi rzuci czarownicę przekłeta do Wisły... Zabić ją! utopić!

— A gdzie jej szukać? — przerwała Werchańcowa chytrze — miasto duże, chować się jest gdzie...

— Ty! Wit... musicie ją znaleźć! Posłać ludzi — krzyczał Paweł. — Jedna taka nędznica, żeby mi się urągała i groziła.

Mówił to i miotał się. Posłyszawszy krzyk, Wit, który zawsze miał wstęp wolny, wpadł do komory. Biskup zwrócił się ku niemu.

Wit, chociaż milczał, wiedział już kędy Bieta była.

— Ten bies! ten bies! — burzył się Paweł — zastąpiła mi drogę... była w kościele i na cmentarzu.

Półkoza się wykrzywił, co twarzy jego obrzydłej nadało wyraz potworniejszy jeszcze niż zwykle.

— Wszetecznic! — zawołał — ufa w to, że jej dał opiekę pół-brat, czy psu brat Krzyżan, co u księcia jest na zamku. Ona tam u niego, ja już wiem!

Biskup począł ostygąć — skinał na Wita, aby się zbliżył. —

— Do tego Krzyżana mi idź, — zawołał — powiedz mu, niech ją trzyma, gdy chce, ale jak psa na uwięzi.. Pokaże mi się na oczy — niech wie, że moja ręka i na zamek sięgnie. — Zabić każe.. porwać z pod nosa księciu...

Wit słysząc to, mimowolnie głową potrząsnął, jakby niedowierzał.

— Uczynię to! — potwierdził Paweł marszcząc się.

— Zakaty by to było trudno! — odparł Wit. — Na zamku ich więcej niż nas wszystkich do ostatniego wymiółszy, a czujni są.

Nie zważając na to Biskup dodał.

— Krzyżanowi zagroź! słyszysz — siłą czy inaczej ja swego dokażę...

Półkoza głowę tarł.

— Sprawę taką — odezwał się, — lepiej by babie niż mnie powierzyć.

Krzyżan sierzdysty, ja też, od słowa do słowa, bez guza by się nie obeszło...

Werchańcowa wtrąciła prędko.

— Tylko nie mnie tam ślijcie! Ja nie pójdę!
— To pošlij djabła! — wykrzyknął Biskup namiętnie. — Róbcie co chcecie, abym od tego szatana wolnym był...

Czas nadchodził, w którym Biskup musiał się swym gościom ukazać. Ułożywszy twarz, aby gniewu na niej znać nie było, wyszedł posepny...

Wit i Werchańcowa zostali w komorze, spoglądając na siebie.

— No — bąknął Półkoza, — myślcie co robić...

— Sprawa nie moja — odparła Zonia, — ty głową nadrabiaj. — Ja znać nie chcę.

I drzwiami uderzywszy — wybiegła. Od dawna tak szczęśliwą nie była.

— Ha! — wołała w duchu — przyszła nareszcie moja godzina, to na com ja dawno czekała. Niech się teraz zbój wścieka!.. Ja w tem, że ani Wit, ani nikt jej nie tknie.. Będzie mu stała na oczach, będzie zachodziła drogę! Nie znajdzie od niej pokoju! Dobrze ci tak!!

Biskup znalazłszy się w gronie swych przyjaciół, uczuł swobodniejszym, odzyskał powoli swą śmiałość i humor rubaszny.

Szedł do stołu zachęcając, aby wszyscy sobie radzi byli. Usta mu się nie zamykały, a że o tem co go dotknęło mówić nie mógł, rozpoczął najulubieńsze swe przekąsy z książąt, ich dworu, obyczajów, z Leszka i żony jego.

Pomagali mu inni, co kto mógł dodając na księcia Bolesława i tych, którzy mu najulubieńsi byli.

Najwięksi jednak nieprzyjaciele księcia, niewiele mu zarzucić mogli, pan był pobożny, łagodny, sprawiedliwy, choć nie zawsze łatwo widzący, co słusznem było. —

Narzekano, że go przekupić było lekko, ale to mniemane przekupstwo nie żaden datek znaczyło, tylko pokorę i słowo dobre litość obudzające.

Nie śmieli też zadawać, ażeby mu na rycerskim duchu zbywało, bo choć kilkakrotnie musiał się chronić przed Tatarami, do wystąpienia przeciw nim sił nie mając, w wyprawie na Jaćwę, w której całe plemię wytepił, dał dowód wielkiego męstwa i wytrwałości.

U stołu biskupiego, ci co sami podzegli do tego, aby Toporczyków ukarano surowo, teraz na Bolesława krzyczeli, że ich oddał na pastwę i więził, chociaż sam im rozkazał gwałt popełnić.

Biskup radował się, iż ziemian krakowskich postępek ten miał odstręczyć i zniechęcić do Pudyka.. Z przekąsem uśmiechano się mówiąc o klasztornej życiu na dworze.

Paweł wśród hałaśliwych rozmów i szyderstw, gwaru i wrzawy biesiadnej, wprędce o strachu swoim zapomniał.

Nim wieczór zapadł, Zonia w płachtę się obwinąwszy, którą nad głowę zapuściła tak, aby twarzy jej widać nie było, wymknęła się z dworu ostrożnie i na zamek pobiegła. Nie trudno jej tu było o izbę dopytać, w których Krzyżan z mniemaną swą mieszkała siostrą.

Dwie izby miał i komorę na górze Pułkówódca. Z tych jedną oddać musiał Biecie, która pierwszego wieczora drzwi łączące z sobą izby zapała. Krzyżan, spodziewający się może poufalszego pożycia, ścierpieć to musiał, z czasem obiecując sobie, iż się to odmieni.

Bieta przyjmowała opiekę jego, ale zbliżać mu się do siebie nie dawała. Wojak z ciurami bardzo surowy, z niewiastą powolnym był, wasy kręcił, głowę spuszczał i precz szedł, gdy go wypędziła. Krzyku nie znosił... Czuł już, że biedę sobie kupił, lecz za tą szaloną szalał.

Zobaczywszy Werchańcowę przed sobą, niosącą wspomnienie biskupiego dworu — Bieta zerwała się z łoża... Oczy jej szatańską złością pały.

— Coście to nawarzyli? — poczęła wdowa nachylając się do niej. — Biskup z kościoła powrócił do dworu, że tylko bić, mordować i ścinać...

Radość błysła na twarzy Biety.

— To dopiero początek — rzekła dysząc i piersi cisnąc. — O! to jeszcze nic! Znajdzie mnie w kościele ile razy przyjdzie, pomiędzy Bogiem a sobą... na drodze między ludźmi a sobą.. w drugim świecie znajdziemy się także, na dnie piekła. Zgubił mnie, ja zgubić go muszę! Stoi w piśmie! Oko za oko! Ząb za ząb! A ja mówię, piekło za piekło!

Szatani wezmą mnie — a ja jego!

Zonia pobożna zęgnęła się ciągle słysząc imię złego ducha, aby go odpędzić od siebie. Pobożność jej z pragnieniem zemsty tak się dobrze godziła, iż świece pałła przed świętymi, aby jej pomagali...

— Cicho! cicho! — rzekła — nie wywołujcie tak szatanów! Dość! Pewnie, że prawo macie nie przebaczyć mu! On was zrobił nieszczęśliwą! Tak! On i mnie wdową zrobił!

Spytajcie ludzi, ilu pobił, ile dziewcząt pozwoził, co poszły do wody i na rynki... Oj! ma on na duszy! ma!

Nie dokończyła palce sobie kładąc na ustach. Bieta pytała jej, jakim Biskup powrócił, potwierdziła Werchańcowa, iż z gniewu szalał prawie.

— Tylkoż! — dodała Zonia z powagą — pilnuj się! abyś się jego ludziom wziąć nie dała, bo ich na ciebie naśle... Niechaj Krzyżan ma dobre oko. Zaklął się, że pochwycić każe i do wody rzucić... Co mu to trudnego...

Jakby na zawołanie, właśnie Krzyżan głosu posłyszawszy, drzwi otworzył i wszedł. Zwróciła się wdowa do niego.

— Patrzaj, abyś ty jej dobrze strzegł.. Biskup się klnie, że ją każe porwać.

Stary żołnierz uśmiechnął się.

— Ona tu bezpieczna — odparł — nie tknie jej nikt, tylko wy jej powiedźcie, aby przecie mnie jak psa za drzwiami nie trzymała, bo mi i nosa pokazać broni. Wziąłem ci ją na moją duszę i głowę...

Westchnął, Bieta spojrzała nań ostro.

— Mało ci, że mnie za siostrę masz? — zawołała dumnie.

Krzyżan węża pokręcał mruczając coś, ale nieśmiało i niewyraźnie.

Wdała się Werchańcowa czyniąc zgodę, do której żołnierz się powolniejszym okazał niż Bieta.

Obmyślano środki ostrożności, ale o tych mniszka słuchać nie chciała... Siadła na niskim swoim łożu, sparała się na rękach, włosami czarnymi jak płaszcz na ramiona spadającymi okryta, i zaniemiała. Oczy wlepiła w podłogę, myśli jej poszły gdzieś daleko, może aż do tej furty klasztornej, której próg dzieckiem będąc przestąpiła, za którą spokój był i cisza, jakich już dziś odzyskać nie mogła!...

IX

Lat parę upłynęło, nie wiele na pozór zmieniawszy ludzi i sprawy, które ich zaprzętały.

Nic gwałtownego nie zwichnęło powszedniego trybu życia. — Ciągnęło się, wlokło wszystko powierzchownie jednak, lecz w głębi przysposabiały się burze. Tak czasem bywa niebo pogodne, powietrze ciche, słońce niezacmione, ledwie opony jakieś w dali na niebiosach mgłą się, a zwierz i człowiek czuje, że ma nadciągnąć nawałnica, że wichry ukryte hasła czekają.

Tak było w ówczesnym państwie Bolesława Wstydliwego. Siedział on mocno na stolicy swej. Leszek panował w Sieradzkim, oba rządili i sądzili, zabawiając się modlitwą i łowami.

Bolesław z każdym rokiem pobożniejszym się stawał, piękna Kinga, owa biała lilja, coraz większą nad nim uzyskiwała władzę. Uspokajała duszę tę, co się z początku z więzów świętych wyrwać chciała.

Bolesław był już przejednany ze swym losem, a żonę czcił i miłował jak błogosławioną, szanował ją jako wzór, któremu dorównać pragnął. Jeżeli czasem krew w nim jeszcze zakipiała, włościennica i dyscyplina, post i modlitwa spokój przywracały.

Jedyną rozrywką były mu psy i łowy, jedynym niemal powiernikiem i przyjacielem Leszek, który też bez żony żył i nie tęsknił za nią. Gryfina siedziała w klasztorze, chociaż ani sukni zakonnej oblekać, ni zasłony brać nie chciała. Zawsze to była buntująca się przeciwko losowi, co ją spotkał niewiasta, czekająca na to, aby jej traf szczęśliwy stracone nagroził lata.

Pobożna Kinga próbowała napróżno zyskać ją sobie za towarzyszkę, a Bogu za służebnicę. Leszkowa żona o ślubach żadnych słuchać nie chciała, zakonnego nie lubiła życia, narzekała na osamotnienie. Księżna Bolesławowa płakała nad nią.

Dziecinnie naiwna, dopominała się Gryfina małżeńskiego życia, wychowywania dzieci, które mieć pragnęła...

— Gdyby wszystkie niewiasty, — mówiła Kindze — chciały jak ty żyć z mężami, wprędce by świata i ludzi nie stało. Nie byłoby komu Pana Boga chwalić!

Szanuję ja świętość waszą, ale mnie grzeszną nie stworzono do tego, ja się nie zakopię tutaj.

Zgłaszała się na powrót do ojca, książę kazał jej pozostać, gdzie była. Do Bolesława tylko posłał, aby pojednał małżeństwo.

Książę razy kilka powoływał Leszka, dojeżdżał do niego, namawiał aby żonę brał na powrót — Czarny ociągał się i opierał.

— Mnie też, jak wam, bez żony lepiej żyć! — mówił.

— A jabym w tem mojem sieroctwie nie dotrwał, — odpowiadał Bolesław — gdyby nie ta święta Kinga moja. Ona tego żądała! Miała od Boga natchnienie — spełnia wolę jego. Gryfina inaczej myśli, tyś jej mężem. Cóż się stanie z Krakowem, gdy wy potomstwa mieć nie będziecie?

Leszek pomrukiwał tylko.

Rodzina Piastowiczów dość była liczna, a na księstwo łatwo o dziedzica zawsze.

Bolesławowi pokonać go trudno przychodziło, bo się na jego przykład zsyłał.

— Nie chcę być innym od was! Pozostanę sam!

Przedłużał się więc ten rozwód małżonków.

Z Biskupem Pawłem od Sieradzkiej niewoli, książęta choć byli przejednani pozornie, pilne musieli nań mieć oko, bo coraz jawniejszem się stawało, że spiski przeciw nim knował.

Przejeżdżał się nieustannie, na Szlązko, na Mazowsze, lub znikał na czas jakiś tak, że nikt nieumiał powiedzieć, gdzie przebywał.

Lecz pochwycić go na czemś jawnem było trudno, a ostrzegany Bolesław i Leszek, najgorszego się spodziewać mogli. Pudykowi z powodu Toporczyków nieprzyjaciół przybyło. Ci odsiedziawszy karę, wyprzedali się z ziem swoich i precz wynieśli na Mazury. Nie mogli przebaczyć księciu, iż na nich złożył całą winę.

Paweł coraz mniej bywał, wreszcie całkiem się tam przestał pokazywać. W Krakowie nie siadywał długo, otaczał się zbrojnemi, sam zawsze wespół uzbrojony jeżdząc i przy mieczu. Około niego skupiali się wszyscy, którzy Bolesławowi nieprzyjaźni byli.

Książęta oba nie wiele mogli uczynić, aby się od niebezpieczeństwa, którego przewidzieć było trudno, ochronić — a Biskup krzątał się, zabiegał, czynnym był, i jak siecią osnuwał do koła tych, na których pomścić się pragnął.

Siła jego rosła.

Gwałtownik zuchwały miał tę potęgę woli nieprzelamaną, której słabsi ludzie łatwo ulegają. Jedną ich sobie energią, przebiegłością, szczodroblewością, zaufaniem w siebie i szczęściem, jakie mu dotąd służyło.

Życie wiódł raczej ziemianina możnego, niż pasterza, kościół zdawał na swych ulubieńców, sam polował, zabawiał się i dwory pańskie objeżdżał. Obyczajów nie zmienił wcale, choć już wiek, ociężałość, tusza, spokojniejszy rodzaj życia wskazywały! Nie był to jednak już ów Paweł pierwszych lat biskupstwa, — niedający się niczem nastraszyć i zachmurzyć.

Przychodziły nań chwile pogrążenia w sobie i wewnętrznej trwogi. W nocy musiało się w izbie palić światło. Sen miał niespokojny, marzenia, z których zrywał się przerażony. Z łowów powracał czasem nagle pędząc do domu, drzwi kazał zapierać, jakby go jakie widma ścigały.

Ludzie jego opowiadali, że porwana niegdyś z klasztoru zakonnica, ciągle teraz jak cień za nim chodziła, i że to widmo być musiało czy upiór, bo go pochwycić nikt nie mógł.

W kościele w czasie nabożeństwa, widywano go zrywającego się nagle — oglądającego do koła, drżącego jakby ze strachu. Księża szeptałi, iż potwory jakieś ukazywały mu się w postaci niewiast i wilkołaków, że raz wilk doń przemówił w kościele.

Biskup przed ks. Szczepanem przyznał się raz, iż miał takie widzenie w czasie nabożeństwa i słyszał głos wzywający go do pokuty... Bietę, która często zabiegała mu drogę, Paweł kazał ścigać, naznaczył nagrodę Witowi, jeśliby ją w jakikolwiek sposób sprzątnął ze świata.

Zdawało się to łatwem, gdyż Biskup nieraz spotykał ją samą chodzącą po mieście, w sukni pół zakonnej, w zasłonie, z włosami rozpuszczonemi, odartą...

Ile razy zobaczyła go, biegła doń grożąc pięściami i miotając obelżywemi wyrazami.

Znęceni nagrodą zuchwalsi puszczali się za nią, lecz wymykała im się z rąk jakimś cudownym sposobem, znikająca, zdawała się zapadać wśród ziemi... Ludzie utrzymywali, że jej jakaś moc nadziemska broniła.

W końcu i najśmielszych trwoga ogarniała — Wit, który się zaklął, że ją musi pochwytać, choćby z pod ziemi dobywać przyszło, gdy się na tę wyprawę wybrał, kilka dni go nie było, a potem dano znać, iż ciało jego znaleziono nad Wisłą, na którym choć znaków morderstwa nie było, domyślano się, iż swoją śmiercią nie umarł.

Biskup obawiał się chodzić do kościoła św. Wacława, lecz, choć nigdy naprzód nie oznajmywał gdzie miał być, spotykał ją po innych kościołach. Raz w klasztorze w Sączu pewien był, że ją zobaczył za kratą, posłał śledzić czy się tam w istocie znajdowała, nakazując, aby niewypuszczano jej więcej na świat — lecz zakonnice poprzysięgały, iż nigdy jej tam nie było.

Na łowach w sąsiednich lasach, gdy się odbił od innych myśliwych, skarżył się, że ją spotykał. Raz gdy go zaskoczyła, koniowi się coś stało, iż z miejsca ruszyć nie mógł, choć go ostrogą do krwi kaleczył, i musiał słuchać śmiechu jej i urągania, od którego, gdy ludzie nadbiegli, znaleźli go z gniewu i trwogi na poły omdlałym.

Dziwnym sposobem radziła sobie ta oszalą bo gdy w początkach opieki Krzyżana potrzebowała, na zamku siedziała, wychodzić z niego nieśmiejąc, później takiej nabrała odwagi, iż swobodnie snuła się po mieście, okolicy, a czasem jej w domu po dni kilka nie bywało.

Wracała potem bosa, z nogami okrwawionymi, z włosiem rozpuszczonym, w sukni porwanej, wychudła, blada, zmęczona, głodna. Padała na posłanie, i snem kamiennym, do śmierci podobnym zasypiała czasem po dwie doby. Krzyżan litością zdjęty, siadywał przy niej i rozpaczliwie zawodził.

Wstawała potem niewiele pomnąc co się z nią działo, a wypocząwszy, nowe rozpoczynała wędrówki.

Nikt jej nie mówił gdzie Biskupa spotkać mogła, Zonię widywała rzadko; przecuciem jakimś, które ją nigdy nie zawodziło, znajdowała go zawsze na swej drodze.

Niekiedy stanąwszy zdala, z rękami na piersiach założonemi, dręczyła go wzrokiem wlepionym w niego i głośnym śmiechem. A miała ów śmiech szatański ze zgrzytem zębów, ze łzami w oczach, który krew ścina w żyłach.

Po śmierci Wita, czeladź, za największe skarby nie chciała się ważyć na ściganie jej. Uznawano w niej narzędzie Bożej karności za pogwałcenie klasztoru i porwanie niewiasty, która poprzysięgła śluby zakonne. Ludzie widzieli około niej zastęp duchów, który ją otaczał.

Gdy się czasem ukazywała w rynku, albo stanęła w ulicy, nawykli wszyscy byli przepowiadać, że Biskup musi gdzieś znajdować się niedaleko. Czekala niekiedy sparta o płot, z oczyma strasznie wywróconemi, a ludzie obchodzili ją milcząc i nieśmiejąc słowem podrażnić. Tak potem pewną już była, że ją poszanują i zlitują się jej, iż głodna wchodziła do domostw. Siadała spoczywać na ławie, napiła się u drzwi z wiadra, a gdy zamruczała o chleb prosząc, nikt go jej nie odmówił.

Żal było spojrzeć na tę młodą jeszcze i piękną niewiastę, tak straszliwie sponiewieraną dobrowolnie — pokutującą tak ciężko.

We wzroku miała coś takiego iż najśmielszego strwożyła wejrząwszy nań. Dzieci za nią zdala tylko biegały.

W kościołach nigdy nie widywano ją modlącą się, stawała w kruchcie lub w samej świątyni na uboczu, błędnie rzucając oczyma, nie przyklękując, nie skłaniając głowy na dzwonek.

Ludzie mówili na nią — szalona, chociaż nią nie była.

Nie lepiej z nią było staremu Krzyżanowi, który, brat czy nie, przywiązał się do biednej, z razu może myśli mając inne, teraz przez miłosierdzie dźwigając ciężkie brzemię.

U niego rządziła się jak chciała, przychodziła gdy się jej podobało, wstawała, szła często w nocy, gdy się jej co przywidziało.

Po śmierci Wita, nie mogąc się obejść bez posług, do których mu było zawsze potrzeba czelaka straconego imienia, wziął Paweł innego powinowatego ubogiego, ziemianina, co go od włosów czarnych, Krukiem zwano.

Rodowych nazwisk naówczas prawie nieużywano, lecz za to nie było czelka bez przewisła. Wiele z nich zmieniły się później w miana rodowe.

Kruk, którego poufalsi na Kruczka spieszczali, drab był ogromny, a Biskup wybrał go może dla tego wzrostu i domniemanej siły, która mu była potrzebna na łowach i w podróżach.

Lecz olbrzym ten tak zastraszający na oko, w istocie był dosyć lękliwego serca i niepewien co ma czynić. Siły, choć ją mógł mieć, nie wiedział jak używać. Posłuszny, cichy, łajac się dawał i bezcześcić, rozumu wielkiego nie okazując, ni zbytku słuźliwości. Ciężki we wszystkim, na dwór się dostawszy i zrobiwszy znajomość z Werchańcową, która dla niego trochę się odmłodzić starała, poila go i karmiła, poszedł pod jej panowanie i stał się pokornym sługą.

Raz z łowów powróciwszy do Zoni, tak był strwożony i przybity, iż długo słowa z niego dobyć nie mogła. Dopiero po kilku kulkach ciepłego wina, ośmieliwszy się i ochłonawszy, odpowiedział jej czego był świadkiem.

Biskup Paweł dawnym zwyczajem na polowaniu gdy się za zwierzem uganiał, zapominający się i zapalający, zapędził się był dnia tego w ostęp ścigając kozła, którego raziwszy oszczepem, dostać się spodziewał. Kruk za nim w pewnem oddaleniu nadążał.

W tem ujrzał, że koń Biskupa stanął jak wryty, a przed nim miasto kozła, który gdzieś znikł — ukazała się niewiasta słusznego wzrostu, w sukni czarnej, sznurem podpasana, bosa, z długimi włosy na ramionach. Kruk, który Biety nigdy nie widział, ale słyszał o niej, że moc straszną miała, zsunął się z konia i ciekawy z za dębu słuchać począł i przypatrywać się.

Widmo to czy niewiasta, mówił, naprzód krzyknęło:

— Stój!

Koń Pawła wrył się kopytami w ziemię, Kruk widział jak na nim skóra drżała. Biskup siedział jak wryty.

— Jam tu! — poczęła śmiejąc się. — Widzisz! Na twej drodze wszędzie.. zawsze! abyś nie zapomniał, że moją duszę masz na sumieniu. Wziąłeś mnie.. muszę chodzić za tobą. Przysięgałeś pierwszych dni, że mnie nie opuścisz... do śmierci. Otóż ja cię do śmierci porzucić nie mogę. Będę za tobą gnać, będę cię ścigać...

— Szatanie, — odezwał się Biskup głosem zmienionym. — Mów! czego ty chcesz odemnie! Okup ci dam jakiego żądasz.. Zejdź mi z oczów!

— Nigdy! — rozśmiała się niewiasta. — Ty mój, ja twoja, i w piekle nas nic nie rozdzieli...

A potem śmiech się rozległ taki, że Kruk, jak powiedział, ze strachu uszy sobie zatknął...

— Nic nie chcę od ciebie, — mówiła potem niewiasta — tylko byś mnie na powrót wziął, bom żona twoja, wedle prawa Lucypera.

I śmiała się dziko.

— Biskup i zakonnica! para dobrana! Ja nie puszcę cię! Zsiądź z konia, chodź do mnie. — Spoczniemy...

Zaczęła ku koniowi się zbliżać. Biskup targnął go w tył, tak, że omal nie padł, dęba stanąwszy. Ostrożny Kruk w pomoc iść się nie ważył, oczy kobiety trwożyły go tak, iż się z miejsca ruszyć nie mógł.

Im większą Biskup okazywał trwogę, tem widmo owe śmiało się mocniej, serdeczniej. Ręce wychudłe, białe wyciągnąwszy ku niemu, głowę podniósłszy, powtarzała.

— Chodź! Siądziemy spocząć pod drzewem.. Nikt nie widzi nas oprócz szatanów, sług naszych.. Niech się oni ucieszą! Dam ci całusa takiego, jak ten pierwszy, co mi usta spalił na wieki! Chodź! chodź!

Biskup z koniem cofał się coraz bardziej. Szał jakiś ogarnął go z tej trwogi, chwycił oszczep, który miał pod ręką, zamierzył się — cisnął nim, świsnęło w powietrzu.. Kruk sobie zakrył oczy, bo wiedział, że Paweł rękę miał wprawną, a nie chybiał nigdy prawie. Sądził, że trupa zobaczy. —

W tem rozległ się śmiech straszniejszy jeszcze.. Oszczep tkwił drgając w pniu drzewa...

Kruk zaklinał się na wszystko najświętsze, iż ze pnia trysnęła krew przegą czerwoną i płynęła, a Bieta w miejscu stała nieulękła.

Ujrawszy to Biskup ciągle konia w tył cofając, zsunął się z niego i padł omdlały na ziemię tuż przy Kruku.

Ten dopiero skoczył go ratować, a gdy się obejrzał potem, widma już nie było.

Zdaleka zobaczył ją idącą w las, trzymała się za głowę, ślaniała jak pijana...

Kruk nie rychło Biskupa mógł otrzeźwić, odtarł go, a gdy oczy otworzył i pytać zaczął — nie przyznał mu się, iż był wszystkiego świadkiem. Wolał skłamać, iż nadbiegłszy znalazł go leżącym na ziemi.

Słuchając opowiadania Zonia cieszyła się w ręce biła — czego Kruk zrozumieć nie mógł.

Wróciwszy z tych łowów Biskup odleżał dni kilka. Przyprowadzono mu włocha zakonnika Salernitanina, który leczyć umiał, potem drugiego z Kolonji, ucznia sławnego Albertusa.

Siedzieli oba nad nim i poili go, okładali dni kilka, a że człek był żelazny, powstał i z tej choroby dość rychło. Dni kilka potem z domu się nie ważył, a gdy wyjechać musiał, posłał przodem na zwiady ludzi, czy gdzie przeklętej baby nie widać.

Zapewniano go, że nigdzie jej nie było! Wyjechał Biskup, lecz na drodze ku Wawelowi zobaczył ją stojącą u płotu...

Ujrawszy go, pozdrowiła ręką od ust z uśmiechem.

Powłokła się potem za nim.

Nie mógł zawrócić już, bo już nań w kościele czekano, a tu ona się znalazła znowu. Stała mu na oczach ciągle, mieniając się w potwory różne, tak, że osłabłym odwieziono Pawła do domu.

Czasem przez dni kilka nie ukazywała się wcale, Paweł śmielszym się stawał, sądząc, że koniec przyszedł tej męczarni. W tem, gdy się najmniej spodziewał, zjawiała mu się na drodze, w lesie, u przewozu, w kościele, a stawała tak, iż widzenia jej nie mógł uniknąć.

Wzrok jej miał siłę taką że Paweł spotkawszy go, oczu już od niej nie mógł oderwać.

Chociaż nie było jej czas jakiś, trwoga szła za nim ciągle, oglądał się, zdawało mu się, że ją postrzeżę, choć jej nie było.

Widział ją we snach, zrywał się nocami, na czeladź wołał, a ludzie wbiegłszy znajdowali go w pośrodku izby trzęsącego się, ukazującego na czarne kąty izby, w których nic — oprócz ciemności nie było.

Niepokój ten, który go zmuszał szukać jakiejś namiętnej rozrywki — aby natrętne wspomnienie zagłuszyć — do spisków i knowań go podbudzał.. Nienawiść do Bolesława i Leszka zwiększała się tem, iż nic im uczynić nie mógł. Chciał zemsty.

Na Śląsku u księcia Opolskiego, to we Wrocławiu, to w Płocku siedział, przeciw swym książętom knowając. Dość długo trwało to bez wyraźnego skutku, ubezpieczał się więc książę Bolesław, iż się nań porwać nie będą śmieli przyjaciele biskupi.

Próby przejednania się ze strony książąt, zupełnie się nie powodziły. Na Wawel, gdy go do zamku z kościoła ściągnięto, szedł ze słowy zjadliwymi i szyderstwami.

Spotykając Leszka przypominał więzienie swe i zamek w Sieradziu. Bolesława nigdy nie ominęło opowiadanie, jak go sznurami skrępowanego w wozie tłukąc wieźli druhowie księcia.

— To się pamięta, — mówił, — a póki człek żyw nie zabędzie!

Kinga nie mogła go rozbroić anielską łagodnością i pokorą, Bolesław milczeniem cierpliwem.

I ciągnęło się tak lat kilka, — czas nie zacierał, nie ułagadzał, ale jątrzył.

Coraz rzadziej, jakeśmy mówili, dawał się Biskup, zbliżać do siebie książętom, w końcu zupełnie zerwał z niemi. Ludzie Biskupa z zamkowemi byli jak ich panowie.

Rycerstwo niemieckie i polskie Bolesława obrażone za księcia, odzywało się, iż gotowe jak Toporczycy, drugi raz Pawła uczyć, aby lepszym był, gdy pierwsza kazań nie pomogła.

W mieście, w ulicach, gdy się dwa oddziały spotykały, rzadko się bez zaczepki obeszło, niekiedy do mieczów się zrywano.

Gdy w gospodzie gdzie jedni się z drugimi potłukli, a poszły skargi, czy na Wawel, czy do Biskupa, odgrążano się.

— Tego jeszcze mało.. to dopiero początek.. Co dalej, to lepiej będzie.

Powoli Biskup starał się ku sobie ziemian przygarniać i nowe mieszczaństwo krakowskie, które po najazdach tatarskich i zniszczeniu miasta, napływało tu ze stron różnych i osiadało.

W grodzie samym już teraz ziemianie krakowscy i rycerstwo miru tego i mocy nie mieli, co za dawnych czasów. Coraz więcej Niemców, Ślązaków, rękodzielników, osadników powołania różnego gromadziło się tu na osobnym prawie swem siedząc, miasto zagarniając i rządząc się po swojemu.

Było już naówczas widać, co się wkrótce potem objawiło dobitniej, że Kraków a ziemia krakowska stały się dwiema rzeczami różnymi. Ziemianie czuli się tu prawie gośćmi, gdy niedawno gospodarzami byli.

Niemcy tak tu, jak po innych miastach większych, zwłaszcza na Ślązku, garnęli wszystko pod siebie. Tubylców starych mało było, a ci ani bogactwy, ani zapobiegliwością przybyłcom sprostać nie mogli.

Wprawdzie Niemców tych więcej po stronie Bolesława stało, który ich tu osadzał, niż Biskupa co obcych nie lubił.

Kraków na tatarskim zgłiszczu budował się inaczej, zmieniał, rosł, mocniej obwarowywał, lecz dawne swe tracił cechy i do miast niemieckich coraz się podobniejszym robił. Biskup rzadko tu siedział, zbyt na widoku nie chciał być, nie na rękę mu było, gdy przybywających doń ludzi liczono, wytykano i każdy ruch jego śledzono.

Wolał w Kunowie, albo innej wsi kościelnej gościć, bo tam swobodniejszym był, wymykając się na dni kilka i kilkanaście pod pozorem łowów, Bóg wie dokąd.

Złe języki powiadały, iż naówczas w świeckich sukniach, pod obcem jakimś imieniem widywano go na dworach Ślązkich, u Mazowieckich książąt, na granicach Litwy...

Przybywali też do niego do Kunowa tacy ludzie, których nie znał nikt.. Książęta jacyś zupełnie obcy, w osobliwych strojach, mówiący językiem niezrozumiałym.. Tych on przyjmował wspaniale, na rady się z nimi zamykał.. Nie byli to Niemcy, bo tych naówczas znano i poznawano łatwo, lecz.. jacyś poganie chyba z nad granic...

Ludzie ich i oni wyglądali obco i dziko.

W Kunowie Biskupowi i dla tego lepiej było, że się tu z szaloną, jak zwano, Bietą, nie spotykał. Dozorujący dworu i lasów pilno mieli zaleconem śledzić czy się gdzie nie ukaże — ale dotąd w okolicy jej nie widywano.

Przez kilka miesięcy Paweł jej nie widział wcale.

Uspokoiło go to, myślał, że chyba zemrzeć musiała, uwalniając go od nienawistnej trwogi. Zonia, która wszędzie za nim, jako gospodyni jeździła, potwierdzała to przekonanie, iż się jej nareszcie pozbyli.

Śmielej począł ks. Paweł wyjeżdżać na łowy, nie obawiając się już tak bardzo spotkania z nią.

Było to jakoś jesienią, gdy dnia jednego pod wieczór razem z Krukiem, nieodstępującym go, zapędzili się w las i zbłądzili...

Kruk w lesie źle sobie radę dawał, tak, że częściej Biskup jego niż on pana wyprowadzał z ostępów. Dnia tego jakoś i sam Paweł drogi wynaleźć nie umiał — poczynano zmierzchać...

W puszczy błędząc, przypadkiem już tylko, a jak Biskup mówił, szczęściem jakimś natrafili na ścieżynę, na której ślady wozów i koni widać było. Musiała więc do jakiejś prowadzić osady. Jechali wolno, psy szły za nimi z wywieszonymi językami, — upatrywali tylko rychło-li się dym lub chata ukaże — gdy na drodze znalazł się strumień.

Jeden to był z tych wielu, które za pogańskich czasów świętymi się zwały, bo u ich brzegów uroczystości się odbywały a ludzi wody ich leczyły. Tam gdzie dawniej leżały kamienie i znaki bożyszcz pogańskich, później księża postawiali kapliczki i krzyże, bo ludzi od chodzenia do wód odzwyczaić nie było można, więc wolano miejsca te znakiem Bożym uświęcić.

I tu też zdala postrzegł Biskup malusienką drewnianą kapliczkę z krzyżykiem na dachu, około której mnóstwo łachmanów wisiało, co je chorzy z siebie pozrzucali. O mroku

nie dostrzegli nic więcej, aż dopiero zbliżywszy się ujrzał Biskup, postać jakąś stojącą przed kaplicą, jak gdyby nań oczekiwała.

W długiej czarnej sukni i zasłonie na głowie, wydawała się niewiastą, a Biskup zobaczywszy ją — zadrżał. Przypomniała mu Biętę przeklętą.

Nie wstrzymał jednak konia, nie chcąc rzucając się w bok okazać obawy, choć Kruk, jadący za nim, syknął. On także zląkł się, czy nie owa szalona była.

Zrównawszy się z kapliczką, ks. Paweł spojrzął w bok, gdy w tem czarna niewiasta konia powolnie idącego za cugle chwyciła i znany ów straszny śmiech się rozległ.

Wierzchowiec Biskupa stał jak wryty, choć bodzony ostrogami, Kruk przelekkły w bok na gąszcze się rzucił.

— Dawnom cię nie widział! — odezwała się Bieta. — Myślałeś, żem zapomniała lub przebaczyła? Nie, leżałam chora, nie umarłam i otom jest! otom jest!!

Nie odpowiadając Paweł konia napierał, chcąc ją wyminąć. Drżał z gniewu i ze strachu.

— Posłuchaj mało! — rzekła — posłuchaj! Knujesz zdradę! Kumasz się z wrogami... ja wszystko wiem! Jeździsz do nich, nocami się włóczą do ciebie. Ogień i miecz gotujesz na swoich książąt, chcesz wyganiać, obcych prowadzić! Czyń tak! czyń! Znowu cię powrozami skrepują i do więzienia wtrąca! wtrąca!...

Ja się wproszę do ciebie do kuny... noc i dzień śpiewać ci będę nad głową...

Cha! cha!

Puściła cugle koniowi. —

— Jedź! jedź! znajdziemy się! Gdzie ty, tam i ja! Gdybyś do piekła uciekł, ja pójdę za tobą.. bom twoja! twoja! Jedź! powtórzyła za uchodzącym. — Nie ujedziesz odemnie. Ja z tobą!!

X

Pustą a dziką i smutną a piękną, jak wszystko co z rąk Bożych dopiero wyszło, a ludzie jeszcze popsuc nie mieli czasu — była Litwa za onych czasów.

Milami lasów trzeba było jechać do osady, do gródka, do chaty w ziemię zarytej i zagrody kamieniami a gałęzmi obrzuconej.

Gdzieniedzie u brzegów rzek, u spływu dwu wód, na cyplu śpiczastym wznosił się zameczek z olbrzymich kłód w zrąb zarzucony.. podobny do ofiarnego stosu.

W dolinie u rzeki wysuwał się szereg domków długi, niby obozowisko przyległe do ziemi..

Mało gościńców biegło tym krajem co się lasami i błoty jakby twierdzą opasywał od napaści. — Puszcze stały jeszcze tak jak urosły, gdy ziemia osychała, mnogie jeziora i stawy, jak je powódź przedwieczna uchodząc zostawiła, a po polach i łąkach bryły kamieni, które niegdyś lody i morze z północy tu przygnały, spoczywały na ziemi obcej smutne przybłądy.

Pustynia ta wszakże żywą była i zamieszkaną, bo ją tysiące zwierza zapełniało, na sosnach pszczoły w dziuplach składały miody, pod niemi w łomach gałęzi i liści gnieździł się meszka, nad łbem jego biegały wiewiórki, pod nosem przemykał się lis ostrożny. Nie było tu stopy ziemi, któraby niemiała mieszkańca. W ciepłych borach było im jak w chacie, na żer nie potrzebował iść daleko, sąsiad żywił się tem, kogo miał pod bokiem.

Lata upływały tak w nieprzerwanym spokoju i chyba piorun las zapalił a wiatr pożar poniósł po nim, naówczas ruszało się wszystko i strach było spojrzeć jak cała ta gromada leśnych gospodarzy razem przed ogniem uchodziła, nie myśląc o starych waśniach ni zemście.

Płomień gnał razem naówczas żubry, łosie, stada kóz, niedźwiedzie i borsuki, żbiki, lisy i zające w jedno stado zbite, oszalałe, ryczące, aż gdzieś w poprzek ognia stanęła rzeka, wstrzymała pożar a ocaliła zbiegów, którzy na drugim brzegu wracali do dawnych zatargów i wojny.

Lasy! Czem były owe dawne lasy przy dzisiejszych skarłających swych potomkach!! Sosny, których wierzchołka trudno dojrzeć było, dęby co strzelały jakby kamiennym słupem ku niebu. Brzozy nawet dziś rozpieszczone i płaczące, naówczas jak strzały wyprostowane, z korą popadałą i szcerniałą, pięły się w górę dumne, aby drugim sprostać.

Wiatr co wstrząsał wierzchami tych olbrzymów, rzadko mógł sięgnąć do puszczy głębi. Lecz jeśli wdarł się przemocą jeden z tych co młynem idzie w powietrzu i wody wypija i piaski zamiata w górę — wówczas wyłom zrobiwszy obalał obszary całe i stopy układał jak góry...

Puszczą była cała niemal Litwa ówczesna niedostępną i straszną, a starsze drzewa — olbrzymy, stały za Bogi, bo tu z drzewa żył człowiek. Ono dawało wszystko, chatę, opał, schronienie pszczołom, zwierzęciu pokarm, człowiekowi obówie, wóz, pałkę...

Na skrajach od ziem cudzych, od Rusi, od Krzyżaków, co już mieczem i ogniem się rozpościerali, inaczej wyglądały rubieże i popalone, zniszczone i zgniecione, ale czem dalej, w głąb, tem uroczyście panowały pokój i cisza. Zakąty były, do których żadne obce nie dosięgało oko, nie doszła stopa. Otworem one stały, bezbronne, lecz w te ciemne, tajemnicze przepaście, któżby się śmiał zapuścić...

Pogańska jeszcze Litwa, znała przecież swych sąsiadów i ich wiarę, z ruskimi kniaziami się kumano chodząc do nich i ściągając ich ku sobie. Mazowieccy książęta zaczynali też szukać przyjaźni litewskich kunigasów. A było ich naówczas wielu na gródkach różnych, tak prawie jak w Polsce, bo potężnej dłoni Mindowsa króla nie stało, a syn jego mnich Wojsielk, już był zabity. Łupem ich podzielili się ci co na działach siedzieli, i tak jak w Polsce jeden ziemię wydzierał drugiemu.

Religia chrześcijańska i chrzest szedł tu od Rusi, bo miecze krzyżackie jeszcze miały do czynienia z Prusami, które krwią nawracały.

Kunigasy litewskie to się potajemnie dawali oblekać w białą szatę chrześcian, to ją rzucali. Nad nimi wszystkimi stał jeszcze potężny Krywe — Krywejto Arcykapłan i władca, który po za sobą miał lud wszystek, Wejdalotów jak wojsko i wejdalotki. Jawnie krzyż się tu jeszcze nie śmiał ukazać, bo choćby go lud leśny ścierpiął chwilę, przychodziła szala godzinna, rzucił ktoś słowem straszmem, burzono kaplice i zabijano ich sługi.

Na tej ogromnej płaszczyźnie przeciętej srebrnymi rzeki i jeziora jak drogie błyszczącymi kamienie w złotej piasków oprawie — tu i owdzie wznosił się prastary dąb Perkunasa, obwieszony tykami, obwieszony oponami, z wiecznym dymiącym ołtarzem ognia niewygasłego i z białymi kapłanki. Po nad drogami stały kamienie dziwacznych kształtów, nieme Bogi, słupy z powbijanymi bałwany, które dziwactwo przyrody splotło z gałęzi lub korzeni.

U strumieni zbierano się i modlono...

Wielkie osady całe przy ziemi siedziały na kupkach kamieni, z bierwion drzewa sklecone. Ledwie gdzie kunigasowy gródek miał kawał muru albo bielszą ściankę. Niepozorne te budy i szałas w swych wnętrzach kryły jednak wszystko prawie co ów wiek miał najwytworniejszego.

Przyływały do brzegów morza statki, które niosły towar z daleka; gościńcami od Czarnego morza chodziły od prawków karawany z kupią na te wśród pustyni targowiska. Nie brakło tu ani zbroi ni żelaza, ni miedzi hartowanej, ni szat złotem przesywanych. Lecz po chatach i między ludem gardzono temi bogactwy tak, jak się wzdrygano wszystkiemu obcemu.

Od obcych przyjąć miała niewola, a tu panowała owa swoboda wiekuista pustyni, którą dawały przestrzenie. Do głębin lasów ani ręka Kunigasa, ani Dzieccy jego dosięgnąć nie mogli. Roli wydzierano mało; las dawał miód, mięso i grzyby, rzeka rybę... Nieżyzna rola gdy ją popiół spalonych drzew zasilil, rodziła rok lub dwa, a potem jałowiała i zarastała lasem.

Pół dzikie to życie, miało całkiem dzikich obrońców. W lasach siedzieli ludzie ukołysani baśniami i podaniami odwiecznymi, pieśnią mytycznej ojczyzny, ze wspomnieniami słonecznymi dawnej kolebki.

W zapadłych ziemiankach życie się snuło patriarchalne, czyste, opromienione miłością rodzinną, związane ojcowską władzą, a przesnuwało się jak marzenie, jeśli go wróg nie zakrwawil.

W lasach brzmiała piosenka świeża, wonna, urocza, śliczna jak dzikich pól kwiatek — którą pokolenia tworzyły, do której każdy coś dodawał, której wieszczem były piersi wszystkie, twórcą wieki.

Obcy ludzie widzieli z tej Litwy ukrytej, dla nich niedostępnej, tych tylko co szli jej bronić zajadle; brodatych ludzi w czapkach spiczastych z uszami, z pałkami u pasa,

z maczugami w ręku, z procami i łuki, kozuchami okrytych, skórzniami okutych, krwi chciwych i oszalałych, bo domów i rodzin bronili.

Sięgnąć było potrzeba do głębi, aby prawdziwą Litwę, spokojną prądkę życia zobaczyć, siedzącą u Niemna z piosenką na ustach. — Tej nikt nie znał. Mówiono o Litwie jak o tych Jaćwieżach, których wytępiono gdy się w swem gnieździe rozpaczliwie bronili — barbarzyńcy są.

Rzadko naówczas poważał się kto w tych puszcach wnętrza — a i posłom za życie trudno ręczyć było, bo jak zwierzę co szczeniąt swych broni, Litwin, który napaści wrogie pamiętał — zrywał się na dźwięk mowy nie swojej i rzucał się krwi chciwy na tego co mu wydrzeć miał jego odwieczną siedzibę.

Przecież jednego poranku na początku zimy, w lasach, które stanowiły nie dobrze określoną Litwy granicę — ukazała się gromadka zbrojnych ludzi, którzy choć byli tak przybrani, że ich po kozuchach i kołpakach trudno poznać było z kąd ciągnęli — baczemu oku nie mogli się Litwinami wydawać. Było ich koni więcej pół kopy, a w pośrodku jechał mąż już dobrze nie młody, silny jeszcze, dobrej tuszy, z twarzą od chłodu zarumienioną. Oblicze jego dumne było a odwagą nacechowane, oko patrzyło z góry i śmiało.

Choć w ubiorze nie miał na sobie nic, coby wodza oznaczało, widać było, że on między niemi przewodził. Oglądali się nań wszyscy. — Poczet ten konnych stanął u kopca w pośród lasu u starego dębu, na którym świeżo znak był jakiś wycięty...

Temu granicznemu piętnu, wyrzezanemu głęboko w korze, wódz się przyglądał ciekawie, bo było podobnem do krzyża, tylko ramiona jego u góry zagięte, pochylały się wszystkie na prawo, i krzyż jakby przerywanem obwodziły kołem.

— Toż nasz znak! — zawołał starszy oglądając się — a oto mogiła! Tu więc czekać trzeba, póki się nie zjawią...

— Juści gdy przyobiecał a nas tu przywiódł, odparł mniejszego wzrostu drugi za nim jadący mężczyzna z bródką czarną, rozglądając się dosyć bojaźliwie do koła — ale za pogan ręczyć nie można, czy zdrady nie knują. Nuż nas w pułapkę chcą ściągnąć? My się tu w pół kopy mieczów temu pogaństwu nie obroniemy, gdy chmurą do koła opasze...

— A cóżby im z tego przyszło? — odparł pierwszy. Łupu by się na nas niedorobili wielkiego!

Nie dokończywszy spojrział ku lasowi, ale ztamtąd słychać nic nie było.

Gromadka owa ściśnięta dosyć szczelnie, stała mając się na baczności, choć dowódzca zdawał się spokojny. Gdy cokolwiek zaszeleściło w borze nastawiano ucha, mimowolnie chwytając za miecze u pasa. Ale tententu koni, którego się spodziewano i obawiano razem, słychać niebyło.

Upłynęła tak więcej niż godzina. Wódz kazał sobie napoju jakiegoś utoczyć z baryłki, którą jeden z ludzi wioził pod kozuchem. Mruczeli drudzy po cichu, a im dłużej czekano, tem większa obawa zdrady się rodziła. Słońce na bladym, zimowym, wypogodzonym podnosiło się niebie — nic jeszcze się nie ukazywało.

Narescie jeden z ludzi dał znak, on pierwszy daleki tentent uchwycił. Wszyscy poprzykładali do uszu ręce. Coraz wyraźniej w głębi lasu szumiało...

— Jada! — zawołał czarny, na pół z obawą, pół z radością.

Wódz nic nie odpowiedział.

Niektórzy znów instynktowo się do mieczów mieli. Bieg koni po zamarzłej ziemi rozznaczyć już mogli. Usiłowano z niego liczbę koni odgadnąć.

— O! ho! szepnął jeden, będzie ich tam z pół kopy, kiedy nie więcej.

Stali czekając w milczeniu, gdy z po za drzew przodem jadący pokazał się młody, piękny mężczyzna, na dziarskim małym koniu.

Kołpaczek miał na głowie futrzany, którego spiczasty wierzch zwieszał się naprzód, a dwa z uszów końce na ramiona mu spadały razem z jasnymi włosami, z pośrodku których rumiana, okrągła, z czołem wypukłym twarz patrzyła, mimo młodości siłą wielką i odwagą uderzająca. Oczy niebieskie na pozór słodczy pełne, miały w wejrzeniu coś takiego, co zwiastowało, że i okrutnymi być umiały. Usta małe dokoła obsypane puchem złotym, dumnie podniesione, śmiały się dziko, straszno, choć może wesołymi być chciały...

Wódz konnych zobaczywszy nadjeżdżającego młodziana w kozuszkach sobolowych, w pasie nabijanym, z łukiem okutym na plecach i trąbką kościaną — wysunął się naprzeciw niego i ręką od czapki go pozdrowił.

Tamten też podobnie go witał. —

Za nim ciągnący widać było oddział.

Dosyć liczny, na małych konikach kosmatych, w kozuchach i czapkach wysokich, zbrojny w luki, proce i krótkie pociski drewniane, wiszące jak klocki, lub za pasy pozatykane.

Dwa oddziały opodal zostały od siebie, bo ten, który przybywającemu towarzyszył, zatrzymał się w lesie, jakby mu to wprzód nakazano.

W pośrodku między nimi zjechali się wódz i młodzieniec, cichą rozpoczynając rozmowę.

Nie trwała ona długo, porozumieli się wprędce, wódz dał znak swoim, aby za nim jechali. Ale w chwili, gdy się już ruszyć mieli, młody pochylił mu się do ucha i żywo mówić coś zaczął. Zatrzymano konie...

Starszy wódz chwilkę się namyślał tylko, powtórnie znak dał, aby ludzie jego stanęli.

— Kruk! — zawołał do czarnobrodego, — nie potrzeba mi was. Zostańcie tu i czekajcie na mnie. — Jadę sam.

Jeden ze starszych rycerzy, syknął.

— Sam! a bezpieczniej to?

Uśmiechnął się wódz pogardliwie.

— Niebezpieczeństwo równe w pół kopy, jak jednemu, — rzekł — a może większe, gdy nas kupa będzie.

Jadę sam!

Z podziwieniem spojrzeli po sobie ludzie, gdy to posłyszeli. W istocie potrzeba było odwagi, aby się samemu zdać, prawie bezbronnemu w ręce nieprzyjaciół.

— Ręczę za bezpieczeństwo wasze! — zawołał młody po rusku, bijąc się w piersi.. Jadąc gromadą niepotrzebnie ludzi oczy ściągniemy.

Wódz starszy popatrzał nań i dodał.

— Jedziemy więc! Nie na wieleby wam się zdało wziąć mnie albo ubić, z wolnego i żywego weźmiecie więcej.

Skinął głową ku swoim mężny człowiek i dał koniowi ostrogę.

Pozostali u skraju lasu z niejaką trwogą za oddalającym się patrzali.

Tym czasem dwaj jeźdźcy już się w puszcę zaszyli, a za nimi oddział co przybył z młodym Kunigasem ruszył, chciwemi i szyderskimi oczyma mierząc obcego człowieka, który za ufnie dał się im w ręce. Myśleli, że dobroduszny, a łatwowierny pewnie już więcej do swoich nie wróci. —

Droga wiodła ich z początku borami, wśród których z doskonałą znajomością kierował się Kunigas młody. Zwracał, objeżdżał oparzeliska, wybierał las przerzedzony. Oba konie szły dobrym kłusem. Z rzadka jadący obok przemawiali do siebie.

Starszy jechał nieco zaszępiony i chmurny, gdy towarzysz jego przeciwnie twarz miał uśmiechniętą i wesołą. Dobrych dwie godziny trwała ta jazda spieszna, gdy Kunigas zwolnił kroku.

— Koniom się dać trzeba wysapać — rzekł.

— Daleko jeszcze? — spytał stary.

— Wprędce staniemy u celu, — odparł młody. Nie chciałem was daleko od granicy odprowadzać, bo by podróż za długo trwała. Jest tu mały gródek, gdzie się wszyscy zbiorą...

— A wielu was tam będzie? — zapytał stary.

— O! jest nas dużo! — rozśmiał się Kunigas. Ja sam z mojami ludźmi siły bym nie miał dosyć, aby ją wywieźć w pole daleko... Gdy nas kilku się zbierze, ludu znajdziemy tysiące, a wszyscy tacy co u granicy siedzą i na wycieczki gotowi...

Kraj u nas teraz podzielony, my wszyscy nim, każdy na swą rękę rządziemy. Nie chcemy mieć już nad sobą takiego, coby nas za łby trzymał a kazał bić się i krew lać dla siebie...

— Tak i u nas jest, — odparł starszy. — Niewiem czy wam z tem dobrze, ale gdy wróg grozi potężny, rozbijać się na małe kupki niebezpieczna.

— Kupki do gromady zbić łatwo, — odparł krótko Kunigas.

Wyjeżdżali z lasu na pagórek piaszczysty, kamieniami usypany, który wysoki brzeg rzeki stanowił. Przed nimi ów zapowiedziany gródek widać było na wzniesieniu małym,

nagiem, sterczący jak wał ziemny, z po za którego wielki budynek drewniany, nie zbyt wysoki wyglądał.

Na żerdziach wbitych w ziemię z jednej strony płachty się jakieś wahały, jakby pasowate chorągwie.

Stary wlepił oczy ciekawe w to liche gniazdo przyklepione do pagórka, a w twarzy jego malować się musiało lekceważenie jakieś, bo Kunigas rzekł żywo:

— Nie zważajcie, że to niepocześnie wygląda. Toż nie zamek żaden, czata tylko nad granicą, nocleg dla ludzi, spiżarnia. Gdyby na nas napaść chciano, gdzieindziej byśmy się bronili.

Przystęp do gródka nie był łatwy. Przez trzęsawice wiodły hacie, przez rzeczkę most lichey, który łatwo zrzucić było. Trząśnięcie się on pod nogami koni i kołysał tak, że strach go było przebywać. Gdy na pagórek się wspięli, zobaczyli wrota otwarte, a w podwrocie wałem otoczonym, dość koni i ludzi, podobnych do tych, którzy im towarzyszyli.

Po nad budynkiem w pośrodku zbudowanym z kłód ogromnych, dym unosił się gęsty.

Stała ta szopa zasięgiem do koła z podobnych grubych bierwion opasana, w drugim podwrocie, a nie miała w sobie tylko jedną wielką izbicę.. Przed nią u słupów dębowych co dach wystający do koła trzymały, zsiadli z koni — i weszli do środka szopy...

Ciemno tu było choć we dnie — trochę światła wpuszczały tylko drzwi stojące otworem.

W samym środku kamieniami obłożone paliło się ognisko wielkie, płomieniami jasnymi, a nad niem ludzi kilku piekło całe udźce i rozpołowione kozły dzikie.

Do koła na kamieniach, na belkach, siedzieli i stali ludzie różnie poodziewani, zbrojni jak młody Kunigas, twarzy posępnych i groźnych. Kilku z nich naprzód wystąpiło, reszta się w głąb szopy cofnęła.

W kozuchach pięknych, dostatnio okrytych, w kołpaczkach ze spinkami, z mieczami u pasa ozdobnymi, wyszli naprzód ci, którzy tu pierwszemi być musieli.

Dwaj z nich byli już siwi i ci się dalej trochę i nieprzystępnie trzymali — reszta ludzie młodzi, ciekawi, zobaczywszy obcego człowieka, żywo się posunęli ku niemu.

Kunigas, który mu w drodze towarzyszył, na głos odezwał się po litewsku do swoich — wskazując na gości. Witano go niezbyt przyjaźnie, z niedowierzaniem, spoglądając nań dziko, ale z wolna zbliżać się zaczęli wszyscy.

Posiadali na kamieniach leżących przy ognisku, z których kilka umyślnie było skórami wyszarzanymi okrytych.

Człek z krótko ostrzyżoną głową, wysunął się z za ognia, przynosząc dzbanek i kubki. Nie były to sprzęty wytworne, dwa z nich ze srebra kute grubo, inne z drzewa czysto obrobione a we środku smołą wylane.

Gospodarz młody podniósł pełny kubek, zlał z niego trochę na ziemię, szepnął coś kłaniając się gościowi, inni też zwracając się doń, do ust kubki poprzykładali i pili.

Nie wszyscy spełnili to ochotnie... Niektórzy zaledwie umoczywszy usta, wciąż się przyglądali Lachowi. Czekano widocznie rozmowy.

Kunigas młody odezwał się po litewsku, iż przybysz tylko ruską mowę zrozumie. Poszeptali starzy, zgodzono się na nią.

Stosunki z Rusią i Krywicami język ten na Litwie wielce już rozpowszechniły, rozumieli go prawie wszyscy, zwłaszcza starszyzna z różnemi ludźmi do czynienia mająca.

Młody więc po rusku zaczął.

— Zapraszają nas na Lacką ziemię iść, ale nie samym. Posiłkować będziemy ich Kunigasom własnym, którzy tam między sobą zwadę mają, a sami nie dosyć są mocni, aby ją rozsiekli własnym mieczem...

Starsi potrząśli głowami. Jeden z nich, co kubek pełny trzymał, zamruczał:

— Iść to iść... ale samym lepiej i bez przymierza! Znamy my ich wiarę i przyjaźń! Wprowadzą nas w pośrodek... aby potem otoczyć i wysieć...

Ręką znak zrobił ku ziemi.

— Nie trzymajcie o nas tak źle — odezwał się przybyły. — Gdy słowo damy, strzymamy je, jakby było przysięgą. Łup jaki weźmiecie w bydło i w ludziach, do was należeć będzie bez podziału. Pójdziecie z książęty których znacie...

— Otóż, że ich znamy, — sprzeciwił się stary Kunigas — dla tego z niemi nie bardzo iść chcemy. Konia z krową do sochy nie zaprzęgać, ani wilka z baranem... ani...

Słów mu zabrakło.. ręką zamachnął.

Drugi go uderzył po ramieniu dając znać, że mówić chce. Pochylił się ku gościowi.

— Gdybyśmy i szli — rzekł — dla waszej sprawy, na waszej musimy być stawie. Za pomoc trzeba zapłacić, bo łup niepewny, a za niego my żywot dawać musimy. Krew się poleje.

Mówcie ile grzywien srebra dostanie z nas każdy?

Na to pytanie gość zadumany nie zaraz mógł odpowiedzieć. — Inni Kunigasowie pochwalając ten warunek, głowami sobie znaki dawali i w milczeniu na odpowiedź oczekiwali.

— Damy wam i grzywny, — odezwał się po namyśle gość — damy, ale wiedzieć potrzeba za co? kto i wielu przyprowadzi ludzi. Na sotnie policzymy ich i na nie grzywny podzielim.

Wszczął się spór po litewsku między Kunigasami o grzywny.

Młody gospodarz i gość milczeli, dając się starszym między sobą rozprawić. Do zgody było daleko.

Tym czasem stoły ladajakie ustawiać przed nimi poczęto, i znosić na nie mięso, miski ze strawą, kołaczki, które przywieziono gotowe...

Niektórzy głodni nie czekając brali się do nożów z za pasa, mięso krając i razem spierając się burzliwie. Na poważnego gościa, choć wiedzieli, że znaczny człek być musiał, nie zważano wiele. Obcy był — znali go tu, ale wstręt czuli ku niemu i z tem się nie kryli.

—

Stary Kunigas Gedrotas odezwał się do swoich po litewsku, wiedząc, że języka tego obcy nie zrozumie — wskazawszy nań palcem.

— Jak jemu wierzyć, kiedy on swych braci zdradza i przeciw nim nas najmuje? Nie ruszemy się bez grzywien.

Postawiono jadło przed przybyłym, który choć bardzo nasłuchiowaniem zajęty, dobył też dużego noża i kubek wychyliwszy, zabrał się do jadła ochoczo.. Oczyma jednak biegał po Kunigasach, którzy na niego pilno patrzyli.

Spierano się, kto ile koni i ludzi dać może, i jaki lik mogą wyprawić litwini.

Zaczęli się rachować z różnych grodków i małych dzielnic, po dwieście, pięćset i po więcej głów każdy.

Potem rzekł znów Gedrotas, że w małej kupie iść, choć z posiłkiem, niebezpiecznie było dla zdrady, że kilka musieli zebrać tysięcy, aby korzyść odnieść i nie lękać się nikogo.

Przybyły gość młodemu Kunigasowi, który mu to tłumaczył, rzekł, że choćby tysięcy kilka radzi przyjąć książęta, byle mężnego i dobrze zbrojnego ludu.

Starsi książęta dość niechętnie zbierali się na tę wyprawę, więcej ona młodszym smakowała, uśmiechali się i szepotali po cichu.

— Jest się czem pożywić w ich kraju... Niemców tam dużo siedzi... to ludzie zamożni, skrzynie u nich pełne.. Dziewek i chłopców zdrowych w niewolę nabierze się dużo.. Tatarzy tam na nich najwięcej łasi — jeńcy z Polski najdrożsi...

Kubki wesołość rozbudzały — ale gość siedział chmurny. Pilno mu dokończyć było umowę, oglądał się na drzwi, czy dnia dosyć na powrót zostanie. Młody gospodarz chciał także przyspieszyć koniec, zaczęto więc na kijach nożami rzezać i karbować ile się ludzi zbierze... aby się o grzywny umawiać. —

Powolnie dosyć i bez sporu godził się na wszystko przybyły. —

Zapijano przyjęte warunki. —

Szło tak wszystko rażno i dobrze, gdy gość siedzący na kamieniu, po izbie ciemnej wodząc oczyma, teraz, gdy lepiej już widział w tych mrokach, spostrzegł naprzeciw siebie stojącego kogoś i drgnął jakby rażony.

Z drugiej strony ogniska, z po za dymu spoglądała nań twarz blada, uśmiechem skrzywiona, niby znana a nieznaną...

Zdawał się to być młody człowiek, choć twarz miał zmęczoną i starą. Czarne oczy ogromne wlepił w siedzącego śmiało i groźnie, a uśmiech złośliwy dzierzał mu usta.

Nieznanomy ten zmieszany był z czeladzią i jakby do niej należał odziany, Biskup raz i drugi spojrział nań, zawsze oczy jego znajdując wlepione w siebie..

Wzrok ten — był jakby mu znany. Postać z za dymu krzywiąc się, wyzywając, patrzyła nań ciągle...

Nie mogąc wytrzymać jej wzroku, poruszył się z kamienia.

— Kończmy! proszę! — odezwał się żywo do młodego Kunigasa. — Grzywny zapłacim gdy staniecie gotowi. Możecie przybyć po nie do mnie...

To mówiąc po cichu coś jeszcze do ucha dokończył Kunigasowi, i niespokojny za ogień patrząc na czarne szyderskie oczy, zapytał go, nieznacznie w stronę ich wskazując...

— Kto tam stoi?

— Tam? — odparł podnosząc głowę młody — czeladź nasza! Jeńcy pobrani różnemi czasy w stronach różnych! Kto wie jacy są?

Gość zamilkł, z za dymu oczy i człowiek znikły...

Zmierzchało — żegnać się zaczęto, i szybkim krokiem, jakby go gnano, gość wybiegł do konia, a w chwilę potem tętniało już w lesie za niemi...

Syn Jazdona

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z CZASÓW BOLESŁAWA WSTYDLIWEGO I LESZKA CZARNEGO

TOM TRZECI

I

Pustkami teraz stał najczęściej biskupi dworzec w Krakowie. Rzadko się tu zjawiał ksiądz Paweł, jakby mu to miejsce przykreml wspomnieniami obrzydło. Siedzieć wołał w Kunowie, chociaż i tu niemiłe zostały pamiątki, w Łagowie albo na jakim innym kościelnym folwarku. Sprawiał sobie łowy, z miejsca na miejsce przenosząc się często, jakby na jednym długo obawiał się lub nie mógł wysiedzieć.

Za nim, gdziekolwiek ciągnął, wlokły się gromady różnego rodzaju ludzi, nieznanymi przybłędów ze wszystkich części Polski, z Pomorza, Ślązka, z Rusi, odarte klechy, ziemianie niewiadomego gniazda, rycerstwo najemne, czeladź do wszelkiej posługi.

Wszystko to piło, jadło, kłaniało się, na skinienie rozbiegało w różne strony, powracało z wycieczek z tajemnymi donosy i ruszało znowu...

Z Krakowa też ziemianie niektórzy zniechęceni do Bolesława lub ujęci, z Sandomierza, z Sieradzkiego co było swoim panom nieprzyjaznych, znajdowało tu ucho i przytułek.

Gdy przy stole sobie podochocono, obcy człek mógł się tam dziwnych nasłuchać rzeczy, ale wszyscy byli swoi, a kto do Biskupa łgnął, ten już przybywał z żarzewiem w sercu przeciw Bolesławowi i Leszkowi.

— Nie będę żyw, jeżeli ich nie powypędzam precz, a innych na ich miejsce nie posadzę!

Tak się odgrażał Biskup znosząc się i spiskując na wsze strony. Obiecywali mu się wszyscy, ale nikt pierwszy zacząć nie chciał.

Wahali się Mazowieccy książęta, Ślązcy się z sobą gryźli, o Wielkopolskich myśleć nie było można, bo ci z Leszkiem trzymali. —

Jednego zimowego dnia, gdy Biskup z długiej wycieczki jakiejś do Kunowa powrócił a spoczynku potrzebował, dano księdzu Pawłowi znać, że dwu jakichś ziemian mówić z nim chciało i dopraszało do niego.

Ziemian, a zwłaszcza krakowskich, Biskup był bardzo żądnym, wstał więc prędzej niż zamierzył, aby się rozmówić z niemi.

Sprawy były pilne.

W domu u niego w Kunowie, jak u ziemianina, który rzadko u siebie gości, a trzyma tylko dwór byle miał gdzie spocząć w przejeździe — ładu wielkiego nie było. Po izbach niktby się nie domyślał Biskupa, zalegały je psy, a oręża więcej było niż świętości.

Komora ta, w której Biskup przyjmował i wiódł na rozmowę, nie inaczej wyglądała.

Na ścianach wisiały oszczepy i mieczyki, na podłodze leżały skóry, na stole parę kufli stało i dzbanek. W domu Paweł innej też sukni nie nosił tylko krótką łowiecką, rzemiennym pasem ujętą, buty długie. Na palcu pierścien jeden, którego nie zrzucił, dostojność przypominał...

Otworzywszy drzwi do komory, w której przybyli ziemianie oczekiwać już nań mieli, Biskup wyrzwał i spostrzegłszy stojących — krzyknął... krew mu do głowy buchnęła.

U progu stali, dobrze mu znani i pamiętni Żegota i Otto Toporczyki, wrogowie jego! Oczom mu się wierzyć nie chciało! Stał niepewien czy ma do nich wyjść, czy ich kazać chwycić lub wyszczyć psami, gdy starszy Żegota podszedł kroków parę ku niemu, głowę skłonił i rzekł:

— W. Miłość zrozumiecie to łatwo, że gdyśmy tu przyszli, to nie po próżnicy.

Srogą macie urazę do nas, a no może większą nad nią chciwość pomsty nad Bolesławem. Ten nas zaparł się, więził, cześć nam odebrał... Wły przeciwko niemu byliście i jesteście, myśmy mu służyli, a teraz mścić się też gotowi. — Nam innego pana potrzeba.

Słyszac to Biskup wszedł powoli do komory.

— Prawdę mówicie? zapytał.

— Na krzyżu i ewangelii gotowiśmy ją poprzysiądz — zawołał Żegota, napróżno się oglądając czy krzyża albo księgi nie zobaczy... Ale tych u Biskupa nigdy nie było.

Słuchał ks. Paweł zdumiony nieco, twarz mu się zwolna wyjaśniała, Żegota mówił gorąco.

— Przebaczone nam cośmy zawinili, teraz my wam do pomsty służyć jesteśmy gotowi. Wynieśliśmy się z bratem na Szlązko, do księcia Władysława Opolskiego. Przyjął nas.

Z majętności w Krakowskim i Sandomierskim wyprzedaliśmy się, chociaż tam ród nasz i przyjaciół a powinowatych mamy. — Na Szlązku przez nas, sprzymierzeńców znajdziecie przeciw Bolesławowi i Leszkowi.

Słuchał Biskup i rozpatrywał się w nich obu. Oba oni, śmiało patrząc nań, odzywali się jeden coraz goręcej, drugi potakując mu we wszystkim. O zdradę posądzać ich nie było sposobu.

— Chce się, M. Wasza, pomścić za więzienie — ciągnął dalej Żegota — my także. Mało tego! my za wygnanie pomsty szukamy, musieliśmy iść na nie, od starego gniazda naszego. Mówią ludzie, szliście po dobrej woli, nikt nie pędził... Pędził srom! Musieliśmy precz! Więzienie cześć nam odjęło! Ziemianinowi ze zbójcami siedzieć w ciemnicy jednej — nieprzebaczone to, ani zapomniane być nie może!

A gdy człek tę ziemię dziadowską, pradziadowską rzucić musi — w cudze ręce macierz dać, iść między obcych... o! o!

Otto dodał pierś ręką gniotąc.

— A, boli to nad wszystkie boleści.

— Nie znamy tego za pana — rzekł Żegota, co nas nie znał za sługi swoje...

Paweł oparty o stół patrzył — słuchał.

— Ze Szlżakami, — przebąknął — pono niewiele zrobić można. Znam ja ich i maćalem po jednemu... Zajadają się między sobą, czyhają na siebie... W Opolu, Lignicy, Wrocławiu trudno się ładu dopytać!

— Oh! — zawołał Żegota śmiałości nabierając. — Pomną oni wszyscy, że jakieś prawo do Krakowa mają — niech im tylko nadzieja zaświeci...

Zamyślony biskup się wahał... Starszy Toporczyk ciągnął dalej.

— My oba, z księciem Władysławem na którego dworze zostajemy, poufale każdej godziny mówić możemy. Inna to rzecz przybyć doń i parę słów wymieniwszy, powracać, a różna codzien po troszę kłaść mu do ucha. — Niech nam M. Wasza dobre słowo da, a posłuży się nami, my go zwolna gotować będziemy. Siłę on ma... byle wolę chciał mieć...

— My tam dla Was rolę dobrze zorzemy i przygotujemy... potem będzie tylko ziarno siać!

A gdyby z Opolskim nie udało się, Wrocławskiego też możemy próbować, choćby też i Lignickiego...

Niekończąc Żegota, znak ręką uczynił wzgardliwy. Nie wiele go ważył.

— Wszyscy oni ciasno się czują na swoich Ślżkich udziałach, każdemu się chce więcej.

Biskup nie odpowiadał, lecz z twarzy widać było, że mu to było miłym co słyszał i coraz lepszym okiem spoglądał na dawnych swych wrogów.

Co za zrządenie Boże! Mógłże się on kiedy spodziewać by ci, których koniecznie śmiercią chciał karać, mieli przejść w służbę jego! Czasem zabobonny ks. Paweł widział w tem palec Boży, skazówkę, że mu się teraz poszczęścić miało. Dotąd z niedowierzaniem przyjmowano namowy jego i ofiary, Toporczycy mogli rozwiązanie upragnione przyspieszyć.

Żegota skłaniał mu się do stóp prawie, niżej niżby duma ziemianina dozwalała — ale zemsta gięła kark hardy. Zzymał się już widząc pewną obojętność w biskupie. Był prawie pewien, że go otwartemi przyjmie rękami.

— Możemy — dodał — służyć W. miłości nie tylko na Ślżku ale w krakowskim. Wynieśliśmy się, wyprzedali, to prawda, ale naszych tam dużo zostało, którzy trzymają z nami. Za księciem niewielu pociągnie.

— W Sandomirskim — wtrącił drugi, który dotąd milczał, — mieliśmy też kawał ziemi, i tam się swoi znajdują.

Biskup, którego niespodziewanie tak zaskoczyli ludzie co się z nim okrutnie wprzód obeszli w drodze do Sieradzia, nieufny ciągle spoglądał, słuchał, dumał, łatwym się im nie chcąc okazać. Obawiał się i podejrywał ich o zdradę... Nalegali nań jednak tak uparcie iż w końcu namyślać się zaczął jaką z nich korzyść będzie mógł wyciągnąć. Nie byli oni do pogardzenia, jako pomocnicy. Ród był stary, z wielą innemi spowinowacony, zamożny bardzo, ludzie odważni, energiczni i doświadczeni. Taż sama zemsta, którą biskup pałał — sprowadziła ich do niego.

Żegota napraszał mu się usilnie, gdy Paweł ręką powiódł po plecach i rzekł doń.

— Jeszcze ja wasze postronki czuję na grzbiecie i rękach, kości mam dotąd potłuczone od wozu waszego a wybyście chcieli abym w waszą przyjaźń uwierzył? Myślicie, że ja łatwo zapominam i przebaczam?

— Samibyśmy się z własnej woli nie ważyli na to, odparł Żegota. — Służy się panu to się go słucha.

Marszczył się jeszcze biskup.

— Czekajcie — rzekł — niespieszcie... Niżeli ja wasze usługi przyjmę, lepiej was chcę poznać.

— Poznacie nas najlepiej — rzekł Toporczyk, gdy teraz znowu na dwór ks. Władysława do Opola zjedziecie. — Przekonacie się, że my go dla was powolniejszym niż dotąd był uczynić potrafimy.

— I to słaby człek! — odparł Paweł w okno patrząc.

— Sam się on ważyć nie może na Bolesława, mówił Toporczyk, i dla tego się waha. Gdy mu posiłki zapewnicie, pójdzie chętnie.

Żegota szukał na twarzy biskupa znaku jakiegoś pomyślniejszego usposobienia, w końcu nie znalazłszy go, zaczynał już wątpić o dobrym skutku swej próby, i dawszy bratu znak, zwolna się ku drzwiom cofać zaczął.

Ruch ten zobaczywszy biskup, zrozumiał jego znaczenie.

Począł rozmyślać.

— Czekajcie! — zamruczał. — Zna was kto z teraźniejszego mojego dworu?

Bracia naradzali się wzrokiem.

— Dotąd przynajmniej nie zdaje się aby nas poznano, — odparł Żegota.

Pozostańcież dłużej trochę, — dodał biskup. — Pomówiemy z sobą jeszcze. Opo-
wiadajcie o sobie, żeście Ślązacy, a nazwiska i rodu nie potrzebujecie głosić.

Pożegnał ich, na drzwi wskazując. Wyszli posłuszni.

Do wieczornego stołu wezwano Ślązaków.

Mówiono przy nich jak zawsze, otwarcie przeciw Bolesławowi i Leszkowi, czemu oni chętnie i gorąco dopomagali. Z mowy jednak łatwo poznać było można, że krakowskie i sandomirskie lepiej znali, niż Ślązko i że wiedzieli na kogo tam rachować było można.

Dwa dni ich badając trzymał biskup, aż nareście odprawił.

Gotowano się do podróży na Ślązk, wyprawując posły w różne strony i odbierając wiadomości, które zewsząd przychodziły. Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu i biskup wyruszył polując po drodze bez pytania w czyich lasach, włokąc się zwolna, odpoczywając, zajeżdżając do plebanij i klasztorów po drodze.

Nie koniecznie pilnowano najbliższej drogi i zmierzano do celu, ks. Paweł zmieniał kierunek i jednego dnia znalazł się ze swym dworem pod murami Lignicy.

Tu go może pierwsze młodości wspomnienie przyprowadziło.

We wrotach miejskich się opowiedziawszy, posłał biskup na zamek do księcia Bolesława, który tu podówczas panował. Zwano dziwaka tego Łysym, drudzy Srogim, a lud pospolity przezywał go Rogaczem i Rogatką. W istocie rogata była to dusza, a bódł kogo mógł.

Od wjazdu do miasta poznawało się jakie tu rządy być musiały. We wrotach ludzie lichy zbrojni, napili, stali klóćąc się, szamocąc, i wykrzykując. W ulicach, pod domostwy dokazywało hałaśliwie ciury i żołdactwo zamkowe. Po gospodach poroztwieranych na pół, po łaźniach snuła się gawieź zuchwała i przewodząca nad bezbronnemi mieszkańcami. — Im się bardziej ku zamkowi zbliżali, tem tego oszarpanego, lichy odzianego żołnierstwa więcej się zjawiało. Jedni dostatnich mieszczan przemocą na zamek ciągnęli, drudzy pospólstwu na skargę się cisnącemu, zabiegali drogę.

Ładu i posłuchu nie było widać nigdzie, a gdy ks. Paweł w miasto wjeżdżał, ludzie jego musieli się kupą trzymać i otoczyć go, tak ich zewsząd ciury ciekawe i napastliwe opadać i napierać zaczęły.

Groząc ciągle, mieczami i oszczepami drogę sobie trzeba było torować.

Na zamku nie lepszy panował porządek. Kupy zbrojne leżały u stóp przy opróżnionych beczkach, w wielkiej sieni zamkowej straż dokazywała krwawo, a komornik, który wyszedł na spotkanie w kaftanie odartym, poplamionym, ledwie się trzymał na nogach.

Ludzie biskupi, którzy też lubili sobie podochocić, spoglądając na to uśmiechali się, nie bardzo gniewni, że się tu dostali, choć na nich z ukosa i ostro patrzano. Książę Rogatka na spotkanie nie wychodził, choć duchownemu pewne się należały względy, napiły tylko sługa, z sieni biskupa ofiarował się wewnątrz prowadzić.

Izb na zamku dosyć było i dosyć przestronnych. Dolne, sklepione, z kamienia, niskie, gdyby były utrzymywane jak należy, książęcami by się wydawać mogły. Teraz one przypominały gospodę.

W pierwszych, jak w podwórku pełno było gwaru, dworu, czeladzi, służby oszarpanej, odartej, pół bosej, brudnej jak ten co biskupa przeprowadzał. Jedni leżeli na ziemi, drudzy na ławach, byli tacy, co na stoły powłaziwszy powyciągali się na nich wygodnie, nogi zadzierając do góry. — Czuć było po izbach dym, piwo i lichą jakąś strawę kwaśną, której woń w powietrzu pozostała.

Napiły ów dwór mało co biskupowi z drogi ustępował.

W drugiej izbie pokażniejszej już nieco, żołdacy kości rzucali, spierając się o nie zajadle i pięści ku sobie wyciągając, jakby się za włosy porwać chcieli.

Oglądał się biskup rychło li się do księcia dostanie, ale wiodący go ciągle na przód jeszcze ukazywał. Przeszli znowu zimną i pustą izbę, wschodki małe ku górze prowadzące, komornik do drzwi zapukał i sam drogi ustąpiwszy wpuścił biskupa. Komora była nie mała, ogniem w kominie płonącym oświetlona.

Nim mu drzwi otworzono, Paweł usłyszał już z niej gędźbę jakąś i śpiew, przerywany grubym, donośnym, krótko wybuchającym śmiechem.

W głębi izby na łożu coś leżało ogromnego. Kadłub bezkształtny, po nad którym duża głowa łysa sterczała, w tej chwili ciekawie podniesiona, z usty otwartymi, oczyma dużymi na wierzch wysadzonymi. Szyja odkryta, gruba, ręce ogromne jakby napuchłe, suknia niepozapinana, skóra jakaś na nogach poszarpana, wszystko razem niby jedną górę na łożu składało.

Tuż na ławie z poręczem, rozparta siedziała nogę na nogę założywszy niewiasta lat średnich, biała, rumiana, do zbytku już okrągła, z wzrokiem zuchwałym i bezwstydnym. Blizką była głowy łysej, a gdy biskup wchodził śmiała się właśnie, usta otworzywszy szeroko.

Miała na sobie suknię jedwabną drogą, i dosyć różnych klejnotów, które naówczas do stroju kobiecego należały, ale wszystko na niej leżało i wisiało jak narzucone bez myśli i troski żadnej. Nie dbała o to co na sobie miała. Włosy na głowie rozplątane były i ładajako pokręcone, powiązane od niechcienia. Zbyt rumiane policzki i płonące oczy kazały się domyślać, że do dzbanka, który stał na ławeczce z kubkami, między nią a księciem, musiała razem z nim zaglądać.

Książę Rogatka twarz miał zdumioną, ale się na niej jeszcze nie dawno goszcząca wesołość nie starła. Gość, ktokolwiek był — nie miłym mu się stawał, w tak dobrej godzinie wieczornej.

Przy płonącym kominie na stołeczku niskim, z gęsłą w rękę siedział człowieczek dosyć porządnie odziany, z twarzą krągłą a prawie kwadratową, czołem niskim, wypukłym, usty szerokimi, nosem małym i zadartym, oblicza śmiałego, jakie przystało ulubieńcowi, który wie, że się bez niego obejść nie może pan.

Brzdąkał on po gęsli i śpiewał półgłosikiem, który niekiedy silniej podnosił z przesadzonym wyrazem wielkiego uczucia...

Dana moja, dana...
Jak jabłko rumiana...
Biała jak lelija,
W złotych kosach szyja...
W złotym rąbku głowa...
Siedzi jak królowa
Dojrzała jagoda...
Nasza pani młoda... —

Spostrzegłszy wchodzącego Biskupa, grajek się do księcia zwrócił, spojrział, trochę zatrzymał. Leżący na łożu bełkocząc, prędko, niewyraźnie, gniewnie wykrzyknął:

— Dalej, biesów synu! dalej!

Grajek już tylko po strunach pobrzękiwał, ale głosu mu jakoś czy piosenki zabrakło. Niewiasta też u łoża siedząca zarumieniła się trochę i zmięszała, ale podniosła główkę dumnie, spojrzała na pana swego i powitawszy Biskupa, który szedł zwolna ku łożu się zbliżając — pozostała na swoim miejscu nieruchoma.

Rogatka wpatrywał się w ks. Pawła, który niezwykłym widokiem takiego księcia nie zdawał się ani zdziwiony ni zgorzszony.

Grajka jakby nie słyszał, niewiasty jakby nie widział.

Do zbliżającego się gościa książę trochę się na łożu poruszył. Nie było go na czym posadzić.

Książę uderzył w szerokie dłonie, dwóch chłopaków bosych, wpadło w pół-kożuszkach. Rogatka gniewnie im coś, prędko nakazał, ale pluł tak mówiąc, pryskał, sykał, belkotał, że chyba służba własna mogła go zrozumieć. Chłopcy naprzeciw łoża postawili ławkę, narzucili coś na nią podobnego do podartej poduszki i Biskup ruchem ręki wezwany, usiadł nie patrząc na niewiastę, ciekawie mierząc ją oczyma.

Od niejakiego czasu począł on je wszystkie nienawidzić, bo mu każda nieszczęsną Bietę przypominała. — Wstręt miał do nich i obawę.

Książę, który koniecznie chciał zwrócić uwagę przybyłego na rumianą swą przyjaciółkę — wskazał na nią ręką.

— Miła moja! Sonka! Sonka! miła! patrzajcież! A co? hę?

Biskup spojrział, Sonka się rozśmiała, Rogatka uradował.

— A ty trutniu, graj! — krzyknął do siedzącego u komina. — Twoja psia powinność, dzień i noc... My gadamy, graj...

Grajek, którego Żabką zwano, począł zaraz pobrzękiwać z cicha, starając się wielką swą biegłość pokazać. Sonka półgłosem mu wtórowała wcale się o Biskupa nie troszcząc.

— A wy tu... tu... tu... co u licha robicie? — zaszeplecił Rogatka.

— Po drodze, chciałem się Miłości Waszej pokłonić — odparł Paweł.

— Moja miłość nędzna — zaśmiał się prędko belkocząc Rogatka — licha warta miłość moja! Grzywien w skarbcu niema, beczki mi ta gawiedź powysuszała, chleba pożyczam, mięso rzeźnicy dają śmierdzące... Cała pociecha... ot... o!

Wskazał na Sonkę, która się pyszniła i śmiała.

— I oto ten niezdara Żaba!

Ręką na grajka zmierzył.

— Śpiewaj, bydle jakieś!

Grajek silniej w struny uderzył.

— Śpiewaj tę... o malinie, dziewczynie — Biskup jej nie posłyszysz chyba od ciebie, a ładna..

Począł się śmiać.

— E! ty Biskupie — dodał — ty bo także baby lubisz! Hę! hę! ktoby tych zwodnic nie lubił, kiedy takie jak moja miła! Patrz, ta wiedźma to by mnie i do piekła poprowadziła, gdyby chciała...

Wiedźma pokazała białe zęby i zwyczajko głowę unosiła do góry...

— A u... u was? co? — zaszeplecił Rogatka. — Znowu was Bolko do kuny zapakuje, czy nie? Hę? hę? Ty tęgi człek! Biskup nie Biskup! ja cię Kocham!

W tem oko na dno dzbanu zapuścił — był próżny. Świsnął, usta w trąbkę zwinąwszy, przeraźliwie. Chłopaki wbiegły.

Rogatka dzbanem cisnął o podłogę ze złością.

— Miodu! bo pozabijam! Wina! wina! kubków... Hej! srebrnego dla Biskupa!

Sonka dała znak jakiś.

— Co? niema? srebrnego? Gdzie? w zastawie? u żyda? Patrzajże! Ziemię muszę zastawiać, kubki i misy u Izraela! Suknie też poszły! het! Goły będę chodził! boso, pieszo! Taki świat! Pozabijałbym wszystkich...

E! wojna! wojenka! niema jak ona! Trzeba na wojnę ciągnąć! prawda! Łup będzie... pożywim się.

Biskup słuchał.

— A ty graj, psia wiaro! — krzyknął do Żabki, i grajek natychmiast silniej w struny uderzył...

Kobieta widząc go w tak rozpasanym humorze, śmiała się białą ręką przytulając mu usta. Śmiał się i grajek pół nucał, pół prychając.

Chłopców z nakazanem miodem i winem niebyło — książę zniecierpliwiony świsnął znowu i kubkiem, który pod ręką miał, cisnął o drzwi.

Odarty komornik, który na wierzch łachmanów, wdział na prędcie zbyt krótką suknię cudzą, wtoczył się ze dzbanem, podjął rzucony kubek z ziemi, otarł go o brudną połę, przystąpił z powagą do księcia i — wszystko to na ławie rozstawił.

Rogatka nalał ręką trzęsącą się kubek, rozlewając po ławie, i podał go biskupowi, który przyjął.

— Hę! wojna! wojenka — mówił spiesźnie, ciągle jękając się i plując, a co słowo popijając Rogatka. — Wojenka! dobra rzecz! Te łotry mają Wrocław, Opole, a mnie wyposażyli tą nędzicą, Lignicą... A tu żyć nie ma z czego! Kawalkami ziemię kraję i sprzedają.

Splunął piść podnosząc.

— E! nie koniec między nami! Ja tych miłych bratanków schwyczę i posadzę tak! posadzę! — Zaczaję się, pobiorę — muszą mi moją ziemię oddać i grzywny zapłacić. — U mnie w komorze pusto, u nich tłusto!

W tem jakby zmiarkował, że do zbytku się wygadał, uśmiechnął się do biskupa...

— A wy? co wy na to?

— Ja? — cóż mam was uczyć? — odparł ks. Paweł. Ziemi! Moglibyście gdzieindziej szukać nie koniecznie na Ślązku.

Odchrząknął znacząco.

Łysy zrozumiał. W tem Żabka, który z każdej chwili korzystał by wypocząć, grać przestał, książę się rozgniewał.

— Żabo! ty! skrzecz, bo ubiję! a wesoło! To twoja powinność!

Gęśła się zaraz odezwała.

— U mnie tak! — zawołał pijąc Rogatka. — Bez baby i bez gędźby umarłbym... Gdy baba przy mnie, grajek za mną — choćby o suchym chlebie — w duszy ciepło!

Wyciągnął rękę do biskupa.

— Prawda! Bolka i Leszka wy nie lubicie? Śmierdzą wam? Sadzali was do kuny? — Daj mi łapę! ja ich też nie cierpię! Rodzili się na mnichów — Hę. Bolko żonę ma a nic mu po niej? Leszek swoją wypędził, czy ona jego? Weź ich do klasztoru, niech litanje śpiewają!

Biskup się rozśmiał, a Rogatka mrugał doń oczyma.

— Ja wiem co ty myślisz? — rzekł. — Ty mnie chcesz ciągnąć na nich? Ojcie mój! nie pora jeszcze, muszę się wprzód z moimi rozprawić... Śląsk umieść czysto, żeby... hę! hę! śmiecia nie było! Het! Wyżenę, wyczyszczę! Nie należy im nic — wszystko moje! Wrocław, Opole. Potem pójdę na Kraków...

— Długo na to czekać! — bąknął Paweł.

— Byłem gdzie grzywien dostał — zawołał Rogatka — bom goły! Ziemi już w zastaw poszło dużo... Chyba biskupa którego naduszę... Śmiał się do Sonki.

— Grzywny wszystkie u was się pochowały! Wiem, wiem!

— Ale nie u mnie — rzekł Paweł.

Te łotry, żołdactwo, Sasy, Szwabcy, Franki co ich najmują — ciągnął pijąc Rogatka, — objadają, piją i lupią mnie strasznie. Daj a daj! Wieszam gdy krzyczą — trudno wszystkich wytracić...

A piją!

Tu sam z kubka pociągnął. —

Gdy tak rozmawiali, Żabka siedzący u ognia brząkał coraz ciszej, zmęczoną głowę chylił na jedno to na drugie ramię i drzemać zaczynał. Palce trzymał na strunach gotowe, ale bezsilne... Niewiasta też oparłszy się o stół niezważając na gościa, zmęczona usnęła mocno.

Rogatka zobaczywszy to, wskazał na nią biskupowi. Śpiąc i niezważając na siebie trochę się sukni z ramion zsunąć dała, i białą szyję a piersi widać było nie okryte.

Rogatka do ucha jej huknął, aż przestraszona rzuciła się i krzyknęła... Rozbudzony grajek w struny z całych sił uderzył, aż mu jedna pękła.

Jeżeli miał myśl jaką biskup jadąc tu, pozyskać pomoc Łysego, zbliżka się mu przytrzywszy wyrzec się jej musiał. Nie było tu co z nim poczynać.

Nielad i niedostatek były aż nadto widoczne. Popędliwy Rogatka mógł się na jaki krok zuchwały ważyć z rozpacz, ale na jego dobrą wiarę, słowo, rozum liczyć nie było można.

Dłużej nie miał tu co robić ks. Paweł i byłby zaraz go pożegnał, lecz Łysy spostrzegłszy ruch z którego się domyślał, że chce odchodzić, ruszył się świszcząc i wołając.

Chłopcy z komornikiem wpadli na to hasło.

— Wieczera! jeść! a żywo!

Starszy, który z tyłu za biskupem stał, głową potrząsał i ręce rozstawiając dał znak księciu, że na wieczorne jadlo nie wiele rachować było można.

Rogatka tego rozumieć niechciał.

— Słyszysz, Tomisz! — zawołał — idź do Michalika na podzamcze, do tego juchy mieszczanina, który bogatszy jest odemnie. Nażarł się on dość. Dziesięciu knechtów weź! Ja każe! Wieczereż on pewnie ma i dobrą, co dzień psubrat ucztuje a ja będę głodem marł? Z misami mu pobrać wszystko i tu dawać! Zechce bronić, związać go i do lochu!

Tak obmyśliwszy wieczereż, Rogatka westchnął do grajka się zwracając.

— Graj że mi wesołego i piej! — Potem na swą Sonkę spojrział i uśmiechnął się.

Biskup siedział namarszczony niewiedząc już co czynić, Łysy znowu zabrał głos i gorąco zaczął rozprawiać. Im mu się więcej plątał język, tem zajadlej nim szermował...

— E! e! gdyby Bolko mnie na moich pomógł, zdusić ich, Wrocław i Opole odebrać, wołał — dopiero bym ja na niego poszedł! Tak by było najlepiej... Kraków, Sandomierz, Kalisz, Poznań, Płock... wszystko potem w jedną garść... Dopiero by się zagrało i zaśpiewało... Dana! dana!

Zaba nie zrozumiawszy o czem była mowa, gdy — danę posłyszał, strunami wstrząsnął i huknął po niemiecku głośno...

Tymczasem Rogatce do głowy coś przyszło, do biskupa się nagiął sapiąc i rzekł.

— U ciebie w komorze grzywny są? Ej! są! Ty dobry człek! Tysiąc mi pożycz...

Paweł ruszył tylko ramionami.

— Daj pięćset!

Biskup ręce rozłożył...

— A dwieście?

— Ja zamożnym nie jestem, — odezwał się Paweł — bojąc się mego Bolka, ludzi muszę trzymać dużo — a ludzie jedzą.

— A mnie? moje niemcy! Zobacz ich, co to tego jest! — wołał Rogatka — Zrą a chlepią, — strach! Przychodzi to gołe, bose, nie nastarczyć opończy i obuwia... Daj ty mi choć grzywien dwieście...

Zadumał się Rogatka.

— Wiesz! — dodał pół żartem. — Jak nie, kazał bym cię tu zaraz wziąć i do lochu zasadzić! i mogę trzymać aż dasz tysiąc! Twój Bolko cię nie poratuje, a interdyktu ja się nie boję! — Zerknął okiem, po twarzy biskupa przemknął się cień niepokoju.

— Jakby na was kłątwe rzucono, ludzie by odbiegli — rzekł Paweł.

— Oni? — rozśmiał się Łysy... To niemcy, oni polskiej kłatwy nie rozumieją! ale — nie bój się — nic ci nie zrobię, tyś potrzebny... Mącisz wodę, my w niej może złowim rybę!!

— Daj po dobrej woli pięćdziesiąt!

Paweł z przymusem się uśmiechał!

— W podróży ja z sobą srebra nie wożę — rzekł — lecz byś książę wiedział, że mu dobrze życzę, co mam z sobą — dziesięć każe odliczyć!

Oczy zabłyśły Rogatce, wyciągnął rękę.

— Jak się kanclerz przespł, bo go spolił, każe ci napisać... he? co chcesz? lasu jaki kawałek?

Biskup głową skłonił obojętnie.

— Nic nie chcę — odparł, a proszę abys mi książę sprzyjał i był życzliwym... Gdy drudzy iść będą... mozesz pójść z ludźmi swemi, dodał z naciskiem, pożywicie się przytem...

W czasie tych szeptów za drzwiami hałas powstał okrutny, szamotał się tam ktoś i krzyczał, słychać było wołania żołdaków i śmiechy.

Do drzwi dobijając się zaczęto i otworzyły się z trzaskiem. Ani książę ni Sonka ni grajek, nawykli pewnie do przygód podobnych najmniejszego nie okazali zdziwienia.

W progu stał postronkiem za szyję ułapiony człowiek lat średnich, z bródką postrzyżoną, ubrany bardzo dostatnio — wrzący gniewem i oburzeniem. Był to Michalik, któremu wieczerzę zabrano i jego z nią razem. Za nim widać było ludzi ze śmiechem niosących misy i dzbanki, do których zaglądali po drodze.

Michalik krzyczał i łajał...

— Michalik, mysz ty ruda! — zawołał książę pięścią bijąc o ławę. — Milcz mi, nie zawodź, bo cię na bance obwiesić każę. Idź, pocałuj panią Sońkę w rękę; siadaj razem z nami do wieczerzy — pal cię kat! Będiesz z księciem i biskupem jadł! Warto coś! Żabo graj!

Michalikowi jęczącemu popuszczono sznura, chłopcy już stół stawili, Żaba grał z całych sił, a niewiasta wstawszy, poprawiła włosy przypatrując się biskupowi.

Rogatka też z łóżka się podniósł, na pół odziany, w kożuszku na gołym ciele bez gzła i w lichej reszcie odzieży. Posadził biskupa do stołu, sam koło niego zabrał miejsce, Sonkę w pół objąwszy przysunął ku sobie, cmoknąwszy ją głośno — na ostatek i Michalikowi trzymającemu się zdala, rozkazał się przysiąść do stołu...

Podano ową złupioną na Podzamczu wieczerzę, i grajek w nadziei napoju i ochłapa, odchrząknąwszy zawiódł pieśń księciu ulubioną, o dziewczynie, malinie. —

II

Czerwiec był, rok jak mało który gorący się zwiastował, zawczasu piekł, suszył i skwarzył. Na polach zboża żółknąć zaczynały, miejscami i w wodopojach braknąć poczynąło wody.

Lata bo były od kilku już, nie zwykle ostre w zimie, śnieżne, a znaki na niebie nic dobrego na ziemi nie przepowiadały. Ludzie widywali często to dwa krwawe słońca, to w nocy gwiazdę różgę wlokącą za sobą, która nic innego nad chłostę Bożą wróżyć nie mogła.

Nocami niekiedy jak deszcz ognisty sypały się gwiazdy padające, to znów od północy gorzały łuny, jakby tam kędyś szmat ziemi się palił.

Wichry wywalały lasy, indziej smok powietrzny wypiwszy staw lub jezioro zalał pola niemi i ryby na drzewach powieszał. Rzeki jak pijane z brzegów wychodziły, w styczniu robiło się ciepło, w maju się mróz przybłąkał, który wszystkie warzywo powarzył. Potem w czerwcu paliło już jakby lipiec się miał do końca.

Nie wiodło się też dobrze w księstwach tych, co niegdyś jedno wielkie stanowiły królestwo, teraz podarte na szmaty, poszły na łup to niemcom, to panom różnym, jak Opawa, którą sobie czeski Przemysł przywłaszczył, a powrócić jej Bolesławowi nie chciał. Godzili się o nią i zgodzić nie mogli.

I gdy Bolko krakowski tą Opawą był zajęty, na niego się zamach gotował, do którego dawno Biskup Paweł podwaliny zakładał...

W Krakowie go już nie widywano nigdy, siedział teraz na Szlązku u księcia Władysława, którego ludził tem, że mu Kraków i Sandomierz da, a z niemi wierzchnią władzę.

Władysław, choć niepodobny był do Rogatki, dał się na lep wziąć, gdy do Biskupa ujrzał przybywających gromadnie ziemian z Krakowa i Sandomierza.

Tych Toporczycy najwięcej przywiedli i pozyskali.

Wszystko już tak ułożonem było, aby wybuch jawny rychło nastąpił. — W Krakowie też wiedziano co grozi.

Resztką ludzi wiernych, która przy Bolesławie stała, Biskupa znowu pochwycić chciała jako pierwszą przyczynę niepokoju, ale Paweł w Opolu siedział i z pod opieki księcia Władysława się nie ruszał.

Na zamku w Opolu od dawna niepamiętny ruch był i krzątania, nigdy się tak wojenno nie przysposobiano jak teraz. Ani czasu napadów tatarskich tyle się tu ludu nie ścigało, ani dwór rycerski kiedy był tak liczny.

Dnia tego Biskup Paweł nie swoim zwyczajem po świecku i przy orężu, ale w szatach uroczystych, z orszakiem duchownych przy księciu Władysławie się znajdował.

Świątecznie wszystko przybranem było na zamku, strażę pokładły najpiękniejsze zbroje, dwór przywdział szaty najokazalsze. Sam książę Władysław, który jak i inni książęta, po niemiecku się nosił, wystąpił cały w łańcuchach, klejnotach i jedwabiach, czekając oblicanych mu gości.

Co chwila przybywali gońcy na zamek zwiastując coś nowego. W izbie wielkiej gościnnej siedział książę Władysław, mimo wszystkich tych przygotowań niezbyt wesoły. Biskupowi twarz radością promieniała.

— Wasza Miłość — mówił do księcia — mało masz, widzę, w nas wiary... Jać przecie niedarmo długie nad tem pracuję lata, abym te książątka powygniał. Obudziło się stare rycerstwo krakowskie, co dawniej sadzało i zrzucało swych panów — i pójdzie z nami. Bolko nikogo za sobą mieć nie będzie, odstąpią go, panowanie skończone.

Książę Władysław, średnich lat, młodo jeszcze i rycersko wyglądający mężczyzna, dostojeńską twarz, która wielkiej bystrości umysłu nie znamionowała, ale męstwo i siłę — z wolna zwrócił się ku Biskupowi.

— Daj Boże, aby się stało jak przepowiadacie — odezwał się — moi ludzie nie zupełnie to potwierdzają. Mówią mi, że Bolko ma znaczną część ziemian z sobą i za sobą. Zawczasu się dopilnował! Nie pójdzie nam tak łatwo jak sądzicie.

— Alboż władzę i ziemię łatwo się kiedy zdobywa? — zawołał Biskup. — Juści więcej nad to żądać nie można, gdy wam znaczna część ziemian sama tu przyniesie swe głowy i posłuszeństwo zaprzysięże!

Rozśmiał się Biskup dumnie.

— Nie chwając się — rzekł — Wasza Miłość winni to będziecie Pawłowi z Przemankowa!

— Wiem, i potrafię mu to zawdzięczyć — odparł książę z lekką oznaką niezadowolenia.

Książę rad był pewnie temu co go spotykało, ale sromął się nieco, iż z rąk niezbyt czystych miał to otrzymać.

Stał książę Opolski w oknie — Biskup uchem łowca rozeznającego szelest najmniejszy, chwycił daleki tentent koni i porwał się wyjrzeć.

Na drodze ku zamkowi wiodącej widać już było długo wyciągnięty szereg jezdnych, w uroczystym pochodzie postępujących ku wrotom...

Pobladał nieco książę Władysław, a pamiętny pobożności swojego rodu, ręką nieco drżącą przeżegnał się.

Widok z okna był wspaniały.

Jechali przodem konno dostojnicy krakowscy i sandomirscy, Kasztelanowie i Wojewoda, ludzie już osiwiali, ale krzepko się, mimo lat, trzymający; wszyscy we zbrojach, w hełmach, konie w oponach, miecze jasne u boków. Za nimi ziemiaństwo strojne i zbrojne, dalej dwory ich orężne. Jak okiem zajrzeć zwijało się to węzłem po gościńcu, niby wojsko do boju ciągnące. Kilka tysięcy ludu wiodli z sobą.

Biskup z dumą spoglądał, było to dzieło jego.

Mimowoli usta zamruczały. Mówił sam do siebie.

— Chciałeś mnie wrzucić do więzienia!! Ja cię pošlę na wygnanie! Do Węgier, do teścia, na łaskawy chleb, pobożny panie!

Śmiał się szydersko i dumnie, zwycięstwa był pewnym.

W tem, nim jeszcze ów orszak wspaniały do wrót się zbliżył, Biskup, który sam w drugim oknie stał i oczy pał tym widokiem — ujrzał w podwórzu pod sobą coś, co go raziło nagle — i strwożyło.

Mimowolnie cofnął się krok w tył. Pod murem z podniesioną ku niemu głową stała niewiasta, żebraczka czy pokutująca pątnica, w sukni czarnej zszarzonej. Widać było z jej odzieży, podartego, ledwie się na nogach trzymającego obuwia, z chust podartych, że tylko co musiała długą, nużącą odbyć drogę. Dyszała ze zmęczenia i chudą ręką uciskała pierś podnoszącą się żywo. Z pod płachty, którą głowę miała przyrzuconą, wymykały się kosmyki czarnych, poplątanych, nietkniętych dawno włosów, na których pył osiadł, poczepiały się liście drzew i gałązki.

Zobaczywszy ją Paweł cofnąć się chciał całkiem z okna, lecz wstyd mu było przy księciu okazać jakąś obawę. — Pozostał więc a niewiasta miała czas podniósłszy oczy ku niemu, rękę wyciągnąć... Śmiech jakby obłąkanej — wyrwał się z jej ust.

— Pobłogosław! przeżegnaj — wołała. — Trupy twoje jadą! Grzebać ich będziesz w Sobotę!! Skinęła głową ku niemu...

Książę Władysław, który widział ją z drugiego okna, odezwał się do Biskupa.

— Znacie tę żebraczkę?

— Z Krakowa być musi — niewiem! — rzekł Paweł starając się okazać spokojnym.

Nim mieli czas więcej powiedzieć, znikło im z oczów to zjawisko, a we wrota wjeżdżali już posłowie ziemian Krakowa i Sandomirza.

Książę Władysław niespokojnym krokiem szedł do wielkiej izby, w której nań czekali duchowni, urzędnicy, dwór, rycerstwo — ksiądz Paweł szedł obok niego.

Uroczyta cisza panowała w sali pełnej około siedzenia przysposobionego dla księcia, pustej w drugiej połowie. Biskup wyszedł ku drzwiom na spotkanie Krakowian, gdyż on sam chciał ich prowadzić. Świeże owe proroctwo — trupy twoje jadą — choć je lekceważył, zatrulo mu słodycz tej chwili zwycięstwa. Gwałtownym wysiłkiem woli starał się wypogodzić czoło i uśmiechać swobodnie.

Krakowska starszyzna i ziemianie, których Toporczyki i Biskup zdołali do tego kroku nakłonić namowy i obietnicami wielkimi, z dobrą myślą szli w początku, zdawało się im, że za sobą pociągną jeśli nie ogół, to co było najprzedniejszego.

Ostatnia chwila zmieniła położenie i zawiadła nadzieje. Gdy przyszło wybór czynić pomiędzy Bolkiem Wstydliwym a Opolskim księciem, którego ród znano jako chciwy panowania, burzliwej krwi, a niemieckiego obyczaju — zawahało się wielu. Niektórzy, co obiecywali się iść, cofnęli się później, inni skryli tak, że ich wyszukać nie było podobna, inni jawnie poprzehodzili do obozu Bolesława.

Cofnąć się pozostałym przy Opolczyku było już niepodobna; poszli więc do Opola, lecz przybywali tu znacznie mniej pewni zwycięstwa, z wątpliwością i niemal obawą o swe losy.

Biskup poznał to z ich twarzy. Na niektórych mimo powagi, pewien wstyd i zakłopotanie widać było. W progu trzej główni przewodzcy, Świętosław, Racibor i Sambor zamienili z nim wejrzenia znaczące, z których mógł wyczytać wielką o przyszłość troskę. Biskup musiał ich tem większem natchnąć mężstwem i otuchą.

Jako mówca pierwszy Świętosław wystąpił, mąż okazały, poważny, siwiejący, żołnierz stary — lecz między swemi znany z tego, iż więcej twarzą i postawą obiecywał niż głowa starczyła. Biskup miał go zdawna w ręku.

Zbliżył się hełm zdjawszy, ów orator Krakowian aż ku książęcemu siedzeniu, spojrzął na Władysława, pokłonił; lecz gdy mówić zacząć przyszło, dobrą chwilę musiał zbierać myśli, nim głos zabrał...

— Ziemianie Krakowa i Sandomierza, starzy ojczyce, przychodzimy do miłości Waszej, wezwać ją, abys objął rządy nad nami.

Było zawsze ziem tych prawem iż rycerstwo i duchowieństwo pana sobie wybierało. Teraźniejszy nasz pan, Bolko, bez naszej wiedzy i woli naznaczył sobie następcą Leszka, a my go mieć nie chcemy nad sobą. Nie jesteśmy niewolni aby nas oddawano bez pytania... Wolemy miłość Waszą dla sąsiedztwa i połączenia tych ziem z naszemi, z kąd nam większa przyrośnie siła.

Wyjąkał to Świętosław przerywanym głosem, a za nim wszystka starszyzna przybyła, zaczęła potwierdzać słowa jego, wołając. —

— Tak jest! Chcemy mieć Miłość Waszą nad nami!

— Ja zaś jako duchowna głowa tych ziem błogosławię postanowieniu temu i razem z niemi księcia na stolicę powołuję!

Ozwał się okrzyk ale słaby i pomięszany.

Książę Władysław, który czuł dobrze, iż porywając się na Kraków wiele waży; spodziewał się więcej ochoty i zapału po przybyłych... Uderzyło go wahanie się ich i obawa jakaś przy ofiarowaniu mu księztwa — do którego innego prawa nie miał nad to, jakie mu oni przynosili.

— Niech się stanie jak żądacie — odpowiedział po chwili. Nie tajno wam, iż ja sprawę waszą przyjmując za własną, trud, krew i to co mam, muszę poświęcić — Kraków zdobywać potrzeba. Słuszna więc jest, abyście mi wierność poprzysięgli, i spisali na karcie dla wiekuiestej pamięci postanowienie wasze.

Kanclerz biskupi stojący też z gotowym pergaminem, rozwinął go i podniósł w rękę do góry...

Nikt się nie sprzeciwił. Biskup Paweł pospiesznie krzyż i księgę ująwszy, które mu podano, zstąpił pomiędzy ziemian i rotę przysięgi czytać zaczął.

Wszyscy podnieśli palce do góry, mrużono powtarzając za nim wyrazy, poczem kapelan ujął Ewangelię przez bogatą tuwalnię, i poniósł ją przytomnym do pocałowania. W czasie tego obrzędu cisza głęboka, smutna, złowroga panowała w sali. Nie widać było radości ani w tych, co przysięgali, ani w panu, na którego korzyść zrzekano się dawnego.

— Pomnijcież — odezwał się książę wzruszony, głosem poważnym — iż przysięga wiąże nas zobopólnie, a ślub to jest wieczysty...

Ziemianie stwierdzili to dość cichym głosem — bez wielkiego zapału. Biskup jeden okazywał radość żywą i głośną.

Gdy się to skończyło, wstał książę Władysław z siedzenia i sam przystąpił do starszych z łaskawemi słowy, oświadczając się im z dobrą wolą swą. Trochę mu z piersi spadło ciężaru, twarz się rozjaśniała.

Stoły na przyjęcie mnogich gości już były zawczasu przygotowane, z izby więc ruszać się zaczęli, rozpraszając się różnie, bo starszyzna tylko z księciem i Biskupem mogła pozostać, reszta zaś w podwórku, a czeladzie na podzamczu i w mieście przyjmowane być miały.

Uroczysty ów obrzęd zatruty był już w początku niewysłowioną jakąś tęsknicą — czoła nie mogły się rozpogodzić, i u książęcego stołu długiego czasu było potrzeba, nim się usta porozwijały.

Przy Biskupie posadzony Świętosław Włodzimirzyc, który mówił pierwszy, odezwał się doń bardzo cicho.

— Błogosławcie, ojcze, sprawę naszą i swoją, a proście Pana Boga za nią, bo trudną się ona obiecuje!

Biskup odparł mu surowym wzrokiem.

— Zła to rzecz gdy się od zwątpienia poczyna — rzekł gniewnie. — Ani chcę słuchać takiej mowy! Co się stać powinno to się dokona, to się musi zrobić!

Świętosław łamiąc chleb patrzył nań.

— Dużo ludzi nas zawiodło — odparł półgłosem. Bolko nam odciągnął wielu! o! wielu!

Uniósł się Biskup.

— Tych co swoich odstąpili! zdrajców! — krzyknął — wszystkich pod miecz! nie darujemy nikomu.

Gorączkowo ciągnął dalej.

— Obejdziemy się bez tych... Zwycięzym sami... Siła nasza i pocziwa sprawa przemoże... Precz musi iść Bolko ze swym Leszkiem... nie wystąpi przeciw nam, a jeżeli się odważy, na miazgę go zgnieciemy.

Umilkł Świętosław.

— Dużo krwi się przeleje! — przebąknął zadumany.

— Tem lepiej, zlej krwi upuścić trzeba, aby ciało wyzdrowiało — odparł Paweł.

Rozmawiali, a książę Władysław rozpytywał Racibora o siły jakie mu z sobą przyprowadzili, gdy Żegota Toporczyk wysłany przez ks. Pawła dla dostania języka, zjawił się z powrotem w progu. Wchodził jak z konia zsiadł, cały upylony, zmęczony, ze skronią potem oblaną, z czołem namarszczonem.

Paweł zobaczył go, podniósł się nieco, dając mu znak aby się ku niemu przybliżył. Zjawienie się Żegoty wszystkich w niepokój wprowadziło, z oblicza mu czytali, że coś z sobą niedobrego przynosił.

Nim miał czasu się odezwać, Biskup szepnął mu pospiesznie.

— Serca nie psuj! złego, jeżeli masz, nie głoś!

Posłuszny Toporczyk w tył się cofnął milczący. Badano go ze wszech stron oczyma. Nie mówił nic wprawdzie — lecz nie mógł twarzy zasępionej odmienić.

Było w niej coś groźnego.

Choć nalewano a wzywano do picia, choć Szlązaków kilku chodziło po stołach zagrzewając do wesołości, widok tego posła odejmował ją wszystkim. Spojrzawszy nań ostygła każdy.

Ks. Pawłowi udało się kilku nieco rozruszać, rozmowa wszczęła się żywsza, a gdy ludzie od miodu i wina trochę oszołomieli, Biskup wstał z miejsca swego, poszedł do księcia naprzód, zbliżył się potem do kilku, tu i ówdzie coś rubasznego podszeptując. W ostatku na Żegotę skinął i wywiódł go nieznacznie do komory bocznej.

Sam był niespokojny — wyjście jego drugich też poruszyło, oglądano się na drzwi.

— Mówże, coć tam tak załało za skórę! — zawołał zniecierpliwiony. — Wy wszyscy, niewieściuchy, nie macie serca, tracie od lada czego odwagę... Co począć z ludźmi takimi!

Żegota wysłuchał cierpliwie.

— Ciągną przeciwko nam — rzekł sucho — ciągną na nas, nim my mieliśmy czas wyruszyć.

Bolko, nie wiem, czyby miał po temu męztwo, ale Czarny niecierpliwy jest i mężny, nie ulęknie się on nikogo! — Ciągną na nas! — powtórzył.

— Leszek! — zaśmiał się z przymusem Biskup — tyle wart co i tamten!

Obrócił się niecierpliwie.

— Ale gdzież oni są? ilu?

— Krakowscy nas zawiedli — odparł z goryczą Żegota. — Moich własnych powinowatych dobra część przy nich została.

Przyjdzie się bić — brat przeciw bratu, własną krew dać!

Oburzył się Biskup.

— Własna krew! bracia! to cóż? — zawołał. — Albo to, gdy potrzeba, nie może iść brat przeciw bratu?

Ramionami zzymnął.

— Gdybym rodzonego miał — dodał — a stał mi na drodze!

Wyrwało mu się to z taką zajadłością, że Toporczyk cofnął się o krok. Ks. Paweł zmienił głos.

— Gdzie oni są? ile ich jest? — zapytał.

— Więcej niż nas będzie...

— Ze Szlązakami? — odparł Paweł.

— Daj Boże, aby ci się bić chcieli jak my i z nami razem — dodał Żegota. — Wiele oni serca nie mają! najemny lud!

Rady już innej niema — dokończył... jak wyruszyć przeciw nim zaraz, jutro — nie dając się zabrać w kojcu... Jutro! musimy w pole!

Ks. Paweł zmarszczony przystąpił doń grożąc.

— Milcz że mi ze strachami temi — syknął — milcz. Tak! jutro potrzeba w pole, ale nie z trwogą głupią co serce odbiera, ino z tą pewnością iż zwyciężym. Musimy! Milcz!

Zawrócił się nie patrząc już na niego i poszedł do księcia.

Ze śmiechem na twarzy oparł się na poręczu jego krzesła, szepnął coś i wyprowadził go z sobą.

Gdy się owo uctowanie nad wieczorem skończyło, a przybyli ziemianie sądzili, że tu sobie spocząć będą mogli pod opieką obronnego zamku opolskiego, o mroku zatrąbiono...

Rozkaz poszedł po pułkach wszystkich.

— Jutro, w pole!

Śląskie posiłki nie były jeszcze gotowe, posłano w skok zbierać co w pobliżu stało. Krótka noc czerwcowa starczyć musiała na pościąganie ich.

Czynnym był sam książę, Świętosław, Racibor, ale nikt nad Biskupa Pawła czynniejszym. On tu prawdziwym zdawał się wodzem, on był duszą wszystkiego.

Nie położył się do snu, światła gasić nie kazał, suknie tylko zmienił jakby się sam do pochodu i na koń gotował. Co chwila otwierały się drzwi posłańcom, wołano dowódców, dawano rozkazy.

Palila go gorączka — czuł, że się tu jego los miał rozstrzygać — ale nie stracił ducha — musiał go wlewać w drugich. Tym czasem wszystkie wysiłki jego i tych, których dla rozgrzewania ludzi rozsyłał po obozie, rozbijały się o jakieś trwożne przeczucia.

Jak dzień oddziały niektóre już się z pod zamku ruszać zaczęły. Koń dla ks. Pawła stał gotowy. Ślązaków mających posiłkować nie doczekano się. I to go nie powstrzymało. Ręczył, że Ślązacy w drodze napędzą — naglił — w ostatku ofiarował się sam zostać w Opolu, aby przyspieszyć wyprawienie posiłków.

Książę Władysław zatrzymał się także. Cały zaś ten zastęp kilkotysięczny, który wczoraj przyniósł mu w ofierze dwie najpiękniejsze ziemie, ze dniem musiał iść w pole.

Z okna zamkowego biskup niespokojnie patrzył na wychodzących i obliczał ich oczyma. Siła na owe czasy dość była znaczna, ale szła bez tej wiary w siebie i zapału co zwiastuje zwycięstwo. W milczeniu pułki się rozwijały, szły krokiem ciężkim, a gdy w dali znikły za tumanami kurzawy, ks. Paweł padł na krzesło i dopiero uspokojony nieco, złamany bezsennością, powieki zmrurył zmęczone.

Przed chwilą pełen ludu zamek Opolski, opustoszał nagle, stał się milczącym; mała garść tylko została w nim przy księciu, który coraz mniej okazywał ochoty wyjść naprzeciw nieprzyjaciela. Oczekiwał na pułki swoje.

Biskup za wojskiem ciągnąć nie mógł, a gdyby to chciał nawet uczynić, książę Opolski, który go niemal jak zakładnika trzymał, nie byłby może puścił od siebie.

Cały ten dzień i następny upłynął w jakimś oczekiwaniu niespokojnym...

Paweł zaledwie mogąc wytrwać bez wieści, naglił ciągle o dostawanie języka, wyprawił resztę sług jaka mu pozostała. Nie przychodziło nic od Świętosława.

W piątek do dnia po śnie jeszcze niespokojniejszym, biskup się z łoża porwał tak rozdrażniony tą ciszą złowrogą, która go otaczała, iż dłużej w miejscu usiedzieć nie mógł. Dworowi swemu kazał się sposobić w drogę. — Dokąd? nie dobrze wiedział sam. Do wstającego z łoża księcia wszedł już w sukniach podróжных.

— Wytrwać tu dłużej nie mogę — rzekł. Książę, jeśli chcesz, wstrzymać się możesz, ja na zwiady sam ruszę.

— Dokąd?

— W ślad za wojskiem, — dodał biskup. Żadna siła mnie tu już dłużej nie przykuje. Trzeba iść, trzeba ich gnać, zagrzewać, męztwa dodawać. Niema dowódców jakich mieć chciałem. Wszystko w niwecz pójść może!

Chciał coś rzec przeciwko temu książę, lecz Paweł niedając mu się odezwąć, wybuchnął.

— Muszę za niemi dążyć!

To mówiąc, zaledwie się pokłoniwszy, nachmurzony, zburzony, nie czekając odpowiedzi, wybiegł w dziedzińce, dosiadł konia, sługom dał znak i popędził kłusem.

Książę Władysław wysłał za nim, chcąc powstrzymać, gdy już Biskup był w miasteczku. Zły i tak rozszrozony, iż ludzie własni zbliżyć się doń nie śmieli, popędził szlakiem, na którym ślady przechodu polskiego oddziału widać jeszcze było.

Zaledwie z południa skwar okrutny zmusił go w lesie konia zamordowanego prawie, zatrzymać. Sam on zsiadłszy rzucił się na ziemię. Jeść nie chciał nic, wina podać kazał i bez pamięci gasił nim pragnienie.

Zaledwie konie wytchnęły, wołał już aby je podawano.

Kruk mu się chciał sprzeciwić, uderzył go obuszkiem:

— Na koń!!

Jak gdyby mu młodość powróciła, niezmęczony dosiadł drugiego wierzchowca i gnał dalej z tym pośpiechem co rano. Pędzili tak do samej nocy, aż w końcu koń pod ks. Pawłem, ciężkim i roztyłym, chwiać się zaczął i padł. Musiano stać w miejscu, gdzie ani wody ni schronienia nie było.

Lecz ks. Paweł z niczem się nie zwykł był rachować, nie słuchał nikogo, a gdy mu o przeszkodach jakich mówiono, kłął i lajał. —

Czego chciał, stać się musiało.

Tym razem choćby jednego z ludzi z konia zsadził, żaden po takim drogi kawale nie poszedłby dalej nie odpocząwszy. — Biskupowi rozesłano wojsko pod drzewy, gdy

burza, na którą się od dawna zbierało, a zdała się przechodzić bokiem, nagle z piorunami i straszną napadła ich ulewą.

Szałas z gałęzi, choć ludzie sklecieli na prędcę, lała przezeń nawałnica, jak przetakiem. Biskup nie zdawał się nic czuć ni widzieć.

Pioruny sinem światłem oblewały okolicę — patrzył osłupiałymi oczyma, czekając rychło li znowu na koń sięć będzie można. Wicher i burza już ustawały, gdy w świetle błyskawicy na drodze ujrzał Biskup coś poruszającego się... Czarny ten cień zbliżał się ku jego obozowisku. Był to ktoś idący drogą, wiatr suknie jego unosił... i z głowy płachtę mu zrywał.

Biskup drgnął cały — przecucie jakieś pierś mu przeszło. W każdym cieniu widział tego szatana co za nim pędził, co go prześladował...

Ludzie, którzy dla burzy nie spali, ujrawszy to widmo, pewni że upiór się im ukazał, spłoszeni kryli się w gąszcz i rozbiegali.

Biskup oczy miał wlepione w tę postać poruszającą się zwolna, która to nikła w ciemnościach, to jawiła się w błyskawicy, coraz bliżej a bliżej.

Stańło widmo u skraju obozu.

Jeden z czeladzi, który ujść nie pospieszył, leżał na ziemi.

Schyliło się nad nim i głosem ludzkim o coś spytało...

Biskup usłyszał krzyk, widmo przysunęło się bliżej jeszcze ku szałasowi.

W błyskawicy zobaczył przed sobą Bietę i przeżegnał się strwożony.

Stała przed nim ręką wskazując po za siebie.

— Pod Bogucinem, krwawe pole! Szłam wam dobrą zwiastować nowinę... Oj lała się, lała ta krew, coście jej utoczyły chcieli.

Padli wszyscy zdrajcy!

Biskup, którego pierwszy przestрах odszedł, podniósł się z ziemi.

— Kłamiesz, potworo niecna! kłamiesz! — zakrzyczał.

Głos mu w gardle zamierał, zaczął wołać na Kruka, który widmo znane sobie zobaczywszy, dobrze się zasył w zarośle.

Śmiech rozległ się słaby. Bieta krótko przed szałasem postąpiła, rękę wyciągnęła na pożegnanie, poszła dalej...

Gdy jej już widać nie było, Kruk dopiero nadbiegł do Biskupa, który nie mówiąc za co, zaczął go obuchem okładać.

Na wschodzie dzień zaczynało. Ksiądz Paweł wołał o konie, gdy na gościńcu ukazało się dwóch jeźdźców pędzących co sił, na pianą okrytych koniach...

Nim Kruk wybiegł ku nim, chcąc zatrzymać przemknęli się i znikli...

Jechał jeden za nimi... pod którym koń padł i on z nim, a nie podniósł się już więcej.

Oba krwią okryci byli... a gdy Kruk zbliżył się, znalazł dwa drgające trupy...

Poznali w człowieku Raciborowego syna, mieczami zrąbanego, poprzszywanego strzałami...

Oczy ku nim otwarł jeszcze, poruszył nimi — i skonał...

III

W nędznej chacie na posłaniu z siana i słomy, ledwie wojłokami z koni zdjętymi pokrytem, w mroku, który niekiedy słabo rozświecał ogień zapomniany w drugim końcu izby, leżał Paweł, Biskup krakowski.

Na ławach siedziało w milczeniu kilku ludzi z pozakładanymi na piersi rękami, ze zwieszonymi smutnie głowami, spoglądając ku łożu niespokojnie, na którym nie wypooczywał ale męczył się mąż namiętności gwałtownych i nieposkromionego ducha.

Po rozbiciu pod Bogucinem Krakowian i Sandomierzan przez Bolesława i Leszka, Paweł z innymi chciał szukać schronienia w Opolu. Przestрах go potem ogarnął jakiś aby nie został wydany. Niedowierzał nikomu, nie chciał być na łasce niczyjej. Wołał swobodny szukać schronienia włócząc się po lasach i dobrach kościelnych, niż zdać się Władysławowi Opolskiemu.

Zaraz po krwawym tym boju, w którym co najprzedniejsi, jak Świętosław i Racibor padli broniąc się rozpaczliwie, rozeszła się wieść o straszej pomście jaką Bolesław ścigał zdrajców, którzy przeciwko niemu z Opolczykiem się sprzysięgli.

Szukano Biskupa, pobranych w bitwie zamknięto w więzieniach, zbiegłym zabierano majątności, nie było przebaczenia dla nikogo.

Surowość ta niezgodną była z charakterem łagodnym Bolesława. Leszek Czarny zmuszał go do niej, żądali tego ci co pozostali mu wierni. Trwogą chciano się zabezpieczyć od nowej zdrady.

Biskup błąkając się przez dni kilkanaście, gdziekolwiek dostał języka, wszędzie mu jedno potwierdzano. Nie było przebaczenia dla nikogo. Wiedziano dobrze kto Opolczyka namówił, kto ziemian do zdrady wciągnął, szukano sprawcy wszędzie, aby na nim się pomścić.

Obawa uwięzienia więcej może niż śmierci gnała Biskupa, nie dając mu nigdzie spoczynku.

Lato skwarne nadchodziło, konie ze znużenia padały, ludzie wycieńczeni byli włączoną nocną i dzienną, głodem i bezsennością. Sam biskup wreszcie którego żelazną siłą podtrzymał duch niespokojny — czuł się już po kilku niedzielach uciezki i błąkania się śmiertelnie znużonym i chorym. Miał gorączkę.

Lecz i w tym stanie podrażnienia nie zmienił się w nim człowiek, nie przebaczył by był nikomu. Zemsta tylko potęgowała się w nim do wściekłości, bezsilny szukał środków zaspokojenia szalonych jak ona była. Ludzi wysyłał na Litwę, aby pogan tłumy wciągnęły zniszczeniem przynajmniej kraju podległego Bolesławowi i Leszkowi — odemścić za jego zawody.

Pocieszał się tem złoczynstwem. Z sobą nie wiedział co poczynać, przewidywał zdradę, lękał się jej, podejrywał przyjaciół, zmieniał codziennie miejsce pobytu... Wkradał się nocą, wyjeżdżał z rana — włókł się bez celu, a ci co mu towarzyszyli, nawykli do wybuchów gniewu jego — wytrzymać już nie mogli gwałtowności z jaką rzucał się na nich... Bez najmniejszego powodu czasem krwawił i tłukł niewinnych.

Kilkoro czeladzi zbiegło mu z drogi, orszak się zmniejszał, biskup nie wiedział już dokąd się obrócić.

Pomimo tego rozpaczliwego położenia, wśród nocy bezsennych, w marzeniach półsnu, półjawy, czynił nowe rachuby na przyszłość, nie zrzekając się nienawiści swej i pragnienia pomsty...

Leżąc w tej chacie wśród lasów, z której ludzie jego wygnali siłą biednego zagrodnika, biskup rzucał się, mrucał, kłął, zrywał się — po kilkunastu dniach walki wewnętrznej z sobą, mimo starganych sił pozostał takim, jakim go pierwsza wieść o porażce pod Bogucinem uczyniła.

Gdy się uspokoił na chwilę, a mimo woli sen skleił mu powieki, wyobrażenia dręczyła go obrazami zemsty upragnionej. Zrywał się z krzykiem i na jawie ciągnął je dalej.

Ludzie go już za pół oszalałego mieli. Kruk rozmyślał nad tem, co ma poczynać z nim, jeżeli zmysłów nie odzyszcze. Schronić się bezpiecznie nie było dokąd z obawy Bolesława, Leszka i więzienia, a dłuższa włączona po lasach i pustkowiach, stawała coraz cięższą. Duchowieństwo po parafiach, choć go szanowało jako swego pasterza, musiało żywić ze dworem, ale w sercu nie bardzo było przychylnie... Krakowscy kanonicy byli daleko, a ci, którzy z nim trzymali, musieli się z tem tać, aby na siebie posądzenia o współkę w zdradzie nie ściągnąć...

Smutno było w biednej chacie. Biskup jęczał i rzucał się na posłaniu, służba siedziała milcząca. Niekiedy podrzucano nieco łuczywa dla światła, w izbie było parno — blask raził oczy Pawła, który ani w ciemnościach wytrwać nie mógł, ani przy świetle, bo i to go raziło.

Podawano mu wodę, której ledwie skosztowawszy odpychał. Jadło nie smakowało mu żadne.

Upokorzona duma zwiększała rozdrażnienie, czuł się opuszczonym, zdradzonym, bezsilnym, — a nie wiedział do kogo się zwrócić o pomoc, bo pochlebców i pasożytów miał zawsze, przyjaciół nigdy.

Wśród chorobliwych marzeń i straszna postać prześladowającej go Biety stawała przed nim, którą spotykał wszędzie gdzie się obrócił, ścigającą go zajadle, niedającą spoczynku. Było coś szatańskiego, nadludzkiego w tym uporze niewiasty biednej, przewidującej gdzie znaleźć go będzie mogła i zemstę swą mu przypomnieć. Prawica Boża z tej chorobliwej istoty czyniła narzędzie swej kary.

Trwogą zabiło mu serce — jak błyskawica po głowie prześliznęła się myśl — pokuty! — zamknięcia na resztę życia w klasztorze, poświęcenia go na odkupienie swych błędów.

Ale nie wytrwał z nią długo. Stał mu przed oczyma obraz Bolesława zwycięzkiego, Leszka urągającego mu się — wstrząsł się cały i pot zimny wystąpił mu na czoło.

— Nie czas jeszcze na pokutę! — wykrzyknął zgrzytając zębami.

Myśli mściwe na nowo nim zawiadły.

Przez całą noc trwała ta gorączka, któraby innego zabiła, a jego tylko uczyniła silniejszym przeciw losom. Zasnął nadedniem mając widzenie, że Litwa zalewała Leszka dzielnicę, że krew lała się za niego, przez niego.

Napił się krwi tej przez sen i pragnienie na czas krótki wargi mu palić przestało.

Dniało już na dworze, Paweł spał tym snem znużenia cielesnego, z którego się przebudzić trudno, gdy ludzie jego także uspieni na ławach, w sieniach, na przyźbie, ocknęli się wrzawę posłyszawszy. W mroku poranka dostrzegli nagle podwórko pełne koni i obcych ludzi. Pierwszą ich myślą było, że są ścigani, i rzucili się do oręża. Biskup Paweł zbudzony też chwycił za miecz, który zawsze leżał tuż przy nim. Zamieszanie się stało wielkie, krzyki, wołania wyrwały z kątów, a że wśród mroku trudno się było rozeznąć, jeden z czeladzi pobiegł zapalić łuczywo od węgla na ognisku i z niem wybiegł na próg chaty.

Tu stała gromadka zbrojnych ludzi, ale równie jak biskupi wylękłych i wycieńczonych — w pancerzach połamanych, z orężem potłuczonym, bez hełmów lub w takich, które się ledwie na głowach trzymały. Domyślić się było można, iż to były zbiegi z Bogucińskiego pojowiska, równie jak biskup, szukający gdzieś schronienia.

Zaczęto się wybadywać, rozglądać i ze strachu obie strony łatwo przyszły do zgody. Gromadka przybyła należała do Wierzei ziemianina krakowskiego, który dał się podmówić Toporczykom i uszedłszy ranny z pola bitwy, włóczył się teraz w obawie więzienia. Ludzie biskupi nie taili przed nim, kto był w chacie.

Wierzeja był starym wygą, znanym szeroko z wicherzycielstwa i życia nieporządnego, jakie od młodości prowadził. Krępy, zsiadły, z głową okrągłą, dużą, włosom zrudziałym pokrytą, z wargami zwisłymi, krwawymi, twarzą plamistą, — popędliwością mógł się równać z biskupem...

Resztki ojcowizny postradawszy, niewiedząc do kogo się przygarnąć, służył różnym, — teraz dowiedziawszy się o biskupie, którego za przyczynę swojego ostatniego nieszczęścia uważał, — szedł przynajmniej gorzkim słowem mu się wyplacić za gorzką dolę.

Nie pierwszy raz Wierzeja znajdował się w położeniu podobnym, bywał już i na wygnaniu w Czechach, i po Ślązku, i na Rusi a nawet u Brandeburczyków i na Pomorzu.

Biskup niewiedział jeszcze z kim i jak się miał rozprawić zaskoczony w chacie, — trzymał obnażony miecz w ręku, gdy Wierzeja do izby się wtoczył, stanął naprzeciw łoża i począł mu się przypatrywać z pogardą.

— A! dostało ci się, stary ty! — zawołał — ha! na barłogu leżysz ty, coś się na miękkich puchach z zakonnicy wylegał! Ty, za którego my krew leli i popadli... ty, węžu zjadliwy!

Paweł nie mogąc dłużej wytrwać miecz podniósł oburącz — i krzyknął.

— Precz, bo zabiję!

Wierzeja się nie cofnął.

— Patrzajże, że i ja mam otłuczone mieczysko u boku... Leż i nie rwij się, bo kto kogo zabije niewiadomo!

Zwrócił się od niego pogardliwie i obojętnie i zobaczywszy na stole kubki, jeden z nich podniósł, pokosztował że w nim woda była, wyplunął ją i z krwią zimną począł rozpatrywać inne naczynie. — Trafił w końcu na beczułkę z winem, nie pytając nalał go sobie, napił się i usiadł na opróżnionej ławie przy stole, na łokciu się podpierając.

Biskup tą zimną krwią człowieka zrozpaczonego tak był zdumiony, że z gniewu ochłonał.

— Niemam już dokąd powracać, bo Wierzejce nie moje, zaczął mruzczyć drab. — Książęcy urzędnicy musieli je też, choć cudze, za mój grzech zabrać, a dziecięcy spłądrowali!! Czterech Zadorów ścięto! Ścibor i Kacza w więzieniu za szyję poprzykuwani. Ziemian

pobranym w Bogucicach, Leszek kazał jak psów na postronkach ciągnąć po zamkach i pakować do jam, do ciemnic... kilku dali męczyć.

A to wszystko przez Was — przez Ciebie! A coście to nam obiecywali? Dobrze się ziściło! Twój Opolczyk pomagał nam, palcem kiwając na swoim zamku! Nas wydaliście na rzeź, na jatki, bodajes ty z piekła nie wylazł! —

Biskup warczał.

— Milcz — ty, warchole jakiś!

— Co ja cię będę szczenił — mówił Wierzeja — za co? czyś ty wart najmniejszej litości!

Łajał jeszcze gdy w podwórku znów szum powstał, ale już dobry się dzień robił. Przywłókl się drugi ziemianin, także po lasach błakający się, wycieńczony, wygłodniały, bezmówny prawie.

Był to Szala krakowianin też, człowiek biedny, którego powinowaci Toporczykowie z jego wioszczyzny wywlekli. Ten przywłókl się ledwie żyw i z konia zlazłszy, zaczął żebrać o chleb i wodę. Zdawał się nie dobrze rozumieć, co doń mówiono — słał się, był dwa dni bez pożywienia.

Kruk go przez litość do izby wprowadził, nie widział i nie poznał nikogo, na ławę padłszy, mdlał.

Przybysz ten przerwał kłótnię Wierzei z biskupem — patrzali nań ale żaden w pomoc mu nie myślał iść. Wszystkich własne położenie czyniło obojętnymi na cudzą dolę. Wierzeja nie dawno dosyć się trupów napatrzył, Biskup na ludzkie męki nigdy czułym nie był.

Drugi ten przybłęda był tylko znakiem dla niego, że chata, do której się schronił, na jakimś przesmyku leżała, gdzie łatwo i więcej zbiegów przybłąkać się mogło. Głosem więc niecierpliwym zaczął wołać na Kruka, aby konie gotowano. Chciał jechać ztąd precz.

Posłyszawszy to Wierzeja, z ławy wstał.

— Jedziesz ty, pojedę i ja z tobą razem... nie mam dokąd...

Klątwą odpowiedział mu Paweł, ale tą niezrażony drab, nie ruszył krokiem. Za nim wyszedł w podwórko, i krzyknął na ludzi swych, aby też się sposobili.

Biskup nie zważał nań.

Odpędzić go nie miał siły, w walkę się z nim wdawać nie chciał.

Wierzeja zląjawszy go, stał się łagodniejszym.

— Chcesz, niechcesz a wziąć mnie musisz — rzekł do niego — lepiej ci mieć więcej ludzi. Powlokę się za tobą. Mnie wszystko jedno gdzie ginąć, a jak wypocznę, nie bez tego, żebym się nie zdał...

Z tak narzuconym towarzyszem, Paweł nie odezwawszy się do niego siadł na koń.

Wierzeja co powiedział, strzymał, choć zmęczony, włożył się za biskupem. Pół dnia jechali nie mówiąc do siebie. We wsi kościelnej Paweł zawrócił na plebanię, Wierzeja z nim, jakby do dworu należał. Kazał się ugaszczać księdzu, a co mu nie dano, brał sam.

Na popasie rozpytywali o nowiny — wieści złe były. W Krakowie trwoga panować miała. Leszek i Bolko na niemieckich osadników w mieście rachując, ziemian co ich zdradzili, karali bezmiłosiernie. Wojska obu książąt ciągnęły na Ślązko pustoszyć ziemie Władysławowe, mszcząc się za jęgo z Pawłem spiski.

Nie chcieli tu spoczywać długo, wieś na gościńcu, odkryta, nie mogła służyć za schronienie. Po południu jechali dalej. Nocleg wypadł lepiej, bo wśród lasów znalazło się dworzysko, które do biskupstwa należało. Ks. Paweł był tu u siebie. Wprawdzie wygod nie znalazł żadnych, ale roztawiwszy czaty, można było dłużej wypoczywać.

Wierzeja się do straży ofiarował.

— Mnie też o mój leb chodzi — rzekł — wezmą biskupa, to i ja przepadnę... a żem ja robak mały, mnie prędzej niż was zgniotą. Zatem narzucił mu się przybłęda na dowódcę... Kruka precz przegnał i samowolnie się rządzić zaczął.

Drugiego czy trzeciego dnia Biskup już się z nim oswoił — przypadli do siebie dobrze. Począł mu wydawać rozkazy. Było mu to na rękę, bo do Krakowa słać musiał kogoś, a Kruk choć nie przebiegły, ostrożnym był ze strachu. Spodziewał się więc, iż mu się sprawi dobrze. Wierzeja nietylko, że się go zastępować ofiarował, ale dodał.

— To ciemięga do niczego... niechaj jedzie a nie wraca, bez niego nam lepiej będzie.

Wśród puszczy, dolegające skwary Lipcowe mniej się czuć dawały. — Biskup postanowił przesiedzieć tu dopóki bezpiecznie na stolicę swą powrócić nie mógł.

Kruk tedy, choć nie jeden raz się przeżegnawszy, z trwogą wielką, manowcami pociągnął do Krakowa. Przedrzeć mu się niepochwyconemu tem trudniej było, że właśnie kilka gościńcami z Krakowa wojska na Ślązko ciągnęły. Gdyby go wzięto, nie uszedł by cało, jako znany sługa biskupi. Ale ludzie małego serca instynkt mają przedziwny i Kruk ufając weń, lękając się aby go koń nie zdradził jako żołnierza, w ladajakiej opończy, z kijem w rękę, niby wieśniak przedsięwziął podróż tę odbyć pieszo.

Ks. Paweł oczekując na powrót jego, miał czas ochłonać, myśli zebrać, odwagę odzyskać. Wierzeja też, co mu się w służbę wparł gwałtem, coraz przydatniejszym się okazywał.

Podróż Kruka trwała tak długo, iż zwątpiono już o nim prawie, aby głowę nazad przyniósł całą, gdy po kilku tygodniach zjawił się nocą i nie sam. —

Przybywał z nim ks. Szczepan z Krakowa, ów najwierniejszy przyjaciel i sługa biskupi.

W nędznym dworku leśnym zastawszy tego, który niedawno jeszcze z tak świętym orszakiem występował i z taką dumą księżętom się urągał. — Ks. Szczepan zrozumiał, iż z tego skorzystać może.

Przypadała mu rola pośrednika, którą łaskę u księcia i wdzięczność ks. Pawła mógł pozyskać.

Zamknęli się w komorze na rozmowę.

Biskup bolał i wyrzekał.

— Zdradzili mnie wszyscy! zawiedli! krakowscy ziemianie rzucili samego. Ślązak chciał aby mu gotowe postawić... ale — Biskupem jestem jeszcze i piorun mam w rękę!

Ks. Szczepan odgroźkę słuchając, głową potrząsając — pocałował go w ramię.

— Ojczy — odparł. — Nie o piorunach dziś nam mówić! Co było, to było. Wy o niczem nie wiedzieliście, ludzie na was winę zrzucają. Zgodę trzeba robić, ranę smarować! Przyschnie to!

Szeptali cicho, Paweł go chwycił za rękę.

— Myślisz, że ja kiedy poddam się im — a zemsty wyrzeknę? Ja? Znasz ty mnie?

Szczepan mu dokończyć nie dał.

— Tym czasem, — powtórzył — zgody potrzeba — milczeć musimy.

— Milczeć będę... — odparł Paweł — ale tu. I za pierś się pochwycił.

Znowu się zaczęły szeptki i spory. Ani pierwszego ni drugiego dnia, biskupa uchodzić nie mógł przybyły. Trwało rozprawianie dni kilka. Często zrana stawało porozumienie, a wieczór zrywano wszystko. Kanonik umiał wszakże ukołysać i uspokoić ks. Pawła do czasu — zgodzili się i poseł jechał już nazad do Krakowa.

Z wesołą prawie twarzą wywiódł go biskup w podwórze.

— Nie daj mi tu zdychać na tej pustyni — rzekł, nie trzymajcie mnie na uwięzi!

— Musicie dotrwać, aż z Opolskim zgoda stanie — odparł Szczepan — naówczas reszta pójdzie łatwo.

Został znów biskup z Wierzeją sam.

Niczem było pierwsze oczekiwanie obok tego drugiego, które się niesłuchanie przeciągnąć miało.

Ks. Szczepan wyjechawszy wcale o sobie wieści nie dawał. Tygodnie upływały w męczarniach nieznośnych dla niecierpliwego człowieka. Nadeszły znowu dni takie, że Wierzeja z nim zęb za zęb się kłócił, i musiał jak inni uchodzić — bo się stawał gwałtownym jak dawniej.

Kruk po odzieży postrzegł, że Biskup nagle chudnąć poczynął.

Twarz nabrzękła wprzódy, zwiśla i pomarszczoną okrywała się skóra, policzki mu zapadły, ręce się trzęsły... Jadł i pił jak dawniej, lecz nic go odżywić nie mogło.

Już zapomniano prawie o Biecie gdy się tu zjawiała znowu. Krążyła około dworku, zaglądała do okien, nastroczała się na przechadzkach, śmiechem do wściekłości drażniła Biskupa, a gdy ją gnać kazał i odpędzać ludziom, znikwała.

Czeladź tknąć się jej obawiała, miano ją bowiem za czarownicę, a imienia tego dosyć było naówczas aby ludzi rozpędzić — nikt z tajemniczą władzą szatana walczyć nie śmiał.

Biskup pędził życie w męczarniach nigdy nie będąc pewnym, że tej twarzy strasznej nie zobaczy, śmiechu urągającego mu się nie usłyszy.

Jesień już była, gdy dnia jednego ks. Szczepan przyjechał.

Wiózł wiadomość o zawartej z Opolskim zgodzie, i o pojednaniu Leszka z żoną Gryfiną, którą księciu Bolesławowi udało się z klasztoru wyciągnąć i małżonków od lat wielu rozdzielonych, na nowo połączyć.

Uszyszawszy o tem pojednaniu, Biskup szydersko się z niego wyśmiewał.

— Gdy się wszyscy jednają — zawołał — gódcieź i wy mnie z książątkiem tem...

— Książę Władysław Opolski już w waszej sprawie mówił — odezwał się Szczepan. — Stanęło na tem, że spokojnie do Krakowa powracać możecie. Nic wam nie uczynią. Księżna Kinga prosiła za wami, choć zna w was wroga swego. Leszek się opierał, Bolesław łaskawszy obiecał zapomnieć o wszystkim...

Ks. Szczepan radował się i nakłaniał do jak najspieszniejszego powrotu, lecz bezpieczeństwo, za które on ręczył, nie zdawało się dostatecznym Biskupowi. Sam mając w sercu zdradę, obawiał się jej. Kilka dni upłynęło nim Biskup wreszcie, wając się, wahając — ośmielił wyruszyć do Łagowa, aby ztamtąd do Krakowa powrócić.

Z poselstwa kanonika wypadło, iż jawnej zgody nie miało być, a Biskup przybyć mógł jakby nic nikomu nie zawinił. — W dworcu jego miano go przyjąć jak dawniej, i spokój mu zaręczano.

— Kapituła, duchowieństwo wasze — mówił ks. Szczepan — ręczyło, iż Wasza Miłość zajmiecie się owieczkami swemi, księciu więcej żadnych przeszkód nie czyniąc.

Ks. Paweł wykrzywił się dziwnie, i szepnął po chwili.

— Są może ludzie co zapominają, co raz znienawidziwszy kogo, pokochać go potem mogą — mnie tej cnoty nie dano!

Skończyła się na tem rozmowa.

Wcale innego przekonania musiano być w Krakowie i Sieradziu. Książę Bolesław pewien był, że Biskup złamany i upokorzony, nadal się zachowa spokojnie.

Przebaczone mu wspaniałomyślnie, choć dowody spisku i zdrady aż nadto jawne były.

Leszek mniej wierzył w tę skruchę, tak jak ze zgody z żoną nie wiele się spodziewał.

Coraz wybitniej objawiał się charakter następcy Bolesława Wstydliwego, który wojną tylko zajęty był, a zresztą na wszystko w świecie obojętny. Najwyższe jego szczęście było w polu trwać, w obozie, pogonią chodzić za Litwą, w bitwie się z nią zajadłej ucierać i walczyć jak prosty żołnierz.

Księżna Gryfina po powrocie do Sieradzia napróżno usiłowała go zjednać sobie. Nie obchodził się z nią surowo, lecz pozostał jak był obojętnym. Czynił co mógł aby rozrywkę jej sprawić i zachceniom dogadzać, służba była na rozkazy, ale on sam częściej w polu niż w domu, i ledwie zbroję zrzucił, już ją wdziewał znowu...

Na żadną też inną niewiastę nie spojrzął i brzydził się temi co do nich lgnęły. Rycerstwo Leszkowe strzegło się podać u niego w podejrzenie lekkości — bo kto je miał na sobie, ten łaskę tracił.

Takim był przysły książę krakowski, który mógł do władzy przyjść co chwila...

Książę Bolesław sechł, smutniał, chorzał, sam sobie już długiego nie obiecując życia. Wszyscy się zwracali powoli ku temu nowemu słońcu, które wkrótce wnijsć miało.

Na wiadomość o przebaczeniu Biskupowi, Leszek się obruszył mocno. Wiedział to dobrze, iż Paweł mu nie przebaczy, że walczyć z nim będzie musiał. Chciał aby słano ze skargą do Rzymu i Biskupa zrzucano, i gotów był na się choć klątwę wziąć, aby go zamknąć i trzymać w niewoli.

Wiedział Czarny o spiskach z Litwą Biskupa, i przepowiadał, że się one odnowić muszą.

Gdy w Sieradziu Leszek bolał tak nad zbytnią łagodnością stryjowską, Biskup jechał już do Łagowa.

Na wieść, że został do łaski pańskiej i władzy przywrócony, zbiegli się zaraz doń dawni przyjaciele. Część kapituły wierna mu spieszyła witać ocalonego, dwór rozpieczęły gromadził się na nowo. Grzywny znalazły się w skarbcach kościelnych i życie rozpoczęło po staremu.

Jednego wieczora cicho i bez rozgłosu zajechał Pasterz na swój dworzec krakowski, jak gdyby z łowów powracał.

Wiedziano o nim tegoż dnia na Wawelu, i książę, który przyszedł mszy słuchać u świętego Waclawa, w kościele go po raz pierwszy zobaczył.

Wśród uroczystego nabożeństwa, jakim powrót jego uczcić chciano, zwróciwszy oczy na lud, Paweł ujrzał twarz tę, której się lękał i spodziewał... Bieta stała patrząc nań czarnemi, ognistemi oczyma... Zbladł przerażony tak prawie jak gdy ją tu ujrzał po raz pierwszy. Lecz roztargnienie jego, znużenie, niepokój, ludzie i książę mógł sobie tłumaczyć skruczą, i litością poruszyło się dobre serce Bolesława.

Po skończonem nabożeństwie, gdy z niego suknie zdejmowano, Biskup namyślał się czy ma iść do księcia lub nie... Krok ten zdawał mu się upokarzającym, lecz ks. Szczepan i inni naglili i prosili.

Wychodząc ze drzwi kościelnych wahał się jeszcze — w końcu pragnienie zemsty zniewoliło do tego co za upokarzające poczytał.

Poszedł, lecz niepoznać w nim było zwyciężonego, który idzie przebłagać zwyciężcę. Kroczył z dawną swą dumą, ze śmiałością dostojności swej, z pozornym pokojem, jak gdyby odszedł ztąd wczoraj i wcale się nie czuł winnym.

Książę Bolesław ze dworem nań oczekiwał.

Wejrzawszy nań, ks. Paweł, sam zmieniony wielce, bo na twarzy pozostały ślady nie zatarte tego co przecierpiał — uląkł się prawie oblicza tego pańskiego, na którym stała wypisana blizkiej śmierci przepowiednia.

Uląkł się i uradował razem.

Leszek, mniej łagodny, surowszy pan, był dlań do pokonania łatwiejszym.

Z przybranym uśmiechem na ustach wszedł Biskup do komory pańskiej. Bolesław przyjmował go otoczony wierną swą starszyzną.

Po przywitaniu, książę odezwał się radując pokojowi i bezpieczeństwu przyszlemu kraju swojego. —

— Czas, aby Bóg miłosierny zlitował się nad nami, — rzekł — albowiem to panowanie moje, dość srogich już klęsk doznało. Radbym, ażeby jaśniejsze słońce memu Leszkowi przyświecało.

Ks. Paweł półgębkiem też nadzieję wypowiedział.

Wspomniano o Tatarach iż poniosłszy niedawno klęskę, rychło się na nowy najazd ważyć niepowinni. Kanclerz chcąc rozmowę od drażliwszych przedmiotów oderwać, wtrącił świeżo przyniesioną wiadomość z Lignicy, iż druga żona Rogatki, którą był nie dawno poślubił, sromotnem jego życiem zmuszoną była, pieszo, przebrana po mężku, do ojca uciekać.

Bolesław bolał nad tem, a Biskup potwierdził wieść, dodając, że Łysy swawolne życie wiódł i miary w niem ani wstydu nie znał.

Mówiono i o tem, że dorosłe dzieci mając, w wieku już późnym niepotrzebnie ślubował.

Twierdzili jedni, iż dla wiana to uczynił, drudzy, że z rozpusty.

— Z księciem Henrykiem Wrocławskim, — rzekł Bolesław, — zdawna są nieprzyjaźnie, lecz ten się go nie ma co obawiać, bo człek taki podupadły na rozumie i mieniu nikomu niebezpiecznym być nie może.

— Ja zaś powiem, — dorzucił Biskup — choćbym się Miłości Waszej sprzeciwić niechciał, że człek co już do stracenia nic niema, najniebezpieczniejszym jest... Nigdy też ludzi do rozpaczy doprowadzać nie należy...

Zamilkł na to książę a inni, po sobie patrząc milczeli też, bo zdało się, iż Biskup nie bez myśli ku sobie zwróconej rzekł te słowa. — Tak, krótko zabawiwszy, wstał ks. Paweł, pobłogosławił, pożegnał i wyszedł.

Takie były pierwsze odwiedziny na Wawelu, a po nich drugie nierychło nastąpić miały. Biskupowi z niemi nie było pilno.

Jakby na żart nazajutrz, posłał Bolesławowi psów czworo, ogarów przedziwnych, urągając się mu i chcąc potwierdzić co ludzie niechętni pletli, iż Pudyka darowizną psów najłatwiej zjednać było.

Książę zaś, w dobrej wierze przyjął dar i uradował się nim wielce, złośliwości jego nie rozumiawszy ani nawet z posępnych twarzy dworu swojego, który go wziął niemal za obelgę.

Łowczy książęcy chciał psy powieszać lub je precz wygnąć, lecz zaraz nazajutrz Bolesław niecierpliwym nakazał do lasu, aby je prędzej wypróbować.

Paweł śmiał się pogardliwie, gdy mu doniesiono iż Bolesław z ogarami jego na łowy wyruszył.

— Jak dziecko jest — rzekł, — które lada cacką uspokoić można, choć je różgą strzepano!!

IV

Wróciwszy na dworzec swój, Biskup mnogich gości oczekujących nań nie pozdrowił nawet i poszedł do komory odpocząć.

Z czoła widzieli wszyscy, iż gniewny był, choć przyczyny nie odgadywano. Przypisywano to bytności u dworu, bo Biskup patrzeć nawet na tych, których nienawdził, nieumiał cierpliwie. — Burzyło się w nim wszystko choć dobrze już był zestarzał, choć zmienił się pozornie, choć gwałtowne wybuchy i dziwactwa szalone rzadziej się teraz zdarzały.

Dwór Pawła takim, jak był pozostał.

Było to zawsze zbiorowisko ludzi straconego imienia gotowych na wszystko, błędnych rycerzy, ziemian podupadłych, wychodźców z różnych kątów świata, głodnych, chciwych a najgorszego obyczaju.

Aby go poznać, dość było popatrzeć na tę ucztę prawdziwie ewangeliczną, którą tu codzień dla dworu, we dwu lub trzech izbach zastawiano. Nie byli to biedni i nędzarze, ale obieżyświaty, szalone palki, twarze od napoju zabrzękle, oczy skośno patrzące porąbane policzki — istna zbieranina zgrai, co dla chleba gotową była na krew.

Ci około Biskupa, żywiąc się służyli mu, można było ich wyprawić z tajemnym poselstwem bodaj w pogańskie kraje, użyć na zasadzkę, do roboty podziemnej, którejby się żadne czyste ręce niepodjęły...

Wierzeja, który łając Biskupa bliższą z nim zrobił znajomość, teraz już powolnego i bojaźliwego Kruka zaparł do kąta i zyskał szczególne względy.

Służył Biskupowi tem chętniej, że u niego się czuł bezpiecznym od więzienia, a z pomocą i opieką jego miał nadzieję jaki splącheć ojcowizny odzyskać.

Kruk zszedł na podrzędnego sługę, wisząc u dworu, choć stracił największą tu podporę, Werchańcowę, z którą już żenić się miał, gdy ją śmierć zaskoczyła.

Spotkanie w kościele z tym szatanem, Bietą, która wróciła do Krakowa i znowu siedziała u Krzyżana, aby się Pawłowi na oczy nastęczać — zburzyło i do najwyższego stopnia podrażniło go. U stołu chociaż pił, a stary ks. Kwoka silił się aby go rozerwać, grając swą rolę wesółka — Paweł ani razu się nie uśmiechnął. Siedział wdumany smutnie w sobie, co powszechnie za przyniesione z zamku wrażenie brano.

Prędzej niż zwykle nawet gości swych porzucił Biskup i mruczając jak niedźwiedź, o stoły się opierając, powłókł opieszale do komory, skinąwszy po drodze na Kruka. Łaską to dlań było, że go wezwano, i pobiegł co najprędzej. Biskup siedział już w komorze na poduszkach z głową w dłoniach. Kruk długo musiał oczekiwać nim się odezwał. Chrząkał i tarł nogami, aż Biskup go sobie przypomniał.

— Słuchaj — rzekł zwracając się doń. — Długo wy jeszcze tej babie, łajdaczce, Biecie tej przeklętej, dacie się za mną bezkarnie włóczyć wszędzie?! Nie widzicie i nie rozumiecie, że ona mi już tu siedzi!

Pokazał na gardło.

Kruk tak się jej obawiał jak wszyscy. Znano ją w całym Krakowie, wzbudzała postrach. Głoszono ją wiedźmą, nawiedzoną, czarownicą. Nikt palcem się jej tknąć nie ważył. Kruk ramionami ruszył, ręce rozłożył.

— A cóż z nią począć! — rzekł.

Domawiał tych słów, gdy zazdrosny Wierzeja zobaczywszy, że jego podwładnego wezwano na rozmowę poufną, wszedł nie proszony.

Domyślił się czy podsłuchał o kogo szło — wiedział, że dokuczyła Biskupowi.

— E! — odezwał się popychając Kruka na stronę. — Co Wasza Miłość od niego chcecie? on się boi wszystkiego, do niczego niezdatny, to pruchno... Jeżeli trzeba tej babie naukę dać, nie kto inny sprawi to, tylko ja.

Rozśmiał się pokazując na siebie.

— Ten się boi czarów i czarownic — dodał — a ja mam taki węzeł przy sobie zawsze, co mi go jedna baba dała, że mnie żadna wiedźma najzłośliwsza nie może uczynić nic.

Jeżeli trzeba co sprawić, to się zrobi!

Kruk chętnie mu ustąpił i odszedł do progu.

Biskup zadumał się.

— Powiedzcie jej, przestrzeżcie... że jak mi się raz jeszcze na oczy nawinie — zły! zły ją los spotka!

Wierzeja odparł.

— Powiem jej to, i więcej! Będę wiedział jak się z wiedźmą rozmówić! ho! ho!

Paweł uśmiechając się dołożył nie patrząc na stojącego.

— Powiedz jej, niech mi z drogi idzie precz! Po ulicach, w kościołach gdzie ja jestem żeby mi jej noga nie postąpiła. — Zagroź!

Głową potakując mu, wybrany do poselstwa śmiałek, dołożył.

— Ja się jej tam nie boję i żadnej. Nie posłucha dobrej rady, sposób się na nią znajdzie... Spławię ją... ale z kamieniem u szyi.

Zamilkł już Biskup, dając się Wierzei przechwalać ze swą odwagą, i z tem co uczynić miał. Kruk i on poszeptali z sobą jeszcze, a widząc Pawła milczącym, łokciami się potracili i wyszli.

Stary Wierzeja w istocie czarownic się nie lękał, ufał głównie w ów tajemniczy węzeł dany mu niegdyś przez babę z jego wioski, który go miał strzedz od uroków i szatańskie łamać siły.

Nazajutrz rano zaraz wyszedł Wierzeja szukać Biety. Kręciła się ona wszędzie, ale właśnie gdy jej kto szukał, natrafić na nią było trudno.

Na Wawelu u tego skrzydła, w którym mieszkał Krzyżan, stał i przechadzał się długo, aż mu zapytany parobczak powiedział, że ta Bieta (lud ją tak zwał) rano bardzo poszła w świat, a kiedy miała powrócić nikt nie wiedział.

Powłókł się dopytując po drodze o nią w miasto, krążył i tu długo nadaremnie, aż w zaułku pustym znalazł ją siedzącą na ziemi, z bosemi wyciągniętymi nogami, rękami obiema opartą o murawę — odpoczywającą i jakby zdrzemaną.

Stanął przed nią i czekał czas jakiś, nim go postrzegła i podniosła oczy na niego. Wejrzenie, którem go zmierzyła, trochę poruszyło Wierzeję, dreszcze po nim przeszły, ale wprędce męztwo wróciło.

— Słuchaj ty, więdźmo jakaś — począł głośno i groźnie, — ja za tobą goniąc już pół dnia straciłem.

— A czegoż chcesz odemnie? — odezwała się głosem złamanym i łagodnym.

— Oto ja tobie przyszedłem powiedzieć, nie od siebie! rozumiesz, — mówił Wierzeja — nie od siebie! że jak się będziesz Biskupowi na oczy nawijać po kościołach i ulicach, a nie zejdziesz mu z drogi...

— To co! — spytała dumnie, podnosząc głowę Bieta.

— To ja, sługa jego, — dokończył stary — z kamieniem u szyi do wody cię cisnąć każę.

Wcale nie zląkniona Bieta popatrzyła nań długo.

— Myślisz, że ja się tego nastraszę? — odpowiedziała ze śmiechem — A! toć mi zrobisz łaskę! bo mi życie nosić na ramionach obrzydło, a dopókim żywa chodzić za nim muszę.

Wiesz ty, dla czego ja za nim chodzę?

Dopominam się u niego o zgubioną duszę moją — niech mi ją odda. A kto mnie z klasztoru i od ołtarza dla zabawki wziął!? Wiesz ty?

Wierzeja splunął.

— Mało kto weźmie dziewczkę, — odparł — to ją już za to ma całe życie trzymać!

— A! ma! — zawołała gwałtownie Bieta — albo ją trzymać lub zabić! Niech że zabije albo zabić każę...

Wierzeja stał, słuchał i w głowie mu się to niemogło pomieścić. — Burczał, prychał zanim się zebrał na odpowiedź.

— Niech tam sobie będzie co chce — zawołał — jak Biskup cię zobaczy, a zagniewa się, ja cię spławić każę i pójdziesz na dno!

Bieta ramionami ruszyła, popatrzała nań, i po chwili sparła się o płot znowu, przygarbiła, ręce założyła na piersi, nogę zakręciła na nogę, spuściła głowę, zdawała się zapominać, że stał przed nią jeszcze.

Potem rękę jedną spuściwszy, zaczęła trawę szczytać koło siebie, zrywać kwiatki i brać je do ust. Żuła je i wypluwała.

Bawiła się nieprzytomna jak dziecię. Stary stał i patrzył. Ten spokój niewiasty śmiercią zagrożonej, przejmował go jeżeli nie strachem to ciekawością.

Sądził, że miała niepełna rozumu.

Dawszy się jej trochę liśćmi zabawić, gdy już odchodzić miał, dodał jeszcze.

— Patrzajże!

Bieta podniosła oczy, uśmiechnęła się, spuściła je i znowu trawę skubała. Straszna była w tym łachmanie sukni czarnej, brudnej i podartej, z nogami pokaleczonemi i zabłoconemi, z włosiem zrudziałym i przedwcześnie siwiejącym pasami... Część ich spadała na twarz żółtą, jeszcze piękną choć straszliwie wychudzoną i oczy ogromne, powiększone boleścią, zaognione łzami, które z pomiędzy kosmyków tych błyskały.

Wierzeja choć zahartowany i obojętny pomyślał co przecierpieć było potrzeba, ażeby dojść do tego stanu zdrętwienia i obojętności.

Zwolna począł powracać ku miastu oglądając się na nią. Nie zmieniła postawy, nie patrzyła nań, schylona ciągle skubała ziele i trawę koło siebie, — brała je do ust i wyrzucała. Widział ją potem jak zwolna pochyliła się, podłożyła rękę pod głowę i legła tak na ziemi z twarzą ku górze zwróconą.

W skuteczność swej przestrogi nie wiele pono wierzył, myślał więc do domu idąc co mu przyjdzie począć jeżeli ona go nie usłucha. Topić ją nie bardzo sobie życzył. Dzień ten upłynął zresztą spokojnie.

Drugiego dnia rano bardzo Biskup wyjechał na łowy. W ulicach mało jeszcze było ludzi, ale już się niewiasty z wiadrami przemykały do studni, wysoko podpiąwszy fartuchy, parobcy bydło wyganiaли naprzeciw pastuchów miejskich który je miał zabierać na paszę. Róg jego ochrypli zdawa się już słyszeć dawał.

Orszak biskupi ledwie się w wąską zapuścił uliczkę, która za miasto wiodła, gdy Wierzeja ujrzał z przestrachem Bietę śmiało im zachodzącą drogę. Stała tak blisko jadącego biskupa, iż ominąć jej nie mógł, wyciągając rękę ściśniętą i zgrzytając zębami wprost mu w oczy bluznęła.

— Każ że mi kamień uwiązać do szyi!

Ks. Paweł konia popędził, okiem krwawem obejrawszy się na Wierzeję. Ten już wiedział, co to znaczyć miało.

Łowy dnia tego poszły jak najgorzej, co Biskupa doprowadziło do wściekłości zwykłej i rzucania obuchem na ludzi. Psa jednego ubił w miejscu, choć mu był ulubionym, ale się nie w czas przyszedł łasić.

Późną nocą powrócili do dworu. Przez całą drogę Wierzeja jechał jak trup błady i milczący. Zrozumiał dobrze znaczenie biskupiego wzroku. Baby potrzeba się było pozbyć.

Zaczął od tego, że parobków, największych zbójów dobrawszy, spoił ich. Dopiero przystąpił do rzeczy i począł od tego, że skłamał, jakoby wiedźma ta na niego urok rzucić chciała, — że ją musi utopić. Parobcy wiedzący dobrze kto była, uśmiechali się tylko.

Każdy z nich dostać miał po opończy nowej i po kilka groszy.

Trzech się ofiarowało iść z Wierzeją czatować na nią.

Ponieważ Bieta zwykle wychodziła do dnia z zamku ustawili się o mroku jeszcze we wrotach. Dniało gdy ją zobaczyli w istocie wychodzącą, raczej wlokącą się, jakby pijaną — wolnym, nierównym krokiem. Odziana była jak wczora, w jednym ręku kruchy kij a raczej kawał suchej niosła gałęzi.

Wierzeja dał swoim znak, aby szli za nią.

Niepostrzeżenie więc, jak im się zdawało, poczęli się sunąć pod płotami, pod domostwy, w ślad za idącą powoli niewiastą. Stała raz u drzwi kościoła, spojrzęła w głąb, dumiała chwilę, powlokła się dalej.

Szła, jakby naumyślnie, wprost ku Wiśle, z czem Wierzei było najwygodniej. Śmiał się z jej głupoty. Kilka razy sparła się o płot i odpoczywała. U studni jednej znalazłszy wiadro na zrębie, napiła się z niego trochę.

Słońce wschodziło wśród chmur sinych, jaskrawo, gdy u brzegu rzeki stanęła. Zwróciła się twarzą za siebie, jakby kogoś upatrywała i czekała. Wierzeja ludziom dał znak...

Sam pozostał za węglem domu.

Trzej pacholkiwie rzucili się na nią pędem. Nie ruszyła się widząc ich nadbiegających...

Jeden z nich obalił ją na ziemię. Wierzeja, który patrzeć nie mógł, bo mu się zrobiło straszno i zimno, posłyszał jeden krzyk, w którym niby śmiech dziki rozeznał — potem pluśnięcie wody i wrzawę głośno krzyczących parobków...

Zaledwie się to stało, gdy niespokojny Wierzeja, począł ich wołać ku sobie, nagłąc aby przybywali. Razem wszyscy rzucili się w opłotki, w zarośla, lękając się aby ich nie postrzeżono.

Biegli tak co tchu starczyło aż do miasta i otwartej gospody, którą baba właśnie umiała. Wpadli do niej pierwsi, gdy dopiero odsuwano okiennice, a Wierzeja dawszy im znak aby milczeli, kazał co rychlej grzać piwo.

Gdy Biskup z posłania się podniósłszy miał odziewać, Wierzeja z chłopcami co mu posługiwali wcisnął się do sypialni, na twarzy mając wypisane zwycięstwo swe i wielką radość.

Ks. Paweł musiał to zrozumieć spojrzawszy nań, bo zaraz chłopców odprawił.

— No — mruknął poufale Wierzeja — z babą skończono!

Rękami coś pokazał i rozśmiał się. Biskup zbłdł, odwrócił się zaraz od niego, nie rzekł słowa.

Na razie nie chciał się sługa upominać o zapłatę krwi, zagadał o łowach aby rozerwać pana, a gdy kapelan nadszedł, wysunął się.

Dnia tego jednak Wierzeja nie postrzegł, ażeby się czoło Biskupa rozjaśniło — chodził ponury i za próg ruszyć się nie chciał.

Wieczorem ludzie u niego pili, i on pił, ksiądz Kwoka dawał zagadki łacińskie i polskie do rozwiązywania, których cały dowcip na tem zależał, że się odpowiedź na nie nastęczała plugawa, sprośna, a w istocie — wyraz żądany był niewinnym.

Takie dwuznaczniki bawiły wielce starych księży, ulubieńców biskupich — a on sam też mową rubaszną się nie brzydził. Wieczór cały spłynął na takich krotofilach. Kilka dni następnych nie przyniosły nowego nic.

Nadeszły do Krakowa wieści osobliwe, które zdumiały wszystkich, że szalony, przez wszystkich wzgardzony Rogatka, zdradą w Jelczy pochwycił Henryka Wrocławskiego i zamknął go na zamku w Lehnie.

Rozradowało to Biskupa, nie wiedzieć dlaczego. W chwili gdy się wyśmiewał z tej przygody, uderzył pięścią o stół i krzyknął.

— Łysak ten ma szczęście choć rozumu nie ma; drugim na nim nie zbywa, co gdy los nie sprzyja!

Wszyscy książęta pokrewni gotowali się iść przeciwko stryjowi w obronie synowca.

Zawrzało i zakipiało na granicach. Biskup tajemnie wysłał na Litwę i rad był sądząc, że w mętnej wodzie coś złapie.

Wracała mu buta, wesołość, ochota, i zdało się, że w ciągu tych dni kilku odmłodził...

Nie obawiając się już spotkania żadnego i z myśli wypuściwszy mu co Wierzeja zwiastował — wybrał się ks. Paweł jednego dnia nie na łowy, ale z przyjaciółmi swymi do sąsiedniego folwarku, gdzie dla większej swobody ucztę im przygotowano.

Droga wiodła wprost przez Rynek, a jechał biskup z gromadą ludzi wielką. Miał z sobą ziemian krakowskich kilku, których znowu jednać się starał.

Jechali żywo i wesoło, gdy nagle Biskup jak rażony piorunem konia strzymał. Jadący za nim ulękli się czy krew go nie cisnęła, tak się zachwiał i miotał na koniu.

O kroków dziesiątek przed nim, stała wprost jadących, zapierając im drogę — Bieta... Umyślnie sobie wybrała miejsce takie aby ją widzieć musiano.

Odziana była tylko inaczej, w suknię brunatną, barwą do zakonnej Św. Franciszka podobną, podpasaną sznurem słomianym... Głowa białą chustą przysłonięta była.

Stała wpatrzona w Biskupa oczami straszonymi, usta jej powoli zaczynały się krzywić jak do uśmiechu, — obnażyła zęby ścięte i przeraźliwe parsknięcie szyderskie rozległo się po pustym rynku.

Wierzeja, który z tyłu jechał za panem, zrazu nie widział jej, dopiero śmiech posłyszawszy, spał się na strzemiona — zobaczył upiora tego — i krzyknął.

Biskup koniowi dał ostrogę, cała gromada w prawo się rzuciwszy kłusem pominęła Bietę, która zwolna zawróciła się za nią, śmiejąc i wyciągając ręce.

Gdy Wierzeja mijał ją strwożony i blady, pokłoniła mu się i dała znak ręką jakby zapraszając aby raz wtóry próbował.

Powolnym krokiem potem, głowę owinawszy chustą, ręce złożywszy na piersiach, zawróciła się nazad ku zamkowi.

Odzyskaną wesołość Biskup stracił dnia tego.

Jak tylko sam na sam znalazł się z Wierzeją, wpadł nań łając go jako bezczelnego kłamcę, lotra co chciał podejść pana dla zysku... Wierzeja przysięgał, że ją w oczach jego utopiono, opowiadał szczegóły, mianował ludzi, chciał ich przyprowadzić na świadki. Biskup nie chcąc słuchać, ze wściekłością go odpędził, zabraniając się pokazywać sobie na oczy.

Wierzeja nie tracąc ani chwili, siadł na koń i nazad do Krakowa popędził. I on już wściekły był. Konia okładając wyłamanym z płota kijem, dopadł napowrót Rynku, skręcił do dworca, gdy wśród drogi zobaczył stojącą — Bietę.

Ta poznawszy go, urągać mu się zaczęła. — Wierzei tego już było nadto, z konia skoczył i rzucił się ku niej.

Chciał już łajac, gdy spotkał wzrok śmiały wymierzony ku sobie — zabelkotał, mówić nie mógł.

Bieta poczęła sama:

— Widzisz, żem żywa! Ani ty, ani nikt mnie nie uśmierci — bom ja jest karą Bożą! bom ja bicz boży na złoczyńcę! Utopicie mnie i zabijecie sto razy, wstanę z wody i z grobu, abym mu w oczy rzuciła — potępieniem!

Widzisz. — Stoję bezbronna! Masz nóż u pasa! Nie bronię się! — Odsłoniła chustę, rozerwała szatę tak, że piersi na pół obnażyła...

Zbója ogarnął strach jakiś niepojęty — jak szalony pobiegł do konia, skoczył i uszedł, śmiech słysząc długo za sobą.

Gdy biskup późno w nocy wrócił, nie stawił mu się Wierzeja. Nie zawołano go aż nazajutrz rano. Noc uspokoiła nieco oszalałego człeka.

Pachołkowie, na których wpadł z gniewem, przysięgali się iż ręce i nogi postronkami jej obmotali, aby płynąć nie mogła, że do szyi uczepili jej kamień spory, że poszła na dno.

Dowodziło to, że czarownicą była, przeciw której nikt nie mógł nic, bo ją szatan z wody i ognia ratował.

Wierzeja zaczynał o swym węźle powątpiewać, czy go obronić potrafi. Z głową zwieszoną, poszedł do Pawła, który począł od łajania.

— Każcie sobie komu innemu robić z nią co chcecie — odparł Wierzeja — ja niedam jej rady. Pachołkowie poświadczą, że ją związaną z kamieniem u szyi rzucili do wody, a djabeł uratował.

Ja przeciwko szatanowi nie stanę.

Znowu tedy Biskupowi powróciła trwoga nieustanna i upokarzające uczucie bezsilności — że on pan moźny jednej słabej niewieście podolać nie mógł.

Bóg więc sam trzymał ją jako miecz zwieszony nad jego głową, jako bicz nad barkami jego. Czasami skrucha budziła się wywołana trwogą, ale krew wrzała. Biskup buntował się przeciwko sumieniowi własnemu.

Znowu chciał ludzkiemi pozbyć się jej środkami.

Dwór biskupi rozpowiadał te dzieje, rozchodziła się wieść o nich szeroko, ludzie byli ciekawi. Strach i poszanowanie budziło się dla Biety, którą teraz zakonnicą zwano, gdy brunatną suknię wdziała.

Od owego dnia, gdy ją topiono, zmieniła się ona. Włożyła tercyarską suknię zakonu, który porzuciła, zaczęła chodzić po kościołach i modlić się ze łkaniem. Widywano ją krzyżem leżącą i jęczącą głośno w czasie mszy świętych.

Ludzie coraz się więcej litowali nad pokutnicą.

Do tych, którzy ją o co pytali, mówiła rzadko, potrząsała głową, ale łagodną była, obojętną na niewygodę i jak ostygłą.

Jak gdyby przeznaczeniem jej było nie spocząć nigdy, nie zażyć pokoju, wychodziła rano z zamku od Krzyżana, który ją i teraz żywił i dawał z miłosierdzia przytułek — z kolei odwiedzała wszystkie kościoły, cmentarze, kaplice, siadała odpoczywać w odludnych kątach i tak spędzała całe dni do późnej nocy.

Ludzie litościwi karmili ją niekiedy, dawali chleba kawałek, stawy w misce drewnianej. Przyjmowała to milcząc, jadła jakby nie wiedząc co robi i mrucząc odchodziła.

Wierzeja po tym wypadku, po którym popadł u Biskupa w niełaskę — nie mógł się długo uspokoić.

Ocalenie Biety siepacze przypisywali szatanowi, on jednak począwszy śledzić, pytać i chodzić, doszedł, że się inaczej uratowała. Cud ów złej mocy okazał się bardzo prostą sprawą biednego człowieka.

Gdy pacholkiwie rzucali ją do wody związaną, u brzegu nieopodal, rybak w czółen sieci ściągał. Widział on napaść i zaledwie się zbóje oddalili, podpłynawszy ku miejscu, w które wrzucono Bietę, zarzucił hak, który miał w czółnie, schwycił nim za sznury i z wody dobył omdlałą.

Sam on nie dobrze wiedział dla czego to uczynił, ale żał mu się zrobiło i wyratowawszy z topieli, dopóty koło niej chodził, aż przytomność odzyskała. Leżała potem godzin kilka sama na wybrzeżu, dopóki jej trochę sił nie wróciło, i zawlokła się napowrót do Krzyżana na zamek...

Tu obmokłą, osłabłą brat ów stary, jak mógł odziać się postarał, napoić i nakarmić.

Nie mógł się nawet dowiedzieć od niej co się z nią stało, bo mu opowiedzieć nie chciała. — Domyślił się łatwo kto mógł być sprawcą.

Z widzenia już знаła Bietę księżna Kinga, wielka ubogich miłośnica, jak Jadwiga Ślaska. Kilka razy zbliżała się do niej, i od niej teraz dostała Bieta tę suknię burą, zakonnym krojem, a krzyżyk na szyję.

Łagodne słowo księżnej, która miała dar otwierania serc ludzkich, pierwszy raz, od bardzo dawna łyzy wywołało na oczy Biety. Nie łyzy gniewu jakimi nieraz płakała dawniej, ale żalu i skruchy.

Poszła zadumana próbując się modlić.

Śmiech ten dziki, który jej usta wykrzywił, powracał tylko gdy zobaczyła Pawła. Patrząc nań, szła ją ogarniał, potem siadała, płakała i chroniła się do kościoła.

Biskup Paweł parę razy zobaczywszy ją około dworu księżnej, a raz nawet przy niej samej, uniósł się gniewem niezmiernym. Zdało mu się, że ona go tam oskarżać i gwałty jego opowiadać musi.

Znowu tedy namiętnie wołać zaczął.

— Kto mnie od tej szalonej uwolni!! żeby jej oczy me nie oglądały!

Wierzeja, który więcej znów ufał sobie dowiedziawszy się o ocaleniu Biety przez rybaka — postanowił się poprawić. Ciż sami pacholkiwie z przybranym jeszcze do pomocy siepaczem, zaczęli się na nią. Nie było nic łatwiejszego nad pochwycenie jej, gdyż często się po pustych kątach, około cmentarzów, za miastem włóczyła.

Jednego wieczora Wierzeja z pacholkami powrócił pędem do dworca, jak oszalały. Ludzie byli okrwawieni.

Co się stało? nie chodził się z tem chwalić do Biskupa. Mówił tylko głośno, że tym razem już jej więcej żywą widzieć nie będzie.

Zbóje napadłszy bezbronną w istocie zbili ją okrutnie, bez litości, zadali jej razów kilka nożami i oblaną krwią rzucili za zabitą, usłyszawszy że się ludzie jacyś zbliżali.

Wóz to był, na którym dwóch księży duchaków jechało, którzy naówczas przy szpitalu Biskupa Iwona siedzieli. Ci zobaczywszy niewiastę okrwawioną, która jeszcze znaki życia dawała, zatrzymali się, poobwiązywali jej rany i przewieźli do szpitala.

Resztką życia drgała jeszcze w nieszczęśliwej.

Miłosiernym obyczajem świętej Jadwigi, obchodząca szpitale księżna Kinga, znalazła ją tu osłabłą bardzo, ale zdającą się powoli powracać do życia.

Poznała w niej swą pokutnicę, i wielką litością zdjęta poleciła księżom, aby gdy cokolwiek sił odzyska, na zamek ją odesłali.

Jakoż przyniesiono ją tu w dni kilka, a Kinga pielęgnująca zawsze ubogich i chorych przy swoim dworcu, ze szczególną pieczołowitością zajęła się Bieta.

Chodząc około ciała pobożna pani nie zapomniała o duszy, odmawiała nad nią codziennie modlitwy, pocieszała ją słowem Bożem.

Choroba się przeciągnęła, ale gdy raz przeszło niebezpieczeństwo, Bieta cudownie zaczęła odzyskiwać siły, i jakby drugą młodość a piękność zniszczoną.

Lice jej stało się białem i przejrzystem, usta złagodził uśmiech dobry, błogi jakiś i spokojny.

Modlić się mogła i płakała, a są łzy, które Bóg daje na pociechę, jak są, które się stają męczarnią.

Lecz jak tylko wstała o swej sile, choć księżna zatrzymywać ją chciała, wyrwała się jej i wyblagała, aby mogła wieść dalej życie pokutnicze...

Wdziąła habit i pasek tercjarski, okryła ostrzyżoną głowę, i ucałowawszy nogi pobożnej pani, poszła znów błędzić po świecie Bożym.

Biskup zaproszonym był właśnie na odpust do kościoła Św. Franciszka, w którym rzadko bywał i z wielkim występem przybył na nabożeństwo uroczyste, gdy zasiadłszy na przygotowanym dla siebie tronie, oczyma wodząc po zgromadzeniu — zbladł nagle i zatrząśł się.

Wiedział, że Bieta była zamordowaną... Upior stał znowu przed nim.

Zmartwychpowstała zakonnica nie taką była jaką ją wprzód widywał, gdy śmiała się szydersko i groziła mu. Była inną, jakby odżywioną promieniem łaski, odmłodzoną, piękną, smutną — straszną jak wyrzut sumienia. Stała przed nim — pokutnicą! Wzrok jej nie urągał mu się ale litował — a litość ta srożej go może zabolala niż szyderstwo.

Stała ze złożonymi rękami, modląc się, dwie łzy ciekły z pięknych jej oczów.

Biskupowi całe nabożeństwo, którego nie widział, nie słyszał, a nieprzytomny je prze-trwać musiał, wydało się jak wiek długim.

Księża, chwiejącego się musieli ujawszy pod ręce prowadzić do zakrystyi — trząśł się jak w febrze i zawodził obłąkanym wzrokiem.

Na poły omdlałego musiano go trzeźwić długo, nim zmysły odzyskał. — Prosił głosem słabym, aby mu w klasztorze spocząć dano.

Obawiał się spotkania u drzwi kościelnych.

W komorze gdy powrócił nocą, Wierzeja przyszedł mu się do nóg rzucić. Zmieniony był, upokorzony... oczy miał splakane.

— Miłościwy panie! — zawołał w piersi się bijąc — grzesznik miłosierdzia nie go-dzien... jutro wstępuję do klasztoru...

V

Upłynęło lat kilka.

Wieczorem wszystkie dzwony Krakowa odezwały się jękiem żalobnym. Ludzie wychodzili z domostw zdumieni i pytali się nawzajem — co się stało?

Jeden po drugim coraz dalsze poruszały się boleściwemi głosy zawodząc — i miasto napełniały trwogą.

Ci co legli spać zawczasu, zrywali się z pościeli, którzy na spoczynek iść mieli, w ko-szulach wybiegali do drzwi.

Rynek się napełniał.

Spoglądano ku Wawelowi, z kąd pierwsze dzwony zabrzmiały.

Teraz i u Św. Jędrzeja, i u Panny Maryi, u Dominikanów, Franciszkanów, na Skalce, po kapliczkach wszystkich budziły się dzwonki i płakały.

Dzień był mroźny, zimowy.

Na ciemnym niebie, wyiskrzzone na mróz świeciły gwiazdy, na dachach leżał śnieg i jak całun pokrywał ziemię. Tylko w ulicach biała ta powłoka zbita i z błotem zmieszana znikła, niepewną jakąś barwę przybrawszy.

Powietrze było spokojne, mróz ścinał wody i ziemię. Wśród tej nocnej ciszy, dzwony nie odzywające się nigdy o tej porze, zwiastowały wielką jakąś żalobę.

Od kilku dni książę Bolesław był chory.

Legł w łóżko, otaczali go księża, modlono się, czekał śmierci spokojnie jak wyzwolenia.

Wiedziano w mieście o tem powolnem konaniu pana — dzwony więc jego zgon zwiastowały.

Zgon, a z nim niepewność przyszłości, bo choć Leszek ogłoszony był następcą — wróg jego Biskup Paweł powtarzał uśmiechając się.

— Nie zagrzeje on stolicy.

Gdy z Wawelu pierwsze się dzwony odezwały, Biskup podstarzały lecz silny jeszcze i niepochylony wiekiem, z niecierpliwą oznaką radości z siedzenia się porwał.

Zdawał się czekać tylko na to, jak na hasło wyzwolenia.

Twarz cała dziko mu rozpromieniała, odetchnął piersią jakby oswobodzoną od ciężaru. Namietności, których wiek nie zdołał pokonać, wracały z gwałtownością młodą.

W teże chwili do komory wszedł stary kanonik Wyzon przynosząc wiadomość smutną o zgonie księcia, z twarzą chmurną, do niej zastosowaną.

Zdziwił się nieco widząc Biskupa tak wesołym niemal i rozpromienionym, nieumiejącym utaić co doznawał.

— Wziął pan księcia Bolesława Pudyka, do chwały swojej! — rzekł powoli.

— Wola jego niech będzie błogosławioną — odparł biskup szydersko. Teraz na zamku miejsce moje.

Poruszył się.

— Każcie mi dać suknie, zawołać Szatnego, jechać tam muszę.

Szatny wszedł jak na zawołanie, a biskup z gorączkową skwapliwością ubierać się zaczął w strój urzędowy. Ludzie, choć znali jego nienawiść dla zmarłego, patrzali zdumieni na twarz rozjaśnioną swojego pana.

Dzwony w mieście były ciągle, zwiastując zgon Bolesława.

Ulice ludem się napełniały, na Wawelu widać było rozpalone światła rześisto i jakby lunę unoszącą się nad łożem pobożnego księcia.

Ruch jak we dnie w okolicy zamku widać było, z rynku, z ulic lud ciągnął ku Wawelowi, z zamku oddziały wychodziły na miasto.

W ulicach jezdni a zbrojni, pospieszali na górę, jakby ona obrony potrzebowała.

Żal po pobożnym panu wyrażał się cicho, więcej trwogą o przyszłość, niż smutkiem o przeszłość.

Cnotliwy książę serc sobie nie umiał pozyskać, które się tylko energią zdobywają. Ziemianie nie lgnęli ku niemu, mieszczanie niemcy, więcej się oglądali na Leszka, który im przypodobać się starał, włosy i strój ich obyczajem nosił, poufalił się z nimi chętnie. Wiele też sobie po tym przyszłym panu obiecywali.

Duchowieństwo zakonne tylko, i świętobliwi kapłani szczerze opłakiwali szczodrego dla siebie, pobożnego pana, który żył w mniszej surowości obyczajów.

Na zamku słychać było stłumione jęki dworu, do pana przywiązanego i niepokój jaki zawsze śmierć sprowadza, obawa zmian nieuchronnych.

Biskup, który wozem kazał się na zamek wieźć, z trudnością mógł się z nim i ludźmi swemi przebić przez gęste tłumy, które wypełniały podwórze, ciągnąc ku oświeconemu dworcowi, otaczając go zewsząd. Do drzwi już się docisnąć nie było można, kler i służba musiała drogę przybywającemu torować.

Zwłoki księcia Bolesława, w wielkiej izbie niskiej na dole spoczywały na uczciwie przygotowanych wspaniałych marach szkarłatem okrytych — przyodziane skromnie jak on chodził za życia, lecz z oznakami rycerstwa i władzy. W rękach złożonych trzymał krzyż złoty, a twarz uspokojona, zdawała się konaniem błogosławionem uśmiechniętą. O mary oparta stała tarcz malowana książęca ze lwymi i orłami, a nad nią na wezglowiu leżała czapka obwiedziona koroną, berło i miecz kilkakrotnie pasem owinięty.

Tuż u stóp katafalku klęczały trzy niewiasty, w czarnych sukniach żałobnych i białych zasłonach.

Na przedzie księżna Kinga zwracała na się oczy wszystkich, zdumione. W jej twarzy rozjaśnionej, ubłogosławionej, niemal wesołej jakąś nadziejską radością — widać było, że Bóg ziścił najgorętsze jej prośby. Na oczach nie było śladu łez, usta uśmiechały się niebiosom... Ona, jak niegdyś Jadwiga Ślązka wyrzucała płaczącym ich łzy, radowała się

jawnie, czekała niecierpliwie godziny, w której zwłoki męża złożywszy do grobu, będzie mogła natychmiast spełnić swój ślub i zamknąć się w klasztorze, do którego przez całe tęskniła życie. Tę radość tak dziwnie odbijającą od trumny, wyrobioną siłą ducha, która ją zupełnie obcą czyniła światu i uczuciom jego — radość tę, bijącą od niej, ludzie widzieli i niepojmując jej trwożyli się. Nie było w świętej niewieście nic ludzkiego.

Pobożna, miłosierna, miała tę wiarę przepotężną, która w śmierci widzi tylko żywot wieczny, otwierające się niebios, aniołów śpiewających — witającego Oblubieńca!

Nie była ona pierwszą ani jedyną z niewiast tego wieku — za życia ubłogosławionych i umarłych światu; obfitowały w nie dwory ówczesne.

Jadwiga Ślązka, Salomea królowa, Kinga i klęcząca obok niej, siostra, wdowa po Bolesławie kaliskim Jolanta — wszystkie żyły na świecie za pokutę, wzdychając do klasztoru.

Surowego oblicza, z twarzą pooraną marszczkami, lecz rysami przypominającą Kingę — miejsce obok niej zajmowała wdowa drugiego Bolesława, przybyła aby losy swej rodzonej podzielić.

Lecz ta na świecie zostawiała córki — dzieci, miała choć część żywota spędzoną u domowego ogniska, znała macierzyństwa radości i troski, gdy Kinga od zaślubin swych, stawszy się zakonnicą, męża dla siebie uczyniła mnichem...

Kinga i Jolanta, ciałem tu jeszcze przytomne, już duszami były gdzieindziej. Na obu wrażenie grobowe tej chwili, jej żałoba nie była widoczną, nie rozumiały smutku ludzi, litowały się nad temi co płakali. W ich oczach łzy były grzechem i słabością.

Obok ich dwu klęcząca żona Leszka Gryfina, z mężkiem energicznym, znużonym już walką inną a pragnieniami macierzyństwa obliczem, z dumą przyszłej pani kraju — zdawała się istotą zupełnie innego świata.

Patrzała na to co ją otaczało, myślą już sięgając jutra, niepokojąc się o nie, snując jakichś dumnych marzeń pasma.

Po za temi niewiastami i ich dworem, w kątku i mroku widać było piękną, bladą z czarnymi oczyma, obwiedzionemi brunatnym cieniem tercjarę zakonu Ś. Franciszka, w sukni grubej i pasku białym. Była to pokutnica Bieta.

Gdy Biskup wszedł i wstrzymał się u progu, żadna z modlących się oprócz Gryfiny, nie zwróciła się ku niemu... On i ona zamienili wejrzenia groźne prawie, — księżna ulękła się i spuściła oczy.

W chwili właśnie, gdy marzyła o przyszłości stawał przed nią ten człowiek, który choć na pozór przejednany, był zawsze niebezpieczny. W ustach jego zwichniętych przymusem jaki sobie zadawał, krył się źle, jakiś uśmieszek złośliwy.

Dla niego nowe pole, nowe się odkrywały widoki.

Z miejsca w którym się zatrzymał, Biskup zmierzył wejrzeniem zmarłego pana.

Uszedł zemsty jego przez zgon swój, ale mu oczyścił drogę. Na tem łożu wyciągniętym był zwyciężkim — czuł to Paweł. Zmarł nie jak on chciał na wygnaniu, odarty z władzy i jej godeł, ale na stolicy swej, w zamku naddziadów, otoczony wspaniałym dworem — panem nad krajem, z którego biskup wypędzić nie mógł.

Tego on nie przebaczał zmarłemu. Paweł z Przemankowa² śmiercią tą był zwyciężonym. Pracował darmo, świadczyła o jego niemocy, Bóg wyrwał mu jego ofiarę.

Na twarzy Biskupa wszystkie wrażenia i myśli tej chwili zlały się w jeden wyraz niezmiernej dumy, niemal pogardy. — Gniewu inaczej tu objawić nie mógł.

Duchowieństwo występujące na powitanie Pasterza, przyjął zaledwie nań wejrząwszy i poszedł zwolna z modlitwą ku marom.

Oko jego śledzące wszystko, padło na Bietę — i zapaliło się złością.

I ta była nad nim zwyciężcą, i tej on ani się pozbyć z przed siebie, ani mógł zapomnieć.

Zachmurzył się mocniej jeszcze, gniew w piersi jego zamknięty, urósł i poruszał niemi.

Mógł się pocieszać jednak. Ze dwu wrogów, których pokonać nie mógł, zostawał mu jeden tylko, Leszek.

Rycerz był dzielny, ale zapamiętały. Paweł pomyślał, że ten — może jak oszalałe zwierze na łowach sam na oręż nastawiony się przebić.

²Paweł z Przemankowa — historia Pawła z Przemankowa, tak, jak ją tu podajemy, pozostała nie tylko w kronice Długoszewej, ale w aktach kapituły, i mnogich współczesnych dokumentach. Badał ją krytycznie ś. p. Aleks. Przędziecki, i biskup Łętowski. Trzymaliśmy się w niej wiernie podań i faktów, na których osnowie powieść nasza została oparta. [przypis autorski]

Szmer modlitw cichych, przerywany śpiewem księży, napelniał izbę razem z wonią kościelnych kadzideł... Z otwartych okien wiatr zawiewał na płomienie grubych jak pochodnie zwijanych świec kościelnych, które płonęły, dymiąc i światłem drżącym migotały po izbie.

Uroczysta chwila w inne dusze lała uczucia znikomości ludzkiej, — w jego sercu nie odbiło się nic, oprócz mściwej rachuby jutra.

Pomodliwszy się i pokropiwszy zwłoki, gdy już miał odchodzić Paweł, ujrzał przed sobą stojącego Leszka.

Oparty był na mieczu, cały we zbroi zwycięzca ów napastliwych pogan i Litwy, wojak nieznający strachu, człowiek bez ludzkich słabości.

Ułaski by się go może Paweł, gdyby nie czuł w nim obok żelaznego męztwa — umysłu, który po za obecną godzinę dalej nie sięgał, i przewidzieć nic nie mógł.

Był to człowiek dnia jednego, któremu zawsze starczył — ale jutro nie jego było.

Paweł zrozumiał to dobrze i dlatego mniej się lękał niepokonanego wojaka, który żadnej niewiasty nie kochał, kubka nie był żądny, jadłem żył skromnym, wesołości nie szukał, w trudzie znajdował rozkosz.

Cieszyło i to Biskupa, że jak większa część Piastów, Leszek miłował Niemców, powierchownością naśladować się ich starał, i u polskich ziemian wielkiej miłości mieć nie mógł.

U tych mar Wstydlivego, na których on spoczywał już po wielkim boju życia — razem z dymem kadzideł snuły się te myśli przyszłości: Boże, klasztorne, mściwe i gniewne, rycerskie i spokojne.

Leszek patrząc na stryja, który go umiłował i usynowił, w duchu poprzysięgał mu, iż dzielnicę jego utrzyma, rozerwać jej nie da — i powiększy.

Późno w noc, Paweł, którego wychodzącego pokłonem do ziemi pozdrowiła Bieta — wstrząsnąwszy się cały na tę pokorę, bo ją wziął za urągawisko — powrócił na dworzec swój wzruszony, zburzony, pełen myśli, które mu zasnąć nie dały.

Drugiego dnia ziemianie, zbiegający się do Krakowa, Leszek, Gryfina, widząc Kingę zapowiadającą, że natychmiast chce ujść do klasztoru, błagać ją poczęli i prosić aby jako pani pozostała w Krakowie.

Pobożna Kinga — przerażona naleganiem, uchodziła przed nimi. Żadna siła ludzka wstrzymać jej tu nie mogła.

Zaledwie przebrzmiały dzwony pogrzebowe, gdy już wozy księżnej Kingi i Jolanty stały gotowe w podwórcach. — Godziny jednej dłużej tu pozostać nie chciały, nie mogły.

Służba ze łzami padała żegnając dobrą swą, miłosierną matkę — ludzie cisnęli się — Kinga łzy jednej nie roniąc, strofowała łagodnie.

— Bóg mnie woła! — mówiła — na głos Jego głuchą być nie mogę...

Leszek i Gryfina ujrzeli je z rana razem z siostrą Jolantą wychodzące ze swej sypialni, w sukniach zakonnych, z włosami postrzyżonemi, bosa, sznurami poprzepasywane — obie jakby odmłodzone i wesołe.

Gryfina, której serce przywiązało się uwielbieniem i wdzięcznością dla świętej niewiasty, ocierała łzy, chwyciła jej ręce, z rubasnością Rusinki obejmując aby zatrzymać przy sobie.

— Dziecię moje — spokojnie odpowiadała Kinga — żadna miłość i żadna ludzka moc nie zdoła mnie zmusić do męczarni waszego żywota. Na tę godzinę wyzwolenia czekałam ja życie całe — jestem szczęśliwa! szczęśliwa! Bolko mój do niebios poszedł dotrzymawszy mi ślubu, ja z wiankiem na skroni idę do nieśmiertelnego Oblubieńca mojego!

To mówiąc rozpostarła ręce, padła na kolana i pochylając się ku wiszącemu na ścianie krzyżowi z wizerunkiem Chrystusa, namiętnie poczęła całować nogi Jego.

Siostra Jolanta niemniej mając gorącości ducha, nie okazywała jej tak jawnie jak Kinga, dla której oczy i uszy ludzi obojętnymi były.

Księżna wołała w zachwycie oczy podnosząc ku niebu.

— Raduje się dusza moja w Panu, rozkoszą rajska zapływa serce moje. Oto idę do Ciebie, Panie, sługa Twa! Oto idę!

Słowom tym w uniesieniu wyrzeczonym towarzyszyły ruchy znamionujące szczęście niepojęte dla drugich.

— Spieszcie! — wołała na dwór swój. — Szaty moje niech wezmą ubodzy, klejnoty niech idą na ołtarz Pana! Nie potrzebuję nic, ta jedna sukienka uboga starczy mi do zgonu. Dlaczego ociągacie szczęście moje? czemu wstrzymujecie mnie tu, o wy, nielitościwi! Widzicie, że ducha mego już tu niema — więzicie ciało tylko!

Chwytając za rękę milczącą Jolantę, zwróciła się ku niej.

— Chodź, siostró moja miła, chodź! Bramy raju czekają na nas otwarte... Idźmy! bieżmy!

Ludzie słuchający płakali jedni, drudzy rzucali się na kolana — kapłani pobożni słuchając natchnionej, jak ona wpadali w zachwycenie.

Księżna z kolei ku wszystkim się zwracała o pośpiech błagając. Lękała się aby ją przymocą jaką nie zatrzymano tutaj.

W Sądzu już wszystko było gotowe na przyjęcie dwu sióstr, które zakonnicom biednym za sługi się ofiarowały. Wśród tego zajęcia wyjazdem, księżna Kinga przechodząc z kolei od jednej do drugiej ze sług swoich — ujrzała przed sobą klęczącą Bietę.

Ta za wszystkimi jako najniegodniejsza dotknąć szat świętej pani — się kryła. Ujrawszy ją przed sobą rzuciła się na ziemię, objęła bosc jej nogi i całować je zaczęła.

— A ty! — rzekła pochylając się ku niej Kinga — dziecko moje! dlaczegożbyś nie miała iść z nami?

Tam łzy i pokuta lżejszemi ci się staną, droga zbawienia łatwiejszą. — O! chodź ze mną, chodź ze mną!

— Nie mogę, o, pani moja! — podnosząc ręce ku niej zawołała Bieta. — A! nie! Tej lżejszej drogi ja wybrać sobie nie mam prawa... ciernistą iść muszę i spaloną. Jam jest karą Bożą dla niego, jam dla niego znakiem i oznajmieniem... ażali to serce kamienne nie zmięknie od łez moich... ażali i z jego powiek nie wytryśnie kropla żalu... Bóg mi wskazuje tę drogę!

Przypadła łkając do nóg księżnie i zamilkła.

Kinga błogosławiła, cichą nad jej głową odmawiając modlitwę.

Zdale stojący, nie wiedząc czemu, płakali.

W tej chwili zakonnik stary z siwą brodą, z głową wypelzłą, w sukni połatanej, przezasany powrozem wszedł do izby, jakby dawał znać, iż przyszła chwila rozstania.

Oblicze księżnej zajaśniało, porwała krzyż, przycisnęła go do piersi i niosąc przed sobą jak tarczę w tryumfie, modląc się głośno, poczęła ku drzwiom z siostrą iść razem.

Przytomni po drodze chwyтали i całowali jej szaty. Niewidziała już nikogo, nie słyszała nic, cała w Bogu... Nie rzuciwszy okiem na ten dom w którym lat tyle przeżyła, w którym tyle wspomnień pozostawało — biegła spiesźnie z dworca ku kościołowi, z modlitwą ostatnią na świeży grób męża...

Tu przy płycie kamiennej pokłękła raz jeszcze, ale modlitwa trwała krótko i wstała natychmiast. Wozy za nią przybyłe stały u drzwi kościoła Św. Franciszka, czeladź podniosła ją na rękach... i płacz dał się słyszeć rzewny.

I wozy toczyły się już po zmarłej drodze ku Sądcowi, a na zamku jedna pozostała — Gryfina.

Biskup zdale przypatrywał się temu widokowi, który w nim zniecierpliwienie jakieś wywoływał. Miał nadzieję, że przez księżnę nawrócona Bieta, z nią razem pojedzie się zawrzeć w murach klasztornych...

Właśnie gdy oczyma szukał jej na tych wozach, które niosły Kingę i Jolantę, spostrzegł idącą smutnie z głową zwieszoną i różańcem w ręku.

Cofnął się ze wstrętem.

Widok jej teraz nawet gdy przestała być groźną a stała się błagającą, wznawiał w nim dawne burze, wspomnienia jątżące.... nie zgryzotę występku, ale gniew niemocy i upokorzenia.

— Pawle, mówil do siebie sam, czegożes ty upragnionego, pożądanego dosięgnął w żywocie swoim? — Nic! Słabi tryumfują nad tobą, urąga ci się pospólstwo... tłum cię palcami wytyka... przebaczone ci bo wzgardzono tobą!!

Nie! nieskończyło się życie jeszcze! Nie! Teraz się ono dopiero rozpocząć może. Leszek jeden nie sprostą mi! Obalę go, podkopię, wywrócę... Okażę siłę moją! Zwycięzę!

Tych słów domawiał w duszy swej, gdy do izby, w której oknie stał, wszedł mężczyzna z głową siwą, przyodziany z przepychem, kołpak trzymając w ręku.

Możny to był pan i znaczący człowiek, poznać było go z postawy, chodu, z lica dumnego, którego zasepienie choć ogólną mogło się tłumaczyć żalobą, znamionowało razem charakter zgryźliwy, podejrzliwy, niespokojny.

Szedł ku Biskupowi z wolna, jak człek w domu tym poufały, nie gość, a domownik prawie. Szedł roztargniony patrząc pod nogi, myślami ciężkimi, które w sobie niósł tak zajęty, iż niepostrzegł jak biskup usłyszawszy chód, zwrócił się, podszedł ku niemu i tuż stanął.

Podniósł i gość blade oczy na niego, ale zaciśniętych mocno ust nie rozwarł jeszcze.

Oczyrna tylko z początku mówili do siebie i zrozumieli się. Na obu znać było wielkie brzemie wspólnie dźwigane.

Paweł rękę doń wyciągnął, ścisnęli się, przybyły lekko skłonił się jakby do pocałowania jej, wnet odprostował i westchnął ciężko.

Biskup spojrział w głąb izby — nie było w niej nikogo — za progiem zdała, stała czeladź jego, przyglądając się i szepcząc po cichu.

Gość był tak ubrany jeszcze jakby powracał z pogrzebu i uroczystości zamkowych, w szatach paradnych, w kozuchu sobolim, w kołpaku z piórem, z pasem złocistym... Ubranie te zawadzało mu, ciążyło, bo je coraz poprawiał... Zdradzała się natura niecierpliwa.

Długo dość, Biskup i on, powitawszy się stali milczący. Wiodąc go za sobą Paweł poszedł usiąść na wezgielcu i wskazał mu ławę zasłaną u swego boku. Schylił się do przybyłego.

— Poczyna się era nowa! — rzekł szydersko.

— Lub starych dziejów przedłużenie! — głosem stłumionym, schrypłym odparł przybyły. — Nowego tu w istocie niema nic. Myśliwego straciliśmy, żołnierz go zastąpił, a wodza i głowy jak niemieliśmy tak niemamy!

Paweł poruszył głowę.

— Wojewodowie oba dobrzy! nie mówcie! — odparł. — Pudyk prowadził na plac i bił się dzielnie. Leszek od niego lepszy jeszcze.

— Pewnie, ale na księcia tego za mało — począł gość. — W domu też i czasu pokoju głowy potrzeba. Nie dość utrzymać co się dostało, zdobywać musi kto chce panować. Ziemianie nasi jak jednego tak drugiego nie lubią. Oba Niemcy są.

— Niemcy! tak! — rozśmiał się Biskup — a szukajcież między Piastami takiego, coby nim nie był?

Pomilczeli trochę i Biskup sam dodał.

— Mazowieckichby nam tu trzeba, ci silniejsze mają dłonie i chciwsze serca — i nie tyle zniemczeli.

Patrzyli na się i znowu milczenie było. Biskup przynieść kazał wino, wzięli za kubki.

— Kto chce co poczynąć — szepnął Paweł — musi zawczasu.

Gość głową dał znak potwierdzający.

Tak się już musieli rozumieć dobrze, iż słów im wiele nie było potrzeba — odzywali się urywanemi wyrazy.

— Nas dwu, to mało — szeptał Biskup.

— Czekajcie, niebawem więcej się znajdzie — odparł drugi. — Dać trzeba czas Leszkowi aby ziemian od siebie odstręczył. Łatwo to przyjdzie. Niemcy u niego wszystkim. Niech się rozpościerają, niech biorą górę, to nam przyjaciół przyczyni.

— Rozumnie! — potwierdził Biskup — ale każda by najpiękniejsza szata ma podszewkę, tak i ta wasza, która się po wierzchu dobrą wydaje. Zrazi Czarny jednych, drugich pozyska, bo w boju mu się szczęściło i szczęści — a rycerstwo to za serce ima.

Gość odpowiedział wzrokiem zdumionym i pomyślawszy nieco, rzekł.

— Na to aby sobie druhów nie zrobił — poradzi się.

— Radźcież! — dodał Biskup.

Siedzieli znów popijając.

— Żegota, wojewoda nasz nie mówi co czuje — rzekł przybyły — ale mu i było i jest wszystko nie do smaku... Da nam rękę.

Biskup wesołą twarz zrobił.

— Ja, nie jestem go pewny.
 — Ja zaś co wiem, to wiem, i przy swoim stoję.
 — A z Sandomierza? — spytał Biskup.
 — Krystyn mi powinowaty — odpowiedział gość — przez niego pójdzie się dalej. Bardzo cicho i żywo ks. Paweł dodał schylając się do ucha.
 — Ale dziś, dziś trzeba wielką miłość i zgodę wyklądać na misę, aby nie zwąchał co się warzy.
 — Nie widzi daleko — wtrącił drugi.
 — Toć prawda, ale drudzy zań...
 Przeszli do innej treści.
 — Gryfina — odezwał się Biskup szydersko — zażąda teraz więcej niż kiedy potomka. Jużem ja jej raz służył dobrą radą gdy czepiec zrzuciła i wrzawy a sromu narobiła Czarnemu. Teraz mam też czem ją sobie zjednam... a w oczach ludzi zohydżę!
 Bystrem wejrzeniem gość mowę mu przerwał, jakby podziwiał przebiegłość Biskupa, który ciągnął dalej z uśmiechem.
 — Mam tu jednego mnicha Benedyktyna, niedawno ze Włoch przybyłego. Biegły jest w różnych medycznych kunsztach, i ma radę na wszystko. Niemoce wszelkie i choroby najcięższe leczy. Ma też, jak powiada, nieochybne lekarstwo na bezdzietność.
 Zdziwiony słuchacz wlepił weń oczy.
 — Nie bój się, kochany Warsz — dodał Biskup widząc zdumienie. — Mnich bałamut jest i samochwalca. Nie uczyni on nic, ale uwodzić ją będzie — a gdy wezmą co im doradzi, splugawią się w oczach ludzi.
 — A cóż to za lek taki? — spytał Warsz.
 — Nie łączoby go kto po dobrej woli kosztował — mówił Paweł — ale Gryfina gotową jest na wszystko! Ślubowała już św. Idziemu i innym bezskutecznie, posłucha mnicha mojego. Jest Salernitanin! Opowiada się też jako uczeń Wielkiego Alberta.
 Warsz słuchał z ciekawością natężoną.
 — Samochwał ten i kłamca, bo za takiego mam go choć suknie nosi zakonne — mówi iż zna gady takie, węże i ropuchy, których pożywanie przez obojga małżonków, nieochybnie ich potomstwem obdarzy.
 Ks. Paweł śmiać się począł.
 — Gryfina zje pewnie co jej poda — mówił dalej — a jako Ewa prawa poda mężowi też część owocu zakazanego. Benedyktyn lubi prawić i chlubić się... Gadami ich nakarmiwszy, rozgłosi...
 Warsz ruszył tylko ramionami. Rzecz mu się zdała lub do wiary niepodobna albo błaża. Paweł zaś niepomierne się nią radował jako dobrym wynalazkiem, powtarzając żarty o gadach, któremi nowego pana żywić miano.
 Gdy tak rozmawiali, z zamku powracających kilku zaszło na dworzec do Biskupa. Z liczby ich poznać już było można, że przez ostatnie lata zjednać sobie potrafił jeźli nie przyjaciół poważniejszych, to przychylnych i nie odwracających się od niego, między ziemiany.
 Pierwszy ukazał się wojewoda Żegota, o którym mowa była, za nim Krystyn kasztelan Sandomirski, powinowaty kasztelana krakowskiego, który tu ich uprzedził. Przychodzili i inni na pogrzeb przybyli, tak że w godzinę na dworcu przy ulicy Wiślniej, tłumno już było.
 Zastawiono stoły obficie, bo tém sobie zawsze ludzi jednał, że ich karmił i poił pańsko a dostatnio.
 Wkrótce też pogrzebowego smutku wcale tu czuć nie było, a mało kto, oprócz tych co mu do łowów służyli, wspomniał Pudyka.
 O Leszku też ostrożnie milczeli wszyscy.

VI

I znowu cztery upłynęło lata.

Leszek czarny panował, bijąc szczęśliwie Litwę, a głosy chodziły, iż patron ulubiony, archistrategus Michał, dopomagał mu niewidzialnym mieczem przeciw wrogom.

Biskup Paweł toż samo wiódł zawsze życie, spiskował tylko teraz gorliwiej może i goręcej, niż za Bolesława, bo mu długa bezkarność dodała ducha i uzuchwalała. Nikomu nie było tajno, że wiódł na Kraków Konrada Mazowieckiego, któremu szersze panowanie bardzo się uśmiechało.

Gorąca krew pierwszego Konrada, odzywała się w tym potomku.

Krzyżakom oddawszy kawał ziemi, której odzyskać żadnej już nie mieli nadziei, chciało się Krakowem i Sandomierzem zapłacić — a Biskup najlepszą przyszłość obiecywał...

Nie powiódł się zamach na Sandomierz, przyszła potem sprzymierzona Litwa, i tę Czarny przegnał i pobił. Jakby na domiar klęsk, głód i po nim mór straszny kraj spustoszył.

Wszystkie ks. Pawła knowania i spiski spelzły na niczem, ale się nie wyrzekł ich, i nie zaprzestał przeto. Trwał przy swoim.

Między nim a Leszkiem, wojna już prawie była otwarta. Biskup nie pokazywał się w Krakowie, bo tu mu głośno uwięzieniem grozono.

Z pierwszej niewoli groźbą klątwy i interdyktem wyzwolony, Paweł śmiał się z tych pogłosek.

— Nie ważą się raz drugi! — mówił.

Miał za sobą znaczną część ziemian wszędzie, jawnie jeszcze nie występującą, ale używaną i pewną.

Niekiedy powtarzające się posłuchy o tem, że Czarny mu więzienie obiecywał, to go gniewały, to do śmiechu pobudzały...

— Nie będą śmieli! — powtarzał.

Siedział pod ten czas w Łagowie Biskup, licznym otoczony dworem — bo Krakowa nie lubił, jak mówił, a może się go w istocie obawiał. Tu się doń zjeżdżali potajemni sprzymierzeńcy, tu odbywały narady, ztąd posłowie jawnie prawie jeździli podżegać Litwę do najazdów, książęta Mazowieccy już spokrewnieni z Kunigasami litewskimi wyciągali ich z lasów.

Nie poszczęściło się w Sandomierzu, bo Leszek przegnał zwycięzko najezdców, Biskup miał tę pociechę przynajmniej, że go niepokoił i nie dawał spoczynku.

Groźniejsze daleko sprzysiężenie w przyszłości się sposobilo, bo ziemianie obiecywali wszyscy się za Konradem ogłosić, byle się pokusił o Kraków. Czyniono ku temu przygotowania.

W Łagowie, w którym biskup podstarzały i ociężały najczęściej przebywał, dawny dwór co roku przybudowywano, szopy przystawiano bo ich nie starczyło dla przybywających gości i dworu.

Nigdy tu pusto nie bywało, rzadki dzień by do stołu pół setek ludzi nie zasiadł.

Nakarmić było ich trudno, ale biskup swojego grosza, kapituły i kościelnego majątku nie szczędził a dziesięciny zawczasu za gotowe pieniądze umiał sprzedawać. Weselono się i zabawiano ochoczo. Biskup, gdy gniewnym nie był, zachęcał do dobrej myśli i pośmieć się lubił.

Otaczali go teraz ludzie nowi, ale kubek w kubek do znanych nam już podobni, krzykacze a śmiałki, pochlebce i darmozjady.

W łaskach największych był Kaczor, ziemianin sandomirski, człek do wszystkiego, bo choć rycerskiego stanu i dobrego rodu, — razem gęślarz, śpiewak, wesolek, do wszelkich sztuk zręczny. Z owym ślązkim księciem, co go Skoczkiem zwano, o zakłady chodził do przesadzania przez kłody, z innemi o końskie gonitwy... Na nieosiódlanego, bez uzdy skoczywszy, najdzikszym kierował i zmuszał do posłuszeństwa.

Przytem równie bystry był jak silny i zręczny, przewąchał prędko nieznanomego, do był z zanadru każdemu co najgłębiej leżało skryte. A wieczorem przy uczcie wydrwić, rozśmieszyć, spoić umiał jak nikt.

Niczego też wyglądał, twarz miał krągłą, dosyć przystojną, choć nos przyplaszczony trochę i za mały, oczy żywe, usta rozkoszne, uśmiech biorący za serce. Gibki, silny, choć już nie młodzik, mógł jeszcze za takiego uchodzić. Biskup, którego w złych godzinach rozrywać umiał, lubił go bardzo.

— Bez Kaczora jak bez ręki! — mawiał gdy go nie było.

Wysławszy go tęsknił za nim. Ubierał też pięknie ulubieńca, a często gęsto, rzucił mu garść groszy. We dworze co kto chciał wyrobić u Biskupa, przez niego najpewniej wyprosił. Płacić sobie kazał za to, ale co chciał wyzyskał.

Tegoż dnia w Łagowie dodnia przyszedł Kaczor do Biskupa, który się jeszcze wyciągał na łożu. Stanął przed nim coś poprzåtając z dnia wczorajszego na stole, a twarz miał co się mu rzadko trafiało posępną.

— Cóż tam? — zapytał Biskup ziewając — będziemy dziś niedźwiedzia szczuli, co go łowcy żywcem wzięli?

— He? niedźwiedzia? — odezwał się Kaczor. Ja bo lękam się, aby nas nie poszczuto...

— Coś ty oszalał? — spytał Paweł.

— Nie. — Na sercu mi strasznie markotno — rzekł sługa — słyszę, że o mil kilka kręcą się jakieś oddziały Leszkowe, kto wie co one mają na myśli i czego tu szukają.

Ks. Paweł śmiał się z tej obawy.

— Szukają po czasie litwinów, którzy już z łupem do domu poszli. Cóż za dziw, że się tu Leszkowi ludzie kręcą! Czyś już i ty tchórzem się stał!

— Wolalbym ażeby ich w bliskości nie było.

— Co ci do głowy przystąpiło, — fukał biskup. Mieli czas na mnie się zasadzać, gdy bliżej był a nie wazyli się...

— Ja im nie wierzę! — westchnął Kaczor.

Biskup, który wstawac począł, oburzył się na niewczesnego proroka.

— Idźże ty mi precz z baśniami temi! — odparł.

Kaczor się nie dał wypędzić.

— Cóż by to W. Miłości szkodziło, — rzekł, — gdybyście trochę gdzieindziej posiedzieli, a nie w tym Łagowie, gdzie dworzysko jak na dłoni, i wiedzą o was zapewno, że tu jesteście.

— Oszalałeś! — przerwał ks. Paweł zniecierpliwiony mocno. — Milczże mi, albo precz idź! Łagów ci się przejadł, albo sobie gdzieindziej podwikę upatrzył.

— Nie, — rzekł Kaczor — nie! Niewiem sam co mi jest! Niepokój mnie ogarnia, sny mam brzydkie, i opędzić się im nie mogę.

— Sny, głupie — zamknął Paweł. — Możesz że ty przypuścić, aby się oni po wtóry raz na interdykt i klątwę narażali?

— He? — ruszając ramionami, głowę i głos podnosząc, począł Kaczor. Niech mi W. Miłość przebaczy, ale zapominacie o wszystkim...

Wszak ci Arcybiskup Gnieźnieński nie żyje, drugiego dotąd nie ma jeszcze, choć gadają, że Świnkę mają tam posadzić... A któż rzuci interdykt za W. Miłość?

Uwagą tą Biskup nieco się zdał uderzony. — Stanął i zadumał się.

— W istocie rozum masz — rzekł, — tylko nim zanadto świdrujesz!

— Czy ja go mam o tem nie wiem — odparł sługa, — ale to pewna, że W. Miłość nadto być ostrożnym nie możesz.

— Gdyby oni chcieli zębów na mnie probować, czas po temu mieli — odezwał się Paweł. Wiedzą dobrze, iż targnięcie się na władzę biskupią, płazem nigdy nie uchodzi.

Biskup ubrany przeszedł się po izbie raz i drugi, zamyślił i spytał Kaczora, który jeszcze coś ustawiał.

— Wielu ludzi zbrojnych mamy z sobą?

— Było ci ich pewnie z półtorasta, może i więcej. Ja liku niewiem, bo to nie moja rzecz a pana Zakliki. Połowa z tych po wsiach rozstawiona odpoczywa, z reszty dużo się rozlazło, gdyby policzyć pilnie dwudziestuby może zebrało się wszystkiego.

Kaczor wyszedł nie otrzymawszy odpowiedzi, a biskup jakby o rozmowie tej zapomniał, z bardzo wesołą twarzą do izby się wytoczył, gdzie już nań czekano z rannym obiadem, który niemal zaraz z łożka wstawszy pożywano.

Biesiadników dosyć było, lecz rozpatrzywszy się nie wiele po nich spodziewać mógł gospodarz, do misy byli dzielni, do gadania skorzy, zbyt rycersko z oczów im nie patrzyło.

Rozmowa poczęła się zaraz o tym młodym niedźwiedziu, którego łowcy żywcem wzięli, a mieli go po południu szczwać psami, między parkanami, którą zabawę ks. Paweł lubił, jeżeli łowów nie było.

Dzień robił się skwarny, z domu jechać w las nie chciało się nikomu, czekano popołudnia.

Biskup jako był nawykł, zjadłszy i napiwszy się — siadł drzemać czas jakiś, niekiedy legł na chwilę.

Właśnie oczy był przymknął i zabierał się do tego poobiedniego spoczynku, a gawieź porochożdziła się szukając cienia i chłodu, czeladź po panach resztki sprzątała, gdy naraz ziemia się zatrzęsła, zahuczało gwałtownie.

Zerwał się ks. Paweł na równe nogi — i wyjrzał.

Do koła dom otaczali zbrojni, a w sieni Kaczor krzycząc już się z kimś borykał.

Biskup co żywiej rzucił się we drzwi tylne, widząc, że w istocie zaskoczony został, jak mu z rana sługa przepowiadał — ale otwarłszy je i lecąc pędem, wpadł w ręce ludzi, którzy stali czatując nań. Chociaż bronił się rozpaczliwie, przemogli go liczbą, ujęli w przędcę i z sobą powiedli.

Głowy nawet nakryć czem nie miał, a na sobie letni przyodziewek dla skwaru i na nogach skórznie miękkie, w których po domu chadzał.

Wołał wielkim głosem Kaczora i swoich, ale tego pierwsi wchodzący spętali już w sieniach, a co było Biskupich ludzi, pierzchnęło jak wymiótł.

Rycerstwo bezbronne, bo oręża pod ręką nie miało, poniosło się do lasu, dwór po wyżkach i szopach się pochował, czeladź po za płoty i ogrody poprzypadała.

Bronić się ani myśleć mogli, nie było też komu.

Oddział wysłany dla pochycenia Biskupa liczył więcej półtorasta ludzi, doskonale zbrojnych a przez Leszka tak wyuczonych iż dwa razy silniejszy zastęp nie był dla nich straszny.

Nieopodał stał przygotowany wóz, bo na koniu, choć jeszcze jeździł ks. Paweł na łowy, jużby go w dalszą drogę uprowadzić nie było można. Wiek i tusza nie dozwalały.

Zbrojni ludzie na rękach go podnieśli, do wozu rzucili, siadło z obu stron na straży po trzech drabów i w konie!...

Wóz potoczył się żywo, w koło otoczony częścią oddziału, gdy tymczasem reszta jego, wedle obyczaju plądrowała domostwo, i co w nim lepszego było, rozgrabiła.

Kaczor związany wymodlił się, aby go dla usług Biskupa z nim wzięto, dano mu konia, którego dwóch między siebie wzięło, a ręce mu spętano.

— Stanęło na mojem — pomyślał Kaczor, który nigdy nie dawał się złamać na duchu. — Biskupa nie zetną, ale odsiedzi rekolekcje dobre i schudnie trochę...

Nie taili ci co ich prowadzili z sobą, że znowu do Sieradzia rozkaz mieli wieźć ks. Pawła, gdzie zamek był mocny, ucieczka z niego trudna, a dostojnemu więźniowi mogło być dość wygodnie. Zamek teraz pustką cały.

W pierwszej chwili Biskup wyrывał się, kłął, łajał, groził, lecz po tym wybuchu opamięnał się, uspokoił, milczał. Ci co go wieźli, ile razy mu w oczy spojrzeli, woleliby byli łajanie niż wejrzenie. Odwracali się od niego milczący.

Ani wilk gdy go ujmą w jamie, straszniej nie patrzy.

Kaczor odzyskawszy humor, w pół drogi już śmieszył swych stróżów, którzy mu za to postronków popuścili.

W Sieradziu wszystko już było przygotowane na przyjęcie Biskupa. Pustego teraz zamczyska powiększono załogę, a starszym nad nią mianowany był ulubiony Czarnemu Żelisław Kaniowa, więcej nawykły do trzymania żołnierzy w polu, niż do strzeżenia więźnia i zamku.

Wprowadzony do tej samej izby, którą niegdyś zajmował, złamany drogą pospieszną Biskup, rzucił się na twardą ławę i pozostał w jakimś odrętwieniu długo.

— Zwyciężonym, zawsze zwyciężonym być! — powtarzał w duchu.

Myśl ta do rozpacz go przyprowadzała, wrzała w głowie, rozdzierała piersi.

Tyle sił zmarnowanych, tyle przebiegłości, rozumu, czasu, pieniędzy, ofiar nadaremnych, zmarnowanych! Miał do czynienia ze słabszym od siebie nieprzyjacielem, a podolać mu nie mógł. W czem więc spoczywała tajemnica zwycięstwa?

Nie chciał przypuścić, ażeby ona w sprawiedliwości sprawy leżała, wierzył tylko w siłę.

Wśród tych bolesnych rozmyślań, Kaczor, który się wprosił do posług jego, wszedł z ludźmi, niosącymi przybory potrzebne, sprzęt, pościel i co do wygody służyć miało. Biskup, do którego mu w drodze przybliżyć się nie dozwolono, niewiedział o nim i zdziwił się postrzegłszy przy sobie jedynego, pozostałego, wiernego sługę.

Ten zajmował się posłaniem nie odzywając się nawet przy obcych — spełniał swój obowiązek milcząc... Pocieszyło to nieco ks. Pawła, że go miał z sobą, bo człowiek przebiegły mógł mu być użytecznym.

Kaczor był tak rozumnym, iż nie wypomniał mu tego co z rana w dniu uwięzienia, mówił o swoich snach i przeczuciach.

Dopiero gdy czeladź obca się porozchodziła, rzekł.

— Odpoczniesz tu sobie, Miłość Wasza, a w Bogu nadzieja — długo to nie potrwa.

— I zapłacą mi oni za to drogo! — dodał ks. Paweł — chyba bym nie był żywy! Przyśięgam na rany Pańskie, na sucho im to nie ujdzie! nie!

Drugi raz więzi mnie Leszek! na jego karb, na szyję... kładnę krzywdę moją i kościoła! Zamilkł.

Od następnego poranku rozpoczęły się dni długie niewoli jednostajnej — tej, w której więzień traci w końcu czasu miarę i dni liczbę. Codziennie, niezmiennie powtarzało się toż samo.

O jednej godzinie budziła się straż za drzwiami i gwarzyć zaczynała, przynoszono jedzenie, wchodził Kaczor, mówił o pogodzie... Biskup próbował się modlić, gniew i myśl zemsty przerywały mu modlitwę. — Jadł potem, drzemał, bił się w pośród tych ścian ciasnych i dusił, a po długiej bezsenności gorączkowym snem usypiał.

Na zamku przez okno widać było zawsze tych samych żołnierzy załogi wiodących konie, noszących wodę, grających w kości, pasujących się z sobą lub po piwie śpiących w cieniu.

Na zamku pusto było, cicho, dusząco.

Po kilku tygodniach tej męczarni podobnej do katuszy, gdy zbrodniarzowi sznurami ręce i nogi powiązawszy, zwolna mu członki ze stawów wyciągają, — Biskup nie wiedział czy spędził tu dni, czy lat kilkanaście. Wszystko się zmieszało w szarej myśli mrokach, pierwsza niewola z drugą, młodość z dniami teraźniejszymi.

Spodziewał się czegoś — odezwy, głosu — poselstwa, żądania — nie przybywało nic.

Nawet pleban miejscowy, dawniej mu znany nie przychodził go pocieszać. — Biskup nie wiedział iż zmarł był, a obcy go zastąpił.

Jednego dnia śmiertelnie znużony ciszą tą i jednostajną rozmową z Kaczorem, który z zamku nie miał prawa się oddalać — posłał prosić proboszcza.

Starszy, Żelisław pozwolił go przyprowadzić — i pod wieczór przywieziono go.

Zdziwił się biskup widząc twarz nową, człeka młodego jeszcze, z wejrzeniem bystrem, pozor surowego, powierzchownością zdradzającego, że świat nie był mu obcy.

Zwał się Albertem a pochodził ze znacznej rodziny Różyców. Młodość spędził jak Dzierżykraj w Paryżu i Włoszech. — To już go mogło nienawistnym uczynić Pawłowi, który półcudzoziemców i — mądraków nie lubił.

Na ten raz jednak i Albertus Różyc był mu pożądanym. Lecz wylać się przed nim, użyć go do swej sprawy, jak chciał Biskup nie mógł, czuł w nim przeciwnika.

To tłumaczyło, dla czego nie spieszył na zamek, nie narzucał się pierwszy i wzywać go aż było potrzeba.

— Widzicie co mnie za to, po wtóry raz w życiu spotyka — odezwał się biskup dumnie do niego. Nie ma już dziś bezpieczeństwa nawet pod tą czarną suknią naszą, ani na stolicach, na których siedzimy. — Przyszły Antychrysta czasy, tatarskie rządy.

Różyc milczący westchnął tylko.

— Nad śmierć cięższe jest milczenie grobowe w tych murach, — ciągnął dalej Paweł. — Nie słyszeliście nic, mój bracie? nie macie czembyście mnie pocieszyli!

— Nie wiem zgoła nic — odparł ks. Albert spokojnie. — Siedzę tu na uboczu, ludzi obcych nie widuję... Ci co tu żyją nie wiele na świat wychodzą.

— Nic z Krakowa? nic ode dworu! — pytał popędliwie Paweł.

— Gdyby co było — rzekł ksiądz, — Wasza Miłość prędzej odemnie wiedzieliścieby o tem na zamku.

— A inni księżęta? — badał Biskup.

Ks. Albert po pewnym namyśle począł zwolna.

— Księciu Przemysłowi poznańskiemu żona jego Lukierda, zmarła nagle. — Baśnie o tem plotą ludzie.

— Więc choć baśnią mnie rozerwijcie, przez litość, na Boga, — rzekł Biskup wskazując na ławę. — Miłosierdzie nademną, zabitym tą ciszą, mieć powinniście...

— Baśń to zapewne musi być — odezwał się pleban — boć niemożliwa, aby pobożny książe poślubiwszy niewiastę, którą wszyscy opowiadali, młodą, nadobną, powolną, dobrą,

miał ją sam na śmierć skazać jak ludzie zmyślają. Powiadają drudzy, że sługi ją, niechętnie pani, udusiły, a między pospólstwem wielki jest żal tej pani.

Biskup, który znał co się na dworach działo lepiej od ks. Alberta, słuchał z powątpiewaniem, ciekawością, zajęciem.

— Księżca Przemka żona! — rzekł powoli — Wiem ci ja o niej? Nie była ona stworzoną ani dla tego pana, ani do naszych dworów ziemczających. Nasłuchałem się o niej, bo dawno o ich życiu wiele rozpowiadano. Biednej pomorzance tęskniło się za swemi i za domem, pieśniami i obyczajem swoich ludzi. Zmuszali ją do niemieckiego życia, płakała...

Chodziła z prostym ludem bratając się, bo u niego podsłuchiwała pieśni do swoich podobne, a językiem własnym rozmówić się mogła...

Niemkinie, co jej służyły, tak ją nienawidzić musiały, jak ona chłopstwo kochała. Księżcu Przemkowi musiała się zdawać zbyt prostą niewiastą i jakby chłopianką... Prędko ją zbrzydził choć książęcej krwi była, nie gorszej od niego. Z tego wszystkiego mogło morderstwo powstać...

Dumny panek mieć je będzie na sumieniu i pamięci!

Ostatnie słowa wyrzekł z radością, którą nienawiść w nim zbudziła.

— Przemkowi zachciało się pewnie, — dodał — dostojniejszej jakiejś żony, kędyś z królewskiego gniazda wziętej niemki... Dostanie ich dużo do wyboru — te się go nie ulękną.

— Wielka żalność po Lukierdzie w Poznaniu — rzekł ks. Albert — bo wielka dla niej była miłość ludzi. Za żywota też pono ucierpiała wiele. Wieczny jej spoczynek.

— Więc Przemko miał ją dać udusić? — zapytał Biskup.

— Prostý lud tak głosi, ale jego baśniom nikt wiary nie daje — dokończył pleban.

— Prawdy dojść trudno, gdy z książęty sprawa — zawołał Paweł. — Jeżeli winien Przemko — będzie w Poznaniu klasztor jaki fundował, wiosek mu nada kilka, a grzech mu odpuszczą.

Szydersko rzekł Biskup z gorączką, która z każdego wyrazu jego tryskała. Ostrożniejszy pleban, spuścił oczy i nic na to nie odpowiedział.

— Na sądzie ostatecznym prawdy się dowiemy! — zamruczał Paweł.

Spojrzał w okno ks. Paweł.

W podwórku, którego już znał wszystkich mieszkańców, postrzegł postać nową, — i z pożądaną ciekawością, począł się jej przypatrywać.

Był to ktoś w sukni podobnej do noszonych przez duchownych, zmierzający ku baszcie, którą ks. Paweł zajmował.

Pierwszy raz od osadzenia tu więźnia — zjawiał się obcy.

Zajął też Biskupa, który cały do okna się przychyliwszy, pilnie mu się przyglądał. Przybysz podniósł głowę do góry, a ks. Paweł dostrzegł rysy dobrze mu znane, których przypomnieć sobie nie mógł, bo odzież duchownego wskazywała.

Pleban, który przed chwilą był tak pożądanym gościem, teraz się dlań stał zawadą. Wstał, dziękując mu za odwiedzinę, i pożegnał, chcąc się pozbyć co najprędzej. Stało się to tak niespodzianie i prędko, że ks. Albert odprawy tak rychłej nie przewidywał, chociaż wstał i odejść się zabierał — zmięszał się nieco. Mógł się domyśleć, że Biskupa mimowoli czemś obraził.

Zmierzał już do drzwi, gdy te się otworzyły i jeden ze stróżów więziennych wpuścił człowieka, długą suknią czarną przyobleczonego, który się klechę wydawał.

Był to ten sam, przez okno widziany przybysz.

W progu pleban i on spojrzeli na siebie, gość spuścił oczy i wyminąwszy go, do Biskupa pospieszył.

Ks. Albert już był za drzwiami. Ks. Paweł witał się, lecz oba niespokojnie na nie spoglądali.

— Nie wyda mnie! — szepnął przybywający.

— Nie zna was przecie — odparł Biskup — a zobaczywszy Księdza, podejrzycie nie będzie..

Zbliża widziały gość, chociaż miał na sobie suknie duchownego, zdradzał się, że nim nie był, postawą, ruchami, na ostatek wcale nie postrzyżoną ani ogoloną głową. To się jednak i innym księżom trafiało, że do synodalnych ustaw nie zbyt się ściśle stosowali.

W tym jednak — najmniej podejrzliwy dopatrzyłby źle noszonego przebrania.

W sukni tej krył się w istocie Krystyn, kasztelan Sandomirski, który chciał niepostrzeżony z Biskupem się naradzić, bo do jego należał obozu.

Biskup ścisnął go wzruszony, z czułością, jakiej oddawna nie okazywał nikomu. Wdzięczenia mu był, czując się przez wszystkich opuszczonym.

— Przecież znalazła się jedna dusza litościwa — zawołał głośno i popędliwie, nie zważając na strażę, które u drzwi słuchać go mogły. — Wszyscyście się mnie zaparli! Radźcie! ratujcie! wyzwolicie! Przeklęty Czarny chce, abym się tu udusił — lub jak Przemko żonę, on mnie tu da umęczyć. Niemasz sposobu by mnie ztąd wywieść? wyzwolic? wyprowadzić?

Krystyn, z którego twarzy widać było przebiegłość wstrzemięźliwą i baczność, dał znak Biskupowi aby mówił ciszej, i sam głos zniżył, uchodząc od drzwi jak najdalej.

— Nie bój się — odparł Biskup — jestem pewny, że tam rozumny mój Kaczor na straży stanął i zabawia wartę, aby nie dać podsłuchiwać. Mówcie! na Boga! co mi przynosicie?

Krystyn palce położył na ustach.

— Tę tylko pewność wam przynoszę, iż ziemianie nasi i krakowscy coraz więcej od Czarnego odstają. Ks. Konrad Mazowiecki gotów jest przyjąć ich ofiarę.

— Tak jak Opolski! — przerwał Paweł — przyjąć! a potem doma siedzieć z rękami założonemi, aż póki dojrzały owoc sam mu do ust nie wpadnie?

— Konrad inną ma krew! — rzekł Krystyn.

— Dla czegoż się ociąga?

— Bo my ani dziś ni jutro gotowi nie będziemy — rzekł kasztelan. — Chcemy na swem postawić, ale siłę musimy zgromadzić, aby nie pójść pod miecz jak ci, których Bolesław pobił u Bogucina... Nie pójdziemy płocho...

— A mnie dacie zamorzyć na tym zamku przeklętym — krzyknął Biskup — aby oczy moje zemsty nie oglądały.

— Pospiech wszystko zgubić może — odezwał się przybyły. — Uwolnić was z więzienia znajdują się sposoby inne... Dla wyzwolonego schronienie się znajdzie...

Nie dając mu mówić, Paweł z lekka go odtrącił. Ciężkie westchnienie z piersi mu buchnęło, za głowę się ujął rozpaczliwie... zamilkł.

Kasztelan ciągle niespokojnie się oglądając — dodał.

— Słychać, że Czarny, choć interdyktu się nie lęka, zgodę zrobić byłby skłonny.

Ks. Pawłowi oczy pojaśniały — ręce rozwarł.

— Niechże przyśle! niech zażąda zgody! Zrobię ją! Napiszę mu co zechce... byłem wolnym był dla pomsty nad nim!

Bezemnie wy — dodał wybuchając — ani ty, ani Warsz, ni Konrad wasz, nie zrobicie nigdy nic!

Wyzwolic mi się potrzeba za jakąkolwiek cenę, aby was budzić, podżegać, nie dać usnąć, nie dozwolic rozkładać na lata co dawno wykonać się było powinno. On w siłę rośnie, a my słabniemy!

Począł chodzić po izbie niespokojny.

— Kupcie wolność moją za najwyższą cenę! — dodał.

Kasztelan coś szeptał starając się go uspokoić, lecz Paweł już mało go słuchał.

— Nie mieliście więc z czem przybywać do mnie — dorzucił wreszcie. — Jedźcie, wracajcie! Nie dawajcie im usnąć! Naciskajcie na księcia Konrada niech nie zwleka! Ja zawrę zgodę, pojedę do Krakowa, aby mu resztę ziemian wydrzeć. Zostanie sam, z Niemcami swemi, i uchodzić będzie musiał smrotnie!

Uwięziony jeszcze Biskup Paweł już w myśli czuł się zwycięzcą. Czas stracony go bolał.

— Jedź — wołał do Krystyna. — Z nami Warsz, Żegota wojewoda, Janusz, wodzowie wszyscy. — Małoż nas będzie? Pójdą inni za nami!

— Żegota? — rzekł Krystyn z niedowierzaniem.

— Wojewody jak siebie pewien jestem, a za nim ziemianie pociągną! Niech Konrad przyłączy się z Mazurami, zdobędzie Poznań, zawojuje Śląsk... Krew ma rycerską, wójak jest... Kraków znowu uczynimy stolicą wielką, będzie na niej wszystkim ziemiom panować...

Mówił w uniesieniu z pośpiechem i gorączką, nie dając się odezwać Krystynowi.

— Chcecie uwolnienie i zgodę przyspieszyć, naglijcie aby Gniezno dłużej nie stało opróżnione. Pasterza niema, głowy niema i myśmy bezbronni! Złękna się kłątwy gdy się Boga nie boją! Idź! spiesz!

I kończąc, niemal go wypychał za drzwi.

— Bezemnie nie zrobicie nic! — mówił — przepadnie znaczenie wasze, prawa stare! Leszek z Niemcami w niewolę was postrzyże! Rycerstwa nie stanie, żołdacy będą tylko... Idź!

Cofał się Krystyn do drzwi. Biskup zadyszany stanąwszy w progu, za odchodzącym już, niepomny że go strażę słuchać mogły, powtarzał jeszcze.

— Idź a spiesz!

Gdy Krystyn znikł mu z oczów, ręką drżącą krzyż zrobił za nim i odetchnął lżej.

Nadzieja swobody świtała!

W kilka dni później nadjechali od Leszka wysłani pośrednicy. Tajemni przyjaciele Biskupa, z nim razem będący w spisku, potrafiłi do kroku tego księcia zniewolić. Obiecywali, że Biskup dwakroć przecierpiawszy spokojnym zostanie i wiernym księciu.

Gdy do umowy nowej przykładano pieczęcie, Pawłowi wyrwało się z ust mimowolnie.

— Mądrzy będziecie jeźli mnie pochwycicie raz trzeci!!

VII

Ci co znali Kraków stary, lub o nim od rodziców słyszeli, porównywając go z nowym — dawnego grodu w tej osadzie świeżej znaleźć nie mogli.

Po tatarskich najazdach i zniszczeniu stało się tu co dawniej z Wrocławiem. Obsiadło go mrówie gęste z niemieckich przybyszów, objęło, zapanowało w nim. W ulicach słycać już tylko było ich mowę, a ci ziemianie wielcy i możni, co tu dawniej przewodzili, bronili miasta i rządzili się w niem, stali się gośćmi; stare mieszczaństwo wyginęło, rozpierzchło się, znikło... w powodzi tej osadników utonęło.

Tak już było za Bolesława Wstydliwego, teraz za Leszka, rosło to jeszcze i bujało więcej. Czarny czuł to dobrze, iż ziemianie serca do niego nie mieli, jemu przypisywano srogie prześladowanie po zamachu księcia Opolskiego.

Lękając się Krakowian, ściągał tu Leszek coraz tłumniej przybywających Szwabów, Sasów, Frankonów, Ślązaków, którzy osiadali na prawie swoim niemieckiem, na wielkich przywilejach i nadaniach, sami sobie panowie, bo ich nikt tknąć nie śmiał.

I jak w mieście, podobnie wyglądało na zamku. Chociaż księżnie Gryfnie z początku obco było pośród Niemców, i ją sobie zjednali. Miała też oprócz nich garść swoich Rusinów i Węgrów.

Puszczony na swobodę Biskup Paweł nie stracił ani chwili i ciągnął dalej knowania swoje, ale dwa lata już trwały poduszczania jego, a książę Konrad wahał się jeszcze i wystąpić nie śmiał jawnie przeciw Czarnemu, którego się lękał. — W ciągu tych lat Leszek jednak coraz mniej straszonym się stawał.

Nie było nadeń mężniejszego wodza w polu, ale w domu pan był nie oględny i nieprzewidujący. Wojna była jego powołaniem.

Ufał w swój oręż, o resztę się nie troszczył.

W tym roku już jednak i jemu oczy się otwierać poczynały, przewidywał, że wkrótce będzie się musiał ciężkim bronić napaściami. Donoszono mu o gotujących się nań zamachach, ale nie wiele go to frasowało, bo w wojnie się kochał.

Dwór Czarnego, złożony z bardzo rozmaitych ludzi, cały prawie cudzoziemców był pełen, polaków miał przy sobie nie wielu. Z pozostałych, zniechęconych dawanem niemcom pierwszeństwem, coraz to się kto wysuwał, wymawiał i znikał. Niemcy z węgry i rusinami zajmowali wszystkie prawie ważniejsze przy dworze urzędy. Ze starych rodów krakowskich, co dawniej same prawie panów swych otaczały — nie dawali przybysze docisnąć się tu nikomu. Nie widać też ich tu było. Toporczyków znaczna część precz się wyniosła, innych mało na Wawelu widywano. Leszek zastępował ich coraz nowych z Niemiec i Węgier ściągając ludzi. Nie skarżył się na to nigdy — pan był milczący, cierpliwy a mężny. Zdawał się zło do ostatka dopuszczać, aby potem łeb uciąć jednym miecza zamachem.

Księżna Gryfina trwożliwszą była, lecz choć czasem ostrzegała go, nie bardzo jej słuchał. — Dawał mówić, nie spierał się, a z drogi swej zwrócić nie dawał.

Gdy swoich zabrakło, musiał robić wszystko niemcami i nie skarżył się na to. Niemczał też on sam coraz jawniej i zdawał się z tego szukać chluby.

Otto Horn jeden z powierników jego wpadł tych dni, zmieszany i niespokojny do księcia.

Wszystko, czego się dotąd dorozumiewano tylko, coraz bardziej, jawniej występowało, jako groźba nieunikniona.

Otto od dawna już Leszka skłonić się starał do działania, a książę stanowcze wystąpienie zwlekał.

— Na Boga ukrzyżowanego! — odezwał się Otto — niema się już co ociągać! chwili stracić nie można.... Trzeba zapobiedz złemu. Otaczają nas wrog!

Czarny słuchał i ręką przebierając brodę, tak stał obojętny, jakby mu o rzeczy blahej lub nieprawdopodobnej donoszono.

— Cóż nowego? co nowego? mój Ottonie! — odezwał się biorąc do rąk mieczyk i z roztargnieniem przypatrując mu się. — Cóż znowu się dowiedział?

— Bogdajby fałszem to było — odparł Niemiec z westchnieniem ciężkiem. — Wszyscy W. Miłość zdradzają! Żegota wojewoda krakowski, Warsz kasztelan, z zebranymi ziemianami, pociągnęli potajemnie naprzeciw księcia Konrada. W obozie jego jest już biskup ten stary zdrajca, który go pierwszy namówił i ściągnął, Janusz wojewoda Sandomirski, Krystyn kasztelan, cały tłum sandomierzan także z niemi. Przy nas prawie nikt nie został.

— Jakto, nikt? — odparł zimno Leszek. — Wczoraj byli tu Leliwy, był Jarosław Śreniawa, było dwu Zaprzańców i Różyce...

— Tak i wczoraj byli ci i innych wielu, dla tego, aby pokryć swą zdradę, a dziś nie ma ani jednego. Uszli wszyscy.

Leszek podniósł głowę — nie strwożyło go to bynajmniej.

— Uszli? — zapytał. — Ba! obejdziemy się bez nich...

Otto nie podzielał tego spokoju pana — poruszony był i wylękły; przelać w Leszka nie mogąc obawy swojej.

Tuż za Ottonem wbiegła do komory księżęcej Gryfina. Hoża niegdyś rusinka, przedwczesną starością dziwnie była zmieniona. W twarzy zmęczenie, drgania jej niespokojne, cera chorobliwa, litość nad nieszczęśliwą obudzały.

Odwracającego się męża, chwyciła za rękaw sukni.

— Wszyscy więc nas opuszczają! — wołała. — Idź, poszlij, przypatrz się. — Na zamku prawie pusto! Żołnierze nawet podmawiani nocami zbiegają. Bunt jawny! Potrzeba kary — trzeba grozy!

Z chłodną krwią Leszek podniósł głos i starego Krzyżana wołać kazał. Służył on jeszcze i nad załogą na zamku miał zwierzchność.

Krzyżan przyodziawszy się przywłókł z twarzą chmurną, jakby zawstydzoną. — Stał w progu do kolan się księciu schyliwszy.

Leszek wesół prawie podszedł ku niemu.

— Cóż! stary? prawda to, że ludzie od nas uciekają? Cożście to im zrobili, że nas nie chcą? Dużo ci ich zostało?

Nie spieszył stary z odpowiedzią, hełm zdjęty z głowy, obracając w rękę.

— Miłościwy panie — rzekł powolnie. — Nie wiem na co by się skarżyć mogli, bo ich strawa, odzież i płaca dochodziła w porze. Żli ludzie podmawiają. Uszło dużo... ostatniej nocy też zabrakło kilkunastu.

— Gdyby na zamek napadł nieprzyjaciel, było by się z kim mu opierać? — spytał Leszek obojętnie.

Krzyżan głową potrząsł,

— Trudno! — rzekł — ludzi mało, a i za tych co są, ręczyć bym nie chciał.

— Alboż to za wałami i ostrokołem z garścią przeciwko tysiącom się bronić i opierać nie można? — rzekł książę. — Mieszczanie przecie tatarom się w kościele S. Jędrzeja obronili i nie dali.

— Tatarom! — odparł Krzyżan. — Inna to rzecz z niemi. Tatar gdy sobie raz o mur nos stłucze, drugi raz już nie idzie nań... Tatarzy zamków nie biorą...

Zamilkł — Leszek patrzył nań bacznie i dumał. Żołnierz ciągnął dalej.

— Przyjdą tacy, co tu znają wszystkie wchody i wychody, tak dobrze jak my. Będą wiedzieć jak i kędy się podkradać, z której strony szturm przypuszczać... Nie podolamy im.

Gryfina widząc na ustach męża uśmiech, a obojętność w jego twarzy, łamała ręce i wskazywała go Ottonowi, jakby mówić chciała.

— Patrzajże jakim jest!

Leszek nie okazywał i teraz najmniejszej trwogi.

— Tak więc źle z nami? — zapytał. — Ba! No, to przecież raz wojna dobra będzie z niemi, potłuczemy się jak należy i pokój trwały zyszczem... Teraz ni wojny ni pokoju nie było — to najgorsza.

Odwrócił się zwolna do Ottona i kazał miejską starszyznę na zamek powołać, wójta Sasa, ławników i kupców a możniejszych ludzi. Potem do Krzyżana się odwrócił.

— Do obrony mało was jest — rzekł — no, a do ucieczki, stanie?

Krzyżan pytania nie zrozumiał.

— Cóż? — dodał Leszek — kiedy się bić niema komu, trzeba będzie iść aby sobie ludzi sprowadzić. Swoich niema, postaramy się o obcych... Krzyżan? przeprowadzicie mnie na Węgry bezpiecznie? Gdyby nas napędzili, będziemy mieli z kim im czoła nastawić?

Stary głową wahał i nogami przebierał — zdawał się ufać w to, że z Czarnym radę sobie dać w najgorszym razie potrafią.

Książę jeden stał za wielu.

Gryfina na straży u drzwi czekała co postanowią. Zimna ta krew męża, którego ona o zbytnią na wszystko obojętność obwiniała, burzyła ją i gniewała...

Zapytała — cóż będzie?

Czarny uśmiechał się, niecierpliwosc niewieścia bawiła go.

— Uczyniemy wycieczkę na Węgry — rzekł — lecz wrócimy tu z Kumanami i rozprawim się z buntem... Niemcy moi zamku im niedadzą.

Krzyżanowi dał znak, aby ludziom zbierać się kazał w drogę.

Obrócił się do żony, nieco szydersko zalecając, aby, chce li razem z nim Węgry, wczesnie węzełki swe gotowała.

— Wam bo babom — rzekł — więcej niż nam w podróży potrzeba. Zbierajcież ochędóztwo swoje!

Żarty w chwili tak groźnego niebezpieczeństwa mocniej jeszcze podrażniły Gryfinę, która pogardliwym wzrokiem męża zmierzwiwszy, wyszła rzuciwszy drzwiami.

Co w duszy Leszka się działo, ludzie odgadnąć nie umieli.

Opuuszczony od wszystkich niemal w rozpaczliwym położeniu zachował spokój i pewność siebie, której nikt nie podzielał.

— Będziemy się bić dobrze! — mówił. — Węgry i Kumany lud dzielny! Dowodzić im miło będzie. Krakowianie zniewieścili dużo... I im też nie zaszkodzi, gdy w pole wyciągną i rycerską sprawę przypomną...

Wybić się — zdrowa rzecz!

Spieszono z wyborem ludzi i oręża.

W tem u przedsienu gwarno się zrobiło.

Otton prowadził Niemców na zamek powołanych.

Przodem kroczył ogromny Sas, wójt, w łosiowym kaftanie, z brodą postrzyżoną, silny mąż z twarzą długą, z ogromnymi płaskimi nogami, z rękami jak łopaty, chudy, kościsty, śmieszny razem i straszny.

Szedł wolno, nogę stawiając przed nogą, jakby krok każdy mierzył i ważył. Gładził się to po piersi, to po brodzie, to po głowie.

Za nim poprzybierani na prędcę w suknie zwierchnie nowe, jedwabne i sukienne, szli Niemcy inni, trochę podobni do niego, tuszy różnych, dużo opasłych i czerwonych, z policzki odętymi, niektórzy już na wszelki raz w obuszki zbrojni.

Leszek zobaczywszy ich, rażno wyszedł na przeciw do pierwszej izby, z twarzą jasną, i gdy mu się do nóg kłaniali, rzekł, wójta Sasa klepiąc po ramieniu.

— Słuchajno, stary Maxie. Nie źle tu wam u mnie?

— Miłościwy książę — zwolna, poważnie podnosząc głowę zaczął wójt — pod opieką Waszą dobrze nam jest, Panu Bogu i Wam dziękujemy.

— Myślicieź, wójcie — odparł Leszek — aby i mnie i was ztąd nie wygnano. A! tak! — rozśmiał się. — Idą panowie Krakowianie i Sandomierzanie i Mazury na nasz Kraków, aby nam go odebrać. Zamku bronić nie mam kim. Muszę sam na Węgry ciągnąć, aby ludzi z tamtąd przyprowadzić. Tymczasem inaczej nie może być, zamek wam oddam na ręce, abyście mi go cało uchowali.

Z wielką uwagą, powyciągawszy głowy słuchali Niemcy. Wójt się namarszczył i zadumał. Spojrzał porozumiewając się na swoich.

— A nie możeż inaczej być? — zapytał po rozwadze.

— Nie może — odparł Leszek. — Ja nie mam kim zamku obronić. Zabiorą go, wyżeną mnie, będziecie i wy musieli iść precz. Jeżeli czas zyskam, Węgrów i Kumanów na odsiecz przyprowadzę... Wyswobodzę was i nagrodzę. Dali Bóg ochronić to gniazdo moje... zapłacę wam dobrze za to, dam prawa nowe, miasto weźmiecie całe...

Rękę położył na piersiach.

Wójt spoglądał po swoich, oni na niego. Niektórzy w niepewności co począć głowami wahali.

— Myśmy nie wojenni ludzie! — bąknął jeden.

— Ale ręce macie i męztwa wam nie brak — odparł Leszek — więcej nie potrzeba. W pole iść, na to żołnierz, a w zamku się bronić nawet baby potrafiłyby, gdyby serce miały.

— Długoż to potrwać może? — zapytał wójt.

— Liczcie ile czasu potrzeba aby się na Węgry dostać, ludzi tam zawsze do boju gotowych znaleźć i zebrać, a z niemi powrócić. Odsiecz wam przywiodę, chyba bym nie był żyw, a żyw spodziewam się być, bo bić się jeszcze ochotę mam srogą!

Mówiąc to, książę się uśmiechał jak zawsze, Niemcy brody i głowy gładzili, szeptali, wzdychali. Wójt się na nich oglądał.

Max Sas, zimny na pozór człek, już był tak jak pozyskany, inni się wahali jeszcze.

Czarny widząc to, dodał.

— Spytam was w ostatku — miłujecie mnie czy nie?

Niemcy poruszyli się mocno i wszyscy zgodnym głosem, miłość zaczęli swą zaprzysięgać.

— Dla mej miłości uczynicie to — dodał Leszek żywo. — Jutro kto żyw na zamek, zdaję wam go do wiernych rąk.. Jestem spokojny, wy się nie poddacie.

Wójt oczyma swoich zmierzyl.

— Nie poddamy się!! — odpowiedziano zwolna. Nie tylko waszego gniazda, ale naszego mienia bronić będziemy, bo gdyby weszli do miasta i na zamek, nas by pierwszych złupili. Poddawać się im nie pomoże. — Co mus to mus, twardy orzech do zgryzienia ale go zgryść potrzeba.

Wszyscy potakiwali.

— Idźcież — odparł Leszek — ślijcie mi tu ludzi na zamek, niech go zajmują. Żywność też przygotować potrzeba, — a serca co najwięcej!

Rozśmieli się niemcy, niektórzy do piersi ręce poprzykładali, jakby chcieli okazać, że je mają.

— Maxie, — odezwał się Leszek do Wójta. — Hetmanem, i na zamku głową, ty u mnie teraz będziesz. W opiekę go wam oddaję.

Kłaniającego się uderzył po ramieniu, pacholecia przywołał, wina podać kazał i poufale przepił za zdrowie mieszczan. Im też kubki rozniesiono. — Wykrzyknęli zdrowie księcia.

Zaczęło się robić coraz weselej i umysły nastroiły się bardzo wysoko.

— Pokażemy im co niemcy umieją! — odzywali się niektórzy.

Z tem ich odprowadził książę, wyprowadziwszy aż do podsienia, wójta klepiąc po głowie i barkach, szwargocząc z nim wesoło i takiej im dodawszy otuchy swoją odwagą, iż powracający do domów, wszyscy zań życie dać byli gotowi.

Na zamku z wielkim pośpiechem czyniono przygotowania do podróży. Książę jakby się na łowy wybierał nie zachmurzył lica, — radował się, iż bić się i wojować będzie miał sposobność.

Otto i inni niemcy, obruszeni przeciw zdrajcom, narzekali, że im zawczasu łbów nie pucowano, a biskupa nie uduszono w więzieniu.

Jego obwiniano o wszystko, a Leszka, że dwakroć mając go w ręku, powolnym był i na wolność go wypuścił.

Gdy tegoż wieczora narzekał Otto przed księciem, Leszek mu odpowiedział.

— Gdy się czasem na wrzód zbiera, baby ziele nań kładną, aby narwał i pękł. Biskup dla mnie tem zielskiem był od którego narwać miało... Pęknie raz to smrodliwe wrzodzisko a potem będziemy zdrowi.

Otto mruknął.

— Bodaj on pękł z nim razem!

Nazajutrz o południu zmieniła się Wawelu postać.

Księcia już tu nie było, gospodarzył Max Sas o wielkich płaskich nogach, przybrany w zbroiczkę, dumny hetmaństwem swoim, w hełmie żelaznym po nad długą twarzą, który jeszcze ją czynił większą, z obuchem, którego z rąk nie puszczał, bo nim młodzież po plecach napędzał.

Przez cały dzień i noc całą szły na Wawel wozy nie tyle z kamieniem i kłodami, hakami i kołami, co ze skrzyniami i sprzętami Niemców. W mieście zostawiano cztery ściany tylko, a reszta wszystko na zamek do izby i szop się ściągała.

Młodzież od nożyc, heblów i łokci powołana do oręża szła dumnie choć niezgrabnie.

W mieście na dole zostało tylko co było polskiego, co się swoich nie obawiało, a może sercem ku nim lgnęło.

Tu różnie szeptano, na Wawel się oglądając.

Powoli rozgospodarowywali się na nim Niemcy ale skutecznie.

Max Sas, ludzi z zamku, których nie był pewien, aż do stróżów i czeladzi powypędzał. Na zamku zostali sami Niemcy mieszczenie, mąka ich, krupy, beczki, skrzynie i węzłki. U wrót rozstawiono warty, na wały powciągano belki zębate, kamienie i co tylko ku obronie wymyśleć było można.

Jak się tam niemiecka mowa po dworcach tych rozpościerała teraz — jak tu wyglądało obco, smutno, gdyby po zdobyciu jakim — nikt nie słyszał i nie widział, bo mieszczenie sami tu prawie pozostali.

Wszystko już było pogotowiu do obrony, gdy wieść gruchnęła, że książę Konrad ciągnie z rycerstwem polskim. Zamknięto się najszczelniej na zamku, twarze nieco spospęniały. Max Sas chodził nieustannie po wałach a stukał obuchem.

Okrutny skwar Lipcowy dopiekał ściśniętym na Wawelu, ale tem lżej chodzić mogli odziani, a spać pod gołym niebem z wałów nie schodząc.

Gdy pierwsze oddziały rycerstwa z okrzykami do miasta i pod Wawel wtargnęły, widziały już przez szpiegów, że Leszek uszedł a Niemcy zamku bronić mieli. Lekce ich sobie ważono. Położyli się przybywający nie tak obozem jak po pustych domostwach, bo tych dosyć mieli. Wieczorem światła z nich, dymy i śpiewy na Wawelu widać było i słychać. Mieszczenie, którzy pozostali po dworcach nie dobrze się mieli. Żołnierstwo rozpasane pozwalało sobie, jak w zawojowanym kraju.

Na zamku cisza panowała uroczysta.

Nikt nie zasnął tej nocy.

Nad ranem ks. Konrad, w orszaku jego Biskup Paweł, dwu Wojewodów i dwu Kasztelanów, wszystko rycerstwo zebrane nadciągnęło śpiewając, radując się, wykrzykując.

Do koła opasywano zamek, przypatrując mu się. Nic nie widać było na nim, bo Max Sas nakazał siedzieć cicho.

W tem zaczęto na rozmowę wołać do bramy. Biskup Paweł stał tu z kasztelanem Warszawem — oba mający do zamku prawo.

Krzyczano pytając kto dowodzi, kto hetmani, kto rządzi, aby co żywiej wrota im otwierał.

Aż na wyżki wystąpił Maks w hełmie z obuszkiem w ręku, na którym się podpierał.

Niemców zaczęto lać po polsku, udawał więc, że nie rozumie, tylko postrzyżoną bródkę poglądał i hełm poprawiał, do którego nie był nawykły.

Aby okazać, że się nie lęka, ziewnął szeroko.

Nie podobała się ta zimna krew Warszawowi, który Niemca od psów bezczeszcząc, wołał, aby natychmiast wrota kazał otwierać. — Krzyczał, że ziemię już wszystkie poddały się księciu Konradowi, i poprzysięgły mu na wierność, że zamek się im należy. — Czarnego

więcej nie ujrzą oczy wasze — dodał — uszedł, wiedząc że prawa do panowania starszemu ustąpić musi.

Wszystkiego tego Max Sas słuchał obojętnie. Znał on dobrze kasztelana Warsza i tak śmiało patrzył mu w oczy, iż się nareście zmieształ; tem potężniej łając, potem i besztając... Inni z orszaku pomagali mu. —

— Niemcze jakiś! otwieraj a żywo, bo ci głowę z karku zdejmujemy. Wrota na oścież! Jak wy tu śmiecie gospodarować, wy przybłądy jakieś, ziemia to nasza...

Odgrzano się pięściami i toporami, do góry je podnosząc. Niemiec wciąż stał i słuchał, nie unosząc się wcale, jakby go to nie obchodziło bynajmniej.

Mówił prawda źle po polsku, ale mu to nie przeszkadzało śmiało języka tego używać.

Gdy nareście hałas się trochę uśmierzył, oparł się o blankowanie jedną ręką i schylił ku dołowi.

— My tu — rzekł powoli — znamy jednego pana, któremuśmy poprzysięgli na wierność, a tym jest książę Leszek, którego nieboszczyk pan Bolesław następcą po sobie naznaczył. Wyście go też uznali. Temu my wiary dotrzemy i zamku, który nam zwierzył, nie poddamy. Będziemy go bronili do ostatniej kropli krwi.

— Wy! wy! ludzie od nożyc i łopaty — poczęli wołać ziemianie — wy nam się myślicie bronie! Patrzcież ile nas jest! Gdy was szturmem weźmiemy, noga ztąd nie ujdzie, jeden żyw nie zostanie.

Z garścią czeladzi chciecie przeciw wojsku się opierać!!

— Miejcież rozum — dodał inny. — Póki my łaskawi, korzystajcie z tego, ocalicie życie i mienie. Później nie czas będzie...

Wójt słuchał rad i pogroźek nieporuszony — dawał się im wygadać i milczał.

— Próżno krzyczeć — dodał w końcu — zamku nie poddamy! Co będzie to będzie!

Burzliwie się u wrót naradzano, a kupa coraz większa się u nich zbierała. Biskup radził dać im dzień do namysłu.

Z łaskawością odezwał się Wojewoda krakowski Żegota, iż za jego wstawieniem się do namysłu im dobę dają, poczem szturm przypuszczą i litości już spodziewać się nie mają żadnej.

Nie odpowiadając na to Sas, zszedł z bramy, inni odciągnęli też, ale strażę gęstą do koła rozstawiono, ażeby się z zamku żywa dusza wysliznąć nie mogła.

Tym czasem ziemianie, których wielu z Niemcami družbę miało i dobrą znajomość, poczęli się z różnych stron ku wałom naciskać i zdala wszczynać rozmowy, usiłując namawiać, aby się po dobrej woli poddali.

Rozmawiano tak w różnych miejscach, ale nie dali się zachwiać i zgodnie odpowiedzieli, że ich czci i wierności zamek był powierzony, a Max Sas nigdy się nie zgodzi poddać go, chyba ich ogłodzono i do nogi wybito. Tak cały ten dzień zszedł napróżno.

Biskup przybywszy do Krakowa, razem z księciem Konradem, pojechał na dwór swój, którego dawno nie oglądał. — Pusty był, wyludniony, po części odarty, bo wiele ztąd sprzętu do Łagowa i do innych dworów powyciągano. Mieszkały w nim tylko smutne dla ks. Pawła wspomnienia, wszystkich zawodów i porażek, jakich doznał w życiu.

Był też pomimo zwyczajstwa tego pozornego, jakie odniósł nad Leszkiem, podrażniony i chmurny. Gniewało go, że zamek się trzymał. Miał to za jakiś zły znak — naglił aby nie targując się oń, natychmiast szturm przypuszczano.

Gdy Warsz i Żegota nadeszli doń, napadł na nich z wymówkami, iż czas marnowali napróżno, że zamek więcej znaczył niż miasto całe, bo tam była stolica i gniazdo.

Opanować go potrzeba było natychmiast, żeby nieodwołalnie być władzcą.

Warsz i Wojewoda nie życzyli sobie wcale szturmować.

— Niemców ja znam — mówił Żegota — naród to uparty i wytrzymały, a przebiegły. Szturm, gdy go przypuścimy, wiele nas nad miarę kosztować będzie. Krew się poleje obficie... Oni zapasów na zamku nie mieli czasu przysposobić, potrzymają się trochę i głód do poddania ich zmusi...

— Tak! — wołał rozogniony biskup — a tym czasem głosić będą, że Leszek Kraków trzyma. A póki on trzyma, póty my tu nie panowie, a najeźdźcy! Tam stolica!

I na Wawel wskazał.

Wszczął się spór, w którym kasztelan i Wojewoda niechętnie udział brali, mało co popędliwemu odpowiadając biskupowi.

Paweł domagał się, by nazajutrz zagrożono przynajmniej Niemcom, iż, jeśli zamku nie poddadzą, miasto zostanie spalone.

— Mają w niem domy swe, — mówił — nie jeden może tu część mienia swego zostawił... złączą się o skórę własną. Bodaj mój dwór miał splonąć razem, lepiej miasto na cztery rogi podpalić, niż stać tu i czekać, aż Leszek z Węgry powróci!

Zamek nam potrzebny, abyśmy się w nim bronili, jeśli przybędzie. Spalić miasto.. ulękną się!

Żegota się godził na to.

— Spalim czy nie — rzekł — dobrze, zagrożymy im spalaniem.

— Jeśli groźby nie posłuchają! podpalić! — dodał Biskup. — Gdy zobaczą ogień, serce im zmięknie, bo się przekonają, że nie pofolgujemy!

— Szkoda miasta pięknego! — rzekł Warsz.

— Większa szkoda piękniejszego jeszcze państwa — zawołał Biskup. — Pismo święte powiada, gorszy cię oko twoje, wyłup i wyrzuć je. Nie podda się miasto, niech przepada!

Z tą radą wyszli Warsz i Żegota do księcia Konrada. Słowo Biskupa ważyło teraz wiele.

Liczny dwór jego potakiwał mu, wołał, że słuchać go było potrzeba, bo on jeden wiedział co czynić.

— Starzy niewieściuchy są! — wskazując za odchodzącymi mówił Biskup. — Pożalują miasta, które odbudować łatwo, a z zamkiem stracić mogą ziemię całą, bo kto grodu nie opanuje, ten panować tu nie będzie.

Gdy księcia Konrada wwiódł na Wawel, przy dzwonów biciu, a osadzą go na zamku i hold mu tam oddadzą ziemianie, dopiero powiem, że Leszek już nie wróci!

VIII

Jak dzień, nie sama starszyzna, ale posłani od nich i wybrani ziemianie, tacy, którzy Niemców znali i mir u nich mieli — stali już pod wrotami czekając na odpowiedź, chcąc go nastraszyć i do poddania się przymusić.

Długo na ich wołania, bicie kamieniami i obuchami do wrót, nikt się nie ukazywał. Krzyczano i hałasowano, wysuwała czasem głowa, poczyniała rozmowa, ale Wójta Maxa nie było.

Znany w całym mieście wesolek, który Niemcom na biesiadach przyśpiewywał, przez Polaków zwany Lumpą, pocieszny garbus z głową dużą, włosom umyślnie najeżonym, parę razy się z za blanków ukazał z wywieszonym językiem.

Być może, iż go wójt naumyślnie wyprawił, aby zabawiał natrętów, a pokazał, iż na zamku strachu wielkiego niema.

Lumpa żartami odpowiadał na krzyki.

— Klucze się od zamku gdzieś zatrzęśły, — wołał, — nie ma ich, probujcie palcem otworzyć.

Rzucano nań grudkami ziemi, zniknął w jednym miejscu, biegł i gdzieindziej się pokazywał.

— Chce się wam zamku — mówił — łatwa rzecz się dostać do niego, pożyczcie skrzydeł od ptaków!

Zobaczywszy znajomego ziemianina pocałunek mu od ust posyłał, czapkę z kukawką podnosił i zniknął.

Gniewali się niektórzy, że im błazna do rozmowy przysłano, u wrót coraz się bardziej burzyło, gdy Max Sas wyszedł w swym hełmie, na obuszku się opierając.

— Słuchaj Niemcze! — krzyknął rękę w górę podnosząc, Drogomir wysłany od księcia. — My z wami w długie rozmowy wdawać się nie myślimy... Nie poddacie zamku? no, to wasze miasto dziś jeszcze podpalemy, na cztery rogi, a domostwa w popiół obrócimy!

Chwila milczenia była.

— A co wam przyjdzie z tego? — odparł wójt zimno. — Kto życie stawia ten domu nie pożaluje.

Spalicie własne miasto, dacie tem znak, że siły nie macie.

Kiedy nam pożarem grozicie, powiem dziś jeszcze mocniej niż wczora — nie poddamy się — palcie.

Gdybyście moc w sobie czuli, nie ogniem, ale szturmem byście grozili!

Drogomir zamilkł trochę, poczuwszy, że niemiec może miał słusność. — Wybuchnął potem krzykiem okrutnym, który tylko złość znaczył.

— Spalemy miasto, potem was! chłopcy jakieg! włóczęgi! Nie stało wam własnej ziemi, żeście do nas po chleb przyszli i myślicie z nami wojować!

— Nie żebrać my do was przyszliśmy, ale pracować na chleb — to prawda! — odparł Sas dumnie. — I my żebraki jesteśmy panu wierni, gdy wy jego dzieci, sprzedaliście go jak Judasz Chrystusa Pana.

Na ten wyrzut krzyk powstał wielki. — Wójt zaczerwieniony gniewem, wołał.

— Zamku nie damy!

Zszedł zaraz z wyżek. Ukazała się głowa Lumpy, który czapką się kłaniał.

— Jeżeli krzesiwa i huby na podpał brak — odezwał się — pan wójt oświadcza, że go wam dostarczy. Pod jego dom pierwsza głównia...

Spalcie i mój jeśli znajdziecie!

Posypały się kamienie miasto odpowiedzi. Lumpa znikł, gniew na dole wrzał srogi.

Drogomir jeszcze nie dając za wygraną, stał u wrót ze swemi, choć już nadziei zastraszania Niemców nie było...

Kilku zbiegło do Wojewody i Biskupa, bo tam na odpowiedź Niemców oczekiwano.

Gdy ją przyniesiono, wszystkim oprócz ks. Pawła, oblicza się zasępiły.

— Wiedziałem ja z góry, — rzekł Warsz, — iż z Niemcami sprawa nie będzie łatwa. Tylko głodem ich wziąć możemy.

— A szturmem?

— Wątpliwa, — odparł Wojewoda. — Nie jeden ani dwa razy drapać się trzeba będzie na wały i dużo ludzi stracimy. Bieda i to już, gdy prawowity pan, krwią się musi stolicy dobijać!

— Palić więc miasto! palić! — wołał Biskup w gniewie. — Znam tych ludzi, gdy zobaczą płomienie, a swoje dobro zniszczone, ustraszają się.

— Gdy w rozpacz wpadną, — rzekł Warsz — nie mając nic do stracenia, tem zajadlej walczyć będą.

Zegota zdanie to zdał się podzielać.

— Pójdzie płomień po mieście — dodał kasztelan, — może i wasz dworzec spłonąć i kościoły, które są na chwałę Bożą wzniesione, i klasztory i kupców gospoda.

— Kościoły z muru są znaczniejsze, — odparł Biskup gwałtownie — nic się im nie stanie. Spłoną dachy, to je na nowo ołowiem pokryjemy. Niech się mój dwór pali! byle raz z Leszkiem skończyć i niemiał tu do czego powracać!

Widząc, że kasztelan i Wojewoda wahali się, Biskup natychmiast wybrał się do księcia Konrada. Żądał aby miasto spalono! domagał się tego.

A że on tu był duszą wszystkiego i słuchano go dotąd, siłę miał wielką, głos mocen — przewidzieć było można, iż na swem postawi.

Warszowi i wielu z nim żal było pięknego miasta. Wiedzieli oni, że nie tak łatwo wzniesić na nowo co lata budowały, wstyd im było po tatarsku żagwią wojować. Resztki polskich mieszczan, biednych ludzi litowano się. — Płomienia wstrzymać trudno, rozumu on niema, mówiono, spali niemieckie, ale nie oszczędzi co swoje.

Tego wszystkiego nie chcąc słuchać Biskup, za paleniem gardłował. Wracała mu dawna jego zapalczywość i namiętność, — powtarzał jedno ciągle:

— Nie poddają się! palić!

Oprócz żołdaków mazowieckich i Litwy sprzymierzonej, którzy się spodziewali rabunkiem obłować przy pożarze — nikomu się ognia tego nie chciało. Wstręt do niego mieli wszyscy.

Warsz i to miał przeciw zniszczeniu, że wojsku miało zabraknąć, dachu i przytułku, i zmuszone będzie leżeć na niewygodnych pogorzeliśkach.

Lecz z Biskupem, gdy roznamiętniony był, wojować nikt nie mógł. Powtarzał swoje, im mu się więcej sprzeciwiano, zajadlej stojąc przy niem.

— Palić! — wołał.

Nie chciał się cofnąć raz to wyrzekłszy, a na wszystkich następował tak, że ich do milczenia zmuszał. Upór ten jego wpływał na innych, — więcej złamać się nim niż przekonać dali.

O południu już godzili się wszyscy na to aby miasto spalone zostało.

Warsz posłał jeszcze z tą groźbą do Wójta, który zbył przybyłego dwoma słowy.

— Zamku nie damy!

Nad wieczór otrąbiono na znak, aby żołnierze domostwa podpalali.

Skwar letni właśnie był je wysuszył, deszczu od dawna nie widziano, lada skra starczyła by pożar wzniecić wielki. Nie dano nawet znać o wyroku pozostałym mieszkańcom, a ciury zawsze rade dzikiemu szaleństwu, rozbiegli się nad wieczór z żagwiami i głowniami z ognisk pochwyconemi.

Starszyzna na koń powsiadawszy, niespokojna trochę, pojechała strzedz, aby ogień przynajmniej świątynie i klasztory oszczędził.

Z Biskupiego dworu powybiegało co żyło, przyglądać się zapowiedzianemu ogniovi.

Biskup Paweł sam jeden, opuszczony o wieczornej godzinie w izbie swej siedział. Nikogo przy nim nie było.

Postawił na swem, lecz teraz, gdy lada chwila zaskwierzyć miał ogień, na który on skazał miasto, gdy tylko co w oknach nie zaświeciła luna pożarna — serce namiętnością zburzone, ścisnęło mu się uczuciem dziwnem. —

Załował prawie, że tego zapragnął i że się to dokonać miało.

Siedział oparty na dłoni obrzęklej, zły i zachmurzony, drgając na najmniejszy szmer, który od ulicy dochodził. Złe jakieś przeczucia i myśli zawładły nim. Zwycięzca nie czuł się jeszcze u celu. Znał Leszka.

Lekko go sobie cenił jako męża w radzie, ale jako wojaka nie pokonanego lękał się. Tu na oręż i siłę szło wszystko.

Kumany i Węgrowie mogli się ściągnąć tłumami — a ziemianie na pierwszy postrach spustoszenia i pomsty, księcia Konrada opuścić.

Mrok się zwolna po izbie rozpościerał. Z kilku otwartych okien wpadało do niej światło coraz słabsze uchodzącego dnia.

W kątach i załamach izby już nic dojrzeć nie było można.

Sprzęty i ściany zlewały się w jedną ciemność, w szare mroki.

Na mieście wrzawę daleką słyhać było, której znaczenie dobrze ks. Paweł rozumiał.

Niekiedy wśród niej głośniejszy wykrzyk brzmiał jak wyrok zagłady.

Ludzie szli podpalać...

Dalej gdzieś, już paliło się może...

Tak zadumany, gdy siedział Biskup, szelest się dał słyszeć u drzwi, którego z początku nie zrozumiał. Mógł wniść ktoś z domowych — nie obrócił się nawet, bo niechciał widzieć nikogo.

W tem westchnienie głębokie, nie zbyt już opodał, zniecierpliwiło go, jakby wyrzutem było — odwrócił się chcąc łajać za nie, gdy przed sobą o parę kroków postrzegł klęczącą, z rękami złożonemi, Bietę.

Widował on ją w ciągu lat tych dosyć często ale zdaleka, inną niż była, pokorną, modlącą się, nie natrętną. Nawykł już był do tego zjawiska, które czyniło na nim wrażenie zawsze, lecz przestało go niepokoić i gniewać.

Nigdy jednak od bardzo dawna nie ośmieliła się Bieta, wśliznąć aż do niego. Ks. Paweł przeraził się i zagniewał.

Spojrzał na nią groźnie.

Była to inna niewiasta, którą pokuta odrodziła. Zestarzała, wybladła, z oczyma głęboko wpadłemi, z policzkami wychudłemi, z wyrazem błagającym i rozbolełym a cierpliwym razem — obudzała litość i trwożę.. Miała na sobie suknię zakonu Św. Franciszka, pas i zasłonę na głowie. Klęczała przed nim modląc się, patrzyła nań w milczeniu.

Ta modlitwa cicha w końcu jak żar i ogień palić go zaczęła, wiała od niej gorącym nieżnośnem, oblewała go jakby lzy rozpalonemi...

Zerwał się z siedzenia.

— Czego ty chcesz! nędznico! — zawołał.

— Litości! — odpowiedziała słabym, ale odważnym, spokojnym głosem. — Litości!

Biskup zamruczał coś niezrozumiałego.

— Litości, ale nie dla mnie... — litości — abyś ją miał nad samym sobą! Pawle! Pawle! godziny twe policzone! czas do pokuty krótki. — Duszę swą ratuj! Pawle!

Przymuszonym śmiechem parsknął Biskup.

— Ty! wszeteczna! — krzyknął — mnie, pasterza najwyższego do pokuty będziesz nawracała! Ty! Ja mam siłę wiązania i rozwiązywania — ja.

Głos jego potoczył się w gardło nazad i słowa zmieniły w niezrozumiałe łkanie. — Upadł na siedzenie. Poruszony był mocniej, niż chciał pokazać po sobie... walczył z sobą, by się nie zdradzić.

— Pawle, — mówiła klęcząca łagodnie. — Bóg cię przez moje grzeszne usta ostrzeża! Żałuj i pokutuj! Nowe występki bierzesz na sumienie swoje. — Krew, ogień, mordy, zdradę...

I twarzą padła na ziemię, lecz podniosła się zaraz, a lice jej coraz silniej gorzało...

W tejże chwili przez jedno z okien zamiast blasku dnia gasnącego, wpadł pomarańczowy odblask płomieni i drżąc po izbie się rozlał... jakby słowom Biety chciał dodać siły.

Miasto gorzało.

— Oto tysiące ludzi do Boga o pomstę za ten ogień wołać będzie, — ten ogień, który ty podłożyłeś!

Cierpliwy Pan — czeka! Dał ci więzy jako upomnienie, dał ci klęski na upamiętanie, dał upokorzenie jako znak, że cię woła do siebie... Tyś głuchy i ślepy, Pawle! Słuchaj głosu Bożego...

Ja grzeszna, ja nędznica, skalana i uwiedziona, miłuję cię jeszcze, ale miłością, która zbawić pragnie! Wyrwij duszę moją z płomieni, ocal swoją! Masz lat jeszcze siedm do pokuty... — objawił mi to Bóg na modlitwie, iż tyle ci życia zostało! A! mało to na grzechy twoje... Widzę je jak czarne plamy, któremi okryta jest dusza twoja...

Biskup słuchał głowę kryjąc w dłonie, ze trwogą razem i gniewem. Wstrzymywał się by nie wybuchnąć. — Miękł a stary nałóg grzechu wznawiał w nim opór i skruczę odpędzał.

Blask pożaru już teraz wszystkiemi wpadał oknami, izba cała się nim rozjaśniała; twarz Biety oblana nim była. Widok tego ognia zamiast w nim obudzić żal — w szal jakiś wprowadzał. —

— Precz! — zawołał, — precz, nędznico, co mi nie dajesz pokoju... Nie do pokuty chcesz mnie przywieść, ale do grzechu, wszeteczna!

Idź mi z oczów, lub każę cię pacholkom — —

— Nie uczynią mi nic pacholkomie twoi, bo Bóg mnie obroni! — rzekła spokojnie. — Nie na grzech, ale do skrucchy cię prowadzę...; Pawle! miej litość nad sobą!

Jęk ten zamiast poruszyć ks. Pawła, gniew w nim obudził większy jeszcze. Chciał krzyknąć na ludzi, wstyd mu było. Nie wiedząc, co począć, z podniesionymi pięściami rzucił się do niej i już ją chciał bić. — Bieta oczy zamknawszy nie drgnęła nawet nieulek-niona. Klęczała modląc się.

Paweł zmierzwszy się już na nią, cofnął się, ręce mu opadły.

W gniewie jak obłąkany, chciał uciekać, gdy Bieta chwyciła go za suknię i strzymała.

— Zabij mnie! jeśli krew przelana ma skruczę i pokutę wywołać! Zabij mnie! — jęknęła.

Coraz bardziej strwożony, Biskup szarpnął tak mocno suknię, wrywając ją Biecie, iż ta padła na ziemię. Słyszał, jak głową uderzyła o twardą podłogę, lecz spojrzeć już nie śmiejąc, biegł zamknąć się do izby swej i na łożu padł prawie bezprzytomny. —

Dyszał oglądając się jeszcze do koła — lękając pogoni. —

I tu już blask płomieni coraz był silniejszy.

Podwórce oświetlone stało całe, miasto gorzało płomieniem ogromnym, wiatr, który się zerwał, roznosił iskry i główne, tam gdzie drzewa budynki ochraniały.

Biskup słyszał już trzask niedaleko palących się domostw, wrzawę żołdactwa, które nowe płomienie witało okrzykami — a w duszy czuł dreszcz jakiś śmiertelny. —

Zdawało mu się, że tam, w tej izbie od której się zarygłował, musiał leżeć trup kobiety...

Nie łatwo się on strwożyć dawał, teraz — teraz nie poznawał siebie.

Proroctwo siedmiu lat życia brzmiało mu w uszach natrętnie.

Miałaś ta niewiasta odsłoniętą tajemnicę przyszości?

Siedem — siedem lat pokuty!

Cała przyszłość stanęła mu przed oczyma — serce zapłonęło goryczą.
Życie wydało mu się zmarnowane, czarne, zbrukane, nieszczęśliwe, ale pokutę odpychał...

— Na pokutę, niewiem, zawcześnie czy zapóźno — ale na zemstę czas jeszcze.

Chciał się śmiać, a łzy płynęły mu z oczów.

W tem do drzwi, które był zaparł za sobą, gwałtownie się dobijać zaczęto. Za niemi poznał głosy swoich dworzan, kapelana i Kaczora. Uląkł się, czy nie znaleźli zabitej...

Wołano coraz głośniej.

— Gore! gore!

Ks. Paweł zerwał się. Oknem już wskakiwały iskry, parł się do środka dym gorzki. Pobiegnął do drzwi, które otworzywszy ujrzał wielką izbę w płomieniach.. Oknami wpadały do niej języki ogniste i lizwały ściany.

Do koła zwiłali się ludzie wynoszący sprzęty i rzeczy, czeladź wyciągała z szop konie. Dwór i zabudowania blizkie gorzały.

Sam on ten wyrok — na stos — wydał na siebie.

Nie spostrzeżono, gdy drewniane pokrycia gorzeć zaczęły, a gdy je objął ogień, ratować już było za późno.

Biskup spojrział w głąb izby. Na oświetlonej podłodze, tam gdzie klęczała Bieta, postrzegł plamę krwi, w której blask ognia odbijał się rubinowo.

Trupa nie było.

Paweł odzyskał przytomność i z ludźmi, którzy go pochwycili wybiegł życie ratując. Ci co go prowadzili, nie widząc krwi na podłodze, wprost na nią go wiedli. — Ośliznęła się noga — ale wnet znalazł się ocalony w podwórzu.

Biegli tu już Żegota, Warsz i inni o swojego wodza niespokojni, a ujrzawszy, otoczyli z radośnemi okrzyki.

Biskup lekceważąc pożar swojego dworca, gdy o wóz trudno było, konia sobie podać kazał. Do koła widok się rozpościerał straszliwy, lecz majestatycznie piękny.

Morze płomieni, obłoki dymów krwawych, gwiazdy iskier tysiąca.. Pożar jak smok chciwy pastwy, poruszał się, wyciągał szyje ogniste, chwytął i pożerał czego dotknął.

Na tem tle złotem wieże kościołów, mury nie tknięte jeszcze, stały jak czarne olbrzymy. W dali widać było Wawel luną oświetlony, a na wałach jego tysiące głów, rąk załamanych tysiące.

Ludzie ci patrzali na zgorzelisko swych dachów, pracy swej, mienia — i płakali.

Żołnierstwo, które każda klęska nieprzyjaciela dzikszem czyni, upojone tym widokiem zagłady biegło jak oszalałe, — krzycząc ogniowi zachętę by palił, sypiąc mu oklaski jak sprzymierzeńcowi.

Ciury jak pożar się rozpasywały. — Szyderskie śmiechy i śpiewy tłumów wtórowały syczeniu płomieni. Wskazywano na zamek, gdzie jak skamienieli stali ludzie z boleścią w sercu.

Ztamtąd nie było słyhać głosu, ni jęku, ni przekleństwa.

Ci, co biegli napawać się tą boleścią, znajdowali ją niemą, straszną i — cofali się.

Całą tak noc płonął niedawno odbudowany Kraków, naprzód jak ogromne ognisko, potem jak pogorzeli krwawa, nad którą gęste klębiły się dymy. Wśród jasności tych, ogorzale drzewa z gałęzmi opalonymi, jak zeszlęmi sterczały trupami. Gdzieniedzie niedopalony słup, ściana muru.... lub drzewa, które glina ocaliła, padały, gdy im podpory nie stało.. i iskry rozpryskiwały do koła.

W ulicach garstki ludzi siedząc płakały, a ciury włącząc się — śpiewały. Inni powytaczawszy beczki pili na cześć przyszłego pana, który poczynał rządy od palenia stolicy.

Jeszcze ogień nie wygasł, gdy dzień zaczęło.

Ocalało niewiele. Biskup czujący się mocno znużonym, szukał miejsca dla spoczynku — swojego domu już nie miał.

Splonęła i ta niewiasta z nim? pytał się w duchu i żądał, aby tak było.

Niemając się dokąd schronić, pojechał do klasztoru św. Franciszka. Tam dzwonił już na jutrznię i razem odzywał się dzwonek dominikański, bo między dwoma zakonami trwało współzawodnictwo prawie w walkę przechodzące — kto pierwszy na jutrznię dzwonić ma prawo. Spór o to później wytoczył się aż do duchownej zwierzchności, która rozstrzygnęła go trochę szydersko.

Gdy ks. Paweł stanął u furty Ś. Franciszka, ujrzał w niej jakby na swe spotkanie wychodzącego mnicha.

Starzec był wychudły, którego szyja z habitu wystająca, żółta, pomarszczona, głowa wygolona, broda siwiejąca, czoło poorane, suknia polatana różnobarwnie i wytarta, czyniły podobnym do jednego z pierwszych uczniów świętego z Assyżu. W obliczu tem czuć było oderwanie się ascetyczne od świata, gorejącą pobożność i pogardę ziemskich rzeczy.

Poznawszy Biskupa ks. Serafin, ukląkł pokornie.

Ojciec ten, czech, rodem z Pragi, ale od pierwszego założenia klasztoru przebywający w Krakowie, był już prawie polakiem... nauczył się mowy, kraj pokochał...

Był to kaznodzieja słynny, na którego głos tysiącami lud bieżał, tak, że nie w szczupłym naówczas kościele, ale zewnątrz z przystawionej doń ambonki opowiadać musiał słowo Boże...

Głoszono cuda jego, — lękano się nieubłaganej surowości. —

Biskup też wołałby był spotkać u progu kogo innego, nie jego.

Prawdomówność i ostrość człowieka tego nie miłe mu były.

— Ojczy mój, odezwał się Biskup, przybierając umyślnie ton lekki i wesoły. — Otom bez schronienia, pastuch bez szalasu, przychodzę was prosić o celę w klasztorze.

Mnich pokłonił się ręce obie krzyżując na piersiach — lecz milczeniem tylko odpowiedział. Tym czasem biskupa z konia zszadano, wszedł w korytarze wiodąc za sobą Serafina.

Ten spieszył za nim z głową spuszczoną, otworzył drzwi pustej, dosyć przestronnej izby i stanąwszy w progu, wskazał wnijsie ks. Pawłowi.

I to uparte milczenie O. Serafina, choć z pewnych względów dogadzało Biskupowi, z innych nieprzyjemnem mu było. Wytłumaczył je sobie jakimś wstrętem.

Wchodząc więc do środka, wezwał z sobą zakonnika, który nieco się zawahawszy, usłuchał.

Tak miał głowę pełną ks. Paweł spraw dzisiejszych, iż nie znalazł innej treści do rozpoczęcia rozmowy nad nie.

— Teraz, — odezwał się do niego — spodziewam się, iż Wawel poddać się musi! Niemcy przekonali się, iż żartować nie będziemy. —

Splonęło miasto!

— Tak! — powoli ozwał się stłumionym głosem O. Serafin — dotknął je Bóg, aby z grzechu oczyścił płomieniem.. — ale i niewinnych ucierpiało wielu.

Westchnął starzec.

— Potrzeba było tej klęski, aby dokonać dzieła — wtrącił Paweł.

Unikając rozmowy o tym przedmiocie, O. Serafin dodał tylko, iż Bóg łaskaw świętynie swoje ocalił.

To mówiąc spoglądał na drzwi, jakby mu oddalić się pilno było.

Biskup wstrzymywał go wejrzeniem.

— Ciężkie są czasem konieczności, nieuniknione! — szepnął cicho.

— Bez woli Bożej nic się nie dzieje — odparł mnich — bo i wola ludzka w rękach Jego.

To mówiąc spojrzął na Biskupa tak przenikającym wzrokiem, iż ten oczy spuścić musiał. O. Serafin złożył ręce jak do cichej modlitwy.

Rozdrażniony Biskup i w tym ruchu upatrzył coś wymierzonego przeciw sobie. Pomyślał, iż się modli może o jego nawrócenie, tak jak ta, co go niedawno upominała. Zburzyło go to i wbiło w dumę.

— Modlicie się widzę, O. Serafinie — wtrącił — może i za mnie biednego grzesznika?

Chociaż w głosie brzmiał gniew, staruszek się nie zmieszał, blade oczy zwrócił ku mówiącemu.

— Tak jest — rzekł — modlę się i za was, Pasterzu! boć nie ma, ktoby nie potrzebował modlitwy...

— Mnie zaś macie pewnie za najzatwardzialszego z grzeszników? — dorzucił Paweł prędko z szyderstwem dobitem.

— A któżby z nas śmiał być Psychostatą, okrom tego, który szalę sprawiedliwości w straszny dzień sądu trzymać będzie? — smutnie odezwał się O. Serafin. —

Nie wiem czy najgrzeszniejszym jesteś, Pawle Biskupie — ale jako człowiek grzesznym jesteś, a jako grzesznik pokutować powinieneś.

Bóg łaskaw temu, którego na Biskupa namaścił — da czas do obmycia się... Lat siedem jeszcze masz przed sobą...

Ushłyszawszy po raz wtóry o tych siedmiu leciech, wstrząsnął się i drgnął ks. Paweł. Wprędce jednak duma wróciła, podniósł głowę.

— Co to mi prawisz? — odezwał się. — Rozmawiałeś z Panem Bogiem?

— Tak jest! — rzekł chłodno O. Serafin. — Dusza moja codzień rozmawia z Nim na modlitwie...

Maluczki jestem i grzeszny... ale małych Chrystus litościwy Pan przypuszcza do siebie! Gdym za duszę twoją modlił się, jako za pasterza naszego, słyszałem głos z góry: „Siedem lat dano mu do pokuty.”

Pokorny mnich rósł i potężniał mówiąc.

— Siedem lat! — dodał natchniony. — Użyjcież ich nie na pożogę miast, nie na zemstę i rozlew krwi, ale na przebłaganie Boga, na oczyszczenie siebie...

Zamilkł, Biskup próżno chciał przybrać ton i twarz lekceważącą, wpadł w zadumę... Korzystając z wrażenia O. Serafin kończył.

— Bóg nie chce zguby grzesznika, a dla ciebie łaskawym jest, boś dostojeństwo piastował w kościele i postawił cię na świeczniku... I chce aby światło to co gorzało światu, płomieniem się wzbiło ku niebu...

Nie mając siły odpowiedzieć mu, Biskup, którego śmiałość mnicha oburzała coraz mocniej, dumnie pokazał na drzwi.

O. Serafin uchylił głowę, złożył ręce na piersiach... i wyszedł. Okno izby było zaparte, Biskup gwałtownie otworzył je. Zamiast świeżego powietrza poranku, wpadła niem zgorzelizna i dymy.

W chórze śpiewały mnichy — dalej na pogorzelnach słyhać było krzyki żołnierstwa, dzwonki kościelne mieszały swe dźwięki z odgłosem oręży i tententem koni.

— Raz że jeszcze mam być pokonany? — zawołał w duszy swej Paweł — i jeszcze raz upokorzony?

Spojrzał z wyrzutem i skargą ku niebiosom... okrytym dymami sinemi.

IX

Klucznik na zamku w Sieradzu, stary Wrzos, z siwą, krótko postrzyżoną szczecinowatą brodą, który w niejakiem porządku puste jego izby utrzymywał — przechadzał się czasem po nich niemając nic do czynienia, rozmyślając o przeszłych latach, które tu przeżył. Były to jedyne dni żywota, po których pozostały mu pamiątki.

Patrzył tu na dwór i życie osobliwe Leszka z Gryfiną, którą poufale Rusinką nazywał a nie bardzo ją lubił; dwa razy pilnował przywożonego tu Biskupa, różnemi wygody dlań wymaganiami, których nastarczyć nie mógł, niecierpliwiony. Budził on w nim z pewnych względów poszanowanie jako pasterz duchowy, niby ksiądz a kapłan razem, z drugiej wielką ciekawość i wstręt pewien, iż się mógł dopuścić przestępstw, za które aż do więzienia popadł.

Dla prostego człowieka jakim był Wrzos, Biskup ten do żołnierza podobny, krzykliwy, nakazujący, wcale nie pobożny, był nierozwiklaną zagadką.

Wiedział on o tem, że go tu za jakieś przewinienie osadzono, a potem musiano wypuścić, płacąc mu z niewolę. To mu się w głowie nie mogło pomieścić — ani co Biskup popełnił, ani jeżeli winnym był, czemu go nie ukarano a przeproszać musiano.

O nim też, o Leszku i Gryfinie, stary Wrzos ludziom załogi i niestałym zamku mieszkającym, gdy tylko mógł, opowiadać lubił.

Stary był już ten Wrzos, dawniej trochę żołnierz, ale gdy mu nogę Prusak czy Litwin nadwerężył oszczepem i nakuliwać na nią zaczął — dano mu schronienie łaskawe w Sieradzu, z kąd był rodem. Dostał się do posługi przy zamku, a że wiernym był, powierzono mu straż jego wewnętrzną.

Teraz nie było tu kogo i czego pilnować, komnaty pustkami stały, gdziekolwiek w nich zboże zsypany, na dole nawet w izbach opróżnionych składano siano i słomę.

W innych wylegała się załoga, składając oręż swój, węzłki i do życia zapasy.

Lepsze izby, pańskimi zwane, które książę, księżna a później Biskup zajmował, pyłem okryte odpoczywały i chyba je przejeżdżający wojewoda lub kasztelan na dzień jaki zamieszkał.

Obyczajem, który długo się potem w zamkach podobnych utrzymał, sprzęt ich był bardzo prosty: stoły od siekiery, u ścian ławy, drzwi ledwie niektóre ze skoblami, nie we wszystkich oknach błony, ozdób żadnych, chyba gdzie polica górą, aby na niej coś złożyć można, i haki do wieszania.

A że okna nie zawsze zamykane były, w wielu z izb jaskółki blisko framug gniazda lepiły i wróble zajeżdżały na popasy. Na górnych poddaszach wiedział Wrzos o sowach, ale tym nic nie czynił, podejrzewając je ze strasznych wejrzeń, iż mściłoby się mogły. Tak samo gościnnie przyjmowany był co roku bocian, który na jednej z baszt usłał sobie gniazdo ogromne, i przybyciem swem wiosną pewną wróżył.

Wrzos niezonaty, samotnik, nie miał nikogo z kimby żył, całą rozrywkę dlań stanowiło przejście się do gospody na podzamcze, gdzie mieszczanie się schodzili i ludzie z okolicy na targ przybywający.

Tu piwo pijąc stary prawił co słyszał, co widział, o Czarnym jak uchodził od żony, o Gryfinie jak za nim goniła, i o tym Biskupie, który kłął jak prosty ciura, a czasem własną ręką za drzwi wypychał.

Nudziło się teraz Wrzosowi, bo albo nic do czynienia nie miał i spał dużo, albo nawał roboty, gdy kto na zamek zajechał, tak, że spocząć mu nie dawano. Skarżył się też, iż mu jego osyp, mąkę, krupy, piwo wyznaczone i sól nie wydawano w porze, skąpo, złą miarą i nie najlepsze.

Sam sobie jedzenie prażył, w czym mu zwykle jedna ze stróżek zamkowych, które z przedmieścia tygodniami na służbę przychodziły — pomocą bywała.

Niekiedy w braku innego zajęcia, Wrzos łyżki strugał z lipiny, a miał to przekonanie, że piękniejszych nad nie, nikt na świecie robić nie mógł.

Jednego wieczora, gdy Wrzos na stopniach siadłszy u bramy, rozповідаł dwom pacholkom z załogi o tych dawnych czasach, gdy to tu ludno bywało, a zapalił się mocno w opowieści swojej — zatętniało, zahuczało, i pięciu konnych wpadło na podwórze zamkowe, a jeden z nich wprost na niego, wołając kędy klucznik był.

Wstał uchylając wytartę z futrem czapczyny Wrzos — (bo jesień już była i w uszy marzył).

— Izby oporządzać! ognia zapalić! — wołał przybyły. — Gościa mieć będziecie lada godzinę. Tylko go patrzeć!

Wrzos osmielił się spytać, jaki to miał być gość, bo się przyjęcie dostojnością mierzyło.

— E! stary! — odparł przybyły — wy jeźliście tu nie od dzisiaj, może go i znacie... Nie pierwszy to raz on tu przybędzie!

Leszek już był naówczas zmarł, zdziwił się Wrzos, o kim mowa być mogła — bo o Biskupie ani myślał.

Nie śmiał nawet pytać więcej, lecz zaraz stróżów wzięwszy i stróżkę z miotłą szedł odmykać, pyły oczyszczać, umiatać, myśleć o ogrzaniu.

W duchu jednak ciągle się pytał sam siebie, ktoby to mógł być?

Pośpiech, z jakim oczyszczano dawno nie zamieszkałe izby, podniósł w nich straszne pyłu tumany, które jeszcze czasu osiąść nie miały, gdy przez okno zobaczył Wrzos wielki wóz okryty, do koła zbrojnemi ludźmi otoczony, a na wozie pół siedzącego, pół leżącego mężczyznę starego, otyłego, z twarzą rozlaną, okrytego kożuchem dostatnym, w czapce sobolej.

Chociaż długi przeciąg czasu upłynął od ostatniej biskupa niewoli, a ks. Paweł zmienił się mocno (on to był bowiem), Wrzos aż zakrzyknął, poznając swego więźnia dawnego.

Tak mu się to zdało dziwnem, iż nieopatrzny człek popadł tu raz trzeci, iż ręce załamał.

— Trzeci raz! — zawołał — no! teraz mu tu koniec będzie!

Gdy to mówił, słychać już było i ciężki chód Biskupa i głosy tych, co go prowadzili, aż w progu ukazała się postać dumna, z twarzą pomarszczoną, wlokąca się ciężko na nogach obrzmiałych, opierająca się o ściany.

Wrzos schylił się przed nią nisko — ale Biskup zbyt sobą był zajęty, aby nań spojrzeć nawet.

Widok tych miejsc przypominał mu cały szereg wypadków długiego życia — aż do tej ostatniej godziny.

— Być zwyciężonym, zawsze zwyciężonym być! — powtarzał w duszy. — Czuć się silnym i zgniecionym być przez karłów, którzy ani rozumu, ni przebiegłości mej nie mają! Przeznaczenie!

Z tą myślą przygnębiającą rzucił się Biskup na ławę w rogu izby, i nieruchomy na niej pozostał.

Jeden kapelan Mikołaj miał pozwolenie towarzyszenia mu... Kaczor przywłókł się jako sługa.

Na nim znać też było lata przeżyte, wesołość jego nie tą dawną była, zdała się przymuszoną, powtarzała jednostajnie. Dla pobudzenia jej, napijać się musiał, roztył się i ocięzał.

Kapelan i Ochmistrz, bo tak mianowano Kaczora, zaczęli myśleć o zapewnieniu wygod Biskupowi; gdy on, zobojętniały o nic się nie upominał, na nic się nie zdawał zważać. Dawną gwałtowność i wybuchy, zastąpiło odrętwienie.

Widząc go w takim ducha upadku, ksiądz Mikołaj, pokorny bardzo i łagodny człek, czuł się w obowiązku przyjść mu w pomoc duchowną pociechą.

— Nie potrzebujemy się tu bardzo rozgaszczać — rzekł — niewola nasza nie potrwa długo. Arcybiskup Gnieźnieński lub Rzym, ujmie się za nas.

Bóg łaskaw, miłosierny, a my wszyscy do niego gorące zanosimy modlitwy.

Biskup wzruszył ramionami.

— Nie obchodzi mnie już nic — odparł chłodno — nic! nic! Skończone życie moje, nadzieje utopione na wieki! Wszystko, czego pragnąłem, czego największym kosztem dopiąć chciałem — przepadło!.. Niech się sobie świat kończy!

Napróżno kapelan usiłował mu poddać myśl weselszą — Biskup głowę spuściwszy nic nie odpowiadał.

Wieczorem gdy sami pozostali, kazał sobie czytać pismo święte, którego czy słuchał, czy pod ten czas o czem innym myślał, nie mógł ks. Mikołaj zmiarkować, choć często nań spoglądał. Oczy miał stojące słupem, nieruchome, twarz skamieniałą.

Kaczor mocno się zafrasował tem niezwykczajnem pogrążeniem w sobie pana, a gdy nazajutrz podano jadło, które biskup ledwie tknął, o nic się nie upomniawszy — szepnął Ochmistrz po cichu Kapelanowi, iż źle być z ks. Pawłem musiało, bo się bardzo odmienił.

Jest zaś u ludu wiarą powszechną, iż zmiana taka coś groźnego zwiastuje.

Dawniej w więzieniu rwał się i narzekał, niecierpliwił, spodziewał, teraz przyjmował niewolę z obojętnością zimną, nic się nie domagając i nie skarżąc się na nic.

Rozmowa z Kapelanem zagajana z różnych tonów — nie dawała się zawiązać. Słuchał niby co doń mówiono, na nic prawie nie odpowiadając.

Ksiądz Mikołaj powtarzał ciągle, iż Biskupa rychło musiano puścić, że Bolesław Mazowiecki powinien był przemódtz Wrocławskiego Henryka, objąć Kraków i ks. Pawła wyzwolić.

Nawet ta nadzieja zwycięstwa Mazowieckiego księcia, którego ród zawsze Biskup chciał na stolicę krakowską wprowadzić, nie rozjaśniła czoła ks. Pawłowi.

Milczał i milczał długo, aż późno w noc, przy psalmach pokutnych, które sobie czytać kazał, nagle wybuchnął.

— Bóg niech się ulituje nad duszą moją! Więcej już na ziemi nie pragnę nic! Rzadko o tej grzesznej duszy myślałem wśród życia. Dwu wrogów miałem, Pudyka i Czarnego, pogrzebałem ich obu, niezwykczylem żadnego! Kraj ten nieszczęśliwy porozpada się w kawały i pochłoną go Niemcy!

Zalewają go, opanowują, zawojują bez żelaza!

Oczy moje już smutnej jej doli widzieć nie będą — na tę nieszczęsną ziemię patrzeć nie chcę..

Zamknąć je wolę na wieki!

Wielkim grzesznikiem jestem!

Westchnął i dodał:

— Czytaj psalmy pokutne!

Ks. Mikołaj ciągnął dalej, zadumał się Paweł.

— Ręka Boża! — zamruczał po skończeniu psalmu. — Tak! w tem wszystkim była dłoń wszechmocnego! Ci ludzie nie sprostali mi w niczem, a pognębili mnie. Nie zmogłem losu, bo los był w ręku Boga!!

Czytaj psalmy!

Wśród westchnień i wykrzykników, kapelan znowu powolnie psalmy odmawiał głosem płaczącym.

— Tak! — mówił biskup przerywając mu. — Smutna jest dusza moja, aż do śmierci! Poczecy nie mam żadnej... Nic się nie ziściło!

Ziemie te rwą teraz pomiędzy sobą, Henryk Śląski co pieśni niemieckie śpiewa, Bolko Mazowiecki, którego się krakowianie boją i mały ten karzeł, Władek... i Przemyśl może i Waclaw Czeski, któremu Gryfina darowała czego nie miała!!

— Widzisz ty! Mikołaju! — dodał porywając się z pościeli. — Widzisz ty to? Krzyżacy z jednej, Litwa z drugiej strony, Tatarzy, Ruś, Prusacy, Czechy.. Węgry.. wszyscy na tę nieszczęśliwą ziemię — nielicząc mrówia niemieckiego co ją już zalewa...

Widzisz to spustoszenie? a naszych Piastowiczów poniemczałych, gryzących się jak psy z sobą, o to, aby na jak najmniejsze sztuki rozerwać królestwo, co niegdyś jednym i potężnym było!

A! czytaj psalmy...

Zaledwie głos ks. Mikołaja dał się słyszeć oplakujący grzechy, Biskup w piersi się uderzywszy przerwał.

— A! tak! tak, wielkie są grzechy moje, wielką była ślepotą! Burzliwą falą rzuciła się krew we mnie, pożądałem więcej niżeli człowiekowi mieć wolno!

Próżne a nienasycone było serce to, którego pragnienia nic ukoić nie mogło!

I dziś — dziś tam też bezdnia co w dniach młodości! W tę przepaść wpadło ludzi tyle, krwi, łez mych własnych — a stoi tak czarna, pusta, przepaścista jak była!

Módlmy się!

Kapelan przerwany wiersz rozpoczął znowu, a Biskup ledwie mu dając dokończyć, wołał wzruszony:

— Długie życie było a próżne! Przeciw woli Bożej, nic... *Quis ut Deus? Quis contra Deum?* Niezbadane wyroki Jego!

Co On chce uczynić z tą ziemią obcym ją dając na pastwę? słabym na igraszkę, ślepy do rządzenia? Czem więcej nad inne zgrzeszyła ona, i za czyje winy srogą pokutę biczowania i więzów ponosi? A! niezbadane wyroki Jego!

Zamilkł...

Ks. Mikołaj zwolna próbował dalej czytać psalmy, w których każda dusza zboleła a skruszona, swojego cierpienia znajduje odbicie. Biskup jęczał, słowa niektóre powtarzał, wpadał w zadumę, lub boleściwie wzdychał, jakby ran jego dotknięto.

Tak część nocy przetrwali na tej modlitwie smutnej i narzekaniu. Kaganek się dopalał, ks. Mikołaj zamknął księgę.

— Boże, bądź miłościw duszy mojej! — szepnął Biskup.

Nazajutrz pogodny, zimny wstał dzień jesienny, Biskup wyjrzał oknem na ranny szron okrywający ziemię. Pora ta roku, łowy mu przypominała, z pod wczoraj pokutującego grzesznika, dziś namiętny łowiec wystąpił.

Patrzył na łąki rozległe, na lasy w dali i westchnął.

— A! — szepnął — takiego ranka, z dobremi psy pójść. w las — co to za rozkosz?

Otworzył okno.

— Co za powietrze orzeźwiająca! a jaki zaduch w tej przemierzłej izbie! Cóżbym dał, gdybym mógł, gdybym się miał na konia sięść z oszczepem...

W tem na myśl przyszło mu wspomnienie Werchańca, którego na łowach ubił ręką własną, zobaczył oszczep ten krwawy tkwiący w jego piersi, — a oczy mu zasły mgłą, zamilkł upokorzony — i głowa na piersi zwiśla.

Wieczorem wrócić kazał do psalmów pokutnych, lecz czytania ich spokojniej słuchał, nie przerywając.

Uspokajała się powoli dusza, do nawalnic przywykła, czuła w tym spokoju błogość jakąś więcej obiecującą się, niż zdobyta.

Zrana, gdy podano jedzenie, oznajmiono razem Biskupowi, duchownego przybywającego z Krakowa. Wszedł, stary jak ks. Paweł, Dziekan krakowski, który raz już do klejenia zgody między Biskupem a Leszkiem należał.

Ks. Paweł łatwo przewidzieć mógł, że i teraz mu przynosi warunki przejednania, nie wzruszyło go to bynajmniej. Witał go uprzejmie ale obojętnie.

W istocie Dziekan przychodził ze słowem zgody od księcia Henryka. Od oznajmienia tego zaczął — Paweł nie poruszony jak był pozostał.

— Książę Henryk? — odparł powoli — Henryk niemiec mieć za sobą będzie mieszczanństwo krakowskie, ci przecież nie o wszystkim stanowią! Uda im się zdać mu Kraków, ziemianie się opatrzą, że i oni tu coś znaczyć powinni. Od czegoż by się ziemianami zwali, gdyby ta ziemia nie ich była??

Uwolni mnie dziś Henryk, a jutro — —

Zadumał się.

— Nie pilno mi! — dodał. — Nie widzę w przyszłości nic oprócz zamętu straszego, z którego by chyba dłoń silna wyratować mogła. — Gdzież ona jest?

— A Bolko Mazowiecki? — odparł Dziekan.

Biskup zbył milczeniem.

Zdziwił się ks. Wojciech, zdawna znając go, znajdując tak zobojętniałym na wszystko... Niewidział go takim nigdy. Przez cały dzień próbując czemś wywieść z tej odrętwiałości, nie zdołał ani odżywić, ni wydobyć stanowczego słowa.

— Do Krakowa powracać? — Co mi po tem? Mazowieccy zechcą się mną posłużyć, bo wiedzą, że im sprzyjałem i sprzyjam; dla tego, że wiele serca mieli i siły więcej niż drudzy. A utrzymując się oni przeciwko Ślązakom i Czechom, a innym chciwym Krakowa, choć go utrzymać nie potrafią?

Pokoju nie dożyję — wojny więc nie pragnę już...

Wieczorem, Dziekan zdumiał się znowu, słysząc, że Biskup od kapelana psalmów pokutnych zażądał.

— To moje najmilsze czytanie, najlepsza modlitwa! — rzekł z westchnieniem.

Ks. Mikołaj otworzył księgę i z wolna psalmy czytać począł, które ks. Paweł cicho za nim powtarzał. Stary Dziekan nie mógł od tego nowego dlań widoku oczów odwrócić. Nie znał Biskupa tak usposobionym do skruchy i pokuty.

Niektóre wiersze psalmów kazał sobie powtarzać, bo mu mocniej do serca przypadały... Jęczał i wzdychał. Do późnej nocy siedzieli tak na modlitwie.

Gdy nazajutrz Dziekan, nic nie sprawiwszy, do odjazdu się sposobił, rzekł mu ks. Paweł żegnając się z nim.

— Proszę was, powiedźcie tam we dworze, niech starego mojego psa Pogońca, dobrze karmią. Zasłużył on na to. On stary i ja, nie pójdziemy już w las ze sobą, ale niech głodu nie cierpi.

Ta czułość dla psa, gdy Biskup nigdy jej nie okazywał nawet dla ludzi, — jeszcze raz wprawiała w zdumienie ks. Wojciecha. Nie poznawał człowieka.

W progu dorzucił żegnając się z nim.

— Jeżeli żyw, pozdrówcie odemnie O. Serafina u św. Franciszka.

Mąż jest święty.

Drzwi się zamknęły. Płynęło w tem więzieniu życie prawie klasztorным trybem.

Kaczor, który na pociechę pił, a podpiswszy czuł się w obowiązku przychodzić Biskupa rozrywać, znajdował go głuchym i obojętnym. Często nawet odprawiał go, okazując niesmak i wstręt.

— Zły to znak, — szeptał Kaczor, — kiedy stary człek jak ten nasz, z dnia na dzień się odmieni. Nie daj Boże nieszczęścia!

Pode drzwiami psalmom się przysłuchując, sługa odchodził markotny. Zaczynał myśleć o sobie co pocnie, gdy Biskup zemrze, bo czuł, że śmierć musiała być bliską.

Na przekór tej przepowiedni Kaczora, ks. Paweł, którego tu przywieziono osłabłym i cierpiącym mocno, widocznie spokój ducha odzyskawszy i na zdrowiu lepiej być poczytał...

Twarz mu zbladła, pomarszczyła się, krwawe oczy zbieleły, mowa stała się łagodną.

Gniew rzadko i na krótko się zjawiał.

Kilka tygodni trwała ta niewola Biskupa, klątwą zagrożono z Gniezna, musiał być na wolność puszczony. Jednego ranka znalazł się bez straży, oznajmiono mu, że może się udać gdzie zechce — ale o zgodzie i przejednaniach, mówić z kim nie było.

Łoktek walczył właśnie o Kraków z Henrykiem.

Ks. Paweł oswobodzony nie wiedział dobrze gdzie się obróci. Do Krakowa jechać nie chciał, Kunów i Łagów mu zbrzydły. Kaczor, który natychmiast do wyjazdu się sposobić zaczął, sądząc że panu wyrwać się ztąd będzie pilno — nie zrozumiał go, gdy mu powiedział, iż sam nie wie jeszcze dokąd i kiedy pojedzie.

Sposobiono przecież wozy, a ks. Wojciech przyjechał z Krakowa z pieniędzmi i odzieżą, która mogła być na drogę potrzebną.

Namawiał do stolicy, wahał się ks. Paweł, parę dni tak upłynęło. Gdy nań nalegano, odezwał się.

— Wieźcież mnie dokąd chcecie! Jedno mi już gdzie siedzieć będę, bylebym kościół miał... Nadeszły dni pokuty. Niewiele już czasu wedle przepowiedni zostało mi na nią.

Stan ten człowieka, który dawniej nie dawał sobą rządzić nikomu, a na samą myśl, że ktoś mógł mu swą wolę narzucać oburzał się, na przekór czyniąc — obudzała litość w otaczającym go duchowieństwie.

Mąż woli potężnej był całkiem złamany.

Dziekan za Krakowem był, a choć ks. Paweł nie życzył go sobie dla mieszczaństwa niemieckiego, które górę w nim brało — nie sprzeciwił się.

— Wieźcie i do Krakowa, gdy chcecie — odparł obojętnie. Wszystko mi jedno...

Na pół już drogi, Kaczor dobył z milczącego pana życzenie spoczynku. — Zatrzymano się w Tarczku.

Był tam niewielki dwór, w którym przesiedzieć czas jakiś było można. Został nie dbając o wygodę i ruszać się dalej nieokazywał ochoty.

Na zamku Sieradzkim pusto było i smutno lecz bezpiecznie i zaciszno na zimę, gdy w Tarczku, gdzie się Biskupa nie spodziewano, dom nieopatrzony, zimny, mały, pusty, ledwie go z ludźmi mógł pomieścić.

Jedną izbą dla siebie ograniczając się, drugą ks. Paweł na kaplicę przeznaczył. — Zostali tu, bo się czuł znużonym i słabym. Czytano mu znowu psalmy pokutne, ale teraz żadne narzekanie i wspomnienia przeszłości modlitwy tej nie przerywały.

Rozprawiali się księżęta, dobijając o Kraków, Paweł nawet Mazowieckim, z którymi trzymał, odmówił wszelkiego poparcia.

— Zostawcie mnie w pokoju — odpowiadał — walczyłem długo!

Z rana odprawiał mszę świętą w kaplicy, potem czytać sobie kazał albo modlił się siedząc, bo już dla boleści w nogach i obrzęknięciu klęczeć nie mógł. Cierpienia przyjmował nie skarżąc się na nie, prawie radośnie.

Trzy lata całe trwało to powolne konanie. Niekiedy gdy mu przynoszono wiadomości o zwycięstwach łokciowego Włodka, to o przewadze Ślązaka, to o groźnych nowych sporach i zatargach — zgasłe oko błysło mu jeszcze, ruszył się, drgnął. Stary człowiek chciał dawne w nim prawa odzyskać, ale wnet go pokutnik zwyciężał. Spuszczał źrenice powtarzając cicho.

— Bądź wola Twoja!

Słuchał potem ostygły prawie, opowiadań o burzach, które się po kraju rozpościerały.

W roku 1292 przestał się już o swej mocy podnosić, milczał, mrucał modlitwy, siły coraz bardziej go opuszczały. Sam rachował miesiące i tygodnie, które mu wedle przepowiedni, do życia pozostawały. Ostatnią troską jego był niepokój o wybór następcy po sobie.

Dnia jednego ks. Mikołaj, który go nie opuszczał, znalazłszy słabszym niż zwykle, chciał wezwać mnicha Cystersa, który tu czasem przybywał z radą lekarską, a raz już zagrożonego śmiercią uratował.

Biskup się temu sprzeciwił.

— Przeciw woli Bożej, żaden lekarz nie poradzi — rzekł — godzina moja nadchodzi.

Otwarto drzwi drugiej izby, która za kapliczkę służyła. Ks. Mikołaj wyszedł ze mszą świętą.

Zwykle gdy ona się tu odprawiała, wpuszczano domowników a nawet obcych, jeźli jacy do Tarczka przybyli.

Dnia tego nacisnęło się pobożnych więcej niż zwykle, zwabionych może tem, iż o pogorszeniu zdrowia Biskupa słyszeli.

Wśród ciżby, która małą zapępiała izdebkę, na wpół już zgasłe oczy chorego, dostrzegły niewiastę w sukni zakonu św. Franciszka, z twarzą osłoniętą, klęczącą za wszystkiemi u progu... Niepokój go ogarnął, obumarłe zablęły źrenice.

Pokutnica modliła się gorąco cała zatopiona w sobie.

Ks. Paweł oczów od niej nie mógł oderwać — drżał.

Wzrok z pod grubej zasłony raz tylko padł na niego, było to przy końcu mszy, gdy kapłan od ołtarza przeżegnał przytomnych.

Biskup Paweł zwolna pochylił się na poduszki, powieki się przymknęły, krzyżyk, który trzymał w ręku, przycisnął do piersi.

Zwolna wszyscy do kaplicy wpuszczeni wychodzić zaczęli, a niewiasta klęczała u progu, ku łożu spoglądając.

Kaczor z lekka za ramię ją ująwszy wskazał, że i ona wyjść była powinna.

Pochyliła się ku ziemi, całując ją, podniosła i zawołała głosem wielkim

— Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!!

Ks. Mikołaj przelękły, nie mając czasu alby zrzucić, przybliżył się ku łożu...

Biskup nie żył.

X

Straszna była zamieć zimowa. Wiatr szalał niosąc z sobą chmury śnieżnych białych płatów.

Nad Prądnikiem na Skale zakonnice w chórze odmawiały modlitwy, gdy w chwili małej uciszenia, zdało im się iż usłyszały głos błagający i wołanie boleściwe.

Żadna z nich powiedzieć nie mogła zkąd przerażający ten głos cierpienia dolatywał.

Przyniosła go burza, powietrze niem jęknęło — wyszedł z pod ziemi? był jakby wołaniem grobowem duszy w czyściu udręczonej, czy zwodliwym krzykiem ptaka, co ludzką boleść przedrzeźnia?

Przełożona, której uszu doszedł, po skończonych modlitwach, „Anioł Pański“ za w czyściu cierpiących odmówić kazała.

I raz jeszcze ten sam jęk odezwał się — zkąd? niepochwycono, bo go zaraz wycie wichru zagłuszyło.

Przerażona nim wyszły z chóru zakonnice, a u furty siedząca, na poły głucha siostra Placyda ze drzeniem opowiadać zaczęła, że i ona jęk jakiś dobywający się z ziemi słyszała. Nieochybnie sądzono, iż musiał być płaczem duszy o ratunek wołającej, domagającej się modlitwy.

Przez całą noc śnieżnica mroźna szalała, wszystkie załomy przy murach poprzysypywał śnieg nagromadzony zawieją.

Umiatano podwórza, gdy silne dzwonienie do wrót słyszeć się dało. We drzwiach stała baba, która nabiału i jaj do klasztoru dostarczała, z bladą twarzą, wskazując coś po za sobą, a ze strachu mówić nie mogąc...

Odważyła się wyrzec siostra furtjanka.

U progu furty na wpół zasypana śniegiem, klęczała z twarzą ku ziemi, z rękami ściśniętymi jak do modlitwy, niewiasta w sukni zakonnej św. Franciszka, ku kościołowi obrócona, zastygła już i skostniała.

Wnet nadbiegły ją ratować zakonnice.

Z wielką trudnością dało się wydobyć ciało z zasy śnieżnej, w której do połowy tkwiło. Życia już nic rozbudzić nie mogło w zmarzłej pokutnicy. Nie poznał jej tu nikt, zajęto się pogrzebem nieszczęśliwej, gdy przybyły z Krakowa przypadkiem staruszek, O. Prochor, — wejrząwszy na zwłoki oznajmił, że to była owa Bieta, niegdyś ze Skąły porwana i uwięziona.

Świadczył kapłan, iż pojednana z Bogiem, w skrusze i na pokucie życia dokonała.

W rogu cmentarza opodał od zakonnice, złożono jej zwłoki na spoczynek wieczny.

w starym domku.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/syn-jazdona>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Syn Jazdona. Powieść historyczna z czasów Bolesława Wstydlivego i Leszka Czarnego, t. I-III, nakł. Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie, Gebethner i Wolff, Warszawa 1880.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0463-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).